

Roman

FRISTER

**Skradziona
tożsamość**

Świat Książki

Roman
FRISTER

**Skradziona
tożsamość**


Świat Książki

Elżbiecie, za to, że jest

Rozdział pierwszy

PLECAMI DO PRZYSZŁOŚCI

– Job twoju mat’ – zaklął. Splunął prosto na peron i roztańł ślinę podeszwą wojskowego buta. Stał tak, umęczony żarem lejącym się z bezchmurnego nieba, opadającym na ziemię niewidocznym całunem rozpalonego piekła. Wetknął w usta niedopałek papierosa, zapach i smak machorki dawno się z niego ulotniły, i po raz nie wiadomo który przeklął to zabite dechami austriackie miasteczko, w którym niezidentyfikowani bliżej dowódcy sto sześćdziesiątej dywizji piechoty kazali mu być panem sytuacji, niemożliwej do opanowania. Ulgę mogła przynieść jedynie flaszka na przepłukanie gardła, ale cała okolica była sucha i bezwodna jak pustynia Kara-Kum, na której się urodził dwadzieścia osiem lat temu. Osobiście przeczesał wszystkie wyszynki i drogerie w promieniu dziesięciu kilometrów, ale nie znalazł niczego, co mogłoby poprawić jego zasrany nastrój.

Młody porucznik był mężczyzną o szerokich barach, wysokim i przystojnym; rysy twarzy o wydatnych kościach policzkowych dodawały mu swoistego uroku. Baretki, medale i ordery na bluzie munduru wyznaczały kamienie milowe długiej drogi z jednego pola walki na drugie. Teraz, ponad rok po zakończonej wojnie ojczyźnianej, gdy większość towarzyszy broni korzystała już z owoców zwycięstwa, on tkwił nadal w tej gorącej jak ukrop dziurze, gdzie czas sączył się wolno niczym gęsta oliwa. Pułkowy kwatermistrz przydzielił mu mieszkanie w jednym z tych drewnianych domów, gdzie z okien wyglądały kolorowe pelargonie w doniczkach, a drzwi zdobiły stylizowane litery austriackich ludowych porzekadeł. Miał do swojej dyspozycji dwa skromnie urządzone lecz schludne pokoje, tyle tylko że pościel, pachnąca kiedyś krochmałem i farbą do prania, dawno utraciła dziewiczą biel. Piętro niżej mieszkał starszy sierżant łączności, odpowiedzialny, całkiem zresztą teoretycznie, za stacyjny sprzęt sygnalizacji. Właściciele domu, para emerytów, wynieśli się na strych bez protestu. Ich służalcze ukłony budziły w nim wstręt. Kobieta skłonna była sprzątać mieszkanie w zamian za puszkę konserw lub paczkę papierosów, ale politruk zabronił bratać się z miejscowymi. Porucznik nigdy nie zamienił z nią słowa. I tak nic by z tego nie wyszło, bo znał tylko rosyjski, a Austriaczka niemiecki.

Na bocznicy, jakby równie znużony upałem, stał pociąg osobowy, wagony stare, z osobnym wejściem do każdego przedziału. Stał tam od kilku dni i nikt nie wiedział, kiedy ruszy dalej. Maszynista i palacz stracili cierpliwość i nie pytając nikogo, poszli szukać rozrywki w miasteczku, dziesięć minut spacerkiem od stacji. Czas nie miał dla nich znaczenia, całe życie spędzali na trakcjach, a w tę lipcową środę 1945 roku nie wiedzieli nawet, czy mają jeszcze dom i rodzinę. Tylko pasażerom unieruchomionego pociągu było spiesząco. Wracali z hitlerowskich obozów koncentracyjnych i mieli do nadrobienia kilka straconych lat.

Wczoraj i przedwczoraj próbowali przekupić porucznika skrzynką amerykańskich konserw. Rosjanie ubóstwiali wszystko, co miało etykiety „Made in USA”. Porucznik nie

pogardził darem, ale jeśli chodzi o rzecz samą, wzruszył ramionami, tłumacząc, że sprawa przekracza jego kompetencje. Trzeba uzbroić się w cierpliwość i czekać na podniesienie semafora. Kiedyś był tutaj ważny węzeł kolejowy, ale bombowce państw sprzymierzonych dokonały solidnej roboty, ostały się tylko jedne tory i tylko jeden pociąg mógł ruszać w drogę, na wschód lub zachód. Który będzie pierwszy, to już naprawdę nie jego sprawa. Zresztą, nie byli wyjątkiem. Na bocznicach czekały na sygnał także inne pociągi, wszystkie załadowane łupami wojennymi, niemieckimi jeńcami i wojskiem. Wyzwoleni z obozów nie mieli prawa pierwszeństwa.

Ze swojego miejsca w drugim wagonie za lokomotywą Izaak Liebman wsłuchiwał się w głupawe chichoty miejscowych dziewczyn, flirtujących z francuskimi robotnikami wracającymi z przymusowych robót u niemieckich bauerów. Twarze mieli ogorzałe i nie byli tak wychudzeni jak jeńcy, bo u chłopca zawsze znalazła się pajda chleba albo gorąca zupa. Brak znajomości języka nie stanowił widać przeszkody, ale wesoly dziewczęcy szczebiot niemile zgrzytał w uchu Liebmana. Jednym zdecydowanym mchem zamknął okno w drzwiach przedziału. Teraz zaległa cisza, za to upał i smród stały się nie do zniesienia.

Pociąg Francuzów, mieszanina wagonów towarowych i osobowych, stał skierowany lokomotywą na zachód. Pociąg Liebmana miał mszyć na wschód. Dziesięć po drugiej Liebman, na wpół uduszony i spragniony, wyszedł do budynku stacyjnego, aby napełnić manierkę świeżą wodą z kranu. Zakotował tę godzinę, bo w tej samej chwili powietrze przeciął długi gwizd lokomotywy pociągu z niemieckimi jeńcami. Dawał znak, że podniesiono nareszcie ramię semafora, a Liebman odruchowo zerknął na wiszący pod dachem głównego peronu zegar.

Ubikacja była pusta, tężał w niej smród uryny, potu i dymu tanich papierosów. Gdy spojrział w pełne żółtawych żyłek lustro, ujrzał nieco wyniszczoną twarz trzydziestoletniego mężczyzny średniego wzrostu o trochę przygarbionych plecach, sprawiających wrażenie, że dźwiga na nich cały ciężar świata. Usta miał wąskie, wargi zaciśnięte, niezupełnie symetryczne, ale też nie krzywe. Ciemne oczy pozbawione były tego blasku, który zdradza radość życia, a ledwo porastające głowę włosy przypominały jeszcze maszynkę obozowego golibrody. Za jakiś czas, wiedział to na pewno, znów będzie miał bujną, falistą czuprynę, która zawsze przyciągała kobiecy wzrok.

Zamyślony nie zauważył, że ktoś jeszcze wszedł do toalety. Mocne pchnięcie odsunęło go od umywalki. Już chciał powiedzieć, co myśli o takim zachowaniu, ale ugryzł się w język. Ręka, która zakręciła kran, wyglądała jak zaciśnięta pięść zawodowego boksera.

Obcy warknął zaczepnie:

– Lepiej possij trochę mleka z piersi matki.

Liebmana dławiała własna bezsilność, ale przecież nie po to przeżył obozy koncentracyjne, aby oberwać po głowie od jakiegoś draba. Chwileczkę, przypomniał sobie nagle, przecież widział już tego faceta o szerokich barach. To on wczoraj po południu chodził od wagonu do wagonu i namawiał wszystkich, aby zrzucili się na pół litra, w którym można by rozpuścić skamieniałe serce radzieckiego porucznika. Liebman udawał, że drzemie i nie słyszy. W kartonowej walizce, w siatce nad głowę, zawinięta w kalesony i podkoszulki, spoczywała butelka prawdziwej szkockiej whisky. Dostał ją od amerykańskiego urzędnika, który wystawiał mu dokument, jaki otrzymywali wszyscy ocaleni z Mauthausen. Widocznie znajomość angielskiego zrobiła na nim wrażenie, bo niby skąd taka łaskawość. Izaak Liebman nie tykał alkoholu, ale doskonale znał jego cenę w handlu wymiennym i nie miał najmniejszej ochoty oddać go za byle co. Przyspieszenie podróży na pewno nie było tego warte. Nie miał się dokąd spieszyć. Rodzinny dom, w dosłownym tego słowa znaczeniu, nie istniał od dawna. Niemcy spalili go podczas likwidacji getta w Chełmie Lubelskim. Zaś dom w pojęciu metaforycznym wciąż jeszcze stanowił wielką niewiadomą. Więźniowie, których przywieziono do obozu pod koniec wojny, nie potrafili wyjaśnić, czy rodzice zginęli w

plamieniach, czy zostali zastrzeleni przez żołnierzy specjalnej jednostki SS, przeczesującej miasteczko w poszukiwaniu uciekinierów. Mówili tylko, że nie znalazł się nikt, kto by udzielił im schronienia, a byli nawet tacy, bez wahania prowadzący hitlerowców do piwnic, w których ukrywali się Żydzi. Liebman słuchał i kiwał głową ze zrozumieniem. Nie dziwił się niczemu. Żydzi nigdy nie cieszyli się sympatią sąsiadów. Teraz, tak mówiono na stacji, wszystko zmieniło się na lepsze. Jest nowy ustrój, nikt nikogo nie prześladowuje. Ale dopóki nie zobaczy tego na własne oczy, nic go nie przekona. Zbyt wiele rozczarowań nosi w sobie, aby lekkomyślnie dać wiarę każdej niesprawdzonej wieści. Niespieszno mu było poznać prawdę; kilka dni mniej lub więcej i tak niczego nie zmieni.

Izaak wrócił do pociągu, cisnął pustą manierkę na siatkę obok walizki i podłożył sobie ręcznik pod tyłek. Słońce rozgrzało czarny dach wagonu, upał i zaduch stały się tak trudne do wytrzymania, że przepędziły pasażerów. Wszystkich, oprócz Rudolfa Nowaka, który siedział przy oknie po przeciwnej stronie przedziału. Mimo iż od kilku dni siedzieli naprzeciw siebie, Izaak nie miał pojęcia, skąd i dokąd Nowak jechał. Inni zabijali czas opowiadaniem o swoich przeżyciach, ten milczał jak ryba. Twarz zasłaniał starą niemiecką gazetą, której treść chłonał tak, jak gdyby pełna była najnowszych wiadomości. Gdy Liebman umościł się wreszcie na względnie chłodnym ręczniku, Nowak starannie złożył gazetę w czworo, wstał, wetknął dziennik do tylnej kieszeni spodni i powiedział:

- Przypilnuj moich śmieci. Wyjdę na chwilę sprawdzić, co się dzieje.
- Szkoda pańskiego czasu. Byłem tam przed chwilą. Nic się nie rusza.
- Trzeba umieć poruszać sprawy – uśmiechnął się Nowak, po raz pierwszy od początku podróży, wziął pod pachę małą paczuszkę i wyszedł.

Izaak Liebman został sam w przedziale. Przez otwarte okno widział, jak Nowak spieszenie przeskakiwał tory w drodze na główny peron, ocieniony wspartym na palach dachem, jak zamienił kilka słów ze stojącymi tam, znużonymi pasażerami, aby w końcu zniknąć wewnątrz budynku. Liebman przeniósł wzrok na własne, chude jak szczapy, śmiesznie wystające z przykrótkich spodni nogi. Potem wstał, przeciągnął się i zerknął na górną półkę. Natychmiast zauważył, że zamki walizki nie były zamknięte; ktoś niewątpliwie przetrząsnął jego bagaż. Nerwowo ściągnął walizkę na ławkę i natychmiast stwierdził, że butelka whisky wyparowała. Została tylko bielizna, wyświechtana kurtka i para zapasowych portek. „Zasrany złodziej!”, zaklął głośno. W pierwszym odruchu chciał popędzić za Nowakiem, sprawdzić, co wyniósł w paczusce pod pachą, ale w tej samej chwili uprzytomnił sobie, że przecież wczoraj, gdy szukano alkoholu, nie wykazał się chęcią uczynienia czegokolwiek dla dobra ogółu. Lepiej będzie, jeśli także teraz zamknie usta na kłódkę. Ze złością zatrzaskał wieko walizki i cisnął ją z powrotem na miejsce.

Naczelnik stacji Siegmundsherberg miał już wypracowaną emeryturę, ale podczas wojny, gdy kolejarze w wieku poborowym zmieniali granatowe mundury na wojskowe khaki, dyrekcja kolei Trzeciej Rzeszy przedłużyła mu kontrakt na czas nieokreślony. Uczyniła to tym chętniej, że kaleka od urodzenia noga dyskwalifikowała go do służby na froncie. Jego młodszy brat miał znacznie mniej szczęścia. Uchroniony w dzieciństwie przed zarazkami polio, leżał teraz pogrzebany gdzieś daleko na Podkaukaziu. Naczelnik skończył niedawno sześćdziesiąt siedem lat, a popękane naczynia krwionośne na policzkach zdawały się wskazywać na nadciśnienie.

Gdy radziecki porucznik wszedł do pokoju bez pukania, naczelnik wyskoczył zza biurka i wyprężył się na baczność. Brzuszyśko przelewało mu się przez pasek spodni, a z ust zionęło piwem, którego za żadne pieniądze nie można było dostać ani w tym, ani w żadnym innym miasteczku. „Przeklęty bękart” – warknął porucznik. Niemiec, nie rozumiejąc słowa, odrzekł głośno: „Tak jest, panie pułkowniku”. Każdy, kto nosił czapkę z pięcioramienną czerwoną gwiazdką, był w jego mniemaniu oficerem wysokiej rangi. Na widok grubego Austriaka –

naczelnik stacji urodził się w tej okolicy i tu zamierzał umrzeć – krew zawrzała w synu karakumskiej pustyni. Najbardziej wyprowadzały go z równowagi wyraźne ślady piany po piwie na wąsach naczelnika. Gdyby mógł, z radością strzeliłby mu w łeb. Ale oprócz naczelnika nikt nie znał skomplikowanego systemu kolejowej sygnalizacji, nikt nie wiedział, jak się przestawia zwrotnice, a co najważniejsze, nikt oprócz niego nie potrafił obsługiwać i naprawiać ciągle psującego się telegrafu. Naczelnika chroniła niezawodna polisa ubezpieczeniowa: porucznik miał nad nim pełną władzę, ale tylko naczelnik stacji władał tym, co się tu działo; obaj pokornie przystali na wymogi rzeczywistości.

– Kładę łagę na wszystko – warknął porucznik i wsiąkł w miękkie, wytarte siedzenie fotela. Urzędnik przytaknął, bo tak go nauczono. Przez otwarte drzwi dostrzegł Nowaka, który przepychał się przez tłumek wypełniający poczekalnię trzeciej klasy. Nowak zdążył prosto w kierunku oficera, ale nim zdążył wydobyć z siebie pierwszą sylabę, usłyszał standardową już odpowiedź:

– Nie mogę pomóc. Obie trakcje są zatkałe jak muszla klozetowa.

– Nie, towarzyszu, ja nie w tej sprawie. Chodzi o coś całkiem innego. – Nowak mówił płynnie po rosyjsku, z ledwie wyczuwalnym obcym akcentem.

– W jakiej sprawie? – zapytał porucznik, nie ukrywając podejrzliwej niechęci.

– Chciałbym zmienić kierunek jazdy. Podoba mi się ten pociąg z Francuzami. Sami rozumiecie, dziewczyny, Paryż... – próbował rozbroić oficera głupawym uśmiechem.

– Zabronione. Każdy ma swój dokument podróży.

– Zakazy są po to, aby je łamać – powiedział Nowak, uchylając rąbka paczuski. Rosjanin miał sokoli wzrok, zwłaszcza gdy chodziło o szyjkę butelki. Nowak podniósł palec wskazujący i dodał, tym razem z całą powagą:

– Prawdziwa szkocka. Z plombą.

– Hm – mruknął porucznik, nie ruszając się z miejsca, jakby czekał na dalszy ciąg propozycji.

– Cała dla was. Może pogadamy na zewnątrz, bez tego... – Nowak wskazał na Austriaka. – Świadkowie zawsze przeszkadzają.

Porucznik dźwignął się z fotela i zasznurował wojskowe buciory.

– Moje nazwisko Nikołaj Borysowicz. Z obcymi się nie zadaję. Jak wasze?

– Rudolf Nowak, Władysławowicz po ojcu.

Ze stacji do miasteczka wiodła wyboista asfaltowa szosa. Szli nią bez pośpiechu, kopiąc przydrożne kamienie i pociągając z flaszki. Wyglądali jak starzy znajomi, z zadowoleniem pociągający po jednym. Po prawej stronie szosy, kilkaset metrów za stacją, stała knajpa, przed nią mały taras z drewnianymi ławami i stołami. Z zaimprovizowanego dachu zwisały zielone gałęzie winnej latorośli, ale o prawdziwym cieniu nie można było nawet marzyć. Leniwy kot drzemał na rozgrzanej ławce. Nowak przepędził go energicznym ruchem ręki i zmiętą chusteczką wytarł miejsce dla porucznika. Oprócz nich nie było tam żywej duszy. Butelka też była już pusta. Nikołaj Borysowicz cisnął ją za siebie. Dźwięk tłukącego się szkła wywabił oberżystę zza lady, zdobnej w mosiężne, wypolerowane na wysoki połysk kurki. Nad ladą wisiała tablica, na której ktoś nabazgrał zieloną kredą:

PIWA NIE MA. GORĄCYCH DAŃ NIE MA.

MOSZCZ – 5 SZYLINGÓW

– Moszcz dla zwycięzców i moszcz dla zwyciężonych. Winny moszcz to wszystko, co nam zostało z tej wojny — wymamrotał Nowak. Właściciel wyszynku zrozumiał słowo moszcz i postawił na stole dwa dzbanki napoju i szklanki.

– Dziesięć szylingów, proszę – powiedział, znacząco pocierając palec wskazujący kciukiem.

Porucznik zmierzył go szklanym wzrokiem. Właściciel oberży właściwie ocenił sytuację i wycofując się tyłem, zapewniał gości, że naprawdę „nie trzeba”, „nie trzeba płacić”. Od zakończenia wojny widział niejednego czerwonoarmistę, wiedział z góry, czego się może po nich spodziewać, zwłaszcza gdy krew rozrzedzili spirytusem. Nowak nalał sobie pełną szklankę moszczu. Zapach fermentu uderzył w nozdrza. Nie było w nim krzty alkoholu, tylko kwaskowy smak drażniący podniebienie. Wypluł to z obrzydzeniem i wykrztusił: „Siki świętej Weroniki”. Rosjanin parsknął śmiechem:

– Prawdziwy mężczyzna wypije każde szczochy.

Podjąwszy wyzwanie, Nowak sięgnął po dzbanek i wypróżnił go do dna. Gliniane ucho wyslizgnęło mu się z dłoni, dzbanek potoczył się pod stół, a Rudolf Nowak w ślad za nim. Ciśnienie w uszach stało się bolesne, szum w głowie zagłuszył każdą myśl. Leżał na wznak, nieruchomy, z oczami wybałuszonymi jak u śniętej ryby. Za chwilę opadły na nie ciężkie powieki. Porucznik trącił go końcem buta. Oberżysta szybko wycofał się do wnętrza knajpy, zamknął za sobą drzwi na klucz i bezszelestnie wymknął się tylnym wyjściem. Był przerażony. Zdarzyło się już kiedyś, że dwaj pijani żołnierze podźgali się bagnietami, a winę usiłowano zwalić na niego, że niby podał im zatruty moszcz. Z wielkim trudem i przy niemałym nakładzie pieniężnym wykaraskał się z tarapatów.

Taktyczny odwrót oberżysty nie uszedł uwadze porucznika. Odczekał chwilę, po czym pochylił się nad przypadkowym kompanem do whisky i jednym zręcznym ruchem zdjął mu zegarek z przegubu ręki. W skrzynce pod łóżkiem miał już niezłą kolekcję, wszystkie szwajcarskie, innych nie brał. Także one znaczyły długą żołnierską drogę z jednego pola bitwy na drugie. W chwili gdy przyłożył nową zdobycz do ucha, ciesząc się cichym tykaniem mechanizmu, Rudolf Nowak otworzył oczy – ich wzrok skrzyżował się na kilka krótkich mgnień – po czym, zupełnie pijany, znów zapadł się w czarną dziurę nieprzytomności.

Komenda miasta rozlokowała się w budynku ratusza. Stary czteropiętrowy budynek uratował się nietknięty z wojennej pożogi i stał, jak pamiątka dawnych dobrych czasów, przy miejskim placu rynkowym. Tylko cesarzowej Marii Teresie, wykutej z brązu i postawionej w samym środku fontanny, zabłąkany pocisk artyleryjski uciął pół nogi, od kolana w dół. Niektóre domy otaczające rynek opustoszały, przez firanki okien tych wciąż jeszcze zamieszkałych przeciekało słabe, zmęczone światło. Na ciemnym placu nie było żywego ducha. Z oddali, z niewidocznego zaułka, dobiegały chroboczące dźwięki zdartej płyty z rosyjską dumką, pełną smutnej tęsknoty za Dnieprem.

Późno po zachodzie słońca dyżurny dowódca stacji pojawił się w komendzie miasta i złożył krótki raport o wydarzeniach dnia. Starszy rangą oficer uważnie go wysłuchał, udając, że nie czuje zapachu whisky, która niemal parowała z ust porucznika, i trochę lekceważącym ruchem ręki dał mu do zrozumienia, że może się oddalić. Porucznik zasalutował i przyłączył się do grupy młodszych oficerów i podoficerów, którzy siedzieli przy ogromnym dębowym stole w hali wejściowej pod żyrandolem, wyposażonym w zaledwie kilka świecących żarówek. Siedzący głośno rozprawiali o żonach i narzeczonych, które zostawili daleko za sobą i które na pewno dzieliły się wdziękami z każdym przypadkowym mężczyzną, jeśli tylko nosił w spodniach to, co trzeba. Z wnąki w murze, z wysoka, obojętnie spoglądał na nich umundurowany mężczyzna w okularach, wcale udany portret Artura Seyss-Inquarta, pierwszego nazistowskiego kanclerza Austrii. Przez niedopatrznie zapomniano go usunąć. Nieco pod nim oficer polityczny pułku kazał ustawić popiersie Stalina. Żołnierze wieźli je na ciężarówce przez setki kilometrów dróg i bezdroży, tak jak kiedyś, w dalekiej przeszłości, nieśli ze sobą wizerunki carów. Zdarzało się, że burmistrz miasteczka, który dziwnym trafem pozostał jeszcze na urzędzie, kłaniał się odruchowo, przechodząc wzdłuż tej ściany. Tylko on jeden wiedział, komu składa ten niemy hołd: zwycięzcy czy pokonanemu.

Pisk opon gwałtownie hamującego samochodu przerwał głośną rozmowę i potok wulgarnych żartów.

– Zobaczę, co się dzieje – powiedział porucznik i wyszedł przed bramę ratusza. W światłach reflektorów wojskowego łożnika klęczał jakiś cywil, ręce miał związane za plecami i płacząco błagał o litość. Dwóch żołnierzy w hełmach mierzyło w niego z odbezpieczonych pepesz. Porucznik poznał go natychmiast: to był ten sam człowiek, który przyszedł do niego z butelką whisky. W pierwszym odruchu chciał krzyknąć, aby puścili go wolno, że to tylko nieszkodliwy pijak, gdy nagle przypomniał sobie zegarek, wciąż jeszcze tkwiący w kieszeni. Nowy politruk pułku nigdy jeszcze nie powąchał prochu, ale zdążył już postawić przed sądem polowym kilku kolegów, którzy uważali rekwizycję niemieckiej własności za przywilej zasłużonych żołnierzy. W całym pułku tylko on traktował poważnie zakaz brania łupów. Gdyby wykrył kradzież zegarka, albo, co gorsze, znalazł pudło z całą kolekcją, wepchnięte głęboko pod łóżko, nie pomogłyby porucznikowi żadne zasługi na froncie. Więzienie wojskowe było ostatnią rzeczą, o której marzył.

– Skąd go targacie? – zawołał.

– Leżał na szosie, towarzyszu poruczniku.

– Nazista?

– Cholera go wie. Nie miał przy sobie żadnych papierów – odparł dowódca patrolu i zaraz dodał, chichocząc: – Tylko spodnie ma pełne ze strachu.

Porucznik stał poza zasięgiem reflektorów. Nowak nie mógł go widzieć, ale słyszał każde słowo. Mimo że jeszcze nie wytrzeźwiał, zdawał sobie sprawę ze swego położenia.

– Nie jestem nazistą. Nie jestem Niemcem – skomlał. – Moje dokumenty zostały w pociągu. Możecie sprawdzić. Muszę wrócić na stację, bo jadę do Francji...

– Zamknij pysk! – wrzasnął dowódca patrolu i zdjął hełm. Nowak zamilkł.

– Możecie jechać dalej, sam go przesłucham – powiedział porucznik tonem nieznoszącym sprzeciwu. Kierowca zapalił silnik. Żołnierze wgramolili się do auta, łożnik zniknął w ciemnościach bocznej ulicy. Nowak wciąż jeszcze klęczał i szlochał. Nagle otworzyły się drzwi za plecami porucznika. W promieniu światła z ratuszowego holu Rudolf Nowak rozpoznał kompana do butelki:

– Dzięki Bogu, że to pan – zawołał z ulgą. – Już widziałem śmierć przed oczami... Proszę mnie odwieźć na stację. Pan pamięta: obiecał pan wsadzić mnie do pociągu do Francji...

– Co się tu dzieje?

Porucznik nie musiał się odwracać. Nie było nikogo w pułku, kto nie znałby tubalnego głosu politruka. Jeśli ten klęczący głupek otworzy dziób i opowie całą historię... Nie, lepiej nie myśleć nawet o konsekwencjach. Pistolet niemal sam wysunął się z kabury. Porucznik wyraźnie widział czoło Nowaka i bez chwili wahania pociągnął za spust, mierząc w jasną plamę między ciemnymi brwiami i ciemną czupryną. Nowak przewrócił się na bok. Był martwy.

– Do jasnej cholery, co się tutaj dzieje! – wrzasnął politruk. Odgłos strzału wywołał wszystkich na zewnątrz. Porucznik wetknął pistolet za pas i patrząc politrukowi prosto w oczy, spokojnie wyjaśnił:

– Ten skurwysyn chciał mi wyrwać broń z ręki.

– Trzeba ich dusić, zanim przyjdą na świat, tych hitlerowskich bękartów – powiedział beznamytnie politruk. – Dobra robota – dodał, klepiąc porucznika po plecach. – Masz to u mnie... Przeszukać kieszenie – polecił.

– Nic tu nie ma, tylko jakaś gazeta – zameldował młody sierżant i podał ją porucznikowi, który rzuciwszy okiem na pierwszą stronę niemieckiego dziennika, zdziwił się szczerze: – Nie rozumiem, co tu napisane, ale popatrzcie na to zdjęcie, towarzyszu. Przecież to twarz tego faceta, który mnie napadł. – Politruk podszedł bliżej światła.

– Rzeczywiście, to jego zbrodnicza morda. Dziwne, piszą o nim w gazecie, a dokumentów nie ma żadnych. A bez dowodu osobistego to jakby umarł, nim go zastrzeliłeś.

Oficerowie ryknęli gromkim śmiechem.

Dokumenty Rudolfa Nowaka leżały sobie spokojnie w szarym tornistrze, nad którym czuwał teraz Izaak Liebman. Nowak trzymał go zazwyczaj między kolanami, tylko wychodząc z przedziału, choćby na chwilę, kładł go na swoim miejscu przy oknie, aby nikomu nie przyszło do głowy tu usiąść. „Zbyt wiele lat przesiedziałem w celi bez okna; potrzebuję świeżego powietrza i widoku – rzucił kiedyś mimochodem. – Poza tym jazda tyłem do przodu przyprawia mnie o mdłości”. Liebman pomyślał, że to on właśnie siedzi plecami do przyszłości – i wcale się nie czuje źle.

Wskazówki stacyjnego zegara wskazywały czwartą dwadzieścia nad ranem, gdy telegraf wystukał, że tory na wschód są wolne. Maszynista i palacz wrócili z miasteczka zaraz po północy i drzemali na ławce, na peronie. Krzyk naczelnika stacji postawił ich na nogi. Tłum podróżnych w popłochu wysypał się z poczekalni. Ludzie, przeskakując tory i potykając się o progi szyn, spieszyli na swoje miejsca w pociągu. Następny mógł być jutro, albo za tydzień, albo w ogóle nigdy. Semafor żegnał ich nazistowskim podniesieniem ramienia, pociąg potoczył się wolno, jakby niechętnie, do najbliższej pompy i znów się zatrzymał. Ostatni zadyszani pasażerowie mieli więcej szczęścia niż rozumu. Przedział Liebmana wypełniły obce twarze.

– Czyj ten worek? — rzucił jeden z tych nowych, wskazując na bagaż Nowaka. Liebman natychmiast poznał draba, który omal go nie pobił w stacyjnej toalecie. Stanowczym ruchem ściągnął tornister z siedzenia pod oknem. – Mój – powiedział i ścisnął go mocno kolanami.

Skąd ten odruch? Dlaczego przywłaszczył sobie plecak mruka, który siedział naprzeciw niego od początku podróży, od chwili, gdy kilka dni temu wsiedli do tego samego przedziału w Enns, kilka kilometrów na południe od Mauthausen, i wlekli się żelaznymi bezdrożami, przez Melk i Krems aż do Górnej Austrii, do Siegmundsherberg. Pociągi jechały nie tam, gdzie trzeba, ale tam, gdzie mogły dojechać. Mówiono, że stąd ruszą dalej na północ, do Znojma w Czechosłowacji, i że stamtąd łatwo będzie się przebić do Polski.

Nie miał zamiaru okradać towarzysza podróży, nawet jeśli nie pojawił się, by odebrać swoją własność. Nie miał pojęcia, co plecak zawiera, a już na pewno nie przypuszczał, że ta jedna odruchowa, niekontrolowana decyzja zmieni bieg jego życia.

Człowiek o szerokich barach usadowił się wygodnie na miejscu Rudolfa Nowaka, rozpiął guziki marynarki, warknął: „Gorąco tu jak wszyscy diabli”, i odsłonił zarośnięty tors. Nie miał koszuli. Zauważył zdumione spojrzenie Izaaka, uśmiechnął się zaskakująco przyjaznym uśmiechem, sięgnął po paczkę papierosów, podsunął ją Liebmanowi pod nos i zapytał:

– Chcesz zakurzyć? Prawdziwe niemieckie Juno. Dobry tytoń.

– Dziękuję, nie palę – skłamał. W rzeczywistości był nałogowym palaczem, zdarzało się, że w obozie zamieniał kromkę chleba na pety. Budynek stacji kolejowej Mauthausen zdobiła wielka, kolorowa reklama: *Warum ist Juno rund? Aus gutem Grund ist Juno rund*. Zachęta reklamy urągała rzeczywistości, bo papierosy były na wagę złota, dostępne tylko funkcyjnym.

– Śnisz coś na jawie – bardziej stwierdził niż zapytał nowy pasażer.

– Przepraszam. Przypomniałem sobie jakieś głupstwo.

– Masz rację. Nic warto zatruwać płuc nikotyną. Jeśli do tego nie będziesz pił tego świństwa z kranu w stacyjnych klozetach, to chyba przeżyjesz także wolność.

– Tak, tak – mruknął Liebman.

Obcy przestał się nim interesować, oparł głowę o drewniane oparcie, zamknął oczy i chyba przysnął. Pociąg przyspieszył, przez otwarte okno wdarło się świeże powietrze i przepędziło zaduch. Słupy telegraficzne coraz szybciej umykały do tyłu. Pola zaczynały żółknąć, zbliżały się żniwa. Izaak przebiegł spojrzeniem po twarzach towarzyszy podróży.

Byli zamknięci w sobie, każdy sam na sam ze swymi myślami. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Ostrożnie przesunął plecak do przodu, rozsypał zamykające go taśmy i zanurzył w nim rękę. Tak zwykł robić, gdy był jeszcze dzieckiem i w pobliskim potoku wymacał pstrągi chowające się między kamieniami. Teraz wyłowił pękaty portfel wciśnięty głęboko między odzież, położył zdobycz na kolanach i skrupulatnie badał jej zawartość. Było tam kilka banknotów, przeliczył je szybko, wszystkiego razem jakieś tysiąc szylingów, niewielki majątek, ale w jego sytuacji suma nie do pogardzenia. Znalazł także złożony starannie dyplom inżyniera maszyn na nazwisko Rudolfa Nowaka, zaświadczenie zwolnienia z więzienia wystawione przez biuro UNRRA w Linzu i kilka rodzinnych fotografii: młody Nowak w krótkich spodenkach i białej koszuli, niewątpliwie chłopiec z dobrego domu; Nowak dorosły, w ciemnym garniturze, obok niego urodziwa kobieta, jasne warkocze spadały na dekolt letniej sukienki, i krótka dedykacja: „Rudkowi z miłością, Regina”. I jeszcze jedno zdjęcie: Rudolf Nowak w kapeluszu przed budynkiem dworcowym, na którym powiewały hitlerowskie flagi z czarną swastyką. Wetknięte w jedną z przegródek portfela leżało także świadectwo chrztu i kolorowy wizerunek świętego Krzysztofa, patrona podróżnych.

Pasażer z naprzeciwka otworzył oczy, wypuł niedopałek papierosa i zauważył ironicznie:

– Papiery. To wszystko, co nam zostało z przeszłości, ha?

Liebman milczał.

– Ja nie mam nawet tego. W Mauthausen dali mi blaszaną bransoletę z numerem, ale obawiam się, że już nieaktualny.

– Ja także byłem w Mauthausen – powiedział Liebman. Dryblas nie wydawał mu się już taki groźny. – Nic sądziłem, że łączy nas wspólny los.

– Nie wydaje mi się, żeby coś nas łączyło. Żyd?

– Tak.

– Ze mną było wszystko inaczej... – zawahał się barczysty, jakby wając, czy dzielić się przeżyciami z przypadkowym słuchaczem. Ale czuł, że musi wyrzucić z siebie coś, co tkwiło w nim i ciążyło jak kamień. Zaczął jakby do siebie, nie patrząc Izaakowi w oczy:

– Wzięli mnie z łapanki na roboty do Niemiec. Pracowałem u bauerów, najpierw w Bawarii, potem w Tyrolu. Nie było strasznie. Praca ciężka, ale żarcia w bród, no i świeże powietrze. Ale w czterdziestym czwartym przenieśli mnie do podziemnych zakładów zbrojeniowych. Ludzie umierali tam jak muchy. Poszedłem po rozum do głowy i przy pierwszej okazji zwałem.

– Ja także chciałem, ale nie było dokąd. Nawet gdyby mi się udało, w co zresztą mocno wątpię, austriaccy chłopci i tak by mnie wydali. Były przypadki, że widłami zabijali takich jak ja.

– Ja uciekłem do Szwajcarii.

– Do Szwajcarii? – zdumiał się Liebman. Szwajcaria brzmiała niemal jak bajka.

– Do Szwajcarii – potwierdził obcy. – Mam dobre ucho, słyszę twoje zdumienie. Dla mnie też Szwajcaria była krainą marzeń. Neutralna, alpejskie krowy z dzwoneczkami i najlepsza na świecie czekolada. Chcesz wiedzieć, jak to wyglądało naprawdę?

– Jasne.

– To było w sierpniu, koniec sierpnia czterdziestego czwartego. Zakłady leżały na samym południu Wirtembergii, tuż przy granicy. Widziałem kiedyś mapę, wisiała w budce naszego majstra, mam fotograficzną pamięć. Wiedziałem, w którą stronę wiać. Aha, zapomniałem najważniejszego: z fabryki wyszedłem w samo południe. Posłali mnie do ładowania części czołgów, załadowałem z nimi siebie samego i wojskową ciężarówką wyjechałem za bramę. Po kwadransie wyskoczyłem spod brezentu. Byłem wolny. Nigdy nie zapomnę tej chwili. Ptaki ćwierkały. Może ćwierkały także przedtem, ale nie słyszałem. Szedłem na południe, ciągle na południe. W dzieciństwie byłem harcerzem, więc szło mi łatwo. Nocą przekroczyłem granicę. Może się zdziwisz, ale była marnie pilnowana. Z pierwszym

brzaskiem doszedłem do jakiegoś parkanu, szwajcarski chłop kurzył fajkę i patrzył w niebo, jakby czekał na zbawienie. „Panie – zapytałem łamaną niemczyzną – gdzie jestem?”. Wcale się nie zdziwił. Wyjął fajkę z ust i spokojnie wyjaśnił: „W gospodarstwie Schlechtheim, w kantonie Schaffhausen”. Zmierzył mnie spojrzeniem od stóp do głów, nie ulegało wątpliwości, że wie, z kim ma do czynienia. „Uciekłeś stamtąd?” – zapytał, aczkolwiek na pewno znał odpowiedź. Przytaknąłem, bo bajdy i tak by nie kupił.

– I co dalej?

– Zaprosił do domu, nakarmił, pozwolił się umyć i ogolić, dał czystą koszulę i spodnie. Do dziś pamiętam miękkość pędzla i zapach mydła do golenia. Jak pies. Wiedziałeś, że psy mają takie powonienie, że po latach rozpoznają znajomy zapach?

– Nigdy nie miałem psa.

– Posadził przy stole, nakarmił zupą. Sam nie jadł, tylko cały czas wpatrywał się we mnie, jakby czegoś szukał, albo coś rozważał. Czuję się głupio, wyglądało jakby liczył, ile razy wkładam łyżkę do gęby, ale głód kazał mi schować honor do kieszeni. Był wysoki i barczysty, prawie jak ja, tyle że kark miał tłusty i czerwony. Typowy chłop, skąpy w słowa, jak nasi, polscy. Wyglądał na czterdziestkę, dopiero potem dowiedziałem się, że miał trzydzieści dwa. Jak tylko odsunąłem od siebie pustą miskę, powiedział: „U nas me lubią obcych. Jeśli nakryją cię żandarmi, odeślą, skąd przyszedłeś”. Głos miał obojętny, suchy. Ale wcale nie zamierzał wydawać mnie żandarmom. Wręcz przeciwnie. zaproponował, żebym został, bo żniwa idą i brak rąk do pracy. Gospodarstwo leżało na uboczu, daleko od najbliższej wsi. Pracowałem tak kilka tygodni. Oprócz chłopca i jego żony nie widziałem żywego ducha. No i oprócz krów i owiec, i psów. Byłeś kiedyś w Szwajcarii?

– Nie.

– Któregoś wieczoru siedzieliśmy na ławce, przy stodole. Opowiadałem o moim domu, mojej siostrze, nawet nabazgrałem na kartce papieru nasz adres. Skończy się wojna, może nas kiedyś odwiedzisz, powiedziałem. Chłopka wyszła na dziedziniec nabrać wody. Mieli własną studnię, nowoczesną, z elektryczną pompą. Woda czysta i smaczna jak szampan natury. Chłopka była zgrabna i smukła, nie widać było po niej ciężkiej pracy w zagrodzie, ale w mojej obecności nigdy nie otwierała ust. Jakbym nie istniał. Gdyby nie to, że czasami głośno się kłócili, mógłbym pomyśleć, że jest niemową. Gdy wracała do domu z ciężkim wiadrem, trochę pochylona w bok, odprowadzałem ją wzrokiem, jakby to grzecznie powiedzieć, wzrokiem mężczyzny, co nie pogardzi kobietą. Nie wiem, czy gospodarz podchwycił to moje spojrzenie, ale zniemacka zapytał: „No, jak ci się podoba moja stara?”. Ma pan dużo szczęścia, odpowiedziałem ostrożnie. Chłop podniósł się z ławki, sięgnął po fajkę, ale jej nie zapalił. Chwilę milczał, potem zachnął się: „Jakie to szczęście być bezdzietnym małżeństwem dziesięć lat po ślubie!”. Niech się pan nie martwi, przyjdzie dzień i przyjdą dzieci, próbowałem go pocieszyć. A on, że nie, że nie przyjdą. Byli u lekarza, u jednego, drugiego i trzeciego, wszyscy powiedzieli, że żona płodna, że to on, że coś nie w porządku ze spermą, nie bardzo zrozumiałem co. Milczałem. No bo co mogłem powiedzieć? Że mi przykro? Wówczas, bez żadnego wstępu i bez osłonek zapytał, czy skłonny byłbym wejść do łóżka z jego babą. Sądziłem, że żartuje, albo wystawia mnie na próbę, za żadną cenę nie chciałem go zeźlić. A on przy swoim. „Uratowałem ci życie – powiada – w zamian dasz życie mojemu synowi”. Twarz miał martwą, oczy bez wyrazu, ale jasne było, że mówi to, co myśli. Szybko wyczuł moje wahanie i dodał: „Wiesz, co to znaczy gospodarstwo bez spadkobiercy?”. Spojrzałem na chłopca, spojrzałem na jego żonę, która właśnie zniknęła w drzwiach domu, i skinąłem głową: niech będzie. Położył mi rękę na udzie i wymamrotał: „Nie pożałujesz”.

Pociąg zwolnił na zakręcie, ktoś w kącie przedziału parsknął śmiechem. Dryblas w marynarce bez koszuli spiorunował go wzrokiem. Śmiech urwał się natychmiast.

– To nie było zabawne – ciągnął, niezbity z pantaląku. – Następnego wieczoru Szwajcar wskazał na łóżko żony, szerokie, tak wypełnione poduszkami, że z trudem widziałem jej

drobne ciało. Sam usiadł na drewnianym zydlu, który przyniósł z kuchni, i niemym gestem dał do zrozumienia, żebym robił, co do ranie należy. Pokój był słabo oświetlony, ale dostatecznie jasny, aby nie przeoczył niczego. Kobieta miała na sobie podwiniętą nocną koszulę. Nie wiem, co jej powiedział, ale w jej szeroko otwartych oczach czytałem nienawiść do mnie i do niego. Nie miałem odwrotu. Staralem się, żeby miała choć trochę przyjemności, ale wątpię, czy mi się udało. Nawet nie drgnęła. Nie słyszałem jednego słowa, jednego westchnienia. Nazajutrz oboje udawali, że nic się nie stało. Każdy z nas wrócił do codziennej rutyny. Minęły dwa miesiące. Leżałem na wyrku pod dachem obory, to była moja sypialnia, i wsłuchiwałem się w krople deszczu bębniące po dachówkach. Nagle zatrzeszczała drabina. Gospodarz wspinał się do mnie. W jednej ręce miał zapaloną lampę naftową, w drugiej butelkę kirszu. Łobuz wiedział, że lubię ten trunek. Rozlał kirsch do szklanek, sobie trochę mniej, mówiąc, że żona już drugi miesiąc jest bez miesiączki i że to na pewno okazja do wypitki. Tylko co gołnałem swoją porcję, a już nalał mi drugą. Nie byłem przyzwyczajony do takiego tempa, zakręciło mi się w głowie i nawet nie wiem, kiedy zasnąłem. Obudziłem się z bólem głowy, w szarówce ranka zobaczyłem dwóch policjantów. Stali pod drabiną. Kazali mi się ubrać i pójść z nimi. Strych obory nie miał okna, nie było jak uciec. Wyszliśmy na dziedziniec przed stodołą. Okiennice w domu chłopca były zamknięte. Tylko psy czekały jak oszalałe. Policjanci o nic nie pytali, nawet nie spisali protokołu. Odwieźli mnie do granicy, wysadzili z samochodu, Niemcy podnieśli szlaban. Koniec wojny zobaczyłem w Mauthausen.

– Ciekawe, czy urodziła mu syna – szepnął Liebman.

– Może kiedyś się dowiem. A chłopka, muszę przyznać, bardzo mi się podobała.

Pędzący pociąg drążył tunel w gęstej ciemności nocy, a z mroku Liebmanowego jestestwa nieproszone sączyły się okruchy wspomnień.

Ojciec. Miał pięćdziesiąt dwa lata, gdy Izaak widział go po raz ostatni, lecz siwizna srebrząca mu brodę bardzo go postarzała. Niski i lekko przygarbiony, zawsze zawieszony między światem ducha a rzeczywistością, między kasą w sklepiku spożywczym a codziennym czytaniem stron Gemary¹. Mówił cicho, niemal szeptem, ale wymowę miał gardłową, rażącą polskie ucho. Na co dzień nosił czarną jedwabną jarmułkę, tylko w soboty i święta zamieniał ją na elegancki kapelusz z szerokim rondem. Nie był dostatecznie uczoney w Piśmie, aby odbierać honory rabina, i nie dosyć zamożny, aby się obracać w kręgu posiadaczy. Chyba dlatego zwykł się dowartościowywać opowiadaniem o słynnych przodkach rabinach, których dwory zawsze wypełnione były rojem żądnych wiedzy uczniów. Przeszłość, prawdziwa lub wydumana, zawierała w sobie to, czego brak mu było w teraźniejszości.

Matka. Nagromadzenie nieposkromionej energii. Nigdy nie poruszała się z godnością osoby, która dała światu trójkę dzieci: jego, małego Icka, i dwie młodsze córki. Zawsze w ruchu, zawsze w pośpiechu, jakby goniła uciekający czas. Dokąd pędzisz, strofował ją ojciec. Równie często krytykował barwne suknie, które mimo iż były bez dekoltu i zawsze z długim rękawem, wydawały mu się niedostatecznie skromne. Porządna Żydówka tak się nie ubiera, narzekał. Nie pomagały nawet grube pończochy, noszone, jak nakazywał dobry obyczaj, także w upalne lato. Kręcone włosy odmawiały posłuszeństwa grzebieniowi i szczotce, sprawiając mylące wrażenie zaniedbania. Jej ciemne oczy emanowały wiecznym optymizmem i w przeciwieństwie do ojca, uśmiech nigdy nic schodził z jej ust. Żadne curesy² nie były w stanie jej złamać, chyba że zachorowało któreś z dzieci. Matka wierzyła w Boga i wierzyła w ludzi, a przede wszystkim wierzyła, że nie ma niczego, co mogłoby się oprzeć jej woli. Wiarę tę usiłowała przelać na Izaaka, niestety bez większego powodzenia.

¹ Gemara – zbiór komentarzy i objaśnień do Tory; wraz z Miszną tworzy Talmud.

² W jidysz: kłopoty.

Izaak Liebman miał osiem lat, gdy kraj jego urodzenia zyskał flagę państwową, hymn narodowy i niepodległość. Tłumy wyległy na ulice, w kościołach dzwoniły dzwony. Sąsiadka, która pracowała w miejscowej fabryczce aluminiowych garnków, powiedziała małemu Izaakowi, że dzwony kołyszą się jak Żydzi przy modlitwie. Również w synagodze odbyły się dziękczynne modły, a stary rabin, który zawsze nosił wyświechtane ubrania, „aby nie kłuć w oczy swoim wyglądem”, pojawił się w błyszczącym jedwabnym chałacie z lisim kołnierzem i wygłosił długie kazanie ku chwale marszałka Piłsudskiego, męża stanu światłego i przychylnego Żydom. Lecz odzyskanie niepodległości zakarbowало się w pamięci Izaaka dwoma wydarzeniami, niezwiązanymi jedno z drugim: przed południem odwołano wszystkie lekcje, i zamiast siedzieć w szkole, cała druga klasa poszła na wycieczkę krajoznawczą w teren. Jesień skłaniała się już ku zimie, roślina o małych zielonych listkach wspinała się po pniach i rozpościerała w konarach drzew. Izaak chciał znać jej nazwę. Nauczycielka przyrody, którą uczniowie nazywali za plecami „kij od miotły”, odpowiedziała obojętnie: „To jemioła, jej gałązek używamy na ozdobę w Boże Narodzenie. Ale po co ci ta wiedza, skoro i tak wyjedziesz kiedyś do Palestyny, a tam zetkniesz się z całkiem innymi roślinami”. Tak to nauczył się, właśnie na lekcji przyrody, że nie wszyscy uważają go za chłopca przynależnego na zawsze do miejsca, w którym się urodził.

Kilka miesięcy później stryj Chaim, brat matki, który dorobił się na granicznym przemyśle, skarżył się podczas rodzinnej sobotniej wieczerzy na dyskryminację w armii. Twierdził, że Żydzi są niechętnie widziani w nowym polskim wojsku, i kto marzył o szlifach oficerskich, musiał się wychrzcić. Mrużąc znacząco oko, opowiadał, że major, który rozbija się po miasteczku bryczką zaprzęzoną w dwa siwki, był wyznania mojżeszowego, ale przekabacił się na chrześcijanina i zmienił nazwisko. Izaak podzielił się tą sensacją z kolegami w klasie i szybko znalazł się w pokoju nauczycielskim, gdzie kazano mu zaprzeczyć obrzydliwej plotce. Ale Icyk, uparty jak kozioł, obstawał przy swoim. Jego stryj wie wszystko i nigdy nie kłamie. W konsekwencji stary Liebman został wezwany do dyrektora. Zarzucono mu, że nie wychowuje syna w duchu patriotycznym, i że Icyk szkodzi dobremu imieniu państwowej szkoły powszechnej. Izaak czekał na ojca pod drzwiami dyrektorskiej kancelarii, a przechodzący korytarzem uczniowie przezywali go zdrajcą. Po zakończonej rozmowie ojciec wziął go za rękę i oznajmił bez gniewu: „Nic się nie stało. Od jutra pójdziesz do naszej szkoły i skończą się wszystkie kłopoty”.

Od zawsze chciał, aby syn uczęszczał do żydowskiej szkoły. Wychowany w tradycyjnej rodzinie, marzył o studiach talmudycznych, jedynie kłopoty pieniężne pokrzyżowały ambitne plany. Jego cichym marzeniem było, aby syn zrealizował to, czego sam nic mógł osiągnąć. Tyle tylko, że chłopak nigdy nie miał religijnych ciągót, i przywołał na pomoc matkę. Sara-Jochi wstawiła się za synem i z właściwą sobie energią postawiła na swoim. Chodził do polskiej szkoły. Teraz zaś nie było już wyjścia. Nazajutrz Izaak musiał założyć jarmułkę i stawić się na lekcje w szkole żydowskiej. Jeśli przedtem nazywano go „żydkiem”, to obecnie zyskał przezwisko „szajgec”, obraźliwe określenie katolickich dzieci. Zdolności matematyczne i zamiłowanie do literatury nie były tam uważane za wartości godne uznania, natomiast rzucały się w oczy jego braki edukacyjne we wszystkich przedmiotach związanych z judaizmem.

Gdy tylko wychodził ze szkolnego budynku, chował jarmułkę do kieszeni. To dawało mu poczucie wyzwolenia z ciążącego na nim przymusu, poczucie szczęścia, że oto zostawia za sobą świat, którego nie pragnął. Nie trwało jednak długo, aż koledzy odkryli tajemnicę i głośno mu urągali. Tylko polskie dzieci nie omieszkaly mu przypomnieć, kim był naprawdę. Tak więc chodził ulicami miasteczka, między tymi, których nie chciał, a tymi, którzy go nie akceptowali; bez przyjaciół i bez kolegów do zabawy. Ojciec widział, co się dzieje, ale nie rozumiał niczego i tylko mamrotał łagodząco: Bóg wybrał nas spośród wszystkich narodów. Ale Wszechmogący przebywał daleko, może w niebie, może gdzie indziej, a jego wpływ na

brutalnego synka miejscowego stolarza był bardziej niż ograniczony. Chłopak czatował na Icka, gdy wracał ze szkoły, wciągał go do pustej klatki schodowej lub na jakieś zapuszczone podwórze, aby tłuc go bez świadków. Icek nie czuł do niego nienawiści, tylko przeklinał los, który uczynił go Żydem. Żydów zawsze prześladowano, nie było żadnego powodu, aby akurat on stanowił wyjątek. Nigdy nie płakał i nie skarżył się, nawet gdy przychodził do domu pobity. Po prostu zamykał się w swoim pokoju, obok pokoiku sióstr, i udawał, że nie słyszy, gdy wołano go do stołu, na obiad. Ojciec nigdy nie poznał prawdy, jedynie przed matką nie dało jej się ukryć. Sara-Jochi widziała i wiedziała wszystko. Rozpieszczała go, ku niezadowoleniu dziewczynek, i czasami, po kryjomu, wtykała mu na pocieszenie bilet do kina. Icek uwielbiał kino i traktował przykrości jako bolesny, lecz ostatecznie korzystny interes. Trwało tak aż do dnia, w którym wieść o filmowych eskapadach ucznia dotarła do uszu wychowawców. W ortodoksyjnym środowisku kino i nauka Tory nie szły w parze. Mały Liebman znowu wyleciał ze szkoły. Prywatny nauczyciel przygotowywał go do egzaminu wstępnego do gimnazjum.

W dniu jego siedemnastych urodzin, 5 września 1927 roku, wybuchły w Chełmie Lubelskim zamieszki. Wszystko przez pana Rabinowicza, właściciela fabryki wyrobów aluminiowych, który zbankrutował, zostawiając na bruku ponad trzydzieści rodzin. Co miało być tłumnym protestem, zorganizowanym przez partię socjalistyczną, przekształciło się szybko w antysemityczne rozruchy. Lwowska „Chwila”, najpoczytniejszy dziennik także w Lubelskiem, opublikował wiadomość, że organizatorzy demonstracji stracili kontrolę nad biegiem wydarzeń. Do bezrobotnych dołączyła miejscowa hołota, chuligani wybijali szyby w żydowskich sklepach i grabili, co popadło. Żydzi zabarykadowali się w swoich domach, nic więc dziwnego, że nikt z zaproszonych nie pojawił się na urodzinowej kolacji Icka. Do uroczystości zastawionego stołu zasiedli tylko rodzice, siostry, no i dziadek Dawid, który specjalnie na tę okazję przyjechał z Lublina, gdzie wykładał Talmud w wyższej szkole rabinackiej. Tłum na ulicy skandował hasła na cześć endecji i Mussoliniego. Dziadek Dawid stwierdził, że coś im się chyba pomieszało, bo przecież Mussolini nie jest ani socjalistą, ani antysemitą, lecz wiejskim nauczycielem, założycielem ruchu faszystowskiego we Włoszech. Izaak chciał wiedzieć, co to takiego ci faszyci, ale dziadek zbył go obojętnym „przyjdzie czas, to się dowiesz”.

Podczas tych smutnych urodzin Izaak widział go po raz ostatni, jednak wspomnienia o dziadku Dawidzie pozostały w pamięci na zawsze – nawet wtedy, gdy wolałby je z niej wymazać. Od małego Izaak potrafił zaskarbiać sobie przychyłność dziadka, nie szczędzącego grosza na jego wykształcenie, znając więc słabość staruszka do Psalmów Dawidowych, bez zaproszenia recytował: „Nie karć mnie, Panie, w swoim gniewie i nie karz w swej zapalczowości, zmiłuj się nade mną, Panie, bom słaby...”. Dziadek uśmiechał się z zadowolenia, ale dziecinne numery chłopca nie zdołały go wywieść w pole. „Masz ten sam uśmiech co mama i jak mama kuty jesteś na cztery nogi. Dasz sobie radę w życiu” – mawiał.

W ten niespokojny wieczór, gdy pani Liebman szczelnie zasłoniła okna, aby jakiś zapalczywy łobuz nie poczęstował ich kostką brukową, dziadek nieco nad miarę pociągnął z butelki i długo rozprawiał o tym, że jedynie zgłębianie świętych ksiąg prowadzi do zbawienia i że tylko dwa zawody zapewniają stabilny dochód: piekarza i grabarza. Ludzie zawsze będą jedli chleb i zawsze będą umierać. Mimo to w testamencie zapisał Izaakowi sporą sumę na sfinansowanie wyższego wykształcenia. Ku uciesze matki, uwarunkował spadek nauką w świeckiej uczelni. „Mój teść zawsze był nieobliczalny” – obraził się stary Liebman.

Izaak wybrał studia inżynierskie na politechnice. Skromny kapitał pozwolił mu wynająć pokój przy rodzinie i studiować bez pogoni za dodatkowym groszem. Zamiast jarmułki nosił teraz studencką czapkę z ciemnozieloną otoczką. Członkowie korporacji zdobili ją białoczerwoną wstążką. Izaak nie doznał tego zaszczytu, bo związki studenckie odmawiały przyjmowania kolegów, jak to elegancko określano, wyznania mojżeszowego.

Bilety do kina kupował teraz za własne pieniądze, dla siebie i dla Tamary. W odróżnieniu od dziewczyny z fotografii Nowaka, Tamara nie nosiła warkoczy. Lekko falujące włosy szczywyła na bok, jak tego wymagała moda początku lat trzydziestych. Wyświetlano wówczas *Na Zachodzie bez zmian* według powieści Remarque'a. Ulubionym bohaterem Izaaka był żołnierz Paul Baumer, który odkrywał tajemnice miłości w łóżku pięknej Francuzki. W mroku sali kinowej nieśmiało położył dłoń na kolanie Tamary. Tej samej nocy został mężczyzną. Tamara chciała wiedzieć, czy to pierwszy raz, ale wstydził się przyznać, więc skłamał. Tamara miała piersi małe jak pączki w cukierni, w której wysiadali godzinami, prowadząc akademickie dyskusje o istocie świata i bytu. „Tylko zmysły zapewniają pełnię wiedzy” – rzucała czasem między jednym kęsem pączka a drugim. „Nieprawda – spierał się – materia i duch rozwijają się równolegle”. Teraz, w pociągu, który zbliżał go do przeszłości, zabrzmiał mu w uszach jej dźwięczny śmiech, gdy podsumowała: „Arystoteles kontra Spinoza. Remis”.

– Znów śniesz na jawie? – odezwał się pasażer w garniturze bez koszuli.

– Ja? Nic podobnego – wyparł się Liebman.

– Nawet w ciemności czytam twoje myśli jak z książki.

– Wy tu o literaturze, a ja to sobie marzę o smażonej rybie z migdałami i plasterkiem cytryny – wtrącił się jeden z pasażerów.

– Nie wiesz, że nie ma już ryb w morzu? – zaśmiał się dryblas bez koszuli. – Niemieckie U-booty storpedowały wszystko, co żyje.

– Niech będzie chociaż karp w maśle – powiedział pojednawczo amator ryb. – W domu czeka żona z trójką dzieci. Nie macie pojęcia, jaka z niej gospodyni. Przed wojną miałem brzuch jak beczka piwa, tak mnie karmiła. Dzieciaki także nie stroniły od talerza. Teraz jestem chudy jak szczapa, będzie można zacząć wszystko od nowa – zachichotał.

– Jak mnie zabrali, zostawiłem w domu córkę. Ciekaw jestem, ile dzieci zastaną po powrocie – westchnął filozoficznie pasażer w wymiętej wiatrówce. Liebman nie widział wyrazu jego twarzy, nie wiedział, czy mówi poważnie.

– Która to godzina? – zainteresował się smakosz rybnych potraw. Liebman podniósł rękę do oczu. Fosforyzujące wskazówki wskazywały czwartą nad ranem.

– Jak romantycznie – ironizował facet bez koszuli. – Za chwilę strzeli pierwszy promień słońca, świetny czas, aby pomyśleć o chwili powrotu do wytęsknionego kraju. Tyle że na granicy nie będzie czekała ukochana żonka z półmiskiem karpia. Ani też córeczka z bukietem fiołków. Będą tam policjanci, którzy przewrócą nam bagaż do góry nogami, aby wyłowić wrogów narodu. Ja to się na pewno nie rozczaruję. Nie oczekuję niczego dobrego. Z niecierpliwością czekam na moment, w którym całować będziecie ojczystą ziemię.

– Pan chyba przesadza – oburzył się Izaak. – Zaraz po wojnie rozdawali nam broszurki nowej władzy. Píše tam, że w socjalizmie wszyscy są równi, a każdego repatrianta przyjmuje się z otwartymi ramionami.

– Prosto w otwarte ramiona bezpieki – mruknął ten bez koszuli.

Liebman zamyślił się, po czym rzekł spokojnie, bez wzruszenia:

– Nawet jeśli jest tak, jak pan mówi, nie mam innego miejsca, by do niego powrócić.

– Teraz gadasz do rzeczy. Jak się nie ma co się lubi, to się lubi co się ma.

– To nie sprawa lubić, nie lubić. Trzeba mieć poczucie rzeczywistości. Mówią, że nikt nie prześladowuje już Żydów. Dla mnie to rzecz najistotniejsza.

– Tak. Słyszałem, że teraz rządzą tam żydowscy komuniści – zauważył obojętnie człowiek bez koszuli i zapalił papierosa.

Liebman obserwował go w mrugającym świetle zapałki i postanowił przemilczeć niemiłą uwagę. Dyskusja nie miała sensu. Nikt nie wiedział, jak tam jest naprawdę, a co ważniejsze, Liebman nie rozgryzł jeszcze tego nowego znajomego. Człowiek brutalny czy dobroduszny? A może jedno i drugie w tym samym ciele. W przedziale zapadła cisza, zmęczenie zduśliło

wszystkie rozmowy. Izaak odrzucił głowę w tył i patrzył na swoje życie zamkniętymi oczami. Pragnął wrócić wspomnieniami do Tamary z pierściami jak pączki, ale niekontrolowany wehikuł czasu zatrzymał się na przystanku Lidia. Sprawy być może potoczyłyby się inaczej, gdyby nie jej rodzice, którzy położyli kres intymnej znajomości. Izaak nie mógł być kandydatem do ręki panny z dobrej, szlacheckiej rodziny. Kilka lat później wydali ją za właściciela dóbr w Wileńskim, człowieka o właściwym rodowodzie. Często zastanawiał się, gdzie się podziała jej tylekroć podkreślana samodzielność, dlaczego wystygła gorąca miłość. Po długiej przerwie spotkał ją znowu, zupełnie przypadkowa, w akademickiej stołówce. W przeciwieństwie do Tamary, która studiowała filozofię, Lidia nie prowadziła z nim intelektualnych pojedynków. Rozmawiali, jakby ich nigdy nic nie łączyło. Na wokandzie stała sprawa o charakterze publicznym. Zbliżały się egzaminy końcowe, prawicowa korporacja studentów wygrała wybory na Politechnice i wprowadziła reżim otwartej wrogości w stosunku do mniejszości narodowych. Wyobcowanie Żydów osiągnęło apogeum, gdy korporanci zaczęli się domagać wprowadzenia getta ławkowego: studenci wyznania mojżeszowego mieli siedzieć w ławach po lewej stronie auli wykładowej. Grupa lewicowych studentów, prowadzona przez Gedalię Chajesa z czwartego roku, organizowała wiec protestacyjny. Izaak wahał się. Ojciec błagał, by nie czynił niczego, co może zagrozić jego przyszłej karierze: „Twój dyplom nie będzie mniej warty, jeśli posiedzisz sobie na mniej honorowym miejscu”, pisał.

Lidia stroniła od marksistowskiej lewicy, rewolucyjne idee zapaleńców nigdy do niej nie przemawiały, ale właśnie apel Gedalii Chajesa poruszył jej poczucie sprawiedliwości. Spokojnie i logicznie usiłowała przekonać Izaaka, aby nie rezygnował z poczucia godności i wziął udział w demonstracji. Odmówił. Ona nazwała go tchórzem, on ją bolszewikiem. Lidia obraziła się, Izaak nie próbował jej przeprosić.

Ksiądz Piotr Jocz był ogólnie lubianym i poważanym opiekunem duchowym Politechniki. Gdy przemierzał korytarze budynku, zamiatając je przydługą sutanną, nie było studenta, który by nie witał go uprzejmym „Niech będzie pochwalony”. W dniu, w którym Liebman i czterej inni żydowscy studenci zajęli wyznaczone im miejsca, ksiądz Jocz pojawił się w auli, podciągnął sutannę, wdrapał się na stół wykładowcy i przemieścił na lewą stronę krzyż wiszący pośrodku ściany, oznajmiając tubalnym głosem, że Jezus także był Żydem. Powstał tumult, studenci okrzyczeli go zdrajcą. Ksiądz wyszedł z klasy, nie oglądając się za siebie. Od tego dnia nikt nie widział go już w gmachu Politechniki. Plotka głosiła, że zaszył się w klasztorze. Liebman spotkał go w Mauthausen, w kwietniu roku czterdziestego piątego. Jocz go nie poznał. Był bardzo chory i oddał duszę Wszechmogącemu kilka dni przed wyzwoleniem obozu.

Człowiek w garniturze bez koszuli zapalił trzeciego papierosa. Twarz miał pokrytą gęstym zarostem. Pociąg zwolnił biegu.

– Chyba zbliżamy się do końca podróży – zauważył ojciec córeczki.

– Chętnie bym wysiadł ogolony – powiedział facet bez koszuli i zaciągnął się głęboko. Kłęb dymu wypełnił przedział.

– Mogę panu pożyczyć przybory do golenia – zaproponował Liebman. – Tylko wody nie mam. Manierka jest pusta. Nie pozwolił mi pan...

– Pamiętam, pamiętam — uśmiechnął się obcy i niespodziewanie wyciągnął rękę do Izaaka. – Nazywam się Karol. Karol Bielski. – Mam nadzieję, że cię nie obraziłem. Woda była brudna jak pomyje.

– Dziękuję. Moje nazwisko Liebman. Izaak Liebman – powiedział i mocno uściśnął wyciągniętą dłoń.

– Zapamiętam to sobie.

Rozległ się gwizd parowozu. Bielski oparł czoło o szybę okna. W świetle wschodzącego słońca rysowały się smukłe sylwetki brzoź. Pociąg wtaczał się na ozdobiony białoczerwonymi flagami dworzec.

– Jesteśmy w domu – powiedział.

Rozdział drugi

RUSZYMY Z POSAD BRYŁĘ ŚWIATA

Z zawieszonych na masztach ryczących głośników padały słowa powitania. Charczące tak, że nie sposób było zrozumieć ich treści. Natomiast rozpięty na całą niemal długość peronu transparent pozdrawiał pasażerów serdecznym sloganem: WITAMY NOWYCH BUDOWNICZYCH PRZYSZŁOŚCI. Bełkotliwa nowomowa dobiegła kresu, nim wagony zatrzymały się całkowicie, uderzając buforami w bufory. Teraz płynęły z głośników nieznanne, lecz miłe dla ucha melodie. Do każdego z wysiadających podchodziła dziewczynka z czerwonym goździkiem. Liebman szukał wzrokiem Bielskiego, chciał mu powiedzieć, że chyba się mylił, że nie ma tu żadnej bezpieki, są tylko uczennice z kwiatami, ale Bielski zniknął w tłumie prącym do poczekalni, w której ochotnicy Czerwonego Krzyża ustawili bufet. Pachniało świeżym chlebem i wieprzową kielbasą. Przybyszom kazano wypełnić szczegółowe formularze, nikt jednak nie rewidował bagażu, nikt niczym nie groził. Przeciwnie, urzędnicy byli uprzejmi i chętni do pomocy każdemu, kto miał trudności ze zrozumieniem pytań. Podczas porannej odprawy delegat Państwowego Urzędu Repatriacyjnego pouczył miejscowych działaczy, że partia nie życzy sobie żadnych zgrzytów.

Nie tak wyobrażał sobie Izaak Liebman powrót do domu. Hałaśliwa muzyka i powszechny rozgardiasz wywołały w nim mieszane uczucia. Czego właściwie oczekiwał? Zakłopotany, przyjął goździk z rąk dwunastoletniej uczennicy w szkolnym mundurku. Chciał ją pocałować w policzek, ale zląkł się, że gest może być źle zrozumiany; w końcu nie powiedział nawet „dziękuję”. Przez chwilę czuł się jak osoba, która pomyliła drogi, i wszyscy widzą, że trafiła pod niewłaściwy adres. Ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Ludzie rzucili się na bufet, po czym stanęli w kolejce do rejestracji. Dopiero teraz zauważył Bielskiego. Stał z boku, oparty o ścianę i ćmił kolejnego papierosa. Izaak z wahaniem podszedł bliżej i zapytał:

- Można panu dotrzymać towarzystwa?
- Rzeczywiście wyglądasz jak ktoś, kto się zgubił w tłumie.
- Tak. Nic wiem dlaczego, ale poczułem się dziwnie samotny.
- Zdarza się. – Wzruszył ramionami Bielski.
- Tyle ludzi dookoła, a ja nie mam z nimi nic wspólnego. Łudziłem się, że płyniemy tą samą łodzią, a tu....
- Nie łódź jest ci potrzebna, lecz kotwica.
- Nie rozumiem.
- Człowiek, które chce wypłynąć w dal, potrzebuje łodzi. Ktoś, kto chce zapuścić korzenie, szuka kotwicy.
- Brzmi jak cytat z mądrości Konfucjusza.
- Nie miałem przyjemności. Zresztą, nie szukam mądrości w książkach. Nie ma to jak własne doświadczenie.

- Wolno zapytać, ile pan ma lat?
 - Możesz mi mówić Karol. Pięćdziesiąt.
 - Dziękuję. A pan do mnie Izaak.
 - To nie jest imię, które otwiera drzwi. Jeśli przeszłość cię tego nie nauczyła, zrobi to przyszłość.
 - Właśnie, że nauczyła. Może kiedyś ci opowiem.
 - Zapomnij o tym. Nie mam cierpliwości do cudzych historii.
 - Nie idziesz się zarejestrować?
- Bielski roześmiał się, rozdeptując peta.
- Służyłeś w wojsku? Nie, nie odpowiadaj, widać, że nie. W wojsku człowiek nabiera rozumu. Zasada numer jeden: niczego nie rób na ochotnika, bo dostaniesz w dupę. Zasada numer dwa: nie występuj z szeregu, nie pchaj się do przodu. Niech się pchają inni. Jutro nie będzie tu żywej duszy, biurokracja potraktuje cię bez kolejki. Masz pieniądze na hotel?
- Liebman przytaknął.
- Najbliższy bez pluskiew to hotel Pod Pocztą w Bielsku. Tak się nazywał przed wojną. Może nazywa się teraz „pod Berią” albo „pod Dzierżyńskim”.
 - Przepraszam, nie rozumiem.
- Bielski znów sięgnął do paczki z papierosami.
- Bohaterowie nowej epoki. Przyjdzie czas, to zrozumiesz. Nie przejmuj się. Powiesz: Pod Pocztą, każdy taksówkarz będzie wiedział.
 - A ty? Mam pieniądze na dwa pokoje.
- Bielski wypuścił gęsty kłęb dymu.
- Mną się nic przejmuj. Dam sobie radę.
- Liebman podniósł walizkę i tornister. Na chwilę zamarł w bezruchu, jakby szukał słów pożegnania, po tym bąknął:
- Uważaj na siebie. Za dużo palisz.

Taksówki parkowały przed dworcem. Wszystkie wyglądały jak wydobyte ze składu staroci. Pierwszy stał wiekowy opel kadet, ze zgniecionym błotnikiem i rdzą zagnieżdżoną w szwach karoserii. Ale silnik zaskoczył przy pierwszym obrocie kluczyka w stacyjce, i blaszana, rozklekotana puszka na kołach w ciągu pół godziny dowiozła go pod hotel. „To tutaj” – oznajmił kierowca i zażądał opłaty dwukrotnie wyższej niż wskazywał taksometr. Liebman zapłacił bez dyskusji. Dwie kariatydy wspierały balkon nad wejściem. Nazwa pozostała niezmieniona i Liebman znów przypomniał sobie przesadny pesymizm Bielskiego. Jak niemal wszystkie kamienice, które mijali po drodze, także budynek hotelu trącił nieco wyblakłą secesją. Izaak pchnął obrotowe drzwi i znalazł się w pustej portierni. W kącie umierał z pragnienia pożółkły filodendron. Wyłożone spłóviałym dywanem, szerokie schody prowadziły na półpiętro. Recepcja po prawej, oszklone drzwi restauracji po lewej stronie. Zerknął do wnętrza. Stoliki ustawiono wokół parkietu do tańca. Kartka na drzwiach obwieszcziała, że orkiestra gra w każdą sobotę, a pierwszy kieliszek wliczony jest w cenę kolacji. Znudzony kelner siedział twarzą do wejścia i dłubał w nosie. Izaak zwrócił się na prawo i postawił swój bagaż przy ladzie.

- Macie pokój na jedną noc?
- Tylko podwójny, bez łazienki, ubikacja na korytarzu.
- Nie ma pojedynczych?
- Powiedziałem podwójny bez łazienki, opłata z góry – powtórzył portier. Mierząc go wzrokiem od stóp do głów, wymienił cenę, która powinna wypłoszyć natręta, z całą pewnością nieśmierdzącego groszem. Zmyliły go nieogolone policzki gościa i wymięte ubranie. Gdy Izak zaczął odliczać banknoty, stosunek portiera zmienił się całkowicie:

– Pan to chyba z pociągu repatriantów? Gość w dom, Bóg w dom. Poproszę dowód osobisty.

– Jeszcze nic mam. Dopiero jutro pójde się zapisać. Ale mam zaświadczenie zwolnienia z obozu.

Portier obejrzał brązowy świstek z amerykańską pieczętą i włożył go do przegródki z kluczami.

– Zostanie tutaj. Rano oddam. Nie musi pan czekać. Przepiszą dane do książki meldunkowej. Przepisy, wie pan, jak to z milicją. Nie chce im się łapać złodziei, to chodzą po hotelach i kontrolują. Pan pewno zmęczony. Długa podróż?

– Bardzo długa.

Portier wręczył mu klucz przypięty do drewnianej gruszki. Liebman ważył jej ciężar w dłoni. Portier wyjaśnił z powagą:

– To żeby nie kradli. Ludzie biorą co popadnie, potrzebne im czy nie. Pokój numer dwadzieścia trzy. Jeden z najlepszych. Nie ma łazienki, ale jest umywalka. Restaurację otwierają o siódmej. A jeśli pan sobie zażyczy coś na zakąskę – portier znacząco stuknął się w szyję – to mogę przynieść z domu. Nawet francuski koniak. Serwis jak za dawnych czasów, a ceny przystępne... Nie? Nie ma przymusu, ale jakby pan zmienił zdanie, to bardzo proszę. Tyle że musi się pan pofatygować na dół, bo telefon nie działa.

Liebman podniósł walizkę i plecak i skierował się ku schodom.

– Winda akurat działa – zawołał za nim portier.

– Dziękuję, dam sobie radę. To przecież tylko jedno piętro.

Portier, odczekawszy minutę, ze zręcznością zawodowego szulera zgarnął banknoty z lady i wetknął je w kieszeń. Nawet nie przyszło mu do głowy wpisywanie gościa do książki meldunkowej. Hotel był państwowy, płaca marna, a napiwki żadne. Czynił tak za każdym razem, gdy trafiał się frajer, który nawet nie wiedział o istnieniu książki zażaleń. Portier z drugiej zmiany postępował tak samo. Przy kieliszku czystej ustalili, że w socjalizmie wszystko jest wspólne.

Rzecz jasna, trzeba było zachować ostrożność. Czasami, gdy pojawiał się inspektor od kasy, tłumaczyli, że gość jeszcze nic zapłacił, że zatrzymali dowód osobisty jako zabezpieczenie. A jeśli chodzi o zapis, to „właśnie w tej chwili zabierałem się do pisania”. Jak dotychczas, system funkcjonował bez zarzutu i nie widzieli żadnego powodu, aby w przyszłości było inaczej.

Izaak Liebman zzuł buty i wyciągnął się na łóżku. Wlepił oczy w sufit, ot tak, aby zaczepić o coś wzrok, potem przeciągnął spojrzeniem po umeblowaniu. Szafa z pękniętym lustrem w drzwiach, stół i dwa plecione krzesła wyglądały jak przypadkowo kupione na pchlim targu. Tylko łóżko z mosiężnym wezłowiem na pewno było nowe. Także materac robił wrażenie wygodnego, nie za miękkiego i nie za twardego. Na marmurowym blacie nocnego stolika stała lampka w białym abażurku. Umywalka na ścianie, nad nią jeszcze jedno lustro, także pęknięte. Z kurka kapała woda, ale nie chciało mu się wstać i zakręcić. Fala zmęczenia płynęła od stóp i rozlewała się po całym ciele. Nawet nie zauważył, kiedy przekroczył granicę jawy i snu. A sen miał dziwny: nieznaną postać odziana w szarą tunikę wyłoniła się znikąd, kościste ręce zacisnęły mu się na gardle. Może to nie ręce, może tylko niewidzialny strach. Liebman chce wstać, uciekać, ale nogi grzęzną w czymś, co może być bagnem, a może głębokim śniegiem, bo czuje przejmujące zimno. Tuż przed nim, niemal w zasięgu ręki, widnieje piaszczysty brzeg morza. Są tam ludzie, głośno o czymś rozprawiają, ale nie rozróżnia poszczególnych słów. Są blisko, a jednak daleko. Ogromnym wysiłkiem próbuje do nich dołączyć, ale każdy krok w grzęzawisku zdaje się go tylko oddalać. Potem wszystko pokrywa gęsty całun.

Liebman wynurza się ze świata niepojętych symboli i z trudem wraca do rzeczywistości. Nie budzi się nagle, lecz jakby etapami, każdy następny bardziej realny i dopiero gdy unosi ołowiane powieki, wciąż jeszcze nie wiedząc, gdzie jest, znów słyszy ludzkie głosy. Tym razem naprawdę. Przenikają przez ścianę, głosy mężczyzny i kobiety. Nie wie, która godzina, ale zapadł już mrok, długo trwa, nim oczy, przyzwyczajając się do ciemności, odkrywają kontury mebli. Po omacku, bezskutecznie szuka włącznika nocnej lampki. Mężczyzna za ścianą robi wrażenie zagniewanego, kobieta głupio chichocze. Po chwili milkną. Wszystko, co dobiega teraz z przyległego pokoju, to równomierne skrzypienie sprężyn materaca. Nie, nie chce tego słyszeć. Nakrywa głowę poduszką, ale nie może uciec przed niechcianymi dźwiękami. Nadal brzmia w uchu, choć są już tylko tworem fantazji. Izaak odrzuca poduszkę, odnajduje włącznik, blade światło przecieka przez płótno abażuru. Zerka na tarczę zegarka: druga po północy. Siada na skraju łóżka, gołe stopy dotykają chłodnej podłogi. Jest już całkowicie przytomny. Teraz, dla odmiany, podsłuchuje świadomie. Za ścianą cisza. Wymykająca się spod kontroli i żyjąca własnym życiem wyobraźnia maluje postać kobiety zza ściany tak realistycznie, jakby była osobą z krwi i kości. Widzi, jak się pierdoli. Tak, to było to właściwe określenie i nie potrafił go zagłuszyć, bo tętniło w nim równomiernie z tętnem pulsu. Nie była zgrabna, ale właśnie ten brak idealnej urody wydał mu się fascynujący. Nigdy nie podniecało go piękno absolutne. Ani Tamara, ani Lidia nie zasługiwały na tytuł miss świata. Ale kobieta zza ściany była wręcz brzydka. Z ud i pośladków pełnych jak na obrazach Rubensa łamała się nieproporcjonalnie chuda talia i piersi zwisające jak gruszki na cienkiej łądydze. Jedynie twarz nieznajomej pozostała niewidoczna i mimo wysiłku nie udało mu się wyobrazić jej rysów. Z krótkiego doświadczenia wiedział, że nic tak nie wyraża pożądania jak spojrzenie oczu kobiety. Nie mógł zrozumieć, dlaczego właśnie obraz niekształtnej ciała bez twarzy rozgrzał mu krew aż do wzwołu, ale z radością odkrył, że pożądanie nadal w nim tkwi, że nie zabiły go lata obozów koncentracyjnych.

Liebman wstał z łóżka, aby zakręcić kapiący kran. Przy okazji splukał twarz zimną wodą. Woda zalatywała chlorem. Nie błaznuj, stary ośle, powiedział do odbicia w lustrze, przeciągnął wierzchem dłoni po twardym zaroście, sięgnął po pędzel i mydło i nie spoczął, aż pośród białej maski widoczne były tylko ciemne oczy. Oczy cielęcia prowadzonego na rzeź, zwykła mawiać Tamara. Golił się długimi pociągnięciami brzytwy, zeszkrobując pianą mydlaną warstwę po warstwie. Gdy skończył, nadal nie był zadowolony ze swojego wyglądu.

Z sąsiedniego pokoju dobiegały teraz słowa sprzeczki. Potem w korytarzu zastukały szybko oddalające się kroki kobiety na wysokich obcasach. Wysokie obcasy zawsze wydają szczególny dźwięk. Bardzo krótko walczył z ciekawością. Wiedział, że za kilka sekund straci szansę porównania fantazji z rzeczywistością. Uchylił drzwi i z ukrycia odprowadzał wzrokiem postać dziewczyny niknącej w głębi hotelowego korytarza. Czuł, że jest coś symbolicznego w tym obrazie: długi korytarz kończący się nieoświetloną klatką schodową i nieznajoma rozplywająca się w ciemnościach. Mimo iż nie pojmował znaczenia tej chwili, wiedział, że powróci kiedyś, w decydującym momencie jego życia. Choć było to irracjonalne, czuł, iż musi zatrzymać tę dziewczynę, nim zniknie mu z oczu. To nie zmysły przemawiały, lecz podświadomość. Dopiero teraz dostrzegł, jak bardzo różniła się od jego wyobrażeń. Była bardzo młoda, miała długie szczupłe nogi, a obcisła różowa sukienka podkreślała smukłą sylwetkę. Poczwała chyba jego palący wzrok, bo przystanąła, odwróciła głowę i posłała mu zapraszający uśmiech. Była bardzo blada, kredka do ust, którą posmarowała się niestarannie, wyglądała z daleka jak plama krwi. Ich spojrzenia skrzyżowały się, jakby skracając długość korytarza. Odezwała się z lekką ironią:

– Jak się masz, Apollo dla ubogich?

Liebman nie odpowiedział. Zawstydzony, postanowił wycofać się w półmrok pokoju, gdy dodała:

– Chłopczyk nie może zasnąć?

– Już zapomniałem, kiedy byłem chłopcem – odparł i otworzył drzwi na oścież. Dziewczyna pojęła aluzję i podchodziła wolnym krokiem. Im była bliżej, tym lepiej widział jej twarz. W równym stopniu dziecięcą, jak i wulgarną. Nie ulegało wątpliwości, że zapraszał prostytutkę, która nie miała zamiaru ukrywać swojej profesji. Nigdy nie sądził, że tak się odbędzie jego prywatne, intymne spotkanie z ojczystym krajem.

Dziewczyna wyminęła go w drzwiach z prawdziwą lub udaną obojętnością. Zalaatywało od niej potem i tanią wodą kolońską. W pokoju od razu poczuła się jak u siebie w domu i niemym gestem wskazała, aby zamknął drzwi.

– Nie będziemy robić przedstawienia dla publiczności – zaśmiała się.

Był to ten sam chichot, który słyszał zza ściany. Rozsiadła się na łóżku, torebkę odłożyła daleko od siebie, jakby chciała dać do zrozumienia, że nigdzie się nie spieszy.

– Nie zapytałeś nawet, jak się nazywam – powiedziała zachęcająco.

Liebman przyjrzał się jej uważnie.

– Ile masz lat?

– Nie bój się – rzekła rozbawiona – jestem już pełnoletnia.

– Przepraszam. Nie miałem zamiaru urazić.

– Wiem. Chciałeś tylko wiedzieć, czego szuka młoda dziewczyna z dobrego domu w pokoju obcego faceta, w podłym hotelu, w zakichanym mieście, w zaszranym kraju. Mam ci powiedzieć, czy sam znasz odpowiedź?

– Spłuczę resztki mydła z twarzy – powiedział i podszedł do umywalki. Mówiła teraz do jego pleców:

– Repatriant, co?

– Skąd wiesz?

– Widać – stwierdziła i zaczęła rozpinać guziki sukienki. Odwrócił się w chwili, gdy przerzuciła ją przez głowę. Miała na sobie tylko stanik i podwiązki. Potem wyzwoliła stopy z nieco przyciasnych szpilek i ściągała nylonowe pończochy, uważając, by ich nie zdrzeć paznokciem. Nylonowe pończoszki były luksusem trudnym do zdobycia. Wszystko to robiła, nie przestając mówić ani na sekundę:

– Poznają was na pierwszy rzut oka. Wszystkie pociągi z Zachodu zatrzymują się na naszej stacji, wszyscy powracający zachowują się tak samo. Na ogół mężczyźni. Można pomyśleć, raj dla kobiet mojego zawodu. Ale tak naprawdę, to wszyscy jesteście inni. Dziwni.

– Co w nas takiego dziwnego?

– Nie wiem, co wam zrobili w obozach, bo większość zapomniała chyba, jak się zachować wobec kobiety. Na pozór wszystko w porządku, ale chyba wykastrowali was, albo coś. Może nie ciało, za to duszę na pewno. Jak przychodzi co do czego, jedyna rzecz, którą potrafia podnieść, to ręce.

Poddają się z góry. Mam trochę doświadczenia, wiem, jak należy potraktować klienta. Gdyby nie miejscowi, umarłabym chyba z głodu. Przyznam szczerze, czasami strach mnie ogarnia. Nie boję się tych, co wpadają w depresję, albo muszą się wypłakać. Nie boję się także tych, co mają węża w kieszeni i nie chcą płacić. Od tego mam portiera na dole, ten to wydusi forszę nawet z nieboszczyka. Boję się tylko tych, co wracają pełni nienawiści, gotowi tłuc każdego, kto się do nich zbliża. A najgorsi są chyba ci, co zamiast wyjechać babę jak należy, gadają, gadają i gadają, aż ci dziurę w głowie wywiercą. Też jesteś taki?

– Trzeba ich zrozumieć. Całe lata nie mieli do kogo ust otworzyć. Jesteśmy jak marynarze, którzy wracają z dalekiego rejsu. Całe lata słyszeli tylko krzyki i rozkazy. Potrafisz ich pojąć? Nie, na pewno nie potrafisz.

– Nie potrafię i nie chcę. Marynarze przywożą syfa. Mam nadzieję, że ty...

– Nie martw się, nie miałem okazji. Byli tacy, co dostawali obłądu, ale choroby weneryczne? Nie, takiego szczęścia nikt z nas nie miał.

- Nie chciałam obrazić.
- Nie obraziłaś. Mam skórę jak słoń.

Prostytutka pogładziła go po ramieniu.

– Jesteś gładki jak jedwab. Ale nie udawaj. Znam się na ludziach. Takich jak ty łatwo urazić. Ja także łatwo się obrażam. Nie myśl, że kumy nie są wrażliwe. My także mamy swoje słabości.

Liebman zastanawiał się, czy mówiła szczerze, czy była to tylko zawodowa gierka, mająca na celu otwarcie serca i kieszeni. Lecz dziewczyna nie dała mu czasu na rozważania. Zręcznym ruchem zrzuciła stanik i wsunęła się pod kołdrę.

- Przychodzisz, czy trzeba ci wysłać zaproszenie na piśmie?

Rozebrał się z wahaniem, skrępowany jej baczny spojrzeniem. Leżała nieruchomo, czekała na pierwszy krok. Ale Izaak nie spieszył się. Nie miał w sobie iskry pożądania, jej wychudzone ciało zgasiło ją ostatecznie. W głębi duszy był zadowolony, że przypadkowy stosunek z prostytutką nie wryje się we wspomnienie pierwszego spotkania po powrocie do domu. Nie bez kozery nie zapytał, jak się nazywa. Podświadomie wołał, aby pozostała kimś lub czymś bezimiennym.

- Nie musisz – szepnęła.
- Wiem.
- Tak to w naszym zawodzie. Nie masz żadnych zobowiązań.
- Oprócz zapłaty – powiedział pół żartem, pół serio.
- Pozwolisz mi przenocować? – zapytała niespodzianie.
- Dlaczego nie.

Leżał na wznak, przykryty po szyję. W pokoju panował półmrok, światło ulicznej latarni z trudem przedzierało się przez firankę. Na chwilę zapomniał, że nie jest sam.

- Nie śpisz?
- Nie – odparł niechętnie.
- Gniewasz się?
- Nie. Dlaczego miałbym się gniewać?
- Tak mi się wydawało. Chcesz mi coś opowiedzieć?

Może poczuje ulgę, pomyślał, jeśli zacznie mówić, jak to czynili poprzednicy, może nawet w tym samym łóżku. Wyrzuci z siebie chociaż część ukrytych lęków, a ona, obca i obojętna, zabierze je ze sobą i zniknie z nimi na zawsze. Istniały odczucia, których nie miał odwagi wyrazić, nawet gdy rozmawiał sam ze sobą. Leżały zagrzebane na samym dnie duszy, a myśl o tym, że straci nad nimi kontrolę, napawała go przerażeniem. Wiedział, że są tam zakodowane od wczesnego dzieciństwa i że musi się ich pozbyć, aby przegnać niechcianą przeszłość. Ale jak? Pomału, niemal niezauważalnie, odwrócił głowę w jej stronę: czy można się oczyścić w brudzie przypadkowo spotkanej prostytutki?

Instynktownie poczuła jego spojrzenie, dotarło do niej, że jest niechciana, i powiedziała usprawiedliwiająco:

– Mieszkam za miastem. Ostatni autobus odszedł przed północą. Nie mam jak wrócić do domu.

- Możesz zostać do rana. Ciekaw jestem, dlaczego nie zostałaś z tamtym?
- Słyszałaś?
- Ściany są jak papier.

– Towarzysz Frumkin. Wredny typ. Nawet nie Rosjanin, nasz, ale takie ma nazwisko. A może Żyd. Chcesz przydział na mieszkanie, towarzysz Frumkin jak zechce, to załatwi. Szukasz lepszej pracy, na przykład magazyniera na budowie, gdzie kradnie się cement i cegły, towarzysz Frumkin jak chce, to załatwi. Taką jak ja, jak chce, to każe zamknąć za uchylanie się od pracy. Spróbuj mu odmówić. Za prostytutkę nic mi nie może zrobić, może z niej tylko korzystać. Wiesz dlaczego? Bo w kodeksie karnym nie ma takiego zawodu. W

socjalizmie wszystkie kobiety są porządne. Od czasu do czasu łapie nas milicja i wysyła na wychowanie do pegeerów. To takie polskie sowchozy. Właśnie zaczęli je zakładać. Mamy tam doić krowy, plewić chwasty i wysłuchiwać bzdur o równouprawnieniu. Wiesz, co się tam naprawdę robi? Zamiast ubierać te ichnie kombinezony, spuszczaamy majtki i po miesiącu wracamy z zaświadczeniem wykonania obywatelskiego obowiązku. Jeszcze jesteś zielony, nie wiesz, jak się tu żyje. Czytasz slogany, nie masz pojęcia, co za nimi stoi. Frumkin mówi, że jak fakty nie potwierdzają ideologii, to do dupy z faktami. Frumkin się na tym zna. Ty wyglądasz na takiego, co to szybko kapuje, więc szybko się nauczysz. Bo jak nie, to po tobie. A Frumkin, jak Bóg da, to się w piekle spali. Albo, jeszcze lepiej, niech zgnije w więzieniu. Boże, jak ja nie cierpię tych wiecznie zadowolonych z siebie pyszałków.

Słowa lały się z ust potokiem. Liebman pomyślał, że nie tylko repatriantom, ale również młodej prostytutce potrzebne jest czyjeś ucho. Mówiła cicho, nawet Frumkina wspominała bez emocji, zdawać się mogło, że powtarzała ten sam tekst po raz setny. Nie wysłuchał jej do końca. Nawet nie poczuł, kiedy zmorzył go sen i świat zewnętrzny przestał dla niego istnieć.

Gdy otworzył oczy, był już sam w łóżku. Nie słyszał, kiedy i jak wymknęła się z pokoju. Przestraszył się. Ale nie, nie ukradła niczego. Portfel leżał, tak jak go zostawił, na blacie nocnego stolika. Nic nie brakowało. Pieniądze otrzymane na drogę, kartki z adresami osób, którym miał oddać pozdrowienia od tych, co woleli pobyt w obozach dla uchodźców w Niemczech niż powrót do komunistycznej ojczyzny – wszystko zostało nienaruszone. Zaświadczenie zwolnienia z Mauthausen zostawił na portierni, ale dowód, wydany przez agencję ONZ był jedynym dokumentem z fotografią. Marne zdjęcie. Liebman z trudem poznawał samego siebie. Wyglądał na nim jak z krzyża zdjęty. Brązowy, blady i wychudzony. Ostrożnie odgiął zszywki, wygładził rogi fotografii i położył ją na szklanej półce nad zlewem. Potem starannie zebrał wszystkie posiadane papierki, świadectwo zdrowia ze szpitala w Linzu, gdzie komisja lekarska badała byłych więźniów, kartki z notesu, na których zapisywał osobiste wrażenia, położył receptę z nazwiskiem – i pomału, skrupulatnie, jak gdyby wykonując jakąś niezwykle ważną pracę, podarł je na strzępy. Skrawki zmiął w zaciśniętej dłoni, ważył je przez chwilę, tak jak się waży coś nad wyraz cennego, po czym jednym nagłym ruchem cisnął je do zlewu i podpalił. Patrząc, jak pomału zamieniały się w zwęglone listki, nie zauważył nawet, że zapalka poparzyła mu palce. Odczekał, aż wszystkie zamienią się w popiół, i odkręcił kran. Strumień wody spłukał je w otwór zlewu. Bezszelestnie spłynęły do rur miejskiej kanalizacji. Tak chciałem, wymamrotałem, zakręciłem kurek i podszedłem do okna. Za dawno niemytymi szybami rozpościerał się szary widok dachów i kominów.

Nigdy nie potrafił określić momentu, w którym postanowił zniweczyć przeszłość. Spalić ją. Wiedział tylko, że decyzja ta tkwiła w nim od dawna. Była jak bakcyl, który potrzebował czasu, aby zainfekować. Być może podjął ją w pociągu, siedząc tyłem do kierunku jazdy i ściskając kolanami plecak Rudolfa Nowaka. Ale juchtowy plecak był tylko katalizatorem. Powody narastały pomału i od dawna. Żydowskie pochodzenie ciążyło mu zawsze, nie zawierało niczego prócz udręki. Było jak kamień młyński. Nie pozwalało rozwinąć skrzydeł, cieszyć się życiem.

Nie musiał wypierać się prawdziwej tożsamości, bo przecież nigdy nie nasiąkł poczuciem przynależenia. Ku zgorszeniu ojca i matki, nie wyniósł go z rodzicielskiego domu. Zamknął się w skorupie obcości znacznie wcześniej, nim dojrzał, aby pojąć tego powody. Może stało się to wówczas, gdy urzędnik firmy budowlanej, przeglądając świadectwa z lwowskiej Politechniki, powiedział z przekąsem: „Tak, wy Żydzi zawsze mieliście dobre stopnie”. Miesiąc później zawiadomiono go, że nie ma wolnych miejsc pracy. Może nastąpiło to znacznie wcześniej, w Chełmie Lubelskim, gdy ojciec zmuszał go do noszenia jarmużki, a

kolega szkolny, Wojtek Rydz, zrzucił mu ją z głowy, okładając pięściami. A może ziarno goryczy zasiała Zofia?

Zoskę poznał na studiach. Nie była to wielka miłość, raczej młodzieńczy romans, tak dalece bez znaczenia, że nie potrafił odtworzyć rysów jej twarzy. Zosia była jedynaczką, córką zamożnego adwokata, szczytującego się szlacheckim pochodzeniem. Imponował mu związek z taką właśnie dziewczyną. Było w nim coś nieprzyzwoicie pociągającego. Już w drugim tygodniu znajomości zaproponowała mu wspólny weekend w górach. Góry były wspaniałe, zbocza wyścielały grube, zielone kobierce pastwisk. Kochali się i zbierali kwiaty. Zbierali kwiaty i kochali się. W powietrzu wisiała cisza, burza szalała w sercach. Przez chwilę wydawało mu się, że odkrył namiętność swego życia. Nurzał się w niej jak w morzu pełnym cennych koralu. W niedzielę wieczorem ucałowała go w policzek i powiedziała: „Wróćmy do miasta osobno. Ktoś mógłby nas zobaczyć i donieść ojcu. Mam bardzo tolerancyjnych rodziców, ale w naszych sferach awantura miłosna z żydowskim chłopcem pachnie niewybaczalnym skandalem. Mam nadzieję, że nie pogniewasz się, że zrozumiesz”. Liebman zrozumiał. Do miasta wrócił pierwszym porannym pociągiem. Wkrótce wykreślił ją z pamięci. Ale skoro rzeczywiście nie przywiązywał do zdarzenia większej wagi, nie obraził się i nic czuł zawodu, to dlaczego przypomniał sobie Zosię właśnie teraz, w pokoju numer 23 hotelu Pod Poczta, pochylony nad zlewem, w którym spłonęły resztki jego przeszłości? Nie miał odpowiedzi na to pytanie. Tylko jedna rzecz była jasna i wyraźna: wszystko, co było, musi zostać zmasane tak dokładnie, aby żadna siła na świecie nie mogła tego odtworzyć.

Liebman sięgnął po fotografię i przyczepił ją do dowodu osobistego Rudolfa Nowaka. Zszywki i pieczętki pasowały jak ulał. Dokument był stary i wymięty, fałszerstwo łatwiejsze niż przypuszczał. Po raz pierwszy zadowolony, uśmiechnął się do odbicia w lustrze:

– Proszę przyjąć szczere kondolencje z powodu przedwczesnej śmierci Izaaka Liebmana. Jego doczesne szczątki pochowane zostały anonimowo w czeluściach miejskiej kanalizacji. Witam pana, szanowny panie Nowak, na drodze do nowego, wspaniałego życia.

Izaak włożył do portfela nowy dokument tożsamości i parsknął szczerym, wyzwalającym śmiechem.

Trwało nie więcej niż kwadrans i już był ubrany, w drodze do restauracji. Nie jadł niczego od wczorajszej kanapki na dworcu. Było wpół do dziewiątej, gdy usiadł przy stoliku nakrytym poplamionym obrusem. Kelner przykrył czerwone klekсы papierową serwetką i wyjaśnił, że „wczoraj wieczorem było wesoło, wylało się trochę taty z mamą”. Tata z mamą, dowiedział się później, to modny trunek, pół na pół spirytus z sokiem malinowym. Kawy oczywiście nie było, tylko zbożowa namiastka. Kelner poradził mu zamówić herbatę, bo prawdziwa, importowana z Chin.

– Niech będzie herbata – zgodził się.

– Na wieczór mogę zorganizować kawę – zaproponował kelner, mrugając znacząco okiem. – Znam kogoś z czarnego rynku. Ma wszystko, czego dusza zapagnie.

– Wieczorem już mnie tu nie będzie.

– Rozumiem. Pan do Warszawy.

– Nie mam pojęcia. W każdym razie, daleko stąd.

– Wszyscy repatrianci zasuwać do Warszawy. Wiadomo, stolica. Słyszałem, że takim jak wy przydzielają tam mieszkania. Za darmo. Nam dają tylko prawo kupić cegielkę na odbudowę. Też kupiłem. Spróbowałbym odmówić. Herbatę, powiedział pan?

Liebman przytaknął. Kelner zapisał zamówienie w notesie z kalką.

– Wszystko musi być na piśmie – wyjaśnił. Po chwili przyniósł szklanekę letniej herbaty i koszyk czerstwego pieczywa. – Przykro mi, ale masło wyszło – oznajmił.

– Mam nadzieję, że szybko wróci – zauważył z ironią Liebman, lecz kelner nie złapał dowcipu. Był niskiego wzrostu, tęgi, uszy miał odstające jak nietoperz i wciąż jeszcze stał przy stoliku.

– Coś jeszcze? – zapytał po chwili, wskazując kciukiem na sąsiedni stolik, gdzie czterech gości rozlewało do kieliszków wódkę.

– Nie, dziękuję – mruknął Liebman i wgrzył się w suchy chleb. Głodny był jak pies. Po śniadaniu zostawił kilka złotych na spodku od herbaty, pamiętał, jak wczoraj portier uzalał się na brak napiwków. Gdy gość poszedł do pokoju po bagaż, kelner przeliczył je skrzętnie, kiwając głową, nie wiadomo, z zadowolenia czy rozczarowania. Za ladą w portierni siedział ktoś z porannej zmiany. Liebman minął go obojętnie, zapominając o papierku z Mauthausen.

Przed hotelem stała taksówka, także przedwojenny klekot, ale na dworzec dowłokła się bez awarii. Bielski, jak zwykle, miał rację. Zaledwie dziesięć osób stało w kolejce do Urzędu Repatriacyjnego. Urzędnik w grubych okularach, z łupieżem na kołnierzu marynarki, wypełniał całą przestrzeń okienka dla petentów.

– Gdzie byliście wczoraj? – burknął niechętnie. Gdyby nie maruderzy, miałyby czas na pogaduszki z kolegami.

– Nie chciało mi się pchać. Nigdzie się nie spieszę.

– Mądrała – warknął urzędnik, kładąc na pulpicie okienka blankiet formularza. – Imię i nazwisko?

Odpowiedź padła szybko i bez wahania:

– Rudolf Nowak.

– Imię ojca?

– Karol.

– Imię matki?

Nie był przygotowany na to pytanie. Karola wyrzucił z siebie bez zająknięcia, bo przypomniał sobie Bielskiego. Ale mama? Przecież nie powie Sara-Jochewed. W żadnym z papierów Nowaka nie figurowało imię matki. Za chwilę na pewno trzeba będzie podać także jej panięskie nazwisko. Do cholery, źle się przygotował do tego spotkania.

– Jak Boga kocham, widziałem już takich, co nie znali ojca. Ale matki? – obruszył się coraz wyraźniej zniecierpliwiony urzędnik. Liebman przypomniał sobie nagle dedykację na fotografii.

– Regina – wyrzucił z siebie i odetchnął.

– Zawód?

– Inżynier maszyn.

– Stan cywilny. Żonaty? Dzieci?

– Wolny.

– Szczęściarz – powiedział urzędnik i spojrzał na petenta trochę życzliwiej. Teraz pytania i odpowiedzi szły jak po maśle: przynależność partyjna – żadna; organizacje podziemne – żadne; ordery i odznaczenia, krajowe lub zagraniczne – żadne; służba wojskowa – żadna; kluby sportowe – żadne; przeszłość kryminalna – żadna.... Liebman odpowiadał szybko, cała ta indagacja zaczynała mu się podobać. Budował z niczego przeszłość osoby obcej, a jednak bliskiej. Aż padło pytanie, które przerwało ten zabawny łańcuch:

– Ostatnie miejsce zamieszkania?

– Obóz Mauthausen, barak dwadzieścia dwa.

– Bez głupich żartów.

– To nie żart, to przeszłość.

– Niech już będzie – zgodził się urzędnik, wpisał dane do formularza i kazał go podpisać.

– Jedna kopia dla was, proszę me zgubić, będzie potrzebna. Należy się wam także darniowy bilet kolejowy, trzecia klasa, miejsce przeznaczenia dowolne. Pewnie do Warszawy?

– Słyszę to po raz wtóry. Dlaczego?

– Ludzi ciągnie do światła. Jak ćmy. Większość i tak się tam spali. Po co im szukać szczęścia wśród obcych. Człowiek ma siedzieć na dupie, wśród swoich. Weźcie na przykład mnie. Tutaj się urodziłem i tutaj mnie pochowają. Na tym samym cmentarzu, co ojca i matkę, obok dziadków... No więc dokąd?

– Sam nie wiem. Gdzieś, gdzie jest nadzieja.

– Nadzieja? Na co?

– Na nowe życie.

– O, mamy tu filozofa – uśmiechnął się lekceważąco urzędnik.

– Już powiedziałem: jestem inżynierem.

– Widzieliśmy tu inżynierów, co nie skończyli szkoły powszechnej.

– Mam papiery.

– Wszyscy mają papiery. Fałszywki. Nie myślcie, że te formularze to jakaś makulatura. Wszystkie idą do kontroli, czytane są przez szkło powiększające. Tyle że to już nie moja sprawa. Każdy robi swoje, taki jest porządek świata. Jeśli macie czyste sumienie, to nie ma powodu do obawy. Niech sobie czytają... Powiedzieliście: inżynier?

– Inżynier.

– Poczekajcie, mam coś w kartotece. – Urzędnik poszperał w kartonowym pudle. – Jak uszył dla kogoś, kto naprawdę szuka roboty. Zakłady obróbki metali. Nie mam pojęcia, co to takiego, ale...

– Ja wiem.

– Niedaleko, koło Wrocławia. Blisko do teatru, do opery, do wszystkiego. Pisać skierowanie?

– Pisać.

Urzędnik rozjaśnił się.

– Mądre podejście. Wszyscy inni wynajdywali milion wykrętów. Ludzie myślą, że urzędnik państwowy nigdy człowiekowi nie pomoże, tylko zaszkodzi... Dwa zdjęcia proszę. Nie macie? Za rogiem jest fotograf, zrobi w ciągu godziny. Nie będziecie wyglądali jak Rudolf Valentino, ale jak na Rudolfa Nowaka wystarczy. Tymczasem wypiszę dowód osobisty i wszystkie inne papiery. Musicie wrócić do dwunastej trzydzieści, potem zamykam.

– Gwarantuję, że wróci na czas. Znam go. Pan Nowak nigdy się nie spóźnia.

Liebman natychmiast poznał głos Bielskiego. Nie ulegało wątpliwości, że od dłuższej chwili stał za nim i słyszał każde słowo rozmowy. Jak zawsze, papieros tkwił mu w kącie ust. Zakłopotany, powiedział z udaną radością:

– To pan?

– Tak, to ja – odparł Bielski. – Teraz ja powinienem zapytać, czy pan to pan?

Urzędnik wybawił Liebmana z kłopotliwej sytuacji.

– Panowie, tu nie klub dżentelmenów – zawołał. – Ludzie czekają w kolejce. Poszukajcie sobie innego miejsca na fajkę.

Bielski wziął Liebmana pod ramię, rzucił urzędnikowi „Już idziemy, stary zrzędo” i pociągnął go na ulicę. Kilka minut szli milcząco, dopiero przed wejściem do zakładu fotograficznego Bielski wypluł niedopałek i powiedział obojętnie:

– Nie przejmuj się. Nie mam zwyczaju włączyć kaloszami w cudze życie.

– Mogę wytłumaczyć...

– Nie tłumacz, bo się zapłaczesz. Nie chcę słuchać spowiedzi, prokuratorem także nie jestem. Zdarza się, że człowiek chce się pozbyć śmierdzącego ogona. Więc tnij, i niech ci będzie na zdrowie. Niczego nie widziałem, nic nie słyszałem. A ty, ze swojej strony, zapomnij tę historię z pociągu.

– Już zapomniałem.

– Interes ubity. Na wszelki wypadek zapisałem na pudełku od papierosów adres siostry. Ona zawsze wie, gdzie mnie znaleźć.

I jeszcze nim Izaak zdążył odczytać nabazgrane ołówkiem kulfony, Bielski był już po drugiej stronie jezdnii. Liebman pomachał mu na pożegnanie, ale dziwny znajomy nawet się nie odwrócił, i otwarta dłoń Izaaka zawisała w powietrzu.

Dokumenty wystawione przez PUR świadczyły, że Rudolf Nowak, syn Karola i Reginy, urodzony 5 września 1910 w Chełmie Lubelskim, z zawodu inżynier maszyn, wrócił do kraju dnia takiego a takiego, i że wszystkie władze państwowe i samorządowe proszone są o udzielenie mu niezbędnej pomocy. Przeglądał te papiery raz po raz. Miał wrażenie, że nic lepszego nie mogło mu się w życiu zdarzyć.

Osobowy do Wrocławia przez Katowice, Opole i Brzeg odchodził o ósmej wieczorem. Miał mnóstwo czasu do zabicia. Za żadne skarby nie chciał wracać do hotelu. Myśl o obskurnej restauracji przyprawiała go o mdłości. A klucz od pokoju oddał przy wyjściu. Pozostał miejski park, pełen trawników i kolorowych klombów. Wypielęgnowany zielony intruz w szarzyźnie miasta. Bagaż zostawił w dworcowej przechowalni, w pobliskim kiosku kupił gazetę i rozsiadł się na ławce, w cieniu rozłożystego kasztana. Obojętnie i ze znużeniem czytał o przodownikach pracy, których nazwisk nigdy przedtem nie słyszał, i osiągnięciach w zakładaniu spółdzielni spożywczych. Był też artykuł wstępny o przodującej roli partii w odbudowie kraju. Sztampowy język, treść jak pigułka nasenna. Nigdy nie zetknął się z prasą w tym stylu i dziwił się, kto i dla kogo to wszystko pisze. Gazeta niemal sama opadła mu na kolana, wzrok powędrował ku koronie drzewa. Pamięć przywołała kwiaty, które jak małe różowe choinki zdobiły kasztanową aleję blisko rodzicielskiego domu. Jako dziecko czekał, aż zwiędną, aby pod koniec września wyłuskiwać z kolczastej łupiny śliskie brązowe owoce. W klasie można je było zamienić na znaczki z Porto Rico, albo na obrazki do albumu wielkich artystów filmowych. Zwykł je przechowywać do późnej jesieni, gdy wartość kasztanów wzrastała równomiernie ze zmniejszoną podażą. Ojciec przepowiadał mu wielką karierę kupca, matka nakazywała „wyrzucić to świństwo z szuflady”. Tak się to powtarzało co roku, aż przestał emocjonować się kasztanami i znaczków też już nie zbierał. Teraz, na ławce w parku, pomyślał, że znamionowało to chyba koniec dzieciństwa.

Młoda matka z niemowlakiem w wózku zbliżała się ścieżką między trawnikami. Za rękę prowadziła chłopczyka, miał trzy, może cztery latka. Dziecko było ładne, o niebieskich oczach i złotej, wiatrem rozwianej czuprynce. Liebman spojrzał na nich najpierw obojętnie, potem z wyraźną odrazą. Te dzieci przyszły na świat, kiedy ludzie umierali w obozie, a kobieta uprawiała miłość, gdy on nie mógł zasnąć na obozowej pryczy, marząc o kromce chleba. Sam się sobie dziwił, że tak na to patrzy, egoistycznie i chyba niesłusznie, ale nie mógł tych myśli przepędzić. Wstał, gazetę wrzucił do kosza na śmieci, zawsze był uporządkowany, i wolnym krokiem ruszył w kierunku dworca. Z końca ścieżki raz jeszcze spojrzał na matkę z dziećmi, tym razem już bez zawiści.

W kolejowym bufecie sprzedawano piwo z beczki, zamówił jedno małe, wypił tylko pół kufła, więcej piany niż piwa, nie był przyzwyczajony, bał się, że zaśnie, że go okradną. Usiadł pod ścianą i niczym zahipnotyzowany obserwował wskazówki ściennego zegara. Jak na jego cierpliwość, posuwały się zbyt pomalą.

– Ciekaw jestem, dlaczego wszystkie dworcowe zegary mają białe tarcze i rzymskie cyfry godzin – powiedział, nie zdając sobie sprawy, że mówi głośno. Siedzący obok mężczyzna z wiklinowym koszem nie pojął sensu uwagi.

– Ma pan na myśli spóźnienie? – spytał. – Zapowiedzieli sto dwadzieścia minut.

– Ja się spóźniam o pięć lat – odrzekł Liebman.

Tym razem sąsiad zrozumiał. Widocznie nie chciał, by przypadkowa rozmowa zgasała przedwcześnie, nuda bowiem jest najgorszym wrogiem czasu, zaczął więc obszernie wyjaśniać, że spóźnienie działa na ich korzyść, bo gdyby ruszyli zgodnie z rozkładem jazdy, pociąg przyjechałby do Wrocławia o trzeciej nad ranem, „gdy nawet pies z kulawą nogą nie powiedziałby nam dzień dobry”.

Liebman przeciął rozmowę trochę szorstkim: „Nie jestem wielkim amatorem psów” i wyszedł na peron. Wiał przyjemny, orzeźwiający wiaterek. Po południu zdjęto transparenty i flagi, megafony miały odpoczynek aż do następnego transportu repatriantów.

Pociąg zatrzymywał się na każdej stacji, nawet gdy nie czekał żaden pasażer, jakby od czasu do czasu musiał zaczerpnąć oddechu podczas nużącej podróży. Liebman próbował się zdrzemnąć, także jemu potrzebne były siły na dzień jutrzejszy, ale kłębiące się myśli nie dawały zmrużyć oka. Próbował oswoić ziemię, na której miał żyć w najbliższej przyszłości, lecz za oknami wagonu było kompletnie ciemno. Wczesnym rankiem pierzasta mgła rozpełzła się aż po widnokrąg i dopiero po szóstej pomału zaczęła się unosić. Ktoś powiedział, że mgła idąca w górę zawsze zapowiada dobrą pogodę. Miał rację. Gdy pociąg wtoczył się na wrocławski dworzec, słońce zagrało promieniami w szklanym, kopulastym dachu nad peronami. Ludzie wysypali się z wagonów prosto do podziemnych przejść pod torami. Dworzec był imponująco duży. W przeciwieństwie do większości dzielnic miasta, ostał się niszczeniom. Jeszcze w przedziale chętni rozmówcy nie omieszkali mu wyjaśnić, że największych szkód dokonali Rosjanie, którzy z wściekłością rannego zwierza palili domy i demolowali fabryki, z których uprzednio wywozili w pośpiechu co cenniejsze maszyny. Reszty spustoszenia dopełnili szabrownicy.

Liebman dał nura w strumień ludzki przeciskający się przez stanowisko kontrolera, który sprawdzał i odbierał bilety, i wypłynął z dworcowego gmachu prosto w szeroką rzekę ulicy. Ludzie dźwigali toboły i ciężkie walizy, popychali się wzajemnie i bezwzględnie walczyli o miejsce w przepełnionych tramwajach. Niektórzy musieli zadowolić się postawieniem jednej nogi na stopniach, drugą wisząc w powietrzu. Dzieci czepiały się buforów. Izaak przerzucił plecak przez ramię, jego walizka była lekka, z trudem pięć kilogramów, i stojąc na skraju chodnika, długo obserwował ten rozgardiasz. Nie wiedział, dokąd pójść, w kieszeni miał skierowanie do pracy, które dawało trochę pewności siebie, ale rzecz jasna nie mogło zapewnić dachu nad głową. Wprawdzie zostało mu trochę grosza, ale po doświadczeniu Pod Poczta, nocleg w hotelu nie wydawał mu się najlepszym rozwiązaniem.

Z drugiej strony ulicy, naprzeciw dworca, wabił szyld restauracji „Polonia”. Mimo wczesnej godziny podawano tam godziwe śniadanie, zwane klubowym, jajecznica z dwóch jaj i świeży chleb z masłem i dżemem. Na wieszaku wisiały wpięte w drewniane uchwyty gazety. Wziął pierwszą z brzegu, przerzucił strony pełne znanych mu już nagłówek i zagłębił się w dziale drobnych ogłoszeń. Najobszerniejsze były kolumny poszukiwania krewnych. Kobiety dopytywały o los synów i mężów, prosiły o informację, czy ktoś widział, ktoś słyszał, ktoś coś wic. Rozpaczliwe zawołania drukowano małą czcionką i oszczędnie w słowa, bo każdy wiersz tekstu kosztuje. Dla tych, którzy zamieszczali je na łamach gazet, druga wojna światowa jeszcze się nie skończyła.

Znad jajecznic i gazety Liebman obserwował klientelę restauracji. Kelnerka uwijała się jak w ukropie, nalewała do kieliszków, zbierała brudne talerze i jeszcze miała czas na krótkie rozmowy. Wydawało się, że zna niemal wszystkich, do licznych zwracała się po imieniu. On jeden był tu obcy. Nie wyróżniał się niczym szczególnym, mimo to czuł, jak niewiele ma z nimi wspólnego. To nie on, to oni byli obcy. Nieproszona przebiegła mu przez głowę szaleńcza myśl: zapytać o adres gminy żydowskiej. Przepędził ją natychmiast jak natrętą muchę. Nie, nie ma powrotu do tego, co z takim trudem zostało przekreślone. Poprosił o rachunek. Odkładając gazetę, zawiesił oko na nieco większym anonsie. Tekst w ramce informował, że Maria Kot z ulicy Parkowej 19 wynajmie kulturalnemu panu pokój z używalnością łazienki. Skrzętnie zapisał adres na tym samym pudełku papierosów, które dał mu Karol Bielski.

W niespełną godzinę był na miejscu. Zapukał, bo dzwonek nie działał. Otworzyła kobieta w jedwabnej podomce, usprawiedliwiła się wczesną godziną i nie czekając na pytanie, zagadnęła:

– Pan zapewne w sprawie ogłoszenia.

– Tak – potwierdził. Gdy spojrzała nań taksującym wzrokiem, dodał: – Prosto z pociągu. Nie miałem czasu na prasowanie ubrania.

– Sama widzę. Proszę, niech pan wejdzie.

Od pierwszej chwili poczuł, że mu się tutaj spodoba. To nie była kamienica, raczej duża poniemiecka willa, zaniedbana z zewnątrz, wewnątrz dobrze utrzymana. Przedpokój Marii Kot, na drugim piętrze, przypomniał mu mieszkania znane sprzed wojny.

– Bagaż proszę położyć tutaj. Nikt go nie ruszy.

Zaprosiła go do salonu i wskazała fotel. Usiadł, wyciągnął zmęczone nogi, pomyślał, że to chyba nieelegancko, i szybko je podkurczył. Dopiero teraz zauważył, jak bardzo zakurzone ma buty. Skwitowała to miłym uśmiechem. Na kredensie, sąsiadując z brązową statuetką kobiety z epoki art nouveau, tańczyły porcelanowe baletnice Rosenthala. Stare meble emanowały atmosferą zasiedziałego mieszczaństwa. Pani domu chciała wiedzieć, czy stać go na nieco wygórowany czynsz, czy pali, czy pije, czy jest kawalerem. Dopiero gdy zadowolili ją wszystkie odpowiedzi, otworzyła drzwi do sąsiedniego pokoju.

– Mam nadzieję, że się panu spodoba.

Podobał się. Z okna padało letnie światło, łóżko było szerokie, świeżo pościelone, nakryte ciężką kapą, pod ścianą obszerna szafa, nie miał dosyć odzieży, aby ją wypełnić, nawet ratanowy bujak, jak w domu dziadka Dawida. Wszystko w jego guście, oprócz oprawionej w złotą ramę Matki Boskiej, zawieszanej nad wezgłowiem.

– Co pan powie?

– Bardzo mi odpowiada.

Wyciągnęła do niego rękę.

– Może pan zamieszkać od dzisiaj, panie...

– Przepraszam. Zapomniałem się przedstawić: Rudolf Nowak. Inżynier. Jeśli sprawy ułożą się jak trzeba, wkrótce zacznę pracować.

– Słyszałam, że w Uniwersalu szukają inżynierów. Także w Pafawagu.

– Jest pani dobrze poinformowana.

– Prowincja. Wie się wszystko. Wróćmy do salonu?

– Chętnie.

– Wejście do łazienki jest z przedpokoju. Szczotkę i pastę do butów znajdzie pan na kuchennym balkonie... To będzie pański fotel. Nigdy w nim nie siadam.

Usiedli twarzą w twarz, dzielił ich stół jadalny. Maria Kot ciągnęła:

– Nie jest przyjęte, aby samotna kobieta wynajmowała pokój samotnemu mężczyźnie. Niestety, nie radzę sobie bez dodatkowego dochodu, a przyznam szczerze, że nie ścierpiałabym w domu jeszcze jednej kobiety. Z wami łatwiej się dogadać. Proszę tylko o utrzymywanie porządku. W tych sprawach jestem bardzo nietolerancyjna. No i nie będzie pan mógł sprowadzać gości. W każdym razie, nie nocną porą, mam nadzieję, że pan mnie rozumie. To jest porządny dom.

– W innym nie chciałbym mieszkać.

Twarz Marii Kot rozjaśniła się.

– Jestem przekonana, że dokonałam właściwego wyboru. Intuicja.

– Mam nadzieję, że pani nie zawiedzie – zażartował.

– Teraz czas na filiżankę kawy, co pan na to? Ja nie mogę, nie wolno mi kofeiny. Truję się mocną herbatą.

Kawa była aromatyczna. Także herbata miała zapach dawnych dobrych czasów. Liebman pił małymi łykami z cienkiej porcelanowej filiżanki, trochę skonfundowany baczny

spojrzeniem kobiety, jakby oceniającym jego maniery. Nim skończył, właścicielka mieszkania przeprosiła i wyszła, aby zaraz wrócić z tacką małych kanapek.

– Przecież nie pójdzie pan do miasta z pustym żołądkiem – matkowała żartobliwie. Teraz on odplacił jej uważnym spojrzeniem. Była starsza od niego, ale na pewno nie w wieku matki. Elegancka, chyba czterdziestoletnia, niewątpliwie zadbana kobieta. Włosy miała zebrane w koński ogon, oczy promieniujące żywotnością. Ten szybki, lecz mówiący sam za siebie przegląd nie uszedł uwagi pani Kot. Liebman poczuł, że się czerwieni. Po raz ostatni zdarzyło mu się to w dzieciństwie, gdy mama przyłapała go na kłamstwie.

Nim wyszedł, przypomniała mu o obowiązku meldunku, „bo nie chce mieć kłopotów z milicją”. Objasniła też, jak dojechać tramwajem do Uniwersalu. Przed południem tramwaj był pustawy, usiadł więc przy oknie i przyglądał się miastu. Jazda trwała dwadzieścia minut przez ulice pełne zgliszcz i ruin, w niektórych mimo wszystko mieszkali ludzie.

Uniwersal był wielkim kombinatem, z oddziałem w pobliskim Jelczu. Kiedyś produkował wagony, walce drogowe i ciężki sprzęt maszynowy, wszystko według niemieckich patentów, większość na eksport. W pierwszych tygodniach po wkroczeniu Armii Czerwonej Rosjanie rozmontowali część maszyn, ale z niewiadomej przyczyny nie zdążyli ich wywieźć w głąb Związku Radzieckiego. Platformy załadowane reparaacjami wojennymi, jak wówczas nazywano tę grabież, zostały na bocznicy Psie Pole. Gdy Liebman pojawił się na terenie zakładów, właśnie zwożono je z powrotem. Należało wątpić, czy uratują fabrykę. Zagraniczni odbiorcy pozostali za żelazną kurtyną, a władze bezpieczeństwa, wbrew protestom nowo utworzonej Wrocławskiej Dyrekcji Odbudowy, przegnały z miasta nawet tych Niemców, bez których przemysł dosłownie leżał na łopatkach. Niemiecki zespół techniczny Uniwersalu zabrał ze sobą, w bydłowych wagonach, nie tylko cenną dokumentację techniczną, ale przede wszystkim to, co mieli w głowie: wiedzę. Miejskowa prasa piała hymny na cześć polskich robotników, ale w tymczasowej siedzibie Komitetu Wojewódzkiego PPR na Wałach Świdnickich wiedziano, że prawda wygląda całkiem inaczej. Uniwersal produkował buble. Półgębkiem bąkano, że warunki pracy są szkodliwe dla zdrowia, ale pojęcie ochrony środowiska nie było jeszcze znane, a oficjalne przepisy BHP stanowiły weksel bez pokrycia. Mimo to chętnych do pracy nie brakło. W zakładowej stołówce podawano za darmo względnie przyzwoity obiad, a wyróżniający się przodownicy otrzymywali przydziały na mieszkania. Na końcu alei Powstańców Śląskich, w dzielnicy Krietern, teraz już Krzyki, wkrótce miało powstać osiedle mieszkaniowe dla zatrudnionych w przemyśle ciężkim. Nigdy nie powstało.

Wszystkich tych szczegółów dowiedział się od sekretarki dyrektora naczelnego, która uprzejmie oferowała mu krzesło, aby mógł poczekać na szefa. Liebman przyszedł niezapowiedziany, w mieszkaniu pani Kot nie było telefonu, więc nie mógł umówić się na rozmowę.

– Byli tu przed wami różni kandydaci, nawet dyplomowani inżynierowie, ale żaden nie zagrzał miejsca dłużej niż tydzień – uświadamiała go sekretarka. Niepytana, sypała informacjami jak z rękawa. – Dyrektor to świetny fachowiec, ale człowiek niełatwy. Nazywa się Aleksander Krzysiak i...

– Wiem. Mam to zapisane w skierowaniu.

Sekretarka nie dała sobie przerwać:

...i pochodzi ze Szwecji. Znajomi wciąż jeszcze nazywają go Olaf. Urodził się tutaj, ale pradziadowie osiedli w Polce jeszcze w siedemnastym wieku. Może nawet oblegali Jasną Górę – zażartowała. – On tego nie lubi, ale za plecami nazywamy go Szwedem. Nie tyle ze względu na pochodzenie, ile raczej dlatego, że zawsze jest chłodny, bezosobowy i nie widzi niczego poza pracą.

Sekretarka uśmiechnęła się znacząco, dając do zrozumienia, że skoro nie zainteresował się nawet nią, to na pewno jest zimny jak ryba.

– Towarzysz Nowak?

Dyrektor stał w progu. Nie słyszeli otwarcia drzwi i nie wiedzieli, czy nie usłyszał części monologu.

– Przykro mi, że musieliście czekać – oznajmił bez nuty usprawiedliwienia i zaprosił go do gabinetu. Umieblowany był spartańsko, największy mebel stanowiła ogromna żelazna szafa. Z portretu na ścianie za biurkiem patrzył na nich Bolesław Bierut. Krzysiak wskazał gościowi krzesło.

– Proponuję przystąpić od razu do sprawy. Rita powiedziała mi, Rita to moja sekretarka, że macie skierowanie z Urzędu Repatriacyjnego. Mogę zobaczyć?

Liebman podał mu dokument. Dyrektor położył go na blacie biurka, nie zadając sobie trudu przejrzenia treści.

– U nas praca to nie tylko posada. Jesteście skłonni poświęcić nam całą wiedzę i wszystkie siły?

– Nie mam rodziny ani nałogów, nie ma niczego innego, co mogłoby mnie absorbować.

– Odpowiedź podoba mi się. Rita na pewno już coś nagadała. Wiadomo, baby. Nie umieją trzymać języka za zębami. Ale to oddany pracownik. Cenię ją. Więc wiecie już chyba, że dużo wymagam i że także sobie nie odpuszczam. Jestem komunistą. Przez duże K. Zakłady zostały upaństwowione i stanowią własność ludu pracującego. Wszyscy jesteśmy współnikami sukcesów i niepowodzeń. Dotychczas mieliśmy więcej tych drugich. To się musi zmienić. Jeśli odpowiada wam mój pogląd na sprawy, to witam was serdecznie jako naczelnego inżyniera produkcji. Skierowanie i dyplom zostawcie w sekretariacie. Rita założy teczkę. Jak wszędzie, także u nas jest trochę biurokracji. Trzeba wypełnić szczegółowy kwestionariusz. Zróbcie co trzeba i wróćcie do mnie.

– Kiedy?

Dyrektor zerknął na zegarek.

– Jest dziesiąta pięć. O jedenastej będę na was czekał przy bramie na dole. Pokażę wam zakład. Pracę zaczniecie jutro o siódmej rano.

Szybka winda wyniosła ich na wysokość dwudziestu metrów, na stalowy pomost łączący dobrze naoliwione bieżnie dźwigu, biegnące wzdłuż murów hali produkcyjnej. Z jakby zawieszanej w powietrzu oszklonej klatki dyżurny majster kontrolował pracę robotników. Z pieców odlewniczych unosiły się cuchnące opary. Krzysiak, wychylony przez barierkę, mówił, nie zwracając na nie uwagi:

– To jest hala obróbki termicznej. Dusza zakładów. Sprzęt mamy wcale niezły, Niemcy projektowali tu produkcję opancerzenia czołgów i sprowadzili wszystko, co najlepsze. Część została na miejscu, nietknięta, część odzyskaliśmy z tego, co radzieccy towarzysze zostawili na Psim Polu. Uniwersal stanowił część koncernu zbrojeniowego Herman Goering Werke. To był sztandarowy projekt Speera³, ale, jak wiemy, nasze T-56 okazały się lepsze od hitlerowskich tygrysów. Wiecie dlaczego? Bo w ostatecznym rozrachunku nie decyduje pancerz, lecz człowiek. Aczkolwiek nie lekceważę dobrej stali. Wkrótce mamy dostać urządzenia do suchego hartowania stali, to pchnie nas kilka lat naprzód. Dużo gorzej wyglądamy z obróbką metali. Brak nam oprawek do noży stycznych, a tokarki też się postarzały. Frezarki nadają się na złom. Wyrabiane są we Francji, nie mamy dostępu do części zamiennych. Próbowaliśmy je podrabiać w Jelczu, ale bez powodzenia. Jakość stopów okazała się do dupy. Znać się na kompozycji stopów?

– To nie moja specjalność.

³ Albert Speer, architekt, minister przemysłu zbrojeniowego Trzeciej Rzeszy, w 1946 skazany przez Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze na 20 lat więzienia, w 1966 zwolniony.

– Nie szkodzi. Wszystkiego można się nauczyć. Potrzebny jest tylko czas i ludzka wola. Zaliczam się do tego pokolenia komunistów, którzy wierzą, że nie ma przeszkód nie do pokonania. Niestety, nie wszyscy idą w moje ślady. Dookoła pełno karłów. Mam na myśli karłów duchowych. Jeden kryje drugiego, a nos wystawiają tylko po to, aby sprawdzić, skąd wiatr wieje. Nie będę ukrywa! przed wami prawdy, towarzyszu Nowak. W ubiegłym miesiącu mieliśmy kilka dni przestoju. Wiecie dlaczego?

Liebman wzruszył ramionami.

– Powiem wam dlaczego. Bo transport chromu niklowego nadszedł z tygodniowym spóźnieniem. To nie był odosobniony przypadek. Spóźnienia w dostawach są tu na porządku dziennym. Ale odpowiedzialnych za sabotaż – tak, tak, to nic innego jak sabotaż – odpowiedzialnych nie znajdziecie. Na wszystko mają wykręty. Posyłają listy urzędowe, które godzą w nas jak zatrute strzały. Gdyby nie przestoje, wprowadziłbym system norm i premii. Polska klasa robotnicza nie dojrzała jeszcze do pracy bez poganiania. W przyszłości, wierzę w to święcie, każdy będzie pracował według swoich możliwości, każdy otrzyma według swoich potrzeb. Ale na razie... Pojmujecie ogrom zadania?

– Postaram się was nie zawieść, towarzyszu Krzysiak.

Liebman użył określenia „towarzyszu”, sądząc, że to przypadnie mu do gustu. Dyrektor klepnął go po plecach:

– Mam do was zaufanie. Sam nie wiem dlaczego, ale mam zaufanie. Razem ruszymy z posad bryłę świata. – Nie mając pewności, czy Nowak pojął znaczenie tych słów, wyjaśnił: – To z *Międzynarodówki*.

Ponad dwie godziny obchodzili zakłady. Liebman szybko się zorientował, że dyrektor celowo ominął kilka budynków; niektóre odgradzone były kolczastym płotem. Wróciwszy do budynku administracji, polecił Ricie wskazać Nowakowi jego pokój i pożegnał się mocnym uściskiem dłoni. Rita poprowadziła go długim korytarzem, paplając bez przerwy, nie oglądając się za siebie. W zakładach była niemal od początku, ale kariera urzędniczki nie wydawała się jej marzeniem. Przy jej zdolnościach i wyglądzie powinna była zrobić karierę w teatrze, albo zostać gwiazdą filmową. Ale życie jest życiem, więc tkwi tutaj, między tymi ścianami i z tym okropnym człowiekiem. Przestała narzekać dopiero, gdy stanęli przed zamkniętymi drzwiami, niemal na samym końcu korytarza.

– To jest wasze biuro – powiedziała, otwierając drzwi – a to wasz dyrektorski fotel. Nie wierzę, byście go długo zagrzali. Wszyscy poprzednicy uciekli gdzie pieprz rośnie. Umeblowanie jest skromne, bo reprezentujemy klasę robotniczą. Kiedyś, gdy zrobiłam sobie prawdziwy makijaż, kredka była francuska, kupiona w komisie, zganił mnie: „Rita, my tu pracujemy dla przyszłych pokoleń”. Co miałam mu odpowiedzieć? Że bokiem wyłazi mi funkcja nawozu sztucznego, na którym wyrośnie lepszy świat?

Liebman rozejrzał się po nagich ścianach i usiadł za biurkiem. Było zavalone papierami. Rita wciąż jeszcze stała w drzwiach, jakby czekając na reakcją. Na odchodnym rzuciła:

– Naczelnemu inżynierowi nie przysługuje sekretarka. Gdyby potrzebna wam była pomoc albo rada, wykręćcie na wewnętrznym dwadzieścia jeden. Oczko. Łatwo zapamiętać. I jeszcze coś – dodała kokieteryjnie. – Znam w tym mieście każdą dziurę. Chętnie posłużę za przewodnika.

– Dziękuję. Nie omieszkałam skorzystać z okazji.

Pod koniec tygodnia wprowadziła go w mikrokosmos „Teatralnej”. Kawiarnia ulokowała się w centrum miasta, naprzeciw wyremontowanego gmachu opery. Już we wrześniu 1945 roku wystawiano tu *Halkę* Moniuszki, a wkrótce po tym *Cyrulika sewilskiego* Rossiniego. Większość aktorów, śpiewaków i tancerek przybyła do Wrocławia ze Lwowa. Wszyscy spędzali wolny czas przy stolikach „Teatralnej”. Tylko tam było jak dawniej. Panowie wciąż jeszcze całowali panie w rękę, wodę mineralną z pobliskich źródeł nazywano bombastycznie

„wodą Vichy” i popijano ją z dodatkiem mleka, a kilku stałych bywalców, zaszywając się w najciemniejszy kąt, tasowało wirtualne karty polityczne, obalało rządy komunistów i wprowadzało nowy ustrój, zależnie od nastroju – monarchię lub demokrację. Rozmowy były tak naiwne i nieszkodliwe, że nawet funkcjonariusze bezpieczeństwa nie zadawali sobie trudu, aby aresztować „spiskowców”. Dla Rity był to rodzaj rezerwatu towarzyskiego. Sztuczna atmosfera kawiarni wprowadzała ją w świat, o którym marzyła. Miała nadzieję, że zarazi inżyniera Nowaka swoim uwielbieniem dla „Teatralnej”.

Któregoś popołudnia, gdy Rita nie mogła urwać się z biura, Liebman siedział sam przy swoim stoliku. Przy „swoim”, miał już bowiem stałe miejsce pod oknem. Nagle, z nieukrywanym zdumieniem, zobaczył Krzysiaka, który nie pytając o pozwolenie, przysiadł się do niego. Siedział, milcząc. Od dnia, w którym rozpoczął pracę w Uniwersalu, mniej więcej przed miesiącem, nie miał okazji porozmawiać z dyrektorem w cztery oczy. Zawsze otoczeni byli doradcami, technikami i majstrami.

Nie mógł pojąć, co go tutaj przyniosło, bo zwykle mawiał o „Teatralnej” jako o gnieździe burżuazyjnej dekadencji. Czyżby wpadł na chwilę, aby go wprowadzić w zakłopotanie? Udowodnić, że nic nie ujdzie jego uwadze?

– Tylko ludzie, którzy nie potrafią pogodzić się z rzeczywistością, szukają schronienia w świecie ułudy – rzekł wreszcie Krzysiak i podnosząc palec, przywołał kelnerkę. – Poproszę herbatę. – Gdy przyjęła zamówienie, kontynuował: – Rozejrzyjcie się wokół siebie, Nowak. Spójrzcie uważnie na tych kawiarnianych bohaterów. Ich czas minął. Walec historii przejedzie się po nich bez litości, a przyszłe pokolenie nazwie ich pasożytami. Cała ta ich tak zwana kultura polega na właściwym posługiwaniu się widelcem i nożem.

– Zbyt surowo ich osądzacie. Są wśród nich dobrzy aktorzy, dziennikarze...

– Posłuchaj, przyjacielu – po raz pierwszy nazwał go przyjacielem – ja dzielę ludzi na dwie kategorie, bez względu na zawód i zdolności: ci, którzy nie są z nami, są przeciw nam. To takie proste i takie prawdziwe. Zresztą, to nie moje powiedzenie.

– Wiem. To z Lenina.

– Czytaliście Lenina?

– Będąc studentem, dostałem od znajomej *Dziecięcą chorobę lewicowości w komunizmie*. Jeśli mnie pamięć nie myli, była to rozprawa o konieczności kompromisu.

Krzysiak nie ukrywał zdziwienia.

– Nie wyobrażałem sobie, że sięgaliście po taką lekturę.

– Nie wyciągajcie przedwczesnych wniosków, towarzyszu dyrektorze. Nie jestem zdeklarowanym marksistą. W latach studenckich czyta się wszystko. Także Malthus przewinął mi się przez poduszkę. Wieczorami, gdy nie miałem nic lepszego do roboty. Nie byłem zbyt wybredny, brałem z biblioteki co popadło.

– Człowiek myślący nie może uciec od wyboru... Dziękuję — powiedział do kelnerki, która postawiła przed nim szklankę herbaty. – Mam dziwne przekonanie, że wasz wybór będzie właściwy.

– Powiedzieliście, że razem ruszymy z posad bryłę świata.

Dyrektor Krzysiak łyknął gorącej herbaty. Potem rozmawiali godzinę o konieczności zmian w dziale obróbki termicznej. Zgadzała się, że warunki zdrowotne muszą ulec poprawie. Krzysiak twierdził, że lekarze są zbyt liberalni, że robotnicy na chorobowym opóźniają produkcję. Liebman był odmiennego zdania, ale zachował je dla siebie. Już się nauczył, znowu od Rity, że dyrektor ma zawsze rację, nawet gdy się myli. Krzysiak zapłacił za wodę mineralną i herbatę, nie zostawiając napiwku. „Napiwki godzą w poczucie ludzkiego honoru” – wyjaśnił niepytany. Na ulicy siąpił ciepły, letni deszcz. Krzysiak narzucił płaszcz na ramiona, jak pelerynę, i wyszedł. Liebman odczekał kilka minut, rzucił na spodek kilka złotych, po czym skierował się do szatni po swój deszczowiec. Gdy jedno ramię miał zaplątane w rękawie, ktoś złapał go za drugą rękę i mocno ją uściśnął. Pomału skierował

spojrzenie w stronę intruza. Stał przed nim mężczyzna średniego wzrostu, bardzo rudy i bardzo brzydki. Głęboko osadzone oczy, po obu stronach mięsistego nosa, wydawały mu się znajome, ale w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć, gdzie i kiedy widział tego człowieka. Obcy był wyraźnie podniecony spotkaniem.

– Izaak Liebman, jak Boga Kocham! – zawołał. Liebman rozejrzał się wokół z niepokojem. Na szczęście, prócz szatniarza, nikogo nie było w pobliżu, nikt nie mógł słyszeć radosnych okrzyków. – Icek, Icek. Tak się cieszę, że przeżyłeś. Gdzie mieszkasz? Co robisz? Masz rodzinę?

Niekończące się, życzliwe pytania. Liebman niemal siłą wyzwolił się z uścisku. Kimkolwiek by ten rudzielec nie był, nie chciał mieć z nim nic wspólnego. Cedząc słowa, odrzekł z udaną obojętnością:

– Obawiam się, że to nieporozumienie. Pan mnie chyba myli z kim innym.

– Poznaliśmy się na Politechnice, nie pamiętasz? Organizowałem wiec lewicy, była z nami twoja dziewczyna, Lidia, jeśli się nie mylę. Ją także zapomniałeś?

– Nie znam żadnej Lidii. Już powiedziałem, że to pomyłka. Nazywam się Rudolf Nowak. Widzę pana po raz pierwszy w życiu.

Rudy mężczyzna cofnął się o krok, jakby chciał obejrzeć rozmówcę z perspektywy, i wyjąkał:

– Przepraszam, ale podobni jesteście jak dwie krople wody. Naprawdę przepraszam – bąknął zakłopotany i pomógł Liebmanowi założyć płaszcz.

Liebman pospiesznie opuścił kawiarnię. Deszcz przestał mżyć. Był zadowolony ze swojego zachowania. Nie stracił przytomności umysłu, nie popełnił żadnego błędu. Spotkania tego rodzaju muszą się zdarzać od czasu do czasu, wszak nie może żądać, aby wszyscy ludzie, których spotkał w poprzednim życiu, przestali nagle istnieć. Było to ryzyko kalkulowane, trzeba się z nim zmierzyć. A ten rudzielec? Oczywiście, że go poznał. Poznał go w chwili, gdy wymienił imię Lidii. Z zakamarków pamięci wyłoniła się postać Gedalii Chajesa, lidera radykalnej lewicy na uczelni. Przez jakiś czas mieszkali w tym samym akademiku. On na czwartym, Chajes na drugim piętrze. Zdarzało się, że zamieniali ze sobą kilka niezobowiązujących słów. Od Lidii dowiedział się, że Gedalia chce zostać inżynierem konstrukcji, budować mosty i tunele. Był dobrym studentem. Działalność polityczna nie kolidowała z nauką. Miał czas na jedno i drugie. Chyba nie spał po nocach. Lidia sympatyzowała z lewicą, a do rudego Chajesa mówiła, że „czerwone nie jest teraz w modzie”. Dużo podróżował, ale Liebman nigdy nie wiedział dokąd. Nie była to jego sprawa. Kiedyś nie wrócił z podróży; skarbnik domów akademickich długo go szukał, bo Chajes nie zapłacił czynszu za ostatni miesiąc. Nieco później tajniacy zrewidowali jego pokój, wzięli na przesłuchanie studenta, z którym mieszkał, ale szybko go wypuścili. Wieść niesiona z ust do ust powiadała, że Gedalia został aresztowany za działalność wywrotową. Kierownik akademika wrzeszczał wówczas: „Gdybym wiedział, że to komunista, noga jego nie powstałaby w tym domu!”.

Liebman pamiętał wiec, w którym, za radą ojca, nie wziął udziału. Jeśli Chajes posiadał równie dobrą pamięć, to trudno uwierzyć, by przyjął jego zaprzeczenia za dobrą monetę. Ale skoro tak, to dlaczego udawał, dlaczego przepraszał za pomyłkę? Czy aby nie zechce go szantażować ujawnieniem prawdy? Skłębione myśli szalały, jednak dopiero po upływie kilku minut poczuł, jak wali mu serce. Miał wrażenie, że przechodnie przebijają go wzrokiem na wskroś, i że on, Izaak Liebman, w szczelnie zapiętym płaszczu, stoi na rogu Świdnickiej nagi i bezbronny.

– Bzdury – wymamrotał pod nosem – wszystko wyimaginowane bzdury.

Do domu postanowił pójść pieszo, ochłonać na powietrzu. W mokrym asfalcie odbiło się światło zapalanych latarni ulicznych. Przejeżdżające samochody obryzgały go błotem. Maria

na pewno zapyta, co się stało. Znów powtórzył: „Wszystko sobie ubzdurałem. Problem polega na tym, że sam nie wcieliłem się do końca w moją nową tożsamość”.

Wraz z każdym krokiem powracały lęki. Na dnię szarych komórek odtwarzał listę znajomych z obozu i z lat przedwojennych, zastanawiał się, ile razy jeszcze będzie musiał zaprzeczać: „To pomyłka, nazywam się Rudolf Nowak”. Niedawno przeczytał w stołecznym dzienniku zabawną dykteryjkę: przez wiele lat jakiś warszawski dowcipniś telefonował nocą do człowieka, który nazywał się Pies. Gdy zaspany odbierał rozmowę, nieznajomy czekał do słuchawki. Wojna przerwała tę zabawę. Rok później znów zabrzmiało znajome hau-hau. Tylko że tym razem, zamiast straszyć sankcjami i policją, uradowany pan Pies odkrzyknął: „To pan także żyje!”.

W zabawnym felietonie krył się głęboki morał. Ludzie cieszyli się, że bliźni również przetrwali, że została zachowana więź z przeszłością. On sam nigdy nie dozna takiego uczucia. Czy będzie żałował? Nie. Na pewno nie. Wszak życzeniem jego było przeciąć raz na zawsze pępowinę łączącą go z dniem wczorajszym, rozpocząć nowe życie, jakby przyszedł na świat w wieku lat trzydziestu sześciu, bez stygmatów i ogona, o którym wspomniał Karol Bielski. Czy nie oszukuje samego siebie? Wprawdzie postanowienie było nieodwołalne, ale wiedział, że musi pójść krok dalej: musi pojechać do Chełma, zobaczyć spalony dom rodziców, spojrzeć w twarz przeszłości, którą zostawił za sobą – i nic nie poczuć. Dopiero wówczas transformacja będzie całkowicie spełniona.

– Co się stało? – spytała Maria Kot, gdy wrócił na ulicę Parkową. Umiała już czytać z jego twarzy.

– Nic się nie stało – odparł tak spokojnie, jak tylko umiał. – Po prostu jestem zmęczony.

Zdjął płaszcz i powiesił go na wieszaku w przedpokoju. Ten drobny ruch przywrócił mu równowagę: oto jestem, mam dom. Wrócił do salonu. Nie próbowała go indagować, ale na twarzy miała wypisane: widzę wszystko, nie zdołasz mnie wyprowadzić w pole. Gdy spoczął w „swoim” fotelu, zaproponowała:

– Skoro wszystko w porządku, to zapraszam na makowiec. Jest ciepły i chyba pyszny... Co w pracy?

– Zdziwi się pani, ale świeżo upieczony inżynier naczelny zbiera pochwały.

– Wiedziałam, że tak będzie.

– Skąd ta pewność?

– Już powiedziałam, że mam intuicję. Nigdy mnie nie zawodzi.

Izaak skosztował ciasto.

– Jest pani gospodynią z prawdziwego zdarzenia.

– A pan pochlebcą z urodzenia – zaśmiała się. – Ale zdziwi się pan. Nie piekłam sama.

Kupny.

– Kupować także trzeba umieć – skwitował i wypełnił usta ciastem.

Maria Kot posiadała dar emanowania spokojem. Mówić zwykła tak cicho, że czasami prosił, by powtórzyła zdanie, bo nie dosłyszał. Ruchy miała zawsze opanowane, jakby planowała każdy krok i odmierzała każdy ruch ręki. To nie było udawane, wynikało z jej natury. W głębi duszy obawiał się jej spostrzegawczości. Także teraz, zając się ciastem z makiem, cierpł na myśl, że swoimi wyostrzonymi zmysłami odkryje prawdę. Może nawet zna Gedalię Chajesa. W przystępie dobrego humoru mawiał, że obdarzona jest cechami cygańskiej wróżki. Poznawszy ją trochę lepiej, pojął, że ma własny, niezawodny sposób konstruowania całości z okruczeń informacji. Pragnąc odwrócić jej uwagę, zrelacjonował przebieg rozmowy z Aleksandrem Krzysiakiem.

– Olaf? To niebezpieczna kreatura – ostrzegła. – Zawsze twierdzą, że ortodoksi o czystych rękach są najgroźniejsi. Ze skorumpowanymi zawsze można się dogadać. Można ich przekupić. Przecież cały ten świat wokół nas oparty jest na przekupstwie i na zasadzie „ręka rękę myje”. Krzysiak jest inaczej zbudowany. Wierzy w to, co robi, i będzie szedł po

trupach, żeby osiągnąć coś, co uważa za istotne. Wszystko dla wyższych celów. Pamiętam pierwsze powojenne dni. Wrocław był jeszcze obsadzony przez Rosjan, gdy pojawił się niejaki Bolesław Drobner i został samozwańczym prezydentem miasta. Razem z nim przyjechała ekipa tak zwanych specjalistów. Jeden został sekretarzem partii, drugi szefem Urzędu Bezpieczeństwa, trzeci pełnomocnikiem do spraw administracji. Aleksandra Krzysiaka posłali wtedy do Uniwersalu. Od pierwszej chwili był znienawidzony przez własnych towarzyszy. Gdy inni kradli, rekwirowali najlepsze mieszkania i wciągali sekretarki do łóżek, Krzysiak pracował jak wół. Umiał pchnąć sprawy niczym buldożer, nic pił z kumplami, nie zadawał się z meżatkami. Mój spowiednik powiada, wcale nie żartem, że Krzysiak nadawałby się na przeora klasztoru Jezuitów: zlepek siły woli, zdolności organizacyjnych i bezgranicznej wiary w posłannictwo. Po mieście krążyły plotki, że u komunistów wszystko jest wspólne, ziemia w kołchozach i kobiety w łózkach. Wiem, że to nonsens. Nasi mężczyźni i kobiety cudzołożą bez kołchozów i bez komuny. Niebezpieczeństwo nie polega na tym, że zechcą nam narzucić swój styl życia, ale na tym, że zechcą nas zmusić do myślenia ich kategoriami. Tacy jak Krzysiak nigdy nie zadowolą się naszym ciałem. Potrzebne im są nasze dusze. Proszę pamiętać, że pana ostrzegłam.

– Rzeczywiście sądzi pani, że czyhają na moją marną duszyczkę? Niech mi pani wierzy, niewarta zachodu.

– Nieuświadomione niewolnictwo jest czymś najbardziej dewastującym – skwitowała jego uwagę i zaczęła zbierać talerzyki z resztkami makowca.

– Dziękuję za poczęstunek. I za ostrzeżenie.

– Już późno. Dobranoc.

– Dobranoc. Jutro zaczyna się nowy dzień.

– W radiu powiedzieli, że będzie padać. Weź parasol – powiedziała, wychodząc z salonu.

Nagle przyłapał się, że oko biegnie za jej pośladkami, wyraźnie zarysowanymi pod cienką sukienką. Zawstydzził się. Zresztą pomyślał, brak jej kobiecego, erotycznego wdzięku Rity. Nieświadoma reakcji, którą wywołała, zamknęła za sobą drzwi. Odgłos kroków tonął w giubym dywanie.

Liebman przepędził resztkę rozważań o kobietach i sięgnął po gazetę leżącą na kanapie. Krótki komunikat na pierwszej stronie przykuł jego uwagę. Przeczytał go dwukrotnie, nim treść dotarła do jego świadomości. Dziennik donosił, że Gedalia Chajes, zastępca sekretarza KW do spraw gospodarczych, został mianowany dyrektorem kadr Uniwersalu. Równocześnie wybrano go na przewodniczącego Podstawowej Organizacji Partyjnej w zakładach. Artykuł zawierał elementy jego politycznego życiorysu, a kończył się stwierdzeniem, że właściwy człowiek znalazł się na właściwym miejscu.

Przeczytał wiadomość po raz trzeci. Jak pacjent na intensywnej terapii, liczył uderzenia serca. Wiedział, że dopiero teraz karty zostały rozdane i zaczyna się wielki szlem.

Rozdział trzeci

LARWA, KOKON, MOTYL

Ten tydzień na pewno nie był dobry. Najpierw przykry incydent: spotkanie z Gedalią Chajesem. Od tej chwili Izaak nie zaznał spokoju. Nie trzeba było być jasnowidzem, aby zrozumieć, że nie uda się uniknąć następnych spotkań. W pierwszym odruchu chciał spakować manatki i wynieść się z miasta. Potem, już na chłodno, pomyślał. Dokąd ucieknie? Przed kim? Chyba tylko przed sobą samym, bo przecież w każdym innym mieście znowu może natknąć się na innego Chajesa. Nie po to uciekł od przeszłości, aby w terażniejszości nadal uciekać. Jak w błysku flesza, przez sekundę zobaczył znowu twarz Gedalii, taką jaką widział w „Teatralnej”, i nagle wydawało mu się, że dostrzegł w niej cień zwątpienia. Minęło przecież kilka lat, była wojna, zmieniły się twarze znajomych. Może jednak uznał swoją pomyłkę.

Wczoraj, rozdarty między niepewnością a nadzieją, wpakował się w dziwny i zupełnie niepotrzebny konflikt z panem Maurycym, fryzjerem męskim i damskim ważniejszych osobistości Wrocławia. Niemal wszystkie zakłady fryzjerskie przekształciły się w spółdzielnie pracy, tylko Maurycy, przypuszczalnie dzięki protekcji wpływowej klienteli, wymknął się spod spółdzielczego walca. Był sympatyczny, umiał pogadać na każdy temat, inteligentnie słuchał, gdy nie miał nic do powiedzenia, i wkrótce stał się powiernikiem żon miejscowych dygnitarzy. Liebman, idąc w ślad kilku innych dyrektorów, w drodze do pracy zasiadał na kwadrans we fryzjerskim fotelu. Sprawiało mu dziwną przyjemność spoglądanie w lustro i obserwowanie, jak mistrz brzytwy pozbawia go zarostu. Lubił także namiastkę ówczesnego luksusu, zapach taniej wody kolońskiej, którą fryzjer spryskiwał mu twarz po goleniu. Zazwyczaj gawędzili o niczym: trochę męskich plotek, trochę nic nieznaczącej paplaniny. Maurycy nie był człowiekiem, który by się dzielił posiadaną informacją. Sekrety małżonek ludzi, trzęsących miastem, potrafił zachować dla siebie. Także Izaak zachowywał dla siebie problemy Uniwersalu. Tak było aż do wczorajszego ranka, gdy wszystko się pokręciło. Maurycy, bardziej z uprzejmości niż ciekawości, zapytał, jak sobie poradził z mieszkaniem w tym na wpół zburzonym mieście. Liebman opowiedział o wynajętym pokoju i przedstawił swoją gospodynię, panią Marię Kot, bardziej niż pochlebnymi słowy. Maurycy zbladł i drżącą ręką zaciął go w podbródek. Nic wielkiego, maleńka szrama, szybko zatamowana krew, ale nie przeprosił i do końca golenia nie otworzył ust. Na zakończenie, wyraźnie podenerwowany, zapomniał usunąć białą serwetkę wetkniętą za kołnierzyk koszuli. Zapłatę przyjął bez słowa podziękowania i nie otworzył drzwi wyjściowych, uprzejmość zachowywaną nawet dla mniej ważnych klientów. Liebman chciał zapytać, czy czymś nieświadomie go uraził, ale machnął ręką i wyszedł na ulicę. Miał dosyć własnych kłopotów.

Popołudniowe spotkania z Ritą przy herbacie w „Teatralnej” stały się codziennym rytuałem, prawie nałogiem. To tam zbierał okruchy wiadomości o tym, co działo się za kulisami dyrekcji. W środę, zupełnie niespodziewanie, pojawił się w kawiarni Maurycy. Był

wyraźnie podniecony, twarz miał zaczerwienioną ze złości, i bez wstępu, stając przy ich stoliku, zarzucił Izaakowi wykorzystywanie naiwności pani Marii. „Każda porządna kobieta powinna wystrzegać się takich typów jak pan!” – krzyczał, zwracając uwagę wszystkich obecnych. Rita milczała. Liebman usiłował uspokoić wzburzonego intruza, ale każda próba wywoływała jeszcze głośniejszą reakcję, pełną bezpodstawnych oskarżeń. Gdy wreszcie wyrzucił z siebie wszystko, co miał do powiedzenia, wyszedł z kawiarni, trzaskając drzwiami tak mocno, że o mało nie wyleciały z nich szyby.

– Masz pojęcie, co go tak wyprowadziło z równowagi?

– Oczywiście – odparła. – Maurycy potraktował cię jak miejscowego kacyka, do szafu doprowadziła go myśl, że adorujesz panią Kot. Nasz nadworny golibroda nie gardzi pieniędzmi czerwonych, ale nienawidzi ich z całego serca.

– Nie zrobiłem mu żadnej krzywdy.

– Tak ci się tylko wydaje. Gdy Maria owdowiała, Maurycy bez powodzenia ubiegał się o jej względy. Prosił nawet o interwencję ich wspólnego spowiednika, bo podobnie jak ona, jest praktykującym katolikiem. Ale ksiądz odmówił. Nie chciał się wtrącać w tak bardzo osobiste sprawy. Myśl, że ty i Maria... mogę zrozumieć, że to może wytrącić z równowagi zazdrosnego mężczyznę.

– Nie ma między nami żadnego romansu – pospieszył rozwiać podejrzenie. – Jestem sublokator, który płaci za wynajęty pokój, to wszystko.

Rita roześmiała się szczerze.

– Maurycy zna prawa natury. Jestem kobietą. Ja też znam się na tych rzeczach.

– Nie do wiary. Ty także podejrzewasz, że ja... że my...

– Z czasem zrozumiesz, że nawet jeśli dziś jesteś tylko sublokator, to otwarte drzwi zawsze wabią złodzieja.

Po powrocie do domu Izaak, wyciągnąwszy się wygodnie na łóżku, długo się zastanawiał, dlaczego Maria odrzuciła zaloty Maurycyego. Wydawali się stworzeni dla siebie. Może stanął na przeszkodzie jego zawód. Maria nie była snobką, ale przykładła wagę do pochodzenia i pozycji społecznej człowieka. Kiedyś, gdy o tym rozmawiali, powiedziała, że wszyscy są równi wobec Boga, ale w życiu codziennym są równi i równiejsi. Często rzucała mimochodem: „Czego można się spodziewać po osobie, której ojciec był garbarzem”. Ale o Maurycym mówiono, że pochodzi z dobrej rodziny, że jest wykształcony i że właściwie nie wiadomo, kiedy i dlaczego zajął się fryzjerstwem. Może ze względu na intratność profesji. Jego rodzice, dawni właściciele sporego folwarku, byli ogólnie poważanymi ludźmi. Mówiono, iż przerwał studia podczas Wojny, gdy Niemcy zamknęli uniwersytety. Gdyby Maria była w domu, być może zebrałyby się na odwagę i zadał kilka pytań. Ale w każdy piątkowy wieczór spotykała się z przyjaciółkami na partię remika. Obok niedzielnej mszy piątkowa gra w karty była czymś, z czego za żadne skarby nie byłaby skłonna zrezygnować. Aczkolwiek kiedyś, w przystępie szczerości, powiedziała, nie kryjąc odrazy, że plotki pań z karcianego towarzystwa mogłyby wypełnić encyklopedię ludzkich słabości, a w kościele miejscowe dewotki bardziej interesowały się strojami koleżanek aniżeli treścią kazania.

Te niezobowiązujące pogawędki stanowiły jedyną więź pomiędzy nimi. Co prawda, gdy pod koniec miesiąca zapłacił należny czynsz, spytała, czy daje sobie radę i wyraziła gotowość poczekania, aż zaoszczędzi trochę grosza i stanie na nogi. Brzmiało to dziwnie, bo wynajmując pokój, twierdziła, że zmusza ją do tego konieczność finansowa. Od czasu do czasu zapraszała go do salonu, parzyła świeżą herbatę i kroila ulubiony makowiec, ale ogólnie biorąc, poruszali się w małym, trzypokojowym mieszkaniu, starając się nie wchodzić sobie w drogę. Szanował jej prawo do prywatności, ona także nie wtrącała się, nieproszona, w jego osobiste sprawy. Nigdy nie zadawali sobie kłopotliwych pytań, a nazajutrz po przykrym zajściu z Maurycym nic miał już odwagi poruszyć tego tematu. Wszystko, co o niej wiedział,

pochodziło z jednego źródła: od Rity. On też był oszczędny w słowach. Obawiał się zaplątać w sieć drobnych kłamstw, takich, które on szybko zapomni, ale wnikliwa Maria Kot na pewno zapamięta.

Także w pracy wciąż miał się na baczności. Co kilka dni dostawał do wypełnienia jakiś formularz, niektóre miały po osiem stron, z rubrykami na imiona i nazwiska krewnych i znajomych Krzysiak wyjawiał, że cała ta biurokracja potrzebna jest, aby umożliwić mu pracę także w oddziale zbrojeniowym w Jelczu, ale gdy zwierzył się Ricie, parsknęła śmiechem.

– Co w tym śmiesznego – oburzył się.

– Robisz wrażenie inteligenta, a głupi jesteś jak but. Na takiej biurokracji oparty jest cały system władzy. Partia musi wiedzieć wszystko i o wszystkich. Nie ma tajemnic, nie ma życia prywatnego. Czekają, żebyś się pomylił, zapomniał jakiegoś krewniaka, choćby ósmą wodę po kisielu, przekręcił jakąś datę lub miejsce zamieszkania sprzed stu lat. Wtedy wezwą cię na dywanik, żebyś trząśł portkami, albo gdzieś to zakonotują, aby w odpowiedniej chwili mieć na ciebie haka. Ludzie doświadczeni piszą wszystko przez kalkę i chowają odpisy, żeby nie było wpadki.

Dopiero teraz pojął, w co się wpakował. Musiał sobie stworzyć nowy życiorys, z wszystkimi możliwymi szczegółami, zbudować ogromną mozaikę, w której każdy element pasuje do obrazka, wmontować w nią mieszaninę prawdy i kłamstwa tak misternie, aby nie można jej było podważyć. Zdecydował, że musi odwiedzić miejsca, w których bywał Nowak, spotkać się z ludźmi, których znał, może nawet stanąć twarzą w twarz z jasnowłosą Reginą, która zadedykowała mu swoje zdjęcie. W dowodzie osobistym stało jak byk „stan wolny”, ale z dokumentów Rudolfa Nowaka, tych, które przejrzał dopiero później, wynikało, że był żonaty. Czy pobrał się z Reginą, czy z kimś innym? Fakt ten musi zostać dokładnie sprawdzony. Przy najbliższej okazji pojedzie do Warszawy, postanowił. Zadzzwoni do jego mieszkania. Czy Regina otworzy drzwi? A co się stanie, jeśli będzie to Nowak we własnej osobie? Jeśli nie udało mu się pojechać do Francji, jak tego pragnął? Co mu powie? Witam pana, przyjechałem, aby zwrócić panu pańską tożsamość?

Zatopiony w myślach, nie dosłyszał dzwonka. Dopiero gdy ktoś zaczął walić pięścią w drzwi, pobiegł otworzyć. W progu stał dyżurny kierowca Uniwersalu i wyjąkał:

– Stało się nieszczęście, towarzyszu inżynierze. Kazali mi przywieźć was natychmiast do zakładu.

Liebman narzucił kurtkę i zbiegł po schodach. Podczas jazdy zapytał:

– Co się stało?

– Nie mam pojęcia. Oni nie powiedzieli, a ja nie pytam. Nie moja sprawa.

Służbowy wóz pędził ulicami miasta niczym karetka pogotowia. Strażnik przy bramie poznał samochód z daleka i otworzył ją na oścież. Zazwyczaj zatrzymywał każdy wjeżdżający pojazd i dokładnie sprawdzał dokumenty pasażerów. Tak było przyjęte we wszystkich zakładach, we wszystkich urzędach. Nikt nie mógł wejść lub wjechać bez odpowiedniej przepustki. Rita tłumaczyła, Boże, znów ta Rita, że każdy występuje w charakterze podejrzanego i że podejrzliwość stała się niemal epidemią. Początkowo trudno mu się było z tym pogodzić, potem zrozumiał, że musi zaakceptować także te zjawiska, które wydawały mu się upokarzające.

Samochód zahamował raptownie. Mężczyzna w skórzanej kurtce otworzył drzwiczki wozu, poganiając:

– Szybko, szybko, towarzyszu. Czekają na was.

– Kto?

– Dyrektor kadr.

Liebman wbiegł po schodach na drugie piętro. Biuro kadrowego sąsiadowało z gabinetem dyrektora, na samym początku korytarza. Nagle przypomniał sobie, że człowiek w skórzanej kurtce nie jest mu obcy. Wielokrotnie widział go w „Teatralnej”. Siedział zawsze sam,

czytając gazetę i ćmiąc papierosa. Drzwi do biura były otwarte, Gedalia Chajes stał oparty plecami o parapet okna i przeglądał jakieś papiery. Krzysiak zauważył go pierwszy:

– No, nareszcie jesteście – ucieszył się i przedstawił trzecią osobę w pokoju: – Poznajcie towarzysza Konstantego z Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa. Opiekuje się naszym zakładem. Nazywamy go Kostek.

Konstanty wyciągnął rękę na przywitanie. Miał miękką, ciepłą dłoń.

– Przyjechaliście aresztować kogoś? – zażartował Liebman. Czuł, jak krew ucieka mu z policzków.

– Jeszcze nie wiadomo. Istnieje podejrzenie sabotażu. Polowanie na czarownice to mój zawód – dodał. W jego głosie nie było nutek humoru.

Dopiero teraz Chajes odłożył plik dokumentów i podszedł do Liebmana.

– My się już znamy – powiedział, szturchając go lekko w ramię. Liebman przytaknął, zastanawiając się, czy nie kryje się w tym stwierdzeniu dwuznaczność. Nie widzieli się od spotkania w kawiarnianej szatni. Był zadowolony z obecności Krzysiaka i funkcjonariusza bezpieki. Najbardziej obawiał się rozmowy w cztery oczy, takiej, która mogłaby znów poruszyć wspomnienia z przeszłości. Chajes powiedział tylko:

– Jeszcze raz przepraszam za pomyłkę.

– Nic się nie stało.

Krzysiak, nie zorientowawszy się, o co chodzi, zauważył oziębłość:

– Nie określiłbym tego lekceważącym „nic się nie stało”. Stało się. Potrzebna nam jest wasza opinia, towarzyszu Nowak. Kilku robotników z drugiej zmiany miało wypadek przy pracy. Karetki przewożą ich teraz do szpitala. Nie dostaliśmy jeszcze szczegółowego sprawozdania, ale wiemy, że co najmniej jeden stracił wzrok. Trzymam się przepisów, więc natychmiast zawiadomiłem władzę bezpieczeństwa. Nic mam nic przeciw zachowaniu czujności, ale wydaje mi się, że towarzysze z bezpieki węższą sabotaż, nawet gdy ktoś się poślizgnie na skórcie od banana.

– Od roku nie widziałem banana – zachnął się Konstanty. – Czy powiedzieliście waszemu inżynierowi, że to już czwarty wypadek w tym roku?

– Rozmawialiśmy o warunkach bezpieczeństwa pracy. Rozmawialiśmy także o konieczności zatrudnienia fachowców. Ludzi, którzy umieją obsługiwać ten sprzęt. Monitowałem w tej sprawie Komitet Wojewódzki, ale mów do ściany. Pamiętacie tę rozmowę, towarzyszu Nowak?

– Pamiętam.

Chajes obdarzył go nieprzychylnym spojrzeniem. Krzysiak udawał, że tego nie widzi, i mówił dalej:

– Szukanie kozła ofiarnego nie rozwiąże sedna sprawy. Proponuję, abyśmy znaleźli w sobie trochę cywilnej odwagi i spojrzeli prawdzie w oczy. W istniejącej sytuacji wypadki były i będą. Nie wskutek czyjejś złej woli, ale przez panujące u nas warunki.

– Nie mogę posadzić na ławie oskarżonych waszych obiektywnych warunków, dyrektorze. Tego wypadku nie da się ukryć. Jutro będzie o nim trąbić całe miasto. Nic mogę zatkać gęby lekarzom i pielęgniarkom. Ani kierowcom karetek pogotowia. Znajdą się ludzie, którzy zatrą ręce z zadowolenia. Znajdą się również tacy, którzy oskarżą zarząd o świadome niedopatrzanie. Powiedzą dokładnie to, co wy teraz mówicie: że partia dba tylko o produkcję, a robotników ma w dupie. Nie mogę przyjąć wykrętów o obiektywnych warunkach. Ktoś musi za len błąd zapłacić. Moim obowiązkiem jest wiedzieć – kto.

– Może inżynier Nowak objaśni nam proces obróbki termicznej i wskaże odpowiedzialnych na każdym szczeblu – zaproponował Chajes.

– Nareszcie rozsądny wniosek – zgodził się Konstanty. Liebman popatrzył pytająco na szefa kadr. Gedalia Chajes odpowiedział mu wspierającym spojrzeniem. Liebman zaczął mówić:

– Jak wiadomo, produkując stał, posługujemy się piecami, które nagrzewa się rozpuszczonymi solami, mam na myśli cyjanid sodowy. Temperatura soli w stanie płynnym osiąga dziewięćset stopni Celsjusza. Do tej rozpuszczonej mazi wkłada się surowce do obróbki. Jest to praca fizycznie wyczerpująca, a przy tym wymaga sporych kwalifikacji zawodowych. Proces obróbki tworzy trujące wyziewy, natomiast w trakcie chłodzenia istnieje niebezpieczeństwo rozprysku. System wentylacyjny, który powinien wchłonąć gazy, nie działa jak trzeba. Jest to szczególnie groźne dla robotników, niezdających sobie sprawy z niebezpieczeństwa. W takich warunkach, nazwijmy je jak chcemy, obiektywne lub subiektywne, nie sposób przestrzegać zaleceń BHP.

Konstanty koniecznie chciał wiedzieć, kto jest odpowiedzialny za działanie systemu wentylacyjnego. Liebman przeraził się i z trudem wyjąkał:

– Według księgi procedury produkcyjnej, inżynier naczelny.

– Nikt nie pracuje według książki. Odnoszę wrażenie, że towarzysz z Urzędu Bezpieczeństwa chciałby znać nazwisko kierownika zmiany – powiedział Gedalia.

Liebman w lot pojął, że Chajes usiłuje go kryć. Konstantemu potrzebne było nazwisko, nieważne czyje. Kilka dni temu Rita naśmiewała się z bezpieki, która kierowała się ulubioną zasadą: dajcie mi człowieka, a my już dopasujemy mu paragraf. Mój Boże, skonstatował ze zdumieniem, ta kobieta wie chyba za dużo. Konstanty miał już odpowiedni paragraf, a on, Liebman, ma mu dostarczyć ofiarę. Wszystko było proste jak drut, jak dopasowanie klucza do dziurki w zamku. Nie zastanawiając się długo i nie czując żadnych wyrzutów sumienia, szybko wymienił żądane nazwisko. Pierwsze lekcje przetrwania odebrał w nazistowskich obozach koncentracyjnych. Albo ja, albo ty. Nie było alternatywy. Kodeks Mauthausen nie przewidywał miejsca na rycerskie gesty. A jeśli zdarzały się wyjątki, to jedynie potwierdzały regułę. Bezinteresowna pomoc niezbędna była, być może, do zbawienia, ale na pewno nie do przeżycia. Tyle tylko, że nie przypuszczał, iż ta potworna obozowa nauka zakorzeni się głęboko w podświadomości i towarzyszyć mu będzie aż do śmierci.

Konstanty zapisał nazwisko w notesie, wydarł kartkę i zwrócił się do Krzysiaka:

– Na dole, przy samochodzie, stoi jeden z moich ludzi. Niski krępy facet w skórzanej kurtce. Przekażcie mu, proszę, tę wiadomość.

Krzysiak zawahał się. W końcu jest tutaj dyrektorem naczelnym, nie chłopcem na posyłki. Ale w tej chwili kwestia hierarchii była co najmniej problematyczna.

– Z przyjemnością – powiedział, wziął zapisaną kartkę i wyszedł z pokoju. Liebman odetchnął z ulgą. Nie będzie żadnego poważnego śledztwa, nikt mu się nie dobierze do skóry. Gdy Krzysiak wrócił, trochę zadyszany, Gedalia Chajes pochylał się nad teczką rozłożoną na biurku i bezosobowo zauważył:

– Pisz tu, że czterokrotnie dostał naganę za pijaństwo. Raz nawet naganę z ostrzeżeniem, bo wziął pożyczkę na remont mieszkania, a jego kobita skarżyła się, że przepił pieniądze z kolegami.

– Niech bóg nas chroni przed takimi żonami – mruknął Krzysiak.

– Wy nie macie się czym przejmować – uśmiechnął się Chajes do Liebmana. – Jesteście kawalerem.

Konstanty pragnął wiedzieć, czy kierownik zmiany jest członkiem partii. Krzysiak przytaknął:

– Przecież wiecie, jak to jest Nie ma awansu bez legitymacji partyjnej. Prawdę rzekłszy, nigdy nie był szczególnie aktywny. W ubiegłym roku wymigał się od pierwszomajowego pochodu. Jego legitymacja nie ma żadnego znaczenia. Poprosimy towarzysza Chajesa, aby jeszcze dzisiaj zwołał posiedzenie egzekutywy, wykluczmy go w ciągu minuty. Udowodnimy, że jeśli członek partii coś sknocił, to nie ma dla niego taryfy ulgowej.

Konstanty wydawał się zadowolony.

– Dobra robota – powiedział. – Za pół godziny będę u siebie w biurze i zostanę tam do późnego wieczora. Może nawet do północy. Będę czekał na wasz telefon, towarzyszu Chajes. Nic chcę aresztować kierownika zmiany z legitymacją partyjną w kieszeni.

– To zrozumiałe – przytaknął przewodniczący Podstawowej Organizacji Partyjnej i natychmiast po wyjściu oficera bezpieczeństwa zauważył z lekką ironią:

– Widzicie, Nowak. Rozwiązaliście problem.

– Nie jestem pewien, czy postąpiłem słusznie.

– Oczywiście, że niesłusznie. Nie rozwiązał żadnego problemu – zachnął się Krzysiak.

– Na waszym miejscu – zauważył z przekąsem Gedalia – trzymałbym język za zębami.

– Nigdy nie będziecie na moim miejscu. Ulepieni jesteśmy z innej gliny – odparował Krzysiak, zmierzył Gedalię lekceważącym spojrzeniem i opuścił pomieszczenie. Gedalia Chajes odczekał, aż drzwi za naczelnym się zamkną, wskazał Liebmanowi krzesło, po czym rzekł z niezwykłą powagą:

– Nie zwracajcie uwagi na puste gadanie. Jesteście człowiekiem rozsądnym i postąpiliście rozsądnie. Wasza pomoc będzie zapamiętana. Notabene: nie widziałem waszego nazwiska na liście kandydatów starających się o przyjęcie do partii.

– Nie składałem takiego podania.

– Dlaczego?

– Krzysiak zadał mi to samo pytanie.

– Jaką dostał odpowiedź?

– Że nie jestem komunistą.

– Teraz, gdy rozmawiamy w cztery oczy, a mam nadzieję, że ściany w moim pokoju nie mają uszu, muszę wam powiedzieć kilka słów prawdy: jesteście człowiekiem rozsądnym, ale naiwnym. Bardzo naiwnym. Czy naprawdę sądzicie, że wszyscy ci, którzy w ostatnim roku zapisali się do partii, są komunistami? Nikt z nas nie wyssał marksizmu z mlekiem matki, ale też nikt nie doznał objawienia akurat wtedy, gdy czerwona legitymacja zaczęła otwierać drzwi. Człowiek inteligentny buduje światopogląd jak murarz dom. Cegła po cegle. Czasami decyduje osobiste doświadczenie, poczucie przynależności klasowej, a czasem dochodzi się do decyzji w efekcie ewolucyjnego myślenia. Ja połączyłem obie drogi i wiercie mi, obie były długie i trudne. Wasza sytuacja jest znacznie łatwiejsza. Jeśli dążycie do sprawiedliwości społecznej, jeśli uznajecie przodującą rolę partii w budowaniu tej sprawiedliwości i jeśli chcecie służyć dobrej sprawie, to naprawdę nie ma żadnego powodu, abyście nie poszli z prądem historii. Partia jest drogą życia. Oznacza to, że wszystko inne to tylko pobocza. Na poboczach, czyli na marginesie, nie ma życia. Tylko ten, który kroczy właściwą drogą, kroczy naprzód i zapewnia sobie dzień jutrzejszy. Partii potrzebni są ludzie zdolni i uczciwi. Jeśli dojdziecie do przekonania, że chcecie maszerować we właściwym kierunku, chętnie podpiszę wasze podanie jako członek wprowadzający.

– To było dosyć długie przemówienie – powiedział Liebman półżartem i zaraz dodał poważnie: – W każdym razie dziękuję za okazane mi zaufanie.

– Udowodniliście, żeście na nie zasłużyli – rzucił jakby od niechcienia Gedalia Chajes i sięgnął po słuchawkę telefonu, dając do zrozumienia, iż rozmowa została zakończona.

Nazajutrz, w dzienniku o ósmej rano, radio nadało krótki komunikat o wykryciu sabotażu w zakładach Uniwersal. Spiker podkreślił szybką i sprawną działalność władz bezpieczeństwa. Liebman wysłuchał wiadomości, siedząc na tylnym siedzeniu czarnej czajki. Od miesiąca miał do dyspozycji służbowy samochód. Na razie ze wspólnego parku samochodowego zakładów. Kierowca przyhamował i odwracając głowę, powiedział do swojego pasażera z uznaniem:

– U Konstantego każde kopnięcie to gol do bramki.

Nieco później Liebman przejrzał ostatnie wydanie „Gazety Robotniczej” oraz wewnętrzny biuletyn Uniwersalu. Rita codziennie kładła je na biurku naczelnego inżyniera. Biuletyn pomijał wczorajszy incydent milczeniem. Organ Komitetu Wojewódzkiego poświęcił mu spory artykuł na czwartej stronie. Dziennik przypisywał sabotaż w dziale obróbki termicznej konspiracyjnej działalności elementów wywrotowych, finansowanych z zagranicy. Artykuł kończył się znaną formułką: „Wydarzenia w Uniwersalu dowodzą, że wróg wykorzystuje każdą okazję, aby zaszkodzić władzy ludowej. Tylko nieustanna czujność może nas uchronić przed niecnymi knowaniami tego rodzaju”.

Gdy tylko odłożył gazetę, pojawił się Krzysiak, nie pukając nawet do drzwi i nie witając swego inżyniera naczelnego, jak to dawniej było w jego zwyczaju, uprzejmym „dzień dobry”. Na twarzy dyrektora malowało się nieukrywane oburzenie. Stał przy biurku, oparł ramiona o blat i pochyłony w stronę Liebmana wypalił:

– Na pewno jesteście z siebie zadowoleni, Nowak. Wkrótce wystąpicie jako świadek oskarżenia, może dostaniecie jakieś odznaczenie za zasługi, może ogłoszą was narodowym bohaterem. Oczywiście, nikt się o tym nie dowie, bo procesy tego rodzaju toczą się przy drzwiach zamkniętych. Tylko wyrok zostanie ogłoszony, ku przestrodze innych. Ale przed robotnikami w zakładach nie można będzie ukryć prawdy, nawet jeśli nasz wspaniały biuletyn fabryczny przejdzie nad nią do porządku dziennego. Oni wiedzą doskonale, co się stało. Kierownik zmiany odsiedzi swoje, my nadal będziemy zarządzali Uniwersalem, tyle tylko, że nikt nigdy nie da już wiary temu, co powiemy. Jakie moralne prawo będziemy mieli, by żądać zwiększenia wysiłku, jak popatrzymy im w oczy na wiecach, podczas których prawimy kazania o wyższości socjalizmu nad każdym innym ustrojem? Gdy przyjmowałem was do pracy, nie wiedziałem, że hoduję żmiję na własnej piersi.

Liebman odsunął gazetę.

– Wiecie doskonale, towarzyszu Krzysiak, że moja opinia nie miała żadnego znaczenia, że sprawa była przesądzona z góry, nieważne, co każdy z nas powie.

– Brzmi świetnie jako lek na uspokojenie sumienia. Wytnijcie sobie ten artykuł z „Gazety Robotniczej” i powieście na ścianie oprawiony w ramkę.

– Wydaje mi się, że robicie widły z igły – bronił się Liebman. – W gruncie rzeczy był to wypadek bez większego znaczenia. Nawet jeśli ktoś padł ofiarą, istotna jest tylko przyszłość zakładów.

– Oho, widzę, że szybko złapaliście kierunek wiatru. Jeśli los człowieka jest dla was wypadkiem bez większego znaczenia, to pragnę wam wyjaśnić, że nie tak to widzą prawdziwi komuniści.

Liebman wcale nie był przekonany, że sprawa odbędzie się przy drzwiach zamkniętych. Sądził, że partia będzie chciała wyeksponować osobę oskarżonego, i że także zeznania świadków znajdą się w druku. Może nawet ich zdjęcia. Na przykład fotografia inżyniera, który wskazał winnego. Dreszcz przechodził go na myśl, że ktoś go rozpozna, może nawet sam Rudolf Nowak przeczyta sprawozdania prasowe i stawi się na posterunku milicji, aby wyjaśnić sprawę dziwnego sobowtóra. Żył w lęku ponad dwa tygodnie, aż do dnia, w którym na posiedzeniu dyrekcji Gedalia Chajes oznajmił obecnym, że kierownik zmiany i jeden z jego pomocników zostali skazani na dwa lata robót przymusowych.

– Nie miało sensu babranie się w szczegółach, skoro wina oskarżonych była oczywista. Towarzysze w KW nie chcieli ułatwiać życia plotkarzom, którzy i tak nam dobrze nie życzą. Wyrok wydano w trybie przyspieszonym, na podstawie ustawy o ochronie państwa. Nie należy zapominać, że wciąż jeszcze prowadzimy walkę klasową, i nie wolno nam wykazać słabości.

Słuchając wyjaśnień szefa kadr, Liebman obserwował Krzysiaka, przekonany, że za chwilę wybuchnie. Prawdę mówiąc, sam ze zdumieniem odbierał słowa Gedalii Chajesa,

który rozprawił o konieczności oderwania się od zakłamanego, burżuazyjnego systemu sprawiedliwości i podporządkowania sądownictwa potrzebom wyższej sprawy. Nie wiedział, jak zareaguje Krzysiak, ale dyrektor siedział z głową pochyloną, wspartą na ramionach, milczący, obecny a równocześnie nieobecny na naradzie. Chajes zakończył swoje przemówienie uwagą, że nadszedł czas wymiany starych sędziów na nowych, którzy zamiast studiować na uniwersytetach prawo rzymskie, uczyć się będą humanizmu socjalistycznego i jego znaczenia we wszystkich dziedzinach ludzkiego bytu, aby zaraz potem przejść do nowego tematu: niskiej wydajności w dziale obróbki metali. Mimo iż nie wymienił nazwisk i nikogo nie obarczył za to osobistą odpowiedzialnością tym razem wyprowadził Krzysiaka z równowagi.

– To już naprawdę przekracza wasze kompetencje – powiedział głośno. Bardzo głośno.

Chajes odpowiedział pouczającym tonem nauczyciela w liceum:

— Zakonotujcie to sobie dobrze w pamięci, towarzyszu: człowiek zawsze stoi w centrum działalności, jakakolwiek by ona nie była. Dlatego ja, jako dyrektor odpowiedzialny za kadry, jestem odpowiedzialny za wszystko, co robią lub czego nie robią ludzie w naszych zakładach. Czy nie brzmi to logicznie, towarzyszu Krzysiak?

Przykry konflikt nie utkwiłby w pamięci Liebmana, gdyby nie sen, który uparcie nawiedzał go przez kilka ostatnich nocy: odziany w więzienny pasiak schodzi po schodach wiodących do piwnicy. W słabym świetle lampy pod sufitem widzi przed sobą szerokie plecy Konstantego. Oficer przystaje, ruchem ręki daje mu znak, że ma zejść jeszcze niżej. Klatka schodowa kończy się żelaznymi drzwiami w stalowoszarym kolorze. Drzwi są otwarte, za nimi ciągnie się długi ciemny korytarz. Sylwetka Konstantego rozpływa się w tej ciemności. Żelazne drzwi zamykają się za nim z trzaskiem kłującym uszy. Liebman zawraca, próbuje je otworzyć, naciska z całej siły, aż poddają się dawno nieoliwione zawiasy. Natomiast znikły schody prowadzące do góry. Nie ma drogi powrotnej.

Nocna zmora nie przestawała go dręczyć nawet potem, gdy budził się zniecałkowany, nieraz o północy, nieraz o czwartej nad ranem, i zapalał światło lampki przy łóżku. Światło przegania złe duchy, zwykła mawiać mama, gdy jako małe dziecko bał się zasypiać w ciemności. Wówczas światło rzeczywiście dawało mu poczucie bezpieczeństwa. A może była to świadomość, że matka jest blisko, że czuwa nad nim? Tak było wówczas. Teraz, nawet całkowicie rozbudzony, nie mógł uwolnić się od lęków zrodzonych podczas snu. W małej sypialni wisiły tylko dwa obrazy: Matka Boska u wezglowia i litografia świętego Augustyna, według fresku Botticellego, po przeciwnej stronie łóżka. Za każdym razem gdy otwierał oczy, wzrok padał prosto na twarz świętego, który z niepojętej przyczyny przypominał mu Konstantego. Nie byli wcale podobni i nie mógł pojąć tego bezsensownego związku. Po kilku wyczerpujących nocach zdjął obraz ze ściany i postawił go za szafą. W taki to sposób przerwał przypuszczalnie łańcuch nieświadomych skojarzeń; senna zmora pierzchła.

Trzy razy w tygodniu Maria Kot sprzątała pokój sublokatora i raz na tydzień zmieniała mu pościel. Lubił zapach farbki, którą dodawała do prania, i przyjemny szelest mocno nakrochmalonych poszewek. Dawały mu poczucie domowego luksusu. Po okresie męczących snów, tylko w czterech ścianach swojego pokoju, czuł się odizolowany od świata zewnętrznego, a więc bezpiecznie. Najmilej było w zimie, gdy godzinę lub dwie przed jego powrotem rozpalala wielki kaflowy piec, typowy dla wszystkich ponemieckich mieszkań, i sypialnia nasiąkała atmosferą ciepłej przytulności. Siadał wówczas na brzegu łóżka, zdejmował buty, nogi w skarpetach opierał o krzesło i pogrążał się w czytaniu dokumentów, których nie zdążył przejrzeć w biurze.

Właścicielka mieszkania musiała zadowolić się miałem węglowym, ponieważ antracyt sprzedawano tylko w konsumie dla uprzywilejowanych. Kilkakrotnie rzucała krótkie, lecz wyraźne aluzje, że będąc inżynierem naczelnym w Uniwersalu, mógłby z łatwością załatwić tonę lub dwie wysokogatunkowego węgla, dzięki czemu „obojgu nam byłoby przyjemniej”.

Udawał, że nie słyszy lub nie pojmuję, o co chodzi. Przecież był w tym domu, jak to wyjaśnił kiedyś Ricie, tylko sublokatozem i niczym więcej. Czynniki płacił regularnie i nie sądził, aby przypadkowe popołudniowe herbatki z panią domu nakładały nań jakieś dodatkowe obowiązki. Mówiąc szczerze, zgrabna sylwetka Marii Kot budziła w nim, od czasu do czasu, dosyć zrozumiałe asocjacje, ale bardziej niż czegokolwiek innego obawiał się cienia intymności. Każde zbliżenie zawierało w sobie niebezpieczeństwo uchylecia rąbka skrzętnie ukrywanej prawdy.

Po jakimś czasie, nieproszona, zaczęła podawać mu śniadania w salonie. Zawsze na czystym haftowanym obrusie, zawsze na talerzykach z kruchej porcelany. Sztućce były przedwojenne, srebrne. Ale nawet gdy siadała do stołu, aby wypić z nim szklankę herbaty, rozmowy nigdy nie wykraczały poza konwencjonalne grzeczności, podprawione przez Marię lokalnymi plotkami. Liebman potakiwał, uprzejmie podkreślając swoją uwagę, lecz w rzeczywistości słowa gospodyni przelatowały mu mimo uszu. Jeszcze zanim wypił filiżankę kawy, myślami był już daleko, w Uniwersalu. W ciągu tych miesięcy, od dnia, w którym znalazł jej adres w dziale ogłoszeń, nigdy nic widział jej sypialni. Nie przyszło mu do głowy otworzyć drzwi i zajrzeć do wnętrza, a Maria, ze zrozumiałych chyba względów, nigdy go tam nie zapraszała. Nigdy też nie wprosiła się do jego pokoju. Salon był strefą neutralną, która ich dzieliła. Aż do pewnej niedzieli, gdy przed pójściem na mszę, zapukała do jego drzwi.

– Proszę – zawołał, nieco zdziwiony.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam – usprawiedliwiła się.

– Ależ skąd – odparł i szybko zapiął guziki koszuli. Wizyta była tak niespodziewana, że w zakłopotaniu zapomniał podsunąć jej krzesło. Stała więc w progu, w niebieskiej odświętnej sukience z długim rękawem i letnim płaszczu narzuconym na plecy. Nigdy nie nosiła biżuterii. Także teraz zadowolona się małym krzyżykiem z masy perłowej, zawieszonym na cienkim srebrnym łańcuszku. Jej wzrok spoczął na wymiętej pidżamie, ciśniętej w kącie łóżka. Lekko zawstydzony, szybko wepchnął ją pod kołdrę.

– Mężczyźni nigdy nie przestrzegają porządku – zauważyła bez nutki nagany.

– Mam nadzieję, że nie jest to jedyna cecha świadcząca o męskości.

Zdanie zostało wypowiedziane, nim zorientował się co do jego dwuznacznego charakteru. Maria Kot wciąż jeszcze stała oparta plecami o futrynę, on wciąż jeszcze siedział na łóżku, a między nimi rozpościerał się obszar obcości. Szybko pojął, że uwaga była nie na miejscu, i że należy zatrzeć złe wrażenie.

– Przepraszam, zapomniałem, że w tym pokoju obowiązki gospodarza spadają na mnie – powiedział, wstał i ucałował jej dłoń z przesadną galanterią. Maria rzuciła płaszcz na poręcz krzesła i usiadła. Przez firanki w oknie sączyły się łagodne promienie słońca i padały na jej twarz. Musiał przyznać, że czas obszedł się z nią łaskawie. Ani jednej zmarszczki. Przedtem nie zwrócił na to uwagi. Nie pamiętał nawet koloru jej oczu. Do tej chwili była dla niego po prostu osobą, od której wynajmował pokój. Czyżby? Z ręką na sercu musiał przyznać, że zawsze fascynowała go swą kobiecością, tyle tylko, że nie zawsze zdawał sobie z tego sprawę. Może dlatego rzekł tak sucho, jak tylko mógł:

– W naszych czasach prawdziwego mężczyznę poznaje się po osiągnięciach w pracy.

Było to powiedzenie żywcem wyjęte ze słownictwa Krzysiaka i Chajesa. Nie potrafił wytłumaczyć sobie, dlaczego się nim posłużył. Maria nie odniosła się do jego uwagi. Głosem pozbawionym wszelkich emocji rzekła:

– Wczoraj, sprząając pokój, zauważyłam, że Botticelli znikł ze ściany. Dziwiłam się, co się z nim stało. Powiesiłam ten obraz w nadziei, iż przypadnie do gustu każdemu sublokatorowi. Przyznam szczerze, święty Augustyn w dużej mierze ukształtował mój światopogląd. Ale mój zmarły mąż kupił go, ponieważ był miłośnikiem sztuki renesansu. Tę litografię znalazł w antykwariacie we Florencji. Dużo podróżował. Służbowo.

– Wiem. Był lekarzem weterynarii.

– Oczywiście, że wiesz, Rudolfie – niespodzianie zwróciła się do niego po imieniu. – Jesteśmy prowincją, a tu wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich. Rita?

– Rita – przyznał.

– Mój mąż nie był zwykłym weterynarzem – ciągnęła. – Niemal całe życie poświęcił koniom wyścigowym. Nieliczni wiedzą, że już w starożytnym Rzymie szlachetne konie chowano z cesarskim ceremoniałem. Były nawet mowy pogrzebowe. Ryszard Lwie Serce uważany jest za pierwszego króla, który trzymał stadninę arabskich ogierów. To jego zdobycz z wypraw krzyżowych. Arabcy były ulubioną rasą mojego męża. Uważany był za jednego z najwybitniejszych specjalistów w tej dziedzinie. Przed wojną nie było poważnego hodowcy, który by nie zwracał się do niego o opinię. Doradzał także dowództwu jazdy. Podczas wojny pracował z Niemcami. Można o nich powiedzieć, co się chce, ale na pewno znali się na rasowych koniach.

Już chciał odszczeknąć, że nauka o rasach była specjalnością nazistów, ale ugryzł się w język. Maria kontynuowała:

– Zazdrościcy zarzucali mu kolaborację z okupantem. Nie ma większego kłamstwa. Nigdy nie zajmował się polityką. Jego współpraca z Niemcami miała czysto zawodowe podłoże. Zaczęła się w Dreźnie, podczas dorocznej aukcji rasowych koni. Trwały do końca wojny, mimo że alianci doszczętnie zniszczyli miasto. Zbombardowali nawet gmach opery. Byłeś kiedyś w Dreźnie?

– Nie miałem okazji – odparł. Maria nie wyczuła, a może tylko udawała, że nie słyszy sarkazmu w jego głosie, i spokojnie kontynuowała relację:

– Szkoda. Było to jedno z najpiękniejszych miast Europy. Czy wiesz, że istnieje drezdeński związek między końmi a sztuką?... Sądzę, że nie wiesz, aczkolwiek piszą o tym niemal wszystkie podręczniki historii: z początkiem osiemnastego stulecia królewski architekt otrzymał polecenie przebudowy zamkowych stajni na galerię sztuk plastycznych. Potem został jej kustoszem i jeździł po świecie, aby skompletować zbiór. Niemal cała kolekcja została zniszczona podczas nalotów. W moim przekonaniu to czysty wandalizm. To, co ocalało, Rosjanie wywieźli do Moskwy... Och, przepraszam, w gruncie rzeczy chciałam się tylko dowiedzieć, gdzie schowałeś Botticellego. Widzisz, z kobietami to jak z wojną: wiadomo, jak się zaczyna, nigdy nie wiadomo, jak się skończy.

Liebman zastanawiał się, czy nie opowiedzieć jej o nocnych zmorach. Maria siedziała blisko niego, a równocześnie daleko. Ich światy krążyły po odmiennych orbitach.

– Mam nadzieję, że się pani nie pogniewa. Postawiłem go za szafą.

– Za szafą? – zdumiała się.

– Obraz wywoływał u mnie dziwne skojarzenia. Nie pozwalał mi spać spokojnie.

– Wierzysz w Boga?

– Nie wiem. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Po tym, co widziałem w obozach, trudno uwierzyć w Boga jako uosobienie dobra. Nie jestem pewien, czy Bóg stworzył człowieka, ale wiem na pewno, że człowiek stworzył Boga według swoich potrzeb i wyobrażeń. Czy pamiętasz napis na kłamrach niemieckich pasów wojskowych?

Teraz także Liebman, prawie nieświadomie, zaczął ją tykać.

– Oczywiście, że pamiętam: *Gott mit uns*.

– Można więc wysnuć nową tezę. Rosjanie rzucali się do szturmów z okrzykiem „za Stalina!”. Czy wysnujemy stąd wniosek, że wygrana wojna stanowi zwycięstwo bezbożników nad armią Wszechmogącego?

– Przecież wiesz, że to czcza demagogia.

– Wiem. Chciałem tylko przypomnieć, jak skomplikowane jest określenie boskości. Każdy ma swojego Boga i każdy interpretuje go inaczej. Miałem kiedyś nauczyciela religii, który nigdy nie wymieniał boskiego imienia, nazywał go po prostu „jestestwo bez początku i

końca”. Ale świat bez początku i końca to świat wiecznej ciszy, powiadał. Dlatego Wszchemogący umyka ludzkim pojęciom i przekształca się w zwiastuna dobra i zła. Jestestwo bez końca i zwiastowanie istnieją tylko w dwubycie, jak węgiel i płomień. Czarny węgiel istnieje sam dla siebie, ale jest niczym bez płomienia.

– W życiu nie słyszałam tak zwariowanej tezy. Kim był twój nauczyciel?

– Nie pamiętam nazwiska.

Liebman poczuł, że zabrnął za daleko. Po cholerę mu ta pseudoteologiczna dysputa? Nie może jej przecież powiedzieć, że nauczycielem był jego dziadek wprowadzający go w tajniki Kabały⁴. I że wszystko to należy do przeszłości, z którą nie chce mieć nic wspólnego. Więc tylko powtórzył:

– Nie pamiętam nazwiska. Przypuszczalnie przekręciłem też jego nauki.

– Ta przenośnia z węglem i ogniem brzmi bardzo materialistycznie. Wiara pragnie dotknąć naszego rozsądku, a nie podporządkować nas ślepo Boskiemu autorytetowi. Przypomina to wahania młodego Augustyna, gdy był jeszcze zwolennikiem manicheizmu⁵. Dla mnie te sprawy są znacznie prostsze. W mojej wierze nie ma miejsca na wątpliwości. Akceptuję bezkrytycznie autorytet Kościoła.

– Wobec tego jesteś szczęśliwa. Wahania komplikują życie.

– Pozwól, że wrócę do mojego ulubionego świętego. Nie jestem pewna, czy cytuję go dokładnie, ale na pewno dokładnie oddaję ducha jego nauki. Augustyn pisał, że żaden duszpasterz nie jest w stanie dać nam więcej od przejrzenia prawdy, którą i tak, całkiem nieświadomie, nosimy w sobie. Nawet najwspanialszy myśliciel nie tworzy nowej prawdy, on tylko umożliwia jej dogłębne poznanie. My zaś możemy ją odkryć i pojąć dzięki Jezusowi Chrystusowi, bo On jest naszym *magister interior*, który otwiera serca tych, co są skłonni go słuchać. Czy to nie proste?

– Nie. Na tej zasadzie mógłbym wysuwać inne żądania wobec stwórcy świata, najwyższego symbolu sprawiedliwości, i całkiem inne wobec siebie samego. Bo przecież, w przeciwieństwie do niego, nie reprezentuję absolutnej doskonałości.

Maria Kot spojrzała uważnie na swego rozmówcę, jakby chciała się przekonać, czy mówi poważnie, czy ironizuje. Potem wstała i przywróciła litografię na miejsce.

– Jestem pewna, że nigdy już nie zakłóci ci snu – skonstatowała z pewnością siebie. – A swoją drogą, mieszkamy tak długo pod jednym dachem, ale po raz pierwszy otworzyliśmy nasze dusze. Jesteś człowiekiem zamkniętym w sobie, ja również nie jestem wylewna. W gruncie rzeczy jesteśmy do siebie podobni.

– To znaczy, że zgadzamy się, iż nie ma między nami zgody – zauważył żartobliwie.

– Także to jest pewnym osiągnięciem – odparła równie wesoło. Wstała, sięgnęła po płaszcz i już na odchodnym zaskoczyła go po raz wtóry:

– Poszedłbyś ze mną? Zdążymy na drugą mszę. Nie masz powodu do obaw. Przecież tylko szatan boi się święconej wody.

– Ciekaw jestem, czy szatan w Kościele może mieć nadzieję na zbawienie?

– To znaczy, że idziesz ze mną – ucieszyła się. – Weź marynarkę. W kościele jest zawsze chłodno.

Maria Kot modliła się zawsze w kościele pod wezwaniem świętego Augustyna. Nie dla wygody wynikającej z bliskości kościoła, ale ze względu na patrona. „Augustyn podkreślał wyższość Kościoła katolickiego nad świeckim państwem – wyjaśniała Izaakowi. – W naszych czasach, w tym kraju i przy tej władzy, słowa te mają szczególne znaczenie”.

4 Kabała – żydowska mistyczna interpretacja Biblii.

5 Manicheizm – system religijno-filozoficzny, uznający za zasadę bytu dwa przeciwstawne, jednakowo wieczne pierwiastki: dobro i zło.

Aleksander Krzysiak twierdził z całą powagą, że gdyby zależało to od niego, kazałby zamknąć wszystkie kościoły, aby je przekształcić w ludowe domy kultury. Dopiero teraz, gdy wszedł z Marią do świątyni i natychmiast wsiąkł w tłum modlących się, Izaak pojął w całej pełni treść powiedzenia, które w swoim czasie odebrał jako jeszcze jeden tandetny slogan partyjny. Z organów zawieszonych wysoko pod sklepieniem płynęła nieznaną mu, kojąca muzyka. Miał wrażenie, że jest świadkiem jakiegoś misterium, w którym udział biorą setki głęboko wierzących ludzi. Maria stała obok niego, zbliżyła usta do jego ucha, poczuł jej ciepły oddech, i szepnęła:

– Dla wielu niedzielna msza jest wyrazem protestu. Przychodzą, aby przypomnieć komu trzeba, że jesteśmy narodem katolickim.

Krzysiak wiedział, co mówi. Dużo wody upłynie w Odrze, zanim uda się wydrzeć tym ludziom wiarę z serca.

Po raz pierwszy w życiu widział kościół od wewnątrz w roku 1938. Było to u Wizytek na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie. Ogarnęło go wówczas uczucie kosztowania zakazanego owocu. W oczach ojca i dziadka kościoły katolickie były nie tylko terenem zakazanym, ale także, a może przede wszystkim, przypomnieniem dwóch tysięcy lat prześladowań. Żaden młodzieniec z porządnego żydowskiego domu nie przestąpiłby kościelnego progu. Dla Żydów ortodoksyjnych posągi i rzeźby świętych stanowiły symbol bałwochwalstwa. Wszak powiedział Pan: *nie będziecie sporządzać obok Mnie bożków ze srebra ani bożków ze złota nie będziecie sobie czynić*⁶. Ale pójść do Wizytek z Natalią... to była pokusa, której nie mógł się oprzeć mimo wszelkich klątw i zakazów. Natka miała oczy same, długie, prawie niekończące się nogi, jasne włosy, uśmiech Mony Lizy i sposób poruszania się młodej kurewki. A co ważniejsze – Izaak był w niej zakochany. W owym czasie nie podlegało to dla niego dyskusji. Z perspektywy lat płowieją młodzieńcze miłości, ale wówczas...

Natalię poznał na prywatce, w swoim wynajętym mieszkaniu, miesiąc po otrzymaniu pierwszej posady. Ponieważ instytucje państwowe wzgardziły jego ofertą, przyjął propozycję firmy konstrukcyjnej budującej szkielec biurowca. Pobory nie były nęcące, ale zespół młodych inżynierów i kreślarek przypadł mu do gustu; tworzyli atmosferę entuzjazmu, nawet gdy tyczyło to tylko żelbetonu i obliczeń statyki. Natalia przyszła w towarzystwie kolegi z pracy, dziś nie pamięta już jego nazwiska, mówiono, że stanowią dobraną parę, ale po kilku kieliszkach dobrana para głośno się o coś posprzeczała. Kolega wyszedł z trzaskiem drzwi, Natalia została. Została także wtedy, kiedy wszyscy uczestnicy zabawy poszli już do domu. Oddał jej swoje łóżko, sam spał na składanej kanapie. Dżentelmen. Rano zapytała:

– Co jest ze mną nie w porządku?

– Jesteś świetna, ale wypijaś kropelkę za dużo. Chciałem, żebyś się zdecydowała na trzeźwo.

– Zdecydowałam się. – Uniosła się na palcach stóp i pocałowała go w usta.

Był to początek związku stanowiącego fascynujący rozdział jego biografii. Pierwszy dzień znajomości świętowali na zmianę, w łóżku i na kanapie. Izaak zatelefonował do firmy, zawiadomił, że leży złamany kociokwikiem i prosi o dzień urlopu. Okazało się, iż nie był wyjątkiem. Wieczorem zaprosił Natalię do kawiarni. Przedtem spotykał się w tej samej z Lidią, Tamarą i innymi dziewczynami, których imiona regularnie wpisywał do notatnika i równie regularnie je wymazywał. Był przystojny, elokwentny, miał powodzenie. Kelner przywitał ich uniżonym: „Miło powitać pana inżyniera”. Izaak dowartościowywał się tymi drobnymi uprzejmościami i zawsze odpłacał sutym napiwkiem.

⁶ Księga Wyjścia 20, 23. Wszystkie cytaty z Pisma świętego na podstawie Biblii Tysiąclecia, wyd. Pallotinum, Poznań-Warszawa 1991.

Natalia zamówiła gorącą czekoladę. „Umieram z rozkoszy, gdy ją piję”, powiedziała. Umierała z rozkoszy, gdy kupowała sobie nową sukienkę, umierała z rozkoszy, gdy wychodziła podekscytowana z dobrego spektaklu, umierała z rozkoszy, gdy marszałek Piłsudski stawiał na dywanik jakiegoś generała, a teraz pociągając przez słomkę gorącą czekoladę, przyznała z rozbrajającym uśmiechem, że umiera z rozkoszy w towarzystwie Izaaka. Taki już miała styl mówienia. Śmiech jej był naturalny i zaraźliwy. Zaraził nawet właściciela kawiarni, który posłał w ich stronę życzliwe spojrzenie. Izaak był szczęśliwy i chciał wiedzieć: dlaczego akurat ja?

– Od pierwszej chwili intrygowała mnie twoja osoba. Mój przyjaciel popełnił życiowy błąd. Wiedziałaś, że mnie adoruje? Nie? Cały świat wiedział, tylko ty nie widzisz niczego. Masz głowę w chmurach. To on cię wciąż wychwalał, opowiadał, jaki jesteś zdolny i jak cię wykiwali z poborami, wiedząc, że jesteś Żydem, i że nawet nie przyszło ci do głowy zażądać więcej. Mój tata ryczał ze śmiechu: „Cały szacunek dla kogoś, kto potrafił wykiwać Żyda w sprawach finansowych”. Szkoda, że nigdy go nie poznasz. Jest tak wesoły, że mógłby chyba rozśmieszyć żałobników na pogrzebie. Mama mówi, że to po nim odziedziczyłam mój śmiech. Ale wesołość mojego ojca wprowadza w błąd. W gruncie rzeczy jest człowiekiem bezkompromisowym, twardym jak orzech, pamiętliwym i niewybaczającym. Wychowywał nas, mnie i mego brata, w duchu patriotycznym. Myślę, że gdy tylko zaczął mówić, pierwszymi jego słowami były „ojczyzna, honor i chrześcijaństwo”. Zaczynasz rozumieć?

– Bunt młodości?

– Jestem jabłkiem, które spadło daleko od drzewa. A ty jesteś moim zakazanym owocem.

Izaak Liebman widział w ich związku utwór, którego partyturę kreśliły nie tylko dźwięki, ale także nuty zapachów i zmysł dotyku. Przeszkadzało mu tylko, że ilekroć próbował wprowadzić doń cień romantyzmu, Natka podkreślała jego przemijający charakter. Pewnego wieczoru, gdy leżała naga na pluszowej kanapie, przyjemnie zmęczona i zadowolona, przedstawiła swój pogląd na życie: trzeba korzystać z uciech chwili, bo w niedalekiej przyszłości będzie musiała nagiąć się do woli rodziców i wyjść za mąż za człowieka, którego oni wybiorą. Tak było zawsze w ich rodzinie i tak będzie teraz. Będzie to małżeństwo wygodne jak domowe kapcie: małżeństwo z rozsądku, bez dzikiej miłości, która nałożyłaby kaganiec na jej poczucie wolności.

Na próżno usiłował ją przekonać, że może być inaczej. Nie próbując okryć nagości, świadoma magnetycznej siły swojego ciała, roześmiała się:

– Ja jestem suką w rui, a ty sentymentalnym marzycielem. Przypuszczalnie jest to bardzo, ale to bardzo żydowska cecha charakteru.

Natalka była całkowicie różna od Zosi. Zosia ukrywała ich miłość nie dlatego, że była grzeszna, lecz z obawy przed złymi językami środowiska. Natalia znajdowała przyjemność w wyzwaniu, w drażnieniu wszystkich dokoła: własnych rodziców i wszystkich, jak ich nazywała, kołtuńskich znajomych. Ciągnęła go na przyjęcia i na premiery. Często czuł się jak pies rzadkiej rasy, oprowadzany na pokaz, na złotej smyczy. W końcu towarzyszył jej także na niedzielną mszę, do kościoła, w którym jej rodzice mieli stałe, honorowe miejsca. Udawali, że go nie widzą, bo przecież dla nich rzeczywiście nie istniał. Natalia trzymała go za rękę, z tym jej typowym buntowniczym uśmieszkiem. Szczególnie zakłopotany był wtedy, gdy wszyscy w kościele klękali, a on stał nieruchomo, wyprostowany, przyciągając zdziwione, nierzadko wrogie spojrzenia.

Nigdy się nie dowiedział, kto doniósł o tej przygodzie ojcu i matce w Chełmie Lubelskim. Ojciec zamknął sklep na dwa dni i wybrał się w podróż do stolicy, aby przywrócić dziecku zdrowy rozsądek.

– Nie możesz łamać serca matki – strofował go. – Nie jesteś Rotszyldem, żebyś mógł się ożenić z gojką. Widziano cię w kościele z tą sziksą⁷. Nie wstydzisz się? – wołał z nieukrywanym oburzeniem. – Niech ci się nie wydaje, że to ty wynalazłeś miłość. Ja także byłem kiedyś młody, zakochany i rozczarowany, ale nigdy nie straciłem rozumu jak ty. Jeśli nie zerwiesz z tą, z tą...

– Natalia – odpowiedział mu.

– Tak, jeśli nie zerwiesz z tą, nie chcę nawet znać jej imienia, nie będę mógł się pokazać w synagodze. Przecież wiesz, jak to u nas. Rodzina Liebmanów na wieki wieków wyklęta zostanie z gminy!

Natalia nie zrobiła dzikiej awantury, nie zaprotestowała cicho, nie zaszlochała, gdy całkiem niespodziewanie położył koniec „miłości swego życia”. Nie pytała o powody, nie chciała słuchać wyjaśnień. Może się domyśliła, bo nie ukrył przed nią wizyty stroskanego ojca, i jakby w odwecie po kilku tygodniach przysłała mu zaproszenie na ślub: „Natalia Grot i Stefan Brosz mają zaszczyt zawiadomić, że ceremonia ich zaślubin odbędzie się w piątek, 1 września 1939, o godzinie dziesiątej, w kościele Wizytek przy ulicy Krakowskie Przedmieście...”. Izaak posłał jej do domu pęk żółtych storczyków, kosztowały majątek, ale były piękne. Pojawił się także w kościele i zadbał, by go zauważyła. Do kwiatów nie dołączył bilecika z życzeniami, swoją obecnością chciał dać do zrozumienia, że bukiet był od niego, bo żółty jest przecież kolorem zazdrości. Wiedział, iż to dziecinada, ale nie mógł się oprzeć pokusie.

Gdy młoda para i towarzyszące osoby wychodziły na ulicę, powietrze wypełniło się przerażającym wyciem syren alarmowych. Wojna wybuchła o piątej czterdzieści pięć nad ranem, młoda para szła do ołtarza jakby nic się nie stało, ale o jedenastej spadły już na miasto niemieckie bombowce niczym klucz drapieżnych sępów. Liebman znalazł schronienie w kościele. Z krzyża spoglądał na niego Chrystus, gdzieś z głębi wciąż jeszcze płynęła muzyka, organy bez skutku próbowały zagłuszyć huk wybuchów.

Także u świętego Augustyna gra organów wypełniała wnętrze kościoła. Zatopiony we wspomnieniach, Izaak przeoczył zakończenie nabożeństwa. Maria lekko dotknęła jego ramienia i szepnęła:

– Chciałabym, żebyś poznał księdza. Uroczy człowiek i fascynujący rozmówca.

– Może kiedy indziej – usiłował się wykręcić. Ale nim zdążył skierować się w stronę wyjścia, ksiądz wyszedł mu naprzeciw z dłonią wyciągniętą na powitanie.

– Witam pana w domu Bożym, panie Nowak.

– Ksiądz mnie zna?

– Pani Kot nie przestaje pana wychwalać.

– Niech ksiądz mu powie, o co chodzi – przynaglała Maria. – Inżynier Nowak może nam przyjść z pomocą.

Stali w bramie kościoła, ludzie przechodzili obok, żegnając księdza uprzejmym „Bóg zapłać” i śląc zdziwione spojrzenia w kierunku Liebmana. Wszyscy znali tu wszystkich, on jeden był obcy.

– Wierzę, że Wszchemogący obdarzy pana siłą woli i możliwością służenia Mu swoją osobą. Proszę popatrzeć w lewo, widzi pan te dwie ciężarówki? A teraz w prawo. Stoją tam robotnicy, wszyscy mają kilofy i łopaty.

– Nie sądziłem, że pracują w niedzielę – zdziwił się Liebman. – Ale dlaczego ksiądz szepcze? Czy to jakaś tajemnica?

Z bocznej ulicy wyłonił się buldożer, warcząc silnikiem. Hałas był tak ogłuszający, że Maria musiała mówić mu prosto do ucha. Najpierw usłyszał jej przyspieszony oddech, dopiero potem słowa:

7 Pogardliwe określenie nie-żydowskiej dziewczyny.

– W ubiegłym roku rozkopali ulice, aby zapobiec procesji Bożego Ciała. Jutro będzie dwudziesty ósmy sierpnia, dzień świętego Augustyna. Postanowiliśmy go uczcić nie mniej uroczystą procesją. Od kilku tygodni przygotowujemy to święto. Tysiące ludzi zapowiedziały swój udział. Niestety, również pańscy towarzysze przygotowali się jak trzeba.

Zauważył, że w obecności księdza nie zwracała się do niego po imieniu.

– Przykro mi, ale naprawdę nie rozumiem, w czym rzecz.

– Proponuję, abyśmy weszli do zakrystii. Zbyt wiele oczu jest na nas skierowanych — wtrącił ksiądz i poprowadził ich do drzwi za ołtarzem. Liebman przeklinał chwilę, w której uległ namowom Marii. Wciąż jeszcze nie orientował się, w czym sedno sprawy, ale nie ulegało wątpliwości, że usiłują wplątać go w jakieś matactwo. W zakrystii usiedli przy stole. Stały na nim lichtarze czekające na ministranta, który polerował je do połysku po każdym nabożeństwie. Ksiądz wciąż jeszcze mówił przyciszonym głosem, jakby się obawiał, że ściany mają uszy:

– Jest wśród nas ktoś, kto na bieżąco informuje władze o przygotowaniach i trasie procesji. W zeszłym roku dostali nawet listę osób, które nam pomagały. Wszystkie miały potem przykrości w pracy, rzekomo bez związku z kościelną działalnością. Nie brakuje im sposobów uprzykrzania ludziom życia. Nie wiemy, kto im donosi. Każda epoka ma swojego Judasza.

Ksiądz podniósł wzrok ku sklepieniu, jakby gdzieś w górze szukał potwierdzenia tych słów. Maria widziała, że Liebman nie pojął, do czego ksiądz zmierza, więc postanowiła być bardziej bezpośrednio:

– Partia nie szuka frontального starcia z Kościołem. Niewielu Polaków skłonnych jest wyprzeć się wiary. W innych krajach tego, co oni nazywają obozem pokoju, zamienia się kościoły w magazyny, albo zamknięte na cztery spusty świecą pustkami. Chyba nie muszę panu mówić, co się stało w bolszewickiej Rosji, gdzie księża wędrują do więzień i obozów. Zostaje po nich tylko spalona ziemia. U nas władza rzekomo nie odbiera nam prawa do służenia Bogu, aczkolwiek nikt nie wie, jak długo to potrwa. Na razie działają w ramach prawa, a ustawa, jak pan chyba wie, zapewnia nam prawo do kultu religijnego.

– Lecz także prawo do działalności ateistycznej – wtrącił ksiądz. – Wszystko w imię demokratycznego równouprawnienia.

Liebmanowi wydawało się, że krzesło pod nim staje się coraz twardsze. Ksiądz przeszedł teraz do meritum:

– Oni zrobią wszystko, aby zapobiec procesji bez konfrontacji z jej uczestnikami. Znamy przecież reguły tej gry. W końcu także my mamy, od czasu do czasu, możliwość zerknięcia w wewnętrzne dokumenty partyjne. Lenin pisał, że religia to opium dla ludu...

– Wiem.

...w myśl tej teorii twierdzą, że Kościół ma ludzi obietnicą zbawienia po śmierci, podczas gdy byt kształtuje naszą świadomość w teraźniejszości i zapewnia szczęście tu i teraz, a nie w życiu pozagrobowym. Ale my nie odmawiamy wierzącym prawa do szczęścia doczesnego. Zresztą, jakkolwiek byśmy tego nie ujęli, mamy przed sobą nieuchronne starcie dwóch krańcowo różnych światopoglądów. W starciu tym trudno o miejsce na kompromis. W pierwszym etapie tego starcia władza stara się ograniczyć naszą społeczną obecność. Uniemożliwienie odbycia procesji i odpustów okazuje się dosyć skuteczną bronią. Gdyby nam zabronili publicznego manifestowania wiary, tysiące wiernych wyległyby na ulice w proteście. Zakaz bardziej by nas tylko zjednoczył. Ale pańscy towarzysze nie chcą otwartego konfliktu, z udziałem konnej milicji i pałkarzy. Oni wolą podłe podstępny. Wczoraj pisali w „Słowie Polskim”, że będą wymieniać rury wodociągowe. Za chwilę przystąpią do roboty. Jutro pan przeczyta, jak to w ramach takiego czy innego czynu, dla Stalina, dla Bieruta albo po prostu dla dobra ludzkości, robotnicy zrezygnowali z dnia odpoczynku, aby zapewnić

mieszkańcom miasta dopływ pitnej wody. W gruncie rzeczy oni kopią swoją linię obrony. Procesja zostanie skierowana na przedmiejskie, boczne uliczki.

– Brzmi niewiarygodnie, ale załóżmy, że to wszystko prawda – rzekł Liebman. – Czego właściwie oczekujecie ode mnie?

– Pani Kot liczy na pańskie wpływy. Jest pan przecież inżynierem naczelnym Uniwersalu.

– Obawiam się, że przeceniacie moje możliwości. Jestem tu nowy, nie znam nikogo, nie mam żadnego wpływu na polityczne decyzje. Poza tym, wszystko to brzmi jak zabawa w kotka i myszkę. To przecież śmieszne.

– Przyjdzie dzień, panie inżynierze, gdy przekona się pan, jak bardzo jest to poważne. – Ksiądz wstał od stołu i wyciągnął dłoń na pożegnanie. Odprowadzając ich do drzwi zakrystii, dodał: – Nie jestem naiwny, nie proszę o zmianę decyzji władz. Wiem, że przerasta to pańskie możliwości. Pani Kot wytłumaczy wszystko znacznie lepiej ode mnie. Istnieje mnóstwo dróg służenia Wszechmogącemu.

– Idziemy do domu – potwierdziła Maria i wsunęła rękę pod ramię Izaaka, jakby to był najnaturalniejszy gest. Dopiero gdy uszli tak kilkaset metrów, spytała, czy ta oczywista intymność nie wprawia go w zakłopotanie. „Cóż znowu”, odparł, aczkolwiek rzeczywiście czuł się mocno zaambarasowany. Niespokojnie rozejrzał się wokół. Ktoś może ich zobaczyć, donieść. Zbytnią zażyłość z tą kobietą, nie mówiąc już o mszy, na pewno nie znalazłaby uznania w oczach Krzysiaka czy Chajesa. Czyż nie powiedział mu Krzysiak, że kto nie jest z nimi, ten jest przeciw nim? W nie mniejsze napięcie wprowadzała go myśl o tym, co też Maria ma mu do powiedzenia, na pewno jakaś ciemna sprawka, skoro nawet ksiądz nie chciał jej poruszyć. Byłe nie dać się zaplątać w sieci, z których nie da się wyplątać. Szli pomału, pogoda była miła, Maria milczała. Wyglądali jak dobrze zgrana para, która powiedziała sobie już wszystko, co było do powiedzenia. Dopiero po powrocie do domu zagadnęła:

– Co byś powiedział na wspólny obiad? Upiekłam pasztet z zająca.

– Zającom nigdy nie odmawiam – zgodził się bez wahania. Uczyniłby wszystko, by odroczyć moment nieuchronnej rozmowy. Pasztet był suchy i niesmaczny, co nie przeszkodziło mu wychwalać jej kulinarnych zdolności. Na deser nałała im po kieliszku domowej wiśniówki.

– Pamiętasz końcowe słowa księdza Wiktora? Proboszcz Wiktor, tak go wszyscy tutaj nazywają.

– Tajemnice kobiet i księży – próbował obrócić sprawę w żart. Maria puściła uwagę mimo uszu. Była niezmiernie poważna.

– Ojciec Wiktor wspomniał, że ktoś z naszego ścisłego grona jest po prostu donosicielem. Jeśli dowiemy się, kto to, będziemy się mieli na baczności. Może nawet uda nam się przekazywać mu sfingowane informacje.

– Czytasz zbyt dużo powieści detektywistycznych – zaśmiał się.

– Nie biorę ich do ręki. Nigdy nie byłam bardziej serio, aniżeli teraz... Jeszcze jedną wiśniówkę?... Nie, nie chcę cię upić, Rudi. Mogę cię tak nazywać?

– Możesz.

– Powiem więc prosto z mostu: wiem, że możesz pomóc, i jestem przekonana, że nie odmówisz.

– Czego się po mnie spodziewasz? Że zakradnę się do archiwum Urzędu Bezpieczeństwa i skopiuję listę tajnych agentów?

Nie żartował. Maria wyczuła nutkę szczerego oburzenia.

– Nie gniewaj się. Nie żądam rzeczy niewykonalnych. Wiem, że znasz inspektora Konstantego z UB, i że ostatnio wyświadczyłeś mi jakąś drobną przysługę. Dlaczego nie miałby ci odplącić podobną monetą. Dla takich jak on to chleb powszedni.

Był to cios poniżej pasa. Liebman czuł, jak krew uderza mu do głowy.

– Kto... kto ci powiedział? – zająknął się. – To znaczy skąd... To przecież jakiś czczy wymysł. Nigdy nie miałem styczności z tym... jak powiedziałaś?... Konstantym.

– Zaprzeczenia nie mają sensu. Kościół wie wszystko o śledztwie w zakładach. Nie uciekaj od prawdy, Rudi. Opowiadałaś mi o twoich nocnych zmorach. Policzyłam, że dwa i dwa to cztery. Nie Sandro Botticelli straszyl cię po nocach i nie święty Augustyn nasłał na ciebie złe duchy. To było twoje sumienie... Nie rób min, Rudi. Wiem, że mimo okropności wojny nie jesteś go pozbawiony Ojciec Wiktor daje ci wyjątkową okazję oczyszczenia tego sumienia. Nie będę na ciebie naciskać, ale proszę, przemyśl sobie wszystko dokładnie, nim podejmiesz decyzję.

Maria skończyła i zamilkła. Także Izaak milczał. Potem sam nalał sobie pełny kieliszek wiśniówki i wlał ją do gardła jednym haustem, jak wódkę. To przecież zupełne szaleństwo zaryzykować całą karierę, aby służyć Bogu, w którego istnienie nie wierzył. Do cholery z księdzem, do cholery z Marią Kot, do cholery z całym tym skomplikowanym światem!

Po kilku minutach Maria przerwała milczenie. Sięgnęła po gazetę, która leżała na kanapie, wyszukała artykuł na wewnętrznej kolumnie i spytała spokojnie, jakby nigdy o niczym innym nie rozmawiali:

– Czytałaś artykuł o zjeździe astronomów w Paryżu?

– Nie – odparł lakonicznie.

– Piszą, że naukowcy są bliscy poznania tajemnicy wszechświata. Ponoć wszystko jest możliwe do zbadania, oprócz pierwszych trzech minut powstania kosmosu. Jeśli chodzi o nas, nie ma w tym żadnej tajemnicy. Czyż nie jest napisane, że na początku Bóg stworzył niebo i ziemię?

– Nie wiedziałem, że interesujesz się nauką o gwiazdach – zauważył ironicznie.

– Jedynie ze względu na aktualne asocjacje. Ludzie grzebią się w dziejach kosmosu, może kiedyś pójdą w ślady fantazji Juliusza Verne'a i wyślą człowieka na Księżyc, a w gruncie rzeczy tak mało wiemy o kimś, kto mieszka w przyległym pokoju.

Aluzja była przejrzysta, ale Izaak nie podjął rękawicy. Maria spojrzała na jego pusty kieliszek, on jednak pokiwał głową przecząco. Wówczas nalała sobie i rzekła ni stąd ni zowąd:

– Samotność jest szczególnie dokuczliwa w dużym mieście. Nie możesz uciec od ludzi, żyjesz obok nich, ale nie z nimi. Na wsi wszystko wygląda inaczej. Czy wspomniałam ci kiedyś, że pochodzę ze wsi?

– Trudno uwierzyć.

– A jednak. Rodzina posiadała majątek ziemski w Częstochowskim. Siedziała na nim od pokoleń. Pierwsze zapisy pochodzą z roku tysiąc sześćset dziewięćdziesiątego. Moi przodkowie walczyli ponoć w obronie chrześcijaństwa przed tureckim najeźdźcą.

– Odsiecz wiedeńska miała miejsce siedem lat wcześniej – zauważył nieco ironicznie. – Ja, niestety, nie mogę się poszczycić tak wspaniałym rodowodem. Bardzo niewiele wiem o moich pradziadach.

– Złośliwość nie na miejscu – odparowała i pociągnęła mały łyk wiśniowej nalewki. – Każdy z nas jest gdzieś głęboko zakorzeniony. Nawet drzewo. Mimo iż tego nieświadome, czym byłoby bez korzeni? Wyschniętym pniem. Szanuję tradycję. Nie dlatego, że w dzisiejszych zamglonych dniach miło wesprzeć się myślą o dawnych dobrych czasach, ale przede wszystkim dlatego, że człowiek powinien stać na twardym gruncie i nie wypierać się tych, którzy stanowili poprzednie ogniwa jego historii. Mój ojciec był człowiekiem żelaznych zasad. Będąc małą dziewczynką, nie zawsze go rozumiałam. Nie miałam jeszcze osiemnastu lat, gdy wydał mnie za niemal obcego mężczyznę, lekarza, który opiekował się końmi i byłem. Nie przypominam sobie, by zapytał mnie o zdanie.

– Nie przyszło ci do głowy odmówić?

– Nie miałam odwagi. Aczkolwiek z ręką na sercu muszę przyznać, że dokonał właściwego wyboru. Mój mąż okazał się człowiekiem kulturalnym, opanowanym i wyrozumiałym. Mówiono, iż byliśmy dobranym małżeństwem. Matka wiedziała, że chciałam czekać na tę jedną wielką miłość życia, i pocieszała mnie, mówiąc, iż wielka miłość jest jak huragan, który pojawia się znienacka i znienacka znika, siejąc za sobą spustoszenie. Może miała rację. Obopólne zrozumienie i poszanowanie może stanowić podstawę dobrego współżycia. Chyba mówiła z własnego doświadczenia, bo także ją wyswatano, zanim dorosła do małżeństwa.

– Rodzice żyją?

– Nie. Matka zmarła w czterdziestym drugim. Szalała jakaś epidemia. Chłopi mówili, że Żydzi zakazili studnie we wsi. Nie sądzę, żeby tak było, bo w tym czasie nie znalazłoby się już ani jednego Żyda w okolicy. My z mężem od lat mieszkaliśmy w mieście. Niemcy mianowali go weterynarzem okręgowym. Nie, nie. Nigdy nie czuł do nich sympatii. Uważał ich za okupantów. Łączyło ich tylko wspólne zainteresowanie hodowlą koni. Wiesz – zaśmiała się sucho – czasami odnosiłam wrażenie, że klacz szlachetnej rasy pociąga go bardziej niż kobieta.

Liebman chciał powiedzieć, że to przecież niemożliwe, lecz nim zdążył otworzyć lista, wróciła do opowieści:

– Nie był lubiany, bo z racji swego stanowiska kontrolował rejestry bydła. Według tych zapisów kolczykowano krowy i cielęta, aby je później konfiskować na potrzeby armii. W tej kwestii był tylko urzędnikiem, z rekwirowaniem stad nie miał nic wspólnego. Także teraz wprowadzono obowiązkowe dostawy po śmiesznie niskich cenach, ale obecnie nikt nie ma odwagi pyskować, bo to przecież dla dobra narodu... A ojciec? Zapomniałam opowiedzieć: kiedyś wyjechał służbowo, dopilnować kolczykowania, i więcej nie wrócił. Ludzie opowiadali, że zabili go partyzanci, że był jakiś podziemny sąd połowy, ale ciała nie znaleźliśmy nigdy. Zaraz po wojnie domagałam się rehabilitacji, nie chciałam, aby odszedł ze świata z piętnem kolaboranta. Badano, sprawdzano, aż po miesiącach dostałam oficjalne pismo ze ZBOWID-u, że przypuszczalnie nastąpiła pomyłka w identyfikacji. Ani słowa przeprosin.

– Przykro mi, chociaż za późno już chyba na kondolencje. Mówię to całkiem szczerze.

– Tak, kondolencje niczego nie zmienią. Co się stało, to się nie odstanie – powiedziała gorzko. – Nie wiem, co mnie dzisiaj napadło, nigdy nikomu o tym nie mówiłam.

– Czasami trzeba otworzyć serce.

– A jednak wydaje mi się, że przekroczyłam jakąś niewidzialną granicę. Wiek robi swoje.

– Nonsens. Wyglądasz młodo. W tej błękitnej sukience bardzo ci do twarzy.

– Jesteś bardzo uprzejmy.

– To nie był czczy komplement. Powiedziałem, co myślę.

– Naprawdę zwróciłeś uwagę? Byłam przekonana, że nie widzisz niczego poza pracą. No i może poza Ritą.

– Nonsens.

– Niech będzie. Wypijmy jeszcze po jednym. Ale za co?

– Za powodzenie ludzi samotnych – zaproponował.

Przytaknęła. Trącili się kieliszkami. Kryształ przyjemnie zadźwięczał.

W Uniwersalu coraz głośniejsze rozprawiano o tym, że dni naczelnego są policzone. Nikt nie wiedział, gdzie i kiedy narodziła się ta plotka. Najpierw ów tragiczny wypadek w dziale obróbki termicznej. Potem kilka przesyłek wybrakowanego towaru, odbiorcy reklamowali, a Gedalia Chajes za każdym razem zwoływał posiedzenie egzekutywy POP. Obrady odbywały się przy drzwiach zamkniętych, Krzysiak na pewno był ostatnią osobą, która wynosiłaby na zewnątrz tajemnice, a jednak wieści o planowanym „ścinaniu głów” krążyły po wszystkich

działach. Początkowo nie wymieniano nazwisk, mówiono tylko o zjawiskach, ale pod koniec tygodnia Gedalia Chajes otwarcie oskarżył Krzysiaka o brak czujności partyjnej. Rita uświadomiła naczelnego inżyniera, że nie mogłoby się tak stać bez wyraźnego przyzwolenia Komitetu Wojewódzkiego. Rudolf Nowak nie uczestniczył w zebraniach, bo nie był członkiem partii. Rita nie przebierała w słowach:

– Znam tę grę jak własną rękę – irytowała się przy kawiarnianym stoliku. – Najpierw szczerze się ofiarę partyjnymi psami, potem obszczekuje w prasie, a dopiero gdy już leży brocząca krwią, pojawiają się Stróże bezpieczeństwa, by zabrać dogorywającego.

Zawsze od nowa fascynował go metaforyczny język sekretarki. Pochodziła z prostej, robotniczej rodziny i wiedział, że z trudem ukończyła liceum. Nie miała nawet pełnej matury. Ale od dnia, w którym pojawił się w Uniwersalu, traktowała go z wyjątkową sympatią. Lubiła flirtować, nigdy jednak nie wykraczała poza granice cienkich aluzji. Najwyżej dawała się zapraszać na zakrapiane kolacje w restauracji. Szybko odkrył, że nie stroniła od dobrego trunku. On sam zadowalał się kieliszkiem wódki, najwyżej dwoma, nigdy nie zapominając, że alkohol jest niebezpieczny, że rozwiązuje języki. Rita była jego przewodnikiem w labiryncie miejscowych stosunków. Od niej dowiedział się, kto jest tylko figurantem, a kto dzierży rzeczywistą władzę, kiedy partia wypuszcza zasłonę dymną, aby zmylić przeciwnika, i kiedy należy uważać, by nie nastąpić na nagniotki jakiejś ważnej osobistości. To ona wciągnęła go w tajniki złożonych stosunków partii z Kościołem, często w sposób tak dokładny, że zaczął podejrzewać, iż także prośba księdza Wiktora nie stanowi dla niej tajemnicy.

Rita wiedziała, że Aleksander Krzysiak nie ponosi winy za przypisywane mu potknięcia Uniwersalu. Każdy szczebel w aparacie przemysłu ciężkiego zwałął odpowiedzialność na podległych mu. Oskarżenia wędrowały w dół, stopień po stopniu, aż lądowały na głowie ofiary. Krzysiak stanowił szczyt najniższego szczebla. Braki produkcyjne były stałym zjawiskiem, ale dopiero w ostatnich tygodniach zaczęły rosnać na biurkach dygnitarzy w Warszawie sterty skarg i zażaleń. Szkody wyglądały na poważne, bo części produkowane w Uniwersalu pękały dopiero po zamontowaniu ich w traktorach i buldożerach. Po ostatnim incydencie Krzysiak nabrał wody w usta.

– Dlaczego przestaliście walczyć? – zapytał go kiedyś Liebman.

– Znacie równie dobrze jak ja prawdziwe przyczyny awarii – odpowiedział. – To nie tylko wadliwy system wentylacyjny i brak kwalifikacji zawodowych. Ruda, którą dostajemy, nie nadaje się do obróbki.

– Dlaczego nie staramy się o lepszą?

– Przed wojną importowano rudę ze Szwecji. Nasza pochodzi z Donbasu. To inny gatunek, gorszy, nasz sprzęt nie jest do niej dostosowany. U nas nikt nie ma odwagi poruszyć tego tematu. Wiadomo, co czekałoby takiego bohatera. Ja nie mam oporów tego rodzaju, ale nie jestem w stanie wydobyć z siebie słowa krytyki na Związek Radziecki. Byłoby to, jakbym pluł sobie samemu w twarz. Dlatego szukam zastępczych rozwiązań. Liczyłem na waszą pomoc, Nowak, ale zawiedliście mnie na całej linii. Nie gadajcie więc o moim milczeniu. Zresztą nawet jeśli powiem, że tak dalej nie można, nic się nie zmieni. Przecież nie zamkną zakładów. Co najwyżej kilku towarzyszy zapłaci za to utratą wygodnej synekury. I nie miejcie złudzeń: wasza służalczość nie uratuje was przed czystką. Nie mrugnę okiem, jak wam dadzą kopa w dupę. Zasłużyliście sobie na to.

Liebman wolał nie odpowiadać. Dyskusja i tak byłaby bezprzedmiotowa. Prawda leżała przed nim, jak na otwartej dłoni. A kopniak w dupę był ostatnią rzeczą, o której marzył. Nie wiedział jeszcze, w jakiej mierze może liczyć na poparcie Chajesa i na „dobrą robotę”, wspomnianą przez Konstantego. Jako naczelnny inżynier teoretycznie mógł odmówić przyjęcia surowca, który nie odpowiadał wymogom odbiorcy, ale Rita szybko wybiła mu to z głowy. Przystoje w produkcji wzburzyłyby nieznanym mu szefów w Ministerstwie Przemysłu Ciężkiego, a robotników Uniwersalu pozbawiłyby premii za wykonanie planu. Stałby się

najbardziej zniechęconą osobą, zarówno w Warszawie, jak i we Wrocławiu. Jeśli wszyscy dokoła przykładają rękę do oczywistego szaleństwa, dlaczego akurat on miałby być inny? Lepszy. A może gorszy?

Liebman posiadał wyjątkową zdolność przyswajania sobie zasad nowej rzeczywistości. Od Gedalii Chajesa nauczył się magicznej formułki: dialektyka marksistowska. Te dwa słowa stanowiły wytrych do każdego zamka. Przy ich pomocy łatwo było wyjaśnić każde wydarzenie, nagiąć niewygodną praktykę do obowiązującej teorii, rozprawić się szybko i bez hałasu z wrogami rewolucji, lub dla odmiany zwalić wszystko na międzynarodowy imperializm. Partyjny slang zgromadził mnóstwo przekonujących powiedzeń, zapożyczonych ze słownika wyrazów obcych. Gdy zwrócił na to uwagę podczas jednej z licznych rozmów z przewodniczącym Podstawowej Organizacji Partyjnej, Chajes położył mu rękę na ramieniu i rzekł ze śmiertelną powagą:

– Mylicie się głęboko, towarzyszu Nowak. Nikt nie może manipulować dialektyką marksistowską. Jej wartość polega na możliwości analizy zjawisk w trakcie ich powstawania. Dotyczy to zarówno procesów historycznych i gospodarczych, jak i ludzkiego postępowania. Kto nie jest w stanie tego zrozumieć i przetrwać, ten nigdy nie będzie mógł przewodniczyć masom pracującym w ich walce o lepszy byt.

W pierwszych dniach grudnia Konstanty zapowiedział ponowną wizytę w Uniwersalu. Wczesnym rankiem rozmawiał przez telefon z naczelnym inżynierem, prosząc, aby go oczekiwał w biurze.

– W jakiej sprawie? – zaciekał się Liebman.

– Nic ważnego. Ot, przyjacielska pogawędka.

– Znam te ichnie przyjacielskie pogawędki – wtrąciła Rita, która właśnie przyniosła fabryczny biuletyn i słyszała rozmowę.

Konstanty pojawił się przed dziewczętą. Nigdy nie używał windy, zawsze wbiegał po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz. Zadyszany opadł na fotel inżyniera. W ciągu sekundy Liebman poczuł się gościem we własnym pokoju. Konstanty przysunął fotel do biurka i z obojętną miną wertował leżące tam papiery, jakby chcąc podkreślić, że wszędzie gdzie się pojawia, czuje się gospodarzem. Po chwili, nie unosząc wzroku znad papierów, zapytał:

– Dlaczego stoicie, towarzyszu Nowak?

Liebman usiadł na krześle przeznaczonym dla gości.

Oficer UB nie zaczął rozmowy od standardowych uprzejmości, nie zapytał nawet „co nowego?”. Widocznie sam najlepiej wiedział, co nowego, i od razu przystąpił do rzeczy:

– Kilka miesięcy temu sądziliśmy, że usunięcie kierownika zmiany i jego kompanów zamyka sprawę. Niestety, sprawy nie zawsze układają się po naszej myśli. Rzadko popełniam błędy, ale obawiam się, iż tym razem spieprzyłem. Towarzysze w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego uważają, że zrobiliśmy połowę roboty. Chyba orientujecie się, ku czemu zmierzam.

– Prawdę mówiąc, nie mam zielonego pojęcia.

– Chajes mówi, że szybko łapiecie. To wielki komplement. Chajes nie tak łatwo polega na ludziach, a jeszcze rzadziej ich chwali. Urodził się podejrzliwy i podejrzliwy umrze. Ja ich dobrze znam, tych towarzyszy, którzy pół życia spędzili w podziemiu. Niemal wszyscy przyswoili sobie zasadę „dowieraj, no prowieraj”. Znacze? Nie? Szkoda, mądre rosyjskie powiedzenie. Ufaj człowiekowi, ale nie spuszcza go z oka. Ma szczególne zastosowanie w naszych czasach... Palicie?

– Nie, dziękuję.

– Mam nadzieję, że dym wam nie przeszkadza – powiedział Konstanty i zapalił papierosa, nie czekając na odpowiedź. Rita zapukała do drzwi, wniosła tacę z herbatą, ale gdy chciała im nalać, Konstanty niemal warknął: – Nie trzeba, sami damy sobie radę.

– Jak chcecie, towarzyszu – odpowiedziała chłodno i wyszła.

– Dorzeczna babka – zauważył oficer. – Krzysiak umie urządzić się w życiu.

Liebman rozlał herbatę do szklanek.

– Bez cukru – poprosił Konstanty. Potem chlipał pomału, obserwując inżyniera spod oka. Nawet po tym, gdy odstawił pustą szklankę, Liebman w milczeniu czekał na ruch nieproszonego gościa. Konstanty odezwał się pierwszy:

– Dlaczego milczycie jak ryba?

– Bo zdawało mi się, że przyszlście coś złowić – zażartował Liebman.

Konstanty zatarł ręce w zadowoleniu.

– Świetne określenie, Nowak. Naprawdę świetne określenie. – Zniżył głos. – Tym razem jednak nie chodzi o płotki.

– Kogo chcecie złapać w sieci? Mnie?

– Widać, że jesteście nowicjuszem. Niby z nami, ale jeszcze nie całkiem wprowadzony. Gdyby tak było, nie piłbym z wami tej wstrętnej lury.

– To prawdziwa chińska herbata – obruszył się Liebman.

– Chcemy Krzysiaka – oznajmił oficer prosto z mostu.

– To nonsens – zaprotestował Liebman. – Bez niego zakład od dawna by się zawalił.

– Gadacie od rzeczy. Kto mianował kierownika zmiany?

Liebman zawahał się. Potem wyjąkał:

– Chyba dyrektor naczelny.

– A kto polecił produkować sprzęt nienadający się do użytku?

Właściwa odpowiedź leżała mu na końcu języka. Elementarna uczciwość wymagała przyznania, że cała dyrekcja ponosi odpowiedzialność za to, co się dzieje w Uniwersalu, i że on sam, inżynier Rudolf Nowak, przekazywał instrukcje majstrom poszczególnych oddziałów. Lecz Liebman wiedział doskonale, jakiej odpowiedzi oczekuje ten ubek. Wiedział także, iż żadne wyjaśnienie nie jest w stanie uratować skóry Krzysiaka. Odpowiedź, która nie zadowoli Konstantego, nie przyniesie naczelnemu żadnej korzyści, ale z całą pewnością zaszkodzi jemu samemu. Gdzieś na wysokim szczeblu przesądzono los dyrektora naczelnego. Fakty są nieistotne. Istotne są tylko zamierzenia. Może był nowicjuszem, jak to nieco pogardliwie stwierdził Konstanty, ale pamięć miał dobrą. Czy nie powiedział mu kiedyś Gedalia Chajes, że jeśli fakty nie odpowiadają założeniom, to do cholery z faktami? Wówczas przyjął to jako żart. Teraz zrozumiał sens tego powiedzenia. Wciąż jeszcze nie domyślał się, w jakim celu Urząd Bezpieczeństwa poluje na Krzysiaka, jakie mu postawi zarzuty i dlaczego. Przecież wszyscy wiedzieli, że Krzysiak trzyma tu wszystko do kupy. Natomiast wiedział doskonale, że nie wolno mu się poślizgnąć. Kto raz pada, ten już nie wstaje. Dlatego powiedział cicho, ale wyraźnie:

– Za całokształt produkcji odpowiedzialność ponosi dyrektor naczelny.

Konstanty zapisał coś w notesie, z którym nigdy się nie rozstawał. Zajrzał do pustej szklanki, jakby szukał czegoś na dnie.

– Poprosić Ritę o jeszcze jedną herbatę? – spytał Liebman, wyciągając rękę po słuchawkę telefonu. Konstanty pokiwał głową przecząco.

– Nie trzeba. Jest zbyt wścibska... Towarzysz Chajes zapewnił mnie, że mogę na was polegać, i jak zwykle wiedział, co mówi. Wasze zeznanie posłuży nam jako opinia rzeczoznawcy. W ciągu dnia przygotuję maszynopis, jutro rano przyślę wam protokół do podpisania.

– Czy nie mówiliście czegoś o przyjacielskiej pogawędce?

– Tak. Bo prawdziwych przyjaciół poznaje się w potrzebie – zachichotał Konstanty i zaraz spoważniał. – Nie żądacie chyba, żebym przeszedł do porządku dziennego nad ciężkimi zarzutami, które postawiliście dyrektorowi naczelnemu. Od was dowiedziałem się, że Aleksander Krzysiak wykazał karygodny brak czujności w wyborze kadr i że jego błędne decyzje, może przypadkowe, a może zamierzone, spowodowały ogromne szkody. Zwróciliście moją uwagę na fakt, iż wiedział o stosowaniu wadliwych surowców, i mimo to nie kiwnął palcem, aby temu zapobiec. Czy sprecyzowałem to zgodnie z waszym oświadczeniem?

Liebman przytaknął.

– Postąpiliście słusznie i zgodnie z partyjnym sumieniem. Pomogliście sprawie, a także sobie samemu.

Funkcjonariusz bezpieczeństwa włożył do teczki notes i paczkę papierosów, wstał z miejsca, mówiąc żartobliwie, że oddaje fotel „ciepły i w dobrym stanie”, po czym, stojąc już w drzwiach, dodał:

– Na zakończenie jeszcze jedna przyjacielska rada: w niedzielę unikajcie towarzystwa kościelnych reakcjonistów. Przecież doskonale wiecie, z której strony posmarowana jest kromka chleba. Do zobaczenia, towarzyszu inżynierze. Prawdziwa przyjemność porozmawiać z rozsądnym człowiekiem.

Maria Kot dostrzegła jego kwaśny humor, jeszcze zanim zrzucił płaszcz i powiesił go w przedpokoju. Liebman sądził, że przechadzka w chłodny wieczór dobrze mu zrobi i zwolnił kierowcę kilkaset metrów przed domem. Chodnik pokryty był cienką warstwą śniegu. Świeża biel roztapiała się pod podeszwami butów. Doznawał dziwnej przyjemności, widząc, jak zamienia się w brunatną maź. Gdy tylko wszedł do mieszkania, uderzyła go miła fala ciepła. Maria zaśmiała się rozbijająco:

– Skończyliśmy z mięsem. Nie ma żadnego powodu, aby czarnego węgla nie kupować na czarnym rynku.

Nie zapytała go o przyczynę złego humoru, on zaś wolał przemilczeć spotkanie z Konstantym. Obawiał się, że wykorzysta to, aby przypomnieć mu sprawę donosiciela. Od czasu niedzielnej rozmowy, sprzed kilku miesięcy, nie poruszyła tego drażliwego tematu. Dopiero po kolacji i po dwóch kieliszkach wiśniowej nalewki poczuł ogromną potrzebę wyrzucenia z siebie tego, co mu doskwierało. Ostrożnie, pomijając niektóre szczegóły, zrelacjonował jej przebieg rozmowy. Słuchała uważnie. Patrząc na jej skupioną twarz, coraz wyraźniej uświadamiał sobie, jak nisko upadł.

– To było podle z mojej strony – przyznał. – Wstyd mi, że czołgałem się na czworakach przed tym ubekiem.

Ale Maria, zawsze taka nieprzejednana w sprawach sumienia, nie potępiła go ani słowem. Wąż każde słowo na końcu języka, powiedziała:

– Gąsienica pełza do pewnego okresu. Potem otacza się ochronnym kokonem i czeka na swoją chwilę. W końcu zrzuca z siebie pancerz, by rozwinąć skrzydła motyla.

– Tylko po to, aby wpaść w siatkę łowców motyli.

– Jeśli będziesz latał dostatecznie wysoko, nie dosięgnie cię żaden łowca – rzekła z całą powagą.

Na krótko przed Bożym Narodzeniem znów wzrosło napięcie między władzami a Kościołem. Pierwszy sekretarz Komitetu Wojewódzkiego, Władysław Matwin⁸, złożył niespodziewaną wizytę administratorowi apostołskiemu, księdzu prałatowi Karolowi Milikowi. Omawiano możliwości wyeliminowania, lub przynajmniej skutecznego ograniczenia publicznej konfrontacji, istniała uzasadniona obawa religijnych demonstracji na

⁸ Późniejszy redaktor naczelny „Trybuny Ludu”.

wyższych uczelniach, gdzie ogromna większość wykładowców, przybyszów ze Lwowa, była bardzo katolicka. Gdy na korytarzach uczelni nieznani sprawcy rozlepili kartki z napisem „My chcemy Boga”, zaproszono do rozmów także rektora Uniwersytetu, Stanisława Kulczyńskiego, który w latach trzydziestych ostentacyjnie zrezygnował z podobnego stanowiska we Lwowie w odpowiedzi na dyskryminację Żydów. Gedalia Chajes, który pamiętał profesora z tamtych lat, zainicjował jego pośrednictwo w sporze. Kulczyński, botanik światowej sławy, zaproponował rozwiązania, które zadowolili KW, nie wywołując rozgoryczenia w kręgach kościelnych. Tylko Maria Kot była wstrząśnięta. „Nie jestem osobą zdolną do kompromisów w sprawie wiary” – oznajmiła. Tym razem jednak również Izaak Liebman nie był skłonny do kompromisu. Gdy prosiła, aby towarzyszył jej chociażby na Pasterkę, odmówił kategorycznie. Nie wspominając o ostrzeżeniu Konstantego, powiedział:

– To byłby koniec mojej kariery zawodowej, Mario.

Wydawało się, że argument przemówił jej do rozsądku. Przestała naciskać. Poszła sama.

W drugi dzień świąt Gedalia Chajes wezwał go do biura. Było to bardzo niezwykle, wszyscy bowiem korzystali ze świątecznego urlopu. Dyrekcja zakładów nie sprzeciwiała się, gdy część robotników poprosiła o wolne aż do Nowego Roku. Także kierowców nie było w pracy. Liebman pojechał tramwajem. Budynek administracji był zupełnie pusty, lecz strażnik u wejścia poinformował go, że Chajes czeka w sali posiedzeń Podstawowej Organizacji Partyjnej. Do tego pomieszczenia nawet Rita nie miała wstępu. Jeszcze nim zdjął podbity futer zimowy płaszcz, usłyszał głos Gedalii:

– Nie zaprosiłem was, aby złożyć świąteczne życzenia, aczkolwiek gdybyśmy mieli choinkę, mógłbym położyć pod nią wasz prezent – zaczął, wcale nie żartobliwie. – Prosiłem was tutaj, bo mamy do omówienia sprawę niecierpiącą zwłoki. Towarzysze w Warszawie domagają się odpowiedzi w ciągu dwudziestu czterech godzin.

– Odpowiedzi na co? – zdumiał się Liebman.

Gedalia podał mu zadrukowany arkusz papieru.

– Przeczytajcie i sami zrozumiecie.

Liebman spojrział na podany mu dokument. Był to list Aleksandra Krzysiaka do Komitetu Centralnego partii, odpis dla organizacji partyjnej w Uniwersalu. Liebman czytał na głos:

Droży Towarzysze, im głębiej analizuję niepowodzenia naszych zakładów, tym bardziej dochodzę do wniosku, że nie stanąłem na wysokości zadania jako dyrektor naczelny. Realna ocena rzeczywistości i przyznanie się do popełnionych błędów, a także zdolność złożenia szczerzej samokrytyki, charakteryzują każdego prawdziwego komunistę. Wierny tym założeniom składam niniejszym rezygnację z zajmowanego stanowiska i wyrażam gotowość przyjęcia wszelkich innych obowiązków, jakie nałożą na mnie Partia.

Liebman złożył kartkę maszynopisu w czworo i oddał ją Chajesowi. Chajes zapytał:

– No i co wy na to, towarzyszu Nowak?

– Służalczość Krzysiaka budzi we mnie wstręt. Dlaczego to napisał?

– Krzysiak niczego nie pisał. On tylko złożył swój szanowny podpis.

– Nadał nie rozumiem.

– Tekst jest Konstantego. Gdy pokazał Krzysiakowi waszą opinię, ten wiedział, że nie ma innego wyjścia. Samokrytyka uratowała go przed wykluczeniem z partii. Bo co wart jest Krzysiak bez czerwonej legitymacji? Nic. A tak, to znajdą mu jakąś inną posadę, w innym mieście.

– Nie wiem, co przeraża mnie bardziej: poddanie się Krzysiaka czy wasza szczerłość.

– O, widzę, że szybko zapomnieliście wasz osobisty wkład w wywalenie dyrektora Krzysiaka. Tak, tak. Ludzie chętnie zapominają grę, która zostawia ich na scenie bez makijażu. Ale nie macie się czym przejmować. Towarzysze w Warszawie wysoko cenią

wasze wyzwolenie się z burżuazyjnych konwenansów. A co ważniejsze, zatwierdzili moje poparcie dla waszej kandydatury. Jak wam się to podoba: Rudolf Nowak, dyrektor naczelny Uniwersalu? Brzmi nieźle, prawda? Nominacja wchodzi w życie z dniem pierwszego stycznia. Teraz rozumiecie, dlaczego ten pośpiech. Aha, zapomniałem o najważniejszym. Od nowego roku Uniwersal zostanie przejęty przez Departament Uzbrojenia. Zakłady będą podlegać Ministerstwu Obrony Narodowej. Także oddział w Jelczu. Na waszych barkach spoczywa teraz misja uzdrowienia Uniwersalu. Nie obawiajcie się odpowiedzialności. W razie potrzeby, moje drzwi zawsze stoją dla was otworem. Co wy na to?

– Jestem wstrząśnięty.

– To nie jest odpowiedź, którą mogę przekazać do KC. Odpowiedź ma być wyraźna: tak lub nie.

– Tak – powiedział Liebman półszepem.

– Nie oczekiwałem innej. Notabene pozostało jeszcze kilka formalności. Dyrektor naczelny to stanowisko z klucza partyjnego. Kiedyś przyrzekłem, że będę waszym członkiem wprowadzającym. Nigdy nie rzucam słów na wiatr.

Liebman wymamrotał kilka słów podziękowania. Chajes podał mu rękę.

– Wiedziałem, że stawiam na właściwą kartę. Od pierwszego spotkania czułem, iż wyrastamy z tej samej gleby.

Liebman nie odpowiedział. Znow ogarnęło go to przerażające przeczucie, że Gedalia Chajes wie o nim wszystko. Ale jeśli wie, to dlaczego nie rzuci mu prawdy w twarz?

Rozdział czwarty

CHERCHEZ LA FEMME

Kwadrans po trzeciej Regina wyszła z domu. Wiatr gnał przed siebie szare, deszczowe chmury, ale jej niepotrzebne były znaki na niebie. Po bólu w stawach wiedziała, że zaraz będzie padać. Szarówka i deszcz, zwłaszcza pomieszany z wilgotnym śniegiem, zawsze wpędzały ją w depresję. Do rozpaczki doprowadzała ją myśl, że w drodze do sklepiku zmokną jej włosy, a niczego nie znosiła bardziej, niż siebie samej w rozmokłej fryzurze. To na pewno nie była właściwa pora na spacer, ale nie miała rady. Musiała zrobić zakupy. Zresztą, niezależnie od pory roku, najchętniej przebywała w domu. Tylko Pan Bóg wiedział, jak bardzo brzydziło ją to ocieranie się o obcych w kolejkach po mięso, po chleb lub mydło. Minęły już ponad trzy lata od zakończenia wojny, a Warszawa wciąż jeszcze nie wyleczyła się z wojennych ran. Jej dom przy Żelaznej ocalał niemal cudem, ale cała okolica leżała w gruzach, a z zasypanych piwnic, w których gnieździli się uparci bezdomni, wyłaniały się jak duchy wspomnienia niedalekiej przeszłości.

Regina nie miała jeszcze czterdziestu lat. Ciotka Stefania twierdziła, że co było, to minęło, i że powinna otworzyć nową kartę życia. Stefania była osobą praktyczną, ale nigdy nie potrafiła zrozumieć skomplikowanej psychiki Reginy. Wróciwszy do domu, Regina przejrzała się w lustrze. Zdjęła rękawiczkę i przeciągnęła dłonią po wilgotnych włosach. Dlaczego nie wzięłam parasolki, pomyślała, ale była to myśl spóźniona, jak musztarda po obiedzie. Odbicie w lustrze majaczyło niewyraźnie, bo przedpokój, jak zresztą całe mieszkanie, pogrążony był w półmroku. Ciężkie, brokatowe firanki zasłaniały wszystkie okna. Mrok był ciepły i przytulny, światło – zimne i demaskujące.

Dzisiaj udało jej się zdobyć wieprzowinę na kotlety. Mięso, sprzedawane na kartki, było pośledniego gatunku, ale Regina umiała sobie radzić. Każdy sprzedawca w spółdzielczych sklepach trzymał pod ladą towar dla wybranych klientów. Regina przyniosła ekspedientowi czarny, wełniany szal. Sama zrobiła go na drutach. W zamian dostała kilogram schabu, za którym Rudolf tak bardzo przepada. O Rudolfie nigdy nie mówiła w czasie przeszłym, zawsze w teraźniejszym. Jak gdyby nic się nie stało, jakby nadal był w domu. Rudolf był smakośzem i jeszcze przed ślubem odkryła starą prawdę, że droga do serca mężczyzny prowadzi przez żołądek. Znała wszystkie jego słabości i kochała go takim, jaki był. Do głowy by jej nie przyszło związać się z kimkolwiek innym. Regina była osobą szczupłą, nawet bardzo szczupłą, a Rudolf nigdy nie próbował ukryć przed nią słabości do kobiet o pełnych udach i obfitych piersiach. Nigdy go nie zdradziła, nawet gdy domyślała się, że nie zawsze odplacał jej tym samym.

Ile lat są razem? Przeszłość i teraźniejszość splatały się w jedną całość, jak osnowa z wątkiem. Działo się tak zwłaszcza wtedy, gdy strapienia zalewała alkoholem. Czyniła to po kryjomu, nigdy publicznie, nigdy przed wizytą ciotki Stefanii, która miała wyczulony zmysł powonienia. Wódkę kupowała zawsze w odległych dzielnicach, nie chciała, by ją ktoś

rozpoznał, odkrył wstydliwą tajemnicę. W domu chowała flaszki głęboko w kredensie, za torebkami mąki, kaszy i cukru. Nim nalała szklaneczkę, zamykała drzwi wejściowe na wszystkie spusty. Czuła wstręt do pijaków zataczających się po ulicy. Wieczorami snuli się w pobliżu jej kamienicy, śmierdzący tanim samogonem, urągający wszystkim partyjnym kampaniom nawołującym do walki z alkoholizmem. Dreszcz przerażenia przejmował ją na myśl, że mogłaby się znaleźć kiedyś w izbie wytrzeźwień. Ludzie zalewali robaka, aby uciec od szarzyzny codziennego bytu. Na nią alkohol miał wpływ zdradziecki. Nie zawsze pomagał jej uciec od rzeczywistości. Często wyostrzał jej zmysły. W takich przypadkach piła więcej, tak długo, aż spowił ją upragniony całun nieświadomości.

Stary stojący zegar wybił pięć uderzeń. Miał piękne basowe brzmienie. Stefania twierdziła, że to nie basy, lecz dzwonki aniołów. Wariatka. Zegar przechodził w rodzinie z pokolenia na pokolenie, Regina dostała go jako prezent ślubny. Rudolf powiedział kiedyś, że przypomina mu drewnianą trumnę i tak stracił raz na zawsze sympatię ciotki Stefanii. Ciotce stuknął siódmy krzyżyk i wciąż jeszcze, mimo iż owdowiała, mieszkała w swoim gospodarstwie na wsi, z uporem odrzucając propozycje przystąpienia do spółdzielni produkcyjnej. Sekretarz partii nie naciskał, po prostu czekał, aż umrze bez spadkobierców. „A ja na złość długo jeszcze pożyję” – mawiała podczas krótkich odwiedzin u Reginy. Do Warszawy przyjeżdżała raz na dwa miesiące, zawsze obładowana ciastami własnego wypieku, owocami i jarzynami. Za każdym razem pytała: „Po co ci to przeklęte miasto, pełne duchów przeszłości i trudnych wspomnień. Przyjedź do mnie, na wsi powietrze jest czyste jak kryształ, a ludzie przyjaźni”. I za każdym razem spotykała się z tą samą odpowiedzią: „Za żadne skarby nic ruszę się z tego mieszkania. Co będzie, jeśli Rudolf wróci i nie zastanie mnie w domu?”.

– On już nie wróci – nadaremnie tłumaczyła ciotka. – Jesteś już dużą dziewczynką, nadszedł czas pogodzić się z rzeczywistością.

– Wróci. Na pewno wróci – upierała się Regina.

Stefania wychodziła obrażona, aby po jakimś czasie zapomnieć urazę, przyjechać powtórnie, z jabłecznikiem lub makowcem i tą samą propozycją. Ciotka Stefania była chłopką z prawdziwie chłopskim uporem. Ale także Regina miała swój upór. Nawet gdyby pokazano jej ciało Rudolfa, zastrzelonego w austriackim miasteczku przez sowieckiego porucznika, który połasił się na jego zegarek, przypuszczalnie uznałaby to za podły podstęp. Zawsze odrzucała fakty stanowiące wyzwanie, z jakim nie miała siły się zmierzyć.

Jej równowaga psychiczna została zachwiana w czwartym roku niemieckiej okupacji, gdy o północy zapukali do drzwi żandarmi i zabrali Rudolfa. Powiedzieli, że to krótka sprawa do wyjaśnienia, ale nie mieli cierpliwości poczekać, aż się ubierze. Rudolf narzucił futro na jedwabną pidżamę i tak go wyprowadzili. Futro kupiła mu na jego trzydzieste piąte urodziny. Także owej nocy była paskudna pogoda, wiatr wiał i mroził do szpiku kości. Rudolf miał skłonność do przeziębień i zamiast powiedzieć coś sensownego, prosiła policjantów, żeby nie dostał zapalenia płuc. Rudolf uśmiechnął się do niej tym swoim uspokajającym uśmiechem i stojąc już w drzwiach, próbował ją pocieszyć:

– Nie przejmuj się, najdroższa. To na pewno jakaś pomyłka.

Z doby na dobę żyła w oczekiwaniu, że za chwilę zadzwoni do drzwi, ucałuje ją jak zwykle w policzek, zapyta „co jest na kolację?” i zasiądzie do stołu, jakby po prostu i zwyczajnie zakończył jeszcze jeden dzień pracy. Tylko dla niego malowała się co rano, dobierała jego ulubiony kolor kredki do ust i wkładała sukienki, które lubił, mimo iż dawno już wyszły z mody.

Dzisiaj, mimo deszczu i chłodu, włożyła ciemny kostium z białym kołnierzem. Patrząc na swoją zamazaną w lustrze sylwetkę, jęknęła: „Boże, jak ja wyglądam” i próbowała rozczesać mokre, splątane wiatrem włosy. Ale włosy uparcie opierały się grzebieniowi. Jeszcze przed wybuchem wojny Rudolf Nowak uważany był za fachowca od elektrycznych trakcji

kolejowych i przepowiadano mu. wielką przyszłość w dyrekcji PKP. Miał wielu oponentów wśród urzędników, którzy nie chcieli rozstać się z parowozem, ale od czasu gdy przyczynił się do uruchomienia szybkiego pociągu z Warszawy do Gdańska, zwanego wówczas lukstorpędą, nikt już nie miał odwagi podważać jego teorii. Gdy po wrześniu 1939 roku Niemcy zreorganizowali dyrekcję kolei i przekształcili ją w Deutsche Reichsbahn, szybko uznali inżyniera Rudolfa Nowaka za cenny nabytek i mianowali go zastępcą kierownika transportów towarowych. Nowak urodził się w Poznaniu, przyłączonym teraz do Rzeszy, i z tego tytułu bez trudu otrzymał kennkartę volksdeutscha. Taki dowód osobisty dawał ogromne przywileje, chronił przed ulicznymi łapankami i zapewniał dostęp do specjalnych sklepów żywnościowych, zarezerwowanych tylko dla Niemców. Sąsiedzi w kamienicy przy ulicy Żelaznej patrzyli na Nowaków krzywym okiem, niektórzy udawali, że ich nie widzą, gdy mijali się na klatce schodowej. Regina twierdziła, iż to z zazdrości. Kiedyś, nocą, nieznana ręka nabazgrała im na drzwiach olejną farbą: *Räder müssen für den Sieg rollen*. Taki napis, głoszący, że koła muszą się toczyć dla zwycięstwa, ozdabiał wszystkie niemieckie pociągi. Aluzja była przejrzysta: Rudolf Nowak współpracuje z okupantem. Regina z trudem zdobyła trochę terpentyny, aby zetrzeć napis, nim zauważył go mąż. Tylko ciotce Stefanii odważyła się pożalić: „Doprawdy nie wiem, o co im chodzi. Przecież nie robi nic złego. Koleje będą jeździć także bez niego. A poza tym, przecież nawet ślepi widzą, kto wygra tę wojnę”.

Rudolf potrafił być mściwy i gdyby zobaczył napis, na pewno nie darowałby domorosłemu malarzowi. Ale byli i tacy, którzy odkryli nagłą sympatię do wysokiego urzędnika Reichsbahnu. Dobre stosunki z władzą mogły człowieka wykaraskać z poważnych kłopotów. Szczególnie uniżone lizydupy nagradzał smakołykami, które nabyć można było tylko u paskarzy.

Już w pierwszym roku okupacji ludność żydowska musiała się wynieść do specjalnie wyznaczonej, zamkniętej dzielnicy. Stworzono getto. Rodzina Gabisonów, która mieszkała na trzecim piętrze, załadowała swoje ruchome manatki na wóz zaprzężony w parę wychudzonych siwków. Podczas gdy inni sąsiedzi wpadali do ich mieszkania, by przywłaszczyć sobie pozostawione meble i dywany, Regina płakała. Nigdy nie była z tymi Gabisonami zaprzyjaźniona, ale serce ścisnęło jej się z bólu, gdy zobaczyła z okna ich ośmioletnią córeczkę, siedzącą na kozle obok woźnicy, z całej siły przytulającą lalkę. Nie myśląc wiele, zbiegła na dół i wcisnęła jej w rękę torebkę słodyczy. Rudolf wyśmiał ją: „Tanim kosztem kupiłaś sobie czyste sumienie” – powiedział. Z przykrością odkryła w nim cynizm, którego nigdy przedtem nie widziała. Ukochany Rudi zmienił się. Zamknięty w sobie, zaprzestał miłych wieczornych rozmów. Dzień po dniu oddalał się od niej, aż stracili niemal całkowicie ten cudowny kontakt, który charakteryzował ich współżycie od chwili, gdy się poznali. Z biegiem czasu przestał nawet opowiadać o swojej pracy na kolei. Nie oznaczało to jednak, że kochała go mniej niż w dawnych, dobrych czasach. Za ochłodzenie stosunków oskarżała samą siebie, bo przecież nie było możliwe, aby jej Rudi zmienił się na gorsze.

O rodzinie Gabisonów nie wiedziała niczego; prawdę mówiąc, nie interesowała się ich losem. Miała dosyć własnych kłopotów. Dowiedziała się tylko, że getto zostało otoczone murem i że Żydom nie wolno było wychodzić do miasta. Polskojęzyczna gazeta, wychodząca pod nadzorem Niemców, nie pisała nawet o ich istnieniu. Raz tylko Rudolf wspomniał, że wywożą ich do obozów pracy na Wschodzie. Gdy spytała, dlaczego, odburknął, że to nie jej interes. Nie powiedział także, iż wydział, w którym pracował jako zastępca szefa, zajmował się podstawianiem wagonów towarowych do tych transportów. Dowiedziała się o tym całkiem przypadkowo, gdy zaczęli u nich gościć oficerowie policji kolejowej, Niemcy i Ukraińcy. Popijali zdrowo, mówili głośno, śmiali się jeszcze głośniejsze.

Dzień pracy Rudolfa wydłużał się coraz bardziej, zdarzało się, że nie wracał na noc, tyle było roboty, powiadał. Pocieszał ją drogimi prezentami, na ogół były to pierścionki z

brylantami lub złote łańcuszki. Nigdy nie pytała, nie chciała wiedzieć, skąd się wzięły. Pieniądzy zawsze mieli w bród. Gdyby nie jej przywiązanie do starych śmieci, od dawna przeprowadziliby się do większego mieszkania, bardziej odpowiadającego pozycji męża. Jej sprzeciw jednak był tak stanowczy, że Rudolf przestał naciskać. Wydawało jej się, iż w żadnym innym miejscu nie poczuje się jak w domu. Dopiero gdy go zabrali, zaczęła żałować. Może ten jej niewytłumaczalny upór był przyczyną nieszczęścia, może gdzie indziej nic by się nie stało.

Nikt nie chciał jej wyjawić przyczyny aresztowania. Oficerowie, którzy tak często korzystali z ich gościnności, zniknęli, jakby ich pochłonięła ziemia. W dyrekcji kolei wszyscy nabrali wody w usta, kilku znajomych funkcjonariuszy gestapo zasłoniło się murem nieuprzejmych sekretarek. Kiedyś wybrała się w samą paszczę lwa, do komendy tajnej policji w alei Szucha, ale nie wpuszczono jej do budynku. Znajomy urzędnik na dworcu towarowym podszeptał, że Rudolf mógł paść ofiarą niekończących się sporów między armią a dowództwem SS, walczących o prawo dysponowania transportem kolejowym. Zdarzało się, że organy policyjne rekwirowały wagony towarowe do przewozu Żydów, podczas gdy Wehrmacht potrzebował ich dla celów wojskowych. Ale i tej wersji nie udało się Reginie sprawdzić. Kilka tygodni później organ partii narodowo-socjalistycznej, „Völkischer Beobachter”, opublikował artykuł o „przestępczej działalności chciwego inżyniera w kolejnictwie Generalnej Guberni”. Było tam nawet małe zdjęcie Nowaka. Ktoś z sąsiadów wcisnął gazetę pod drzwi wejściowe mieszkania Reginy, ale ona nigdy nie zebrała w sobie wystarczającej siły, aby to przeczytać. Pismo powędrowało do kubła na śmieci.

Ku jej wielkiemu zdziwieniu, poczta doręczała co miesiąc pobory Rudolfa, jakby nic się stało. Regina widziała w tym oczywisty dowód niewinności męża. Ostatni przekaz został wysłany w grudniu 1944 roku, miesiąc przed wkroczeniem Armii Czerwonej do Warszawy. Kosztowności otrzymane od męża pozwalały jej utrzymać się na powierzchni także po wyzwoleniu. Regina żyła skromnie, zadowalała się tym, co ma. A dobra biżuteria zawsze znajdowała nabywców. W pierwszym powojennym okresie była to najpewniejsza inwestycja. Jeśli uroniła łzę przy sprzedaży pierścionka czy wisiora, to tylko z obawy przed reakcją Rudolfa, gdy wróci. A co do tego nie miała wątpliwości. Uczucie, że za chwilę wróci z pracy i usłyszy jego tak wielokrotnie powtarzane „jak się masz, malutka”, wpływało na jej zachowanie dwadzieścia cztery godziny na dobę. Tylko dla niego co rano starannie nakładała makijaż i co wieczór ubierała się tak, jak lubił najbardziej. Także dzisiaj, mimo wiatru i deszczu, wcisnęła się w trochę już przyciasny ciemny kostium z białym koronkowym kołnierzem, spojrzała w lustro i jęknęła: „Boże, jak ja wyglądam”. Drżącą ręką próbowała uporać się z zaniedbaniem, ale rozwichrzone włosy stawiały opór szczytce. W takich chwilach alkohol zawsze przywracał jej równowagę ducha. Także teraz nie oparła się pokusie, wydobyla wódkę ukrytą na najwyższej półce kuchennego kredensu i łyknęła prosto z butelki. Dopiero potem nalała sobie szklaneczkę, jedną, drugą i trzecią. Nie piła jednym haustem, jak zwykle piją mężczyźni, lecz małymi łykami, niczym likier lub koniak. Z doświadczenia wiedziała, że w ten sposób ciepło pomału rozchodzi się po całym ciele i pozwala stopniowo oddalać się od rzeczywistości, wtapiać się w świat miękki jak aksamit, ciepły i przyjazny.

Telefon w przedpokoju, jeden z nielicznych w mieście, które działały jak przed wojną, zaterkotał denerwującym, rytmicznym dźwiękiem. Całymi tygodniami wisiał na ścianie, martwy przedmiot, uparcie milczący, aż czasami zapominała, że jest przyłączony do sieci. Minęła dłuższa chwila, nim uświadomiła sobie, że odżył. Podniosła słuchawkę i niechętnie, prawie wrogo zapytała:

- Halo, kto to?
- Czy mogę prosić pana Rudolfa Nowaka?

Mimo że była już mocno nietrzeźwa, natychmiast wyczuła wahanie w głosie nieznanego rozmówcy.

– Mówi pan z Reginą Nowak – wydukała do słuchawki i natychmiast dodała: – Jeśli jest pan jednym z tych, którzy próbują mnie zwariować, to radzę panu rozłączyć się, nim wezwę pomoc.

Człowiek po drugiej stronie linii zamilkł. Już miała zamiar odwieść słuchawkę, gdy odezwał się z przesadną grzecznością:

– Nie, nie sądzę, bym miał zamiar stroić głupie żarty.

– Więc kto mówi? Czego pan chce?

– Byłem z Rudolfem Nowakiem w obozie i myślałem...

Regina nie dosłyszała niczego poza nazwiskiem męża. Krew zatętniła jej w skroniach. Nareszcie jakiś znak. Nie ta ciemność firanek, za którymi ukrywała swój ból, ale jasne, oslepiające światło. Czyżby oznajmiał powrót Rudiego? Boże, jak ja wyglądam. Włosy wciąż rozczochrane, no i ten zapach wódki... Rudi jej nie cierpi, gdy pije.

– Mam nadzieję, że zgodzi się pani na krótkie spotkanie – zaproponował uprzejmie.

– Tak, tak – wyjąkała, trzymając się kurczowo słuchawki. Tak bardzo chciała, a jednak nie miała odwagi zadać najważniejszego pytania: czy przyjdzie z Rudim? Wszystko jej się pomieszało. Alkohol przyćmił zdolność logicznego rozumowania. Obcy rozmówca spytał, czy wolno mu przyjść o siódmej.

– O siódmej? – powtórzyła. – Tak, to bardzo dogodna godzina. A z kim mam przyjemność?

– Moje nazwisko Liebman. Izaak Liebman.

Liebman odłożył słuchawkę na widełki telefonu i rozejrzał się niespokojnie wokoło. Nikt w portierni hotelu nic zwrócił na niego uwagi, nikt nie słyszał rozmowy. Ani przez sekundę nie myślał, że niekontrolowane słowa spłyną tak nieopatrnie z języka. Co za lekkomyślność. „Moje nazwisko Liebman”. Po jaką cholere musieli to powiedzieć! Czyż nie wykorzystał Liebmana ze swojego życia, nie usunął go, jak się usuwa zepsuty ząb? To było niebezpieczne przejęzyczenie. Ale co miał powiedzieć? Przecież nie mógł się przedstawić jako Rudolf Nowak. Powinien był wymyślić jakieś nazwisko. Zamiast tego wyjął korek z butelki, w której ukrywał się jego osobisty dzin. Ale co się stało, już się nie odstanie.

Polecenie wyjazdu do stolicy przekazał mu Gedalia Chajes podczas balu sylwestrowego, urządnego przez Radę Miejską dla wrocławskich notabli. Rita kilkakrotnie dawała do zrozumienia, że chętnie mu będzie towarzyszyć, Liebman udawał, że nie pojmuje aluzji. Maria Kot nigdy by mu tego nie wybaczyła. Tak więc na zabawę przyszli osobno, sekretarka byłego dyrektora naczelnego i jego świeżo upieczony następca. Gdy wszedł na salę, do tańca przygrywała orkiestra miejskiej opery, a stoły uginały się od półmisków z astrachańskim kawiozem, wędzonym mięsikiem i innymi przysmakami, których istnienia nawet nie podejrzewał. Liebman rozejrzał się wokoło. Panie nosiły wieczorowe suknie, mężczyźni ciemne ubrania. Niektórzy byli już lekko podpici. Niektórych znał, większość była mu obca. Przy stoliku w kącie sali rozsiadło się kilku rosyjskich pułkowników w mundurach pełnych orderów i medali, ktoś szepnął, że to dowódcy radzieckiego garnizonu z pobliskiej Legnicy. Liebman poprosił o małą wódkę, nie mógł przecież stać z pustymi rękami. Dokładnie w tym momencie podszedł do niego szczupły, niski, nieco utykający osobnik – tak go określił w duchu – i zapytał:

– Nowak?

Liebman przytaknął, nie mając pojęcia, kim jest ten człowieczek w szarym garniturze i czego od niego chce.

– Wypijmy za Nowy Rok – rzekł, trącając kieliszek Liebmana. Po czym odwrócił się na pięcie i równie niespodzianie jak się pojawił, tak bez żadnego słowa wyjaśnienia znikł w tłumie. Trochę później, gdy Chajes poprosił go na bok, zagadka się rozwiązała.

– To naczelnik Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa. Warto wam zyskać jego przyjaźń – powiedział. Liebmana zdumiało niepomiernie, że ów niepozorny, kulawy mężczyzna jest szefem ogromnego, barczystego Konstantego, ale nie podzielił się swoim zdumieniem z Chajesem. Ten trącił go w ramię:

– Zamiast niepotrzebnie dumać, korzystajcie z okazji i bawcie się. – Potem zapytał ironicznie: – Trudno było się zdecydować Rita czy Maria, co?

– Trafiliście w sedno rzeczy – odparł w półuśmiechu, naśladując ton Gedalii. Było w tej odpowiedzi zarówno potwierdzenie, jak i zaprzeczenie.

– Zaczynacie nabierać rozsądku – skonstatował Chajes. — To bardzo istotne, towarzyszu. Stoicie przed wielką życiową szansą. Ministerstwo zatwierdziło waszą nominację, a Komitet Wojewódzki przyjął ją z wielkim zadowoleniem.

– Dziękuję.

– Nie dziękujcie. Sami sobie na to zapracowaliście. Także dalszy ciąg tylko od was zależy. No, może także od generała Brozy. Spotkacie się z nim pojutrze, w Warszawie. To wspaniały człowiek. Jeden z nielicznych, którzy gardzą pustymi hasłami, ale umieją ocenić inteligencję i efektywność działania. Jestem przekonany, że z łatwością znajdziecie wspólny język.

Gedalia nie powiedział, że ministerstwo zadba także o jego potrzeby kulturalne. Na nocnym stoliku w hotelowym pokoju leżało zaproszenie na premierę *Czerwonego maku* z doczepioną karteczką ministra, życzącego mu miłego pobytu w Warszawie. Balet Glier'a był sztandarowym przedstawieniem radzieckiej kultury i od dnia, w którym został skomponowany, w roku 1927, wystawiano go na wszystkich ważniejszych scenach Europy. Warszawskie przedstawienie stanowiło, tak było napisane w zaproszeniu, całkowicie nową inscenizację.

Trzymając w ręku kopertę z nagłówkiem ministerstwa, Izaak Liebman myślał o czymś zupełnie innym. Od dawna dręczyła go obawa, że prawdziwy Rudolf Nowak wyłoni się nagle znikąd i zażąda zwrotu tożsamości. Z listów znalezionych w plecaku dawno już odpisał dokładny adres Nowaków. Kilkakrotnie zamierzał wsiąść do pociągu pospiesznego do Warszawy, aby osobiście sprawdzić, czy Nowak wrócił do domu, ale za każdym razem tchórzyl i odkładał decyzję na później. Myśl, że stanie twarzą w twarz z dawnym przypadkowym towarzyszem podróży, budziła w nim przerażenie. Co zrobi? Wyjmie pistolet i zastrzeli niebezpiecznego sobowtóra? Śmieszne. Przecież w ogóle nie ma pistoletu.

Teraz był to chyba jakiś znak z nieba. Los sprowadził go do Warszawy, więc niech się stanie, co ma się stać. Najwyższy czas zamknąć raz na zawsze krąg niepewności i zacząć stąpać po twardym gruncie. Nie miał dosyć odwagi, aby wziąć taksówkę i pojechać na Żelazną. Najlepszym rozwiązaniem wydawała się rozmowa telefoniczna. Wprawdzie nie istniał spis prywatnych telefonów, ale portier wychodził ze skóry, aby zadowolić gościa osobiście zaproszonego przez ministra przemysłu ciężkiego. Po godzinie podał inżynierowi kartkę z poszukiwanym numerem, przesunął aparat na kraniec recepcyjnej lady i dyskretnie oddalił się w głąb portierni.

Po rozmowie z Reginą Liebman wpadł w rozterkę. Może zrezygnować ze spotkania? To byłoby najłatwiejsze rozwiązanie. Bez konfrontacji. Wszak było niemal pewne, że Rudolf nie pojawił się w domu od zakończenia wojny. A może wrócił, porzucił żonę i mieszka gdzie indziej? Poza tym nieopatrznie podał prawdziwe nazwisko. Jeśli także Regina szuka Rudolfa, to z pewnością nie spocznie, aż odnajdzie Izaaka Liebmana, jedyną osobę, która mogła coś o nim wiedzieć.

Izaak spojrział na zegarek. Miał sporo czasu. Wrócił do pokoju i zaczął raz jeszcze przeglądać tekę dokumentów, którą wręczył mu sekretarz organizacji partyjnej. Opatrzona była podłużną pieczętą „ściśle tajne”. Już w pociągu czytał te papiery i tak jak w drodze, tak również teraz niezupełnie rozumiał ich treść. Nie przyswoił sobie jeszcze partyjnego żargonu. Podniecony, schował teczkę pod poduszkę, narzucił płaszcz i wyszedł zaczerpnąć świeżego powietrza. Portier chciał zawołać taksówkę, ale grzecznie mu podziękował. Chłopiec w trochę spłowiałej liberii pomógł mu pchnąć drzwi obrotowe. Liebman wetknął mu w dłoń kilka drobnych monet.

Hotel ulokowany był w śródmieściu. Pokoje wynajmowano tylko dostojnym gościom. Miasto nie dźwignęło się jeszcze z wojennych zniszczeń, brakowało wszystkiego, także hoteli. Zwyczajni śmiertelnicy musieli się zadowalać noclegiem w prywatnych mieszkaniach i słono za to płacić. Liebman nie miał o tym wszystkim pojęcia. Nie wiedział nawet, ile kosztuje jego pokój. Im wyżej wspinał się człowiek po drabinie społecznej, tym bardziej rozluźniał się jego związek z rzeczywistością dnia codziennego. Do dyspozycji uprzywilejowanych stały nie tylko specjalne hotele, ale także specjalne sklepy, których okna wystawowe zasłaniano żółtymi firankami, specjalne domy wypoczynkowe i specjalne lecznice. Kiedyś Maurycy, w przystępie dobrego humoru, powiedział, że wkrótce powstaną także specjalne cmentarze, gdzie przy każdym grobie stać będzie funkcjonariusz UB, „aby zapobiec ucieczce duszy do konkurencyjnego raję”.

Naprzeciw hotelu stał częściowo zburzony dworzec kolejowy. Buldożery wyrównywały grunt pod budowę wielkiego parkingu autobusowego. Liebman przypomniał sobie, że jeden z wykładowców Politechniki przedstawiał studentom warszawski dworzec jako klasyczny przykład wiktoriańskiej, monumentalnej architektury. Niewiele zostało z tej wspaniałej budowli. Robotnicy uprzętały gruzy, opatuleni w grube fufajki, w czapkach z zielonej wełny. Liebman przeszedł obok nich obojętnie, zauważając, że niekształtny ubiór odbiera człowiekowi coś z jego człowieczeństwa.

Na Żelazną był spory kawał drogi, ale nigdzie mu się nie spieszyło, nie chciał przyjść przed umówioną godziną. Ruch na ulicach przypominał przedwojenne prowincjonalne miasteczka, tylko od czasu do czasu przemyka! jezdnią samochód, bryzgając roztopioną breją. Przed sklepem spożywczym stał długi ogonek. Warzywa i jarzyny były równie zmęczone jak ludzie. Nędza, pomyślał, nie dodaje urody.

Po odbyciu niespodziewanej rozmowy telefonicznej Regina prawie nie odrywała ust od butelki. Mimo zawrotów głowy długą chwilę stała przed lustrem, badając swój wygląd. Teraz odbicie było jeszcze bardziej zamazane. Z szafy wyjęła obcisłą granatową spódnice i białą satynową, niemal przezroczystą bluzkę. Rudolf lubił tę kombinację elegancji z odrobiną kokieterii.

Rudolf? Dlaczego Rudolf? Przecież nie Rudolf, lecz ktoś całkiem obcy miał ją odwiedzić. Obcy? Dlaczego obcy? Nigdy nie gościła obcych mężczyzn. Jeszcze jeden łyk i wszystko stanie się bardziej wyraziste. Wódka drapała w gardle, ale wyścielała duszę. Jeszcze jedna szklaneczka i dosyć. Rudolf nie ucałuje kobiety, której oddech przesączony jest zapachem alkoholu. Nie, chyba nie poczuje, że pila. Jeszcze jeden, ostatni łyk. Świat wydaje się nagle lepszy, ładniejszy. Jest jak tęcza w oczach, jak dzwoneczki w uchu. Tylko podłoga jakoś przestała być równa, parkiet stał się nagle śliski. Znów te dzwoneczki w uchu. Nie, to chyba dzwonek u drzwi.

– Już otwieram, Rudi, już otwieram.

Gdy tylko przekroczył próg mieszkania, zorientował się, że jest zupełnie pijana. Regina wbiła wzrok w twarz Izaaka, cofnęła się o krok i bąknęła:

– A pan to kto?

Nim zdążył odpowiedzieć, szerokim gestem wskazała mu drogę do pokoju. Liebman zdjął mokry płaszcz i przerzucił go przez oparcie kanapy. Regina stała po przeciwnej stronie stołu, trzymając się kurczowo oparcia krzesła. Było oczywiste, że bez tej podpory nie utrzymałaby się na nogach.

– Skąd się tu wzięłeś? – zapytała, nieświadoma, że sama otworzyła mu drzwi.

– Rozmawialiśmy przez telefon. Mam nadzieję, że pani pamięta. Mówiliśmy o pani mężu, o tym, że spotkałem go w obozie. Zaprzyjaźniliśmy się. Chciałem się z nim spotkać.

Nagła fala światła przywróciła jej na chwilę przytomność umysłu.

– Pamiętam, pamiętam. Izaak Liebman – zawołała, jakby odkryła jakąś wielką prawdę.

– Nazwisko nie ma żadnego znaczenia – powiedział, nie wiedząc, jak wybrnąć z tej kłopotliwej sytuacji. Pijana kobieta i zapuszczone mieszkanie nie pozostawiały wątpliwości: Rudolf Nowak nigdy się tutaj nie pojawił. Dalsza rozmowa była bezcelowa. Nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. W każdym razie nie tutaj i nie teraz. Im szybciej zakończy tę wizytę, tym mniejsze będzie zagrożenie w przyszłości. Ale chwila trzeźwości była krótka jak życie ameby. Regina oderwała się od poręczy krzesła i uczepiła jego rękawa.

– Rudi! – zawołała uszczęśliwiona. – Wiedziałam, że mnie nie porzucisz!

Odepchnął ją delikatnie i pomógł usiąść. Regina oparła ramiona na blacie stołu, na którym wciąż jeszcze stała na wpeł opróżniona flaszka i szklanka. Liebman odsunął ją z zasięgu jej rąk.

– Pamiętasz tę bluzkę? Założyłam ją specjalnie dla ciebie.

Nie rozumiał, o czym mówi, ale zmierzył ją zaciękawionym spojrzeniem. Dopiero teraz uświadomił sobie ogromne podobieństwo między zupełnie pijaną Regimą a młodą dziewczyną z warkoczami uwiecznioną na fotografii. Ciężkie lata nie zdołały zetrzeć wszystkich śladów jej urody. Przez głowę przemknęła mu zwariowana myśl, że wcielając się na chwilę w postać jej męża, z łatwością mógłby ją wykorzystać dla swojej przyjemności, ale natychmiast pojął, jak bezsensowne by to było. Regina spojrzała mu prosto w oczy, wzrok miała zamglony, gdy zaproponowała:

– Wypijesz ze mną kieliszek?

Gwałtowne przejścia z nadzwyczajnej ekscytacji do nadzwyczajnego spokoju były fascynujące. Fale pijaństwa i fale trzeźwości uderzały na przemian w jakąś niewidzialną skałę. Z wysokości szczęścia spadała nagle w otchłań rozpacz, i na odwrót. Już chciał odmówić, gdy przeląkł się, że wywoła jakąś niekontrolowaną reakcję. Więc odpowiedział krótko:

– Z przyjemnością.

Nie było to zwykłe ustępstwo. Miał nadzieję, że jeśli upije ją do utraty przytomności, zarówno wizyta, jak i rozmowa pójdą w zapomnienie. Jutro lub pojutrze, gdy wytrzeźwieje, potraktuje je jak halucynacje, wytwór chorej wyobraźni. Liebman przyniósł z kredensu drugą szklankę, nalał jej do pełna, sobie odrobinę. Przecież nie mógł się pojawić na premierze, zionąc alkoholem. Ale tym razem Regina, ledwie zamoczywszy usta, znów wstała, otoczyła go mocno ramionami, przytulając mu się do piersi. Z trudem wyzwolił się z jej objęć. Nagle, równie gwałtownie, odsunęła go od siebie, krzyknęła „Oszust!” i zwała się na podłogę. Liebman pochylił się nad nią:

– Pani Regino, pani Regino – wołał przestraszony – czy wszystko w porządku?

Nie było odpowiedzi. Co za idiotyczne pytanie, uświadomił sobie, kobieta leży przed nim nieprzytomna, a on pyta, czy wszystko w porządku. Przestach ścisnął mu gardło: co będzie, jeśli nie oprzytomnieje? Będzie musiał wezwać karetkę pogotowia, pojawią się milicjanci, zaczną padać kłopotliwe pytania. Jak wyjaśni swoją obecność w mieszkaniu? Co powie milicjantom, gdy zechcą wiedzieć, skąd zna Reginę Nowak? Przecież wystarczy im zajrzeć do jego dowodu osobistego, aby stwierdzić zbieżność nazwisk. Jeśli jest jej mężem, zapytają, to gdzie przebywał dotychczas? A jeśli nie, to skąd, do cholery, przyplątał się na Żelazną?

Sam wpakował się w tę pułapkę i tylko on sam może się z niej wydostać. Klęknął nad Regimą i przyłożył ucho do piersi. Oddycha. Dzięki Bogu, oddycha.

Jeśli wymknie się teraz z mieszkania, nikt nie będzie mógł zamieszać go w tę aferę. Nikt nie udowodni, że był w tym mieszkaniu. Nikt nie widział, jak wspinał się na czwarte piętro, a jeśli nie zapali światła na klatce schodowej, nikt również nie zauważy go wychodzącego. Co jednak powie Regina, gdy przejrzy na oczy? Gdyby nie podał jej swego prawdziwego nazwiska, nie byłoby powodu do obaw. Ale powiedział. Nikt nie zaręczy, że je zapomni, utopione w morzu alkoholu. Może uda jej się odtworzyć jego portret pamięciowy, jak to zwykła robić milicja szukająca przestępców, i nie spocznie, dopóki nie odnajdzie człowieka związanego z jej mężem. Jego egzystencja zawisnie na włosku akurat w chwili, gdy stoi u szczytu kariery.

Regina leżała na plecach, oczy miała otwarte, lecz niewidzące. Stary zegar wybił siódmą trzydzieści. Za pół godziny zaczynało się przedstawienie. Liebman sprawdził, czy ma w kieszeni bilety. Zarezerwowano mu dwa miejsca w siódmym rzędzie. Dlaczego dwa? Czyżby sądzili, że znajdzie sobie partnerkę? Kogo? Przecież na pewno nie Regimą. Wszystko wydawało mu się teraz podejrzanе, groźne. W oryginalnych dokumentach Nowaka figurowało wyraźnie „żonaty”. Lecz we wszystkich kwestionariuszach Uniwersalu pisał „samotny”. Takie określenie wydawało mu się mniej zobowiązujące aniżeli „kawaler” lub „rozwieziony”. Przecież nawet człowiek żonaty może być samotny, jeśli nie ma żony u swego boku. Niestety, do wszystkich diabłów, według oficjalnych papierów ta pijana baba była jego jak najbardziej ślubną małżonką. Ponieważ tak głupio zdemaskował się przed nią, cała ta skomplikowana historia może się skończyć katastrofą. Nie Rudolf Nowak stanowił teraz rzeczywiste zagrożenie, ale jego żona Regina.

Wciąż jeszcze była nieprzytomna, jednak Liebman przestał się martwić, że może umrzeć. Wręcz przeciwnie. Ewentualność taka wydała mu się nagle całkiem dogodna. Ludzie martwi nie składają zeznań. Nie przyłoży do tego ręki, kobieta zaś może zamilknąć na zawsze. On natomiast za chwilę zniknie stąd, by już nigdy nie wrócić ani do niej, ani do świata pełnego pułapek.

Jak gdyby słyszała jego myśli, Regina podniosła się na łokciu i rozejrzała wokół zamglonym spojrzeniem. Po chwili znów opadły jej ciężkie jak ołów powieki, ale nadzieje Liebmana rozwiały się w pył. Jeszcze pięć minut, może dziesięć, ocknie się z omdlenia, wyciągnie do niego ramię lub zawoła go po nazwisku.

Nie wolno jej żyć.

Co ma zrobić? Przecież nie jest mordercą. Niby dlaczego nie? Ludzie zabijają bliźnich ze znacznie mniej ważkich przyczyn. Gdyby posiadał broń, może znalazłby w sobie dość odwagi, aby pociągnąć za spust. Ale nie posiadał. Przecież nie chwyci jej za gardło i nie udusi gołymi rękami.

W kuchennych szufladach na pewno są noże.

Także tę możliwość natychmiast odrzucił. Nigdy nie zdobędzie się na wbicie jej noża w serce. Widok krwi byłby nie do zniesienia. Gdyby istniała możliwość uśmiercenia jej bez dotykania, nie zawahałby się ani na sekundę. Nic rozsądek, ale panika dyktowała mu zachowanie. Aczkolwiek myśl zabicia, zabicia, lecz nie zabójstwa, nie zrodziłyby wyrzutów sumienia. Zbyt często spotykał na swojej drodze anioła śmierci, zbyt wiele razy przypatrywał się jego rzemiosłu. Pamiętał stopy trupów przed barakiem w Mauthausen, zwłoki więźniów skatowanych przez kapo lub takich, którzy wyzionęli ducha z wycieńczenia. W obozie trupy stanowiły element codziennego krajobrazu. Po wyzwoleniu niejednokrotnie miał okazję się zemścić. Rosyjscy więźniowie dali mu bagnet, mógł nim zadźgać każdego wziętego do niewoli SS-mana, a jednak nigdy tego nie zrobił. Nie czuł takiej potrzeby. Nie przeszkadzało mu natomiast, gdy robili to inni. Nie litował się nad ofiarami, które zasłużyły na karę. Lata

spędzone w obozach wyprały z niego wszelką możliwość wzruszeń. Ból nie był bólem, jeśli dotyczył kogoś innego.

Liebman wziął swój płaszcz z oparcia kanapy i skierował się ku wyjściu. Przedpokój był ciemny, on jednak wolał nie zapalać światła. Przez pomyłkę, w mroku, wszedł do łazienki. Znacznie później doszedł do wniosku, że nie był to przypadek, lecz przeznaczenie. Po omacku szukał kontaktu, a gdy go znalazł, ukryty w ścianie za otwartymi drzwiami, pod sufitem rozbłysła goła, czterdziesto watowa żarówka. Stał teraz pośrodku podłużnej, wąskiej łazienki starego typu, z wanną, której emalia zaczęła już odpryskiwać, i staromodnym gazowym grzejnikiem wody. Pod białym zbiornikiem migotał niebieski płomyk. Liebman znał ten rodzaj grzejników, taki sam mieli rodzice w Chełmie Lubelskim. Z otwarciem kurka płomień powiększał się i po kwadransie płynęła ciepła woda. Matka ostrzegała ich zawsze, by nie zdmuchnąć go przez pomyłkę, bo bez ognia ulatniał się z palnika bezwonny, trujący gaz.

Od chwili gdy zobaczył ten grzejnik, wszystko stało się proste, jakby naznaczone przez los. Liebman wrócił do salonu. Regina wciąż jeszcze była nieprzytomna. A może tylko spała, odurzona alkoholem. Bez wahania ujął ją za przeguby rąk i pociągnął, jak bezkształtny worek, przez mroczny przedpokój do słabo oświetlonej łazienki. Dopiero gdy ułożył ją na gumowym dywaniku obok wanny, zauważył, że ma rozpiętą bluzkę i że żaden stanik nie ukrywał jej nieco obwisłych piersi. Nie wiedział, czy sama rozpięła guziki, czy może urwały się, gdy włókł ją na miejsce stracenia. Potem zdmuchnął płomyk w grzejniku i przytknął nos do wylotu miedzianego palnika, aby sprawdzić, czy gaz rzeczywiście nie ma zapachu. Nie miał. Wycofał się szybko i pokiwał głową z zadowoleniem. Poszło gładko niczym z płatką. Czynił to wszystko, jakby kierowała nim jakaś zewnętrzna siła, bez poczucia winy. Myślał tylko o zatarciu śladów. Aby stworzyć wrażenie nieszczęśliwego wypadku, wskazane było rozebrać Reginę. Ci, którzy ją znajdą, będą przekonani, że chciała wziąć kąpiel, poślizgnęła się i zemdląca. Lecz nie był w stanie jej dotknąć. Nie chciał mieć bezpośredniego, fizycznego kontaktu z tym, co miało się stać. Milicja może przecież dojść do wniosku, że popełniła samobójstwo. Miała ku temu dostateczną ilość powodów.

Jedyna rzecz, której pragnął, to opuścić to miejsce jak najszybciej. Nie chciał wiedzieć, kiedy zacznie wdychać w płuca trujący gaz i jak długo potrwa, aż oddech ustanie. Spojrzał na nią po raz ostatni, nie po to, by zapamiętać jej wygląd, chciał się raz jeszcze przekonać, że leży bez ruchu, bez przytomności. Jedna pierś wyslizgnęła się z bluzki, jakby w ogóle nie należała do jej ciała.

Martwą kobietę z odsłoniętą piersią widział po raz pierwszy podczas likwidacji getta w Chełmie. Znał ją dobrze, nazywała się Sara Kopel, uważana była za najprzystojniejszą pannę w mieście. Gdy wyszła za mąż za Dawida, dalekiego kuzyna, zamożnego spadkobiercę młyna parowego, nawet najbardziej cięte języki w miasteczku musiały przyznać, że były to udane swaty. Sara była inteligentna i wykształcona, maturę zdała z wyróżnieniem, a wkrótce okazało się, że była także przykładną matką. Syna urodziła kilka miesięcy przed wybuchem wojny. Izaak był zaproszony na ceremoniał obrzezania, ale nie przyjechał. Wydarzenie nie wydawało mu się dosyć ważne, aby prosić o urlop. Poza tym był zakochany w Natalii, nie chciał jej tracić nawet na jeden dzień. Do Chełma Lubelskiego postanowił wrócić dopiero we wrześniu, gdy Niemcy byli już w Warszawie. Aryjska firma nie chciała zatrudniać Żyda, a on sam doszedł do wniosku, że w trudnych chwilach powinien być u boku starzejących się rodziców.

Gdy w rodzinnym mieście powstało getto, Liebmanowie nie musieli przenosić się gdzie indziej. Zawsze mieszkali w sercu żydowskiej dzielnicy. Ojciec z uporem odmawiał zmiany mieszkania, przeprowadzenia się na jedną z głównych ulic. „Potrzebna ci jest ciasnota i zapach czosnku” – drwił Izaak. „Jeśli to jest wszystko, co w twoim pojęciu symbolizuje judaizm, to widocznie nie umiałem cię właściwie wychować” – odpowiadał ojciec z

humorem, a jednak lekko urażony. Gdy w roku czterdziestym dom znalazł się w granicach getta, przypomniał synowi jego drwiące uwagi: „Widzisz, że miałem rację; innych Żydów przepędzają pod obce dachy, nas nikt nie ruszy z miejsca”. Ojcowska racja miała krótki oddech, bo niebawem zaczęto sporządzać listy osób przeznaczonych na roboty gdzieś na Wschodzie, nikt dokładnie nie wiedział gdzie. Dziwnym zbiegiem okoliczności w spisach znaleźli się tylko ludzie starzy, chorzy i kaleki. Miejscowy Judenrat⁹ zapewniał, że nie grozi im żadne niebezpieczeństwo, że mowa o pracy lekkiej, dostosowanej do możliwości wyjeżdżających. Liebmanowie, Koplowie i jeszcze kilka zaprzyjaźnionych rodzin nie dało wiary uspokajającym komunikatom. Wiadome było, że Judenraty wykonują wszystkie polecenia hitlerowców. Dzień przed terminem zsyłki dwadzieścia osób zeszło do obszernej piwnicy w młynie rodziców Dawida. Wody i żywności było tam pod dostatkiem, wykopano nawet dziurę, która służyć miała za kloakę. Gdy na peronie zabrakło kilku osób figurujących na liście, Sonderkomando SS ruszyło na poszukiwanie zbiegów. W przerażających czarnych mundurach chodzili od domu do domu, rozwalali drzwi, przewracali meble, strzelali na oślep do pustych strychów, aż przyszła kolej na młyn. Ukryci w piwnicy wyraźnie słyszeli nawoływania SS-manów i stuk podkutych, żołnierskich butów na drewnianych schodach, dosłownie nad ich głowami. Właśnie wtedy niemowlak Sary zaniósł się głośnym płaczem. Sara próbowała go uspokoić pokarmem, ale dziecko, z niewyjaśnionej przyczyny, nie chciało ssać. „Zamknij mu gębę!” – szepnął ktoś z kąta. Ściany piwnicy odpowiedziały wyciszonym echem. Sara nakryła głowę synka poduszką, na której siedziała. Szloch zdusił się w miękkim puchu. Wszyscy odetchnęli z ulgą. Kroki Niemców zaczęły się już oddalać, gdy piwnicę wypełnił rozpaczliwy krzyk Sary: „On nie oddycha! On nie oddycha! Uduśliłam własne dziecko!”. Jak opętana amokiem, złapała niemowlę i wybiegła na ulicę. Nikt w piwnicy nie próbował jej powstrzymać. Nikt nie widział, co się potem stało, słychać było tylko kilka pojedynczych strzałów i warkot silnika oddalającej się ciężarówki. Nikt nie miał odwagi opuścić piwnicy. Izaak wyszedł późnym wieczorem. Pośrodku jezdni leżała Sara, martwa. W niebieskawym świetle księżyca widoczna była pierś, którą wyjęła, aby nakarmić dziecko. Twarz Sary była urodziwa, jak za życia. Widocznie zginęła bez bólu, od pierwszego strzału. Niemowlaka nie widział nigdzie.

Dawida spotkał dwa lata później, w obozie. Nigdy nie zapomni jego słów: „Nie zrobiłem nic, żeby ich uratować. Wyrzuty sumienia towarzyszyć mi będą do śmierci, ale to już chyba niedługo”.

Liebman zamknął za sobą drzwi mieszkania Reginy Nowak. Nikt nie słyszał lekkiego trzaśnięcia zamka. Nikt nie zauważył go schodzącego po schodach. Deszcz przestał padać, ale wilgoć stała jeszcze w powietrzu. Na ulicy paliły się tylko nieliczne latarnie. Portier przestrzegwał go przed spacerem w ciemnych zaułkach. Rabusiów i bandytów, powiedział, jest u nas jak psów. Prasa rozpisywała się szeroko o przestępczości w Nowym Jorku, ale na jej łamach próżno by szukać stołecznej kroniki kryminalnej. Liebman miał nadzieję, że śmierć Reginy nie zostanie wspomniana, że nikt ze znajomych nie przeczyta w gazecie wiadomości i nie zapyta: Czytałeś, Nowak? To była jakaś twoja krewna?

Wyszedł z Żelaznej na Żółtą. Za rogiem stała szara pobieda, kierowca wykonał zapraszający gest. Po godzinach służbowych szoferzy państwowych samochodów dorabiali sobie wożeniem na łebka.

– Może mnie pan podwieźć do „Romy” na Nowogrodzką? – spytał.

– Wszędzie, byle nie na Rakowiecką – uśmiechnął się kierowca i otworzył przednie drzwiczki wozu. Liebman nie wiedział, że na Rakowieckiej mieści się warszawskie centralne więzienie. Usiadł na tylnym siedzeniu. Lepiej, by go nikt nie rozpoznał. Kierowca chciał być

⁹ Rada Żydowska, mianowana przez Niemców do administrowania gettem.

towarzyski, pasażerowie, z którymi można było pogadać, zawsze płacili więcej. Mówił „co łaska”, ale nie brał mniej niż sto dwadzieścia złotych.

– Pogoda pod zdechłym Azotkiem – próbował nawiązać rozmowę. Liebman nie odpowiedział. Niespokojnie zerknął na zegarek. Do rozpoczęcia spektaklu było mniej niż piętnaście minut. Po chwili zdecydował się odezwać do kierowcy. Uparte milczenie również może wzbudzić podejrzenia.

– Taka pogoda dobra chyba dla takich jak pan – zauważył. Ale kierowca wolał nie mówić o swoich interesach, więc tylko zapytał:

– Co dają?

– *Czerwony mak.*

Kierowca zachichotał.

– Chyba nie ten spod Monte Cassino. Zabronione. Ale za komuny wszystko jest czerwone. Lubią ten kolor.

– To jest balet o radzieckiej pomocy Chińczykom.

– Wolałbym chiński ryż. Był w sklepach, ale wyszedł – zauważył kierowca filozoficznie.

– Wszystko wychodzi. Jest tylko czarny rynek. Dlatego muszę dorabiać.

Samochód przemknął szybko pustymi ulicami, jedynie na przystankach pasażerowie czekali na spóźnione autobusy. Kierowca skręcił w jakąś nieznaną Liebmanowi przecnicę i powiedział:

– Nie chcę się pchać pod sam teatr. Ktoś może zobaczyć. Ale to dosłownie sto kroków stąd. Pójdzie pan prosto i zaraz na lewo.

Liebman wyjął z kieszeni kilka zmiętych banknotów i nic licząc, podał je szoferowi. Szofer kiwnął głową z zadowoleniem. „Przyjemnej zabawy” – powiedział. Gdy tylko pasażer wysiadł, dał gazu i zniknął za rogiem.

Do podniesienia kurtyny zostało już tylko kilka minut. Remont Teatru Narodowego miał być zakończony poprzedniego lata, ale, jak zwykle, nastąpiły nieprzewidziane opóźnienia. Nowy termin zapowiedziano na lato 1949. Na razie wszystkie ważniejsze przedstawienia odbywały się w salach zastępczych. Bileter wskazał mu siódmy rząd. Miejsce obok pozostało puste. Za plecami ktoś głośno tłumaczył swojej towarzyszce, że Reinhold Glier osobiście opracował nową inscenizację. Liebman odwrócił się i natychmiast poznał ministra kultury. Jego zdjęcie często pojawiała się na łamach „Głosu Ludu”. Także w siódmym rządzie siedziały osobistości znane mu z fotografii trybun na pierwszomajowych uroczystościach, ale nie potrafił doczepić nazwisk do twarzy. Na trybunach, 1 maja i 22 lipca, odległość poszczególnych osobistości od Bieruta, Bermiana lub Gomułki świadczyła o ich randze, wpływach i możliwościach. Każde przesunięcie miało znaczenie, a jego rozszyfrowywanie stało się sportem narodowym. Nawet Maria Kot brała udział w tej grze. To fascynuje bardziej niż rozwiązywanie krzyżówek, mówiła. Liebman nigdy nie umiał wysnuć właściwych wniosków. Drobnym ten fakt uświadamiał mu, że mimo wszystkiego, co zdołał we Wrocławiu, daleko mu jeszcze do tego establishmentu, którego decyzje budują i rujną ludzkie kariery.

Balet był doskonały, wykonawcy zasłużyli na brawa. Publiczność oklaskiwała ich na stojąco. Po zapadnięciu kurtyny w jednej z bocznych sal budynku odbył się bankiet dla wybranych gości. Liebman nie został zaproszony. Na razie, powiedział w duchu i odebrał płaszcz z szatni. Do hotelu miał bardzo blisko. Recepcjonista przywitał go kordialnym uśmiechem i powiedział:

– Był telefon z sekretariatu ministra. Służbowy samochód przyjedzie po was o siódmej czterdzieści pięć. Czy towarzyszy inżynier życzy sobie być obudzony?

– Dziękuję, budzę się sam.

– Oni bywają bardzo punktualni.

– Ja także – odparł. Wziął swój klucz i zaczął się wspinać po schodach. Windy jeszcze nie wyremontowano.

Minister przemysłu ciężkiego był dość tęgim pięćdziesięcioletnim mężczyzną, lekko łysawym, przyjemnym w obejściu. Bez ceregieli wyszedł naprzeciw gościowi i prowadząc go za rękę jak dziecko, posadził w fotelu przy małym okrągłym stoliku, w kącie pokoju. Ogromne mahoniowe biurko pozostało osierocone. Gdy usiadł naprzeciw Liebmana, z wyrazem zadowolenia na twarzy, otworzył wieko srebrnego pudła z papierosami i spytał, czy zapali.

– Dziękuję, jeszcze się nie nauczyłem – próbował zażartować.

– Nie szkodzi. Słyszałem, że szybko się uczycie – powiedział minister z całą powagą, wetknął papierosa w usta, potem wyjął go, nie zapalając i odłożył na skraj popielniczki. – Mimo to przyda się wam kilka słów przedmowy – stwierdził.

Przedmowa trwała pół godziny, cała poświęcona znaczeniu uprzemysłowienia w społeczeństwie socjalistycznym. Puste gadanie, skonstatował Liebman, ale udawał, że słucha uważnie. Nie wiedział jeszcze, iż referat w nowomowie to obowiązkowa część ceremoniału. Na szczelbu wojewódzkim, w KW PPR, nie tracono czasu na długie, ogólnikowe wyjaśnienia, mówiono krótko i do rzeczy. Minister mógłby brać lekcje u Konstantego, pomyślał i z trudem powstrzymał się od ironicznego uśmiechu.

Gdy skończyła się część oficjalna, minister zapalił wreszcie papierosa i znów zapytał:

– Czego się napijecie, Nowak?

– Nie jadłem śniadania. Herbata dobrze mi zrobi.

– Miałem na myśli coś całkiem innego – rzekł minister, podszedł do kasy pancерnej, w której przechowywał zapewne ważne dokumenty, wydobyl z niej butelkę prawdziwego francuskiego koniaku i nalał dwa pełne kieliszki.

– Za powodzenie naszych zadań – rzucił, przechylił głowę do tyłu i opróżnił kieliszek jednym długim haustem. Liebman rozgrzał koniak w dłoniach i pił drobnymi łykami.

– Widzę, że na tym też się znacie – zauważył minister. Liebman nic wiedział, czy to pochwała, czy nagana. Minister ciągnął: – Wiele lat spędziłem w sanacyjnych więzieniach. W celi uczyłem się Marksa i Lenina, na naukę savoir vivre'u nie starczyło czasu. Nie nauczyłem się także tańczyć, a teraz już za późno – zaśmiał się sucho.

Liebman na próżno szukał w słowach ministra przyjaznej serdeczności. W jego suchym śmiechu dopatrzył się tylko paternalizmu.

– Ja także nie umiem tańczyć – pospieszył zapewnić. – W obozach szalał tylko taniec śmierci.

– Czytałem wasz życiorys, towarzyszu Nowak. Wiem o was wszystko. Nie wezwałem was jako nauczyciela tańca. Towarzysze w terenie poręczyli za was, a to mi wystarcza. Człowieka trzeba poznać z bliska, aby wyrobić sobie o nim opinię. A tę, muszę przyznać, macie w porządku. Powiedziałbym wyśmienitą, ale nie lubię superlatywów. Z Gedalią Chajesem siedzieliśmy razem w Berezie Kartuskiej. Potem jeszcze rok w celi dla szczególnie niebezpiecznych więźniów politycznych. Mówimy tym samym językiem, myślimy tak samo i tak samo działamy. Dlatego też zatwierdziłem waszą nominację bez przyjętej w takich przypadkach biurokracji. Oczywiście zapewniłem kogo trzeba w Biurze Politycznym, że w ciągu sześciu miesięcy będziecie członkiem partii. Domagali się tego także w CUP-ie¹⁰. Jestem przekonany, że nas nie zawiedziecie.

– Nie zawiodę – wymamrotał Liebman. – I dziękuję za zaufanie.

– Nie trzeba dziękować, tylko pracować. Znacze wasze zadania na przyszłość?

– Przejrzałem tekę dokumentów.

– To dobrze. To bardzo dobrze. O dziesiątej macie spotkanie z generałem Brozą w MON-ie. Mój kierowca was zawiezie. Ponieważ Uniwersał, a szczególnie oddział w Jelczu, będą

¹⁰ Centralny Urząd Planowania.

produkować na potrzeby wojska, MON będzie waszym głównym dysponentem. Przy okazji chciałem też powiedzieć...

– Tak?

– ...chciałem powiedzieć, że Uniwersal brzmi mi trochę kosmopolitycznie.

– Utrzymano nazwę ze względu na rynki zagraniczne.

– Nonsens. Nie udało nam się sprzedać towaru nawet za jednego dolara. Poza tym, od teraz koniec z eksportem. Cały wysiłek kierujemy na wzmocnienie obozu pokoju. Jasne?

– Jak słońce. A jeśli chodzi o nazwę, to pomyślałem, że może Czerwony Sztandar byłby odpowiedni.

– Niezły pomysł. Skąd go wygrzebaliście?

– Wczoraj byłem na *Czerwonym maku* i tak jakoś...

– Cenię sobie błyskotliwe myślenie, towarzyszu Nowak. Po powrocie do Wrocławia popracujcie nad tym. Poradźcie się Chajesa, to doświadczony człowiek. Zróbcie jakąś uroczystość, na zewnątrz sztandary i przemówienia, a wewnątrz czystka. Nie możemy sobie pozwolić na zatrudnianie obcych elementów. Jestem przekonany, że wprowadzicie nowy styl zarządzania. Nie litujcie się nad wrogami narodu. W przeszłości oni także nie litowali się nad nami. W tym konflikcie nie ma miejsca na kompromisy. Lepiej pozbyć się dziesięciu uczciwych, aniżeli zostawić jednego prowokatora. Czy wyrażam się dostatecznie jasno?

– Sami powiedzieliście, towarzyszu ministrze, że szybko się uczę.

– Nie zaprzeczam. Wypijemy strzemiennego i zejdzicie na parter. Jest tam poczekalnia dla naszych specjalnych gości. Gdy przyjdzie czas, kierowca was wywoła. Życzę powodzenia.

Liebman miał miękkie nogi i złą orientację. Spora porcja francuskiego koniaku zamiast śniadania nie była na jego głowie. Minister śmiał się do rozpuku, gdy sekretarka musiała odprowadzić go do windy. W poczekalni nie było nikogo, usiadł w fotelu i udawał, że przegląda gazetę. Gdy przyjechano go odebrać, był już niemal trzeźwy.

Neoklasyf. ne wejście do gmachu, gdzie urzędował generał Broza, kontrastowało z architekturą całości, ale tak budowano nową Warszawę, dziwną mieszaninę socrealizmu z monumentalizmem, o którym, jak wiedział z literatury, marzył Adolf Hitler. Tyle tylko, że to, co wznoszono w Warszawie, było marnym naśladownictwem, niemal karykaturą planowanej stolicy tysiącletniej Rzeszy. Wzdłuż długich, szerokich korytarzy budynku – co za marnotrawstwo powierzchni, odezwał się w nim inżynier i projektant – stały skopiowane odlewy rzeźb bohaterów pracy Wiery Muchiny. Chcąc nie chcąc, znów przyszły mu na myśl heroiczne postacie Josefa Thoraka, nadwornego rzeźbiarza nazistów. Lata niemieckiej okupacji i pierwsze lata komunizmu zawsze zmuszały go do porównywania obu dyktatur. Aby nie utonąć, obie wymagały albo takiego samego ślepego entuzjazmu, albo takiej samej dozy oportunisty.

Młody podoficer oczekiwał go przy dyżurce.

– Towarzysz Nowak? – zapytał uprzejmie.

– Tak.

– Czy mogę poprosić o dowód osobisty? Muszę wam załatwić przepustkę.

– Oczywiście. – Liebman podał mu żądany dokument. Dyżurny za okienkiem wypisał świstek papieru, podoficer wskazał drogę:

– Tędy proszę. Dowód dostaniecie przy wyjściu.

Winda wyniosła ich na czwarte piętro. Sierżant zapukał do drzwi opatrzonej mosiężną tabliczką: GEN. DYW. TOMASZ BROZA. Nic więcej. Drzwi otworzyły się z lekkim bzyknięciem elektrycznego zamka. W ogołoconym z mebli pokoju, przy samotnie stojącym biurku, siedział oficer z dystynkcjami podpułkownika.

– Od tej chwili zajmie się wami szef kancelarii – oznajmił przewodnik Liebmana i wycofał się na korytarz. Drzwi zamknęły się za nim automatycznie. Podpułkownik powiedział coś do słuchawki telefonu i zwrócił się do gościa.

– Generał już na was czeka. Możecie wejść.

Liebman zapukał. Nie było odpowiedzi.

– Drzwi i ściany są dźwiękoszczelne – wyjaśnił szef kancelarii i położył palec na przycisku. Znów rozległo się ledwo słyszalne bzyczenie. Drzwi do gabinetu Brozy otwały się jak Sezam przed Aladynem. Generał zdusił papierosa w popielniczce pełnej niedopałków. Liebman powędrował za nim wzrokiem.

– Wiem – powiedział generał – Palę stanowczo za dużo. To ta nerwowa praca. Ani chwili odpoczynku. Siadajcie.

Podobnie jak w ministerstwie, także tutaj zasiedli przy okrągłym stoliku w kącie gabinetu. Także na blacie stolika stała popielniczka, obok niej paczka papierosów i pleciony koszyk pełen suchych ciasteczek. Generał spojrzał prosto w oczy gościa.

– Więc to wy jesteście tym człowiekiem – skonstatował.

– Chyba tak – odparł Liebman, nie wiedząc, czy powinien się uśmiechnąć.

– Służyliście w wojsku?

– Tylko przed wojną, podczas studiów na Politechnice. Jak wszyscy studenci.

– Nie szkodzi. Właściciel burdelu nie musi umieć pierdolić.

Liebman był zaszokowany. Znów nie wiedział, czy to żart i powinien się roześmiać, czy też to zwyczajny styl mówienia generała. Broza zapalił jeszcze jednego papierosa. Liebman wykorzystał tę krótką przerwę w rozmowie, aby zlustrować wzrokiem swojego nowego szefa. Tomasz Broza wyglądał jak człowiek, który urodził się w mundurze. Pierś dekorowały mu dwa rzędy odznaczeń. Izaak znał je wszystkie, wytyczały drogę od Lenino do Bramy Brandenburskiej, tylko jeden order wydawał mu się obcy. Nie był pewien, czy wypada zapytać o jego znaczenie.

Okazało się szybko, że generał przyprawiał swoje zdania słownictwem, którego z trudem można by się doszukać nawet w słowniku polskiego slangu. Równocześnie zdumiał Liebmana głęboką znajomością tematów związanych z obróbką metali. Po upływie godziny odniósł wrażenie, że rozmawia z fachowcem, którego kwalifikacje zawodowe znacznie przekraczają jego własne, zdobyte na uczelni i podczas dwuletniej pracy w Uniwersalu.

– Rozumiem, o czym mówicie, Nowak. Nawet jeśli sprowadzimy szwedzką rudę, a sprowadzimy ją z całą pewnością, nie osiągniemy celu bez nowego sprzętu i nowych ludzi. Moja w tym głowa, byście dostali wszystko, czego potrzeba, nawet gdyby należało obciąć komuś jaja.

Głównym dostawcą sprzętu przemysłowego był Związek Radziecki. Kopalnie na Górnym Śląsku, a także w rejonie Wałbrzycha, wyposażone zostały ostatnio w nowoczesne kombajny do wyrębu węgla, ale dostosowane do złóż w Donbasie, szybko się tępiły na polskim, twardym antracycie. Górnicy na przodkach nie wyrabiali normy i tracili premie, a jakby nie dość tego, władze bezpieczeństwa podejrzewały ich o sabotaż. Było kilka ostrzegawczych aresztowań, ale, rzecz zrozumiała, nie zmieniły niczego. Dyrekcje zasłaniały się przepisami, nikt nic miał odwagi otwarcie krytykować radzieckich producentów. Podstawowe Organizacje Partyjne w kopalniach organizowały zebrania, padały tysiące ostrych słów, ale żadne z nich nic mogło, rzecz oczywista, naostrzyć stępionych zębów kombajnów. Liebman obawiał się, że historia powtórzy się w Uniwersalu. Chwaląc postęp radzieckiego przemysłu, jak wymagałby tego zapewne minister przemysłu ciężkiego, ostrożnie próbował dać do zrozumienia, że sprzęt sprowadzany z ZSRR może okazać się niedostatecznie wysokiej jakości.

– Nie gadajcie ze mną ogródkami – wpadł mu w słowo generał. – Wiem doskonale, że jest do dupy. Kupimy najlepszy, jaki istnieje, nieważne skąd i za ile.

– Mówiliśmy o tym we Wrocławiu. Krzysiak twierdził, że zachodnie embargo na materiały strategiczne jest nie do przebiccia.

– Zostawcie tego durnia w spokoju. Mamy tu i tam jakąś małą firmę, zarejestrowaną w Vaduzie albo na Wyspach Bahama, dawaliśmy sobie radę w przeszłości, damy sobie radę także teraz. Nie przejmujcie się tym, to nie wasz ból głowy. Pamiętajcie, co pisał Lenin... Nie? To wam przypomnę. Lenin pisał, że chciwość kapitalistów spowoduje, iż sprzedadzą bolszewikom sznur, na którym ich powiesimy.

– Wspaniałe powiedzenie – wypsnęło się Liebmanowi. Na chwilę zapomniał, że generał Broza nie potrzebuje jego pochwał, że w przeciwieństwie do większości działaczy posługuje się cytataми ojców marksizmu tylko wówczas, gdy rzeczywiście mają sens. Broza puścił uwagę Liebmana mimo uszu i wrócił do istoty sprawy:

– Gedalia Chajes mówił z wami o nowej sile roboczej?

Liebman pokręcił głową przecząco.

– Nie. Tylko minister mówił o czystkach.

– Z próżnego i Salomon nie należy. – Generał zgasił papierosa. – Stary wyga, wie, że lepiej dziesięć słów mniej niżeli jedno zbytczne.

Nie było jasne, czy miał na myśli Chajesa, czy ministra.

– Zresztą – dodał pojednawczo – może nie chciał poruszać tematu, dopóki nic zamkniemy wszystkiego między nami. W każdym przypadku musimy postawić sprawę otwarcie. Część fachowców zmobilizujecie w województwie. Jeśli zajdzie taka potrzeba, przeniesiemy ich do was z innych zakładów. Do Jelcza wyślę wam dwa tysiące ludzi, wszyscy z mojej puli.

– Żołnierzy? – zdumiał się Liebman. – Obawiam się, że nie będą zbyt przydatni. Nie mamy czasu na szkolenie, a...

– Więźniów – przerwał mu szorstko generał. – Przeczesałiśmy więzienia. Znaleźliśmy odpowiednich ludzi. Zbadaliśmy wszystkie szczegóły. U mnie nie ma partactwa. Ale nie zapominajcie, że także więźniowie są ludźmi, więc miejcie do nich ludzki stosunek. W ostatecznym rozrachunku to się zawsze opłaca. Dajcie im trochę nadziei, nawet jeśli będzie to nadzieja bez pokrycia. Niech wiedzą, że uczciwa praca przyspieszy ich zwolnienie. Metoda kija i marchewki czyni cuda... Czy mi się wydaje, Nowak, drżą wam ręce? Obawiacie się, że zadanie przerasta wasze możliwości?

– Skądże znowu. To tylko z emocji. Z powodu zaufania, które pokładacie we mnie.

– Chajes poręczył za was. Poza tym, tajemnica wiąże nas na wieki.

– Wieki, to chyba zbyt długi okres. – Liebman usiłował pokryć zakłopotanie żartobliwą odpowiedzią. Ale Tomasz Broza nie był w nastroju do żartów.

– Wieki zależne są od długości waszego życia. Mam na myśli życie partyjne. Nie zapominajcie, że od dzisiaj stanowicie tryb w wielkiej maszynie. Bardzo wielkiej, towarzyszu Nowak.

Gdy zakończył sprawy w Departamencie Uzbrojenia MON, było już po pierwszej. Liebman zrobił się głodny. W dzielnicy urzędów państwowych nie było nawet baru mlecznego. Szedł więc pomału w stronę Alei Jerozolimskich, tam na pewno znajdzie jakąś przyzwoitą restaurację. Pociąg powrotny miał dopiero późnym wieczorem. Idąc, raz jeszcze przetrawiał wszystko, co powiedział mu Broza, a szczególnie powiedzenie, że wieki kończą się tam, gdzie życzy sobie tego partia, im wyżej wspinać się będzie po stromym zboczu piramidy, tym większa będzie jego zależność od liny, którą trzyma ktoś na szczycie. Ten ktoś, znajomy lub obcy, może ją w każdej chwili wypuścić z zaciśniętej pięści. Po takim upadku nikt już nie wstaje. Przykład Aleksandra Krzysiaka był tego najlepszym dowodem.

– Izaak Liebman, jak Boga kocham!

Zawołanie spadło nań niespodzianie, jak strzał zza węgła. Starszy pan, który szedł z naprzeciwka, wyciągał do niego oba ramiona. Już chciał powtórzyć swoje „przepraszam, to

pomyłka, moje nazwisko Nowak”, gdy zrozumiał, że tym razem na nic się nie zda udawanie. Barucha Rab ino wieża, właściciela wytwórni garnków aluminiowych, nie mógł przecież wyprowadzić w pole. Fabrykant z Chełma znał go od dziecka.

– Rabinowicz — stwierdził z udaną radością. – Jak to dobrze, że pan także przeżył.

– Jeśli można to nazwać życiem. Poza tym, bardzo cię proszę, zapomnij Rabinowicza. Nazywam się teraz Bernard Ribeau. Jak ci się podoba to francuskie brzmienie?

Rabinowicz usiłował żartować, ale Liebman szybko się zorientował, że także stary znajomy próbuje ukryć zakłopotanie, więc odparł równie żartobliwie:

– Dla mnie może się pan nazywać nawet Maksymilian Maria Izidor Robespierre. Ale po co ten bal maskowy?

– Musiałem uciec z Chełma i uciec od nazwiska, które mnie łączy z odlewnią aluminium. Jestem przeklętym kapitalistą i wrogiem ludu. Byłeś jeszcze mały, gdy popadłem w tarapaty i musiałem zwolnić część robotników. W miasteczku były rozruchy. Nowy ustrój nie wybacza takich grzechów.

– Rozumiem.

– Niczego nie rozumiesz, Izaak. Nigdy nic zrozumiesz, co to znaczy wciąż się podszywać pod cudze nazwisko, wciąż się ukrywać przed samym sobą. A co u ciebie?

– U mnie? – Liebman zwlekał chwilę z odpowiedzią. Musi się mieć na baczności, trzykrotnie ważyć każde słowo. – U mnie nic nowego. Pcha się życie.

– Mieszkasz w stolicy?

– Nie. Mieszkam w deskami zabitej dziurze. Na prowincji.

– W swoim zawodzie? Jako inżynier?

– Tak – przyznał i natychmiast pożałował, bo Rabinowicz uczeplił się jego rękawa i zaczął biadać:

– Może mógłbyś załatwić mi pracę w twoim zakładzie? A jeśli nie pracę, to przynajmniej zaświadczenie pracy. Niepotrzebna mi żadna pensja. Dzięki Bogu, nie wyszedłem z tej przeklętej wojny bez grosza. Potrzebny mi tylko jakiś papierek, żeby mnie nie nazywano pasożytem. Mógłbym się zgłosić do Urzędu Zatrudnienia, ale zaraz zaczną szperać w mojej przeszłości, no i już nie Ribeau, tylko Rabinowicz, nie bezrobotny, tylko wyzyskiwacz. Weź mnie, Izaak, nie pożałujesz. Wiesz przecież, że jestem fachowcem, znam się na stopach metalowych, na wszystkim. Czy ojciec opowiedział ci kiedyś, że gdy był w potrzebie, to nie miałem węża w kieszeni?... A jak nie da rady, to chociaż ten papierek z pieczętką. Przecież jesteśmy Żydami, jak nie my sami sobie, to kto nam pomoże?

– Zobaczą, co można zdziałać. Jestem tylko pomocnikiem pomocnika. Ale porozmawiam z dyrektorem, a nuż.... Proszę mi dać adres, albo telefon, skomunikuję się.

– Mieszkam w Aninie, nie mam telefonu. Ale zapiszę ci adres. – Rabinowicz skreślił kilka słów ołówkiem kopiowym i podał kartkę Liebmanowi. – Gdybym wierzył w cuda, powiedziałbym, że spadłeś mi z nieba. Jesteś moją jedyną nadzieją. Pamiętaj.

Liebman odprowadzał go wzrokiem, gdy odchodził, przygarbiony, jakby dźwigał na barkach ciężar całego świata. Po chwili zniknął wśród licznych o tej porze przechodniów. Liebman zgniótł kartkę z adresem i już chciał ją cisnąć do rynsztoka, gdy nagle, wiedziony niezrozumiałym instynktem, wygładził ją starannie i włożył do jednej z przegródek portfela.

Przypadkowe uliczne spotkanie nie wprowadziło go w stan podniecenia. Rabinowicz sam żył jak zaszczute zwierzę, a poza tym minimalne były widoki, by spotkali się jeszcze kiedykolwiek. Może odeśle mu w swoim czasie pieniądze, które pożyczył ojcu. Może. Pod warunkiem, że nie będzie musiał podać nazwiska i adresu nadawcy.

W kiosku na rogu Alei i Szewskiej kupił gazetę. „Express” był jedynym warszawskim dziennikiem, który drukował czasami wiadomości o milicyjnych śledztwach. Przeczytał go od deski do deski, ale nie znalazł niczego o tragicznej śmierci Reginy Nowak. Być może w ogóle nie było śledztwa. Prawdę rzekłszy, kogo mogło intrygować samobójstwo samotnej pijaczki.

Albo nieszczęśliwy wypadek, jakich na pewno mnóstwo było co tydzień. Gazetę wsunął do teczki. Uspokojony, znalazł prywatną restaurację, jedną z nielicznych, które ostały się jeszcze po upaństwowieniu, i zamówił sobie najdroższy obiad a la carte.

Nie wiadomo, jak długo zwłoki Reginy leżałyby w jej zamkniętym mieszkaniu, gdyby nie uparta podejrzliwość ciotki Stefanii. Stara chłopka nie darzyła poczty wielkim zaufaniem i za każdym razem, gdy nie mogła osobiście pojechać do Warszawy, wysyłała siostrzenicy paczkę z wędlinami i ciastem własnego wypieku, a kilka dni potem telefonowała, by sprawdzić, czy przesyłka doszła. Nie było to łatwe zadanie dla jej spuchniętych, steranych gośćcem nóg, bo najbliższy aparat telefoniczny znajdował się w biurze sołtysa, trzy kwadranse drogi po wyboistej szosie. Ponieważ jednak twierdziła, że „wszyscy w tym kraju kradną”, nigdy nie rezygnowała z kontroli. Poza tym lubiła sobie pogadać z Reginą. Ale tym razem nikt nie podnosił słuchawki. Stefania poskarżyła się w miejscowym posterunku milicji, nikt jednak nie potraktował jej poważnie. Dopiero gdy pojawiła się tam po raz nie wiadomo który, przesłano teleks do komendy w Warszawie. Dzielnicowy otrzymał rozkaz zbadania sprawy na miejscu. Sąsiedzi Reginy powiedzieli mu z nieukrywaną satysfakcją, że od wielu dni nie widzieli pani Nowak. Wezwano specjalistów z wydziału śledczego, wyważono drzwi, smród rozkładających się zwłok zaprowadził ich prosto do łazienki. Wezwano patologa, który stwierdził śmierć przez zatrucie gazem. Technik wydziału daktyloskopii polecił zebrać odciski palców z klamek, z pustej butelki i z dwóch szklanek na stole. Porównano je z odciskami w katalogach przestępców, ale nie stwierdzono żadnego podobieństwa. Spisano protokół i przekazano go do Komendy Wojewódzkiej. Dyżurny oficer odesłał teczkę do archiwum.

Liebman poprosił o rachunek, wyjął gazetę z teczki i zostawił na stole. Do odjazdu pociągu zostało kilka godzin. Wypogodziło się, deszcz przestał siąpać, poszedł więc spacerkiem nad Wisłę. Z mostu widział łódź, dwóch wędkarzy zarzucało sieć. Z niedowierzaniem przetarł oczy: wydawało mu się, że wyciągają z wody topielicę. Wiedział, że to tylko złudzenie, ale martwa kobieta miała twarz Reginy Nowak. Jej twarz była niebieska.

Rozdział piąty

KOT W SŁOŃCU

Uroczystość zmiany nazwy odbyła się 1 maja. Był to pomysł Chajesa, tego dnia bowiem całe miasto przybrało odświętny wygląd i można było pomyśleć, że flagi, transparenty, orkiestry i pochody – wszystko odbywa się na cześć Uniwersalu. Nawet Maria Kot wywiesiła flagę, ale tylko biało-czerwoną. To była jej prywatna manifestacja oporu. Na szczęście dla Liebmana, a może z jego powodu, wywiesiła ją na balkonie kuchennym, wychodzącym na podwórze.

Z piątego piętra gmachu KW, teraz już Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, bo PPR i PPS połączyły się w grudniu 1948, spoglądały na maluczkich ogromne portrety radzieckich i polskich przywódców. Długo trwała dyskusja, czy podobizna Stalina powinna być większa od pozostałych. Zapadła decyzja, że wszystkie będą jednakowej wielkości. Rita szepnęła Liebmanowi w ucho, że podjęto ją po zasięgnięciu rady bezpośrednio u towarzysza Wiesława.

Początek pochodu ustalono na dziesiątą, ale wszyscy uczestnicy musieli się stawić w punktach zbiorczych już o siódmej rano. Nic nie mogło być pozostawione przypadkowi, wszystko musiało być zapięte na ostatni guzik, a frekwencja stuprocentowa. W pierwszej kolumnie, jak zdecydowano, pomaszerują pracownicy Uniwersalu, z transparentem noszącym już nową nazwę, Czerwony Sztandar. Ponieważ rozwiązanie pochodu przewidziane było na drugą po południu, na placu przed główną bramą zakładów, postanowiono, że cała załoga wejdzie na dziedziniec, gdzie przy zastawionych stołach odbędzie się specjalne przyjęcie dla swoich. Zamknięta brama uniemożliwi wstęp osobom obcym lub niezaproszonym. Specjalną naradę poświęcono sprawie poczęstunku. Towarzysze z KW za wszelką cenę chcieli zapobiec pijaństwu. W końcu poszli na kompromis: piwo tak, wódka nie.

Teoretycznie, uczestnictwo w pochodzie nie było obowiązkowe, lecz odpowiedzialni za poszczególne grupy skrupulatnie spisywali nazwiska nieobecnych. Listy wędrowały potem do działów kadr. Kto nie chciał publicznie wyrazić solidarności z partią i jej założeniami, nie mógł liczyć na premie, na bony umożliwiające zakup trudnych do nabycia produktów, takich jak radio lub rower, a o awansie mógł zapomnieć. Nic więc dziwnego, że po dziesiątej ulicami Wrocławia popłynęła szeroka rzeka odświętnie ubranego tłumu Czerwone goździki wykwitwały z klap, gorliwi działacze skandowali hasła sławiące osiągnięcia socjalizmu i potępiające amerykański imperializm. Tłum podchwytywał je i powtarzał. Gdyby ktoś całkowicie obcy obserwował to dokładnie wyreżyserowane widowisko, z łatwością mógłby wyciągnąć tylko jeden wniosek: cały naród popiera ukochaną partię.

Zakładowa uroczystość nie była tak udana. Ludzie rzucili się na półmiski z wędlinami, które od dawna znikły z półek miejscowych masarni, i w ciągu niespełna godziny wypróżnili wszystkie butelki piwa. Co przezorniejsi przynieśli z sobą po pół litra czystej, pokrzykiwania wstawionych zagłuszały dźwięki amatorskiej orkiestry, nikt nie słuchał przemówienia

sekretarza KW ani Rudolfa Nowaka, odczytującego telegramy gratulacyjne z Warszawy. Względna cisza zaległa dopiero, gdy Gedalia Chajes wszedł na trybunę i trzykrotnie stuknął w mikrofon. Jego przemówienie trwało nie więcej niż minutę.

– Towarzysze! – zawołał, a głośniki niosły echo jego głosu we wszystkie zakątki fabryki.
– Towarzysze, skończył się czas przemówień, zaczyna się okres uczciwej roboty. Zmiana nazwy naszych zakładów to nie zmiana szaty. To zmiana treści. Kroczymy naprzód bez kosmopolityzmu, wkraczamy w nową erę, w której lud pracujący sam jest kowalem swojego losu. Pod przewodnictwem partii budujemy lepszą przyszłość dla nas i dla przyszłych pokoleń. Tutaj, w tym czasie i w tym miejscu, składamy przysięgę: nie będziemy szczeni siłą, aby stworzyć silną, społecznie sprawiedliwą Polskę Ludową!

Na zakończenie artyści wrocławskiego teatru deklamowali wiersze Broniewskiego. Po wysłuchaniu fragmentu *Słowa o Stalinie*, robotnik, który chlapnął o jedne pół litra za dużo, podszedł do mikrofonu i krzyknął, że nie rewolucyjny poeta, lecz cudotwórca jest tu potrzebny, aby ruszyć sprawy do przodu. Ludzie Konstantego, którzy mieli zakaz wyróżniania się w tłumie, uznali, że miarka się przebrała. Nieproszony mówca znikł z trybuny równie szybko, jak się na niej pojawił.

W gruncie rzeczy pijany nie miał racji. Natychmiast po powrocie Liebmana z Warszawy rozpoczęto reorganizację zakładów. Z początkiem lutego przywieziono do Uniwersalu nowe maszyny, a pod koniec marca, gdy puściły mrozy, buldożery wgrzyły się w rozmokłą ziemię w Jelczu, kopiąc fundamenty pod budynek przypominający koszary. Wkrótce mieli w nim zamieszkać więźniowie obiecani przez generała Brozę. Budowniczcy zapewniali, że najpóźniej w lipcu zakończą budowę szkieletu. Nie czekając na przyręczone posiłki, Liebman uruchomił nową linię produkcyjną, gdzie z wielkim powodzeniem stosowano materiały zastępcze. W ostatnich latach wojny niemiecki przemysł zbrojeniowy gorączkowo szukał namiastki brakującego im chromu i niklu. Liebman wygrzebał z archiwum fabryki dokumentację procesu technologicznego umożliwiającego zastosowanie wanadu, wraz z informacją, że to właśnie stal wanadowa rozwiązała Niemcom problem embargo na import. Ponieważ dyskretnie przemilczał źródło swojej wiedzy, zebrał wszystkie możliwe pochwały. Tomasz Broza dotrzymał słowa, i już z początkiem wiosny nadszedł pierwszy transport wysokojakościowej rudy. W listach przewozowych na próżno szukano by nazwy zagranicznego dostawcy.

Gedalia Chajes był zadowolony. Jego pupilek nie zawiódł pokładanych w nim nadziei. W Komitecie Wojewódzkim zbierał same pochwały. Z niewiadomych przyczyn akurat minister przemysłu ciężkiego wyrażał zastrzeżenie:

– Bądźcie ostrożni, towarzyszu – powiedział podczas jednej z licznych narad. – Wypuściliście ze stajni dzikiego ogiera i nie wiecie, dokąd popędzi. Takim jak on woda sodowa łatwo uderza do głowy. Ani się spostrzeżecie, a w galopie złamie nogę i przy okazji wysadzi was z siodła. Zakładajcie wędzidło i mocno trzymajcie cugle. Słuchajcie rady starego wygi.

Chajes przytaknął z powagą, śmiejąc się w duchu. On sam był tutaj najbardziej doświadczonym wygą.

– Polegajcie na moim partyjnym instynkcie – odparł. – Ja nie siedzę w siodle, więc nie mogę z niego wypaść. Nowaka trzymam na długiej smyczy. Ale na smyczy. Nawet jeśli nie zdaje sobie z tego sprawy.

– Polegam na was – potwierdził minister. – Jesteście na miejscu. Ja jestem daleko. Mimo to pragnę wam przypomnieć starą zasadę: kto nie ostrzega na czas, płaci wysoką cenę.

Chajes poczuł się lekko urażony.

– To była zbyt uczciwa uwaga, towarzyszu. Nie zaplączę was w żadną aferę.

– Nie zrozumieliście mojej intencji. Nie chodzi mi tylko o moją delikatną skórę. Jesteście mi bardzo bliscy. Jedliśmy chleb z tego samego pieca. Ale faktem jest także, że jeśli się

potkniecie, przewrócę się razem z wami. Nigdy nie będę mógł twierdzić, iż nie wiedziałem. Jestem tu po to, żeby wiedzieć.

– Mogę was uspokoić. Trzymam Nowaka nie tylko na smyczy. Trzymam go za jaja. Jeśli zacznie robić kłopoty, załatwię go szybciej niż Krzysiaka.

– Co chcecie przez to powiedzieć? Na razie budujemy mu reputację. W razie czego, jak się wykręcimy? Powiemy: przepraszamy, nastąpiła pomyłka?

– Zrozumiecie wszystko, gdy nadejdzie taka potrzeba. Ale jestem przekonany, że nigdy nie nadejdzie.

Gedalia rozumiał asekurancą postawę ministra. W ministerstwie nie zachwycono się stylem pracy nowego naczelnego dyrektora. Wszystko szło za szybko i zbyt gładko. W aparacie partyjnym obowiązywały reguły gry, zapewniające głównym graczom maksimum ochrony przed niepowodzeniem. Każdy decydent obwarowywał się murem przepisów, nakazów i zakazów, często sprzecznych, które w razie czego pozwalały mu uchylić się od bezpośredniej odpowiedzialności i zatrzeć ślady w gąszczu biurokracji. Nowak, korzystając z poparcia Gedalii, nic trzymał się tych uświęconych zasad. Wciąż jeszcze był nowicjuszem z trudem manewrującym w labiryncie centralnie kontrolowanej gospodarki. To było źródłem jego słabości, ale także źródłem siły napędowej.

Zaledwie miesiąc przed uroczystością pierwszomajową powstała Państwowa Komisja Planowania Gospodarczego. Na jej czele stanął Hilary Minc i od razu stał się postrachem nawet tych, którzy znali go jeszcze jako Mirka z przedwojennej partii komunistycznej. Minc wprowadzał w życie model gospodarki radzieckiej. Ale nawet Hilary Minc nie mógł wyczarować nieistniejących zasobów, nic więc dziwnego, że środki przeznaczane na przemysł ciężki i zbrojeniowy opróżniały jeszcze bardziej półki w sklepach z towarami konsumpcyjnymi. Równocześnie powstała drabina kłamliwych sprawozdań. Powiaty relacjonowały władzom wojewódzkim, a władze wojewódzkie centralnym o wykonywaniu planów produkcyjnych, nawet gdy omawiana produkcja istniała tylko na papierze. Kiedyś, w rozmowie ze swoją żoną Sarą, Chajes określił to mianem „królikarni Lejzorka Rojtszwanca”¹¹. PKPG Hilarego Minca zasypywana była sprawozdaniami o wzrastającej wydajności i obniżaniu kosztów, a w przypadku ujawnienia prawdy, piramida władzy niemal zawsze umożliwiała zwalenie winy na nieprawdziwe dane, przekazane z niższego szczebla.

– Na pewno znacie ten dowcip o dyrektorze kopalni, który chciał zatrudnić nowego księgowego – powiedział Liebman Gedalii Chajesowi. – Nie znacie? Szkoda, bo to bardzo pouczająca dykteryjka. W biurze dyrektora pojawiali się rozmaici kandydaci. Każdemu zadawał proste pytanie: ile jest cztery plus cztery? Odpowiedź była prosta: cztery plus cztery dają osiem. Dyrektor odsyłał ich wszystkich z kwitkiem. Aż znalazł się księgowy, który zapytał: a ile jest panu potrzebne? Oczywiście natychmiast został przyjęty do pracy... Widzicie, towarzyszu Chajes, że mną będziecie mieli poważny kłopot, bo u mnie cztery plus cztery zawsze będzie osiem.

Chajes roześmiał się, ale nie był to szczerzy śmiech. Dobrze wiedział, że w ministerstwie nie brak urzędników, na ogół dyrektorów departamentów, którzy knuli intrygi, aby się pozbyć Nowaka. Nie pasował im do krzyżówki, w której znajdowali właściwe dla siebie miejsce. Ale Tomasz Broza ratował go z każdej opresji. Broza był zadowolony z dyrektora Czerwonego Sztandaru. Generał gardził ludźmi, którzy obawiali się samodzielnego myślenia, a nawet widzieli w nim zagrożenie dla istniejącego systemu. Było im wygodnie, gdy partia myślała za nich.

Liebman nie był świadom rozgrywek za jego plecami. O Brozie wiedział tyle co nic. Rita wiedziała znacznie więcej:

¹¹ Aluzja do książki Ilji Erenburga, *Burzliwe życie Lejzorka Rojtszwanca*, w której autor opisał funkcjonowanie fikcyjnej hodowli królików w ZSRR.

– Broza jest dąbrowszczakiem. Nie widziałeś odznaczenia, które nosi? Służył w hiszpańskich Brygadach Międzynarodowych. Po przegranej wojnie wrócił razem z Chajesem.

– Nie miałem pojęcia, że Chajes był w Hiszpanii. Nigdy o tym nie wspominał.

– Dąbrowszczacy nie zawsze są mile widziani. Często wolą przemilczać ten okres swojej kariery. Wielu z nich Stalin posłał do obozów. Obawiał się, że na Zachodzie zarazili się bakcylem kapitalizmu.

– Kto ci to powiedział?

– Na pewno nie wyczytałam tego w *Krótkim kursie historii WKP(b)*. Dla ciebie jestem plotkarą, która myśli tylko o przyjemnościach. Ale głupia Rita mogłaby napisać encyklopedię życia.

– Nigdy nie sądziłem inaczej – powiedział szarmancko.

Rita przymrużyła oko.

– Nie musisz mnie bajerować. Wiem, co o mnie myślisz. W każdym razie po zwycięstwie generała Franco francuscy komuniści pomogli im przejść przez Pireneje. Wrócili do kraju przez Włochy, Jugosławię i Węgry. Nie mogli jechać przez Niemcy, bo bali się wpaść w ręce hitlerowców. Teraz trzymają się razem, jak bracia w zakonie jezuitów.

Liebman przypomniał sobie podobne porównanie z ust Marii Kot. Wieczorem, gdy zasiedli do codziennej pogawędki, wspomniawszy uwagę Rity. Maria przytaknęła na znak zgody:

– Dziewczyna jest rozsądniejsza niż przypuszczałam. Wie, co mówi. Komunistów i jezuitów obowiązuje ślepe posłuszeństwo wobec przełożonych. Są podobni w sposobie myślenia, akceptują dogmaty, nie są partnerami do dyskusji.

– Nie znam się na tych sprawach.

– Człowiek nie może znać się na wszystkim. Zresztą, jest tyle miłszych tematów do rozmowy.

Ostatnio zaczął jej opowiadać także o pracy w zakładach. Rzecz zrozumiała, nie wspomniawszy o zmianach w profilu produkcji i nie napomknawszy ani słowem o zatrudnieniu więźniów. Nigdy nie przynosił do domu tajnych dokumentów. Ten wieczór jednak stanowił wyjątek. Do rana musiał się zapoznać z treścią teki przysłanej z kancelarii generała Brozy. Zawierała szczegóły dotyczące nowego pieca hutniczego, zaprojektowanego przez inżynierów w Linzu. Austriacy osiągnęli spore postępy w tej dziedzinie. Ich piec oparty był na zasadzie przepuszczania zimnego tlenu przez wodę. Wyniki doświadczeń nie zostały jeszcze opublikowane w prasie technicznej. Nie trzeba było być detektywem, aby zrozumieć, że Broza nie otrzymał ich zwykłą pocztą. Z zamyślenia wyrwała go uwaga Marii:

– Herbata będzie zimna.

– Nikt nie zaparza jej lepiej od ciebie.

– Decyduje gatunek herbaty – skwitowała jego pochlebstwo.

– Herbata i kobieta powinny być gorące – powiedział, zdając sobie sprawę, że prawi banały.

– Myślałam, że stać cię na więcej – zauważyła.

– Mam nadzieję – odparł i spojrzał na nią uważnie. Jej uwaga zawierała nutę intymności, której dotychczas nie zauważył, a może nie chciał zauważyć. Wolął wrócić do niezobowiązującej rozmowy.

– Import z Cejlonu – podkreślił, pijąc pomału i z przyjemnością.

– Co byś pił, gdyby nie przywilej kupowania w konsumie?

– Piłbym wyciąg ze słomy – zażartował.

– Chciałeś powiedzieć, że piłbyś taką herbatę jak wszyscy śmiertelnicy.

– Nie słyszałem, by się od tego umierało.

– A gdzie twoje poczucie równości społecznej? – dopiekła mu.

– Nie widzę w tym nic zdrożnego.

– Już zapomniałeś. Gdy wciągnięto cię na listę uprawnionych do korzystania ze sklepów specjalnych, powiedziałam coś na temat nowego podziału społecznego.

– A, tak. Pamiętam. Powiedziałeś coś niemiłego o czerwonej burżuazji.

– Zgadza się. Ale usiłowałeś mnie przekonać, że ktoś, kto daje społeczeństwu więcej, godny jest większych przywilejów. Nigdy nie hołdowałam zasadom absolutnej równości, jednak twój stosunek do sprawy bardziej przypomina kapitalizm aniżeli komunizm. Czyż nie powiedział Marks, a może to był Engels, nie mogę spamiętać wszystkich kapłanów waszej marksistowskiej religii, że każdy według swoich możliwości, każdemu według jego potrzeb?

Tak. Liebman doskonale pamiętał tę rozmowę. Powtórzył wówczas twierdzenie Gedalii Chajesa: sprawiedliwość społeczna wymaga, aby zapewnić lepsze warunki bytu pracownikom, których wkład w budowę nowej rzeczywistości jest bardziej istotny. Będąc dyrektorem wielkich zakładów i świadomy związanej z tym odpowiedzialności, bez trudu przyswoił sobie dogmaty sekretarza Podstawowej Organizacji Partyjnej. Prawo nabywania towarów w sklepach za żółtymi firankami wydawało mu się rzeczą zrozumiałą samo przez się. Liebman nie zapomniął również zjadliwej uwagi Marii, która powiedziała: „Od czasu gdy Żydzi musieli nosić żółtą łatę, nie pamiętam bardziej wyrazistej segregacji ludzi na lepszych i gorszych”.

Zlikwidowanie systemu kartkowego w niczym nie zmieniło sytuacji na rynku. Popyt na podstawowe artykuły konsumpcyjne wciąż jeszcze przekraczał podaż. Powstała nowa warstwa ludzi zamożnych: paskarze. Tak nazywano handlujących na czarnym rynku. W sklepach dla tych, których Maria Kot określała jako czerwoną burżuazję, nie brak było niczego, od kawy i herbaty aż do sobolich futer sprowadzanych z Syberii. Maria opowiadała swojemu sublokatorowi, że znaczna część tych atrakcyjnych towarów wędruje na wolny rynek, po odpowiednio zawyżonych cenach. Czyniła to ze złośliwą satysfakcją, szczególnie wówczas, gdy przemawiał do niej wytartymi sloganami. Tak było także teraz, nad filiżanką cejlońskiej herbaty. Tym razem zeżliła go tak dalece, że powiedział zaczepnie:

– Nie mogę pojąć, skąd ta krytyka systemu. Nie zaprzeczysz chyba, że i ty korzystasz z jego dobrodziejstw. Kto przynosi do domu świeże wędliny i świeże owoce?

– Nie musisz być taki bezpośredni – obruszyła się.

Zrozumiał, że uraził ją głęboko. Ale chyba chciał ją urazić, bo uspiiony czart złośliwości znów się w nim odezwał.

– Sytuacja klaruje się coraz wyraźniej – kontynuował tym samym, nieco obraźliwym tonem. – Wygodnie ci korzystać ze słodkich owoców mojego grzechu, pod warunkiem, że nie musisz ich sama zrywać twoimi delikatnymi rączkami. Albo używać perfum, które ci kiedyś przyniosłem, aby odpędzić zapach zgnilizny, która nas otacza. Nie powiesz chyba, że się mylę.

– Nie zasłużyłam na taki ton.

Liebman wyczuł, że była w defensywie.

– Przepraszam za ton, ale nie za treść tego, co powiedziałem.

– Nie będziemy się kłócić – rzekła pojednawczo. – Przecież nie jesteśmy parą po dwudziestu latach małżeństwa.

– Znam pary małżeńskie, które nie kłóciły się nigdy.

– Na przykład?

– Na przykład moi rodzice – odparł bez zastanowienia.

– Nigdy nie opowiadałeś o ojcu i matce – zauważyła, patrząc mu prosto w oczy. Wydawało mu się, że odczytał w jej spojrzeniu szczerą ciekawość.

– Nie ma o czym opowiadać. Oboje nie żyją, ich dom spłonął, a wraz z nim całe moje dzieciństwo.

– Nie chciałabym, żebyś mnie źle zrozumiał. Nie próbuję grzebać w twojej przeszłości. O swojej opowiedziałam ci sporo, bo tak chciałam. Miałam coś, czym chciałam się z tobą

podzielić. Ale uznaję zasadę, że wspomnienia są czymś bardzo intymnym, i nawet w komunizmie – uśmiechnęła się i powtórzyła – i nawet w komunizmie stanowią naszą prywatną własność.

Liebman przytaknął.

Maria zaczęła zbierać talerzyki i filiżanki, idąc do kuchni, zatrzymała się na chwilę przy kredensie, na którym stała oprawiona fotografia jej męża. Wracając, znów przystanąła i zdecydowanym ruchem odwróciła ramkę frontem do ściany.

Niewytłumaczalny gest zdumiał Liebmana.

– Dlaczego? – spytał. Nie sądził, że pytanie wymaga wyjaśnień.

– Po prostu stał się zbędny – odparła. Odpowiedź uderzyła go swoją brutalnością. Usuwanie zbędnych ludzi stało się rutyną w zakładach. Ale usuwać zdjęcie zmarłego?

– Mówiłaś, że byliście dobrym małżeństwem.

– To prawda. Mój mąż był właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Przystojny i dobrze wychowany. Był świetnym fachowcem i doskonale grał w brydża. Ludzie odnosili się do niego z szacunkiem. Tak, niewątpliwie był osobą godną tego szacunku... Czy moja odpowiedź zadowala pana, panie inżynierze?

– Nie wiem, co mi się dzisiaj stało. Ja także nie mam zamiaru wchodzić z kaloszami do pani... do twojej duszy.

– Mój mąż kochał zwierzęta. Ludzie interesowali go znacznie mniej – powiedziała spokojnie, z odrobiną wrogości w głosie. Nie wiedział, czy ta wrogość skierowana była pod jego adresem, czy pod adresem męża.

– Rozumiem.

– Nie, nie rozumiesz nic. Nigdy nie chciałeś wiedzieć, na przykład, dlaczego nie mieliśmy dzieci.

– Nie sądziłem, bym miał prawo się dowiadywać.

– Mimo to powiem ci: Egon nigdy nie traktował mnie jak kobietę.

– Na imię miał Egon?

– Tak. Zresztą, zupełnie na marginesie: także ty nie dostrzegasz we mnie kobiety.

– Przepraszam, że przypomnę, ale zaledwie kilka minut temu mówiliśmy o perfumach. Nie pamiętam, abym kiedykolwiek przyniósł flakonik perfum mężczyźnie.

– Jestem przekonana, że nie lubisz ich zapachu.

– Skąd takie przekonanie?

– Używam ich codziennie, ale nigdy nie zbliżyłeś się, aby powąchać.

– Czy to ma być zaproszenie do tańca? – Pytanie było zbędne, prowokacja tak wyraźna nie wymagała odpowiedzi.

– Powiedziałam, co mi leżało na sercu. Możesz to skomentować, jak chcesz.

Zapadła chwila kłopotliwej ciszy. Maria wyglądała nieistniejący fałd na obrusie, po czym, jakby ocknęła się z ukrytych myśli, zapytała:

– Czujesz się zakłopotany?

– Nic podobnego – odpowiedział głośno. Trochę za głośno, jak chłopiec przyłapany na zdrożnym uczynku.

– O, tak – uśmiechnęła się w sposób, który odkrył nieznane mu przedtem ciepło. – O, tak, zaczynasz się nawet czerwienić. Twoja agresja jest tylko zasłoną dymną. My, kobiety, mamy ósmy zmysł, który pozwala nam przenikać takie zasłony. Nie zaprzeczaj. I nie ma powodu do wstydu. Silni mężczyźni są na ogół wstydliwi. Myślę, że to im dodaje wdzięku. Jesteś wstydliwy, prawda?

– Powiedzmy, że w pewnych sytuacjach... że czasami... Więc co z tego?

– Nic. Jesteś zamknięty w sobie, obawiasz się normalnych, ludzkich uczuć, nie chcesz wiedzieć, że jesteś mężczyzną i że ja jestem kobietą, i że już długo mieszkamy pod tym samym dachem.

– Jak ten czas leci – zauważył trochę nie do rzeczy. Nie wiedział, jak prowadzić tę rozmowę, ale nie chciał jej przerwać.

– Mieszkamy razem, a jednak osobno. Jak dwie proste, które się nigdy nie spotykają.

– Euklides określił linię prostą jako długość nieposiadającą szerokości i grubości. Trudno zastosować tę teorię do ciebie. – Liebman zatoczył w powietrzu kilka miękkich ruchów, mogących symbolizować kobiece biodra.

– Oczywiście, panie inżynierze – rzekła nieco drwiąco. – Ja także uczyłam się geometrii. Tyle tylko, że świat moich asocjacji nie jest zakotwiczony w naukach ścisłych.

Maria wstała.

– Jak wiesz, mam skłonności do metafizyki.

– Już idziesz?

– Chciałbyś, żebym została?

Oparła się plecami o kredens, czekając na odpowiedź. Ubrana była jak zwykle w prostą bawełnianą sukienkę. Nigdy nic nosiła biżuterii. Nigdy nie zauważył na jej palcach pierścionka, ani nawet obrączki ślubnej. Mały krzyżyk z masy perłowej na cienkim srebrnym łańcuszku był jedyną ozdobą, na którą sobie pozwalała. Podkreślał jej długą, smukłą szyję. Modigliani byłby zadowolony z takiej modelki. Liebman wędrował wzrokiem po jej sylwetce, oparł spojrzenie na biodrach i odkrył w nich wyzwanie, na które nigdy przedtem nie zwrócił uwagi. Wydawało mu się, że tego wieczoru widzi ją w całkowicie odmiennym świetle. Podświadomie czuł w dłoniach gładkość tych bioder i natychmiast skierował wzrok w innym kierunku, obawiając się, że odczyta jego skryte myśli. Maria oderwała się od kredensu, dając do zrozumienia, że zamierza wyjść z pokoju. Wciąż jeszcze nie powiedział „tak, zostań proszę”. Słowa utknęły mu w gardle, bo doskonale zdawał sobie sprawę z konsekwencji takiej prośby. Znowu zapanowała cisza, tym razem nie tyle kłopotliwa, ile pełna napięcia. Miał nadzieję, że Maria wypowie tę magiczną formułkę, która pozwoli rozmowie toczyć się dalej. Ale Maria pragnęła doprowadzić go aż na skraj przepaści i dopiero gdy zrozumiała, że nie jest w stanie przerzucić nad nią kładki, wyciągnęła rękę i powiedziała krótko:

– Chodź.

Poszedł za nią. Po raz pierwszy przekroczył próg jej sypialni.

– Zgaś światło, dobrze? – poprosiła, nim usłyszał szelest zdejmowanej sukienki.

Liebman odetchnął z ulgą. Rita niejednokrotnie dawała mu do zrozumienia, że byłby mile widzianym partnerem w łóżku, ale mimo iż była atrakcyjną młodą kobietą, nigdy nie dał się skusić. Przerażała go myśl, że jego nagie ciało wyda pilnie strzeżoną tajemnicę: był przecież obrzezany. W sypialni Marii panowała niemal zupełna ciemność. Okiennice były szczelnie zamknięte, tylko spod drzwi do salonu przenikał blady strumyk światła. Nie ulegało wątpliwości, iż Maria zaplanowała tę chwilę aż do ostatnich szczegółów. Łóżko było pościelone, jakby czekało. Zawsze wiedział, że nie jest osobą spontaniczną. Należała do tego rodzaju ludzi, którzy siedmiokrotnie analizują każdą decyzję, zanim ją podejmą. Ta cecha charakteru nigdy mu nie przeszkadzała. Wszak sam także nie czynił kroku bez rozważenia jego konsekwencji. Nie przeszkadzało to w narastaniu napięcia, czuł, że niczego nie pragnie bardziej od bliskości jej ciała. Gdy położył się obok niej, rozebrany, szepnęła:

– Bądź delikatny.

Ciało miała gładkie jak aksamit, ciepłe i przyjemne. Przesuwał po nim obiema dłońmi, wyczuł twardość sutek czekających na pieszczotę, a potem, gdy lekko drżącymi palcami torował sobie drogę do łona, powiedziała cicho:

– Czekam na ciebie.

Jej głos nie zdradzał wielkiej namiętności. Nie udawała porywu nieokiełznanych zmysłów. Nawet gdy był tak blisko, że musiała być świadoma jego wzrodu, nie odpowiedziała żadnym gestem. Gdy ją całował, otworzyła się dla niego, plecami wciśnięta w chłodną, wykrochmaloną pościel. Jego oczy przyzwyczajały się pomału do półmroku. Uniósł

się nad jej nieruchomym ciałem. Głowę miała odrzuconą w tył, powieki zamknięte. Nagle, nie wiadomo dlaczego, wydało mu się, że to nie Maria, lecz Regina Nowak czeka, aby w nią wtargnął. Wstrząsnął nim zimny, paralizujący dreszcz. Odsunął się w bok. Maria otworzyła oczy.

– Co się stało – chciała wiedzieć.

Liebman odsunął się, aby ukryć utratę wzroku.

– Nic się nie stało. Wszystko w porządku. To tylko jakaś chwilowa słabość – próbował ją uspokoić.

– Masz zimne ręce – powiedziała, przycisnęła je do ust i próbowała rozgrzać ciepłym oddechem. Potem uniosła się na łokciach, popatrzyła na niego i spytała z wyraźnym niepokojem w głosie:

– Czujesz się zawiedziony?

Liebman milczał. Ciało Reginy Nowak uniosło się w powietrze, jak we śnie lewitacyjnym, było szaroniebieskie, niczym zjawisko topielicy w Wiśle. Maria przytuliła się do niego mocno, jakby dopiero w tej chwili zagrały jej zmysły. Natychmiast poczuła miękkość członka. Jej usta były bliskie jego ucha, delikatnie ugryzła go w małżowinę i szepnęła:

– To nie ma żadnego znaczenia. Powiedziałam ci, że jesteś prawdziwym mężczyzną, i nie zmieniałam zdania.

Ciało martwej Reginy rozpląnęło się w ciemnościach. Liebman wrócił do realnego świata. Równocześnie wróciło uczucie klęski i wstydu. Odruchowo nakrył się kołdrą.

– Także w dowodzie osobistym mam napisane „płeć męska” – usiłował obrócić niepowodzenie w żart, zdając sobie sprawę z głupoty własnych słów.

– Byłeś kiedyś w kościele Wszystkich Świętych we Florencji? – spytała ni stąd ni zowąd.

– Nie – wyjąkał, nie pojmując intencji pytania. – Nigdy nie byłem we Włoszech.

– Szkoda. Kościół jest niepozorny, ale tam właśnie widziałam wspaniały fresk. Święty Augustyn w swoim studio, pędzla Botticellego. Ubóstwiał jego chłodny koloryt i precyzję rysunku. Byłam tam dwukrotnie, aby wchłonąć w siebie piękno ulubionego świętego. To było podczas wojny. Tysiące ludzi ginęły na polach bitwy, miliony umierały z głodu, a ja stałam tam, oczarowana i oderwana od pożogi świata.

Liebman spojrział na nią z nieukrywanym zdziwieniem. Wciąż jeszcze leżała nieprzykryta, pełna wewnętrznej harmonii, mogłoby się wydawać, całkowicie zaspokojona. Tylko oczy miała znów przymknięte. Liebman zastanawiał się, czy wędruje teraz w wyobraźni po słonecznej Italii. Ogarnęło go nagle rozgoryczenie. W najtrudniejszych chwilach jego życia Maria jeździła do Florencji cieszyć się pięknem renesansowego malarstwa. A teraz leżała tutaj, jak gdyby nigdy nic, bezwstydnie naga, brzuch miała płaski, nogi proste i długie, kostki delikatne jak baletnica. Nie, nigdy nie przejrzy jej duszy, skupiającej w sobie dosyć siły i bezczelności, aby korzystać z uroków świata, który, jak sama powiedziała, stał wtedy cały w płomieniach.

– Wciąż jeszcze nie widzę związku między tym, co nam się tu zdarzyło, a twoimi artystycznymi upodobaniami – powiedział z lekkim przekąsem. Teraz już nie on, teraz ona była winna.

– Zaraz zobaczysz – odparła. – Augustyn zajmował się grzechem głównym i uległością ciała wobec ducha. Kroczył mostem przerzuconym między filozofią Platona a Nowym Testamentem...

– Nie chciałbym przekraczać czegokolwiek pomostem tego rodzaju – przerwał jej. – Nie mam także zamiaru prowadzić zakonnego życia świętoszka. Obawiam się, że wysnułaś błędne wnioski z tego, co się stało przed chwilą.

– Nic irtuj się.

– Nie irtuję się. Chciałem tylko przedstawić jasno mój pogląd na świat i na życie.

Maria położyła mu rękę na piersi.

– Przed przyjęciem chrztu Augustyn prowadził hulawczy tryb życia – powiedziała, nie odnosząc się do uwag Liebmana. – Dopiero potem objawiła mu się prawda: powrót do Boga zaczyna się w momencie ucieczki od ludzkiego ciała. Nigdy nie zapomnę wersetu z jego *Wyznań*, w którym pisze o dziecku spotkanym w mediolańskim parku. Chłopczyk prosił, aby otworzył Nowy Testament na dowolnej stronie. Całkowicie przypadkowo był to list Pawła do Rzymian: „przyobleczcie się w Pana Jezusa Chrystusa i nie troszczcie się zbyt o ciało, dogadzając żądzom”¹².

Liebman obruszył się:

– Możesz sobie darować to kazanie – powiedział zagniewany.

Jej żalosne próby usprawiedliwienia chwili niemocy tylko go złościły. Niepotrzebne mu były pisma jakiegoś zwariowanego świętego, zbędne były quasi uczone komentarze Marii. Sam przecież wiedział najlepiej, co się stało. Jednym zdecydowanym ruchem uchwycił ją za przeguby rąk, brutalnie przygniół ciężarem swego ciała i gdyby nie jej przyzwalająca bierność, można by powiedzieć, że był to gwałt.

Dochodziła czwarta, gdy wstał z łóżka i zebrał swoje ubranie. Buty wziął w rękę i stąpił boso, aby jej nie obudzić. Ale Maria nie spała.

– Zostań ze mną – szepnęła z ciemności pokoju.

– Sądziłem, że śpisz – odparł równie cicho.

– Nie mogłam zasnąć – wyznała.

Liebman zastanowił się, dlaczego w mroku ludzie przeważnie szepczą.

– Mam lekcje do odrobienia na jutro – usprawiedliwił się.

– To nie na jutro. To już na dzisiaj – zauważyła z właściwą sobie logiką. – Zaraz wstanę, zaparzę kawę.

W pokoju Liebmana paliła się mała lampka. Nawet nie pamiętał, że zostawił światło. Usiadł przy stole i otworzył wypchany papierami segregator. Na południe planowane było posiedzenie naczelnego zespołu technicznego, musiał wykuć na pamięć szczegóły dotyczące austriackiego pieca hutniczego. W Ministerstwie Obrony Narodowej surowo zabroniono kopiowania dokumentów. Miały zostać zwrócone w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Mimo iż zdrzemnął się tylko godzinę lub dwie, nie czuł zmęczenia, myśl pracowała jasno, żaden drobiazg nie uszedł jego uwagi. Do ósmej siedział pochylony nad wykresami, szkicami i formułami procesu produkcyjnego. Jeszcze nim zakończył pracę, wiedział, że przy ograniczonych środkach stojących do dyspozycji Czerwonego Sztandaru nie będzie w stanie kontynuować prac od miejsca, do którego doszli austriaccy naukowcy. Wiedział także, że generał Tomasz Broza nie będzie zadowolony z jego sprawozdania.

Pięć po ósmej Maria zapukała do drzwi. Wraz z nią wpłynął do pokoju aromat świeżo parzonej kawy.

– Zaraz przyjedzie twój kierowca – powiedziała, stawiając filiżankę na stole. Znów nosiła zwykłą bawełnianą sukienkę, jakby chciała dać do zrozumienia, że nic się nie zmieniło. Minionej nocy nie wspomniła ani słowem. On także. Izaak delektował się gorącą kawą, Maria przemierzała pokój tam i z powrotem, omiatała ściany spojrzeniem, jakby tu była po raz pierwszy. Liebman zebrał porozkładane papiery, wetknął segregator do ogromnej, skórzanej teczki i skierował się ku wyjściu. Dopiero w przedpokoju powiedział, że wróci około siódmej. Nigdy dotychczas nie zawiadamiał Marii, kiedy ma zamiar przyjść do domu. Ona ze swej strony przyjęła zawiadomienie jako rzecz zrozumiałą samo przez się. Ale nim zatrzasnęła za sobą drzwi na klatkę schodową, rzuciła jakby od niechcenia:

– Przeniosę twoją pidżamę do naszej sypialni.

Już od kilku miesięcy stała do jego wyłącznej dyspozycji czarna limuzyna marki ZIL-11. Powiedziano mu, że ZIL to nazwa zakładów automobilowych imienia Lichaczowa w

12 List do Rzymian 13,14.

Moskwie. W dniu, w którym został tak zaszczycony, Rita przyniosła mu wycinek z niemieckiego miesięcznika. Na jednej z pierwszych stron wydrukowane było zdjęcie samochodu. Podpis głosił, że fabryka ZIL została założona w roku 1915 przez braci Riabuszyńskich, i że od tego czasu w produkowanych przez nią samochodach wprowadzono tylko nieznaczne zmiany techniczne. Autor tekstu nazwał limuzynę „trumną na czterech kołach”.

– Nie przepuścisz nikomu, co? – zaśmiał się.

– Tylko dlatego, że nigdy nie wzięłeś mnie na przejażdżkę – rzuciła kokieteryjnie i umknęła na korytarz.

Kierowca stawiał się punktualnie jak zawsze i lekkim naciśnięciem na klakson dał znak, że czeka przed domem. Sąsiedzi nie przyzwyczaili się jeszcze do widoku samochodu. Za każdym razem gdy przyjeżdżał, opierali się o parapety i podziwiali luksusową limuzynę. Niewiele było w mieście samochodów tego typu, a w tej dzielnicy taki człowiek, z takim autem, stanowił prawdziwą sensację.

Towarzysze w Komitecie Wojewódzkim od dawna namawiali go, by się przeniósł do jednej z kamienic lub willi odremontowanych na Krzykach, w północnej dzielnicy miasta. Nie mogli zrozumieć, dlaczego z uporem trwa przy skromnym sublokatorskim pokoju na Sępolnie. Wprawdzie remont domów dla uprzywilejowanych daleki był od doskonałości, nowe rury pękały na mrozie, a każda poważniejsza ulewa spłukiwała świeże tynki z murów, ale wśród zniszczeń wojennych, których nie spieszono się usunąć, wciąż jeszcze była to wyspa względnego luksusu. Jednak to nie usterki budowlane powodowały, że wolał zostać tam, gdzie był. Kłamlive były także plotki, że się wywyższa, albo że stroni od towarzystwa współpracowników i działaczy, bo w gruncie rzeczy nie ma z nimi wspólnego języka. Prawdą było, że obawiał się samotności zamkniętej wraz z nim w czterech ścianach świeżo malowanych pokoi. Dla niego mieszkanie Marii, wypełnione stylowymi meblami tak zwanej teraz zgniłej burżuazji, czasem przesiąknięte zapachem kuchni, przypominającym dom rodziców, stwarzało atmosferę miejsca, w którym przyjemnie jest zarzucić kotwicę. Niewykluczone, że w podświadomości tkwiła głęboko ukryta tęsknota do rodzinnego życia, takiego, jakim zawsze gardził w przeszłości. Teraz, po tym co stało się w nocy, nawet gdyby chciał, nie mógłby się chyba wyprowadzić.

W biurze czekała na niego Rita z otwartym terminarzem spotkań. Dopóki nie zatrudniono nowego naczelnego inżyniera, zajmowała się tylko jego sprawami. Gedalia Chajes, mimo iż darzył ją sympatią i uważał za dobrą pracownicę, nie wpuszczał jej do swojego gabinetu. Liebman nigdy nie zapytał, dlaczego. Rita dbała o swój wygląd, aczkolwiek nigdy nie przesadzała z kolorami pomadki do ust. Lubiła atmosferę niezobowiązującego flirtu, ale nigdy nie mieszała uśmiechu kobiety z uśmiechem sprawnej sekretarki. Nawet jeśli zdarzało się, iż przychodziła do pracy z oczami podkutymi po nocnej hulance, Liebman nigdy nie usłyszał, że jest zmęczona, że prosi o odłożenie jakiejś pracy z dziś na jutro. Rita zawsze знаła swoje miejsce w lokalnej hierarchii i skutecznie wytyczała granicę między obowiązkami w Czerwonym Sztandarze a życiem prywatnym.

O jej życiu prywatnym wiedział tylko tyle, ile sama chciała mu opowiedzieć, podczas coraz rzadszych spotkań w kawiarni „Teatralnej”. Było tego tyle, co nic. Strzępiąc język na wszystkich dookoła, plotkując o wszystkim i wszystkich, za każdym razem gdy pytał o jej osobiste życie, zbywała go nieistotnymi wykrętami. Nie od niej, lecz od Gedalii Chajesa dowiedział się, że swoją pozycję zawdzięcza siostrze, kochance prokuratora wojewódzkiego. Biuro prokuratora było przypuszczalnie głównym źródłem jej wielorakich informacji.

Również dzisiejszego poranka odczytała z terminarza, sucho i rzeczowo, kolejność spotkań i porad. Kartkę z odpisem danych kładła mu na blacie biurka, dla przypomnienia. Ale właśnie dzisiaj odniósł się do niej z męską, nieco tanią galanterią. Coś się jednak tej nocy

zdarzyło, chyba odkrył nagle, że nie jest robotem istniejącym tylko dla pracy, że obudziły się tak długo tłamszone zmysły i że już nie zawsze będzie mógł nad nimi panować. Wyciągając rękę po terminarz, trochę dłużej niż to wynikało z konieczności przetrzymał jej dłoń w swojej, potem przesunął rękę wyżej i delikatnie musnął jej starannie uczesane loki.

– Jesteś wyjątkowo urodziwym stworzeniem – powiedział półżartem.

– Długo trwało, nim raczyłeś to zauważyć. A może zauważyłeś, ale nie sądziłeś, że także sekretarce wolno prawić komplementy.

– To nie są komplementy. Na pewno masz ogromne powodzenie u mężczyzn.

– Niestety, nie u ciebie – odparła, patrząc mu prosto w oczy. To spojrzenie było mu dziwnie znajome. Dokładnie tak samo spoglądała mu w oczy, wczoraj po południu, Maria Kot.

Rita stała oparta biodrami o blat biurka, stopy miała wysunięte daleko do przodu, cała postać, od pasa wzwyż, przechylona była do tyłu. Trzeba było być ślepy, aby nie dostrzec w tej pozycji wyraźnego kobiecego wyzwania. Dłoń Liebmana zjechała po lokach na szyję, zawahała się chwilę, po czym już bez zastanowienia wślizgnęła w trójkąt dekoltu. Wyczuł jej małą, twardą pierś. Nie nosiła stanika.

– Drzwi są otwarte – powiedziała z zaskakującą przytomnością umysłu.

Liebman przemierzył trzy kroki dzielące biurko od wejścia i przekręcił klucz w zamku. Gdy się odwrócił, miała rozpięte wszystkie guziki bluzki.

– To jest zupełne szaleństwo – wybąkał, całując jej sutki. Sam nie wiedział, czy miał na myśli własne nieodpowiedzialne postępowanie, czy podniecające wyzwanie jej ciała. Rita straciła równowagę. Liebman pchnął ją, aż stopy utraciły kontakt z podłogą, a pośladki wcisnęły się w kant biurka. Nie czuła tego ucisku, pomogła, by uwolnił ją z batystowych majtek, i wchłonęła w siebie tak głęboko jak tylko mogła. Jeszcze zanim wypełnił ją ostatecznie, osiągnęła szczyt. Liebman wyczuł to natychmiast i nie czekając na własne zaspokojenie, próbował wstać. Rita splótła mu ramiona na plecach, chciała przedłużyć tę chwilę w nieskończoność, kąpać się w zapachu jego polu, ale przestraszony samym sobą, uwolnił się i niezręcznie zapinając spodnie, zaciskając pasek na ostatnią dziurkę, aż brakło mu oddechu, wykrztusił:

– Przepraszam. Sam nie wiem, co mi się stało.

– Nie ma za co przepraszać. To była moja prowokacja. Chciałam tego bardziej niż ty.

Liebman zastanowił się, czy ta nieprzewidziana przygoda miała jakikolwiek związek z ubiegłą nocą czy istniała w nim jakaś nieodparta potrzeba udowodnienia sobie, że impotencja była chwilowa, tak jak jednorazowa była, to wiedzieli z całą pewnością, ta biurowa afera z Ritą. Nie miał zamiaru narażać się na dodatkowe ryzyko, a już na pewno nie chciał zostać zakładnikiem w jej ręku. Obawiał się, że mimo zrównoważonego charakteru może stać się nieobliczalna. Udając całkowity spokój, znów przekręcił klucz w zamku i na wszelki wypadek, uprzedzając wszelkie możliwe podejrzenia, zostawił drzwi lekko uchylone. Rita, zapięta na ostatni guzik, z nieodłącznym terminarzem przed sobą, zapytała rzeczowo:

– Czy mam spisać protokół posiedzenia?

– Nie – odpowiedział, usiłując przybrać wyraz szefa, którego nic nie łączy z sekretarką. – To jest zamknięte posiedzenie zespołu technicznego.

Rita zamknęła terminarz. Zbierając się do wyjścia, przystanęła na moment w drzwiach i rzekła cicho, aby nikt na korytarzu nie mógł jej usłyszeć:

– Chwile, które spędziliśmy razem, zapisuję w sercu i to będzie jedyne miejsce, gdzie pozostanie po nich jakikolwiek ślad. Nigdy, ale to nigdy nie wykorzystam tego przeciw tobie. Możesz spać spokojnie. Sam, albo z Marią. Umieję założyć kaganiec na uczucia zazdrości. A poza tym – dodała z nieco gorzką ironią – umiem się pocieszać.

Dzień pracy przebiegł spokojnie. Liebman zrelacjonował swoje spostrzeżenia dotyczące austriackiego procesu produkcyjnego. Towarzysze wysłuchali go, nie komentując sprawozdania. W gruncie rzeczy byli zadowoleni, że nowy dyrektor nie wplątuje ich w serie eksperymentów, których efektu końcowego nikt nie mógł przewidzieć. Niepowodzenie Rudolfa Nowaka niewątpliwie zostałyby wpisane także do ich teczek personalnych. Wszyscy zebrani wiedzieli, żeteczka z krytyczną uwagą, wyciągnięta w odpowiedniej chwili przez odpowiednich ludzi, może złamać najlepiej zapowiadającą się karierę.

Gedalia poprosił o kopię listu, który zostanie wysłany do Warszawy. Późnym popołudniem Liebman sprokurował szczegółowe omówienie problemu, nie ukrywając czekających ich trudności. Tym razem jednak, po raz pierwszy od kiedy Chajes wyniósł go na stanowisko szefa, nie przekazał partii odpisu. Starannie zaklejony, w zaadresowanej kopercie spoczął za drzwiami kasy pancерnej. Wyjmie go stamtąd i usprawiedliwiając się za przeoczenie, wręczy Chajesowi dopiero po otrzymaniu odpowiedzi generała Brozy.

Wskazówki zegara zbliżały się do siódmej. Im bliższa była godzina powrotu do domu, tym większy ogarniał go niepokój. Nie wiedział, jak się zachować wobec Marii, obawiał się, że wyczyta mu z twarzy brak pewności siebie. Kwadrans przed siódmą Rita połączyła się wewnętrzną linią telefonu, chciała wiedzieć, czy będzie jeszcze potrzebna.

– Dziękuję, nie. Ja także wychodzę już z biura. Chciałem tylko zamienić kilka słów z towarzyszem Chajesem.

– Sekretarz jest w Komitecie Wojewódzkim. Wyszedł zaraz po posiedzeniu. Ale jeśli to coś pilnego, spróbuję go odnaleźć.

– Nic tak pilnego, co nie mogłoby poczekać do jutra – odparł i odłożył słuchawkę, po raz setny zadziwiony, że wie wszystko o wszystkich.

Lepiej nie działać w pośpiechu, odczekać kilka godzin, nie robić niczego pod naciskiem wewnętrznych obaw. Czego właściwie chciał od Chajesa? Pod wrażeniem wszystkiego, co stało się w ciągu ostatniej doby, chciał zbadać możliwość uzyskania kwaterunku na Krzykach. Chciał uciec przed czymś, przed czym w żaden sposób uciec się nie da. Odciąć się od Marii, umknąć przed intymnością ich stosunku. Ale nie. Przecież w gruncie rzeczy wcale nie pragnął zrywać tego, co mogło nadać jego życiu odmienny wymiar; nie wiedział tylko, jak zmierzyć się z tym wyzwaniem. Co powie Marii, gdy otworzy drzwi. Jak się zachowa, gdy zmierzy go badawczym spojrzeniem, oczekując, że wykona pierwszy ruch, jak przystało mężczyźnie? Czy wejdzie jak gdyby nigdy nic, ucałuje ją w policzek, tak, w policzek, nie w usta, i zapyta, czy pidżama wciąż jeszcze leży na łóżku w jej, w ich sypialni? Wiedział, że nigdy się na to nie zdobędzie, że spuści oczy i będzie czekał na jej pierwszy ruch, jak przystało kobiecie. Wielki dyrektor wielkich zakładów poczuł się tym, czym był naprawdę: małym człowieczkiem.

– Ty zakichany tchórze – wycedził przez zęby, zdjął płaszcz z wieszaka, starannie zamknął za sobą gabinet i zszedł tylnymi schodami na wewnętrzny dziedziniec, gdzie zawsze czekała służbowa limuzyna. Kierowca przyłożył dwa palce do czapki z daszkiem, otworzył drzwiczki samochodu i zapytał:

– Do domu, towarzyszu dyrektorze?

– Rzecz zrozumiała, przyjacielu, do domu. Prosto do domu.

Liebman wspinał się po schodach pomału, odpoczywając na półpiętrach, bo skórzana teczka z dokumentami ciążyła bardziej niż zazwyczaj. Po omacku wymacał właściwy klucz ze srebrnego kółka, kupionego okazyjnie w sklepie komisowym. Zamek głośno zaproteutował, gdy przekręcił go dwa razy. Stokrotnie obiecywał, że go naoliwi, i zawsze zapominał. Maria obstawała przy starannym zamykaniu mieszkania, obawiała się włamywaczy. Zawsze przypominała mu, że zbyt wielu ludzi wie, co z jej domu można wynieść. Gdy wszedł do przedpokoju, zastał tam Marię w jej wiecznej bawełnianej sukience.

Wyraźnie czekała na jego powrót, przecież zapowiedział, że będzie koło siódmej. Spóźnił się o kwadrans. Przez głowę przebiegła mu myśl, że od piętnastu minut stoi w korytarzu i czeka. Myśl taka dodała mu animuszu. Już chciał podejść i ucałować ją w policzek, gdy wyciągnęła ramię, mówiąc, tak mu się zdawało, cieplej niż w przeszłości:

– Daj mi płaszcz, powieszę go na miejscu.

Nowy układ stosunków szybko przypadł mu do gustu. Większość osobistej garderoby zostawił w wynajmowanym pokoju. Stwarzało to iluzję prywatności, może nawet samodzielności. Wydawało mu się, że każdego dnia może przenieść z powrotem także pidżamę i domowe pantofle, prezent od Marii, i przywrócić sobie status zwykłego sublokatora. Wiedział, że Maria, nawet gdyby poczuła się dotknięta do żywego, nic dałaby wyrazu swoim uczuciom. A już na pewno nie groziły mu awantury i sceny zazdrości. Taka już była. Na razie jednak żadna burza nie rysowała się na horyzoncie, bo nie było w ich związku miłości, nie było także prawdziwej namiętności. Oboje osiągnęli ten etap dorosłego życia, w którym pojawia się potrzeba intymnej, ale wyrozumowanej wspólnoty. Spali w jednym łóżku i nigdy już nie zostawił jej niezaspokojonej. Szybko przekonał się, że wcale nic była taka bierna, jak zdawało się wynikać z pierwszego doświadczenia, i że potrafiła go poprowadzić lepiej od wszystkich dziewczyn, z którymi kochał się w młodości. Przygoda z Ritą nie stanowiła kamienia probierczego. Po prostu została wymazana z pamięci.

Mimo wspólnego łóżka i wspólnych pogawędek nad filiżanką dobrej herbaty Maria nie narzucała swojej obecności. Zawsze umiała wyczuć, kiedy wolałby zostać sam. Ponadto odnosiła się do niego z szacunkiem, potrzebnym mu jak tlen do oddychania. Także w pracy traktowany był z szacunkiem, chociaż w tej dziedzinie nie miał żadnych złudzeń. Był to szacunek uwarunkowany stanowiskiem i możliwymi protektorami. Bez jakiegokolwiek pierwiastka osobistego. Natomiast Maria, o tym był przekonany, nie przestanie go szanować, nawet jeśli kiedykolwiek przestanie być dyrektorem.

Coraz częściej rozważał możliwość usankcjonowania ich związku. Małżeństwo z Marią Kot przeniosłoby go ostatecznie ze świata, który tak chętnie zostawił za sobą, w świat, który wybrał z rozmysłem. Oczywiście, nie miał pojęcia, jak przyjęłaby oświadczyni, lecz nie obawa przed odmową zamykała mu usta. Małżeństwo z Marią, lub jakkolwiek inną kobietą, wymagałoby udowodnienia, że Rudolf Nowak jest kawalerem. W zasadzie, pomyślał z wisielczym humorem, formalnie jest teraz wdowcem, ale każda wzmianka o śmierci Reginy zapiąć ze go w tryby biurokratycznej maszyny, które zmielą go w proch.

Liebman nie wiedział, że myśl o małżeństwie nie była obca także Marii. Nie miała zamiaru spędzić samotnej starości i umrzeć jako stara, samotna i praktycznie porzucona kobieta. Poza Rudolfem nie znała nikogo, z kim chciałaby się związać. Poza tym trudno jej było wyjaśnić ojcu Wiktorowi tę dwuznaczną sytuację. Był jej spowiednikiem, wiedział wszystko, nie pochwalał niczego. Żyła w grzechu i przy całej przyjaźni i wyrozumiałości, nie mógł jej z piętna tego grzechu uwolnić. Liebman szybko wyczuł, że niedzielne msze w kościele coraz gorzej wpływają na jej samopoczucie.

Nie trwało długo, by pojął, co się dzieje. Mimo iż temat objęty był obopólnym milczeniem, ciało Marii zdradzało rozterkę. Po krótkim „miodowym miesiącu” wkradło się do ich wspólnej sypialni poczucie grzechu. Od jakiegoś czasu klękała przed łóżkiem i odmawiała wieczorny pacierz, prosząc Boga o wybaczenie. Niemal równocześnie zaczęła dusić żar zmysłów. Coraz trudniej mu przychodziło wyzwolić ją z ograniczeń, które sama nakładała na siebie. Nawet gdy szeptała mu w ucho, jak dobrze jej było, nie potrafiła go oszukać. Podczas jednej z wieczornych rozmów postawił sprawę na ostrzu noża:

– Wydaje mi się – powiedział z lekkim wahaniem – że powinniśmy porozmawiać otwarcie.

Maria nie chciała tej rozmowy.

- Zadowolam się zwykłym szczęściem – przerwała mu.
- To brzmi jak cytata z *Alicji w krainie czarów* – zaśmiał się, pokrywając zakłopotanie.
- Widziałeś kiedyś kotkę, która na okiennym parapecie wygrzewa się w słońcu? To może być szczyt zwykłego szczęścia.
- Może dla kota. Ja jestem zwierzęciem innej rasy.
- Wiem, Rudi. Im bardziej jesteśmy cywilizowani, rozsądni i wymagający, tym trudniej nam przychodzi osiągnąć prawdziwe szczęście.
- Posługujesz się przykładem kota w słońcu, ale porównanie jest zupełnie od rzeczy. Poznałem cię nie najgorzej. Należysz do osób, które nie zadowolają się półśrodkami. Wszystko u ciebie musi być albo białe, albo czarne, nie uznajesz całej tęczy kolorów. Wierz mi, że się mylisz, bo szczęście nie jest celem ostatecznym, jest tylko jednym z kamieni milowych w długiej podróży od urodzenia do śmierci. Szukaj go po drodze. Nie miej złudzeń, że czeka nas gdzieś na samym końcu tej drogi, jak główna wygrana na loterii. Posłuchaj raz mojej rady: włóż wszystkie pisma twojego Augustyna na sam spód szuflady, zamknij ją dwukrotnie, przecież wiesz, jak się to robi, i wyrzuć klucz do morza.
- Jesteś romantykiem, mój drogi. Przecież wiesz, że we Wrocławiu nie ma morza – zażartowała, uciekając od tematu.

Był miły niedzielny poranek, właśnie skończyli śniadanie, Maria sprzątnęła ze stołu i rozsiadła się wygodnie w starym fotelu.

– Pracujesz stanowczo za dużo – powiedziała. – Masz zmęczone oczy, a oczy nigdy nie kłamią.

Machinalnie przetarł powieki wierzchem dłoni. Już kilka dni temu, przy porannym goleniu, zauważył, że stały się obrzmiałe i że pod oczodołami zaczynają się tworzyć ciemnobrązowe worki. Tylko on wiedział, że nie tyle praca, ile raczej ciągłe napięcie żłobi ślady na twarzy. Uśmiechnął się do niej z udanym humorem:

– Lata robią swoje. Starzeję się.

Maria nie zaprzeczyła. Może nawet nie słyszała, co powiedział. Pograżona była we własnych myślach, miała coś bardzo istotnego do przekazania, lecz nie wiedziała, jak zacząć. W końcu rzuciła prosto z mostu:

– Nie zwróciłeś nawet uwagi, że opuściłam dzisiejszą mszę.

– Zapewne czytasz Lenina, opium dla ludu.

– To wcale nie jest śmieszne – obruszyła się.

– Przepraszam, nie chciałem cię urazić. Jakoś wyleciało mi z głowy, że to niedziela. Coś się stało?

– Ksiądz dał mi do zrozumienia, że powinnam zrezygnować, przynajmniej czasowo, z uczestnictwa w nabożeństwach.

Liebman nie od razu zapytał o powody tego dziwnego bojkotu. Ho-ho, pomyślał, duszpasterz dobiera się do owieczki, która zawiodła nadzieje Kościoła. Był przekonany, że to kara za jej przyjaźń z czerwonym sublokatorom i w dodatku takim, co odmówił współpracy.

– Akurat ty, najwierniejsza z wiernych?

– Pan Bóg nie jest handlarzem bydła, z którym można się targować. Tak mi powiedział i chyba ma rację.

– Nie rozumiem.

– Po prostu postawił mnie przed wyborem: albo kościół, albo moje grzeszne współzycie z tobą.

– Wylazło szydło z worka.

– Teraz ja nie rozumiem.

– Sprawa jasna jak słońce. Miałas zwerbować agenta. Nie udało się, więc wystawia ci rachunek za niepowodzenie. Tyle tylko, że nie bardzo się to godzi z miłością bliźniego – dorzucił drwiąco.

– Mylisz się, Rudi. Ojciec Wiktor jest prawym człowiekiem. Są jednak zjawiska, których nie można pogodzić z wiarą. Bolało mnie tylko, że grzebał w naszym prywatnym życiu jak w koszu na śmieci. Moje współżycie z tobą jest dla mnie niezwykle istotne. Na tym polega cały problem.

– Problem?

– Moje niemal narkotyczne pragnienie fizycznej bliskości... Nie muszę chyba wyszczególniać, sam wiesz, o co chodzi... Pragnę tej bliskości, nawet gdy pozbawiona jest...

– Nie urywaj. Powiedz, o co chodzi.

– Nawet: jeśli pozbawiona jest erotyki – powiedziała i spuściła głowę, wyraźnie zawstydzona.

– Po jaką cholere mu to wszystko powiedziałaś.

– Nic potrafię żyć bez konfesjonału. Obawiam się, że nigdy tego nie pojmiesz. Spowiedź jest mi potrzebna jak rybie woda. Kościół to mój duchowy żywioł, jeśli można użyć takiego porównania.

– Dopiero przed kwadransem mówiłaś o prostym szczęściu kotki wygrzewającej się na parapecie.

– A ty wykryłaś moje zakłamanie... Nie, nie zaprzeczaj. To było zakłamanie. Wszyscy zachowujemy się czasami jak aktorzy na scenie. Udajemy, że jesteśmy kimś innym.

– Ja nie. Ja jestem za pełną szczerością.

– Zawsze? I bez ograniczeń?

– Bez ograniczeń.

– W takim razie mam ci coś do powiedzenia – rzekła, opierając twarz na łokciach. – Kiedyś, w dalekiej przeszłości, pasjonowałam się nie tylko świętym Augustynem, ale także literaturą detektywistyczną.

Liebman wyczuł nagłą zmianę jej nastroju. Odniósł wrażenie, że ciążyła jej nie tylko ekskomunika księdza Wiktora, że jeszcze jakiś inny młyński kamień wisił u szyi Marii. Odbierając jego milczenie jako zachętę do kontynuowania rozmowy, ciągnęła:

– Posiadam chyba szczególny zmysł detektywa, bo zawsze odgadywałam, kto jest mordercą, już w pierwszej połowie książki. Także na co dzień mam niezłe oko. Nic wiem, czy pamiętasz, ale już na pierwszej stronie naszej znajomości powiedziałam, że chętnie wynajmę ci pokój, bo zgaduję w tobie człowieka wzbudzającego zaufanie. Dżentelmena. Tylko pod jednym względem zawiódł mnie mój węch. Życie każdego z nas składa się z trzech wymiarów: przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Natomiast twój wymiar przeszłości w ogóle nie istnieje. Nigdy o niej nie mówiłeś.

– Kiedyś poruszaliśmy ten temat. Jaką wartość mają wspomnienia, których chcemy się pozbyć?

– Nawet jeśli jest tak, jak powiadasz, to jaki sens ma sfałszowanie nazwiska?

Liebman słuchał napięty jak struna. Całą siłą woli zmusił się do zachowania obojętnego wyrazu twarzy.

– Przemawiasz zagadkami – rzucił, nie patrząc w jej stronę.

– Wahałam się, czy powinnam podzielić się z tobą tym, o czym dowiedziałam się niedawno. Tylko nie irytuj się, proszę. Nazwisko to tylko dodatek, jego zmiana nie zmienia osobowości. Nie przykładam żadnej wagi do nazwisk. Nie otworzyłabym ust, gdyby nie twoje oświadczenie o szczerości bez ograniczeń.

– Ktoś nakarmił cię bzdurami. Ale mów, mów. Wysłucham cierpliwie.

– Nigdy nie proponowałam, abyśmy się pobrali, aczkolwiek w naszej sytuacji byłoby to zupełnie naturalne. Obawiałam się twojej reakcji. Oświadczyły to przecież tradycyjna rola

mężczyzny. Ty milczałeś w tej kwestii, więc pozostały mi jedynie marzenia. Tylko sny i nadzieja na mile przebudzenie. Radziłam się ojca Wiktora, była to dla mnie rzecz najprostsza. Polegałam na jego życiowej mądrości. Poza tym, jak wiesz, ksiądz jest dla mnie wyrocznią. Doradził mi czekać cierpliwie, nie utrudniać ci życia, bo, jak powiedział, mężczyźni nie lubią, aby ich siłą prowadzono do ołtarza. Ojciec Wiktor jest: osobą doświadczoną, przecież związał setki par. Podczas jednego ze spotkań wyraził gotowość przygotowania wszystkich niezbędnych dokumentów, abyśmy byli gotowi, gdy któregoś dnia poprosisz o moją rękę. Nie widziałam w tym nic zdrożnego. Przekazałam mu twoje dane personalne, nie zdradziłam żadnych tajemnic, bo przecież sam je podałeś do urzędu meldunkowego. Powiedział, że napisze do parafii, w której się urodziłeś, i poprosi o metrykę urodzenia i metrykę chrztu. Wyraził zgodę na cichy ślub. Wie, że partia niechętnym okiem patrzy na kościelne śluby swoich członków. Powiedział, że nie da na zapowiedzi, aby zapobiec plotkom, i że ceremonia ślubna odbędzie się wieczorem, w zakrystii. Jesteś ze mną?

– Jak najbardziej.

Maria wyprostowała się.

– W ubiegłym tygodniu, we wtorek, zaprosił mnie na rozmowę. Nie tyle zaprosił, co wezwał. Nadeszły twoje papiery. W Urzędzie Repatriacyjnym podałeś Reginę Nowak jako swoją matkę. Ale według metryki, miała na imię Krystyna. Potem pokazał mi jeszcze jeden dokument: twoją metrykę ślubu. Regina jest twoją żoną, zgadza się?

– Kto cię upoważnił do grzebania w mojej przeszłości – wybuchnął, zdając sobie sprawę, że wściekłością próbuje zatuszować przerażenie, które go ogarnęło. Po jakiego diabła powiedział temu zakichanemu urzędnikowi, że matka nazywa się Regina? Na to jednak zawsze znajdzie wykręt: stary urzędas po prostu się pomylił. Najgroźniejsze pytanie było całkiem inne: czy Maria Kot wie także, kim naprawdę była Regina?

– Co jeszcze nagadał nasz ksiądz-detektyw?

– Skąd to zdenerwowanie? – odparła. – Nie uczyniłam niczego, co mogłoby ci zaszkodzić. A może?... Może ukrywasz przede mną jakąś straszną tajemnicę?

– Ja tu zadaję pytania, ty masz tylko odpowiadać – warknął rozkazująco. Maria zmierzyła go zdumionym wzrokiem. Nigdy nie widziała go w takim stanie. Nie odnosząc się do jego gniewnej uwagi, znów zapytała:

– Dlaczego nie powiedziałaś, że jesteś żonaty?

Pułapka, straszna pułapka, jęknął Liebman w duchu. Myślał gorączkowo, jak z niej wybrnąć. Niezadowolająca odpowiedź może mieć fatalne skutki: pchnie Marię do dalszego szukania prawdy. Ale żadna rozsądna wersja nie przychodziła mu do głowy, aż sama mu ją podsunęła:

– Obawiałeś się, że cię odepchnę?

Liebman milczał. Maria przyjęła milczenie za potwierdzenie jej słów.

– Głuptasku – uśmiechnęła się, trochę gorzko. – W żadnym przypadku nie zrezygnowałabym z naszej więzi. Gdzie jest teraz Regina?

– Nie mam pojęcia. Przed laty wyszedłem z jej życia.

– Porzuciła cię, gdy byłeś w obozie?

– Ten rozdział mojego życia został zamknięty. Po co rozdrapywać stare rany?

– Wciąż jeszcze bolą?

– Czasami.

– Poczekam, aż się zagoją. Jestem cierpliwa.

Wieczorem zaprosił ją na pokaz filmu w sali Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. W każdy wtorek wyświetlano tam filmy niedopuszczone na ekrany w kinach. Wejściówki rozdawano znanym dziennikarzom i działaczom partyjnym. Wolno im było przyprowadzić kogoś z rodziny lub zaufanych przyjaciół. Liebman, gdy tylko czas mu pozwalał, chętnie

chodził na te pokazy. Zawsze sam. Dzisiaj po raz pierwszy zaproponował Marii, aby mu towarzyszyła. Nigdy nie zapraszał jej do „Teatralnej” albo do restauracji w hotelu Monopol, w której wrocławska partyjna śmietanka towarzyska spędzała wieczory przy butelce czystej. Afiszowanie się znajomością z Marią mogło mu złamać karierę. Maria zdawała sobie sprawę z jego kłopotliwego położenia i milcząco akceptowała taki stan rzeczy. Także teraz, gdy już wyszli na ulicę, zapytała:

– Jesteś pewien, że ci nie zaszkodzę?

– Bez księdza-spowiednika jesteś kobietą jak każda inna — zażartował.

– Jak Rita, na przykład?

Liebman zbył ją niechętnym ruchem ręki:

– Tym razem szanowna pani detektyw jedzie ślepym torem... – Po chwili dodał: – Czyżby zazdrość?

– Owszem, zazdrość. Rita przespała się z Krzysiakiem, z Chajesem i tuzinem podobnych. Dlaczego nie miałyby także z tobą?

– Bezpodstawne plotki. Naprawdę nie wiem, skąd poważna...

– Rudi – przerwała mu. – Zbyt dużo zainwestowałam w nas, aby zgodzić się na współpracę.

Tego wieczoru wyświetlano *Bulwar Zachodzącego Słońca* z Glorią Swanson w roli głównej. Gigolo zdradza Glorię, Gloria go morduje. Hollywoodzka szmira. Maria nie mogła zrozumieć, dlaczego prości ludzie nie mogą jej oglądać i co jest w tym głupawym melodramacie takiego, że wyświetla się go jedynie uprzywilejowanym.

– Nie szukaj logiki w zarządzeniach cenzury – powiedział Liebman, gdy po seansie usiedli w bufecie TPPR i zamówili po ciastku z lemoniadą. Przy bufecie, plecami do nich, stał Paweł Klarman, zastępca naczelnego „Gazety Robotniczej”. Klarman dosłyszał uwagę o cenzurze, odwrócił się, w lewej ręce trzymał szklankę herbaty, prawą wyciągnął do Liebmana, witając z wylewną serdecznością:

– Nie widzieliśmy się od wieków, dyrektorku, od wieków. No i nareszcie mam okazję poznać także waszą małżonkę.

Klarman wiedział doskonale, że Liebman nie jest żonaty. Liebman wiedział, że Klarman wie. Sytuacja stała się kłopotliwa, stało się jasne, iż wylewna serdeczność dziennikarza była tylko niesmaczną gierką. Zakłopotany, szukał właściwej odpowiedzi. Maria go uprzedziła:

– Pomyłka, panie redaktorze. Jesteśmy przyjaciółmi. Chciałam powiedzieć „tylko przyjaciółmi”, ale prawdziwa przyjaźń często jest więcej warta od zaświadczenia z urzędu stanu cywilnego.

– O, tak. Miłość przychodzi, miłość odchodzi, prawdziwa przyjaźń trwa jak stal w zakładach Nowaka. Przyjaźń przypomina wysokokaratowy brylant. Widziałem kiedyś ogłoszenie w amerykańskiej gazecie: „Brylant jest na zawsze”. Niech ich piorun strzeli, ale muszę przyznać, że Amerykanie są mistrzami reklamy. Możemy im tylko zazdrościć tego kunsztu. Nasza sprawa jest taka słuszna, a tak trudno przekazać ją masom. Wiem coś na ten temat, przecież siedzę w prasie dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– W końcu prawda zawsze zwycięża – powiedziała Maria. Klarman przytaknął z zadowoleniem. Tylko Liebman wyczuł dwuznaczność uwagi. Dziennikarz wypił herbatę, odstawił szklankę na blat bufetu i położył rękę na jej ramieniu.

– Zgadza się. Ale prawda nie może cierpliwie czekać, aż ludzie sami przejrzą na oczy. Musimy działać. Działać szybko, bo wróg nie zasypia gruszek w popiele. Potem przeniósł dłoń na ramię Liebmana. – Słyszałem wasze zdanie o cenzurze – powiedział spokojnie. – Rozumiem, że macie w tej sprawie jakieś zastrzeżenia. Co wy, ludzie ciężkiego przemysłu, wiecie o cenzurze? Nic. Absolutnie nic. Zdarza się, że także ja zapytuję: po cholere taki czy inny zakaz? Ale w odróżnieniu od was, my, dziennikarze, mamy dostęp do źródeł. I muszę

przyznać szczerze: za każdym razem, gdy szukałem przyczyn, znajdowałem w nich logikę. Tę logikę, w której istnienie wy, Nowak, powątpiewacie. – Redaktor Klarman zniżył głos: – Ostatnio skreślili nam dane o spożyciu importowanych win z rozbiciem na kraje pochodzenia. Chyba zwariowaliście, powiedziałem cenzorowi, jaka to tajemnica, ile wina piją Polacy? Nie dostałem odpowiedzi, ale przed chwilą spotkaliśmy się przy bufecie i nagle wszystko się wyjaśniło. Potraficie trzymać język za zębami, Nowak? Oczywiście, że potraficie. Przecież nie pisnęliście ani słowa o tych nowych, specjalnych robotnikach, którzy przybyli do waszych zakładów w Jelczu. Widzę, widzę waszą minę, kolego. Myśleliście, że nie mam pojęcia, co? – Klarman zarechotał z zadowoleniem i przypomniał Liebmanowi, że jest członkiem egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego. – O czym to mówiliśmy? A, o winie. W życiu nie zgadlibyście przyczyny, ale ja wam ją wyjawię... Mam nadzieję, że wasza towarzyszka nie zajmuje się plotkami... Ministerstwo Handlu Zagranicznego kupuje wina na Węgrzech i płaci za nie trochę węglem, większość forintami, czy jak się tam ta ich waluta nazywa. Każde dziecko wie, że te ichnie pieniądze, przepraszam za szczerłość, dobre są do podarcia dupy. Sporą część tych win, szczególnie bardzo lubiany tokaj, kierujemy prosto na rynki zachodnie i dostajemy szeleszczące zielone. Węgrzy umieją liczyć. Gdy przeczytają, ile ich win wypijamy, nie omieszkają zapytać, dokąd poszła reszta. Za dolary to oni sami wolą sprzedawać. Opublikowanie danych mogłoby wywołać krótkie spięcie w stosunkach z Węgierską Republiką Ludową. Radzieckim towarzyszom także by się to nie podobało. Więc chyba trzeba było ocenzurować?

– Nie jestem przekonana – wtrąciła Maria. – Uważam, że silna ideologia nie powinna owijać prawdy w bawełnę. Ta historia z winem to oczywiście rzecz zupełnie marginesowa. Chodzi mi o zasadę. Cenzura jest niemoralna. Ale nie znam się na tych sprawach, więc chyba nie powinnam zabierać głosu.

– Dlaczego nie? – Klarman był wyraźnie zadowolony z siebie. – Przyjemnie podyskutować z kimś, kto do nas nie należy. Wspomniała pani o cenzurze w służbie ideologii. Pani jest katoliczką, jeśli się nic mylę?

– Tak – potwierdziła. Liebman napiął się jak sprężyna. Dopiero przed minutą Klarman zwracał się do niej jak do jego żony. Dwulicowa bestia.

– Jako katoliczka powinna pani wiedzieć, że w rękach Kościoła cenzura zawsze stanowiła broń ideologiczną. Kto przybijał pieczętki NIHIL OBSTAT? Na pewno nie komuniści. Czy nie zabroniliście czytania dzieł Marcina Lutera i nie paliliście na stosach dzieł filozofów uznanych za bezbożników? Ale nie katolicy wymyślili cenzurę. Patent na to mają Żydzi. Czyż nie zabronili opublikowania wieści o śmierci króla Saula i jego synów? Zabronili, i to ze względów czysto politycznych. Proszę zajrzeć do Drugiej Księgi Samuela: „W Gat tego nie ogłaszajcie! Nie podawajcie na ulicach Aszkelonu”...¹³ Historia cenzury to moje hobby.

Redaktor Klarman pożegnał się i z ironicznym uśmiechem w kąciu ust znikł w tłumie wypełniającym salę bufetową. Maria ścisnęła Liebmanowi ramię:

– Zauważyłeś, jak świetnie wiedział, kim jestem?

– Sama twierdziłaś kiedyś, że Wrocław to prowincjonalne miasteczko, w którym wszyscy znają wszystkich.

– Mówił do mnie per pani.. Ale raz nazwał mnie towarzyszką.

– Czulaś się urażona?

– Nie należy do przyjemności być towarzyszką obrzydliwego Żyda.

Liebman wzruszył obojętnie ramionami. Dawniej, gdy obrażano Żydów, nazywano ich krwiopijcami, którzy zatruwają studnie i ludzkie życie, czuł się dotknięty, jakby oskarżenia skierowane były bezpośrednio przeciw niemu. Musiał się mieć na baczności, aby rozmówca

nie dostrzegł, że czuje się obrażony. Tym razem, gdy Klarman przylepił Żydom wynalezienie cenzury, w ogóle go to nie obeszło. Poczuł się wyzwolony z piętna swojego pochodzenia.

Jakby na złość wszystkim, po seansie w TPPR zaprosił Marię na kolację do Monopolu. Z trudem znaleźli wolny stół. W sąsiedztwie goszczono jakiegoś Francuza, członka Światowego Komitetu Pokoju, który głośno szczylił się przyjaźnią Picassa, Sartre'a i Salvadora Dali. Kelnerzy krążyli wokół gościa jak rój pracowitych pszczół i spieszyli spełnić każde jego życzenie. Monopol był jedyną w mieście restauracją, w której podawano wytworne dania i trunki, prawdziwą oazą obfitości w szarej pustyni miasta. Był także swego rodzaju strefą neutralną, gdzie siadywali, jedni obok drugich, miejscowi dygnitarze i królowie czarnego rynku. prostytutki polowały tam na zamożnych klientów, a bardziej doświadczeni goście wiedzieli, że wszystkie są donosicielkami w służbie UB. Ale Liebman czuł się podniesiony na duchu, zamówił na przystawkę węgorka, zapili go czystą monopolową, potem do głównego dania zamówił węgierski tokaj, a do kubańskiej kawy po kieliszku likieru. Nazajutrz obudził się z potwornym bólem głowy. Wciąż jeszcze nie przywykł do alkoholu. Maria dała mu jakiś proszek, bóle ustały, ale w biurze wróciły zwielokrotnione. W ustach miał przykry posmak sfermentowanych soków żołądkowych. Rita zapukała do drzwi i bez słowa postawiła przed nim szklankę kwaśnego mleka.

– To wam pomoże – uśmiechnęła się.

– Skąd wytrzasnąłeś kwaśne mleko? – spytał szczerze zdumiony.

– Z szafki pierwszej pomocy – odparła poważnie. Poczekala, aż wypił do dna i dodała: – Musicie być przygotowani na ponowną walkę z butelką. Wieczorem będzie lepsza okazja do wzniesienia toastu.

– Wychodzisz za mąż? – zażartował.

Rita podała mu zapieczętowaną kopertę.

– Ja nie. Ale przy odrobinie dobrej chęci można to nazwać ślubem... Nie otwieracie listu?

– Po co ten pośpiech?

– Bo chciałabym być pierwsza, która wam złoży gratulacje – odparła tajemniczo.

Liebman przedarł brzeg koperty i wydobył urzędowe pismo.

– To z przepicia – powiedział i czytał powtórnie, nie wierząc własnym oczom:

Tow. Rudolf Nowak

Dyrektor naczelny

Zakładów Czerwony Sztandar

Drogi towarzyszu Nowak,

Z zadowoleniem pragniemy Was zawiadomić, że z polecenia Biura Politycznego KC Partii postanowiliśmy mianować Was członkiem Komitetu Wojewódzkiego PZPR we Wrocławiu. Nominacja jest świadectwem wagi, jaką Partia przykładła do Waszego wkładu w sprawne działanie Czerwonego Sztandaru, a równocześnie jest świadectwem zaufania, jakim Was darzy. Jako członek wojewódzkich władz partyjnych będziecie uczestniczyć we wszystkich posiedzeniach KW poświęconych sprawom przemysłu ciężkiego w województwie wrocławskim. Życzymy Wam powodzenia w tej niezwykle ważnej misji.

Pierwszy Sekretarz KW

Podpis był nieczytelny, ale Liebman wiedział, kto tę nominację podpisał. Spokojnie złożył dokument we czworo i wsunął do kieszeni marynarki. Rita obserwowała go bacznie. Twarz Liebmana nie zdradzała podniecenia.

– Z całym szacunkiem – rzekła z uznaniem. – Przy takim opanowaniu powinniście grać w pokera.

– Samo życie jest grą w pokera – zauważył filozoficznie. Potem, uderzony nagłą myślą, zapytał: – Chwileczkę, koperta była zapieczętowana. Skąd znałaś treść listu?

– Dobra sekretarka powinna być dobrze zorientowana – wykręciła się od rzeczowej odpowiedzi. Po chwili dodała: – No dobrze, widzę, że zżera was ciekawość, więc powiem. List leży u mnie od poniedziałku. Gedalia Chajes nie ukrywał przede mną nominacji do KW. Kazał mi ją położyć na waszym biurku zaraz po swoim powrocie z Warszawy... Nie wiedzieliście, że wyjechał? Wróci dopiero jutro, albo pojutrze... Przyznam, że nie mogłam się opanować i dałam wam ten list już dzisiaj. Rano widziałam waszą skrzywioną twarz i postanowiłam umilić wam dzień. Mam nadzieję, że nie rozstrzelają mnie za niesubordynację.

– Takich kobiet jak wy nie stawia się przed plutonem egzekucyjnym – rzucił dwuznacznie. Rita podchwyciła ton:

– Tylko gdzie?

Liebman wiedział, dokąd zaprowadzi ta rozmowa. Ale z jego punktu widzenia flirt z Ritą był jednorazowy, nic miał ochoty zaplatać się w niebezpieczne związki. Machnął ręką, dając do zrozumienia, że nie zamierza kontynuować. Lekko dotykając kieszeni marynarki, zapytał, bardziej samego siebie aniżeli Rity:

– Zobaczymy, jak się teraz sprawy potoczą.

– Nie jestem wróżką – rzekła ostrzegawczo – ale tylko ten, kto wspiał się bardzo wysoko, może upaść bardzo nisko. To nie tania filozofia, to doświadczenie — dodała.

– Dziękuję za przestrozę – burknął.

– Zawsze do usług – rzekła pogodnie i skierowała się do wyjścia.

Liebman doceniał jej bystrość i chyba dlatego wzdrygnął się na myśl, że uwaga Rity rzeczywiście opierała się na doświadczeniu. Rita zatrzymała się w progu i dodała, tym razem z całą powagą:

– Może powiecie, że wtrącam się w nie swoje sprawy, ale wasza wczorajsza eskapada z Marią Kot może mieć niemiłe reperkusje. To była zbędna prowokacja. Nieważne, co wam w oczy powiedzą, za plecami postawią wam kreskę. Zwłaszcza teraz, gdy zostaliście członkiem KW. Zróbcie sobie rachunek opłacalności, im szybciej, tym lepiej, bo może być za późno.

Rita nie czekała na odpowiedź. Wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi. Liebman nie mógł nie przyznać jej racji. To była niepotrzebna i ryzykowna fanfaronada. Gdyby nie nagłe poczucie wyzwolenia po rozmowie z Klarmanem, nigdy by tego nie zrobił. Ale co się stało, to się nie odstanie. Jeśli zajdzie potrzeba, znajdzie odpowiedni wykręt. Liebman doskonale zdawał sobie sprawę ze znaczenia listu nominacyjnego. Papierek z trójkątną pieczętką stanowił paszport na podróż w przyszłość. Bilet pierwszej klasy.

Nowy zaszczyt, tego był pewien, nie spadł, ot tak sobie, z nieba. Kryło się za nim, jak zresztą we wszystkich niemal pociągnięciach, długie ramię Gedalii Chajesa. Nierzadko wyprowadzali go z równowagi lizusi i pochlebcy, którzy odbywali cotygodniowe pielgrzymki do sekretarza Podstawowej Organizacji Partyjnej, nie tylko aby zaczerpnąć „ideowej inspiracji”, ale także by otrzymać wskazówki, oficjalnie będące w gestii dyrektora naczelnego. Gdy Chajes siedział zamknięty w swoim pokoju, a nawet wówczas gdy był w Jelczu albo w Warszawie, wszystko kręciło się wokół jego małego palca, jakby trzymał w garści niewidzialne nici zarządzania. Rita wyjawiała mu kiedyś, że inżynierowie i kierownicy działów, po otrzymaniu jego wyraźnych poleceń dotyczących produkcji, mieli zwyczaj telefonicznego zwracania się do Chajesa z prośbą o zatwierdzenie otrzymanych przed chwilą instrukcji. Zwyczaj te doprowadzały go do białej gorączki, ale Liebman, jak wielu innych, wiedział doskonale, kto tu naprawdę rządzi. Nikt nie miał odwagi kwestionować autorytetu człowieka reprezentującego partię. Liebman był inteligentny, bystry i miał otwarte oczy. Szybko nauczył się godzić z rzeczywistością, w której dyrektor naczelny przedsiębiorstwa był jedynie figurantem, a pozbawione samodzielności przedsiębiorstwo stanowiło tylko człon w centralnie zarządzanej, gigantycznej, biurokratycznej machinie.

Liebman zakonotował sobie w pamięci, aby natychmiast po powrocie Chajesa podziękować mu za niespodziewany awans. Machinalnie spojrzął na telefon stojący na biurku i wędrował wzrokiem wzdłuż czarnego kabla, który zniknął za ścianą gabinetu. Aorta życia, pomyślał kpiąco. Niemal w tej samej chwili odezwał się dzwonek aparatu. Liebman podniósł słuchawkę. Na linii był kierownik zmiany walcowni w Jelczu.

– Towarzysz Nowak? Mamy tu poważną awarię. Wasza obecność wydaje się niezbędna.

– Są ranni lub zabici?

– Tak.

– Przyjadę natychmiast. Wezwaliście pogotowie ratunkowe?

– Nie, towarzyszu dyrektorze. Dostałem zakaz kontaktowania się z kimkolwiek na zewnątrz. Pełno tu funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa. Nie wiem, co robić – dodał zdławionym głosem i rozłączył się.

Nowa walcownia znajdowała się w bezpośredniej bliskości bloków zamieszkiwanych przez więźniów. Jej uruchomienie zaczęło się lewą nogą, mniejsze lub większe awarie stanowiły nagminne zjawisko. Generał Broza dotrzymał przyrzeczenia, Czerwony Sztandar został wyposażony w nowoczesny, zachodni sprzęt. Nikt nie znał kraju jego pochodzenia. Rysunki techniczne opisane były koślawym rosyjskim i nawet najlepsi znawcy języka mieli trudności z rozszyfrowaniem instrukcji montażu. Liebman proponował, aby sprowadzono specjalistę z firmy dostawczej, ale Broza nie chciał tego nawet słuchać. Nie zgodził się także na dostarczenie fachowej literatury w języku kraju, który ten sprzęt wytwarzał. Cała operacja otoczona była tajemnicą. Z maszyn usunięto nawet tabliczki z numerem seryjnym. Co gorsza, bez zezwolenia Konstantego nikt z innych działów nic miał prawa wstępu do zamkniętego rejonu zakładów. Nie było się kogo poradzić. W takich warunkach praca opierała się bardziej na zgadywaniu, niż na fachowej obsłudze.

Liebman usiłował przekonać generała, że w kraju producenta na pewno można znaleźć odpowiednio wykwalifikowanych komunistów, ludzi, którym można zaufać. Lecz Broza obstawał przy swoim: „Przykro mi, towarzyszu Nowak, ale tym razem musicie sobie łamać głowę sami”. Liebman jednak nie miał zamiaru podstawić własnej głowy. Zbyt mocno wrył mu się w pamięć przypadek Aleksandra Krzysiaka. Przezornie skonstruował długi łańcuch zarządzania pasami produkcyjnymi. Za każdy etap odpowiedzialny był inny inżynier. Oficjalnie nazwano to „podziałem kompetencji”. Zadowoleni kierownicy działów byli mu wdzięczni za okazane zaufanie. Wydawało im się, że mają głos w podejmowaniu decyzji. Po zakończeniu jednej z narad technicznych Chajes szepnął mu do ucha: „Widzicie, jak łatwo wodzić ich za nos”.

Liebman rzucił okiem na leżące przed nim papiery. Nie było żadnych tajnych dokumentów, więc zostawił wszystko w nieładzie, zbiegł po schodach na wewnętrzny parking. Kierowca, jak zawsze, grzecznie zasalutował i ruszył w drogę, nie pytając o cel jazdy. Liebman usiadł na przednim siedzeniu i dopiero po chwili spostrzegł, że nie był sam w samochodzie. Z tyłu siedział Konstanty. Czarna limuzyna wyjechała z bramy zakładów i skierowała się w lewo.

– Jedziesz niewłaściwie – zwrócił uwagę kierowcy. – Na Jelcz trzeba było skręcić w prawo.

– Wszystko w porządku – odezwał się Konstanty uspokajająco. – Jedziemy tam, gdzie trzeba. Szef Urzędu chce z wami porozmawiać.

Intermezzo I

MAURYCY

Maurycy był pierwszą osobą w mieście, która wiedziała o aresztowaniu Nowaka. Gdy szepnął o tym kilku wybranym klientom, nikt nie zapytał o źródło sensacyjnej informacji, nikt nie odważył się nawet wyrazić zdziwienia. Fryzjer Maurycy – tylko nieliczni znali także jego nazwisko – zbudował sobie pozycję outsidera z przenikliwym spojrzeniem na sprawy wewnętrzne.

W przeciwieństwie do powszechnie przyjętej wersji, Maurycy nie przyszedł na świat w zubożałej szlacheckiej rodzinie i nigdy nie wycierał ław wyższej uczelni. Urodził się w małym miasteczku, w domu robotniczym, niechciany przez ojca pijaka i matkę, która na pewno spędziłaby płód, gdyby było za co. Maurycy miał trzy starsze siostry pracujące gdzieś w Rzeszowski em. Żadna nie wyróżniała się urodą, żadna nie zdobyła tego, co zwykle się określać mianem pozycji społecznej.

Ojciec Maurycego, Stanisław Grzyb, był doskonałym fryzjerem. Dwadzieścia lat przepracował w zakładzie pana Cukermana w Przemyślu, eleganckim salonie z trzema belgijskimi lustrami i fotelami wyścielonymi prawdziwą skórą. Wszystko to jednak dawno przeszło do rodzinnej historii, bo w dniu, w którym matka Maurycego zwijała się w bólach porodowych, tata był już bezrobotnym, zniszczonym życiem człowiekiem, szukającym ucieczki w zalewaniu robaka. Gdyby nie mama, która zarabiała na utrzymanie nicowaniem kołnierzyków męskich koszul, brakłoby chyba nawet na chleb powszedni.

Wszystko to działo się na początku dwudziestego wieku. Wówczas nie nazywał się jeszcze Maurycy. Ochrzczono go jako Franza, w nadziei, że imię austro-węgierskiego cesarza przyniesie mu szczęście. Nie był zresztą wyjątkiem. W licznych polskich rodzinach, żyjących pod austriackim zaborem, zapożyczano imiona z drzewa genealogicznego rodu Habsburgów. Ale co przed pierwszą wojną światową uważane było za właściwy start, w oczach najstarszej siostry, kelnerki w knajpie na rzeszowskim targu, niewarte było złamanego szeląga. Z takim prowincjonalnym imieniem daleko nie zajdziesz, skonstatowała i przylepiła mu Maurycego.

Podczas wojny stacjonowały w Przemyślu, na przemian, pułk artylerii górskiej i pułk koronnych strzelców. Zakład fryzjerski pana Cukermana pełen był nowych klientów. Starzejący się właściciel przypomniał sobie o istnieniu małego Franza i zatrudnił go jako ucznia, początkowo cło mycia głów i zmiatania lokalu, potem jako czeladnika. Wybór okazał się trafny, bo Franz, czyli Maurycy, odziedziczył ojcowski dryg i nie mając jeszcze piętnastu lat, świetnie władał zarówno brzytwą, jak i nożycami. Całym wynagrodzeniem była gorąca strawa, którą pani Cukerman przynosiła do salonu, oraz napiwki austriackich żołnierzy. Miejscowi nigdy nie zostawiali na talerzyku nawet jednego halerza.

Zarobione pieniądze musiał posyłać ojcu. Pusta kieszeń nie pozwoliła mu na opłacenie czesnego w gimnazjum, aczkolwiek był chłopcem, który garnął się cło nauki. Jak z nieba spadł mu list od siostry, namawiającej, aby rzucił wszystko, zamieszkał z nią w jednym

wynajętym pokoju i „patrzył optymistycznie w przyszłość”. Taki już miała górnolotny styl, mimo że codziennie ocierała biodra o stoliki prostych chłopów i handlarzy bydłem. Ojciec sprzeciwiał się zmianie, bo oznaczała utratę pieniędzy, potrzebnych mu na wódkę, ale mama dała błogosławieństwo na drogę, chwalać córkę, która nic wyparła się rodziny. Starsza siostra opłaciła mu naukę w fryzjerskiej szkole zawodowej. Po roku mógł się poszczycić świadectwem, umożliwiającym członkostwo w cechu miejscowych fryzjerów. Teraz mógł otworzyć własny zakład, ale nawet siostra nie była w stanie sfinansować takiego przedsięwzięcia. Pomogła mu jednak znaleźć właściciela małej fryzjerni w robotniczej dzielnicy miasta, bez belgijskich luster i skórzanych foteli, natomiast gotowego przyjąć go jako współnika. Układ był prosty: z opłaty pobieranej od klienta zasiadającego na jego fotelu właściciel pobierał dwie trzecie, na pokrycie, jak mawiał, wydatków bieżących i firmowej renomy.

Gdy miał dwadzieścia lat, a było to w roku 1926, jeden ze stałych klientów zaprosił go na zebranie w prywatnym mieszkaniu kolegi. Maurycy nie był naiwny, natychmiast zorientował się, że bierze udział w spotkaniu członków wyjętej spod prawa partii komunistycznej. Referat: wygłoszony na zebraniu trafił mu jednak do serca. Stały bywalec fryzjerni powiedział mu przy rozstaniu: „Wyrosłeś w rynsztoku, do którego zepchnął cię kapitalizm; jesteś jednym z nas, twoje miejsce jest w naszym gronie”. Maurycy wiedział, że liczni komuniści gniją w Berezie Kartuskiej, że muszą się ukrywać, że nie mają prywatnego życia, ale wszystko to nie powstrzymało go od wyrażenia zgody. Zabroniono mu wspomnieć komukolwiek o tajnym zebraniu; nie powiedział o nim nawet siostrze. Chociaż nie wiedział jeszcze, że byt kształtuje świadomość, utożsamiał się całkowicie z programem partii. Wystarczyło rozejrzeć się wokoło, aby zobaczyć, jak niesprawiedliwy był podział dóbr społecznych. Mimo że nie przystąpił do KPP, wyraził gotowość niesienia pomocy. Zakład fryzjerski szybko przekształcił się w podziemną „skrzynkę pocztową”, przez którą przechodziła tajna korespondencja oraz ulotki wzywające do rewolucji. Trwało to ponad rok. Zimą dwudziestego siódmego, akurat spadł pierwszy śnieg, przyszli do zakładu tajniacy i zabrali go ze sobą. W śledztwie nie zaprzeczał niczemu. Zaprzeczenia byłyby bezsensowne, bo okazało się, że jeden z podziemnych kurierów był agentem policji. Sąd w Rzeszowie skazał go na trzy lata więzienia.

Maurycy był przystojnym młodzieńcem o szerokich barach, długich jasnych włosach i błękitnych oczach. Nic dziwnego, że stał się obiektem zainteresowania miejscowych dziewczyn. Chodził z nimi do kina i na potańcówki w tanich lokalach, i chociaż wiedział doskonale, co zwykli robić mężczyźni i kobiety od czasów Adama i Ewy, nigdy nie czuł potrzeby dzielenia z nimi łóżka. Wkrótce rozeszła się wieść, że „Maurek jest nieciekawym”, dziewczyny przestały z nim wychodzić.

Celę więzienną dzielił ze studentem medycyny przyłapanym na działalności wywrotowej oraz z dwoma drukarzami, kolportującymi nielegalną prasę. Maurycy zaprzyjaźnił się z przyszłym lekarzem, ale bliższą znajomość zawarł ze znacznie starszym drukarzem, który pewnej nocy wsunął się na jego pryczę i kilkoma ruchami człowieka znajdującego się na rzeczy spowodował to, co nigdy nie udało się młodym kobietom. Maurycy odkrył swoje prawdziwe skłonności seksualne i z niemałym przerażeniem przyjął do wiadomości, że jest homoseksualistą. Drukacz szybko wprowadził go w tajniki współżycia mężczyzny z mężczyzną. Im większą odczuwał przyjemność, tym bardziej pogłębiało się poczucie winy i wstydu. Pewność siebie, która towarzyszyła mu od chwili, gdy zdobył świadectwo szkoły zawodowej, rozwiła się całkowicie.

Współwięźniowie szybko zorientowali się, co w trawie piszczycy. Dokuczliwe żarty zrobiły się nie do zniesienia. Wkrótce wieść o stosunkach młodego fryzjera z podstarzałym drukarzem przeciekły z celi, Maurycy stał się pośmiewiskiem całego piętra. Podczas

codziennych spacerów na więziennym dziedzińcu rzucano mu, prawdziwe lub ironiczne, sprośne propozycje. Godziły w jego dumę jak kamienie brukowe.

Po dziesięciu miesiącach został niespodzianie wezwany do naczelnika więzienia.

– Nie zbrzydło ci życie za kratkami? – spytał.

Maurycy wzruszył ramionami. Cóż mógł odpowiedzieć?

– Możemy pomyśleć o amnestii – napomknął naczelnik więzienia. – Masz przed sobą jeszcze ponad dwa lata. Mogę cię przenieść do dużej celi. Siedzi tam dwudziestu, trzydziestu chłopów, którzy od lat nie zaznali kobiety. Dla młodego, przystojnego homoseksualisty może się to stać prawdziwym piekłem. Jesteś pedałem, prawda?

Maurycy milczał.

– W twoim przypadku milczenie mówi samo za siebie. Zresztą nie trzeba twojego potwierdzenia. Dzięki Bogu, mamy swoich informatorów. Donoszą, bo w kiciu trzeba wiedzieć, z której strony posmarowana jest kromka chleba... Słuchaj dobrze, co ci proponuję, bo w gruncie rzeczy lituję się nad tobą i pragnę jedynie twojego dobra. Za dwa lata i dwa miesiące wyjdiesz stąd z piętnem pedała. Może jeszcze nie wiesz, ale szybko się dowiesz, co to znaczy w naszym porządnym, katolickim społeczeństwie. I jakby nie dosyć tego, wyjdiesz z ogonem wywrotowca. Nikt cię nie przyjmie do pracy, nikt nie zechce być twoim współnikiem, nikt nie zechce się strzyc u komunisty. Nikt nie stanie po twojej stronie, siostra wzgardzi tobą, a partyjniacy odsuną się od ciebie jak od trędowatego. Bez trudności puścimy w obieg informację, że śpiewałeś jak ptaszek. Wszystkie podziemia chorują na podejrzliwość, u komunistów to prawdziwa epidemia. Czy wyrażam się dostatecznie jasno?

– Ttak – wyjąkał Maurycy.

– Tylko my jesteśmy w stanie ci pomóc. Nie będę bawił się z tobą w ciuciubabkę. Jesteś inteligentny i szybko łapiesz. Za współpracę oferujemy ci wolność. Zdziwisz się, ale może akurat twoja śmierdząca dupa utoruje ci drogę do przyzwoitego bytu, bez trosk i bez strachu. Przeczytaj ten papier i podpisz.

Naczelnik więzienia podał mu stronę maszynopisu. Maurycy czytał. Było to zobowiązanie wykonywania wszystkich poleceń policji w warunkach pełnej tajności. Władze bezpieczeństwa wypłacać mu będą miesięczny zasiłek; jego wysokość nie została określona. Nie wyszczególniono także charakteru usług, które ma świadczyć. Jedno tylko było wyraźnie powiedziane: odmowa wykonania poleceń spowoduje natychmiastowe odwołanie amnestii.

– Skończyłeś?

– Skończyłem – odparł Maurycy i oddał naczelnikowi dokument.

– Zapomniałeś podpisać.

– Nie mogę tego podpisać. Nie chcę spędzić życia jako donosiciel. Piętno donosiciela jest chyba gorsze od piętna homoseksualisty lub komunisty. Nie, nic mogę podpisać.

– Głupek – obruszył się naczelnik więzienia. – Komuniści wypłukali ci mózg do cna. Ale nie szkodzi. Jestem cierpliwy. Wiem, że wrócisz do mnie. Wrócisz na czworakach.

Strażnicy odprowadzili Maurycyego do zbiorówki. Był tam nowy i był polityczny, dwa faktory, które od pierwszego dnia zrobiły zeń ofiarę kryminalnych. Maurycy czyścił ich kloaczne wiadra, najsilniejsi w celi okradali go z paczek żywnościowych przysyłanych przez siostrę raz w miesiącu, jak na to zezwalał regulamin, a także, rzecz zrozumiała, służył wszystkim jako materac. Pierwsza próba skargi u dyżurnego strażnika uzmysłowiła mu ostatecznie jego położenie. Strażnik poradził mu „znaleźć wspólny język z kolegami w celi”, więźniowie parsknęli gromkim śmiechem i okładając go pięściami, wybili mu z głowy raz na zawsze ochotę na powtórne składanie skarg.

Z więzienia wyszedł w roku 1929, prosto w marcową chlapę, bez grosza w kieszeni, nie licząc kilku złotych, które mu odebrano wraz z zegarkiem i sznurowadłami w dniu aresztowania i oddano przy zwolnieniu. Miasto wydawało mu się obce, przechodnie uciekający przed deszczem nieprzychylni. Zakład fryzjerski, w którym pracował, był

zamknięty, nikt nie umiał powiedzieć, dokąd przeniósł się właściciel. Starsza siostra opuściła wynajęty pokój i nie pracowała już na targu. Nikt nie potrafił podać jej nowego adresu. Także ostatnia próba nawiązania kontaktu z przeszłością spaliła na panewce. W mieszkaniu, w którym odbywały się zebrania partyjne, ktoś obcy uchylił zamknięte na łańcuch drzwi i natychmiast je znów zatrzasnął.

Pierwszą noc spędził w tanim domu noclegowym, w wielołożkowej sali, w której nareszcie ktoś powitał go uśmiechem: trzech bezrobotnych zalatujących zapachem alkoholu. Nie pytali, skąd przyszedł, nie indagowali, nie wnikali w jego przeszłość. Do późnego wieczoru opowiadali o własnych kłopotach. Od wielu miesięcy nie mogli znaleźć pracy. Gdzieś w dalekiej Ameryce zawałiła się giełda, mówili, a przez kraj przewaliła się fala bezrobocia. Zamykano fabryki, sklepy bankrutowały, rzemieślnicy na próżno szukali klientów. Nawet fachowcy, tłumaczyli mu, nie mogli już wyżywić rodzin. Żarcie mieli tylko chłopci na wsi. „Nie pozostało nic innego, jak kraść, rabować i mordować” – powiedział z całą powagą człowiek z sąsiedniego żelaznego łóżka.

Maurycy obliczył, że starczy mu na dwa tygodnie skromnych noclegów i tanich posiłków. Wykorzystał ten czas, aby obejść wszystkie fryzjernie w mieście, poza tymi na głównych ulicach, gdzie ze względu na mizerny wygląd i wytarty płaszcz i tak nie miał widoków na zatrudnienie. Wieczorami przeczesywał jadalnie i knajpy, w nadziei, że odnajdzie siostrę. Ale starsza siostra przepadła jak kamień w wodę. Od dwóch młodszych nie miał wiadomości od lat. Jakiś czas nosił się z zamiarem powrotu do rodziców, ale duma nie pozwalała mu stawić się przed obliczem matki bez środków do życia i bez nadziei na przyszłość. Gdy wydał ostatnią złotówkę, a kierownik domu noclegowego odmówił łóżka na kredyt, odszukał najbliższy komisariat policji i ze spuszczoną głową opowiedział dyżurnemu o propozycji naczelnika więzienia. Dyżurny wprowadził go do biura podkomisarza. Tak się zaczęło nowe życie fryzjera Maurycego.

W kraju pogrążonym w głębokiej recesji, patrząc z góry na tłum szukający jakiegokolwiek zatrudnienia, zamieszkał w Krakowie, w przytulnej kawalerce, ubierał się przyzwoicie i nie musiał się troszczyć o dzień jutrzejszy. Pracował w jednym z lepszych salonów fryzjerskich w mieście, a oprócz przyzwoitych poborów, listonosz przynosił regularnie, raz w miesiącu, przekaz pieniężny na pięćdziesiąt złotych. Po reformie Grabskiego oznaczało to wcale przyzwoitą sumkę. Jego maniery były bez zarzutu, był miłośnikiem kina i bez wstydu naśladował zachowanie gwiazd ekranu, myślał nawet o zdaniu matury, ale pytania z matematyki i fizyki wydawały mu się przeszkodą nie do pokonania. Z niemąłą dozą ironicznej samokrytyki uznał, że tylko wprawne oko fachowca potrafi odróżnić prawdziwy brylant od dobrze podrobionego świecidełka.

Oficerowie policji byli zadowoleni z kreatury, którą stworzyli. W jego teczce wciąż jeszcze leżało sprawozdanie naczelnika więzienia i nie raz dziwili się, gdzie się podział ten uczciwy aż do głupoty chłopak, z mózgiem wyprawionym przez komunistów. W ciągu krótkiego czasu Maurycy przekształcił się w osobę bez sumienia, która rzetelnie wykonywała otrzymywane rozkazy. Do eleganckiego zakładu w śródmieściu często zaglądali opozycyjni politycy, zarówno endecy, jak i zwolennicy Witosa. Tajniacy pomagali mu nawiązywać znajomości z tymi, którzy mieli homoseksualne skłonności. Niektórzy byli starzy i obrzydliwi, ale służba nie drużba, Maurycy znał swoje obowiązki, znał też konsekwencje grożące za ich wadliwe wykonanie. Jego gładkie, nieowłosione ciało stanowiło dla wielu atrakcją.

Prawdziwą przyjemność znajdował w spotkaniach z młodymi, przystojnymi chłopcami. Czynił to ukradkiem, bo tajniacy zabronili wszelkich nieprzydatnych kontaktów. Obawiali się, że zapłacze się w jakąś miłosną aferą i że jego skłonności staną się publiczną tajemnicą. W takiej sytuacji stałby się dla nich bezużyteczny.

Randki z politykami były fotografowane z ukrycia, a gdy zdjęcia nie przynosiły pożądanego skutku, kazano mu opisywać przebieg schadzek ze wszystkimi intymnymi detalami. Często żądano, aby posuwał się do gróźb wobec kochanków, straszył, że opowie wszystko dziennikarzom brukowej prasy. Szantażowane osobistości wiedziały, iż ujawnienie takich rewelacji oznaczałoby koniec ich politycznej kariery. Czasami udawało mu się zarobić coś niecoś z boku, inkasować spore sumy na własną ręką, nie meldując o tym mocodawcom.

Latem trzydziestego ósmego postanowił zerwać z policją. Jego najnowszy kochanek, Marek, emigrował do Francji. Maurycy złożył podanie o paszport, ale nie docenił sprawności władz bezpieczeństwa. Paszportu nie dostał, natomiast za karą obcięto mu miesięczne apanaże. Groźba odwołania amnestii zawisła nad nim niczym miecz Damoklesa. Jak zbity pies skulił ogon i wrócił do narzuconego mu zajęcia. Prowadzący oficer nigdy mu nie powiedział, w jaki sposób wykorzystywane są jego sprawozdania i co się dzieje z osobami, które wpędzał w policyjną pułapkę.

Wybuch drugiej wojny światowej w niczym nie zmienił jego położenia. Wkrótce po wkroczeniu Niemców do Krakowa odnalazł go hitlerowski funkcjonariusz gestapo i zaprzął do dalszej pracy. Maurycy ze zdumieniem stwierdził, że liczni byli oficerowie polskiej tajnej policji, tacy, którzy bez trudu mogli udowodnić aryjskie pochodzenie, znaleźli się w szeregach pomocniczej, tak zwanej granatowej policji i kontynuowali działalność, jak gdyby nic się nie zmieniło. Być może Maurycy także kontynuowałby spokojnie swoją podwójną egzystencją, gdyby nic przykra wpadka: zakochał się w młodym handlarzu żydowskim złotem i biżuterią, od dawna śledzonym przez schupo¹⁴, i ostrzegł go przed groźącym mu niebezpieczeństwem. Handlarz zdążył umknąć, ale Maurycy znów znalazł się w areszcie śledczym. Część łupów znaleziono podczas rewizji w jego mieszkaniu. Ponad rok przesiedział na Montelupich¹⁵, potem, bez wyroku, wysłano go do Oświęcimia.

Początkowo pracował w zawodzie, goląc głowy Żydów skazanych na komory gazowe. Właśnie tam, w obozowej łaźni, odnowił kontakt z komunistami. Pewnego dnia wezwał go kapo komanda fryzjerów i zapytał:

– Poznajesz mnie?

– Nie – odpowiedział uczciwie. Rzeczywiście nie wiedział, kto zacz.

– Aleja cię poznałem od razu. Czy nie pracowałeś kiedyś w małej fryzjerni, w robotniczej dzielnicy Przemysła?

– Pracowałem – potwierdził Maurycy.

– Pomagałeś nam w ciężkich chwilach. Potem zniknąłeś, jakby cię ziemia pochłonęła. Co się stało?

Maurycy nic odpowiedział.

– Nic masz się czego obawiać. Jestem komunistą. Tak jak ty. Mamy tu komórkę partyjną i pomagamy sobie wzajemnie. Więc co się zdarzyło?

– Zostałem aresztowany. Przesiedziałem trzy lata.

– A potem? Dlaczego nie wróciłeś do nas po zwolnieniu?

Maurycy nie był aż tak naiwny, by powiedzieć prawdę.

– Po odsiedzeniu wyroku nie wypuszczono mnie na wolność. Siedziałem aż do września trzydzieści dziewięć, a potem władze więzienne wydały mnie w ręce Niemców. Przeszedłem niekończące się przesłuchania, połączone z torturami. Przypuszczali, że zmuszą mnie do zeznań obciążających towarzyszy. Ale prawdą jest, iż nie puściłem pary. Nie wiedziałem niczego, więc nawet gdyby mi wyrwali paznokcie, nie mógłbym nikogo wydać. Możesz mi wierzyć, przeszedłem siedem kręgów piekła. W końcu, nie wiadomo dlaczego, przysłali mnie tutaj.

14 Schutzpolizei, jedna z rozlicznych służb bezpieczeństwa Trzeciej Rzeszy.

15 Krakowskie centralne więzienie.

– Nic się nie martw. Skończyły się cierpienia – uspokoił go kapo. – Potrzebni nam są ludzie tacy jak ty, ludzie, którym można zaufać. Porozmawiam z towarzyszami, zobaczymy, co można zrobić.

Komuniści byli dobrze zorganizowani. Stopniowo przeniknęli do wszystkich istotniejszych działów Auschwitz-Birkenau, ich niemieckojęzyczni przedstawiciele wylądowali nawet w Schreibstuby, gdzie zatrudnieni jako pomocnicze siły biurowe mieli wgląd w całokształt działalności obozu. W Schreibstuby sporządzano, między innymi, listy skazanych na zagładę w komorach gazowych lub pod ścianą straceń w bloku numer jedenastie. Komuniści skreślali z tych list nazwiska swoich i wstawiali zamiast nich dane innych, nieznanym sobie więźniów. Minęły zaledwie dwa tygodnie od przypadkowej rozmowy, gdy z polecenia Schreibstuby awansowano Maurycego na starszego baraku, w obozowej hierarchii stanowisko niemal równe kapo. Do jego nieoficjalnych obowiązków należało wysyłanie komunistów do lżejszych prac, a także troska o lepsze ich wyżywienie. Rzecz zrozumiała, odbywało się to kosztem więźniów niezwiązanych z partią komunistyczną. Maurycy nie miał z tego powodu wyrzutów sumienia.

Hitlerowcy starannie dobierali kapo oraz starszych baraków, tak zwanych Blokaltester. Byli to na ogół przestępcy kryminalni, okrutni i bezwzględni, często wręcz sadyści. Za swoją „pracę” wynagradzani byli przywilejami, począwszy od szytych na miarę pasiaków, do bonów uprawniających do spędzenia godziny w obozowym domu publicznym, przymusowo obsługiwanym przez co przystojniejsze więźniarki. Maurycemu bony nie były potrzebne. W oddzielnym deskami kącie często gościł nowo przybyłych, którzy zachowali jeszcze świeżość ciała. Trudno było nazwać to gwałtem. Młodzi przychodzili z własnej woli, bo cierpieli głód, a Maurycy miał chleba pod dostatkiem. Szczególnie upodobał sobie przystojnego praktykanta bankowego, zesłanego do Oświęcimia za pomoc udzielaną partyzantom. Chłopak miał poetycką duszę, pisał wiersze, komponował muzykę. Zdarzało się, że Maurycy leżał na swoim łóżku zaspokojony i przyjemnie zmęczony, a młody kandydat na bankiera szeptał mu w ucho poematy o miłości. Były to chwile cichego szczęścia, perły w morzu moralnego brudu. Ale w ciasnym baraku trudno było zataić tę szczególną przyjaźń, wieść o skłonnościach Maurycego stała się powszechna, więc bez żadnych skrupułów pozbył się niewygodnego kochanka, wysyłając go na roboty w odległej części obozu. Trzecia Rzesza nie tolerowała homoseksualizmu, homoseksualiści byli traktowani na równi z Żydami i Cyganami, a w obozach, oznaczeni zielonym trójkątem, zaliczali się do pariasów więziarskiej społeczności. Gdyby przyłapano Maurycego na gorącym uczynku, nie pomogłyby partyjne koneksje. Przypuszczalnie, skierowany do karnej kompanii, szybko wyzionąłby ducha. A Maurycy niczego nie pragnął bardziej od korzystania z uciech życia.

W styczniu 1945 roku Armia Czerwona wyzwoliła Oświęcim. Większość więźniów została przed tym ewakuowana do innych obozów, niektórzy w bydłowych wagonach, inni pieszo, w niekończących się marszach śmierci. Do Maurycego uśmiechnął się los, został na miejscu aż do końca, zdrowy, dożywiony i, jak pisała kiedyś starsza siostra, „optymistycznie patrzący w przyszłość”. Ale optymizm nic miał pełnego uzasadnienia. Komuniści opanowali kraj, gdy jednak stawił się w krakowskim Komitecie Miejskim, szukając możnego protektora, który za wierną służbę w obozie nagrodzi go ciepłą synekurą, został odprawiony z kwitkiem. Partia nie chciała mieć nic wspólnego z towarzyszami, którzy podczas okupacji pisali ciemne karty jej działalności.

Kraków wyszedł z wojny obronną ręką, niezniszczony i piękny jak zawsze. Maurycy wynajął jednopokojowe mieszkanie przy Zwierzynieckiej i bez trudności znalazł pracę w zawodzie. Wkrótce dowiedział się, że matka nie doczekała jego powrotu, śmierć zaskoczyła ją przy maszynie do szycia. Ojciec-pijak poszedł w jej ślady, rodzeństwa w ogóle nie szukał. Maurycemu wystukał czwarty krzyżyk, gdy rozpoczął nowy, spokojny etap życia. Zarabiał dobrze, nie zajmował się polityką, nic mu nie przeszkadzało korzystać z uciech dnia

powszedniego. Aż do wieczoru, gdy w drodze z pracy do domu ktoś nagle zawołał go po imieniu:

– Ty jesteś Maurycym, jeśli się nie mylę.

Mimo ulicznego mroku bez trudu poznał przechodnia. Nogi ugięły się pod nim ze strachu. Odziany w łachmany stał przed nim oświęcimski poeta i kochanek. Pierwszym odruchem była chęć zaprzeczenia, ale zdrowy rozsądek zwyciężył i Maurycy, starając się panować nad drżeniem głosu, powiedział z udaną radością:

– Cieszę się, że przeżyłeś.

– Jeśli to można nazwać życiem – odparł stary znajomy, wskazując na obdarte łachy.

Maurycy rozejrzał się wokoło. Dzięki Bogu, westchnął w duchu, nie ma ani jednego przechodnia. Co uczyni obdartus? Wyda go milicji? Gazety publikowały wiadomości o procesach byłych kapo i kolaborantów, wyroki były wysokie, czasami nawet kara śmierci. Żaden sędzia nie uwierzy, że działał z polecenia komunistycznej komórki w Oświęcimiu... Ale może wcale nie ma zamiaru go sypać. Może myśli o szantażu.

– I mnie nie najlepiej się powodzi – powiedział na wszelki wypadek. – Przeżyliśmy kilka pięknych miesięcy, pamiętasz? Do teraz brzmią mi w uchu twoje wiersze. Wciąż jeszcze piszesz?... Naprawdę, chętnie bym ci pomógł, ale nie śmierdzą groszem. A ty? Co porabiasz?

– Dotychczas byłem na dnie. Ale od teraz wszystko może się zmienić – odparł sarkastycznie.

– Mogę cię zrozumieć.

– Nie zadowolę się zrozumieniem.

– Gotów jestem podzielić się tym, co mam. Jest tego niewiele, ale...

– To brzmi już trochę lepiej.

– Może wpadniesz do mnie jutro na pogawędkę. Poszukamy jakiegoś wyjścia z sytuacji i... – zaproponował Maurycy.

– Myślisz, że zrobili mnie małym palcem? – przerwał mu młody człowiek. – Teraz jesteś tutaj, jutro szukaj wiatru w polu.

– Więc czego chcesz?

– Dlaczego nie mielibyśmy spędzić wspólnej nocy i pogadać o wspólnej przyszłości?

Maurycy znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Poszli razem do skromnego mieszkania przy Zwierzynieckiej. Ktoś z boku zobaczyłby dwóch dobrych znajomych na wieczornej przechadzce. Mózg Maurycyego pracował jak kocioł pod wysokim ciśnieniem. Za wszelką cenę musi się pozbyć natręta, który gotów wyssać z niego ostatnią kroplę krwi. Gdyby nie strach i brak sposobności, bez wahania roztrzaskałby mu czaszkę. Pomału wdrapali się na czwarte piętro. Maurycy przekręcił klucz w zamku.

– Wejdz – powiedział i zapalił światło.

– Ładnie u ciebie – skonstatował nieproszony gość, po czym, wskazując na szerokie łóżce, nabyte niedawno na targu staroci, dodał dwuznacznie: – Łóżko także wygodne.

Maurycy postawił na stole butelkę koniaku.

– Wypijmy za spotkanie – zaproponował i nie czekając na odpowiedź, nalał dwie pełne szklanki.

– Nigdy nie piliśmy bruderszaftu – zauważył ironicznie przybysz. – Pamiętasz: w Oświęcimiu zawsze mówiłeś do mnie po imieniu, a ja zwracałem się do ciebie per „proszę pana”. Nadszedł czas zmienić ten zwyczaj.

– Z przyjemnością.

Nim weszli do łóżka, wypróżnili całą butelkę. Przed zrzuceniem z siebie łachmanów młody poeta zgasił światło. Kochali się po ciemku, jak wówczas, w obozie. Tyle tylko, że tym razem Maurycy pragnął, aby wszystko skończyło się jak najszybciej. Po godzinie gość, pijany w sztok, spał jak zabity. Maurycy wstał z łóżka, spakował swój skromny dobytek do dwóch walizek i cichcem wymknął się z mieszkania. Nadaremnie szukał taksówki. Z trudem dowlókl

się na Dworzec Główny. Najbliższy pociąg odchodził do Wrocławia. Ziemie Odzyskane to nie najgorszy cel podróży, pomyślał, kupił bilet trzeciej klasy i po kilku godzinach odetchnął z ulgą w stolicy Dolnego Śląska.

Oszczędności wystarczyły na wynajęcie lokalu i urządzenie zakładu fryzjerskiego. Poszło mu dobrze, szybko zyskał renomę mistrza brzytwy, klienci pchali się drzwiami i oknami. Robił grube pieniądze i zyskiwał wciąż nowych znajomych. Tym razem, w co wierzył, na pewno nie powinie mu się noga.

Oficer bezpieczeństwa udawał zajętego czytaniem dokumentów, gdy umundurowany milicjant wprowadził Maurycego do gabinetu. Oficer pomahał uniósł spojrzenie znad blatu biurka zawalonego kartonowymi teczkami i uważnie zlustrował fryzjera.

– A, więc to wy – mruknął, jakby istniała jakaś wątpliwość co do tożsamości przybysza. – Siadajcie, proszę – dodał uprzejmie.

Maurycy zajął miejsce w krześle przeznaczonym dla przesłuchiwanym i wyrzucił z siebie jednym tchem:

– Nie ukradłem złamanego szeląga, nie zajmuję się polityką, nie handluję na czarnym rynku. Za co mnie aresztowano?

– Nie jesteście w areszcie – uśmiechnął się oficer przyjaźnie.

– Nie przyszedłem tu z własnej woli – zauważył rzeczowo Maurycy.

– Nie zachowujcie się bezczelnie – upomniał go oficer.

– Przepraszam, nie miałem zamiaru obrazić. Ale nic rozumiem...

– Zaraz zrozumiecie. – Oficer pogrążył się w czytaniu rozłożonej przed nim teczki. – Wiecie, co tu pisze?

– Nie mam pojęcia.

– To jest życiorys Maurycego Grzyba. Powiem szczerze, barwny życiorys. My tutaj pracujemy jak namiętni zbieracze. Szczegół na szczególe, a na tym szczególe jeszcze jeden szczegół. Przeczytać?

– Nie, dziękuję.

– Jesteście rozsądnym człowiekiem, Maurycy. To naprawdę niezbyt miła lektura. Musicie być niezłym skurwysynem. Jak wam się udało wpuścić w maliny członków komórki partyjnej w Oświęcimiu? Jak to możliwe, że nie wiedzieli o tym, iż przed wojną zdradziliście towarzyszy.

– Nie zdradziłem nikogo.

– Oczywiście, oczywiście. Nie wydaliście nikogo. Tylko dla rozrywki bawiliście się w donosiciela sanacyjnej policji. Tylko dla zabawy opowiadaliście im pikantne dykteryjki.

– Byłem w trudnym położeniu.

– Tacy ludzie jak wy zawsze będą w trudnym położeniu.

Maurycy zaczął się wiercić na krześle. Oficer przyjrzał mu się bacznie, zakłopotanie Maurycego nie uszło jego uwadze. Po chwili wiódł do rzeczy:

– Wiecie doskonale, jak wygląda cela z dwudziestoma rozpalonymi mężczyznami. My także mamy takie uzdrowiska. Może nawet gorsze. Powiem szczerze: patrzę na was i czuję obrzydzenie. Ale co robić, nie żyjemy jeszcze w idealnym społeczeństwie. Dopóki trwa walka klasowa, potrzebne są także takie typy jak wy. Do salonu fryzjerskiego przychodzą również ważne osobistości, zgadza się?

– Tak, proszę pana. Mam dobrą klientelę.

– U fryzjera ludziom rozwiązują się języki. Taka ich natura.

– To prawda.

– Czy powiedziałem już, że pracujemy jak kolekcjonerzy? Powiedziałem. Zbieramy wszystko. Strzępy informacji, plotki, wyznania, wrogie wypowiedzi. Dosłownie wszystko. Zaczynacie kapować?

– Mówią, że jestem inteligentny.
– Inaczej nie zaprosiłbym was na tę rozmowę. Sypiacie także z kobietami?
– Próbowałem. Ale bez skutku.
– Będziecie musieli spróbować raz jeszcze. Radzę wam, abyście tym razem zrobili to z większym powodzeniem. Prawdę mówiąc, będziecie bardziej przydatni jako pedał, ale każda reguła ma swoje wyjątki. Znacie Marię Kot?
– Nie goli się u mnie – spróbował zażartować.
Oficer przeszedł nad tą uwagą do porządku dziennego.
– Ktoś z moich ludzi zapozna was z tą damą. Nie jest ważną personą, ale ma powiązania z miejscowym klerem. Księża są wrogami narodu. Chcielibyśmy poznać ich z bliska. Co mówią, co planują, co robią. Zrobicie co trzeba, a damę wam oficerskie słowo honoru, że ta teczka – ubek wskazał na leżący przed nim segregator – nigdy nie opuści mojej szuflady i nigdy nie zrobimy użytku z tego, co zawiera. Można powiedzieć, że wygraliście los na loterii. Macie szczęście, Maurycy. Prawdziwe szczęście.

Zaloty Maurycego zakończyły się fiaskiem. Maria Kot miała wyostrzone zmysły, szybko zorientowała się, z kim ma do czynienia. Odepchnęła go z brutalnością nie licującą z jej kulturalnym zachowaniem. Nie musiał nawet wystawiać na próbę swoich możliwości jako mężczyzna. Po kilku tygodniach stawiał się przed obliczem oficera ze spuszczoną głową. W wyobraźni widział już celę z dwudziestoma wygłodniałymi więźniami. Oficer z trudem hamował gniew.

– W przyszłości będziecie musieli starać się znacznie skuteczniej – powiedział. – Na razie wracajcie do brzytwy i nożyc i czekajcie na dalsze instrukcje.

Minęło kilka miesięcy, nikt się do niego nie zwracał z nowymi dyrektywami. Ale Maurycy nie miał złudzeń. Wiedział, że go nie zapomniano. Nadejdzie dzień i godzina, gdy będzie musiał służyć nowym mocodawcom. Tymczasem, w napiętym oczekiwaniu na nieuchronny telefon, nabawił się wrzodów żołądka.

Rozdział szósty

MIEJSCE W ŁODZI RATUNKOWEJ

Aleksander Krzysiak pojawił się we Wrocławiu tydzień przed aresztowaniem Nowaka. Nikogo nie zawiadomił o zamierzonym przyjeździe. Wahał się długo, zanim nacisnął dzwonek do mieszkania Gedalii Chajesa. Całą drogę, w pociągu i w taksówce, jak aktor przed premierą powtarzał tekst, którym zaskoczy gospodarza domu. Teraz, tuż pod drzwiami, słowa utknęły mu w gardle. Nagle nie wiedział, jak wytłumaczy sekretarzowi partii Uniwersalu tę późną, wieczorną, niezapowiedzianą wizytę. Nie mógł mu powiedzieć prawdy. Chajes nie przyjąłby jej do wiadomości. Od dnia, kiedy to został zmuszony do rezygnacji ze stanowiska dyrektora naczelnego, przyswoił sobie niektóre zasady postępowania partyjnych działaczy. Informacja, którą posiadał, wprawi Chajesa w zakłopotanie. Zakłopotanie Chajesa szybko przecieknie na wyższe szczeble aparatu, aż do Komitetu Centralnego, a tam, bez wątplenia, równie szybko znajdzie poparcie, bez którego nie działałaby przecież zasada „ręka rękę myje”. Stała obawa, że upadek jednego człowieka pociągnie za sobą upadek następnego, wszystko w myśl prawa domina, tworzyła więzy trudne do rozplątania. W obliczu zagrożenia partyjniacy stawali murem jeden przy drugim. Ale każdy mur zaczyna się kruszyć, gdy komuś uda się podważyć fundamenty. Krzysiak zdawał sobie sprawę, że musi działać ostrożnie i przebiegle, że musi znaleźć najsłabszy kamień w murze. Co do jednego nic miał złudzeń. Wiedział doskonale, iż Gedalia Chajes jest przeciwnikiem trudnym do pokonania. Tylko zaskoczenie może być czynnikiem decydującym. Jeśli nie da mu czasu na porozumienie się z możliwymi przyjaciółmi, jeśli uniemożliwi im utkanie intryg, które utopią sprawę w morzu biurokracji, wówczas – tylko wówczas – zmusi go do podjęcia kroków, jakie przemyślał dokładnie podczas długich, bezsennych nocy.

Gedalia Chajes mieszkał na Krzykach, w domu stojącym wśród innych, zarezerwowanych dla partyjnych towarzyszy. Dla okraszy, aby zamknąć lista plotkarzom i innym wrogom ludu, kilka mieszkań przydzielono artystom, dziennikarzom i przodownikom pracy. Oficjalny komunikat Komitetu Wojewódzkiego głosił, że są one przeznaczone dla budowniczych socjalizmu. Pierwszy sekretarz wprowadził drobną poprawkę: dla prawdziwych budowniczych socjalizmu. Zredagowany tekst nie tylko umożliwiał właściwe dysponowanie lokalami, ale ustalał także, kto jest *prawdziwym* budowniczym socjalizmu. Dla ignorantów był to szczegół bez znaczenia. Zapaśnicy z partyjnego ringu doskonale wiedzieli, o co chodzi.

Aleksander Krzysiak dziwił się początkowo, dlaczego jego następca nie skorzystał z prawa do luksusowego kwaterunku. Później, tak mu się wydawało, pojął prawdziwą przyczynę: Rudolf Nowak wolał żyć poza zasięgiem czujnych spojrzeń partyjnych towarzyszy. Gedalia nie miał takich zahamowań. Jego życiorys był czysty jak łąza. Nazwisko Chajes, a w domyśle partia. Zaliczał się do działaczy przybyłych do Wrocławia natychmiast po wyzwoleniu miasta i do pierwszych zamieszkałych na Krzykach, które ostały się wojennym zniszczeniom. Okolica była patrolowana dniem i nocą, ulice oświetlone, a dyżurni

w dzielnicowym Urzędzie Miejskim nie mieli odwagi zdejmować słuchawki telefonu z widełek, gdy grali w karty. Dla Gedalii Chajesa był to komfort zrozumiały samo przez się. Mieszkał wygodnie, nie miał powodu do obaw przed Wielkim Bratem. Jak dotychczas, sam był Wielkim Bratem. Krzysiak miał nadzieję, że wkrótce ulegnie to gwałtownej zmianie.

Gdy po dłuższym wahaniu położył palec na przycisku dzwonka, usłyszał przytłumiony brzęk dobiegający gdzieś z głębi mieszkania. Dlaczego dzwonek nie dzwoni w przedpokoj, przemknęło mu przez myśl. Wiedział, że u Chajesa nic się nie dzieje przypadkowo. Minęło kilka ciężkich sekund. Nikt się nie odezwał, ale w szczelinie między drzwiami a progiem pojawiła się cienka smuga światła. Ktoś musiał być w domu. Krzysiak nasłuchiwał. Wydawało się, że czas pobiera myto za każdą mijającą chwilę. Nerwy. To tylko nerwy, uspokajał sam siebie. Wciąż odnosił wrażenie, że czyjeś oko przyłgnęło do wizjera, że jest obserwowany. Potem, gdy drzwi otworzyły się nagle, niemal gwałtownie, przebiegł go dreszcz. Nie dreszcz strachu. Była to pełna napięcia, niepozabawiona przyjemności emocja człowieka przystępującego do ataku.

W progu stała Sara, ruda jak ogień żona Gedalii.

– Dobry wieczór – powiedziała bez zdziwienia, jak gdyby przyszedł z dawno zapowiedzianą, przyjacielską wizytą.

Nie wiedział, jak się zachować. Spodziewał się Chajesa, nie jego żony.

– Widzę, że jesteście jak wszyscy inni. Rude kobiety zawsze wprawiają mężczyzn w zakłopotanie – uśmiechnęła się. Jej dobry nastrój pogarszał sytuację. Duch walki ulotnił się w mgnieniu oka.

– Dlaczego stoicie jak słup soli? – zapytała. – Nie chcecie wejść?

– Jeśli nie przeszkadzam.

Do wszystkich diabłów z tymi uprzejmościami. Przecież przysięgł sobie, że od pierwszej chwili wykaże pewność siebie. Niech wiedzą, że nie przyszedł po prośbie. Ale nim zdążył zmienić ton, otworzyła drzwi na oścież.

– Oczywiście, że przeszkadzacie. Mimo to *zachaditje* – zaciągnęła z rosyjska.

Nigdy nie był w tym domu. Przedpokój był obszerny, obity ciemną boazerią. Podłogę wyścielał dywan nieokreślonego koloru. W kącie, z dyskretnego półmroku, wyłaniał się wieszak. Krzysiak powiesił palto. Pewność siebie wróciła jak krew wracająca do zdrtwiałej kończyny. Trochę bolesnych mrówek i zaraz potem poczucie pełnego panowania nad sytuacją.

Nieco teatralnym gestem Sara wskazała drzwi do jadalni i uśmiechnęła się z nieukrywaną ironią:

– Brak w waszych oczach błysku zainteresowania kobietą. Stąd wniosek, że chcecie rozmawiać z Gedalią. Właśnie zasiedliśmy do kolacji. Siadajcie z nami. Zaraz przyniosę jeszcze jedno nakrycie.

Gedalia Chajes siedział przy stole, próbując wydłubać ość, która utknęła mu między zębami. Milcząco wskazał wolne krzesło.

– Ryba po żydowsku – wymamrotał. – To wszystko, co wyniosła z porządnego, rodzicielskiego domu. – Gdy Sara postawiła przed Krzysiakiem ogromną porcję nadziewanego karpia, Gedalii udało się wyłuskać ość i położyć ją na brzegu talerza. – Mało towarzyszek umie mieszać chochlą tak jak Sara. Trzy widelce według Michelina – dodał.

Aleksander Krzysiak nie miał pojęcia, co to takiego Michelin, ale nie przyszedł tutaj, aby zadawać pytania. Jedli w milczeniu. Także Gedalia o nic nie pytał. Jakby w ogóle nie był zciekawiony powodem tej bądź co bądź dziwnej wizyty. Krzysiak nie wiedział, jak i od czego zacząć. Wodził wzrokiem za Sarą krzątającą się wokół stołu. W młodości była chyba powabną kobietą, wciąż jeszcze miała ładną twarz, tylko orli nos wyostrzał jej rysy. Gdzieś w podświadomości przemknęło pytanie, dlaczego nie mają dzieci: z wyboru czy z niemocy? Przez minutę zabawiał się przypuszczeniem, że jedna z najbardziej wpływowych postaci w

mieście nie zdaje egzaminu jako mężczyzna we własnym małżeńskim łóżu. Podejrzenie, iż człowiek, który miał dosyć siły, aby go brutalnie wysadzić z siodła, daleki jest od doskonałości w prywatnym życiu, sprawiło mu ogromną przyjemność.

Sara podsunęła salaterkę pełną świeżych owoców. Dopiero teraz zauważył, jak delikatne ma dłonie, jak długie palce. Pianistka, pomyślał z przekąsem. Nie tylko przepis na faszerowanego karpia wyniosła z domu rodziców. Także wypielęgnowane ręce zdradzały prawdziwe pochodzenie. Utrzymywano, że nie ma lepszego społecznego pochodzenia niż od matki praczki i ojca robotnika, ale w kręgach czerwonej burżuazji wszyscy wiedzieli, iż była córką zamożnego żydowskiego kupca. Gdy miała osiemnaście lat, tuż po świetnie zdanej maturze, Gedalia wprowadził ją w krąg młodych inteligentnych ludzi, na ogół studentów, o których istnieniu w ogóle nie wiedziała. Oczarowani nauką Marksa i Engelsa, na tajnych zebraniach gorąco dyskutowali o rewolucji, co mszy z posad bryłę świata.

Pierwszy raz popadła w tarapaty, gdy policja nakryła miejsce nielegalnych spotkań w prywatnym mieszkaniu jednego z uczestników. Tata sięgnął głęboko do kieszeni, zmobilizował wpływowych znajomych i wyciągnął ją z aresztu. Wybryki niesfornej córki uznał za typowy bunt młodości. Sprawa została umorzona i zapomniana – ale nic na długo. Po trzeciej wpadce ojciec posypał sobie głowę popiołem, jak to czynią Żydzi w żałobie, i uznał Sarę za umarłą. Wkrótce po tym wstąpiła do partii. Wybuch drugiej wojny światowej i wkroczenie Armii Czerwonej do Lwowa uratowały ją od Berezy Kartuskiej.

O szczegółach jej życiorysu opowiedziała Krzysiakowi Rita. Rita wiedziała wszystko, mimo iż nikt nie znał jej źródeł informacji. Sekretariat Uniwersalu był chyba niezastąpioną skarbnicą wiedzy. Każdy, kto był kimś, przewinął się kiedyś przez ten pokój. Teraz, zmagając się z ogryzkiem jabłka, Krzysiak zastanawiał się, czy aby cała ta historia nie została wymyślona. Ludzie często watowali swoje życiorysy szczegółami przydatnymi w karierze. Wojna wykopała przepaść między nimi a ich przeszłością, urzędy i archiwa poszły z dymem, oryginalne dokumenty zamieniły się w popiół, świadkowie zginęli lub wyemigrowali do dalekich krajów. Nie było nic łatwiejszego nad dostosowanie dnia wczorajszego do nowej rzeczywistości.

Badawcze spojrzenie Sary prześlizgnęło się po nim zniechęca. Złakł się, że czyta jego skryte myśli. Ale Sara Chajes chciała tylko wiedzieć, czy ma ochotę na jeszcze jedno jabłko.

– Nie, dziękuję – odparł.

Gedalia odsunął od siebie półmisek z owocami, obtarł usta skrajem obrusa i powiedział spokojnie, niemal półszepem.

– Chłapiemy sobie najpierw po kielichu czy zaczniemy od wolnej amerykanki?

– Nie przyjechałem na wojnę, towarzyszu.

– Aha, przyjechałeś, aby mi złożyć wyrazy szacunku.

– Między czarnym i białym jest jeszcze miejsce na szary.

– Nie u mnie – wycedził Chajes.

Ich spojrzenia skrzyżowały się nad stołem. Nie było w nich otwartej wrogości. Ale nie było także sympatii. Obaj przygotowywali się do nieuniknionej konfrontacji. Gedalia Chajes nie zgadywał jeszcze tematu, Aleksander Krzysiak nie potrafił przewidzieć reakcji przeciwnika. Wydawało mu się, że najlepszą taktyką będzie grać na zwłokę. W zaistniałej sytuacji każda chwila opóźnienia oznaczała zwiększenie napięcia. Dlatego zwrócił się do Sary:

– Zrezygnuję z alkoholu, ale nie odmówiłbym filiżanki kawy. Droga była trochę męcząca.

– Zaraz zaparzę.

Gdy tylko wyszła z pokoju, Gedalia wcisnął plecy w oparcie krzesła i rzucił:

– No, to strzelaj.

– Po co ten pośpiech? – Krzysiak wielokrotnie przećwiczył przebieg rozmowy. Dopiero teraz czuł, że toczy się dokładnie tak, jak ją zaplanował.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że podróżowałaś kilka godzin tylko po to, by skosztować karpia mojej żony.

– Nie miałem pojęcia, co będzie na kolację. I nie wiedziałem, że kuchnia towarzyszki Sary mierzona jest na widelce Miszlina.

– Michelina – poprawił Gedalia. – Francuski producent opon samochodowych, który wydaje także przewodnik turystyczny.

– Zawsze wszystko wiedziałaś lepiej od innych. – Gedalia na próżno szukał w jego głosie ironii.

– Prawie zawsze – poprawił z równą powagą.

– W takim razie będę cię chyba mógł zaskoczyć. – Krzysiak wydobyl z kieszeni marynarki złożoną w czworo starą gazetę. Gedalii nie drgnęła powieka. Krzysiak rozłożył ją na białym obrusie i paznokciem kciuka wygładził załamania. Gedalia sięgnął po wykałaczkę. Nie zakrywając ust, szukał między zębami resztek jedzenia.

– Przywiozłem ci fascynującą lekturę. – Krzysiak przesunął gazetę na drugą stronę stołu. – Leży przed tobą organ nazistowskiej partii z roku tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego. „Völkischer Beobachter”. Na pewno słyszałaś. Piszą tam o niejakim Rudolfie Nowaku, inżynierze w służbie kolejnictwa Trzeciej Rzeszy. Nie wystarczyły mu pobory płacone przez okupanta, więc postanowił dorobić parę groszy z boku. Najpierw pomagał Żydom uciekać z zaplombowanych wagonów wiozących ich do obozów zagłady, potem pozbawiał ich kosztowności, wiesz przecież, że Żydzi zawsze mieli jakiś ukryty brylant na czarną godzinę, a w końcu pozbywał się klientów, wydając ich w ręce gestapo. Wygląda na to, że Niemcom cały ten proceder nie bardzo przypadł do gustu. Pewnie uważali, iż mają wyłączność na ograbianie więźniów. Nasz geniusz finansowy i jego współpracownicy w komendzie Bahnschutz¹⁶ stanęli przed sądem. Gazeta nie podaje, jakie były wyroki. Sądzę, że artykuł został opublikowany, aby zastraszyć ewentualnych naśladowców... Co ty na to, Gedalia?

– Chyba masz rację. Chcieli im napędzić pietra.

– Tylko tyle masz do powiedzenia?

– Mogę dodać, że Rudolf Nowak to bardzo popularne imię i nazwisko.

– Jest także zdjęcie.

Gedalia Chajes pochylał się nad płachtą gazety.

– Facet nie przypomina mi nikogo ze znajomych – skonstatował sucho.

– Druk jest trochę zamazany, a poza tym minęło kilka lat. Ludzie się zmieniają... Cokolwiek byś nie sądził, nie możesz przejść nad tym artykułem do porządku dziennego. Udać, że nic się nie stało.

– Dobrze. Jutro porozmawiam z Nowakiem. Zapytam, czy wie, o co chodzi.

Krzysiak nie miał najmniejszego zamiaru tak łatwo wypuścić go z siodeł.

– Znam Nowaka równic dobrze jak ty. Gdybym chciał się zwrócić bezpośrednio do niego, nie nachodziłbym cię późnym wieczorem.

– A co mam zrobić, twoim zdaniem?

– Sam wiesz najlepiej.

– Próbujesz mnie skłonić do wszczęcia akcji na podstawie jakiejś idiotycznej wiadomości w nazistowskiej gadzinówce? Mam postawić na nogi towarzyszy w KYV, może nawet aparat śledczy, jedynie po to, aby cię zadowolić? Tak sobie, bez żadnego sensownego dowodu rzeczowego? Gdzie ty żyjesz, Krzysiak? W dżungli?

– W pewnym sensie, tak.

– Uważaj, dżungla roi się od drapieżników.

– Przetrwa ten, kto się lepiej czai.

¹⁶ Hitlerowska policja kolejowa.

– To najprawdziwsza prawda. Słuchaj uważnie: twoje zachowanie nie podobało mi się od pierwszej chwili. Także sposób gadania. Myślę, że trafiłeś pod niewłaściwy adres. Myślę też, że źle obliczyłeś stosunek sił. To ja mam ostre kły, takie, które zapewniają bezpieczeństwo wśród drapieżników. Ale jak by nie było, jestem ci wdzięczny za szczerść. Tylko wygląda mi na to, że doświadczenie niczego cię nie nauczyło.

– Nigdy nie lekceważ przeciwnika. Pamiętasz, kto mi to powiedział?

– Oczywiście, że pamiętam. Ja ci to powiedziałem. To było na samym początku, gdy oczyszczaliśmy zakład z niepewnych elementów. Przyłapaliśmy wtedy sabotażystę, który zniszczył listę przedwojennych klientów Uniwersalu.

– Nie przyłapaliśmy. To ja go przyłapałem, Chajes. Dostał dziesięć lat.

– Niech ci będzie. Ale po co mamy się kręcić jak pies za własnym ogonem. Jesteśmy już dorośli, w każdym razie dostatecznie dorośli, by wyłożyć karty na stół. Tyle tylko, że ja nigdy nie gram w pokera. A ty? Ty chcesz utrać człowieka, który przekształcił Uniwersal w jeden z najlepszych zakładów w kraju, który udowodnił, że przewyższa cię zarówno wiedzą, jak i zdolnościami organizacyjnymi. Mogę zrozumieć pobudki lego kroku. Człowiek jest tylko człowiekiem, nawet jeśli ma w kieszeni legitymację partyjną. Ale żeby osoba inteligentna, bo inteligencji na pewno ci nie brak, żeby osoba inteligentna szła na wojnę z pomiętym świstkiem starej gazety? Nie, Aleksander, tego się po tobie nie spodziewałem.

– Pomyliłeś się dwukrotnie, Chajes. Po pierwsze, nabrałem doświadczenia. Sądzę, że właściwie oceniam proporcje sił. Po drugie, oprócz gazety posiadam istotny materiał dowodowy.

– Można go zobaczyć? Chętnie...

– Nie. – Krzysiak uciał stanowczo.

Gedalia Chajes zamilkł. Bębniąc palcami jednej ręki po obrusie, dawał do zrozumienia, że oczekuje na dalszy ciąg. Krzysiak patrzył mu prosto w oczy, czekając cierpliwie, aż Gedalia przestanie, aż schowa rękę pod blatem stołu. Dopiero po tym dodał:

– Chciałeś, żebym położył karty na stole. Proszę bardzo. Oto mój as: potrafię udowodnić, że Rudolf Nowak, dyrektor naczelny Czerwonego Sztandaru, dawniej Uniwersalu, kolaborował z niemieckim okupantem, powodując śmierć tysięcy niewinnych ludzi. Artykuł w gazecie to tylko wierzchołek góry lodowej. Mogłem położyć cały materiał na biurku prokuratora albo zanieść go naczelnikowi Urzędu Bezpieczeństwa...

– Mogłeś. Dlaczego przyszedłeś do mnie?

– Bo pozostał otwarty mały rachunek właśnie z tobą, Chajes. Nadszedł czas, aby go wyrównać.

– Zdawało mi się, że ten rozdział zamknęliśmy przed chwilą. Jeśli masz zamiar mi grozić...

– Grozić? Tobie? – wskoczył mu w zdanie Krzysiak. – Do głowy by mi nie przyszło. Pragnę tylko uświadomić ci sytuację, w której się znalazłeś. Zwracając się do prokuratury i do UB, nie będę mógł zataić, że najpierw rozmawiałem z tobą, że przedstawiłem ci część materiału dowodowego i że nie chciałeś się ustosunkować do sprawy. Być może zawiodła cię partyjna czujność, a może po prostu chciałeś kryć swego protegowanego. Jakakolwiek by nie była przyczyna, nie opędzisz się od smrodu. Takie są prawa dżungli, o której wspominałeś. Jeśli się okaże, że mam rację, znajdziesz się w jednej łodzi z Nowakiem.

– A jeśli wszystko jest tylko wymysłem twojej chorej wyobraźni?

– Na tym polega urok gry. Powiedziałeś, że nie grasz w pokera. Tym razem jednak musisz zaryzykować. Jesteś ze mną przeciw Nowakowi, czy z Nowakiem przeciwko mnie. A może nawet przeciw partii.

Sara wróciła z kuchni. Na tacy niosła porcelanowy dzbanek i trzy filiżanki. Krzysiak zamilkł. Nie ulegało wątpliwości, że słyszała ostatnią część rozmowy. Bez słowa rozlała napój do filiżanek i usiadła przy mężu. Pokój wypełnił się aromatem świeżo parzonej kawy.

– Doskonała – kiwnął głową Krzysiak – aczkolwiek lubię nieco słodsza.

Sara bez słowa wskazała na antyczną cukiernicę.

– Rodowe srebra? – ironizował Krzysiak, ale Chajesowie nie zaszczycili go odpowiedzią. Gedalia nie przeszkadzała obecność Sary. Wiedział, że nie uniknie lawiny pytań, gdy tylko zamkną się drzwi za tym skurwysynem. Na razie jednak musiał rozprawić się z nieproszonym gościem. Raz jeszcze zmierzył go badawczym spojrzeniem. Nie, to nie był ten sam człowiek, który z podkurczonym ogonem pokornie godził się z wyrokiem miejscowych organów partyjnych. Krzysiak przyjechał wyegzekwować dług. Starcie było nieuniknione.

– Więc oczekujesz, że przedstawię prokuratorowi twoje wyssane z palca oskarżenie i zażądam...

– Dokładnie to mam na myśli.

Sara wtrąciła się do rozmowy:

– Gedalia nigdy nie uczyni czegoś, co nie leży w interesie partii.

– Interes partii to bardzo względne pojęcie. Doświadczyłem tego na własnej skórze – zauważył Krzysiak, nie bez goryczy w głosie.

– Żona chciała powiedzieć, że w moich oczach partia stoi ponad wszystkim – pospieszył wyjaśnić Gedalia. Już chciał podnieść palec, aby powstrzymać Sarę od zbędnych wywodów, jednak w duszy przyznał, że uwaga była na miejscu. Krzysiak uważnie studiował wyraz twarzy gospodarza, ale był nie do rozszyfrowania. Twarz niczym biała pusta karta. Chajes rzucił mu lodowate spojrzenie i spokojnie powiedział:

– Nie masz pojęcia o zmianach, które tu zaszły. Wspinamy się po stromym zboczu na trudny do zdobycia szczyt. Powodzenie jest w dużej mierze zależne od dyrektora naczelnego. Towarzysze w KC wiedzą, że nie zmienia się koni w drodze pod górę. Ja zaś osobiście jestem głęboko przekonany, że Rudolf Nowak to człowiek czysty jak łąza i całkowicie oddany sprawie. Cokolwiek byś nie powiedział, nie ma żadnego powodu, aby partia odwróciła się do niego plecami.

– Dawniej, być może, odpowiedziałbym, że polegam na twoim poczuciu sprawiedliwości. Ale w międzyczasie – Krzysiak skrzywił się lekko – zrozumiałem, jak jest ono relatywne. Dlatego wolę powiedzieć, iż polegam na twoim zdrowym rozsądku. Na chęci utrzymania się na powierzchni. Na razie rzeczywiście nie jest sprzeczna z interesem partii, bronionym przez was, ciebie i twoją żonę, tak zawzięcie. Ale pamiętam także, że na zebraniu, na którym domagałeś się usunięcia mnie z Uniwersalu, twierdziłeś, iż w krańcowych przypadkach decyduje dobro ogółu, że jednostka, nawet najbardziej przydatna, nie ma żadnych praw. Tak powiedziałeś i nawet przytoczyłeś dramatyczny przykład.

– Nie było cię na tym zebraniu.

– To prawda. Ale, dzięki Bogu, zostało mi jeszcze kilku przyjaciół w Komitecie Wojewódzkim. Zrobiłeś na nich wielkie wrażenie, przytaczając opowieść o rozbitkach na wzburzonym morzu i przepelnionej szalupie ratunkowej, której groziło zatopienie. Tylko wyrzucenie za burtę jednego z nich mogło ocalić pozostałych. To było takie wzruszające. Tylko kto będzie ofiarą teraz? Jeśli znajdą się w tej łodzi i Nowak, i Chajes, kogo poświęcisz?

– Znowu poker? – rzucił chłodno Gedalia Chajes.

– Nie przepadam za określeniami zapożyczonymi z gier hazardowych.

– Ty pierwszy przywołałeś karty – przypomniał mu Chajes.

– Skoro się upierasz... Dobrze. Z przyjemnością ujrzę strach na twojej twarzy, gdy odkryję wszystkie karty.

– Powtarzasz się, Olaf.

– Tak, ale tym razem zmieniłem nieco wersję. Czy możesz wyobrazić sobie taniec śmierci, który rozpocznie się po otwarciu śledztwa? Znasz naszych kochanych towarzyszy lepiej ode mnie. W walce o miejsce w szalupie ratunkowej nie będą mieli żadnych skrupułów.

Skończą się fałszywe gierki. Nie będzie kolegów i wiernych przyjaciół. Tylko ty i ja wiemy, kto z tej burzy wyjdzie cało.

– Chcesz powiedzieć, że będzie to człowiek, który zainicjuje śledztwo – rzekł Chajes.

– Twoja żydowska inteligencja nigdy cię nie zawodzi – uśmiechnął się Krzysiak. Sara uczyniła ruch, jakby chciała zaprotestować, antysemickie uwagi zawsze wyprowadzały ją z równowagi. Gedalia osadził ją machnięciem ręki. Krzysiak ciągnął swój wywód: – Człowiek, który zainicjuje śledztwo, będzie miał przewagę szybkobiegacza, startującego sekundę przed strzałem sędziego na bieżni.

– O ile go nie przyłapią na oszustwie – mruknęła Sara. Krzysiak udał, że nie słyszy. Łyknął ostatni łyk kawy z filiżanki i spytał:

– Znasz dowcip o dwóch Rosjanach odsiadujących po dziesięć lat? Iwan: za co cię wsadzili? Gregori: za spóźnienie. Iwan: nie bajeruj, za spóźnienie do pracy dostaje się najwyżej rok. Gregori: nie spóźniłem się do pracy, kumple opowiadali polityczne dowcipy, któryś z nich był szybszy ode mnie w biegu do NKWD... Nie śmiejesz się, Chajes?

– Zaplanowałaś wszystko aż do końca, co?

– Zawsze byłem dobry w planowaniu. Dlatego zrobiliście mnie dyrektorem Uniwersalu... Tak, Chajes. Zaplanowałem wszystko aż do końca. Planowałem przez długie miesiące – potwierdził Krzysiak z uśmiechem samozadowolenia. Potem wytarł usta serwetką, wstał i podziękował Sarze z przesadną uprzejmością:

– Dawno nie jadłem tak świetnej kolacji. Nie będę dłużej zakłócał wieczornej sielanki... Jeśli się namyślisz, Chajes, znajdziesz mnie w Monopolu, pokój dwieście trzy. Życzę wam dobrej nocy.

Także Gedalia wstał od stołu. Odprowadzając gościa do drzwi, powiedział na pożegnanie:

– Niech ci się nie zdaje, że wygrałeś. Lepszy start wcale nie oznacza, że dobiegniesz do mety. Mimo to przemyślę sprawę poważnie.

– Nie musisz się spieszyć. Prokuratura jest zamknięta do dziewiątej rano – odparł Krzysiak z nieukrywaniem sarkazmu i wyszedł, nie podając ręki. Gedalia odczekał, aż umilkną kroki na klatce schodowej, wrócił do stołu i nalał sobie jeszcze jedną filiżankę kawy. Sara przysiadła się obok, mówiąc:

– Skończyła się gra w pokera, Gedalia.

– Słyszałaś, że nasz przyjaciel Krzysiak nie lubi takich porównań.

Sara nie spuszczała z niego wzroku.

– Co się tak na mnie gapisz – zdenerwował się.

– Złość nic rozwiązuje niczego, mój drogi. Czy zasada dzielenia się wszystkim przestała nas obowiązywać?

– Nie ma się czym dzielić. Sam nawarzyłem piwa i sam je wypiję.

Gedalia podparł głowę ręką i spokojnie, małymi łykami, pił swoją kawę. Sara, po raz pierwszy w życiu, zastanowiła się, czy naprawdę zna swego męża tak dobrze, jak sądziła. Poznała go w domu wspólnych znajomych. Gedalia nie był najprzystojniejszym z chłopców, ale gdy zaczynał mówić, natychmiast stawał się ozdobą towarzystwa. Rówieśnicy Sary prześcigali się w błyskotliwości powiedzonek. Gedalia był oszczędny w słowach, ale każde wypowiedziane zdanie zawierało głęboki sens. Nie uroda, lecz intelekt były jego atutem. Gedalia różnił się od innych, a jakoś tej odrębności poznała lepiej, gdy zaczął ją zabierać na spotkania młodzieży komunistycznej.

W roku czterdziestym pierwszym, po wkroczeniu Niemców do Lwowa, ucieczka do Związku Radzieckiego uratowała ją przed prześladowaniami nazistów. Sara przyłączyła się do grupy młodych marksistów, którzy w ostatniej niemal chwili wymknęli się z miasta porzuconą ciężarówką i jechali na wschód, dopóki nie zabrakło paliwa. Ku jej wielkiemu rozczarowaniu, władze radzieckie nie przyjęły ich z otwartymi ramionami. W atmosferze powszechnej podejrzliwości przybysze z krajów kapitalistycznych, nawet jeśli byli członkami

partii komunistycznych, traktowani byli jako potencjalne niebezpieczeństwo i zsyłani do gułagów, lub, jak w przypadku Sary, osiedlani w „posiołkach”, daleko za Uralem. Dwa lata pracowała tam przy wyrębie lasów i dopiero gdy Niemcy opanowali niemal całą Rosję europejską, wydobyto ją z zapomnienia. Dzięki znajomości języków obcych stała się przydatna w aparacie propagandy. Przeniesiono ją do Moskwy, skąd nadawała audycje radiowe dla niemieckich żołnierzy. Równocześnie podjęła studia uniwersyteckie. Po wojnie wróciła do kraju z dyplomem magistra nauk politycznych.

Cała jej rodzina zginęła podczas okupacji. Nic nie wiązało jej z poprzednim miejscem zamieszkania. Gdy w lipcu czterdziestego ósmego zaproponowano jej wyjazd do Wrocławia, gdzie przygotowywano właśnie Światowy Kongres Intelktualistów w Obronie Pokoju, zgodziła się natychmiast, zwłaszcza że zapowiedziano przyjazd takich osobistości, jak Graham Greene, Pablo Picasso, Jorge Amado, Bertolt Brecht czy Julian Huxley. Sara została członkiem komitetu organizacyjnego, jedną z osób odpowiedzialnych za wyjaśnianie dostojnym gościom zasad radzieckiej polityki zagranicznej, gdy echa czystek stalinowskich oraz przykry swąd umowy Mołotowa z Ribbentropem¹⁷ wisiły jeszcze w powietrzu.

Impreza była wielkim sukcesem propagandowym, mimo krytycznego wystąpienia brytyjskiego socjalistycznego historyka Taylora. Jego wyraźnie antyradzieckie przemówienie zostało opublikowane w „New York Timesie”, paru działaczy przypłaciło to swoją karierą. Sara, na szczęście, nie była w tę sprawę zamieszana. Z małego pokoiku postawionego do jej dyspozycji na Sępolnie podziwiała misterną pracę organizatorów, którzy przekształcili czołowych intelektualistów Europy w marionetki przedstawienia doskonale wyreżyserowanego przez specjalistów z Moskwy. Za udział w spektaklu została wyróżniona dyplomem „bohatera pracy”.

Nadanie dyplomu stanowiło okazję do wzniesienia lampki wina w zamkniętym kręgu organizatorów zjazdu. Nie oczekiwała takiego zaszczytu, ale prawdziwą niespodzianką stało się ponowne spotkanie z Gedalią Chajesem. Wojna ich rozdzieliła i nie widzieli się od kilku lat, mimo iż w pewnym okresie oboje pracowali w Moskwie. Sara podejrzewała, że spotkanie nie było dziełem przypadku. Towarzysze od dawna podpowiadali, iż powinna znaleźć sobie partnera, zbudować dom i rodzinę. Chociaż nie stroniła od przygodnych flirtów, nigdy nie myślała o usankcjonowaniu ich stałym związkiem. Życie małżeńskie wydawało jej się burżuazyjnym przeżytkiem. Gdy objęli się w tańcu, wyjaśniła Gedalii swój pogląd na te sprawy. Gedalia zaśmiał się, mówiąc, że jest prawdziwą anarehistką. „A ty zgniłym burżujem, udającym marksistę” – odpowiedziała.

Sara pamiętała go doskonale jako działacza na lwowskiej Politechnice. To on otworzył jej bramę do nowego, ideowego świata. Uważany był za wybitnie zdolnego, dobrze zapowiadającego się młodzieńca, ale mimo iż była pod jego wpływem, nigdy nie przeszło jej przez myśl przełożenie intelektualnej bliskości na intymną zażyłość. Minęło kilka lat, błyskotliwy lecz niezbyt urodziwy młody człowiek przekształcił się w łysiejącego mężczyznę z brzuszkiem. Był od niej o dwa obcasy niższy i musiał stanąć na palcach, aby ją pocałować. Zdarzyło się to jakieś dwa tygodnie po przyjęciu na jej cześć. Sara nie cofnęła ust. Oddała pocałunek i parsknęła śmiechem. Gedalia wydawał się obrażony.

– Co w tym śmiesznego? – zapytał.

– Śmieję się sama z siebie – odparła. – Nigdy nie wierzyłam, że wyjdę za mąż, a już na pewno nie za mężczyznę niższego ode mnie.

– Nie przypominam sobie, bym ci to proponował.

– Nie słyszałeś nigdy o równouprawnieniu kobiet? – odparła wesoło.

Miesiąc później zarejestrowali się w Urzędzie Stanu Cywilnego.

¹⁷ 23 sierpnia 1939 ministrowie spraw zagranicznych III Rzeszy i ZSRR podpisali pakt o nieagresji. W tajnym protokole ustalono granice podziału II Rzeczypospolitej.

Teraz Gedalia siedział przy stole nad pustą filiżanką kawy, Sara tuż przy nim. Już wcześniej spostrzegła, że ma spuchnięte powieki i ciemne worki pod oczami, wyraźny znak zmęczenia. Nawet gdy usilnie zaprzeczał, iż ugina się pod nawałem pracy, powieki zawsze zdradzały prawdziwy stan rzeczy.

– Kocham cię – powiedziała. Głos miała miękką, niemal aksamitną.

– Co to ma znaczyć? – obruszył się.

– Dlaczego zawsze szukasz jakiegoś ukrytego znaczenia. Powiedziałam, że cię kocham, to wszystko.

– Nigdy mi nie wyznawałaś miłości. Co się zmieniło?

– Bo nigdy nie potrzebowałaś jej tak bardzo jak dzisiaj. Mówiąc, że cię kocham, pragnę podkreślić, że jestem z tobą, na dobre i na złe.

– Dopóki śmierć nas nie rozłączy – zaśmiał się.

– Nie obracaj wszystkiego w żart. Przed chwilą zastanawiałam się, czy naprawdę wiem, kim jesteś.

– Jaki wniosek?

– Wniosek? Nie traktuj mnie jak Krzysiaka. Mnie nie oszukasz. Jesteś w trudnej sytuacji. Przecież widzę. I proszę, nie odtrącaj mojej pomocy.

Sara ujęła jego rękę w obie dłonie. Drobnym gest przemówił mu do serca. Podobnie jak on, Sara także nie była typem sentymentalnym.

– Nie możesz mi pomóc – powiedział z powagą. – Ale sprawa nie jest błaha, muszę działać szybko.

– Połączyć cię z prokuratorem? Z Czerniakowskim łatwo się dogadać. To patentowany tchórz. Nie odważy się stanąć ci na drodze.

– Wszystko jest bardziej skomplikowane niż sądzisz. Problem polega na tym, że Rudolf Nowak nigdy nie kolaborował z Niemcami i nie sprawi mu żadnej trudności, aby to udowodnić.

– Niczego nie rozumiem. A może jednak się mylisz? Może Krzysiak rzeczywiście trzyma jakiego jokera w rękawie?

– Nonsens. Nowak nie mógł współpracować z nazistami, bo jest Żydem, który siedział w obozach koncentracyjnych. Jego prawdziwe nazwisko: Izaak Liebman. Pamiętam go jak własną matkę. Jeszcze przed wojny, gdy studiował maszynoznawstwo. Zdarzało się, że zamieniliśmy kilka słów. Kiedyś zamierzałem zbliżyć go do nas, ale rozmyśliłem się. Kręcił się wówczas z córką wojskowego, człowieka sanacji. Nic mogłem ryzykować bezpieczeństwa towarzyszy. Gdy przypadkowo natknął się na mnie tutaj, we Wrocławiu, wyparł się wszystkiego. Mogłem przycisnąć go do muru, ale wolałem udawać, że kupuję jego wykrety za dobrą monetę. Wierz mi, miałem powody, aby postąpić tak jak postąpiłem.

– Wiem, że nigdy niczego nie pozostawiasz przypadkowi. Ale jeśli tak to wygląda, nie widzę powodów do niepokoju. Oskarżenia Krzysiaka wyssane są z palca.

– Małe pocieszenie. Aby je obalić, musiałbym wyjawiać towarzyszom całą prawdę. Na pewno zechcą wiedzieć, dlaczego dotychczas milczałem. Niestety, nie mam przekonującej odpowiedzi. Jeśli powiem, co wpłynęło na przemilczenie faktów, spalą mnie na stosie. Przecież znasz zasady. Pełna jawność naszych czynów i myśli stanowią podstawę władzy. Akceptuję te zasady bez zastrzeżeń, bo to jedyna droga, aby utrzymać wewnętrzną siłę partii.

– A jednak je złamałeś.

– Wydawało mi się, że działam właściwie. I nie stawiaj mnie pod pręgierzem. Sam wiem, że popełniłem błąd.

Sara zastanowiła się chwilę, po czym rzekła:

– Partia nic wybacza towarzyszom, którzy ją oszukują. Ale nie spieszy się karać, gdy nie jest jej potrzebna ofiara.

– Nauczyłaś się sporo.

- Czy nie powiedziałaś mi kiedyś, że jestem dobrą uczennicą?
- Tylko dlatego, że nie miałem odwagi powiedzieć, iż jesteś dobrą kochanką – zażartował.
- Ale teraz serio: partia zawsze potrzebuje ofiar.
 - Nie sądziłam, że usłyszę to kiedykolwiek z ust jednego z jej sekretarzy.
 - Rewolucja bez wrogów to parowóz bez pary. Partii potrzebne są starcia, aby mogła utrzymać gotowość bojową. Aby nie stracić czujności. Potrzebny jest jej parowóz, aby mogła pociągnąć za sobą setki wagonów. Uważam takie podejście za słuszne. Więcej: za konieczne. Czasami, gdy brak prawdziwego wroga, trzeba go stworzyć. Pamiętasz powiedzonko Konstantego: dajcie mi paragraf, a ja już dopasuję do niego człowieka?
 - Wstrętna kreatura.
 - Ale przydatna.
 - Hieny także są przydatne naturze. Nie znaczy to jednak, że muszą mi być miłe.
 - Konstanty byłby zadowolony z tego porównania.
 - Także z twoich zeznań – rzuciła wyzywająco.
 - Niedoczekanie. Nie dam mu okazji.
 - Więc co zrobimy?
 - Ty nie zrobisz niczego.
 - A ty?
 - Wiem, co chciałbym zrobić: posłać Krzysiaka na łono Abrahama. Ale na razie pozostanie to tylko słodkim marzeniem. Natomiast bez wahania wyciągnę Czerniakowskiego z łóżka kochanki. Poradzę mu zamrozić wszystko do czasu, gdy sprawa będzie całkowicie jasna. Nie odważy się zlekceważyć mojej rady. Na pewno nie wtedy, gdy odbierze telefon w mieszkaniu tej, jak jej na imię?
 - Lala.
 - Tak. Lali... Szkoda każdej chwili. Gdy będę rozmawiał z prokuratorem, spakuj mi małą walizkę i z drugiego telefonu zamów pilną międzymiastową do Brozy. Ten, dla odmiany, na pewno będzie w domu.

Generał Tomasz Broza nalał sobie kieliszek czystej. Zimny trunek rozgrzał mu przyjemnie krew. Żona z dziećmi wyjechała na wczasy, był sam w mieszkaniu. Pomoc domowa zostawiła mu na kolację kanapki z szynką i boczkiem. Zjadł jedną, lubił wędlinę na świeżej bułce, i zakropił jeszcze jednym kieliszkiem. Przed wyjazdem żona zadbała o zapas szynki na dwa tygodnie. Wczoraj rozmawiał z nią przez telefon. Pobyt w domu wypoczynkowym ministerstwa był przyjemny, zapewniała go. „Dzieci też mają frajdę. Górskie powietrze jest czyste jak twoja wódka” – śmiała się do słuchawki.

Tomasz Broza skończył jeść, okruszki starannie zebrał do papierowej serwetki. Zawsze był człowiekiem lubiącym porządek. Potem rozsiadł się w fotelu i zaczął przeglądać gazety. W ciągu dnia nie miał czasu nawet na „Trybunę Ludu”. Broza umiał czytać także między wierszami, mimo to prasa nudziła go potwornie.

Nadszedł czas potrząsnąć trochę towarzyszami w Wydziale Propagandy, pomyślał. Redaktorzy ślepo trzymali się radzieckich wzorów. Było to najlepsze zabezpieczenie przed krytyką. Broza zaliczał się do działaczy popierających prasę narodową w stylu, socjalistyczną w treści, ale opinię tę wolał zachować dla siebie. W KC nazywano to Gomułkowskim odchyleniem. Broza miał dosyć własnych kłopotów, nie zamierzał wdawać się w ideowe dyskusje. Zwłaszcza że towarzysz Tomasz¹⁸ miał dobrą pamięć, nigdy nie wiadomo, co i kiedy wyciągnie z kurzem pokrytych teczek.

Rzecz zrozumiała, nawet gdyby dokonano w gazetach jakiejś operacji plastycznej, najbardziej sensacyjna wiadomość tygodnia i tak nie ukazałaby się w druku. Kiedyś, w dalekiej przyszłości, gdy wszyscy wrogowie socjalizmu zostaną ostatecznie pokonani, także

¹⁸ Pseudonim partyjny Bolesława Bieruta.

Polska Ludowa będzie mogła pozwolić sobie na wolną prasę. Na razie afera, która spadła na Ministerstwo Obrony jak grom z jasnego nieba, musiała podlegać ścisłej cenzurze. Nawet w kierownictwie partii i w dowództwie sił zbrojnych tylko nielicznych dopuszczono do tajemnicy. Śledztwo zataczało kręgi, jak po kamieniu wrzuconym w wodę. Generał, mimo że sprawa nie dotyczyła go osobiście, zastanawiał się, kiedy wzburzona fala dotrze do progu jego wydziału i zawiruje niebezpiecznie. Jeśli tak się stanie, potrzeba będzie wielu kół ratunkowych, aczkolwiek wiedział doskonale, iż na powierzchni utrzymają się tylko ci, którzy popłyną z prądem. Wiedział również, że nie braknie towarzyszy, którzy spróbują wciągnąć go na głęboką wodę w nadziei, iż bliskość byłego dąbrowszczaka podziała jak tarcza ochronna. Wciąż jeszcze mówiono o „hiszpańskiej mafii” i przypisywano jej nieograniczone niemal wpływy. Ale łaska partyjna jeździła na pstrym koniu i ciągle przesuwała się z jednej grupy do drugiej. Broza nie miał złudzeń: jeśli powinie mu się noga, nawet ci, którzy walczyli u jego boku w latach trzydziestych, nie podadzą mu pomocnej dłoni. Instynkt samozachowawczy silniejszy był od braterstwa broni.

Początek afery datował się na jakieś dwa lata wstecz, gdy MON, na polecenie radzieckich doradców, postanowiło zbudować wielką bazę lotniczą na południu kraju. Akcja otrzymała kryptonim „kamień na kamieniu”. Oficjalnie podano, że dla zwiększenia dobrobytu okolicznej ludności uruchamia się kamieniołomy i tworzy podstawy dla produkcji materiałów budowlanych. Biuro Polityczne przekazało kierownictwo projektu osobie cywilnej. Nominacja była wielkim zaskoczeniem i wzbudziła niezadowolenie w kręgach wojskowych. Nowy szef nazywał się Józef Benisz, ale był to tylko partyjny pseudonim z okresu podziemia. Prawdziwego nazwiska nikt prawie nie znał. Benisz był absolwentem Akademii imienia Frunzego. Gdy Tomasz Broza dowiedział się o tym rok po rozpoczęciu prac, pomyślał: nareszcie właściwy człowiek na właściwym miejscu. Nigdy w życiu nie pomylił się tak bardzo.

Generała Brozę wprowadzono w tajemnicę projektu, gdy wyłoniła się potrzeba uzyskania sprzętu do pomiarów górskich tuneli. W kraju nie można go było nabyć, zaś wydział Brozy miał swoje źródła informacji za granicą. W tej dziedzinie owocna była współpraca z generałem brygady Wacławem Komarem, byłym dowódcą bałkańskiej Brygady Międzynarodowej, członkiem zarządu Związku Dąbrowszczaków. Obaj utrzymywali łączność z członkami Brygad Międzynarodowych, Francuzami, Niemcami i Anglikami, którzy po zwycięstwie generała Franco wrócili do swoich krajów. Niektórzy doczekali się wyższych stanowisk w biurokracji państwowej, na uczelniach i w przemyśle, ale nie zmienili lewicowego światopoglądu i nigdy nie odmawiali pomocy, gdy chodziło o „wspólną sprawę”. Wywiad wojskowy i cywilne organa bezpieczeństwa patrzyły na te związki krzywym okiem, szeptem mówiono o „siatce Tomasza Brozy”, ale były bezsilne, bo „siatka” sprawdziła się wielokrotnie. Austriacy, Szwajcarzy i Niemcy mieli spore doświadczenie we wznoszeniu baz wojskowych w trudno dostępnych, górskich terenach. Józef Benisz chciał mieć wgląd w ich dokumentację.

Żywa dusza nie miała wstępu na teren budowy. Baraki administracji postawiono kilka kilometrów dalej, w okolicach Nowego Targu. Benisz zatrudnił tam ponad dwieście osób, wojskowych i cywilów, zajmujących się księgowością, odbiorem i wydawaniem sprzętu, logistyką transportu oraz innymi pracami urzędniczymi. Wszyscy musieli podpisać zobowiązanie zachowania tajemnicy służbowej, zabroniono im rozmawiać z kimkolwiek o charakterze projektu. Wokół miasteczka baraków rozciągnięto druty kolczaste, a z wież wartowniczych pilnowano go dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Budowa zależna była od importu drogiego, zachodniego sprzętu. Jak zwykle w takich przypadkach, uruchomiono fikcyjne firmy, zarejestrowane w rajach podatkowych i w krajach nieprzestrzegających nakazów embarga. Zaufani kurierzy krążyli sprytnie w labiryncie

międzynarodowej biurokracji. Faktury, listy przewozowe i rachunki przechodziły z rąk do rąk, zacierając ślad między dostawcami a odbiorcą. Nawet gdyby ktoś nazbyt ciekawski próbował wetknąć nos w nie swoje sprawy, utknąłby na jednej z licznych „stacji przesiadkowych”. Józef Benisz wyjeżdżał kilkakrotnie do Szwajcarii i Luksemburga, aby osobiście dopilnować sprawnego przekazywania należności. Biuro Polityczne i Sztab Generalny otrzymywały sprawozdania, świadczące o terminowym wykonywaniu poszczególnych faz projektu.

Tylko Benisz i kilku najbardziej zaufanych współpracowników mieli prawo swobodnego poruszania się między barakami administracji a faktycznym terenem budowy. Tak było do czasu, gdy wyżsi oficerowie sztabowi oraz doradcy radzieccy postanowili dokonać osobistej inspekcji na miejscu. Kawalkada samochodów ruszyła na południe świeżo asfaltowaną szosą. Po kilku kilometrach droga urywała się raptownie. Eter wypełnił się głosami przekazywanymi przez aparaty łączności, adiutanci wsadzili nosy w rozłożone na kolanach mapy, ale nikt nie wiedział, jak jechać dalej. Benisz nie odpowiadał na telefony. Pilot wezwanego na pomoc śmigłowca meldował, że nie widzi żadnych śladów budowy. Towarzyszący gościom pułkownik wywiadu otrzymał rozkaz powrotu do obozu administracji i wyłamania zamków kasy pancernej. Po godzinie wrócił z planami dróg dojazdowych i przejść podziemnych, ale okazało się, że istnieją tylko na papierze. Szybko zrodziło się straszne podejrzenie: wszyscy padli ofiarą genialnie przemyślanego oszustwa.

Pod wieczór podejrzenie przekształciło się w pewność. Poza kilkoma próbnymi wierceniami nie dokonano w górach żadnych poważnych prac. W terenie stało kilka buldożerów i skrzynie z bezwartościowymi maszynami. Dowódcy baterii przeciwlotniczych, rozlokowanych wokół rzekomego lotniska, nie mieli pojęcia, czego należało bronić. Szyfry, w które ich wyposażono, były bezużyteczne. Od czasu do czasu dowódcy artylerii przeciwlotniczej otrzymywali rozkazy relokacji i wykonywali je precyzyjnie, jak przystało na zdyscyplinowanych żołnierzy. Nigdy nie zadawali zbędnych pytań. Dwustu ludzi zatrudnionych w miasteczku administracji zajmowało się obszerną korespondencją, nie mając pojęcia, do kogo jest kierowana, prowadziło księgi magazynów, nie widząc na oczy towaru, i wypisywało zamówienia na pieniądze, adresowane do ministrów obrony i skarbu. Gdy znaleźli się w więzieniu, nie mogli pojąć, czym zawinili. Nie wiedzieli, że był to areszt prewencyjny, zapobiegający rozpowszechnianiu się wieści o zawstydzającej wpadce.

Przez ponad miesiąc specjalny zespół kontrolny ślęczał nad przebadaniem wszystkich aspektów afery, ale z oceanu skomplikowanych transakcji wyłonił się zaledwie wierzchołek lodowca. Materiały strategiczne, nabyte na Zachodzie za ciężkie pieniądze, nigdy nie dotarły na Podkarpacie. Przypuszczalnie zostały sprzedane do krajów Ameryki Południowej. Wąska ekipa zdeprawowanych ekonomistów wystawiła na pośmiewisko szczyt rządowej i partyjnej piramidy. W korytarzach gmachu KC szeptano o największej defraudacji dwudziestego wieku. Okazało się, że zarówno Benisz, jak i większość jego współpracowników, byli obywatelami żydowskiego pochodzenia. Radzieccy doradcy zainicjowali nagonkę na syjonistów. Ich zdaniem, Benisz nigdy nie byłby w stanie przeprowadzić tak skomplikowanej operacji bez czynnej pomocy działaczy syjonistycznych za granicą oraz zakamuflowanych syjonistów w kraju. Po raz pierwszy padło słowo „czystka”. Wybrani funkcjonariusze Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego zaczęli przeglądać teczki dygnitarzy, którzy hołdując zasadom proletariackiego internacjonalizmu, zarażeni byli bakcyłem judaizmu. Ironią losu był fakt, że polecenia w tej sprawie wychodziły z biura dyrektora X Departamentu MBP, pułkownika Fejgina, Żyda.

Gdy Tomasz Broza dowiedział się, iż ofiarami czystki padną komuniści żydowscy, odetchnął z ulgą. Zaprzyjaźniony oficer UB wyjawiał mu, że od czasu likwidacji żydowskich artystów i pisarzy przez Stalina, w roku czterdziestym ósmym, nie pamięta nagonki prowadzonej z taką intensywnością. Wszystko to odwracało uwagę od „hiszpańskiej mafii” i

stawiało Brozę poza kręgiem ludzi na celowniku. Tenże oficer radził mu „zdystansować się od Żydów jak od zarazy, przynajmniej do czasu, aż sprawy przycichną”. Dotyczyło to także Szmuela Rotha.

Roth i Broza przeszli w Hiszpanii kawał wspólnej drogi. Broza był wówczas oficerem łącznikowym w Barcelonie, Roth oficerem politycznym w pułku Libertado de Katalunia. Była to zasłużona w bojach jednostka, Roth cieszył się ogromną popularnością. Nigdy nie zasłaniał się rangą stanowiska, w razie potrzeby sięgał po karabin i walczył na równi z prostymi żołnierzami. Wielu bojowników zawdzięczało życie jego osobistej dzielności. Po klęsce republikanów internowano go we Francji. Po kapitulacji tego kraju przed Hitlerem przyłączył się do partyzanckiego ruchu oporu Maquis, wysadzał w powietrze pociągi wiozące przez Francję broń i amunicję. W czterdziestym piątym wrócił do kraju i natychmiast został dyrektorem departamentu w jednym z ministerstw. Obecnie nadal na swoim stanowisku, pracował jak zawsze, nieświadomy afery Benisza i prowadzonego śledztwa. Nie uszło jednak jego uwagi, że wieloletni przyjaciele „nie mieli czasu” na prywatne spotkania, a także w ministerstwie, gdy tylko było to możliwe, unikali wszelkich kontaktów. Na nic nie zdała się interwencja Brozy, próbującego walczyć z nieoficjalnym bojkotem kolegi. Jego propozycja, aby któryś z „Hiszpanów” spotkał się z Rothem w cztery oczy i wyjaśni! sytuację, spaliła na panewce. Roth był „naznaczony”, nikt nie chciał ryzykować kariery. W końcu także Broza nabrał wody w usta.

O jedenastej wieczorem Tomasz Broza nalał sobie czwarty kieliszek. W gruncie rzeczy rad był, że rodzina wyjechała na wczasy. Miałby problem z ukryciem zakłopotania przed żoną. Nic był zadowolony z własnej postawy. Ciężka mu świadomość, że nie stanął u boku Szmuela Rotha. Generał był człowiekiem racjonalnym, ale racjonalizm nie usprawiedliwiał odstąpienia od uświęconej zasady koleżeństwa. Co się stało, że w tak brzydki sposób zostawił Rotha bez moralnego wsparcia? Broza napełnił piąty kieliszek i wypił go jednym haustem. Nie wiadomo dlaczego, przypomniał sobie jedną z licznych przypowieści Gedalii Chajesa. Chajes znalazł ją w Talmudzie, czy jakiejś innej księdze żydowskich mądrości: dwóch przyjaciół szło przez pustynię, mając tylko jedną manierkę wody. Jeśli podzielą się nią sprawiedliwie, obaj zginą w bezkresnych piaskach. Jeśli jeden wypije całą wodę, słabszy umrze z wycieńczenia, ale silniejszy uratuje się, docierając do najbliższej oazy. Żydowscy mędracy twierdzili, że lepszy jeden człowiek żywy od dwóch martwych. Po wysłuchaniu Gedalii powiedział: „Nikt nigdy nie zarzucił mi antysemityzmu, ale oto kwintesencja żydowskiej moralności”. Teraz zmienił zdanie. W opowiadaniu Chajesa kryła się żelazna logika przetrwania.

Gdyby wierzył w telepatię, niewątpliwie znalazłby jej potwierdzenie w chwili, gdy zadzwonił telefon. Na linii był sekretarz organizacji partyjnej w Czerwonym Sztandarze.

– Cierpisz na bezsenność? – zapytał Broza z odrobiną humoru.

– Gdy powiem ci, w czym sprawa, także nie będziesz mógł zasnąć – odpowiedział Chajes. Czułe ucho Brozy wychwyciło niepokój w głosie rozmówcy.

– Znowu nawaliło coś we Wrocławiu albo w Jelczu?

– Nie. Tym razem sprawa ma charakter osobisty.

– No to walcie, Chajes.

– Temat jest na rozmowę w cztery oczy, towarzyszu generale.

Była to dziwna uwaga. Obaj zdawali sobie sprawę, że połączenie może być na podsłuchu. Jeśli Chajes mimo to prosił o spotkanie bez świadków, na pewno był mocno przyciśnięty do muru. Bardziej dla trzeciego ucha niż dla Chajesa, Tomasz Broza odpowiedział głośno i wyraźnie:

– Nie mam żadnych tajemnic przed towarzyszami w KC. Ale jeśli chcecie się przedtem naradzić także ze mną, nie odmówię. Kiedy będziecie w Warszawie?

– Złapię pospieszny o drugiej po północy. Przyjadę koło dziewiątej.

– Wyślę kierowcę, odbierze was z dworca – powiedział Broza i odłożył słuchawkę na widełki telefonu.

Gdy Gedalia Chajes wysiadł z pociągu, czarna limuzyna MON-u czekała przed samym wejściem na dworzec. Kierowca zasalutował, wskazał tylne siedzenie, mówiąc: „Generał zaprasza was na śniadanie do «Białej Róży» w Konstancinie”. Chajes nigdy się tam nie stołował, ale wiedział, że jest to jedna z nielicznych restauracji, które wciąż jeszcze pozostawały w prywatnym posiadaniu. Kuchnia „Białej Róży” cieszyła się reputacją najlepszej w stolicy, lecz Gedalia pojął natychmiast, iż nie kulinarne zdolności szefa powodowały wyborem generała. Broza chciał rozmawiać poza czterema ścianami biura. Gdy kierowca wprowadził go do bocznej, małej sali jadalnej, Broza siedział już przy nakrytym stoliku. Na widok Chajesa wstał i serdecznie uściśnął mu dłoń. Po chwili pojawił się kelner z jadłospisem. Tomasz Broza odłożył kartę potraw na bok.

– Przynieś nam pół litra, trochę kiszonych ogórków i śledzie, z tych tłustych matiasów, sam już wiesz, o jakie chodzi.

Kelner skinął głową ze zrozumieniem i wyszedł. Dopiero teraz Broza zwrócił się do Gedalii i usprawiedliwił:

– Zapomniałem, że jesteście po długiej podróży, na pewno nie jedliście śniadania. Mają tu doskonały boczek.

– Dziękuję. Nie mam apetytu – odparł Gedalia. – Na wódkę także nie mam ochoty.

– Nie śpicie, nie jecie, nie pijecie. Postanowiliście zostać mnichem?

– Znacznie gorzej, towarzyszu generale – odparł Chajes i zrelacjonował treść spotkania z Krzysiakiem. Zaraz po tym opowiedział wszystko, co wiedział o Nowaku. Jeśli pragnął poparcia generała, nie wolno mu było niczego zataić. Chajes mówił, Broza słuchał uważnie. Od czasu do czasu maczał usta w kieliszku, nabijał dzwonek śledzia na wykałaczkę i łykał je z wyraźnym zadowoleniem. Dobry śledź zawsze poprawiał mu humor.

– Nie można temu Krzysiakowi wyrwać języka z gęby?

– Nic – odparł Chajes. Aby nie pozostawić żadnych wątpliwości, dodał: – Podejrzewam, że dokładnie w tej chwili Krzysiak siedzi w Prokuraturze Wojewódzkiej i sprzedaje swój towar Czerniakowskiemu.

– W takim razie trzeba zamknąć usta prokuratorowi. Przynajmniej do czasu, aż znajdziemy właściwą odpowiedź.

– Myślałem o tym. – Teraz także Chajes napełnił swój kieliszek. – Przed wyjazdem rozmawiałem z nim z publicznej rozmównicy na dworcu. Znać go osobiście?

– Nie miałem przyjemności.

– Członek partii. Mocno zakorzeniony w rejonie. Przysłużył się licznym towarzyszom, więc liczni towarzysze mają wobec niego dług wdzięczności. Syn i córka w gimnazjum. Żona nie pracuje. Nieszkodliwa krowa.

– Jednym słowem, przykładna rodzina.

– Tak, rodzina na pokaz. Ale Czerniakowski ma także metresę. Świetna dupa. Nie myślcie, że nikt o tym nie wie. Znam kilku młodych prokuratorów, którzy go kryją, gdy spędza noc u kochanki. Gotowi są przysiąc szanownej pani małżonce, iż szef pracował do białego rana.

– Zostawmy kochankę. Nie lubię się paprać w łózkowych sprawach. Coście mu powiedzieli?

– Wyjaśniłem mu zasadę naczyń połączonych. Albo milczymy we dwóch, albo obaj zaczynamy śpiewać.

– Nie przestraszył się, co? Gdyby było inaczej, nic siedzielibyście tutaj ze mną. Mam rację?

– Nie przestraszył się, ale też nie rznął wielkiego bohatera. Z całą pewnością zastanowi się nad moim ostrzeżeniem.

– Chcecie przez to powiedzieć, że ma nie tylko kutasa, ale także rozum.

– Bardzo trafne określenie, towarzyszu generale.

Gedalia Chajes wznosił kieliszek.

– Wypijemy za powodzenie?

– Wypić zawsze można – zgodził się Broza. Chajes nie sprecyzował jeszcze swojej prośby, ale Broza wyczuwał, że zbliża się decydujący moment. Wiedział także, iż bez względu na rodzaj prośby, odmowa będzie nieunikniona. Chajes nie wybrał najlepszego czasu na wplątanie go w aferę z kimś, kogo jutro lub pojutrze mogą oskarżyć o syjonizm. Nawet przy wódce nie wolno tracić samozachowawczego instynktu. Kelner w kącie salki obserwował rozmawiających, gotowy na każde wezwanie. W duchu był przekonany, że goście ubijają jakiś ciemny interes. Spotkania tego rodzaju były tu na porządku dziennym i zawsze kończyły się trącaniem kieliszkami.

Chajes opróżnił kieliszek małymi łykami. Broza chciał mu zwrócić uwagę, że nie tak się pije dobrze zamrożoną czystą, ale zamiast tego wybuchnął:

– Odpowiedzcie mi, proszę, na jedno pytanie: po co, do cholery, ściągnęliście sobie na głowę taką kupę śmieci? Dlaczego pozwoliliście waszemu Żydowi ukrywać się pod fałszywym nazwiskiem? Po jakiego diabła pchaliście go na stanowisko dyrektora naczelnego, wciągając w błoto i mnie, i ministra przemysłu ciężkiego? Komu potrzebna ta maskarada? Czym inżynier Rudolf Nowak lepszy jest od inżyniera Liebmana? Jak Boga kocham, nie mogę tego zrozumieć!

– To już niejedno, to pięć pytań.

– Wiem, że jesteście dobrzy w rachunkach.

– Nie ma powodu do nerwów, towarzyszu generale. Nie miałem zamiaru wciągać ani siebie, ani was, ani ministra w brudne afery. Wszystko potrafię wytłumaczyć.

– No to jazda.

– Bez trudu mogłem go obedrzeć ze skradzionej tożsamości i posłać do wszystkich diabłów. Wiedziałem jednak, że to niezwykle utalentowany inżynier, człowiek potrzebny nam jak lekarstwo. Wiedziałem także, iż można będzie na nim polegać, że nie zawali. W Warszawie nie znacie tego problemu, macie tu fachowców, ilu tylko chcecie. Specjaliści mają to do siebie, że uciekają z prowincji. W Uniwersalu byliśmy na skraju rozpacz. Potrzebowaliśmy kogoś, kto postawi zakład na nogi, nie naruszając równowagi sił w rejonie. Wiecie, jak to bywa, gdy brak tej równowagi. Każdy walczy z każdym.

– Mówcie dalej.

– Aleksander Krzysiak miał potrzebne wykształcenie techniczne. Przyhołubiliśmy go, daliśmy możliwości działania i kompetencje. Przyjechał do Wrocławia wyposażony we wspianą opinię partyjną, tak wspianą, że szybko doszedł do wniosku, iż jest lepszy od nas wszystkich, łącznie z sekretarzem KW. Od pierwszej chwili prawił nam kazania o socjalistycznej moralności. Kaznodzieja, kurwa jego mać. Nie akceptował układu sił w województwie, nie liczył się z istniejącymi powiązaniem, patrzył na nas z góry. Nie akceptował autorytetu partii, tak jak go wyrażali towarzysze. Patrzył nam na ręce, jakby chciał sprawdzić, czy naprawdę są czyste. Mówiąc krótko, stał się osobą, z którą nikt z nas nie mógł znaleźć wspólnego języka. Wszyscy chcieli się pozbyć moralizatora i natręta, bezustannie krytykującego styl życia zasłużonych towarzyszy, ale nikt nie wiedział, jak to zrobić. Aż nawinął się Liebman. Idealny kandydat. Wiedziałem, że będzie człowiekiem, którego możemy wykorzystać w myśl naszych prawdziwych potrzeb; że nic będzie kwestionował decyzji partyjnych, nie będzie wysuwał własnego zdania, nie będzie się wywyższać. Gdybym go zmusił do przyjęcia prawdziwej tożsamości, straciłbym istotny efekt psychologiczny. Człowiek żyjący w strachu, że w każdej chwili może zostać zdemaskowany,

zawsze będzie posłusznym wykonawcą poleceń. Nic stanie sztorcem, bo nie może sobie pozwolić na żadne ryzyko. Jednym słowem, posłuszny instrument na usługach partii.

– A teraz Krzysiak pomieszał wam karty, co?

– Nie wspominajcie kart, proszę.

– Dlaczego? Przegraliście majątek w pokera?

– W pewnym sensie. – Chajes spojrział prosto w oczy generała. – Obecnie niemal wszystko zależy od waszej pomocy. Wam potrzebna jest wydajność zakładów, Nowak może ją zapewnić. Przy odpowiednim nacisku można sprawę pogrzebać, nim przesiąkniemy jej smrodem.

– Nie posiadam czarodziejskiej różdżki, towarzyszu Chajes. Obawiam się, że przeceniam moje możliwości.

Gedalia Chajes niechcący trącił łokciem kieliszek, wódka wylała się na stół. Kelner podskoczył zmienić obrus, generał Broza powstrzymał go niecierpliwym ruchem ręki.

– Jeśli dobrze was rozumiem, odwracacie się do mnie plecami – powiedział Chajes. Mówił cicho, ale słowa były butne.

– Nie wysnuwajcie przedwczesnych wniosków. Przecież nie powiedziałem „nie”.

– Nie powiedzieliście także „tak”.

– Muszę zbadać fakty, wsadzić rękę do wody, aby sprawdzić, czy nie wrze. Innymi słowy, potrzebny mi jest czas do namysłu.

– Czas pracuje przeciwko nam – skonstatował Chajes rzeczowo, aczkolwiek pozbył się wszelkich złudzeń. Broza nie wyjmie za niego kasztanów z ognia. Pocieszał się myślą, że oprócz Brozy ma jeszcze wstęp do kilku drzwi na najwyższych piętrach Komitetu Centralnego. Szkoda każdej na próżno mielonej minuty. Chajes poprosił o rachunek.

– Ten rachunek płacę z własnej kieszeni – powiedział generał z akcentem na „ten”. Z wyraźną ulgą sięgnął do tylnej kieszeni po portfel.

Tomasz Broza ani słowem nie wspomniał o sprawie fikcyjnego lotniska i nagonce na syjonistów. Nic powiedział, że w zaistniałych warunkach nie mógł ryzykować, że przede wszystkim musiał dbać o własną skórę. Najrozsądniejszym pociągnięciem byłoby szybkie przecięcie pępowiny, łączącej go z Czerwonym Sztandarem. W przeciwieństwie do Szmulika Rotha, w stosunku do Chajesa nie miał osobistych zobowiązań, nie odczuwał żadnych wyrzutów sumienia. Broza znał dwulicowość tak zwanych zaufanych towarzyszy. Także Żydzi w Biurze Politycznym i w Komitecie Wojewódzkim we Wrocławiu nie zawahają się wysunąć palca wskazującego w stronę Gedalii Chajesa i tego przekłętogo Liebmana. Choćby dla podkreślenia, że ich żydowskie pochodzenie nie koliduje z partyjną wiernością. Nie miał najmniejszego zamiaru kontynuować podróży na tonącym statku.

Do późnego wieczoru Gedalia Chajes zabiegał o spotkania z towarzyszami, którzy jeszcze niedawno szczylicili się jego przyjaźnią, a dzisiaj nie mogli znaleźć kilku minut na pilną rozmowę. Jego wyczulone instynkty podpowiedziały mu, że zaszła jakaś raptowna zmiana, ale nie miał pojęcia, jaka. Gdyby choć jeden z sekretarzy KC poświęcił mu trochę czasu... Gdyby mógł porozmawiać z ministrem przemysłu ciężkiego... Gdyby mógł spowodować awans Krzysiaka na ambasadora w Pekinie albo na Alasce, byle jak najdalej od Wrocławia... Mrzonki. Same mrzonki. Wszystkie drzwi okazały się zamknięte. Niepotrzebne było wyczulone ucho, by odczytać fałsz szczebiotu sekretarek, usprawiedliwiających nieobecność szefa.

Tylko portier w hotelu, w którym zarezerwował sobie nocleg, przywitał go z niezmierną uprzejmością. „Wasza małżonka dzwoniła kilkakrotnie” – powiedział. Oddzwonił natychmiast. Miała dla niego krótką, ale elektryzującą wiadomość: władze bezpieczeństwa aresztowały Rudolfa Nowaka.

– Upiekę go osobiście na rożnie – warknął Gedalia.

- Kogo?
- Czerniakowskiego. A kogo myślałaś?
- Prokurator nic maczał w tym palców – pospieszyła wyjaśnić. — Uważam, że powinieneś wrócić jak najszybciej.
- Zaraz sprawdzę rozkład jazdy.
- Już to zrobiłam. Najbliższy pociąg masz za pięćdziesiąt minut. Pakuj przybory do golenia i oszczędzaj siłę. Weź przedział sypialny.
- Wiesz, kim jesteś – powiedział najsłodszy tonem, na jaki mógł się zdobyć.
- Powiedz mi.
- Jesteś jedyną kobietą na świecie, która umie przyrządzać faszerowanego karpia.

Udana wesołość nie mogła pokryć obopólnej troski. Usiłował zasnąć, lecz kłębiące się myśli nie pozwalały na wypoczynek. Pociąg pospieszny, tak mu się wydawało, włókł się jak żółw. Na dolnej ławce sypialnego przedziału chrapał pasażer w pidżamie. Chajes nie próbował się nawet rozebrać, zadowolony z zuciem butów. Miał nagniotki, Sara wielokrotnie proponowała jakąś cuchnącą maść, wypróbowane remedium na wszystkie schorzenia, ale zawsze udało mu się wykręcić. Nie lubił lekarzy i nie cierpiał lekarstw. Zresztą, czym były nagniotki wobec problemu, który wyrósł nagle jak ropiejący czyrak. Krok za krokiem analizował wydarzenia ostatniej doby i nic udawało mu się dotrzeć do początku kłębka. Idiotyczne podejrzenia Krzysiaka były znacznie mniej groźne od zamkniętych drzwi w Warszawie. Niechże pomyśli. Kogo zantagonizował? Jaką popełnił omyłkę? Ktoś przylepił mu grudkę brudu, ale gdzie i kiedy? Na pewno nie Krzysiak. Zbyt mocno siedział w siodle, by ten głupi bydlak mógł mu naprawdę zaszkodzić. Im dłużej zastanawiał się nad biegiem wydarzeń, w takt monotonnego stukotu kół na wiązaniach szyn, tym bardziej uświadamiał sobie, że Krzysiakowi jednak udało się go przechytrzyć. Ani partia, ani prokurator nie potraktowałiby serio doniesienia opartego na wycinku ze starej gazety. Krzysiakowi potrzebny był katalizator, a on sam, Gedalia Chajes, własnymi rękami podał mu go na srebrnej tacy. Kretyn! Kretyn! Kretyn! Jak łatwo dał się wpuścić w maliny. Gdyby nic telefon do Czerniakowskiego, gdyby nie próba zatuszowania sprawy, gdyby nie wyjazd do Warszawy w niewątpliwym popłochu, nikt we Wrocławiu nie spojrzałby nawet na Aleksandra Krzysiaka. Jego nic do końca przemyślane, alarmujące działanie stworzyło wrażenie, że Krzysiak kryje za pazuchą znacznie więcej od skrawka zadrukowanego papieru. Jeśli nie uda mu się zatrzymać lawiny, zanim stoczy się po zboczach góry, może zginąć zasypany.

Sara czekała na peronie. Jej rude włosy spływały na kołnierz cienkiego, letniego płaszcza spiętego szerokim pasem. W świetle dworcowych lamp wyglądała jak dwudziestoletni podłotek. Wyjęła mu z ręki walizkę i postawiła na betonowej płycie. Potem objęła go mocno. Gedalia wspiął się na palcach. Zabolęło. Psiakrew, nagniotek, pomyślał. Sara podała mu wargi do pocałunku, ale Gedalia zbliżył usta do jej ucha i szepnął ze złością:

- Ten cholerny bękart wyprowadził mnie w pole. Drogo za to zapłaci.

Rozdział siódmy

PAJĘCZYNA

Konstanty zaśmiał się bezwstydnie głośno:

– Nic, droga pani Kot. Nie mam pojęcia gdzie się podział pani sublokator. Może zabawia się z jakąś inną damą...

Maria trzasnęła słuchawką. Bydlak, powiedziała w duchu. Konstanty zastanawiał się, skąd wzięła jego numer telefonu. Wszystkie numery Urzędu Bezpieczeństwa były zastrzeżone, oprócz jednego, dla donosicieli. Nie lubił zostawiać otwartych spraw i zanotował, by wyjaśnić to przy najbliższej okazji.

Wszystko zaczęło się od drobnego niezadowolenia wczoraj wieczorem. Maria miała za złe Rudolfowi, że spóźnił się na kolację, zwłaszcza iż kaczka w piecu wyschła, za chwilę będzie miała smak trocin. Rudi wiedział, jak bardzo pragnie dać mu poczucie uporządkowanego życia rodzinnego. Doceniał jej starania, zawiadamiając telefonicznie o każdym możliwym spóźnieniu. Maria wiedziała z własnego doświadczenia, że wojna pozbawiła ludzi elementarnych zasad dobrego wychowania, więc tym bardziej ceniła jego dobre maniere. Rudolf zwykł mawiać, iż koszary i więzienia w niczym nie przypominają szwajcarskich pensjonatów dla dziewcząt z dobrego domu i domagał się trochę więcej wyrozumienia dla bliźnich. Maria twierdziła, że nic nie usprawiedliwia chamstwa.

Maria Kol wierzyła w przeczucia i telepatię. Przeciw urokom trzykrotnie odpukiwała w niemalowane drewno, ale serce nie wróżyło jej niczego złego, gdy po dziewiątej połączyła się z biurem dyrektora naczelnego, aby zapytać, kiedy wreszcie raczy przybyć na kolację. Ostatnio coraz częściej zostawał poza domem do późna, ponieważ praca, szczególnie w Jelczu, wymagała jego obecności także w godzinach wieczornych. Nigdy nie wspominał szczegółów tej pracy. Wiedział, że każda informacja powędruje natychmiast do ojca Wiktora, a stamtąd, Bóg jeden wie do kogo. Maria ze swej strony wstrzymywała się od pytań, które mogły spowodować zakłopotanie. W mieście rozeszły się pogłoski o więźniach zatrudnionych przy produkcji gazów lub innej broni chemicznej. Gdy pewnego razu odważyła się wspomnieć o tych coraz powszechniejszych plotkach, zbył ją niecierpliwym: „Wstydz się, przecież to zupełny nonsens”. Od tego czasu nigdy nic wróciła do tematu.

Bezpośredni telefon w gabinecie Rudolfa nie odpowiadał. W centralce nie potrafiono jej wyjaśnić, gdzie znajduje się towarzysz dyrektor. Z pewnym wahaniem połączyła się z sekretariatem. Rita zawsze wiedziała wszystko. Ale także jej telefon był głuchy. Może wymknęli się gdzieś razem, albo zamknęli w jednym z pustych pokojów? Maria zawstydziała się własnych myśli. Przecież nie była zazdrosna... A może jednak tak... Sama nie wiedziała. Nigdy jeszcze nie znalazła się w podobnie zawstydzającej sytuacji, czekając i snując podejrzenia. Dawniej, nawet gdy zakradała się myśl, że może nie jest jedyną kobietą w życiu Rudiego, przeganiała ją natychmiast jak natrętną muchę. Była zbyt mądra, aby zadawać pytania, na które nie dostaje się uczciwej odpowiedzi.

Do diabła z pieczoną kaczką, pomyślała, gdy wskazówki zegara zbliżały się do jedenastej, a o Rudim ani słyhu, ani dychu. Może miał wypadek samochodowy? Droga z Jelcza była w nie najlepszym stanie, a jego kierowca miał zwyczaj przesadnego naciskania na pedał gazu. Gdyby nie wypadek, na pewno by się odezwał. Przecież wiedział, jak bardzo jest do niego przywiązana. A on? Jej Rudi? Chyba także. Nigdy nie zapytała, czy ją kocha. Nie uczyniła tego nawet podczas intymnych zbliżeń, w ciemności sypialnego pokoju, gdy intuicja podpowiadała jej, że to najbardziej odpowiednia chwila. Płomiennie wyznania miłości nie były najistotniejsze. Najważniejsza była trwałość ich stosunków.

Logika przemawiała za telefonem do domu Chajesów. Rudolf nie czynił kroku bez porady sekretarza Podstawowej Organizacji Partyjnej. Chwilami była bardziej zazdrosna o Gedalię Chajesa, aniżeli o Ritę. Uwierała ją, przesadna jej zdaniem, zależność Rudolfa od tego człowieka. Teraz błogosławiła tę znajomość. Chajes na pewno wie, gdzie można znaleźć jej sublokatora.

Poza kilkoma przypadkowymi spotkaniami w klubie TPPR nie miała okazji z nim rozmawiać. Kiedyś zaproponowała Rudolfowi, aby go zaprosić na kolację, ale natychmiast odrzucił ten pomysł. Maria Kot nie była dla niego najlepszym biletym wizytowym. Nie żałowała odmowy, bo Chajes nigdy nie wzbudzał w niej sympatii. Symbolizował w jej oczach wulgarny komunizm i żydowską podstępność. Teraz jednak odrzuciła wszystkie przesady, przewertowała notes, który Rudolf trzymał w szufladzie nocnej szafki, znalazła numer telefonu i bez wahania go wykręciła.

– Hallo – odezwał się w słuchawce kobiecy głos.

– Na pewno mam przyjemność z panią Chajes – odgadła.

– Nic jestem żadną panią. Kto mówi i o co chodzi?

Maria wyczuła w głosie Sary nieukrywaną niechęć. Nie mogła wiedzieć, że żonę Gedalii wciąż nagabywano prośbami o protekcję. W każdym innym przypadku zrezygnowałaby z dalszego ciągu rozmowy. Teraz nie mogła sobie na to pozwolić. Najuprzejmiej jak tylko mogła, wyjaśniła cel nocnego telefonu.

– Przykro mi was zawieść – odparła lakonicznie Sara. – Mąż wyjechał z miasta, a ja nie mam pojęcia, gdzie szukać towarzysza Nowaka.

– A kiedy wróci towarzysz Chajes?

– Nie prowadzę dziennika obecności – padła sucha odpowiedź.

– Czy wyjechał z Nowakiem?

– Nie mam zwyczaju sprawdzać, z kim podróżuje mój mąż.

– Nie zakłócałabym pani spokoju, gdyby nie troska o Rudolfa. Nigdy się nie zdarzyło, by nie dał znaku życia.

– Zawsze bywa ten pierwszy raz. Coś jeszcze?

Gdyby mogła sobie na to pozwolić, chętnie wykrzyczałaby tej babie, co o niej myśli. To by jej na pewno ulżyło. Ale Maria umiała panować nad odruchami. Nim odłożyła słuchawkę, powiedziała uprzejmie:

– Przepraszam za ten późny telefon. I dziękuję za pomoc.

Sara bez słowa odłożyła słuchawkę.

Co teraz? Wskazówki zegara posuwały się bezlitośnie. W notesie Rudolfa odszukała numer Konstantego. Gdy i tutaj nie otrzymała wyjaśnienia, znów przypomniała sobie Ritę. Zwrócenie się do niej oznaczało rezygnację z osobistej dumy. Nie jest wykluczone, że mała kurewka zatrześnie jej drzwi przed nosem, tak jak Sara trzasnęła słuchawką. A nawet jeśli przyjmie ją grzecznie, z pewnością nie odmówi sobie przyjemności opowiedzenia wszystkiego kolegom i obcym. Nie ma nic śmieszniejszego od zazdrosnej kobiety szukającej nocą swego mężczyzny. Całe miasto będzie się śmiało za jej plecami. A jednak oprócz Rity nie ma w tej chwili nikogo, kto mógłby jej pomóc.

Maria otworzyła radio. Było to oczywiście zupełnie bezsensowne, ale tonący brzytwy się chwyta. Środki masowego przekazu nigdy nie donosiły o wypadkach przy pracy lub katastrofach samochodowych. Nieszczęścia takie zdarzały się tylko w krajach kapitalistycznych. Spikerka ostatnich wiadomości przekazywała relację o wzrastającym bezrobociu w Stanach Zjednoczonych, o nowej spółdzielni rolniczej w takiej a takiej miejscowości koło Świdnicy i o przygotowaniach do uroczystości 22 lipca. Zaraz po północy głośnik zamilkł, odezwie się dopiero o piątej nad ranem. Nic nie powinno przeszkadzać masom pracującym w nocnym odpoczynku przed następnym dniem pracy.

Rita nie miała telefonu w domu. Niedawno przeprowadziła się do mieszkania z zakładowego przydziału, nie podłączono go jeszcze do sieci. Nowak obiecał przyspieszyć sprawę. Zwykli śmiertelnicy nie mogli nawet marzyć o takim luksusie. Na prywatny telefon trzeba było czekać kilka lat. W biurze rozeszła się plotka, że również mieszkanie otrzymała dzięki wstawiennictwu dyrektora naczelnego, bo z zasady przyznawano je tylko rodzinom przodowników pracy. W rzeczywistości zawdzięczała je swojej starszej siostrze, Lali.

Autobusy nie kursowały w godzinach nocnych, taksówki znikwały z ulic zaraz po drugim seansie w kinach. Maria mogła poczekać na pierwszy autobus o czwartej nad ranem, albo pójść pieszo. Wybrała drugą możliwość. Półgodzinna droga pustymi ulicami miasta nie należała do przyjemności. Obawiała się pijanych, obawiała się zwykłych złodziejasków, czyhających na samotną kobietę. Idąc, usiłowała sobie wyobrazić mieszkanie Rity. Uważała ją za kobietę liberalną, co w jej pojęciu oznaczało osobę, której nie udało się stworzyć rodzinnego domu. Typ negatywny. Mieszkania takich kobiet, uważała, emanują, jeśli nie wprost rozpustą, to przynajmniej wątpliwą moralnością. Lecz w chwili gdy Rita otworzyła jej drzwi, w naprędcie narzuconym białym szlafroku, Maria musiała przyznać się do omyłki. Na próżno szukała wzrokiem pluszowych kanap i porzrzucanych aksamitnych poduszek, kryształowych karafek lub sprośnych japońskich figurek. Mieszkanie Rity urządzone było skromnie i funkcjonalnie, niemal jak jej biuro. Meble były krajowej produkcji, z białego brzoźowego drewna. Maria zerknęła przez uchylone drzwi do sypialni. Rita nic mogła się powstrzymać od nieco złośliwej uwagi: „Nie ma tam nikogo”. Natomiast nie spytała o przyczynę nocnej wizyty, potraktowała ją jako rzecz całkowicie normalną.

– Dlaczego pani stoi? Proszę usiąść – zaprosiła Marię.

Maria usiadła na brzeжку krzesła.

– Przyznam szczerze – powiedziała – że rozglądając się po tym mieszkaniu, odnoszę wrażenie, że straciłam coś w życiu. Mam na myśli lata, gdy byłam w twoim wieku. Wolno mi mówić ci po imieniu? Wszak mogłabym być twoją matką.

– Oczywiście, bardzo mi to schlebia. Jest pani przecież żoną mojego szefa.

– Nie jesteśmy małżeństwem.

– Jakie to ma znaczenie. Świstek papieru nie zmienia jakości stosunków między kobietą a mężczyzną.

– Ładnie z twojej strony, że tak mówisz. Ty także możesz zwracać się do mnie po imieniu.

– Dzięki. Wyglądasz na zmęczoną. Zrobić ci kawę? Albo herbatę?

– Będę wdzięczna za herbatę.

Rita odwróciła się do niej plecami. W niszy salonu znajdowała się mała kuchenka. Napełniła czajnik i postawiła na gazowym palniku.

– To potrwa chwilę – usprawiedliwiła się. – Nie wiem, dlaczego ciśnienie gazu jest takie słabe. Powiedzieli, że to wina gazociągu. Nie znam się na tym.

Maria była zadowolona, że Rita dała jej czas na zebranie myśli. Wciąż jeszcze nie wiedziała, jak przedstawić dręczący ją problem, jak poprosić o pomoc. Tymczasem zagotowała się woda w czajniku, Rita zaparzyła świeżą herbatę i podała w filiżankach z cienkiej chińskiej porcelany, sprzedawanych w sklepach za żółtymi firankami.

– Mam takie same – zauważyła Maria.

Rita usadowiła się na kanapie, naprzeciw Marii, wyciągając przed siebie długie, szczupłe nogi. Maria zastanowiła się przez moment, czy sama Rita ma prawo zakupu w sklepach specjalnych. Także białe, jedwabne szlafroki można było znaleźć wyłącznie w konsumach. Na pewno nie brak było uprzywilejowanych mężczyzn, którzy chętnie by jej sprezentowali taki serwis i taką podomkę. Dopiero teraz usiadła wygodniej w krześle i powiedziała głośno, może trochę zbyt głośno:

- Nie spytałaś o powód mojej tak późnej wizyty.
- Jestem cierpliwa.
- Rzadka cecha w twoim wieku. Młodzi ludzie nie grzeszą cierpliwością.
- Wiek jest czymś bardzo względnym, nie zawsze można go mierzyć latami.

Jak dobrze, pomyślała Maria, że zdecydowałam się na tę wyprawę. Wbrew oczekiwaniom, nie czuła się poniżona. Rita nie dała jej odczuć wstydu. Dlatego też powiedziała bez ogródek:

– Rudolf nie wrócił na noc. To się nigdy dotąd nie zdarzyło. Szukałam pod wszystkimi możliwymi adresami. Albo głuchy telefon, albo zbywająca odpowiedź. Jestem poważnie zaniepokojona.

– Myślałaś, że znajdziesz go u mnie?

Bezpośrednio postawione pytanie skonfundowało Marię. Czy rzeczywiście taka myśl przemknęła jej przez głowę? Chyba nie. Gdyby sądziła, że znajdzie go w sypialni Rity, na pewno nie zadzwoniłaby do drzwi tego mieszkania. Zdawała sobie sprawę, iż gdyby zastała tutaj Rudolfa, nie potrafiłaby udawać, że nic się stało. Dlatego brak pewności wygodniejszy byłby od stwierdzenia faktu dokonanego.

- Nie – odparła. – Nie spodziewałam się zastać Rudiego u ciebie.
- Sądzisz, że nie jestem wystarczająco atrakcyjna, aby go uwieść?

Marii nie udało się ukryć zakłopotania. Rita parsknęła swobodnym, beztróskim śmiechem: – Szczerze mówiąc, nie próbowałabym go uwodzić. Wiem, że Nowak ceni mnie jako dobrego pracownika, ale nic ponadto. Na szczęście, nie jest jedynym mężczyzną w mieście.

– Nie można było powiedzieć tego w lepszej formie – stwierdziła Maria i spojrzała na Ritę z uznaniem.

Rita podeszła do oszklonej szafki wbudowanej w ścianę pod parapetem okna. Szafka zastępowała domowy barek.

– Wódka, koniak czy coś słodkiego? – spytała.

– Dziękuję. Potrzebna mi trzeźwa głowa. Mam przed sobą długą drogę do domu.

– Możesz prznocować u mnie. Mani wprowadzie tylko jedno łóżko, ale jest szerokie jak okręt. Lubię na nim popływać. Wczesnie rano pójdę do biura. Jeśli nie pojawi się jak zwykle, uruchomię wszystkie możliwe źródła informacji. A mam ich bez liku.

– Wolę poczekać u siebie. Co powiedziałby Rudi, gdyby wrócił i nic zastał mnie w domu.

– Rozumiem... Nie martw się, sprawy się ułożą. Wszystkie książki, które czytałam, kończyły się happy endem.

– Dziękuję za słowa pocieszenia. Do widzenia.

– Do widzenia.

Rita zamknęła za nią drzwi wejściowe i nalała sobie duży kieliszek francuskiego koniaku, sprzedawanego wyłącznie w specjalnych sklepach. Siostra Lala nie żałowała jej niczego.

Siostra była starsza od Rity o pięć lat, ale młodsza o dziewiętnaście od prokuratora wojewódzkiego. W świadectwie urodzenia miała wpisane imię Helena, jednak prokurator Czerniakowski przykleił jej przydomek Lala i tak już zostało od czasu, gdy była studentką na wydziale prawa. Poznała go, gdy wygłosił na uniwersytecie kilka prelekcji na temat nowych kierunków w ustawodawstwie. Z przejściem mówił o zasadach prawa wyrastającego nie ze starych ksiąg rzymskich, lecz z prawdziwej potrzeby władzy służącej ludowi, szeroko cytował radziecką konstytucję i przygotowywał studentów do zmian, które wkrótce zostaną

wprowadzone do kodeksu karnego. Był utalentowanym oratorem i zdarzało się, że po prelekcji zbierał oklaski słuchaczy. Aż pewnego dnia, po wykładzie, podeszła do niego Helena i zapytała:

— Pan rzeczywiście wierzy w te bajdy, które nam opowiada?

Piotr Czerniakowski był uznanym autorytetem zawodowym. Miał pięćdziesiąt jeden lat, żonę i dwóch dorosłych synów. Niedawno awansował na jednego z trzech zastępców prokuratora wojewódzkiego. Przepowiadano mu błyskotliwą karierę. Wprawdzie do partii przystąpił dopiero po zjeździe połączeniowym, ale jego interpretacja prawa w ustroju socjalistycznym szybko przypięła mu skrzydła. Jedno jego słowo mogło zakończyć studia zuchwałej studentki. Za mniejsze grzechy wylatywało się z uczelni. Czerniakowski przyjrzał jej się uważnie; w niebieskich oczach miała błysk, który przykuł jego uwagę. Sam nie wiedział, dlaczego zamiast zrugać dziewczynę jak należy, odpowiedział półszepem:

— Proponuję spotkanie wieczorem. Postaram się wyłożyć ci osobiście moje teorie prawnicze.

Po zmierzchu z ciekawością patrzyła na mężczyznę, który lekko zadyszany leżał w jej łóżku. Wydawał się bardzo stary, na pewno mógłby być jej ojcem. Miał skłonność do łysienia, natomiast gęsto owłosiona klatka piersiowa spowodowała, że w duchu nazwała go małpą. Głęboko osadzone oczy wyrażały inteligencję, twarde mięśnie wskazywały, iż uprawiał sporty lub ćwiczył w sali gimnastycznej. Mimo to nie można było nazwać go przystojnym. Wziął ją nie na urodę, lecz na władzę i siłę, którą reprezentował. Helena, a raczej już Lala, od pierwszej chwili doceniła korzyści płynące z takiej intymnej znajomości. Ale po godzinie wiedziała już całkiem na pewno, że z własnej i nieprzymuszonej woli będzie jego kochanką. Nigdy przedtem nie przeżyła takiej ekstazy, żaden z jej młodych przyjaciół nie wznosił jej na szczyty, na które wspięła się tego wieczoru.

Jego duże, trochę za duże dłonie, przekształciły ją w nieznany instrument muzyczny, a jego męskość wydawała się niewyczerpana. Lala podziwiała jego opanowanie, stwarzające wrażenie, że wszystko, co działo się w ciągu pierwszych sześćdziesięciu minut, było zaledwie wstępem do wielkiego koncertu. Nad ranem powiedziała:

— Byłeś wspaniały, mój Czarny Piotrusiu.

— Dla takich jak ty wciąż jeszcze jestem Piotrem Czerniakowskim, zastępcą prokuratora wojewódzkiego – odparł. Nie wiedziała, czy mówił serio, czy też miał to być rodzaj żartu. Ujęła jego dłoń i położyła ją na sercu.

— To właśnie zamierzałam powiedzieć. Pragnę przyznać się do winy, towarzyszu prokuratorze.

— Wezmę pod uwagę okoliczności łagodzące – odrzekł, wciąż jeszcze poważnym tonem. — O jakiej winie mówimy?

— Nasze spotkanie na wydziale prawa... Zgodziłam się na spotkanie, ponieważ dostałam niedostateczny z prawa rzymskiego i gorączkowo szukałam kogoś, kto wpłynąłby na mojego profesora. Ale teraz mam w nosie złą ocenę.

— Takie postępowanie zasługuje na surową karę.

— Jak mnie ukarzesz? – rzekła prowokująco.

— Odwróć się – powiedział tak autorytatywnie, że przestraszyła się. Nie została w niej kropla swawoli. Gdy ujął ją za pośladki, próbowała uniku, ale znów rzekł tonem nieznoszącym sprzeciwu: „Nie ruszaj się”. Wepchnął ją twarzą w poduszkę. Gdy wszedł w nią, mimo bólu nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Od tego dnia rozwinęła się między nimi skomplikowana zażyłość, oparta na winie i karze, w której uległa niewolnica panowała nad swoim rozkazodawcą. Lala tak dalece zaabsorbowała jego myśli, że zapomniał o niezbędnych środkach ostrożności i wkrótce zbyt wiele osób wiedziało, iż prokurator ma młodą nałożnicę. Znajomość z Lalą mogłaby go

kosztować karierę, gdyby nie osobiste tajneteczki miejscowych notabli, przechowywane w jego kasie panczernej. Od pierwszego dnia pracy w regionie Czerniakowski, idąc śladem swojego szefa, prowadził wojnę podjazdową o prymat z wojewódzkimi władzami bezpieczeństwa. Od pewnego czasu partia zaostrzyła kontrolę nad prokuraturą i Urzędem Bezpieczeństwa. Na polecenie KC przy egzekutywach Komitetów Wojewódzkich powstały specjalne trzyosobowe komórki, które zatwierdzały każdą operację, a także założenie każdej osobistej teczki. Ale zarówno szef UB, jak i prokuratorzy, nie zawsze przekazywali wymagane informacje. Stanowiły one zbyt skuteczną broń, aby się jej dobrowolnie wyzybywać.

Czerniakowski zastanawiał się, czy plotki o Lali dotarły również do jego żony. Wydawało się, że nie wie nic o jego pozamałżeńskiej przygodzie, bo nigdy się nie skarżyła, nigdy nie zarzuciła mu niewierności. Tak było do czasu, gdy na agendę weszła sprawa jego nominacji na prokuratora wojewódzkiego. Wówczas bowiem okazało się, że wcale nie była, jak sądził, osobą znającą swoje miejsce. W przystępie niepohamowanego ataku wściekłości wpadła do biura pierwszego sekretarza KW i wylała przed nim wszystko, co ukrywała w sercu. Gdyby członkowie specjalnej komórki chcieli wyegzekwować przysługujące im uprawnienia i powołali komisję do rozpatrzenia sprawy, gdyby się okazało, że kandydat na prokuratora bynajmniej nie jest czysty jak łąza, nominacja wzięłaby w łeb. Uratowała go tajna puszka Pandory. Nikt nie wiedział, ile jest w niej jadowitych zmij i kogo mogą zatrucić swoim jadem. Delikatną misję wyciszenia rozgoryczonej małżonki powierzono Gedalii Chajesowi. Chajes był mistrzem w takich zawiłych sprawach. Nazajutrz zamknął się z panią Czerniakowską na długą rozmowę w cztery oczy. Piotr nigdy się nie dowiedział, w jaki sposób Chajes przekonał ją, by wycofała zażalenie, ale od dnia rozmowy prywatne życie towarzysza prokuratura nie było już oficjalnie poruszane. Gdy zaprosił Chajesa na kolację w Monopolu, aby mu podziękować za interwencję, usłyszał krótką odpowiedź:

– Nie dziękuj. Pamiętaj tylko, że jesteś mi dłużny.

W najgorszych snach Piotr Czerniakowski nie wyśnił sobie, w jak trudnych warunkach przyjdzie mu spłacać dług wdzięczności.

Lala zakończyła studia z wyróżnieniem. Otrzymała dyplom magisterski w dziedzinie prawa administracyjnego i wkrótce potem została przyjęta do pracy w prokuraturze, w dziale spraw rozjemczych. Przedsiębiorstwa państwowe nie mogły się prawować w instancjach sądowych. Akta spraw rozjemczych często zawierały szczegóły o dostawie niewłaściwych surowców lub niedbałym wykonaniu zamówień. Władze nie były zainteresowane ujawnianiem takich przypadków. Na szali leżały nie tylko interesy gospodarcze zakładów pracy. Często chodziło o losy ludzi odpowiedzialnych za wybrakowaną produkcję. Gdy postanawiano ukarać winnych, komisje rozjemcze przekazywały sprawę prokuraturze. Oskarżonym doczepiano sabotaż, czasami nawet sabotaż inicjowany przez zagraniczne, wrogie czynniki. Umożliwiało to prowadzenie procesów przy drzwiach zamkniętych.

Mimo iż nie była decydem, Lala dzięki swemu stanowisku zyskała poczucie ważności. Działacze i urzędnicy szukali jej bliskości, aby dowiedzieć się na czas, w którą stronę wiatr wieje. Lala nigdy nie zapomniała, komu to wszystko zawdzięcza. Czerniakowski pobierał haracz wiadomym sposobem, ona zaś nigdy nic protestowała. „Nie podcina się gałęzi, na której się siedzi” – powiedziała młodszej siostrze, gdy zarzuciła jej kiedyś brak moralności. Przyjemność czerpana z boku pozostała jej słodką tajemnicą.

Rita zatelefonowała do niej z samego rana, gdy tylko przyszła do pracy i nie zastała Nowaka w biurze. Niezamknięte na klucz drzwi gabinetu oraz walające się po podłodze dokumenty świadczyły o rewizji. Funkcjonariusze, którzy jej dokonali, nie próbowali nawet zatrzeć śladów. Było to powodem dodatkowej troski. Lala przyrzekła wysondować sprawę. Przy pierwszej okazji, gdy znaleźli się sam na sam, zapytała Czerniakowskiego:

– Dlaczego nie powiedziałaś mi o Nowaku? – spytała z nieukrywaną pretensją. Prokurator wparł się w fotel, jakby szukał mocnego oparcia.

– Uciekaj od tej sprawy jak od dżumy – rzekł ostro, wstał i wyszedł z gabinetu. Lala nic pamiętała, aby kiedykolwiek był tak wzburzony.

Zaledwie dwie godziny temu, o ósmej rano, prokurator wojewódzki dowiedział się, że UB aresztowało Nowaka. Dotychczas sprawy tej wagi były z nim konsultowane. Co gorsze: wczoraj wieczorem Czerniakowski widział się z Konstantym w klubie TPPR. Przekłety bękart nie wspomniał o Nowaku ani słowem.

Prokuratura i Urząd Bezpieczeństwa konkurowały ze sobą we wszystkim. UB niemal zawsze wygrywał ten wyścig, a Czerniakowski zbierał nagany Prokuratury Generalnej. Na próżno wyjaśniał, że nie posiada środków, stojących do dyspozycji UB. W myśl prawa, w ogóle nie należało do niego tropienie podejrzanych o działalność wywrotową, o sabotaż lub o przestępstwa polityczne. Prokuratura miała się koncentrować na formułowaniu odpowiednich aktów oskarżenia oraz na skutecznym prowadzeniu spraw w sądach. Lecz w Warszawie nie żądano, aby trzymał się ściśle przepisów. Gdy Urzędy Bezpieczeństwa nie dostarczały dostatecznej liczby kandydatów na ławę oskarżonych, oczekiwano, że prokuratorzy wojewódzcy dopełnią miarki.

Kiedy w ubiegły wtorek zadzwonił Aleksander Krzysiak, domagając się śledztwa przeciw Nowakowi, odniósł się do tego żądania ze sporą dozą podejrzliwości. Był zbyt doświadczony, aby nie wiedzieć, że nadgorliwość nie zawsze popłaca. Długie godziny rozważał wszystkie możliwe „za” i „przeciw”. Znając okoliczności usunięcia poprzedniego dyrektora Czerwonego Sztandaru, z łatwością mógł przewidzieć, że znajdą się towarzysze, którzy wezmą mu za złe sam fakt przyjęcia Krzysiaka na rozmowę. Krzysiak był spalony, Nowak cieszył się poparciem wszystkich czynników w województwie. Jakby nie dosyć tego, poprzedniego wieczoru, gdy prosto z klubu TPPR udał się do mieszkania Lali, telefonował do niego Chajes, prosząc o zamrożenie sprawy. Nic więc dziwnego, że odmówił Krzysiakowi audiencji.

– Przykro mi, towarzyszu – rzucił zniechęcająco do słuchawki – ale nawał pracy uniemożliwia mi spotkanie. Spróbujcie połączyć się ze mną za kilka dni.

– Nie wciskajcie mi kitu – warknął Krzysiak do słuchawki.

Prokurator natychmiast odnotował zmianę w zachowaniu rozmówcy.

Znal go przecież od lat. Krzysiak nigdy nie używał takich słów. Zawsze odnosił się do niego z szacunkiem.

– Nie pojmuję takiego stawiania sprawy – odpowiedział ostrożnie. – Chciałem wyjaśnić, że to tylko kwestia czasu.

– Chcieliście powiedzieć, że gracie na zwłokę. W naszym przypadku ten numer wam nie przejdzie. Znam w tym mieście kilku towarzyszy, którzy chętnie wysłuchają, co trzymam w zanadrzu. Jestem lojalnym członkiem partii i nie mam zamiaru zatajać istotnej informacji, która przypadkowo wpadła w moje, a nie wasze ręce. Nie wyobrażam sobie, aby także szef Urzędu Bezpieczeństwa był tak zajęty jak wy, towarzyszu Czerniakowski... Jesteście jeszcze na linii?

– Słucham was uważnie.

Krzysiak znał reguły gry. Czerniakowski był ugotowany na miękko. Po krótkiej przerwie oznajmił, że odłoży kilka pilnych spraw, aby Krzysiak mógł przedstawić swoją.

Cała ta historia potrzebna mi jest jak dziura w brzuchu, przeklinał Czerniakowski. Krzysiak wyszedł przed minutą z gabinetu prokuratora, demonstracyjnie zatraskując za sobą drzwi. Czerniakowski ciągnął swoje rozważania: Chajes miał rację, trzeba być nieodpowiedzialnym kretyńcem, aby wszczynać śledztwo na podstawie materiałów obciążających w postaci starej, pożółkłej gazety. Trzeba być szaleńcem, aby wierzyć, że

Krzysiak ma dodatkowe dowody, lecz nie chce ich wyłożyć na stół. No i trzeba być nieostrożnym durniem, aby nie ustosunkować się w ogóle do skargi Krzysiaka. Nigdy nie można przewidzieć, co taki typ chowa za pazuchą.

Z centralki zadzwonili, że ma rozmowę międzymiastową. „Towarzysz Chajes z Warszawy” – poinformowała telefonistka. Czerniakowski odetchnął. Nareszcie może poradzić się człowieka, który mu źle nie życzy. Szybko zrelacjonował Chajesowi przebieg wydarzeń.

– Baśnie z tysiąca i jednej nocy. Facet dyszy chęcią zemsty, to wszystko – powiedział Gedalia i chciał wiedzieć, z jaką odpowiedzią wyszedł Krzysiak.

– Wy tłumaczyłem mu, że zajmuję się prawem karnym, a nie literaturą fantastyczno-naukową.

Chajes zaśmiał się. Prokurator nie potrafił powiedzieć dlaczego, ale śmiech Chajesa wydał mu się nieco sztuczny. Telefon w restauracji „Biała Róża” wisiał przyczepiony do ściany korytarza między salą jadalną a toaletą. Ktoś wychodzi! z niej, zapinając rozporek spodni. Chajes obniżył głos:

– Rozmawiam z biura generała Brozy. Omawiamy nowe zadania, przed którymi wkrótce stanie Czerwony Sztandar. Nie jest to właściwy czas na głupie rozróby. Każde uderzenie w Nowaka obróci się przeciwko nam jak bumerang. Potrzebny jest spokój, nie awantury.

– Sprawa jest dla mnie jasna jak słońce.

– Przekażę generałowi wasze stanowisko. Jeśli potrzebna jest jakaś pomoc, to...

– Skądże znowu. Zawsze dawałem sobie radę. Przypadek Krzysiaka nie jest wyjątkiem. Możecie spać spokojnie.

– Nie mam czasu na spanie. Ale polegam na was jak na Zawiszy.

– Polegajcie jak na Czerniakowskim. To będzie bardziej skuteczne – zapewnił prokurator.

Przez pięć następnych dni Czerniakowski nie kiwnął palcem w bucie. Metoda „pożyjemy, zobaczymy” wielokrotnie okazała się najpewniejsza. Także tym razem fakty mówiły same za siebie. Krzysiak jakby zapadł się pod ziemię, szef UB nie odzywał się, także Chajes nie telefonował. Sprawa umarła śmiercią naturalną. Przestał się nią przejmować, bo zastępcy zakończyli właśnie pisanie aktu oskarżenia przeciwko szajce złodziei i handlarzy cegłami. Nim go podpisze, musi ten akt wypolerować na wysoki połysk. Sam odczyta go w sądzie. Kradzież nosiła charakter sabotażu. Od dwóch lat wysyłano z Wrocławia cegły na odbudowę stolicy. Powstało Miejskie Przedsiębiorstwo Rozbiórkowe, które bezlitośnie rozbierało nie tylko zbombardowane budynki, ale także takie, które z łatwością można było jeszcze wyremontować. Dyrektor MPR, towarzysz Mondsztajn¹⁹, szczycił się, że co roku wysyła do stolicy ponad sto pięćdziesiąt milionów cegieł. Teraz okazało się, iż całe wagony cegieł zmieniały kierunek jazdy i trafiały do rąk spryciarzy, budujących wille budylnikom w Wawrze, Aninie i innych podmiejskich miejscowościach wokół Warszawy. Prokuratura stołeczna usiłowała przejąć prestiżową sprawę, ale Czerniakowski nie ustąpił. Wiedział, że kilka wieloletnich wyroków wy watuje mu dalszą karierę. Zagrzebany w stosie papierów piętrzących się na biurku, wymazał z pamięci Krzysiaka i jego absurdalne twierdzenie. Okazało się jednak, że diabeł nie śpi. Obudził się za sprawą dzwonka specjalnego telefonu, w gwarze zawodowców nazywanego Wecze. Była to linia wysokiej częstotliwości, uniemożliwiająca podsłuch. Po drugiej stronie odezwał się osobiście szef Urzędu Bezpieczeństwa.

– To wy, Czerniakowski?

– Mam nadzieję, że nie szukacie papieża – zachichotał prokurator. Był w dobrym humorze. Właśnie postawił kropkę po ostatnim zdaniu aktu oskarżenia.

¹⁹ Mondsztajn został oskarżony o korupcję i w roku 1958 zakończył błyskotliwą karierę w więzieniu.

– Gdy potrzebne mi są usługi religijne, łączę się bezpośrednio z Panem Bogiem – powiedział szef UB. Uwaga nie brzmiała jak dowcip. Czerniakowski napiął się jak struna, zwłaszcza że szef urzędu zrugął go jak ostatniego z agentów:

– Wydaje się wam, że możecie grać ze mną w ciuciubabkę. Tkwicie w jakimś bzdurnym akcie oskarżenia, zamiast zająć się rzeczą naprawdę istotną.

– Co was ugryzło, towarzyszu?

– Ugryzł mnie komar, który nazywa się Aleksander Krzysiak.

Czerniakowski odsunął słuchawkę od ucha, jakby chciał osłabić w ten sposób siłę niespodziewanego uderzenia. Nie miał pojęcia, co narozrabiał w międzyczasie były dyrektor zakładów i czego chciał szef Urzędu Bezpieczeństwa.

– Dlaczego milczycie, Czerniakowski? – grzmiał głos w słuchawce. – Połknęliście własny język?

– Próbuję zrozumieć, o co chodzi.

– Rozumowanie nie jest waszą najsilniejszą cechą – kontynuował szef tym samym tonem.

– W dniu, w którym odwiedził was Krzysiak, zostawiliście wasze szare komórki w łóżku Lali... Na marginesie: co u niej nowego?

– Nie potraktowałem Krzysiaka poważnie, bo nie miał w ręku niczego konkretnego.

– Wiem. Powiedzieliście mu: literatura fantastyczno-naukowa. Ale pytałem o Lalę. Co u niej słychać?

– U Heleny? – Czerniakowski wolał nie używać powszechnie już przyjętego zdrobnienia.

– Nie mam pojęcia. Od dawna jej nic widziałem.

– Widocznie czas jest dla was pojęciem względnym. Czy nie spędziliście u niej przedwczorajszej nocy?

– Nie przypuszczałem, że także na mnie wypuszczacie swoje psy gończe – oburzył się Czerniakowski.

– Psy gończe to duże słowo. Nie trzeba psiego węchu, aby wiedzieć, co robicie. Przecież wszystko jest u was jawne. Czyżbym się mylił? Mam nadzieję, że nie macie nam za złe, iż interesujemy się bliźnimi. Jak by nie było, to nasza profesja.

Czerniakowski już miał na końcu języka odpowiedź: w pojedynku tajnych sprawozdań on także posiada niemały arsenał argumentów. W ostatniej chwili ugryzł się w język. W kasie pancernej leżało trochę materiału na temat Konstantego i innych agentów, ale karta szefa UB wciąż jeszcze była niezapisana. Siły były nierówne.

– Chcecie, abym wezwał Krzysiaka i wszczął śledztwo? — zapytał ostrożnie.

– Nie – uciął krótko szef UB. – Chcę, abyście mi przysłali nakaz aresztowania Nowaka.

– Nakaz aresztowania Nowaka? – zdumiał się prokurator.

– Czy mówię po chińsku?

– Nigdy nie robiliśmy czegoś takiego bez konsultacji z egzekutywą KW. Towarzysze nie przejdą nad tym do porządku dziennego. Chajes wywoła trzęsienie ziemi. Poczekajmy przynajmniej do jego powrotu.

– Po pierwsze, robiliśmy, każdy z nas osobno, a często także razem. Po drugie, niepotrzebnie i za dużo gadacie. Nowak siedzi u nas, aresztowany jak każdy inny śmiertelnik. Przesłuchujemy go od wielu godzin. Mogę go trzymać także bez waszego świstka papieru, ale chciałem dać wam okazję wykaraskania się z kłopotów. Chyba że wolicie dalej pograżać się w bagnie.

– Nowak przyznał się do winy?

– Chcecie siedzieć w bezpiecznym siodle, co? – ironizował szef. – Zapomnieliście, że życie płata nam figle.

Czerniakowski zastanawiał się, czy nie wspomnieć o rozmowie z Chajesem, czy zabłysnąć nazwiskiem generała Brozy. Niełatwo stanąć w szranki z takim połączeniem sił. Ale Broza i Chajes byli daleko, szef UB natomiast tuż za rogiem.

– Podpiszę nakaz aresztowania i wyślę przez umyślnego – oznajmił z wahaniem i natychmiast przeląkł się, że wahanie zostanie odebrane jako brak chęci współpracy. To był błąd, bo szef UB miał pamięć długą jak wieczność. Zresztą, reakcja była natychmiastowa:

– Jeśli nie chcesz, nie musisz. Możesz wepchnąć tę pieczętkę Lali, sam wiesz gdzie... I jeszcze coś: trzymacie usta zamknięte na kłódkę. Potrzebna mi jest doba albo dwie do zakończenia przesłuchań. Bez interwencji kogoś z zewnątrz.

Dopiero teraz Czerniakowski pojął, w jak niebezpiecznym znalazł się potrzasku. Nie trzeba było być geniuszem, aby z wypowiedzi szefa Urzędu wywnioskować, że ptaszek był w klatce, ale nie śpiewał.

– Nie mogę... – niemal jęknął do słuchawki. – To znaczy, co zrobię, jeśli ktoś z KW zapyta. Albo Chajes. Albo Broza. Co im powiem? Że Nowaka nie ma, bo wstąpi! w niebiosa?

– Ja wam niczego nie rozkazuję. Tylko udzielam przyjacielskich rad. To wszystko.

Zapadła chwila ciężkiego milczenia. Prokurator z coraz większym trudem szukał właściwych odpowiedzi. Może jednak warto wycofać się z tej afery, zrzucić ją na głowę pierwszego sekretarza KW, albo przynajmniej odłożyć podpisanie żądanego papierka na późniejszy termin. Może na jutro. Ale szef Urzędu szybko rozszyfrował ciszę na linii i nie dał Czerniakowskiemu drogi odwrotu:

– Dziękuję za współpracę – powiedział protekcyjnie. – I nie trudźcie się tym umyślnym. W ciągu kwadransa będzie u w as mój goniec. Poza tym nie róbcie w portki. Pamiętam o wyświadczonych przysługach.

Czerniakowski otworzył górną szufladę biurka i wydobył blok z numerowanymi nakazami aresztowania. Długo patrzył na pusty blankiet. Jak tego wymagały przepisy, włożył między kartki dwa arkusze czarnej kalki. Z niechęcią wziął do ręki chemiczny ołówek i zaczął wypełniać poszczególne rubryki.

Było w zwyczaju prokuratury przysyłać Urzędowi Bezpieczeństwa puste, z góry podpisane formularze. Raz lub dwa razy w miesiącu jeden z młodszych, zaufanych pracowników odbierał je wypełnione i uzupełniał odpisy. W specjalną księgę wpisywano wówczas nazwiska aresztowanych i paragrafy oskarżenia. Nie zawsze dochodziło do procesu. Na podwórzu więzienia przy ulicy Kleczkowskiej dokonywano egzekucji, o których Czerniakowski dowiadywał się dopiero po fakcie dokonanych. Prokuratura nie prowadziła ewidencji, z której można by odczytać, kto wciąż jeszcze siedzi, kto został zwolniony, a kto skazany na śmierć bez przewodu sądowego. Lecz Ministerstwo Sprawiedliwości obstawało przy zachowaniu pozorów: w każdym przypadku wystawiany być musiał formalny nakaz aresztowania.

Czerniakowski wiedział, że szef Urzędu ma wystarczającą ilość pustych blankietów, aby posadzić za kratkami cały pułk oskarżonych. Wiedział także, dlaczego domagał się specjalnego nakazu na Nowaka: chciał mieć w ręce dokument z aktualnym numerem seryjnym. Posiadając go, mógł w każdej chwili udowodnić, że działał w pełnym porozumieniu z prokuraturą. Jeśli sprawa się skomplikuje, Czerniakowski będzie w niej zaplątany po uszy. Sukinsyn zna swoje rzemiosło, przeklinał go w duchu. W żadnym przypadku prokurator nie będzie mógł twierdzić, iż areszt Nowaka dokonany został bez jego wiedzy. Nie będzie mógł się zasłaniać rozkazem szefa UB, po przeciwieństwie nie był jego podwładnym. Nie wiedział także, jak wytłumaczyć tę sprawę Lali. Lala potrafiła zachować tajemnicę, ale Rita? Tysiącrotnie prosił kochankę, by odstawiła od piersi młodszą siostrę. Tysiącrotnie obiecywała, lecz nigdy nie dotrzymała słowa. Zaś Rita, o tym był przekonany, jest dzikuską nieuznającą żadnych autorytetów. Teraz Lala, Rita i ta przeklęta Maria Kot poruszają cały świat, aby się dowiedzieć, gdzie i dlaczego zniknął Rudolf Nowak. Narobią tyle hałasu, że echo odbije się o ściany Komitetu Wojewódzkiego. A wówczas tylko Pan Bóg będzie mógł mu pomóc. Tyle że Czerniakowski nie wierzył w Pana Boga.

Po raz pierwszy w życiu przeklinał dzień, w którym został wyniesiony na stanowisko prokuratura wojewódzkiego. Pięć minut po wyjściu posłańca UB sięgnął po koniak i pil prosto z butelki, jakby to była czysta woda.

– Wstań, przyniosłem coś do picia.

Liebman miał gardło wyschnięte jak pusta studnia. Gdy dotykał językiem podniebienia, wydawało mu się, że jest pokryte chropowatą skorupą. Odruchowo spojrzął na przegub ręki. Stracił poczucie czasu. Dopiero teraz uświadomił sobie, że zegarek odebrano mu zaraz po aresztowaniu, wraz z paskiem i sznurowadłami. Na pewno chcieli zapobiec samobójstwu. Samobójstwo, zaśmiał się gorzko. Nawet by mu to na myśl nie przyszło. Kochał życie, uważał je za coś najbardziej wartościowego, nawet w tej chwili, gdy mogło się wydawać, że nie jest warte złamanego szeląga. Pamiętał więźniów w obozie koncentracyjnym, którzy doprowadzeni do ostatecznej rozpaczy rzucali się na druty wysokiego napięcia. Wciąż jeszcze miał przed oczami ich konwulsyjne drgawki, nim śmierć uwolniła ich od cierpienia. Nie był to miły widok, ale nigdy się nad nimi nie litował. Wręcz przeciwnie: gardził ich ucieczką przed zmaganiem się z trudnościami bytu. Nawet gdy znajdował się na najniższym stopniu nazistowskiego piekła, nie miał zamiaru ułatwiać swym prześladowcom pracy. Jeśli chcą go zamordować, niech uczynią to własnymi rękami. On, Liebman, na pewno za nich tego nie zrobi.

Strażnik wsunął przez okratowane drzwi celi kubek z herbatą. Napój miał smak niesłodzonego wyciągu ze słomy, ale gasił pragnienie. Strażnik czekał, aż wypije do dna, odebrał pusty kubek i już chciał odejść, gdy Liebman przytrzymał go za ramię:

– Chwileczkę – poprosił. – Niech mi pan powie, gdzie jestem.

Strażnik zbył go milczeniem. Strażnikom więziennym nie wolno rozmawiać z aresztantami. Liebman wsłuchiwał się w stukot oddalających się kroków. Poczucie samotności było niezwykle uciążliwe. Nigdy nie był gadatliwy, ale osadzenie w pojedynce, bez możliwości wymiany słowa z kimkolwiek, podkreślało jego bezradność. Ani z ulicy, ani z sąsiednich cel nie dobiegały żadne dźwięki. Jakby był sam w całym wszechświecie. Nikt nie zajrzał przez okratowane drzwi, by popatrzeć na zwierzę osadzone w klatce. Nie pamiętał, jak prowadzono go tutaj, długimi korytarzami więzienia, po całonocnym przesłuchaniu. Zmęczony, zwałił się na podłogę i zasnął. Obudził się wczesnym rankiem i wciąż jeszcze nie pojmując, co się stało, wędrował wzrokiem po ścianach pomazanych zieloną olejną farbą. Z betonowej podłogi wiało chłodem i zapachem środków dezynfekcyjnych. Cella nie miała nawet okna. Pod sufitem paliła się żarówka w drucianej osłonie. W kącie stało puste wiadro. Liebman odlał się, przykrył je blaszaną pokrywą i siadł w przeciwnym kącie, usiłując zebrać rozbiegane myśli.

Zdawał sobie sprawę, że nocne przesłuchanie było tylko początkiem, ale nie wiedział czego. Na próżno nagabywał śledczych, aby się dowiedzieć, co mu zarzucają, jakim nieostrożnym ruchem ściągnął sobie na głowę ten niewytłumaczalny areszt, jakiego spisku padł ofiarą. W tych sprawach przesłuchujący byli głusi i niemi. Natomiast godzinami grzebali w przeszłości, jak krety w kretowisku. Kiedy się urodził? Gdzie? Kim byli rodzice? Opowiedz nam o rodzinnym domu... Jakie więzy łączą go z Marią Kot? Jakie książki czyta? Czy ma krewnych za granicą? Gdzie mieszkał podczas okupacji i czym się zajmował?... Każde pytanie stanowiło pułapkę, musiał wymyślać sensowne odpowiedzi, a śledczy nie dawali mu czasu do namysłu. Gdy wydawało się, że zadowolili przesłuchującego oficera, pojawiał się następny i seria pytań zaczynała się od nowa. Odpowiedzi były protokolowane. Kazano mu podpisywać każdą stronę z osobna, nie umożliwiając przeczytania tekstu. Było mu to obojętne, przecież wiedział, że podpis nie ma znaczenia, że jest w ich rękach i mogą z nim zrobić, co zechcą. Oficerowie bezpieki byli uprzejmi, nie wywierali nacisku, nie grozili torturami, nie komentowali tego, co mówił. Mimo to pod koniec przesłuchania doszedł do

kresu sił. Było oczywiste, że nie popuszczą, aż osiągną wyznaczony cel. Ale, na miłość boską, czego właściwie chcieli?

Nagle zakręciło mu się głowie, cela zawirowała, jak obracana na osi. Przez chwilę podejrzewał, że herbata była zatruta lub narkotyzowana. Dużo czytał o preparatach zmuszających ludzi do mówienia prawdy. Po chwili oprzytomniał. To tylko zmęczenie i napięcie. Teraz dla odmiany wydawało mu się, że w żyłach nie krew płynie, lecz roztopiony ciężki ołów. Nie wiedział jeszcze, że przed nim czterdzieści osiem godzin oczekiwania na niewiadome. Prowadzący śledztwo nie spieszy! się. Gdy ponownie wezwano go na przesłuchanie, szedł korytarzami więzienia niemal ucieszony, że znów zobaczy ludzkie twarze.

Tym razem zaprowadzono go na inne piętro, przed inne drzwi. Nie było na nich żadnego napisu, ale wewnątrz pokoju wskazywało na wyższą rangę przesłuchującego.

– Rudolf Nowak? – spytał, jakby nie wiedział, kogo mu przyprowadzono.

– Tak jest. Nazywam się Rudolf Nowak.

– Siadajcie.

Śledczy skierował biurkową lampę na Liebmana. Światło nie raziło oczu, ale zostawiało twarz oficera w cieniu. Jedynie w tych krótkich chwilach, gdy oficer pochylał się do przodu, aby wziąć z blatu biurka jakiś dokument, na kilka sekund krzyżowały się ich spojrzenia. Liebman nic odczytywał we wzroku ubeka wrogości. Była w nim raczej znudzona, prawdziwa lub zagrana, obojętność. Po mieście chodziły słuchy o kazamatkach tortur, o znęcaniu się nad więźniami, o okrucieństwie takich ludzi jak Konstany. Wszystko okazało się dziką fantazją plotkarzy. Oficer za biurkiem był nawet uprzejmiejszy od poprzedników. Po wielu godzinach samotnie spędzonych w celi spotkanie z nim stanowiło miłą odmianę.

Rozmowa toczyła się pomału, jak szeroko rozlana rzeka. Pierwsze dwie godziny upłynęły na znanych już pytaniach i odpowiedziach. Tyle tylko, że tym razem śledczy niczego nie notował, Liebman niczego nie podpisywał. Zza jego pleców dobiegał klekot maszyny do pisania. Powolny, denerwujący, bo protokolant stukał dwoma palcami.

Znów w przeciwieństwie do pierwszego przesłuchania, oficer, który nie chciał lub zapomniał się przedstawić, nie poganiał Liebmana. Za każdym razem, gdy brakło mu odpowiedzi, mówił uspokajająco: „Nie pali się, towarzyszu. Przemyślcie dobrze, co macie do powiedzenia. Mówcie prawdę, bo tylko prawda może was ocalić przed katastrofą”.

– Ocalić? – odważył się zapytać. – Przed jaką katastrofą?

– Wszystko w swoim czasie – uchylił się od odpowiedzi śledczy.

Izaak Liebman zrozumiał, że miara czasu przyjęta na zewnątrz nie obowiązuje wewnątrz więziennych murów. Nie rozumiał natomiast, do czego zmierzał oficer, wspominając o „katastrofie”, i dlaczego musi odpowiadać jak papuga na tylekroć już stawiane pytania. Dopiero gdy przesłuchanie przeciągnęło się do późna w nocy, otworzyły mu się oczy i ogarnęło go przerażenie. Bez trudności potrafił przedstawić wymyślony przedwojenny dom rodziców, ale nie był pewny, czy tak samo go określił przed dwoma dniami. Związki z żoną urwały się, gdy Niemcy zesłali go do Mauthausen. „Porzuciła mnie w najtrudniejszej godzinie” – powiedział. Tyle razy odpowiadał na to pytanie, aż sam zdawał się w to wierzyć. „Kochaliście ją? – chciał wiedzieć oficer. „Oczywiście. To było małżeństwo z miłości”. „A jaki miała kolor oczu?” – padło dziwne pytanie. Gdy szukał w pamięci właściwej odpowiedzi, oficer powtórzył je, dodając: „Mężczyźni pamiętają chyba kolor oczu ukochanej. Pomyślcie spokojnie, na pewno sobie przypomnieć”. Liebman odtworzył w pamięci Reginę leżącą martwą na podłodze łazienki, lecz nie potrafił ustalić koloru oczu. Wydawało mu się zarówno absurdalne, jak i przerażające, że trochę pigmentu w źrenicach jakiejś kobiety może zaważyć na jego losie. Potem śledczy, jakby od niechcenia, chciał wiedzieć, jakich używała perfum i jakie gotowała mu potrawy. Kogo zapraszała do domu podczas okupacji, kim byli ich

przyjaciele w roku 1939 i w 1941. Czy był członkiem podziemnych organizacji i dlaczego nie mieli dzieci.

Nie sposób było spamiętać wszystkich szczegółów. Liebman czuł, że własnymi rękami wiąże węzły sieci, w której musi się zaplatać. Od czasu do czasu śledczy grzecznie zwracał mu uwagę, że ostatnia wypowiedź nie zgadza się z poprzednią. Nad ranem znów był zupełnie wyczerpany, fizycznie i duchowo, zlany polem i nieodporny na wszelkiego rodzaju naciski.

Być może, rozważał, prowadzący śledztwo uważają, że jest to odpowiednia chwila na ostateczne złamanie delikwenta, że w takim stanie sam, niełamany kołem, przyzna się do popełnionych przestępstw. Tylko że Liebman wciąż jeszcze kroczył po omacku, wciąż jeszcze nie znał powodu aresztowania. Kilkakrotnie był świadkiem, jak bogu ducha winnych majstrów skazywano za sabotaż, ba, nawet za szpiegostwo na rzecz egzotycznych krajów, jak Gwatemala czy Honduras, ale niczego takiego nie mogli mu przylepić. Zbyt możliwych miał protektorów, aby dopuścili do takiego oskarżenia, nie narażając na szwank siebie samych. Na sumieniu miał jedynie skradzioną tożsamość. Aby ją wykryć, niepotrzebna była aż tak skomplikowana tragikomedialność.

– Prowadzicie mnie jak fakira po gwoździach! – krzyknął, nie panując nad nerwami. – Dlaczego nic powiecie prosto z mostu, o co chodzi? Nie czuję się winny, nie popełniłem niczego na szkodę partii lub władzy!

– Wszystko w swoim czasie – powtórzył oficer śledczy uspokajająco. – Widzę, że macie dosyć na dzisiaj. Nie odmawiacie zeznań, jak to czynią niektórzy głupcy, więc potraktujemy was odpowiednio. Strażnicy odprowadzą was do celi. Będzie większa, wygodniejsza i już nie pojedyncza.

– Moje nazwisko Szapiro. Doktor Joachim Szapiro. – Nowy współwięzień wyciągnął dłoń na przywitanie. Była miękka, wilgotna i nieprzyjemna w dotyku. Liebman, który tak bardzo pragnął ludzkiego towarzystwa, przyjrzał mu się podejrzliwie. Szapiro, jakby czytając jego myśli, pospieszył zapewnić:

– Nie jestem prowokatorem. Jestem lekarzem.

Liebman przytaknął ze zrozumieniem.

– A ja jestem inżynierem. Moje nazwisko Nowak. Rudolf Nowak.

– Wciąż jeszcze w areszcie śledczym?

– Tak.

– Szczęśliwiec.

– Przepraszam?

– Powiedziałem: szczęśliwiec. Dopóki jest pan potrzebny jako świadek, albo do konfrontacji z innym oskarżonym, nie grozi panu żadne niebezpieczeństwo. Jaki paragraf panu przyszyli?

– Nie mam pojęcia.

Doktor Szapiro uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Ze mną można rozmawiać otwarcie, jestem po wyroku, jedną nogą w grobie. Zapewne chce pan wiedzieć, dlaczego mnie jeszcze nie powiesili.

– To naprawdę nie moja sprawa.

– A jednak powiem. Otóż zanim założą mi stryczek, będę świadkiem w procesie przeciw jakiemuś kolaborantowi z okupantem. Nigdy go nie widziałem, a co nabroił, dowiem się dopiero tuż przed rozprawą. Zresztą, guzik mnie to obchodzi. Zeznam, co każą. Każdy dzień czekania na sprawę to dzień wygrany na loterii. Można powiedzieć, że dostałem urlop od anioła śmierci... Dlaczego pan stoi, przecież możemy rozmawiać na siedząco.

W celi były dwie prycze, każda nakryta szarym kocem, stolik z dwoma zydłami, umywalka z bieżącą wodą i prawdziwa muszla klozetowa. Liebman usiadł na zydłu, Szapiro rozłożył się na prycy.

– Można powiedzieć, że jestem tutaj stałym lokatorem – zaczął Szapiro. – Siedzę od czterdziestego siódmego. Co kilka miesięcy zmienia się towarzysz niedoli. Ostatni był członkiem zbrojnego podziemia. Facet nerwowy, agresywny i dosyć niesympatyczny. Teraz chyba już się uspokoił, jeśli pan rozumie, co mam na myśli.

– Nie bardzo.

– Czapa. Wieczny odpoczynek. Wierzy pan w życie pozagrobowe?

Liebman uśmiechnął się:

– Z trudem wierzę w życie na tym padole płaczu – powiedział.

– Ja cały czas rozmyślam na ten temat. Pamięta pan: „Któż by dźwigał ciężar nudnego życia i pocił się nad nim, gdyby obawa czegoś poza grobem, obawa tego obcego nam kraju, skąd nikt nie wraca, nie wątpliła nam woli i kazała nam pędzić życie raczej w złem już wiadomym, niż uchodząc przed nim, popadać w inne, którego nie znamy. Tak to rozważa czyni nas tchórcami...”. To z monologu Hamleta „być albo nie być”²⁰.

– Kształciłem się w naukach ścisłych – przerwał mu Liebman, nie chcąc przyznać, że nigdy nie czytał Szekspira. – Za co został pan skazany?

– Złożona historia, przyjacielu. Opowiadam ją każdemu z moich sublokatorów, tak ich nazywam, i za każdym razem od nowa staram się zgłębić znaczenie ludzkiej moralności. Czy jest naprawdę uniwersalna? Czy wolno nas osądzać dzisiaj, wedle praw światłej cywilizacji, za to, co czyniliśmy wówczas, w ciemnościach nazistowskiej dżungli?

– Słucham.

– To się zdarzyło w roku czterdziestym czwartym, w Majdanku. Byłem lekarzem obozowym, gdy otrzymałem rozkaz uśmiercenia tysiąca pięciuset żydowskich więźniów. Niemcy twierdzili, że tłok w barakach powoduje epidemię tyfusu, że trzeba przeredzić rzesze więźniów. Przerzedzić, tak to nazywali. Mieliśmy przychodnię przypominającą oborę, a moim pomocnikiem był felczer o kwalifikacjach kowala. Chłop jak dąb. Współwięźniom powiedziano, że będą szczepieni przeciw tyfusowi plamistemu. Stali w ko lejce przed barakiem, wchodzili pojedynczo, nie wiedząc, co ich naprawdę czeka. Felczer trzymał ich mocno za ramiona, a ja wstrzykiwałem im dawkę fenolu, prosto w serce. To im zostawiało kilkadziesiąt sekund życia. Felczer wyprowadzał ich do tylnych drzwi, zaraz za progiem padali martwi. Kilku więźniów z komanda grabarzy kładło trupa na taczki, biegiem zawozili do grobu masowego i wracali po następną ofiarę. Ale nic wszystkich uśmierciłem. Sam nie wiem, dlaczego tak postąpiłem, może z litości może wstąpił we mnie duch boży. Co drugiemu wstrzykiwałem nieszkodliwą sól fizjologiczną i kazałem im udawać martwych, dać się zawieźć do grobu, aby potem, pod osłoną mroku, mogli wrócić do swoich baraków. Nikt nie liczył trupów, a na korzyść mojego kowala muszę powiedzieć, że mnie nie wydał. Także uratowani nie pisnęli słowa. Tyle że nazajutrz przychodzili mi podziękować. Niektórzy całowali mnie po rękach. W ich oczach byłem nie tylko zbawcą, ale wręcz bohaterem. Cud, że gestapowcy nie złapali mnie na gorącym uczynku. Wierzy pan w cuda?

– Nie bardzo.

– W moich oczach cud jest równoznaczny z nadzieją. Jest jak koło ratunkowe, które obca ręka rzuca nam z pokładu tonącego okrętu. Dlatego wierzę w cuda... Gdyby nadawano wówczas odznaczenia za odwagę, miałbym udekorowany nimi cały pasiak. W końcu sam uwierzyłem w szlachetność mojej duszy. Teraz nie jestem już taki pewny tego. „Wszyscy nosimy w sobie winę za wszystko i przed wszystkimi, a ja bardziej niż inni...”. To z *Braci Karamazow*. Czytał pan?

– W młodości. Teraz nie przepadam za Dostojewskim. Za dużo rozterek duchowych, za dużo bicia się w piersi.

20 W. Szekspir, *Hamlet*, przekład Józefa Paszkowskiego, PIW, 1964.

Doktor Joachim Szapiro nie skomentował uwagi. Mówił dalej, widocznie odczuwał potrzebę powtarzania tej historii, jak powtarza się pacierz:

– Pamiętam, ludzie pytali wówczas, gdzie będę po wojnie, bo zechcą mnie odnaleźć, odwdziżyć się. Ale sprawy potoczyły się całkiem inaczej. Widocznie jestem skończonym idiotą, ponieważ opisałem tamte straszne chwile w jakimś piśmie. Nazajutrz mnie aresztowano. Spyta pan za co? Za mord siedmiuset więźniów. Zrobili mi proces, nie zwyczajny, ale pokazowy. Mój obrońca wykopał spod ziemi dziesiątki świadków, którym uratowałem życie. Nie pomogło. Nie pomógł jakiś pokręcony filozof, który zwracał sędziom głowę długim wykładem o dualizmie pojęcia moralności. Przewodniczący zespołu sędziowskiego odczytywał wyrok jak wypracowanie szkolne, cytował przysięgę Hipokratesa, prasa mnóstwo o tym pisała. Dziwne, że nie zwrócił pan uwagi. Teraz, jak już wspomniałem, czekam na kata, a może to kat czeka, aż wypełnię swój obywatelski obowiązek i przyślę mu nowego klienta...

Gedalia Chajes zawsze budził się wcześniej rano, ale po powrocie z Warszawy spał jeszcze, gdy zatelefonowano z KW. Sara odebrała rozmowę. Dopiero godzinę później, gdy stał przed lustrem w łazience i gulgotał, płucząc usta, powiedziała:

– Sekretarz Komitetu Wojewódzkiego chce cię zobaczyć. Nie wiem dlaczego, ale nie podobał mi się ton tego zaproszenia.

– Zawsze widzisz plamy na Słońcu – zbagatelizował jej troskę.

Zanim położyli się spać, zrelacjonował jej pokrótce przebieg wizyty w Warszawie, delikatnie omijając doznane frustracje. Sam nie przetrwał jeszcze wszystkiego, co się zdarzyło. Do KW postanowił pójść pieszo, aby nieco ochłonać. Po drodze zastanawiał się, czy członkowie egzekutywy także tkwią w niewiedzy i kto, do jasnej cholery, pociąga za sznurki.

Pierwszy sekretarz był wyraźnie skonfundowany. W miejscowej hierarchii stanowił najwyższą instancję. Z wysokości stanowiska prowadziły tylko dwie drogi: jedna na szczyt, może nawet do Biura Politycznego, druga w dół, w przepaść niełaski. Sekretarz lubił czyste sytuacje, bez politycznego kręactwa. Zawsze sumiennie wykonywał otrzymywane instrukcje, nie wychylał się ani w prawo, ani w lewo. Ale ostatnio nie było żadnych instrukcji. Od chwili, gdy dowiedział się o zatrzymaniu Nowaka, dwukrotnie łączył się z KC i dwukrotnie zbyto go niczym. A teraz siedział przed nim najbardziej zaufany przyjaciel i milczał.

– Możesz udawać Sfinksa, Gedalia, ale to nie rozwiązuje sprawy. Co się stało? Dlaczego odprawiono cię z kwitkiem?

– Kto powiedział, że odprawiono mnie z kwitkiem?

– Wróble ćwierkają na dachu. A jeśli tak nie jest, to znaczy, że coś przede mną ukrywasz.

– Nie ukrywam niczego.

– Zawsze mieliśmy do siebie zaufanie. Kto nam podstawia nogę?

– Widzisz plamy na Słońcu – użył po raz wtóry tego dnia ulubionego powiedzonka..

– Tak sądzisz? A może to zaćmienie Słońca?

– Przepraszam, nie łapię, do czego zmierzasz.

Dwaj mężczyźni siedzieli naprzeciw siebie i wzajemnie badali się wzrokiem. Szmat drogi przeszli razem. Obaj zastanawiali się, czy nie doszli tym razem do skrzyżowania dróg. Sekretarz wydobyl z kieszeni paczkę papierosów i podał ją Chajesowi.

– Zapal. Zagraniczne.

– Zapomniałeś, że nie palę.

– Boisz się raka płuc?

– Boję się tylko tkanki rakowej, która atakuje partię.

Sekretarz sięgnął po zapalki, przypalił, zaciągnął się mocno i wypuścił z ust kółko dymu, które unosiło się pomału pod sufit.

– Wszystko jest jak ten dymek – powiedział filozoficznie Chajes. – Przed chwilą był, za chwilę go nie będzie.

– Zwołałem na wieczór posiedzenie egzekutywy. Wszyscy potwierdzili obecność, oprócz Czerniakowskiego. Wiesz, co ten spryciarz powiedział? Ze chętnie weźmie udział w zebraniu, pod warunkiem, że przyjdzie także szef UB.

– Brzmi logicznie. Nikt oprócz niego nie jest w stanie wyjaśnić sytuacji.

– Masz rację. Ale szef Urzędu usprawiedliwił się nawałem pracy. Powiedział, że także jutro będzie zajęty, niemal na pewno także pojutrze. Pytałem, dlaczego nie powiedział nam o zatrzymaniu Nowaka. Zamiast wyjaśnienia zaśmiał się do słuchawki. „Nie przejmujcie się, towarzyszu – powiedział – jak tylko zacznie się przedstawienie, przyślę wam bilet do łoża honorowej”. Co byś zrobił na moim miejscu?

– Żądałbym rozpatrzenia sprawy w KC.

– Towarzysze w KC stali się nagle głuchoniemi. Podejrzewam, że wszystko zostało z góry ukartowane, tylko nas zapomniano uwzględnić w scenariuszu. Postanowiłem siedzieć z założonymi rękami i czekać. Musiałem zwołać posiedzenie egzekutywy, ale nie mam zamiaru deklarować się po żadnej ze stron.

– Dla mnie partia stanowi najwyższy autorytet, zawsze opowiadam się po jej stronie.

Pierwszy sekretarz z trudem panował nad nerwami. Drżącą ręką zgniótł niedopałek w popielniczce i wybuchnął gniewnie:

– Zupełnie jakbym słyszał Krzysiaka. On także zawsze zasłaniał się interesem partii. Czyżbyś miał krótką pamięć? Zapomniałeś, jak usiłowaliśmy z nim dyskutować, jak mówiliśmy, że owszem, są cele wyższe, ale jest również codzienna rzeczywistość. Nazywałeś to dialektyką marksistowską. Cytowałeś Marksa, Lenina i Stalina, tak że nikt nie odważył się pisać z obawy, iż oskarżą go o zboczenie z linii. Wiem, że potrafisz manipulować ludźmi. W tej dziedzinie chylę przed tobą czoło. Ale dlaczego próbujesz wmanewrować mnie w sytuację, w którą sam nigdy nie dałbyś się wmanewrować?

– Jeśli dobrze rozumiem, zajmiesz stanowisko dopiero po sprawdzeniu, skąd wieje wiatr – odparł równie oburzony Chajes. — Dawniej, gdy partyjna moralność nie była jeszcze wyświechtanym sloganem cyników, nazywano to oportunizmem. Dobrze wiesz, dokąd posyłał się oportunistów. Widocznie jednak świat się zmienił. Może jutro, albo pojutrze, szef Urzędu poklepie cię po plecach i powie: byłeś grzeczny, dostaniesz cukierka.

– Więc co proponujesz? Otwartą walkę ze służbami bezpieczeństwa?

– Dlaczego nie? Czy partia nie postawiła sprawy jasno? Nie powołała trójki kontrolnej przy egzekutywie? Nie postanowiła, że bezpieka podlega nam, a nie my bezpieczeństwu?

– Chyba oszalałeś.

– Wręcz przeciwnie. W całym tym zwariowanym towarzystwie staram się zachować zdrowy rozsądek. Jeśli partia nie będzie nadrzędna w stosunku do urzędów bezpieczeństwa, monstrum, które stworzyliśmy, obróci się przeciwko nam. Nigdy nie zapomnę przykładu Jagody²¹. Kto wie, jak potoczyłyby się sprawy w Związku Radzieckim, gdyby nie został zlikwidowany.

– Nie strugaj wariata, Gedalia – odparował pierwszy sekretarz. – Jagoda przeniósł się wprawdzie na tamten świat, ale Beria wciąż jeszcze działa. Nie to jednak chciałem powiedzieć. Ja jestem z tobą szczery, a ty nie odpłacasz mi się tą samą monetą. Nie grajmy znaczonymi kartami. Przemilczałeś wszystko, co spotkało cię w Warszawie. Myślałeś, że nie wiem, co? Dlaczego nie opowiedziałeś, jak pukałeś do zamkniętych drzwi i nikt nie chciał ich otworzyć? Jak próbowałeś sprzedać ten wybrakowany towar o wyższości partii, ale nie znalazłeś nabywców. Teraz próbujesz zmobilizować mnie do walki, której wynik został przesądzony. Myślałem, że trochę wyżej cenisz mój instynkt przetrwania.

21 Gienrich Jagoda, szef sowieckich służb bezpieczeństwa, stracony w roku 1938.

- Mówiłem o przetrwaniu ideologii partyjnej, a nie poszczególnych jej członków.
- Wygląda na to, że nie potrafimy już rozmawiać zwyczajnie – powiedział sekretarz i podał Chajesowi rękę na pożegnanie. Gedalia uściska ją z całej mocy. Wydawało się, jakby dwaj przyjaciele żegnali się na zawsze.

Minęły trzy tygodnie od zamknięcia Rudolfa Nowaka. Po krótkim pobycie w celi wraz z Joachimem Szapiro znów przeniesiono go do pojedynki. Nie wiedział, dlaczego tak postanowiono, ale jeszcze mniej rozumiał sens przesłuchań, odbywających się teraz niemal co noc. Śledczy skoncentrowali się na okresie wojennym, nie uwzględniając w ogóle jego obozowych przeżyć, o których gotów był opowiadać do białego rana. Za każdym razem gdy wspominał Mauthausen, odkładali ołówki i notesy. Nie trzeba było wyraźniejszego znaku, że ma odpowiadać tylko na zadane pytania, że nic innego ich nie interesuje. Chcieli znać, po raz nie wiadomo który, nazwiska osób, które odwiedzały go w Warszawie w roku czterdziestym trzecim i czterdziestym czwartym. Tłumaczenia, że był w tym czasie więziony przez hitlerowców, nie przekonywały nikogo. Skończył się „okres pieszczot”, jak to określił jeden z oficerów, i gdy nie otrzymywali zadowolających zeznań, karali go pogorszeniem warunków aresztu. Zdarzało się, że spędzał cały dzień w celi pełnej kału, i dopiero kilka minut przed przesłuchaniem pozwalano mu wziąć prysznic i przywdziać czyste ubranie. Niewiele to pomagało, bo nawet nowy więzienny strój szybko przesiąkał smrodem odchodów. Śledczy odsuwali się od niego jak od zarazy, siedział na niskim krzeselku, w odległości trzech metrów od biurka, na którym z dnia na dzień, a ściślej mówiąc z nocy na noc, coraz wyżej piętrzyły się stosy segregatorów z protokołami. Patrzył na nie z przerażeniem, wiedząc, że mnóstwo w nich sprzecznych wypowiedzi, że zabłądził w gąszczu podchwytliwych pytań i nigdy już się z niego nie wydobędzie. Gdy napięcie przekroczyło granice jego wytrzymałości psychicznej, wstał z plecionego krzeselka i wrzasnął:

– Dosyć tego! Dosyć! – Potem dodał spokojniej: – Nie wiem, do czego mam się przyznać, ale dajcie papier, podpiszę nawet wyrok śmierci na siebie.

Szef Urzędu był zadowolony. Poszło szybciej i łatwiej niż przypuszczał. Konstanty, który znał Nowaka osobiście, twierdził, że „ten człowiek ma nerwy ze stali” i że niełatwo będzie go złamać. Również dyżurni śledczy nie obiecywali szefowi szybkich rezultatów. To za ich poradą kazał zmieniać cele na coraz gorsze. Tuż przed załamaniem się aresztanta miał zamiar przyzwolić na zastosowanie przemocy fizycznej. Jeśli nie uczynił tego wcześniej, to tylko dlatego, że nie chciał pokazać towarzyszom z KC Nowaka pobitego, z posiniaczoną twarzą lub bez paznokci. Zarzuciliby mu wymuszenie zeznań i kto wie, jak by się z tego wykręcił. Teraz było już pewne, że Nowak zasiądzie na ławie oskarżonych czysty, ogolony i zdrowy, niczym nowo narodzony. A co ważniejsze, on sam nie przegiął struny. Zakończył swoją część sprawy, zanim ktoś w Warszawie zaczął zadawać niewygodne pytania. Wprowadził dokument podpisany przez Nowaka był dostatecznie szczegółowy, aby zamknąć sprawę, to jednak utarł nosa i pierwszemu sekretarzowi, i Gedalii Chajesowi, jedynemu człowiekowi, z którym liczył się naprawdę. Cały czas obawiał się, że Chajes jednak znajdzie kogoś w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego, albo może nawet w Biurze Politycznym, kto nakaze przerwania śledztwa. Jeden głupi telefon z Warszawy mógłby mu zepsuć zabawę, podporządkować go tym idiotom z Komitetu Wojewódzkiego, którzy sądzili, że lepiej od niego znają się na sprawach bezpieczeństwa. Teraz, po wszystkim, z zadowoleniem zatarł ręce i kazał przyprowadzić aresztanta.

Strażnikowi, który eskortował Nowaka, wydał rozkaz czekania za drzwiami. Strażnik zasalutował i wyszedł, drzwi zamknęły się za nim bezszelestnie. Nowak natychmiast poznał szefa Urzędu. W przeszłości zamienili ze sobą kilka grzecznościowych zdań, na pokazach filmowych, albo na prelekcjach w Towarzystwie Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Teraz szef nie

nawiązał do poprzedniej znajomości. Zmierzył Nowaka chłodnym, baczным spojrzeniem. Wzrok Nowaka umknął w bok.

Szef Urzędu nosił granatowe ubranie w cienkie białe paski. Ubrania takie otrzymywali funkcjonariusze UB zamiast mundurów. Materiał, nie wiadomo dlaczego popularnie nazywany „tenisem”, natychmiast zdradzał ich profesję, ale nikt nie zdawał się tym przejmować. Maria Kot twierdziła z uporem, iż działa się tak wskutek zaniedbania lub głupoty, lecz było wręcz odwrotnie: niech każdy obywatel wie, że zawsze i wszędzie jest śledzony.

Starannie wystudiowanym gestem szef wskazał Nowakowi, by usiadł. Tym razem nie był to niski zydeł, lecz wygodne staromodne krzesło, niewątpliwie poniemiecki szaber.

– Zapewne domyślacie się, dlaczego was wezwałem na rozmowę?

– To było zaproszenie, którego nie mogłem odrzucić – odparł Liebman, próbując zatuszować zdenerwowanie. Cokolwiek by jednak nie powiedział, nie mógł ukryć drżenia rąk, które splótł na kolanach, lekko podciągając je w górę.

– Pytałem, czy wiecie, dlaczego kazałem wam przyjść?

– Kilku oficerów przesłuchiwało mnie na zmianę, podpisałem jakieś oświadczenie, ale szczerze mówiąc, nie znam przyczyny aresztowania. Jestem aresztowany, prawda?

– Doceniam wasze poczucie rzeczywistości, Nowak – zakpił szef.

– Na ogół mam dobre wyczucie rzeczywistości – odparł Nowak w przypływie nagłej pewności siebie. W więzieniu czuł się odizolowany od świata, zdany na łaskę kalifaktorów i strażników. Tutaj, w jasnym pokoju, na wysokim piętrze gmachu przy Podwalu Świdnickim, przypomniał sobie, że ma jeszcze kilku wpływowych przyjaciół i że przyjaciele ci mogą, jeśli zechcą, przywrócić mu wolność.

– Czyżby? – znów ironizował szef Urzędu. – Dajcie mi przykład.

– Nie ulega wątpliwości, że moje zatrzymanie jest pomyłką. Ktoś popełnił błąd.

– Kto? Może ja?

– Nie miałem na myśli konkretnej osoby.

– A co mieliście na myśli, Nowak?

– Na przykład pracę w Czerwonym Sztandarze. Nie uczyniłem tam niczego, co mogłoby uzasadnić stawiane mi zarzuty.

Szef wpatrywał się długo w dokument leżący przed nim na blacie biurka, potem przeniósł wzrok na Liebmana i znów długo go obserwował. Liebmanowi wydawało się, że minęła wieczność, aż zaczął mówić, ważąc każde słowo na końcu języka:

– Rudolfie Nowak, jesteście oskarżeni o szereg ciężkich przestępstw, ale tylko jedno dotyczy działalności dyrektora Czerwonego Sztandaru. Rozmowa nasza stwarza ostatnią okazję do wyrażenia skruchy. W tej chwili, na tym krześle, siedzicie jeszcze na dobrym miejscu, w środkowym rzędzie, między kilkoma latami więzienia z nadzieją na skrócenie wyroku za dobre zachowanie a stryczkiem. Na pewno wiecie, jaką wagę przykładają prokuratura i sąd do opinii aparatu bezpieczeństwa. Moja opinia zależna będzie od waszego zachowania. Jasne?

– Jasne.

– Nareszcie zaczynamy się rozumieć. Jesteście skłonni uczciwie odpowiadać na moje pytania?

– Tak. Nie mam nic do ukrycia.

Szef Urzędu znów zajrzał do leżącego przed nim dokumentu.

– Kiedy dokładnie opuściliście dom rodzinny?

– Odpowiedziałem na to pytanie co najmniej dziesięć razy.

– Teraz odpowiecie po raz jedenasty. Tyle że tym razem bez wykrętów. Z natury jestem osobą uprzejmą, ale nie wysnuwajcie z tego fałszywych wniosków. Gdy ktoś próbuje mnie oszukać, potrafię być nieprzyjemny. Bardzo nieprzyjemny.

Liebman milczał.

– Oficerowie zwrócili uwagę na sprzeczności w datach, nazwiskach i faktach. Nigdy nie spotkałem człowieka, który by nie znał własnego życiorysu, nie znał dnia, w którym wyszedł z rodzinnego domu, nie pamiętał, czy miał kiedyś psa albo kota. Przepraszam, są tacy ludzie. Wiecie kto? Na przykład ktoś, kogo przybrano w cudzą tożsamość. Kogo, waszym zdaniem, wyposaża się w legendę?... Milczycie?... To ja wam powiem: szpiega. Wydaje mi się jednak, że wasi mocodawcy zadowolili się nędzną fuchą. Nic się nie trzyma kupy. Albo byliście zbyt leniwi, aby wykuć tę legendę na pamięć.

– Zarzucacie mi szpiegostwo? To absurd! – wybuchną Liebman.

– Jesteście żonaci – rzucił szef. Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie faktu.

– Zgadza się. Wyjaśniłem śledczym, że nie mam...

– Posłałem Konstantego do Warszawy, aby potwierdził u żony wiarygodność niektórych zeznań – powiedział szef i zrobił przerwę, czekając na reakcję więźnia. Liebman mocno ścisnął kolana. Szef Urzędu wyraźnie bawił się z nim w chowanego: zimno-zimno, ciepiej-ciepiej, gorąco-gorąco. Powoli, krok za krokiem, prowadził go do kryjówki. Nie była to jednak dziecinna igraszka, lecz niebezpieczna gra hazardowa. Jedno nieopatrzne słowo może go zgubić. Chwilowa pewność siebie rozplynęła się, jakby jej nigdy nie było. Może dlatego wypsnęło mu się zbędne pytanie:

– Jak wam się udało odnaleźć Reginę?

– Tak samo jak wam, Nowak. Dokładnie tak samo – odparł szef i znów zajrzał w papier, jakby znajdował w nim wszystkie pytania i wszystkie odpowiedzi.

– To jakaś pomyłka. Nie widziałem jej od czasu wojny – burknął Liebman.

Szef UB skinął głową. Potem rzucił zniechęcony:

– Wiecie, co nam powiedziała?

– Skąd mogę wiedzieć?

– Nie powiedziała niczego, bo martwi milczą. Wiecie, jak umarła?

– Nie wiem.

– Ja także nie wiem. Ale wkrótce będę wiedział. Milicja zabrała się do roboty. Mają w stolicy kilku prawdziwych fachowców. Udało im się rozwiązać bardziej skomplikowane przypadki. Pomyślcie o tym dobrze, może dojdziecie do wniosku, że macie w tej sprawie coś do powiedzenia.

– O co mnie oskarżacie, na miłość boską!

– Nie wzywajcie imienia bożego nadaremnie – zakpił szef UB. – Regina Nowak ma usta zamknięte na zawsze, ale nie brak innych świadków. Jeśli go ładnie poprosimy, nawet doktor Joachim Szapiro was zgnoi. Zrobi wszystko, aby pożyć jeszcze miesiąc lub dwa.

– Od pierwszej chwili przeczuwałem, że nie bez powodu posłałście mnie do jego celi.

Szef zaśmiał się sucho, zadowolony z siebie.

– Gdybyście ukradli trochę hartowanej stali, albo sprzedali kilka worków cementu na czarnym rynku, mógłbym przymknąć oko. Nie tacy jak wy to robili i chodzą na wolności. My jednak mamy niezbite dowody, że podczas okupacji współpracowaliście z gestapo. Własnymi rękami pomagaliście wysyłać do komór gazowych setki, może nawet tysiące niewinnych Żydów. Obce wywiady wykryły tajemnicę, zaszantażowały was i przekształciły w agenta. Chcę znać nazwiska kurierów, chcę wiedzieć, jakie przekazaliście im informacje, i ile dostaliście za to pieniędzy.

– Gestapo... szpiegostwo... – jęknął Liebman. Co za nonsens. Nie sabotaż w Czerwonym Sztandarze, nie fałszywe dokumenty tożsamości, nawet nie mord Reginy Nowak. Nagle poczuł, jak kamień spada mu z serca. Ulga była niespodziana, całe napięcie spadło, i Liebman wybuchnął głośnym, niepohamowanym śmiechem. Śmiech odbijał się echem od ścian pokoju. Zaniepokojony strażnik wpadł do gabinetu z odbezpieczonym pistoletem w rękę. Szef

Urzędu siedział nieruchomo w fotelu, powstrzymał strażnika uspokajającym gestem i powiedział cicho:

– To tylko nerwy. Sprowadźcie go na dół. Kubeł lodowatej wody na głowę dobrze mu zrobi.

Intermezzo II

FAUSTYN

Niespełna dwa tygodnie po pierwszej Komunii przestał wierzyć w Boga. Pamiętał ten dzień, jak gdyby stało się to wczoraj, a nie przed czterdziestu laty. Mama ubrała go w granatowe ubranko z szerokim, marynarskim kołnierzem, białe skarpety i czarne półbuty z laki. Zanim ruszyli do kościoła, sprawdziła, czy ma czyste paznokcie i czy przedziałek przebiega w samym środku jego jasnych włosów, bo zarówno jej ojciec, jak i brat, czesali się dokładnie tak samo. Zawsze ceniła tradycję. Dla siebie wybrała białą luźną w biodrach suknię, szyję ozdobiła sznurem rodzinnych pereł, przechodzących z pokolenia na pokolenie. Tata uparł się przy szarym garniturze, który nosił także do biura. Niedawno mianowano go zastępcą kierownika działu mniejszości narodowych w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

Była piękna majowa niedziela, okres kwitnienia kasztanów, które rzucały cień na aleję, prowadzącą z domu prosto do kościoła. Faustyn szedł między ojcem i matką, pociągając nogą, bo urodził się porażony lekkim kalectwem. Rodzice nie szczędzili pieniędzy na lekarzy, ale okazało się, że medycyna nie była w stanie poprawić Bożej kreacji. Ułomność przyniósł na świat w genach. Nie wiadomo, czy te same geny wpłynęły na jego niski wzrost, bo mimo tranu i witamin chłopcy w jego wieku przerastali go o głowę. Przecierpiał z tego powodu niemało, ale nigdy nie zapłakał. Od małego był zawzięty i pełen poczucia własnej wartości.

W drodze do kościoła trzymał oboje rodziców za ręce, jakby pragnął podkreślić odwieczną więź rodzinną. Tak to wyglądało na pozór. Ojciec i matka niczego nie żalowali jedynakowi: miał swój pokój pełen książek i zabawek, służąca przynosiła mu co rano świeżo wypraną koszulę z wykrochmalonym kołnierzykiem, prywatna nauczycielka pomagała mu w lekcjach, aczkolwiek nigdy tego nie potrzebował, bo był najlepszym uczniem w klasie. Ale wygodne życie nie obejmowało czułości, która umożliwiłaby mu stworzenie świata wewnętrznych uczuć. W gruncie rzeczy kurczowo trzymał się rąk rodziców, ponieważ był pewien, że kroczy ku nieuchronnej śmierci. Strach ścisnął mu serce.

Przed Komunią, jak nakazywał zwyczaj, zaniósł do spowiedzi grzechy ośmiolatka. Zawsze był dzieckiem wierzącym, przekonany o istnieniu nieba i piekła oraz Bożej sprawiedliwości. Wiedział, że za każdy czyn na tym świecie nadejdzie godzina nagrody lub kary w życiu pozagrobowym. Przed udaniem się na spoczynek klękał przy łóżku, odmawiał pacierz i żarliwie prosił Boga o spełnienie najgorętszego marzenia: nie chciał kuleć. Gdy prośby pozostały niespełnione, umiał sobie wytłumaczyć, że Wszechmogący jest zbyt zajęty, aby mógł wysłuchać życzeń wszystkich dzieci na kuli ziemskiej.

Ojciec Faustyna był praktykującym katolikiem. W młodości zamierzał pójść na studia teologiczne i przyjąć święcenia, służyć ludziom i Stwórcy jako ksiądz, a potem może dochrapać się fioletowej piuski biskupa. Nigdy nie zrealizował tych planów, bo rodzina wybrała dla niego studia umożliwiające karierę w służbie państwowej.

Matka była ewangeliczką, która przed ślubem, nie z przekonania lecz pod presją przyszyłych teściów, przyjęła wiarę katolicką. Do małżeństwa wniosła duchowy posąg: bezkompromisową dyscyplinę protestanckiego kodeksu postępowania. Gdy urodziła kalekie dziecko, dostrzegła w tym wyraz najwyższej nagany za wyrzeczenie się nauki Marcina Lutra. Poczucie winy towarzyszyło jej przez całe niemal życie i zamknęło serce przed bardziej ciepłymi uczuciami. Faustyn żył w rzeczywistości pełnej nakazów i zakazów, karany nie tylko za złe uczynki, ale także za „brudne” myśli.

Przed Komunią poszedł do spowiedzi. Ojciec wielokrotnie wyjaśniał mu sens rytuału. „Przez ucho spowiednika – mawiał – słowa twoje popłyną prosto do nieba”. Aby podkreślić konieczność całkowitej szczerości, dodał:

– Pamiętaj, że kto kłamie Bogu, sprowadza na siebie karę śmierci.

Klęcząc przed konfesjonalem, Faustyn widział tylko czerwone ucho księdza. Po chwili wahania, gdy zniecierpliwiony spowiednik przynaglił „mów, synu”, opowiedział, jak podstawił nogę koledze, drwiącemu z jego ułomności, i jak pozwolił Jance, siedzącej w ławce za nim, odpisać zadanie domowe z rachunków. Przyznał się także do kłamstwa, które umożliwiło mu udział w zabawach na podwórku z kolegami, uznanymi przez mamę za nieodpowiednie towarzystwo dla synka.

– To wszystko? – chciałoby wiedzieć ucho.

– Tak. To wszystko – odrzekł stanowczo, wiedząc, że nie powiedział całej prawdy. Ksiądz nakazał łatwą pokutę: trzykrotne przeczytanie rozdziału trzynastego Ewangelii świętego Łukasza, drugi okres podróży do Jerozolimy, gdzie Łukasz naucza o ciasnych drzwiach do zbawienia. Potem odprawił małego Faustyna.

Teraz, w tę piękną majową niedzielę, serce dziecka waliło jak dzwon. Okłamał Boga. Przychodzi czas na najstraszniejszą z kar. Ukrył przed spowiednikiem największy ze swoich grzechów. Nie wyszeptał w nastawione ucho o przeżyciach owej nocy, gdy wyrwany ze snu dziwnym hałasem w sypialni rodziców, wstał z łóżeczka i na bosaka podszedł do uchylonych drzwi sąsiedniego pokoju. Szeroko otwartymi oczami patrzył na ojca, który otwartą, mocną dłońią bił matkę po gołych pośladkach. Mama nie protestowała, nie zdawała się cierpieć. Nie rozumiał znaczenia tego, co widział, ale zdawał sobie sprawę, że dzieje się coś nieprzyzwoitego. Nikomu nie zdradził tajemnicy owej nocy, tylko gospodyni domowej, która dbała o wszystkie jego potrzeby. Służąca nie próbowała nawet ukryć zakłopotania. Cała w pąsach zaprzysięgła go, aby nigdy nikomu nie mówił o tym, co widział. Teraz, wiedział to całkiem na pewno, nie umknie przed Bożą zemstą. Kto okłamuje Boga, musi umrzeć.

Ponad tydzień nie potrafił skupić się na lekcjach. Pani nauczycielka wpisała odpowiednią uwagę do dzienniczka, ale mama przeszła nad nią do porządku dziennego. Brak skupienia kładła na karb podniecenia, które często ogarnia chłopców po pierwszej Komunii. Ale mały Faustyn źle sypiał, raz śniło mu się piekło, innym razem, że utopił się w stawie z łabędziami w miejskim parku. Gdy minął następny tydzień bez kary, zrozumiał, że skoro nie umarł, nie ma także Boga. Wiara, raz stracona, nigdy już nie wróciła.

Kilka lat później, w gimnazjum, gdzie zaliczał się do najlepszych uczniów, zakolegował się z chłopcami, którzy tak jak on, mimo iż formalnie nie porzucili Kościoła, przestali wierzyć w Boga. Tyle tylko, że nowi koledzy wypełniali próżnię duchową innymi naukami. Czytali prace Darwina, których na próżno by szukać w szkolnej bibliotece, a potem nawet *Kapitał* Marksa, uważany w domu za dzieło szatana. Faustyn pożyczał od nich zakazaną literaturę i z zainteresowaniem czytał ją po kryjomu. Często słyszał, jak ojciec, pracownik działu mniejszości narodowych, opowiadał matce o dyskryminacji tych, którzy nie przyszli na świat jako członkowie jego narodu, jak uniemożliwiano im naukę w macierzystych językach, nie przyjmowano do służby państwowej i nie awansowano w wojsku. Ojciec uważał eliminowanie z życia społecznego „elementów, na których nie można polegać” za politykę jedynie słuszną. Zdarzało się, że chciał go zapytać, jak pogodzić takie postępowanie z

chrześcijańską miłością bliźniego, ale nigdy nie znalazł w sobie dość odwagi, by zadać mu takie pytanie. Z biegiem czasu rozbieżność między tym, co słyszał z ust rodzica, a tym, co myślał, podważyła jego szacunek do ojca. Ucieczka od rodzicielskiego autorytetu prowadziła prosto do podziemnej organizacji komunistycznej.

Gdy znalazł się w areszcie, rodzice nie uczynili niczego, aby mu pomóc. Ojciec, wykorzystując swoje stanowisko w MSW, mógł go wydobyć z opresji. Zamiast tego, wyrzekł się syna. Nigdy nie odwiedził go w więzieniu, matce nie pozwalał wysyłać chłopcu paczek z czystą bielizną i domowym ciastem. Faustyn odsiedział pełne trzy lata, ponieważ nie mógł się wykazać dobrym sprawowaniem. Także za kratkami szukał towarzystwa marksistów, rówieśników, ale również znacznie starszych, takich, którzy odsiadali już drugi lub trzeci wyrok. Władze więzienne wiedziały, jaki wpływ ideowy mają starsi na młodszych. Gdy znalazł się w końcu na wolności, nadal inwigilowany przez tajną policję, nie mógł znaleźć stałej, godziwej pracy. Utrzymywał się z korepetycji udzielanych rozpieszczonym jedynakom w zamożnych domach. Pisanie do podziemnych biuletynów KPP nie przynosiło, rzecz oczywista, żadnych dochodów.

W latach trzydziestych partia pogrążyła się w głębokim kryzysie. Na rozkaz Stalina dokonywano w niej niekończących się czystek, a towarzysze przetrucani przez wschodnią granicę najczęściej lądowali w obozach NKWD. Wszystko to nie podważyło jego głębokiej wiary w słuszność marksistowskiej nauki. Gdy pod koniec roku trzydziestego ósmego zaproponowano mu wyższe studia w Moskwie, nie zastanawiał się ani przez chwilę. Przez Pragę, Wiedeń i Bukareszt dotarł do wymarzonego kraju. Rok po zaatakowaniu Związku Radzieckiego przez Niemców był już absolwentem Akademii Nauk Politycznych, a wkrótce potem skierowano go do szkoły wywiadu w Kambarce nad rzeką Kamą, daleko za linią frontu. Znalazł się tam w towarzystwie Polaków, Węgrów, niemieckich komunistów, Bułgarów, Rumunów i Czechosłowaków. Stalin myślał dalekowzrocznie. Wszystkich zmobilizowano, aby w przyszłości stanowili kadrę kierowniczą w krajach Europy Wschodniej. Mieszkali w koszarach. Mimo iż Rosja głodowała, jedzenia mieli w bród, w zimie rozdzielano im ciepłe fufajki i filcowe walonki, latem, w chwilach wolnych od zajęć, kąpali się w rzece.

Liczni kadeci, tak ich nazywano w Kambarce, byli żydowskiego pochodzenia. Faustyn nie wyżył się jeszcze wyniesionej z domu niechęci do Żydów. Ojciec twierdził, że stanowią mniejszość mniej niebezpieczną od Ukraińców czy Niemców, ponieważ nie mają roszczeń terytorialnych, ale ich sposób życia i myślenia, zakorzeniony w ciemnych księgach Talmudu, czyni z nich grupę społeczną szczególnie obcą narodowemu, chrześcijańskiemu charakterowi ojczyzny. Kiedyś, gdy stanowił jeszcze moralną wyrocznię dla syna, przestrzegał go: „Powinieneś stronić od ludzi w czarnych kapotach, którzy nie golą brody i śmierdzą, bo nie lubią się myć, i którzy noszą w sobie niewybaczalny grzech ukrzyżowania Jezusa. Przede wszystkim jednak musisz wyrobić w sobie ów specjalny ósmy zmysł, który pozwoli ci rozpoznać tych Żydów, którzy golą brody i nie manifestują swojego judaizmu, którzy wyglądają tak jak ty i ja, aby zmylić nas, rozkładać zwartą tkankę naszego narodu, wkradać się do naszych uczelni, rządzić nami przy pomocy swoich pieniędzy i zatruwać nasze mózgi komunistycznymi hasłami. Żydzi to ludzie bez Boga w sercu”.

Przed wojną nie miał styczności z Żydami. Nawet w partii komunistycznej, o której pisano, że jest tworem żydowskiej konspiracji, nie zdarzyło mu się z nimi spotkać. Dopiero tutaj, w Kambarce, stali się jego najbliższymi sąsiadami. Z jednym z nich dzielił pokój. Urodzony w Dreźnie, opowiadał o miłości rodziców do niemieckiej ojczyzny, mimo że byli w niej niechciani. Syn nie poszedł w ślady rodziców. Brutalny antysemityzm pchnął go w ramiona komunistów. Jego wiara w marksizm była łatwo rozpoznawalna. Był dla niego niemal religią. Również pozostali kadeci żydowskiego pochodzenia wyróżniali się motywacją, wyrosłą na tle osobistych rozczarowań. Marzyli o społeczeństwie bez nienawiści

do obcego i jeśli się nie mylił, wielu pałało żądzą zemsty. Potrafił się z nimi utożsamiać, może dlatego, że sam był „człowiekiem bez Boga w sercu”.

Podczas kąpieli w Kamie poznał Tanię, dziewczynę o kruczonych włosach, z lekko wystającymi kośćmi policzkowymi, wskazującymi na tatarskie pochodzenie. Kąpała się w letniej, mokrej do przezroczystości sukience – kostiumy kąpielowe były luksusem nie do osiągnięcia. To ona pierwsza zwróciła się do niego, rosyjskim zwyczajem, po imieniu i imieniu ojca. „Ma się swoje źródła” – uśmiechnęła się tajemniczo, gdy spytał, skąd wzięła jego dane personalne. Tania, rozsądna i wesoła, była wyższa od niego o głowę i nie przeszkadzało jej, że kulał. Faustyn był dumny, iż ze wszystkich przystojnych kadetów wybrała właśnie jego. Po raz pierwszy w życiu poczuł się pełnowartościowym mężczyzną. Wbrew pozorom, nie był to przygodny romans znudzonego, młodego człowieka i lekkomyślnej dziewczyny, szukającej rozrywki. Faustyn znalazł w Tani dojrzałą, kobiecą chęć dania tego, co posiadała, a przede wszystkim ciepło, którego nie znalazł u matki. Dla niej był kadetem, mówiącym po rosyjsku z obcym akcentem, niebiorącym udziału w grach na boisku sportowym, ale za to robiącym wrażenie obiektu, który ze zrozumieniem przyjmie nadmiar uczuć, jakich nie mogła, albo nie chciała zainwestować w chłopcach, niedojrzałych jeszcze do trwałego związku. Często siadywali nad brzegiem rzeki i długo rozmawiali o przyszłym wspólnym życiu, o własnym domu i własnej rodzinie w świecie, gdzie każdy dostąpi równouprawnienia. Faustyn był szczęśliwy, że znalazł partnerkę, którą rozsądek postawił po właściwej stronie bariery.

Często spotykali się w domu jej rodziców. Ojciec Tani był przewodniczącym Rady Miejskiej i z racji stanowiska przysługiwało mu trzypokojowe mieszkanie. Jedyńca miała własny pokój, przedmiot zazdrości wszystkich koleżanek. Podczas południowej przerwy w wykładach, gdy ojciec dziewczyny był jeszcze w pracy, a mama grasowała po targu w poszukiwaniu wiejskich przysmaków, mieli pokój do swojej dyspozycji. Miłosne randki utrzymywali w ścisłej tajemnicy, bo zagranicznym uczniom szkoły zabronione były wszelkie kontakty z miejscową ludnością. Żyli jak na odosobnionej wyspie, w całkowitym oderwaniu od otoczenia. Nawet wizyty w miejskiej przychodni nie były dozwolone. W razie potrzeby lekarz przychodził do nich. W poważniejszych przypadkach wieziono ich do szpitala w odległym o czterysta kilometrów Kujbyszewie.

Słodkie chwile trwały długo, terazniejszość pełna była szczęścia, przyszłość zdawała się rysować różowo, aż pewnego dnia Tania zaskoczyła go trudnym zwierzeniem:

- Od trzech miesięcy nie mam okresu, chyba jestem w ciąży.
- Co zrobimy? – spytał, nic potrafiąc ukryć przerażenia.

Wszystkie szeptane o przyszłym pożyciu, które dla Tani były snuciem rzeczywistych planów, jawiły mu się teraz jako niebezpieczne igranie z ogniem. Dziecko stanie się żywym dowodem grzechu popełnionego wobec partii; grzechu znacznie gorszego od kłamstwa zrodzonego owej nocy, gdy podpatrzył rodziców w sypialni. Ku jego zdumieniu, Tania okazała się dziewczyną praktyczną i zaradną. Znała adres kobiety, która za stosowną opłatą skłonna była spędzić płód. Bezpłatne skrobanki stanowiły powszechne zjawisko w państwowych szpitalach, ale zabieg taki wymagał poparcia komisji społecznej. Członkowie tych komisji nie zwykli trzymać języka za zębami. Faustyn odrzucił obie możliwości. Jako kandydat na członka partii uważał za swój obowiązek wyjawić prawdę, nie licząc się z konsekwencjami. Partia wymagała od swoich członków bezwzględnej uczciwości. Zwalczywszy przestרח, stawił się przed obliczem sekretarza i bez wykrętów powiedział, co się wydarzyło. Wezwany na posiedzenie egzekutywy w szkole przyszłych przywódców, złożył wymaganą samokrytykę. Zacerwieniony jak chłopczyk przyłapany na gorącym uczynku, odpowiadał na kłopotliwe pytania dotyczące spraw osobistych i najbardziej intymnych. Stojąc przed obliczem towarzyszy, Faustyn spuścił wzrok, ale nie uchylił się od odpowiedzi na żadne z nich. Jedyнным pocieszeniem było to, że Tania nie słyszy tej

zawstydzającej spowiedzi. Pod koniec posiedzenia wyproszono go z pokoju. Na wyrok miał czekać za drzwiami. Wieczorem dowiedział się, że partia wzięła pod uwagę jego dotychczasowe nienagane zachowanie i dobre wyniki w nauce, że nie zostanie usunięty ze szkoły, lecz odpowiednia uwaga zostanie wpisana do jegoteczki personalnej i towarzyszyć mu będzie przez całe życie.

– A co z Tanią? – zapytał nieśmiało.

– Nie twoja sprawa – odpowiedział szorstko sekretarz i niecierpliwym ruchem ręki dał do zrozumienia, że debata została zakończona.

Faustyn pospieszył do Tani, aby zrelacjonować dziewczynie przebieg zebrania, ale nie zastał jej w domu. Ojciec nie wpuścił go do środka. Tania zniknęła z Kambarki na zawsze, nigdy nie dowiedział się dokąd. Nie dowiedział się także, czy spędziła płód, czy może urodziła mu syna lub córkę.

We Wrocławiu pojawił się kilka miesięcy po zdobyciu miasta, w mundurze kapitana polskiego Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Wcześniej jego jednostka KBW brała udział w akcji „Wisła”, polegającej na przesiedleniu mniejszości ukraińskiej na Ziemię Zachodnie. Faustyn miał wówczas trzydzieści lat, był człowiekiem surowego charakteru, bezkompromisowym, świadomym misji, którą ma spełnić. Jego pierwszym zadaniem w mieście było wysiedlanie ludności niemieckiej. Nie miał dla niej litości, uważał, że zasłużyła na najgorsze traktowanie. Za swoją pracę, prowadzoną pod kontrolą miejscowej delegatury NKWD, otrzymał liczne pochwały. Wiedział, że współpracownicy nazywają go za plecami „straszny karzeł”, ale nie dostrzegał w tym obelgi. Wręcz przeciwnie. Fakt, że ograniczenia fizyczne nie stanęły mu na przeszkodzie w wykonywaniu obowiązków i nie zmniejszyły poczucia władzy i siły, przysparzał mu sporo satysfakcji.

Nie widział niczego poza służbą. Kobiety przestały dla niego istnieć. Tania została wymazana z pamięci. Jedynym doświadczeniem, jakie wyniósł z raptownie urwanej miłości, było przekonanie, że mówienie całej prawdy nie zawsze jest opłacalne. Adnotacja w teczce personalnej opóźniła o kilka miesięcy awans do stopnia majora. Przygodnych awantur miłosnych wystrzegał się jak ognia. Jedną z sekretarek w Uniwersalu nie szczydziła wysiłków, aby wprowadzić go do łóżka. Była przystojna i bardziej pociągająca niż Tania. Nic dziwnego, że pobudzała jego męską fantazję. Ale obawa przed ponowną wpadką była silniejsza od powabów jej ciała. Odprawił ją z kwitkiem. W jego kasie pancerniej spoczywała teczka zawierająca wszystkie szczegóły pożycia prokuratora okręgowego z młodą kochanką. Wiedział, że nigdy nie uczyni czegoś, co mogłoby spowodować, że podobna teczka z jego nazwiskiem znajdzie się w szafie pancerniej prokuratora.

Gwoli prawdzie, nie miał wielu okazji do zawierania przygodnych znajomości. Kobiety w służbach bezpieczeństwa policzyć można było na palcach jednej ręki; żadna nie mogła pretendować do tytułu królowej piękności. Nie prowadził życia towarzyskiego, nie uczestniczył w wystawnych kolacjach w Monopolu, nie bywał w klubie oficerskim, nie brał udziału w niedzielnych wycieczkach organizowanych przez towarzyszy, rzadko pojawiał się na pokazach filmowych w sali TPPR. Nie zaglądał nawet do nowego Domu Partii przy ulicy Cybulskiego. Do późnej nocy pracował zamknięty w swoim gabinecie, kontakt ze światem zewnętrznym utrzymywał na ogół przez telefon. Powszechna niewiedza dotycząca jego życia prywatnego wzmacniała pojęcie „straszego karła”. Sprawiało mu to swoistą satysfakcję.

Dwa razy w tygodniu uczestniczył w wykładach prawa na Uniwersytecie imienia Bolesława Bieruta. Były obowiązkowe dla wszystkich wyższych funkcjonariuszy służb bezpieczeństwa. Był pilnym uczniem, tak pilnym, że szybko nauczył się czytać między wierszami, i szybko pojął, iż nowe ustawodawstwo jest elastycznym narzędziem, służącym interesom władzy. Sądy doraźne i wojskowe, zdalnie sterowane, bez skrupułów ścinały głowy wszystkich tych, którzy stanęli jej w poprzek drogi. Nierzadko był świadkiem egzekucji

dokonywanych w więzieniu przy Kleczkowskiej. Skazanych chowano anonimowo na cmentarzu Osobowickim.

Także cywilne zespoły sędziowskie dobierane były pod kątem widzenia interesów aparatu władzy, a każdy sędzia przechodził przez sito partyjnej kontroli, jednak Faustyn wiedział, że na rozsądki tych sędziów nie może polegać bez zastrzeżeń. Nie licząc drobnych wyjątków, wszyscy byli posiadaczami czerwonych legitymacji PPR, a potem PZPR, ale niektórzy zbyt dosłownie traktowali suchą literę prawa. W kilku przypadkach, które doprowadziły go do białej gorączki, sędziowie zasłaniaли się brakiem dowodów rzeczowych i ferowali łagodne wyroki, zapominając, że każdy złodziej mienia publicznego to w gruncie rzeczy wróg, sabotujący narodową gospodarkę. Aby uzyskać wyniki wymagane przez Warszawę, należało starannie opracowywać teczkę śledztwa. Nakładało to na niego i na jego podwładnych żmudną i zbędną, jego zdaniem, pracę. Niemal zawsze pociągała za sobą konieczność bardziej brutalnego traktowania aresztantów. Na szczęście, sądy wciąż jeszcze widziały we własnoręcznie podpisanym zeznaniu wystarczający dowód winy.

W maju 1948 roku wymazano z teczki personalnej Faustyna otrzymaną w Kambarcie nagane. Wnet po tym otrzymał szlify podpułkownika i nominację na szefa UB. Nie ulegało wątpliwości, że „straszny karzeł” stał się, obok pierwszego sekretarza KW i prokuratora wojewódzkiego, najsilniejszym człowiekiem na Dolnym Śląsku. W pewnym sensie, mimo kulawej nogi, wdrapał się na szczyt piramidy.

Władze bezpieczeństwa zostały zorganizowane na wzór podobnych służb sowieckich. Wprowadzie jednostki Armii Czerwonej przeniosły się do Legnicy i innych garnizonów, ale Faustyn wciąż jeszcze musiał ostrożnie zerkać w stronę swojego radzieckiego doradcy. Z dużą umiejętnością wydłużał smycz, na której był prowadzony. Zarząd Informacji opanował niemal całkowicie sądownictwo wojskowe i niemal codziennie prowadził ze swoimi konkurentami cichą walkę o kompetencje: kto będzie przesłuchiwał aresztowanych, kto posadzi ich na ławie oskarżonych, kto będzie zbierał laury. Ponieważ Informacja Wojskowa nie miała agentury wśród ludności cywilnej, Faustyn coraz częściej odnosił swoje małe zwycięstwa.

Jego gabinet mieścił się na trzecim piętrze starego budynku z czerwonej cegły, przy Podwalu Świdnickim. Na elektrycznie zamykanych drzwiach nie było żadnego napisu. Długi korytarz prowadzący do pokoju, w którym spędzał nieraz osiemnaście godzin na dobę, chroniony był dniem i nocą przez uzbrojonych wartowników. Nie było bezpośredniego przejścia z gabinetu szefa do pomieszczenia, w którym urzędował jego zastępca, starszy od niego wiekiem major, również absolwent radzieckich uczelni. Tak zaplanował niemiecki architekt siedzibę gestapo. Szef UB nie widział powodu, aby to zmieniać.

Gabinet szefa był przestronny, z dużego okna rozpościerał się widok na korony dębów, rosnących wzdłuż alei. W nielicznych wolnych od zajęć chwilach chętnie opierał się o parapet i cieszył wzrok soczystą zielenią. Zimą stronił od tego miejsca. Nie lubił śniegu i mrozu. Po prawej stronie ogromnego biurka mieściła się kasa pancerna. Tylko on i radziecki doradca mieli do niej klucze. Pod ścianą stała stara skórzana kanapa. Gdy nie wracał na noc do domu, kładł się na wytartej skórze, nakrywał wełnianym pledem aż po czubek głowy i spał snem sprawiedliwych. W kącie, z ogromnej donicy wyrastał krzew fikusa, a naprzeciw biurka, w odległości dwóch metrów, stał fotel przeznaczony dla gości i dla przesłuchiwanych.

Aresztanci bardzo rzadko mieli zaszczyt rozmawiania z szefem. Przesłuchiwania odbywały się na dole, na parterze lub w suterenie, w pokojach śledczych sąsiadujących z celami więziennymi. Także ten układ został starannie zaplanowany przez niemieckich budowniczych. Faustyn uznał, że był nawet bardziej funkcjonalny od tego, który widział kiedyś podczas wizyty roboczej w moskiewskiej Łubiance. Zanim doprowadzano aresztantów przed oblicze śledczych, często na „jazdę pociągiem”, jak nazywano

dwudziestoczwierogodzinne przesłuchania, w trakcie których co dwie godziny zmieniali się oficerowie UB, zatrzymani byli więzieni w małych celach bez światełek i bez bieżącej wody. Szczególnie opornych karmiono słonymi śledziami, odmawiając możliwości gaszenia pragnienia. Innym zakłócano możliwość snu, bezustannie emitując z głośników drażniącą ucho muzykę. Powszechne było zakuwanie rąk i nóg w kajdany, nierzadkie przypadki bicia.

Faustyn brzydził się fizycznej przemocy. W Kambarce uczono podstaw anatomii. Lekarz w białym kitlu, pięćdziesięcioletni łysiejący mężczyzna, posługiwał się gipsowym modelem ciała, aby wskazywać na jego słabe miejsca i wyjaśniać, jak należy je wykorzystywać, nie zostawiając widocznych śladów. Faustyn nie lubił tych lekcji i nie cierpiał mentorskiego tonu wykładowcy, który przemawiał jak profesor, a w gruncie rzeczy był zwykłym instruktorem torturowania. Treść jego wykładów na pewno nie stanowiła części obowiązującego kursu na uniwersyteckich wydziałach medycyny. Natomiast z przejściem brał udział w lekcjach psychologii, podczas których nauczyciele przyswajali mu wiedzę potrzebną do intelektualnego zmierzenia się z przesłuchiwanym. Teraz, jako szef Urzędu, zdawał sobie sprawę, że przymus widoczny stanowi niezbędną część składową udanego śledztwa, ale bardziej fascynował go pojedynek rozumu z rozumem. Im inteligentniejszy był przesłuchiwany, tym trudniejsze było wyzwanie i tym słodsze zwycięstwo. Każde takie śledztwo traktował jak grę w szachy, w której trzeba przewidzieć kolejne posunięcie przeciwnika, a własne starannie zaplanować.

Cierpliwość stanowiła klucz do sukcesu. Pogrożki, szczególnie dotyczące rodziny aresztanta, niemal zawsze zapewniały przyspieszenie wyników, ale szef uważał je za środek świadczący nie tyle o słabości charakteru przesłuchiwanego, ile raczej swojej własnej.

Od dnia, w którym wyniesiono go do rangi podpułkownika, osobiście nie prowadzi! już śledztw. Zadowalał się bieżącym instruowaniem podwładnych. Ingerował jedynie w wyjątkowych przypadkach, gdy śledczy bezradnie utykali w ślepych zaułku, lub gdy sprawa wzbudzała w nim szczególne zainteresowanie. Jego ingerencje nie zawierały na ogół dokładnych wskazań, nie wnikał w metody śledztwa, domagał się tylko „zadowolających wyników”. W powiedzeniu tym kryło się milczące przyzwolenie na stosowanie wszelkich możliwych środków nacisku. Zdawał sobie sprawę, że stoi w pierwszej linii frontu bezkompromisowej walki z wrogami ludu i że w walce tej każda broń, nawet jeśli raziła jego poczucie estetyki, była dozwolona. Zdarzały się przykre wypadki przy pracy, aresztanci umierali podczas śledztwa. Mimo iż karcił swoich oficerów surowo, zawsze i skutecznie bronił ich przed zewnętrzną interwencją. Jego ludzie doceniali to i byli mu wdzięczni.

Śledztwa, przygotowywanie dowodów rzeczowych, sporządzanie odpowiednich protokołów nie wyczerpywało całego zakresu jego pracy. Wprawdzie kompetencje wojewódzkiego szefa Urzędu Bezpieczeństwa nigdy nie zostały formalnie sprecyzowane, zdawał sobie sprawę, że skupia w swoich rękach odpowiedzialność za wszystkie sprawy dotyczące bezpieczeństwa. Urząd kontrolował specjalną jednostkę Milicji Obywatelskiej do rozpędzania wrogich manifestacji, posiadał dział, którego zadaniem było duszenie wszelkich dążeń do strajków i innych wyrazów społecznego niezadowolenia, a ostatnio, w myśl instrukcji otrzymanych od pułkownika Fejgina, szefa X Departamentu MBP, zbierał materiały agenturalne dotyczące wszystkich osobistości partyjnych i państwowych w regionie.

Przy wszystkich tych złożonych zadaniach Urząd przypominał przede wszystkim taśmę produkcyjną, wyrzucającą co roku określoną liczbę teczek, przekazywanych prokuraturze do sporządzania formalnych aktów oskarżenia. Tak jak wydajność zakładów pracy oceniano na podstawie wykonania rocznych lub trzyletnich planów produkcji, tak ilość zamkniętych teczek świadczyła o wydajności służb bezpieczeństwa. W wyścigu o sukces trwała wieczna pogoń za świadkami, którzy, w myśl wymagań sądowych, musieli podbudowywać akty oskarżenia niepodważalnymi zeznaniami. Gdy zachodziła tego potrzeba, podwładni szefa aresztowali osoby, których związek z oskarżonymi był całkowicie przypadkowy i zmuszali

ich do podpisywania obciążających dokumentów. Zdarzało się, że świadkowie tacy zgłaszali się z własnej woli, w przekonaniu, iż pomagając „słusznej sprawie”, pomogą także sobie. Żaden z nich nie wiedział, że właśnie ich fałszywe zeznania zaowocują długim pobytom za kratkami. Szef nie mógł sobie pozwolić, aby osoby, które poznały z bliska metody działania aparatu bezpieczeństwa, poruszały się swobodnie wśród ludzi i opowiadały o swoich przeżyciach.

Pospolitym przestępcom, złodziejom i paskarzom starano się doczepić wrogie intencje, chęć szkodenia nowemu ustrojowi, lub wręcz szpiegostwo. Mały kodeks karny w nowej wersji ułatwiał to zadanie. Podczas rewizji w mieszkaniu aresztowanego spekulanta znaleziono autobiografię austriackiego inżyniera, komunisty, który w latach trzydziestych wyemigrował do Charkowa. Tytuł książki, *Wielka czystka*, odnosił się do stalinowskich czystek w roku 1936. Autor został zatrzymany i oskarżony o szpiegostwo na rzecz jednej z republik Ameryki Południowej. W kazamatach NKWD zażądano, aby wydał pozostałych członków siatki szpiegowskiej. Austriak, wyróżniający się doskonałą pamięcią, szybko wyrecytował nazwiska większości inżynierów zatrudnionych w Charkowie. Ich aresztowanie sparaliżowałoby przemysł w mieście. Oficerowie NKWD, pragnąc zmniejszyć krąg rzekomych szpiegów, prosili o nazwiska szczególnie aktywnych obcych agentów. Austriak upierał się przy swoim: wszyscy szpiegowali tak jak on. Gdy śledczy zignorowali jego zeznania, wysłał skargę do Naczelnej Prokuratury w Moskwie, zarzucając swoim oprawcom zaniedbywanie obowiązków. Nie wiedząc, jak sobie poradzić z upartym „szpiegiem”, postanowiono go zwolnić i odesłać do Wiednia. *Wielka czystka* znalazła się na biurku szefa. Czytał ją z wielkim zainteresowaniem, często śmiejąc się do rozpuku. Potem zarządził, aby posiadacz książki, paskarz produktów żywnościowych systematycznie kradzionych z magazynów spółdzielni „Społem”, został skazany za sabotaż na dwadzieścia lat ciężkich robót.

Praca tego rodzaju wymagała gładkiej współpracy z prokuraturą i z zespołami sędziowskimi. Było to szczególnie ważne w przypadkach, gdy jego ludzie, mimo wszystkich możliwych wysiłków, nie uzyskali wyraźnego przyznania się do winy. Osobną, nie mniej istotną sprawą było ograniczenie działalności zbyt gorliwych obrońców, szperających w aktach w poszukiwaniu sprzecznych zeznań. A co najważniejsze, nie wolno było dopuścić, aby w procesach przy drzwiach otwartych oskarżeni wyparli się złożonych pod przymusem zeznań. Faustyn wiedział, że jest wybitnym fachowcem w tym rzemiośle.

Rozdział ósmy

Z TAKIMI PRZYJACIÓŁMI NIE TRZEBA WROGÓW

Nie, to naprawdę nie było do śmiechu. Dwadzieścia cztery godziny spędził w ciemnym, dźwiękoszczelnym bunkrze, do bioder wypełnionym zimną wodą. Strażnicy zbyt dosłownie zinterpretowali rozkaz szefa. Chłód wdzierał się aż do szpiku kości, paraliżował umysł. Liebman nie mógł spać, nie mógł też myśleć logicznie. „Mam nadzieję, że czułeś się jak ryba w wodzie” – zadrwił dyżurny klucznik, gdy przyszedł go wyprowadzić. Po całej męczącej dobie pozwolono mu wziąć ciepły prysznic, zmieniono ubranie, a po zamknięciu w suchej i przestronnej pojedynce podano talerz gorącej zupy. Smakowała jak najlepsze danie w Monopolu.

Dopiero teraz, między czterema betonowymi lecz suchymi ścianami celi, udało mu się przeanalizować treść rozmowy z szefem UJB. Wciąż jeszcze nie pojmował, na czym opierały się absurdalne oskarżenia o kolaborację z okupantem. Niejasne były również aluzje dotyczące Reginy Nowak. A co najgorsze, nie potrafił wypracować rozsądnej taktyki następnych rozmów. Intuicyjnie wyczuwał, że szef znajduje dziwne zadowolenie w zabawie w kotka i myszkę, i że na pewno nie zrezygnuje z dalszego jej ciągu. Wiedział też, że nic dobrego z tej zabawy nie wyjdzie. Maria Kot spotkała szefa jeden jedyny raz i natychmiast skonstatowała, że ludzie ułomni są na ogół źli; że pragną mścić się na bliźnich za swoje kalectwo. Wówczas odrzucił to twierdzenie z całą stanowczością, która zawsze dochodziła do głosu, gdy czuł, że rozmówca ma rację, ale uważał, iż nie wypada tej racji przyklasnąć. Gdyby powiedziała to teraz, przypuszczalnie przytaknąłby bez zastrzeżeń. W jego położeniu nie miało to oczywiście żadnego znaczenia, bo bez względu na motywy szefa, był całkowicie zależny od „straszego karła”, bezbronny wobec jego niezupełnie przejrzystych intencji. Zdawał sobie sprawę, że w im większym stopniu staje się gliną w jego rękach, tym łatwiej przyjdzie szefowi UB ulepić go na wzór wszystkich innych ofiar. Pułapka zacieśniała się coraz bardziej. Mózg Liebmana pracował gorączkowo, ale nie znajdował z tej pułapki wyjścia.

Dotychczas niewiele czasu poświęcił biografii Rudolfa Nowaka. Nawet gdy nękała go obawa, że pewnego dnia pojawi się i stanie mu na drodze, nie ciekawił go jako człowiek i nie zastanawiał się nad jego przeszłością. Był to błąd nie do naprawienia. Niewiedza wepchnęła go w płataninę kłamstw, małych, lecz dramatycznie niebezpiecznych. Powinien był wcześniej pomyśleć, że nikt nie istnieje w próżni, bez związku z otoczeniem, bez dobrych i złych uczynków, bez miłości i nienawiści, a co najważniejsze, bez pozostawiania śladów obecności na drodze życia. W chwili gdy Nowak wysiadł z pociągu na zabitej deskami austriackiej stacyjce, wymazał go z pamięci. Uczynił to tak skutecznie, że nawet rysów jego twarzy nie potrafił obecnie odtworzyć.

Izaak Liebman wyróżniał się pamięcią selektywną, taką, która niemal automatycznie umożliwia wyrzucenie z szarych komórek wszystkich tych, którzy stawali się zbędni. Dzięki temu zawsze mógł wyplenić niepotrzebne i skupić się na sprawach rzeczywiście

istotnych. Nie przewidział, że może nastąpić moment, w którym właśnie plewy staną się sprawą najistotniejszą. Starał się więc z całą mocą wyłowić z mroku zapomnienia sylwetkę Rudolfa Nowaka, wskrzesić ją do nowego życia, aż zamglona postać zaczynała przybierać formę człowieka spotkanego w pociągu repatriantów. W ramach obrazu coraz wyraźniej rysowanego przez śledczych zaczynał nabierać kształtów portret człowieka, który przypuszczalnie był kolaborantem hitlerowców.

Czyżby była to kara boża? Kara? Za co? – buntował się wewnętrzny głos Liebmana. Za to, że uniknąłem losu ofiar prowadzonych do komór gazowych? Za to, że raz na zawsze zerwałem z przekleństwem, które ciążyło mi jak kamień młyński u szyi?

Ojciec Izaaka szczyił się drzewem genealogicznym rodziny i z szacunkiem wymieniał imiona i nazwiska przodków, rabinów, mędrców i cadyków, jakby byli postaciami z dynastii udzielnych książąt i królów. Dziadek, który nie przykładał wagi do pochodzenia, zwykł był żartować: „Czy mam szanować kundla tylko dlatego, że jego praojcowie nie szczekali podczas wyjścia Żydów z Egiptu?”²². Ale dziadek nie wysnuł żadnych wniosków, nie uczynił potrzebnego kroku, nie porzucił wiary przodków. Aż do śmierci swoim semickim wyglądem rzucał losowi wyzwanie. A przecież mógł się wychrzcić i zaoszczędzić sobie, a także wnukowi, nieludzkich cierpień. Wszystkie te jednak rozważania niewarte były teraz złamanego szeląga. Co było to było, nic już nie zmieni rzeczywistości. Zostało tylko ogromne zmęczenie, kładące się na barki Liebmana, jakby dźwigał na nich ciężar całego świata. Pragnął odpoczynku. Chciał spać. Ale twarda betonowa podłoga nie pozwalała mu zasnąć. A gdy w końcu zasnął, na ekranie niechcianego snu pojawiała się Regina Nowak, wdychająca gaz w łazience swego warszawskiego mieszkania. Pragnął wyzwolić się od tej mary, ale teraz, dla odmiany, nie mógł się obudzić.

Prawdziwi komuniści zaliczają się do tej wyjątkowej warstwy społecznej, która nigdy nie błądzi i nigdy nie popada w kolizję z prawem. Tak w każdym razie głosiła partyjna propaganda. Aby nie podważać tej prawdy, usuwano z szeregów partii każdego członka, który miał zasiąść na ławie oskarżonych. W myśl wewnętrznych przepisów, egzekutywa Podstawowej Organizacji Partyjnej stawiała odpowiedni wniosek na ogólnym zebraniu POP w zakładzie pracy. Jeśli uzyskiwał większość głosów, a tak się działo w przeważającej liczbie przypadków, sprawa wędrowała do Komitetu Miejskiego lub Wojewódzkiego do ostatecznego zatwierdzenia. W przypadkach szczególnych, gdy relegowano kogoś z zarządu przedsiębiorstwa, lub rzecz dotyczyła zasłużonego w przeszłości komunisty, zasięgano rady centralnych władz partyjnych w Warszawie.

Przez niemal dwa tygodnie Rudolf Nowak wzywany był na rozmowy z szefem UB. Chociaż aresztant wyparł się poprzednio złożonych zeznań i z uporem twierdził, że zaszła jakaś tragiczna pomyłka w ustalaniu jego przeszłości, szef doszedł do przekonania, iż nadszedł czas, aby skreślić go z listy członków partii. Nominacja, którą Rita przedwcześnie wręczyła swojemu dyrektorowi, komplikowała procedurę, ale szef Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa obawiał się, że zbyt długie przeciąganie czasu może pokrzyżować plany. Chajes nie zwykł zasypiać gruszek w popiele. A dopóki Nowak posiadał legitymację partyjną, UB nic mógł przekazać teczki prokuraturze do ostatecznego opracowania aktu oskarżenia. Szef był święcie przekonany, że zebrany materiał stanowi wystarczający i przekonujący dowód współpracy Nowaka z okupantem oraz szpiegostwa na rzecz obcego wywiadu. Wciąż jeszcze nie był pewny, czy będą to Stany Zjednoczone, Niemcy Zachodnie, czy też, w obawie przed reakcją mocarstw, jakieś egzotyczne państwo w Ameryce Łacińskiej. Ostatnie słowo w tej sprawie i tak będzie należało do MBP i do Biura Politycznego. Przypuszczalnie zadecyduje splot wydarzeń związanych z przebiegiem zimnej wojny. W jego osobistym interesie leżał

22 Żydowska tradycja powiada, że gdy Mojżesz wyprowadzał lud Izraela z ziemi egipskiej, milczenie psów nie przerwało snu strażników faraona.

wielki pokazowy proces, może nawet otwarty dla przyjaznej prasy zagranicznej. Proces taki nie tylko wzmocniłby mu pozycję w województwie i udowodnił raz jeszcze jego wysokie kwalifikacje, ale stanowiłby także ogromny skok do przodu w karierze, taki, który ścieli drogę do wysokich stanowisk w Warszawie. Pozycja podsekretarza stanu w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego nie była już czczym marzeniem. Przy tym miał głębokie przeświadczenie, że działa nie tylko dla swojego dobra. Wygodne było przekonanie, iż proces przekształci się w arenę zwycięskiej, psychologicznej walki ze sceptykami, którzy z powątpiewaniem odnosili się do czystych intencji władzy socjalistycznej. Nawet zacięci przeciwnicy nowego ustroju będą musieli przyznać, że partia dokonuje uczciwego i bezwzględnego rozrachunku z kolaborantami. Kilkakrotnie rozmawiał na ten temat z towarzyszami w Warszawie. Wszyscy byli zgodni, iż wokół hasła walki z pozostałościami nazizmu łatwo będzie zmobilizować masy.

Więź narodu z partią była ogólnie używanym, wytartym sloganem. Szef UB nie miał złudzeń. Nigdy nie akceptował i nie rozpowszechniał półprawdy. Zdawał sobie sprawę, że komuniści stanowili nielubianą mniejszość i że udało im się sięgnąć po władzę absolutną jedynie dzięki jednorazowemu, historycznemu zbiegowi przypadków. Był człowiekiem oceniającym realnie sytuację. Wiedział doskonale, iż gdyby chory Franklin Delano Roosevelt nie uściśnął w Jałcie dłoni zdrowo myślącemu Stalinowi, on sam nie siedziałby dzisiaj na piątym piętrze ceglanego biurowca, otoczony uzbrojonymi funkcjonariuszami bezpieczeństwa i nie planowałby w spokoju ducha pokazowego procesu Rudolfa Nowaka. Gdyby nie klęska Niemców i wygodny podział Europy, jego naturalnym miejscem pobytu byłaby cela w piwnicach tego domu. Gdyby wierzył w Boga, przypuszczalnie twierdziłby, że Wszechmogący, w swojej bezgranicznej mądrości, oddał władzę komunistom. Ponieważ jednak wychował się w duchu dialektyki marksistowskiej, badającej świat jako proces nieustannych przemian, wiedział, iż władza przeszła w ich ręce w wyniku z góry przewidzianego rozwoju historycznego. W Kambarce kadeci studiowali *Krótki kurs historii WKP(h)*. Pamiętał dokładnie rozdział traktujący o dialektyce: „Ponieważ nie ma na świecie zjawisk oderwanych i ponieważ zawsze są powiązane z sobą, i zawsze podlegają obopólnym wpływom, musimy odnosić się do każdego ustroju politycznego i do każdego ruchu społecznego nie z punktu widzenia absolutnej sprawiedliwości; nie możemy także traktować go jako niezmiennej ideologii; należy wziąć pod uwagę warunki, które przyczyniły się do powstania danego ustroju lub ruchu społecznego. Świat podlegający nieustannym przeobrażeniom, gdy stare umiera i rodzi się nowe, ustala prawa historycznego rozwoju i stąd niepodważalny wniosek, iż każdy porządek społeczny może zostać podważony i że nie ma niczego stałego w układzie, w którym dominują własność prywatna i wyzysk mas pracujących. Dlatego też powinniśmy znać przeszłość, ale patrzeć wyłącznie do przodu”.

Szef cytował ten akapit bez zajknięcia, uśmiechając się z zadowoleniem, że wrył mu się w pamięć na zawsze. Równocześnie zdawał sobie sprawę, że minie jeszcze sporo lat, nim naród zaakceptuje nauki marksizmu oraz zasadę dyktatury proletariatu jako ustrój stojący na straży jego interesów. Do osiągnięcia tego celu potrzebna jest usilna działalność propagandowa, a w razie potrzeby także polityka silnej ręki. Szef przypomniał sobie dodatkowo takie zdanie: „Przejście od kapitalizmu do socjalizmu i wyzwolenie mas pracujących z wyzysku nie zostanie dokonane w procesie powolnych przemian; niezbędny jest przewrót, a więc rewolucja”. W oczach szefa UB proces Rudolfa Nowaka będzie jeszcze jednym bojem w walce o zwycięstwo tej rewolucji. Nie zagoiły się wciąż świeże rany hitlerowskiej okupacji, a nienawiść do okupanta nadal stanowiła wspólny mianownik. Wokół takiego wydarzenia łatwo będzie zjednoczyć wszystkie warstwy społeczne, nawet te mniej przychylnie obecnej władzy.

Artykuł ze starej niemieckiej gazety, położony mu na biurku przez Aleksandra Krzysiaka, po tym gdy były dyrektor Uniwersalu został odprawiony z niczym przez prokuratora, stanowił iskrę, która wznieciła pożar. Podobnie jak większość towarzyszy z KW, odczuwał wstręt na sam widok tego utopijnego komunisty. Ale szef UB myślał innymi kategoriami niż Chajes i Czerniakowski. Nie odprawił Krzysiaka. Przemógł starą antypatię, wysłuchał go dokładnie i polecił jednemu z najbardziej zaufanych agentów natychmiastowy wyjazd do Warszawy. Miał przeczesać wszystkie archiwa i zetrzeć kurz zapomnienia ze wszystkich dokumentów, dotyczących aresztowania Rudolfa Nowaka z dyrekcji niemieckich kolei państwowych. Jeśli była choć kropla prawdy w dziegiu tej nieprawdopodobnej historii, nie pozwolił sobie przez osobisty stosunek do Krzysiaka zaprzepaścić okazję.

Konstanty przywiózł z Warszawy nadspodziewanie obfity plon. Nie tylko plik dokumentów, ale także szczegółową informację o tym, jak Gedalia Chajes starał się zdusić sprawę w zarodku. Jego motywy były zrozumiałe i on sam, szef Urzędu, nie postąpiłby chyba inaczej. Chajes stworzył Rudolfa Nowaka w jego obecnej postaci. Każdy cios wymierzony w dyrektora Czerwonego Sztandaru uderzył rykoszetem w jego protektora.

– Chajes rzuca się jak mucha, która wpadła do gorącej zupy — zaśmiał się Konstanty, relacjonując wyniki podróży. W pierwszym odruchu szef chciał go skarcić. To niedopuszczalne, aby funkcjonariusz średniej rangi pozwalał sobie na tego rodzaju lekceważące powiedzonka w stosunku do jednego z czołowych działaczy w mieście. Gdy jednak przemyślał sprawę dokładniej, postanowił udawać, że nie zwrócił uwagi na bezczelność Konstantego. Ten człowiek wykazał się w przeszłości sprytem i wiernością, a w najbliższych dniach będzie mu potrzebny, jak nigdy przedtem.

Do czwartej nad ranem ślęczał szef UB nad stosem teczek z byłego archiwum Armii Krajowej. Osoba Rudolfa Nowaka i jego działalność podczas okupacji były tam dokładnie opisane i udokumentowane. Po wojnie warszawskie władze bezpieczeństwa zatrzymały większość akowców związanych z opracowaniem sprawy inżyniera Nowaka i skonfiskowały każdy znaleziony u nich papierek. Podziemni działacze podeszli do sprawy niezwykle solidnie, ponieważ AK zamierzała wydać na kolaboranta wyrok śmierci. Ubiegli ją Niemcy, aresztując delikwenta. Na polecenie MBP obszerna dokumentacja została oddana do wglądu szefowi UB we Wrocławiu. Zawierała między innymi dokładną listę członków podziemia, którzy mieli jakkolwiek styczność ze sprawą. Szef postanowił ich odnaleźć i wykorzystać jako świadków oskarżenia. Konstanty znów został wydelegowany do stolicy. Tym razem jednak wrócił z pustymi rękami. Cenni świadkowie zginęli w kazamatach gestapo, w powojennych więzieniach, lub po prostu rozjechali się po Polsce. Mimo to szef nie opuszczał rąk. Teleksem wysłane pytania dotarły do każdego posterunku MO w kraju. Rozpięta została ogromna sieć, aby wyłowić z tłumu te specjalne ryby, które szef pragnął mieć we własnym stawie. Z kilku komisariatów nadeszły odpowiedzi: „Poszukiwana osoba została zlokalizowana i gotowa jest świadczyć”.

Szef Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa nic zaliczał się do ludzi, którzy szybko zachłystują się powodzeniem. Zimno i logicznie kalkulował każdy krok. Patrząc na drogę, jaką przebył, zdawał sobie sprawę, że najtrudniejsze zadania stoją przed nim. Upór aresztanta wciąż jeszcze stanowił barierę, którą musi pokonać lub przeskoczyć. Wprawdzie uzbierany materiał wystarczał, aby każdy sąd posłał Nowaka do więzienia, a może nawet na szubienicę, ale szef pragnął pełnej satysfakcji. Jego ambicja domagała się głośnego przyznania do winy. Będzie to pierwszy tego rodzaju proces w jego karierze i chyba dlatego oczekiwał pełnego zwycięstwa; chciał widzieć oskarżonego bijącego się w pierś i skomlącego o litość. Ale męczące przesłuchania i poniżające warunki aresztu nie położyły inżyniera Nowaka na łopatki. Trudno było zrozumieć, dlaczego właśnie po tym, gdy wybuchnął dzikim, desperackim śmiechem, wyparł się wszystkiego w żywe oczy i jakby nabrał nowego hartu ducha. Szef był świadomy, że popełnił gdzieś błąd, ale nie wiedział, kiedy i gdzie. Jeśli pośle

go na ławę oskarżonych bez podpisanego przyznania się do winy, będzie to przedstawienie Czerniakowskiego, a nie jego własne.

Szef nie lekcewał ambicji i zdolności prokuratora. Czerniakowski przekształcił przewód sądowy w scenę, na której zagra pierwszą rolę, zbierając oklaski widzów. Do tego nic mógł dopuścić. Oczami wyobraźni czytał samochwalcze sprawozdania, które prokuratura wysyłać będzie do Warszawy. Kiedyś w przystępie dobrego humoru powiedział Czerniakowskiemu, że gdyby posiadał jego talent, zostałby literatem, a nie funkcjonariuszem bezpieczeństwa. Tak więc Czerniakowski potraktuje akt oskarżenia jako majstersztyk pisarski, a w każdym odcinku sensacyjnej powieści przylepi mu jakąś łatkę za niedokończoną robotę. W końcowym rozdziale zbierze oklaski, mimo że stchórzył, nie mając odwagi otwarcia śledztwa na własną rękę. Jeśli uda się złamać Nowaka, zanim zasiądzie na ławie oskarżonych, funkcja prokuratury ograniczy się do zwykłej procedury sądowej, on zaś, szef Urzędu, zostanie bohaterem dramatu.

Była późna wieczorna godzina, większość funkcjonariuszy opuściła już budynek, gdy znów polecił przyprowadzić aresztanta. Postanowił, że tym razem potraktuje go jak starego znajomego, zaproszonego na przyjacielską pogawędkę. Nowa metoda może przynieść nowe wyniki.

— Przykro mi, że nie mogę poczęstować was kawą, ale bufetowa nie pracuje w godzinach nadliczbowych – uśmiechnął się na przywitanie i wskazał Nowakowi krzesło. Wcześniej przesunął swój fotel z biurka, aby ich nic nie rozdzielało, by mogli siedzieć obok siebie, niemal jak równy z równym.

– Nie szkodzi – odpowiedział Liebman podobnym tonem. – Przyzwyczyłem się do tego, że w tym hotelu nie ma całodobowego serwisu do pokoi.

Był wyraźnie znużony i żaden uśmiech nie mógł zmasać ciemnych worków pod oczami, wyniku bezsennych nocy. Policzki miał blade, pokryte lekkim zarostem, wargi spękane, włosy jakby przyprószone kurzem. Szef udawał, że tego nie dostrzega.

– Tym razem nie będziemy tracić czasu. Spiesz się do domu.

– Mnie się nigdzie nie spieszy – odparował Liebman. – Wiecie przecież, że nie mam już domu.

– Nic traktuję was jak zwykłego przestępcy – kontynuował szef, ignorując uwagę Liebmana. – Pod wieloma względami jesteście człowiekiem bardzo wyjątkowym. Cenię sobie waszą analityczną zdolność myślenia, dlatego apeluję do waszego rozsądku. Przecież wiecie, że z faktami nic można dyskutować. Czy pokazano wam zebraną dokumentację?

– Nie. Śledczy cytowali z niej długie wyjątki, ale niczego nie dali mi do ręki. Zresztą nawet gdyby umożliwili mi wgląd do teczki, nie skorzystałbym z okazji. Nie jestem zwolennikiem literatury science fiction. Wiem, kim jestem, i żadne kłamstwo nie może tego zmienić, nawet jeśli...

– Chwileczkę – przerwał mu szef. – Pozwólcie, że wyjaśnię wam wasze położenie. Strusia polityka chowania głowy w piasek nic nie pomoże. Mówię to jak przyjaciel, nie jako szef Urzędu Bezpieczeństwa. Mogę zrozumieć, że zamknęliście rozdział życia i otworzyliście nowy, że chcecie wymazać przeszłość. To wasze prawo. Czasami udaje się zmienić niepisaną historię. Ale przede mną leżą dowody, które czarno na białym przypominają wszystko to, co pragniecie zapomnieć.

– Wy, towarzyszu, wiecie chyba najlepiej, że także pisaną historię łatwo można zmienić. Jestem prenumeratorem Wielkiej Radzieckiej Encyklopedii. Na krótko przed aresztowaniem otrzymałem list z wydawnictwa w Moskwie. Zawierał dokładne instrukcje wycięcia jednej z kartek w czwartym tomie i wklejenia na jej miejsce nowej. Załączono nawet rysunek, jak to zrobić, aby nie pozostawić śladu operacji. A wszystko to dlaczego? Bo zmieniła się historyczna ocena działacza, który wczoraj był bohaterem, a dzisiaj stał się zdrajcą. Na

Kremlu powiał inny wiatr, więc nagle pozbawiono go zaszczytów i orderów. Znacie to zjawisko? Nie? Szkoda. Bo to jest dokładnie to, co spotyka mnie teraz. Ciekaw jestem, co powiedzą wszyscy ci, którzy jeszcze tak niedawno chcieli mnie widzieć w egzekutywie Komitetu Wojewódzkiego Partii.

– Coś się wam pokręciło w głowie, Nowak. Z całym szacunkiem dla waszej osoby, nie jesteście jeszcze postacią historyczną – powiedział spokojnie szef. – Tacy jak wy znikają bez śladu bez polecenia wymiany kartek w encyklopediach. Wystarczy jedno moje słowo, aby wytoczyć wam sprawę w sądzie wojskowym, przy drzwiach zamkniętych. Dostalibyście czapę za kolaborację i szpiegostwo i nikt w mieście nie miałby odwagi zapytać, co się z wami stało.

Liebman milczał. Zdawał sobie sprawę, że szef UB mówi prawdę. Nerwy znów miał napięte, palce u dłoni zaczęły znowu drżeć. Ponieważ nie siedzieli przegrodzeni blatem ogromnego biurka, nie mógł tego ukryć przed wnikliwym wzrokiem szefa. Ten zaś rzeczywiście zakonotował reakcję rozmówcy i doszedł do wniosku, że milowymi krokami zbliża się do celu. Nadszedł czas zadania decydującego uderzenia. Bez słowa podniósł się z fotela i podszedł do szafy pancerniej. Liebman śledził go uważnie. Szef szukał czegoś na półkach, aby po krótkiej chwili wrócić z zielonym segregatorem w rękę.

– Uczynię w stosunku do was gest, jakiego nigdy dla nikogo nie zrobiłem – oznajmił trochę patetycznie. – Weźcie szkic aktu oskarżenia, przeczytajcie go uważnie, bez pośpiechu. Będzie dla was jak owo zwierciadło z bajki, które nigdy nie kłamie. Każda strona odkrywa jakąś kartę waszego życia. Na każdej stronie spotkacie starych znajomych, Niemców i Polaków, o których myśleliście, że dawno już nie żyją. Ale wszyscy istnieją, oddychają, patrzą na świat i chcą się urządzić w życiu. Pomogę im w tym, umożliwiając im złożenie świadectwa w waszym procesie. Wszystko w tej teczce jest rzeczywiste i realne, nie wyciągam królików z rękawa. Daję wam dwie godziny. Usiądźcie wygodnie, rozluźnijcie nerwy, spróbujcie spokojnie sobie poczytać. Jest teraz dokładnie północ. Zostawiam was sam na sam z tą fascynującą lekturą. Skoczę do domu, zjem coś na chybcika i wrócę o drugiej nad ranem. Przynieść wam kanapkę z serem i kiełbasą?

– Dziękuję. Nie mam apetytu.

Zielony segregator zawierał ponad sto stron rękopisów i maszynopisu. Był to rzeczywiście materiał stanowiący podstawę do ostatecznej wersji aktu oskarżenia. Obok oryginalnych dokumentów znajdowały się ręką pisane uwagi, przypuszczalnie uzupełnienia i komentarze funkcjonariuszy, którzy opracowywali materiał. Liebman nie mógł wiedzieć, że jedno niezwykle ważne zeznanie zostało usunięte, zanim wręczono mu segregator.

Szef nie chciał odkrywać wszystkich kart przedwcześnie. Ostrożność była zbędna, Liebman bowiem nie spieszył się z otwarciem kartonowych okładek. Gdy tylko zamknęły się drzwi za szefem, podszedł do okna i odsunął ciężką draperię. Okno było zakratowane. Nie był zaskoczony. Jakże mogłoby być inaczej, pomyślał. Kraty nie przeszkadzały mu, nie miał zamiaru wyskakiwać z piątego piętra. Życie wciąż jeszcze było mu miłe. Nawet w chwilach, gdy mogło się wydawać, że nie jest warte złamanego szeląga, wciąż jeszcze było najcenniejszym skarbem, jaki posiadał. Pragnął tylko zerknąć na zewnątrz, stworzyć sobie krótką iluzję wolności. Ale świat za oknem był równie ponury jak wnętrze budynku. Uliczne latarnie rzucały blade światło na pustą aleję, a niebo było czarne, bezgwiezdne.

Szef nie poszedł do domu. W ścianie oddzielającej biuro sekretarki od jego gabinetu znajdował się wizjer. Ukryty za portretem Bieruta, był niewidoczny dla niewtajemniczonych. Szef przyłożył oko do szerokokątnego obiektywu, umożliwiającego obserwację całego pomieszczenia. Gdy Liebman wstał z krzesła i skierował się ku oknu, uśmiechnął się z zadowoleniem. Oczekiwał takiej właśnie reakcji. Czynili to niemal wszyscy przesłuchiwani. Wyrażało to ich tęsknotę do wolności. Spojrzenie na świat zewnętrzny wzmagало ich frustracje i uświadamiało ze szczególną mocą ich bezradność. Na ogół miało korzystny

wpływ na dalszy ciąg przesłuchania. Ciekaw był, jak to podziała na Nowaka. Po kilku minutach, gdy wrócił na miejsce i położył segregator na kolanach, szef pragnął ujrzeć wyraz twarzy aresztanta. Liebman jednak przysunął krzesło do biurka i siedział teraz zwrócony plecami do wizjera. Ale nawet w tej pozycji, a szef był mistrzem w odczytywaniu języka ciała, treść dokumentów zdawała się nie robić na nim wrażenia. Żelazne nerwy czy całkowita obojętność, wynikająca z apatii i załamania? Minuty pełzły, jakby nie składały się z sekund. Szef czekał cierpliwie. Jak by nie było, wiedział, że nerwy Nowaka zdają znacznie trudniejszy egzamin.

Do ostatniej strony przyczepiona była kartka z odręcznym pismem szefa: „Właśnie zakończyłeś czytanie szkicu aktu oskarżenia, który zostanie przedstawiony sędziom. Skrucha wpłynie na złagodzenie wyroku. W załączonej kopercie znajdziesz odpowiedni dokument. Twój los jest w twoich rękach. Podpisz, a będzie to wszystko, co mogłeś zrobić dla własnego dobra”.

Liebman nie tknął załączonej koperty. Zamknięty segregator odłożył na blat biurka i pomalutku obrócił się w krzesło, opierając ręce na oparciu. Obojętnym wzrokiem błędził po pustej ścianie. Wyglądał jak znudzony pasażer, czekający na spóźniony pociąg. Szef zasłonił wizjer portretem Bolesława Bieruta i zaklął. Starannie obmyślona psychologia spaliła na panewce. Punktualnie o drugiej kazał wyprowadzić więźnia. Podoficer, który prowadził go do windy, zerechotał:

– Zanocujesz w przestronnej celi. Tej samej, którą dzieliłeś z doktorem Szapiro. Tym razem pałac stoi do twojej wyłącznej dyspozycji. Szapiro dostał idiotycznych wyrzutów sumienia i odmówił współpracy. Wczoraj wykonano wyrok. Dla typów nieprzydatnych nie ma miejsca w porządnym towarzystwie.

Szef zaczął przyzwyczajać się do myśli, że upiecze ciasto bez rodzynek. Było jasne, iż Rudolf Nowak nie przyzna się do winy. Konstanty zauważył zimno:

– Jeden szkopuł nie przesądza sprawy.

W gruncie rzeczy nie był to jedyny szkopuł. Było ich co najmniej trzy. Droga do pełnego sukcesu wiodła przez opór lub zgodę trzech działaczy, którzy konkurowali z szefem o priorytet w regionie. Niestety, bez ich udziału nie mógł zamknąć kręgu. Na pierwszym miejscu stał Gedalia Chajes. Tylko on miał prawo zwołać posiedzenie Podstawowej Organizacji Partyjnej w Czerwonym Sztandarze i spowodować usunięcie Nowaka z szeregów partii. Nawet gdyby udało się podstępnie ominąć Chajesa, należało wątpić, by towarzysze bez jego wyraźnego poparcia zgodzili się skreślić swego dyrektora z listy członków PZPR. Na drugim miejscu figurował sekretarz Komitetu Wojewódzkiego. Do jego wyłącznej kompetencji należało zatwierdzenie lub odrzucenie uchwały podjętej przez walne zebranie POP. Mógłby podjąć próbę przeprowadzenia sprawy za plecami tych dwóch, bezpośrednio w Komitecie Centralnym, ale byłoby to równoznaczne z wypowiedzeniem wojny podjazdowej działaczom regionalnym. Nie leżało to w jego interesie. Na trzecim miejscu plasował się prokurator Czerniakowski. Bez jego czynnego udziału przewód sądowy mógł przynieść niebezpieczne znaki zapytania. Oskarżenie musiało być prowadzone bez jednej luki prawnej, przez którą Nowak mógłby się prześlizgnąć jak węgorz. Była to sytuacja niemal nieprawdopodobna, ale szef nie zamierzał brać na siebie najdrobniejszego nawet ryzyka. Pragnął procesu, który odbije się głośnym echem w kraju i za granicą i ustali raz na zawsze jego pozycję w środowisku, w którym działał. Na zawsze? – mruknął sam do siebie, bo nagle przypomniał sobie historyjkę z wymianą kartek w encyklopedii.

Sara Chajes przygotowała mężowi ulubioną kolację: karpia po żydowsku, przyprawionego siekaną cebulką, z jajkiem na twardo, szczyptą tartej bułki i sporym dodatkiem cukru. Czasami dziwiła się, skąd u niego takie upodobanie, bo przecież nie wychował się w tradycyjnej żydowskiej rodzinie. W jej domu karp po żydowsku i biała, świeża chała

stanowiły nieodłączną ozdobę stołu podczas sobotniej wieszery. Ojciec potrafił „oddzielić”²³ nie tylko święte od powszedniego, ale także karpia na słodko, jak go przyrządzali Żydzi w Polsce, od karpia na ostro, w stylu Żydów litewskich. Różnice kulinarne stawały się często tematem zażartych, głośnych debat biesiadników, jak gdyby los judaizmu zależał od łyżki cukru lub szczypty pieprzu. Pusta gadanina spowodowała, że znieawidziła nie tylko karpie, ale wszystkie ryby o wylupianych oczach, twardej łusce i ościach, które utykały między zębami. Jeśli mimo to podawała Gedalii jego ulubioną potrawę, było to dowodem prawdziwej miłości do męża.

Gedalia miał zwyczaj dzielić się z Sarą problemami i wątpliwościami, które go nurtowały. Jednak od czasu gdy na powierzchnię wypłynęła sprawa dyrektora Czerwonego Sztandaru, nabrał wody w usta. Nie uciekał się do jej porady i nie wtajemniczał żony w bieg wydarzeń. Sara miała własne chody i własne źródła informacji. Wiedziała dokładnie, jak gorączkowo szuka wyjścia z płataniny, w którą się wpakował, częściowo z własnej winy. Na początku domagała się wyjaśnień, prosiła o szczerłość. Gdy kryzys stał się widoczny, niemal wypisany na twarzy Gedalii, przestała naciskać. Czekwała, aż sam zdecyduje się wyłożyć karty na stół. Miała nadzieję, że nie nastąpi to za późno.

Ugotowany karp cierpliwie czekał w galarecie na pojawienie się Gedalii. Dawniej, gdy praca zatrzymywała go w zakładzie do godzin wieczornych, zwykł zawiadamiać Sarę telefonicznie. Obecnie, gdy spóźnienia stały się nagminne, przestał dzwonić.

– Przepraszam – wymamrotał, wchodząc do mieszkania. W przedpokoju zrzucił z siebie marynarkę i pospieszył do łazienki. Po chwili wyszedł i wycierając twarz czerwonym, włóchatym ręcznikiem, wyjaśnił:

– Musiałem się splukać zimną wodą. – Po chwili dodał w półśmiechu: – Nie wiem, czy to upał na mieście, czy może krew uderzyła mi do głowy.

– Fale gorąca charakterystyczne są dla wieku przejściowego – odparła ironicznie.

Gedalia przewiesił ręcznik przez poręcz krzesła. Wisiał tam, takie odniosła wrażenie, jak czerwona płachta toreadora w walce byków. Sama nie wiedziała, skąd to porównanie, ale wydało jej się trafne. Bez słowa wzięła ręcznik i ostentacyjnie odniosła go do łazienki. Gdy wróciła do stołowego, Gedalia miał przed sobą talerz z karpem, patrzył nań jak na starego znajomego, ale nie tknął jedzenia.

– Cenię sobie twoje starania, ale nie mogę jeść.

– Zjesz, kiedy zechcesz – powiedziała bez obrazy. Znow odczytała na jego twarzy zmęczenie i napięcie. Odniosła wrażenie, że doszedł do momentu, w którym zechce wyjść z pancerza, jakim od dłuższego czasu zasłaniał się przed dociekliwymi pytaniami. Przeczucie było słuszne. Podała mu kieliszek wódki.

– Splukałeś twarz, przepłucz także gardło – powiedziała żartobliwie.

Wbrew zwyczajowi, lekko zamoczył język w kieliszku i skrzywił się.

– Co to za bimber?

Sara przemilczała uwagę męża.

– Chcesz coś innego? Jest koniak, mamy także whisky.

– Nie, dziękuję.

– Jesteś wykończony. Pościelić ci łóżko?

– Nic mi nie jest. Poza tym za wcześnie na spanie.

Sara łyknęła mały łyk alkoholu.

– Wódka jest bez zarzutu – stwierdziła. – Ale skoro narzekanie sprawia ci przyjemność, nie żałuj sobie. Przeżyłam wojnę, przeżyję także twoje kaprysy. Od dawna nie prowadziliśmy tak ciekawej rozmowy.

23 Oddzielenie (hebr. Hawdala) – uroczyste zakończenie szabatu w sobotę wieczorem, wyznaczające granicę między czasem świętym a powszednim, połączone z odpowiednim cyklem modlitw.

Nie było w jej głosie ani krzty wyzwania. Gedalia zmierzył ją baczным spojrzeniem, lecz nie znalazł w kąciku jej ust ironicznego uśmiešku, który mieszkał tam zawsze, gdy próbowała się wymądrzać.

– Miałaś rację. Wódka jest w porządku – powiedział. – Dlaczego mi przepuściłaś?

Sara przypomniała sobie gorące dyskusje o smaku karpia.

– Niewarte było wysiłku.

– Wiesz, dlaczego przyszedłem tak późno?

– Nie. Ale chyba dowiem się w ciągu kilku minut.

– Jesteś nie do wytrzymania.

– Na tym polega mój urok.

– Przesiedziałem kilka godzin z Czerniakowskim i z szefem Urzędu.

Przeanalizowaliśmy sytuację i doszliśmy do wniosku, że wytoczymy Nowakowi sprawę.

– Co to znaczy „doszliśmy do wniosku”? Jeszcze niedawno byłeś odmiennego zdania.

– Jest takie angielskie porzekadło: jeśli nie możesz zwyciężyć przeciwnika, zawrzyj z nim przymierze.

– Wiesz, że mój angielski nie jest najlepszy. Mam trudności ze zrozumieniem niuansów.

– Czy nie twierdziłaś zawsze, że *my home is my castle!*

– To było dawno temu, gdy nie mogliśmy się opędzić od przyjaciół. Teraz, gdy towarzysze rozplłynęli się we mgle, czuję się jak w oblężonej twierdzy.

– Wkrótce zmienisz zdanie.

– Umieram z ciekawości.

– Oboje wiemy, że historia kolaboracji wyssana jest z palca.

– Z czyjego? Bo palec palcowi nierówny – zauważyła z całą powagą.

– Oboje znamy prawdziwą tożsamość Nowaka – kontynuował, zignorowawszy uwagę Sary.

– Raczyłeś mi to wyjawić dopiero po spotkaniu z Brozą.

– Przedtem nie było niczego, co by wymagało wyjawienia. Nie żądasz chyba, abym cię zajmował każdym drobnym szczegółem. Przecież nie prowadzę sklepiku z pasmanterią.

– Oczywiście – rzekła, nie ukrywając drwiny. – Ważne osobistości nie zajmują się drobiazgami. Tyle tylko, że potem drobiazgi zatruwają nam życie. Tak w każdym razie zdarzyło się w naszym przypadku. Więc co? Proces jest nieunikniony?

– Niestety, tak. Nie ulega wątpliwości, że w latach czterdziestych istniał niejaki Rudolf Nowak. Pewne jest również, że współpracował z nazistami.

– Gdzie jest obecnie?

– Przeminał z wiatrem. Może umarł. Może ukrywa się pod fałszywym nazwiskiem. Może pojawi się na sali sądowej incognito, zasiądzie w części przeznaczony dla publiczności i będzie miał pyszną zabawę.

– Zawsze umiałeś sobie radzić. Dlaczego nie spróbujesz go odszukać? Wyobrażam sobie zamieszanie, gdybyś wyciągnął go z lamusa dzień przed rozpoczęciem procesu. Szef UB dostałby zawału serca, Czerniakowski zachorował na impotencję – zaśmiała się.

– Chętnie wziąłbym udział w tym cyrku, ale sama rozumiesz, że bez pomocy milicji i bezpieki nigdy go nie odnajdę. Gdzie mam go szukać? W kościele czy w burdelu?... Wiem, wiem, zaraz powiesz, że jest jeszcze kilka innych miejsc w tym kraju. Ale czegokolwiek bym nie zrobił, będzie to szukanie igły w stogu siana. Nie wyobrażasz sobie chyba, że szef UB będzie skłonny popełnić małe harakiri tylko po to, aby zadowolić Gedalię i Sarę Chajesów.

– Sarę i Gedalię – poprawiła go. – Nawet w socjalizmie obowiązuje uprzejmość wobec kobiet.

– Czy powiedziałem już, że jesteś nie do wytrzymania?

– Powiedziałeś.

– W takim razie przepraszam, że się powtarzam.

– Cieszę się, że próbujesz mnie dotknąć. To najlepszy znak, że nie straciłeś wiary w siebie.

– Nie masz pojęcia, jak słuszne jest to stwierdzenie.

– Oczywiście, że mam pojęcie. Zapomniałeś, że zawsze mam rację?

– Chcesz się spierać, czy wolisz wysłuchać mnie do końca?

– I to, i to... Jakie stanowisko zajął ten tchórz Czerniakowski?

– Siedzi w kieszeni kamizelki szefa Urzędu.

– Szef nie nosi kamizelek – zauważyła rzeczowo.

– Skurwysyn zapytał go dwukrotnie o zdrowie Lali. Wystarczyło, żeby towarzysz prokurator zesrał się w spodnie.

– Co za język, Gedalia. Gdzie twoje dobre wychowanie... Tak naprawdę, chętnie zobaczyłabym tę parę w akcji. Brzuchaty amant jako brutalny kochanek.

– Gdybym znał twoje skryte marzenia, postarałbym się, aby w klubie TPPR wyświetlili odpowiedni film. Jestem przekonany, że szef trzyma w swoich schowkach kilka ciekawych taśm nakręconych bez wiedzy Czerniakowskiego. Wróćmy jednak do tematu. Nie miałem złudzeń, wiem, z kim mam do czynienia. Gdy zapewnił mnie uroczyście, że bym się nie obawiał i że pamięta wyświadczoną mu przysługę, od razu wiedziałem, że nie mogę na nim polegać. Jak się ma takich przyjaciół, wrogowie są niepotrzebni.

– Tak więc, *nolens volens*, przyłączyłeś się do szajki.

– Nie było innego wyjścia. Mają w ręku człowieka, któremu łatwo przyklepić akt oskarżenia.

– Nie cytuj mi Konstantego, proszę. Znam tę jego wypaczoną filozofię: „dajcie mi człowieka, a ja już dopasuję mu paragraf. Ohyda.

– Mówisz od rzeczy.

– Jeszcze jak do rzeczy. Mogę zrozumieć interes partii. Kolaborant na ławie oskarżenia, tytuły w krajowej i zagranicznej prasie, wielkie propagandowe osiągnięcie kosztem niewinnego człowieka. Masz się czym chwalić.

– Ostatnie słowo nie zostało jeszcze powiedziane.

– Jesteście jak bracia syjamscy. Nowak w więzieniu, a gdzie Chajes?

– Uspokój się, nie urodziłem się wczoraj.

– I nie zrobili cię małym palcem. Znam te powiedzonka na pamięć. Ale gadanina nie rozwiązuje problemu. Chyba że coś przede mną ukrywasz.

– W pewnym sensie – przyznał i po raz pierwszy od początku rozmowy lekko się uśmiechnął.

– Zagadka?

– Łatwa do rozwiązania. Przesiedzieliśmy kilka godzin i dokonaliśmy podziału zadań. Szef UB zobowiązał się dostarczyć cały materiał obciążający, łącznie z nazwiskami świadków. Czerniakowski przygotowuje akt oskarżenia czysty jak łąza i twardy jak skała. Bez jednej szczyliny.

– A ty?

– Ja załatwię usunięcie Nowaka z partii. Bez tego nie mogą posadzić go na ławie oskarżonych.

– A potem Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść – zdenerwowała się Sara.

– Znowu angielskie przysłowie – zauważył złośliwie.

– Nie widzisz, że chcą cię wykorzystać, nie zapewniając niczego w zamian. Dwóch spryciarzy zbierze laurki, a ty zostaniesz na lodzie.

– Murzyn nie może odejść, bo została jeszcze czarna robota, którą musi wykonać. Proszono mnie, abym znalazł odpowiedniego obrońcę. Proces ma mieć charakter pokazowy. Polska Ludowa jest państwem praworządnym, a oskarżony jest niewinny, dopóki nie udowodni mu się winy.

- Po co te głupie żarty?
- Nigdy w życiu nie byłem poważniejszy.
- Dlaczego akurat ty? Mamy w mieście doskonałe zespoły adwokackie. Mogą sobie wybrać, kogo chcą.
- Powiedzmy, że podjąłem się tej misji ochotniczo.
- Spiskujesz?
- Zaproponowałem wziąć Butera.
- Emila?
- Skąd to zdziwienie w twoim głosie?
- Bo wiesz, że doprowadzi ich do szewskiej pasji. To nie jest kukła, to obrońca z prawdziwego zdarzenia.
- Ale członek partii z niepodważalną opinią. Nie mogą go zdyskwalifikować.
- Co dalej? – Sara była teraz szczerze zaciekawiona. – Scenariusz sensacyjnego filmu?
- Coś w tym rodzaju. Trzymają go na zmianę w bunkrze z lodowatą wodą lub w wygodnej celi. Grożą szubienicą i próbują zwabić obietnicami bez pokrycia. Ale Nowak odmawia podpisania zeznań. Trzyma się swojej wersji, uparty jak muł: zaszła omyłka, jestem niewinny jak... jak...
- Jak akt oskarżenia, czyli jak łaża – odpowiedziała Sara.
- Coś w tym rodzaju. Ale nasz klient nie przygotował, niestety, zadań domowych. Nie ma alibi na okres tych lat, podczas których prawdziwy Rudolf Nowak służył hitlerowcom.
- Co mówi?
- Twierdzi, że był więziony w Mauthausen. Ale żaden Rudolf Nowak nie figuruje na liście sporządzonej przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż zaraz po wyzwoleniu obozu. Szef ma tę listę u siebie. Widziałem ją na własne oczy.
- Żal mi faceta. Jeszcze raz dochodzę do wniosku, że uczciwość nie zawsze popłaca.
- Przede wszystkim, wcale nie jest uczciwy. Jest urodzonym oportunistą. Już zapomniałaś, jak bez żadnych skrupułów podsunął nam głowę Krzysiaka pod topór? Nie sądzę, by miał z tego powodu wyrzuty sumienia. Po prostu zwęszył okazję i połknął przynętę z całą świadomością tego, co czyni. Nawiasem mówiąc, to właśnie Krzysiak był uczciwym komunistą. Pamiętam, jak powiedziałaś, że kryształowa uczciwość to cecha dobrego stróża nocnego, nie dyrektora wielkiej fabryki.
- Dobrze już, dobrze. Jeden zero na twoją korzyść.
- Dziękuję. A teraz pora na fabułę naszego filmu. Nowak nie zdaje sobie jeszcze sprawy z powagi sytuacji. Na pewno pokłada nadzieję w moich wpływach, w mojej gotowości wyciągnięcia go z błota. Ale Buter to kuty na cztery nogi wyga. Zna każdy paragraf dekretu o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa. Wystarczy, by zapoznał się z materiałem obciążającym, a zobaczy na horyzoncie szafot. Każdy inny adwokat błagałby sąd o litość nad człowiekiem, który zbłądził, trochę zdolniejszy pomachałby wachlarzem okoliczności łagodzących. Buter jest ulepiony z innej gliny. Na pewno nie zadowoli się rolą statysty. Uczyni wszystko, aby uratować swojego klienta od szubienicy.
- Skąd ta pewność? Także Buter ma zrozumienie dla interesów partii.
- Wiem. Początek procesu będzie dla niego jedną wielką frustracją. Ale jeśli w toku sprawy spadnie mu z nieba niezaprzeczalny dowód niewinności oskarżonego, rzuci się na prokuratora jak ranny byk na arenie. Nikt nie będzie mógł zamknąć mu ust, bo na sali będą także zagraniczni dziennikarze, czyhający na sensacje.
- Rozumiem, że zarezerwowałaś sobie rolę Pana Boga, który z niebios spuszcza Nowakowi zbawienie. Kto zagra anioła Gabriela?
- Podziwiam twój analityczny umysł, droga małżonko.
- Twoja nauka, Gedalia.

– W chwili gdy Nowak zrozumie, że upór nie uratuje go od kary śmierci, przekonam go z łatwością, aby wyjawiał obrońcy swoje prawdziwe, żydowskie pochodzenie. Buter nie poleci do Czerniakowskiego. Buter ubóstwia dramaty. Nie zrezygnuje z najbardziej dramatycznej sceny w przedstawieniu. Rzuci tę bombę pod nogi sędziego w wypełnionej po brzegi sali i z pełną satysfakcją będzie czekał na eksplozję sztucznych ogni. Nie przestraszy go fakt, że może dostać w łeb odłamkiem. Nawet wiedząc, iż Czerniakowski spróbuje rozszarpać go na strzępy, nie pohamuje się. Tak już jest zbudowany. Ma to w krwi.

– Notabene, także żydowskiej – powiedziała Sara z przekąsem.

– W tym przypadku nie ma to żadnego znaczenia.

– Powiedzmy, że masz rację. Co dalej?

– Trąby jerychońskie. Wali się mur oskarżenia. Ludzie, którzy nawarzyli tę kaszę, zjedzą ją na surowo.

– Partia poniesie szkodę.

– Większą szkodę poniesie, jeśli opanują ją tacy ludzie jak szef UB.

– A ty, Gedalia. Jak wytłumaczysz towarzyszom, że wiedziałeś od początku i nie pisnąłeś ani słowa?

– Postaram się, by to nigdy nie wyszło na jaw. Powiedziałem o tym tylko jednemu człowiekowi: generałowi Brozie.

– Jak zamkniesz mu usta? Broza to nie sardynka, która boi się karpia.

– Widzę, że mamy rybny wieczór – zaśmiał się Gedalia. Był teraz całkowicie rozluźniony.

– Spróbujmy kontynuować w tym duchu. Od dwóch tygodni zna prawdę, ale milczy jak ryba. Nie pytaj dlaczego, bo nie znam odpowiedzi. Podejrzewam, że sam ma jakieś kłopoty. Nie wiem, jakie. Musi mieć swoje powody, bo nigdy niczego nie czynił bezmyślnie. Jedno jest tylko pewne: skoro milczał dotychczas, nie może teraz wyskoczyć z tą prawdą jak Filip z konopi. Nawet generałowie nie korzystają z immunitetu, partia stawia ich na dywanik jak każdego śmiertelnika. Mam wymienić nazwiska?

– Nie trzeba. Znam je na pamięć.

– Naigrawasz się ze mnie?

– Nie. Polegam na twoim doświadczeniu. Ale kto zagwarantuje, że po otwarciu puszek Pandory węże nie ukąszą także ciebie?

– To jest chyba okazja, by wznieść toast za powodzenie.

Sara nalała sobie i Gedalii, trącili się kieliszkami. Chajes wychylił swój jednym haustem, wytarł usta wierzchem dłoni i zażartował:

– Ktoś twierdził, że ta wódka smakuje jak bimber?

Izaak Liebman znów stracił poczucie czasu. Kiedyś czytał, że więźniowie mają zwyczaj zaznaczania każdego dnia kreską na ścianach celi. W ten sposób nie tracą kontaktu z rzeczywistością. Nie pomyślał o tym zaraz po aresztowaniu, a zresztą, w jego przypadku nie miałyby to sensu. Od pierwszej chwili wędrował z celi do celi. Wydawało mu się, że minęły dwa miesiąca od dnia, gdy podstępem wywabiono go z biura. „Wszystko w porządku, jedziemy tam gdzie trzeba” – uspokajał go Konstanty. Przeklęty bękart. Zawiózł go do piekła. Aczkolwiek w ciągu ostatnich kilku dni był to raczej czyściec, bo szef przestał go wzywać na przesłuchania. Także śledczy zaniechali dokuczania mu. Może chcieli, żeby gotował się we własnym sosie, aż dojrzeje na ich półmisek? Godziny mijały w pustej beczynności, nie wiedział, kiedy kończył się dzień, a zaczynała noc, bo celę bez okna oświetlała zawsze ta sama sześćdziesięciowatowa żarówka w drucianym kloszu. Samotność była tak dokuczliwa, że sam nie wiedział, jak to się stało, iż zaczął tęsknić do spotkań ze swoimi prześladowcami.

– Nie potrafię siedzieć beczynnie – skarżył się klucznikowi, który dwa razy dziennie, bez słowa, stawiał przed nim miskę zjedzeniem. – Niech mi pan przyniesie jakąś książkę, albo przynajmniej gazetę – prosił.

Strażnik wzruszał ramionami, dając do zrozumienia, że nie ma takich uprawnień. Tylko raz, gdy oprócz zupy położył na stoliku pajdę chleba, wskazał na nią palcem i mruknął pod nosem: „Szukaj”. Liebman udawał, że nie słyszy. Obawiał się podstępu, prowokacji. Nie miał zaufania do służby więziennej, mimo iż strażnik nigdy mu nie dokuczył. Robił wrażenie porządnego człowieka. Ale Liebman nie miał wątpliwości, że także „porządni ludzie” są starannie dobierani do pracy w więzieniu. Dopiero gdy wgrzył się w kromkę komiśniaka, wyczuł pod zębami zwitek papieru. Stając plecami do drzwi, aby nikt nie mógł widzieć jego rąk, ostrożnie wydłubał z miąższu list. Natychmiast poznał rękę Marii. Miała szczególny charakter pisma, litery stawiała gęsto i pochyło.

„Mój Ukochany – pisała. – Nie myśl, że wykreśliłam Cię z serca. Czynię wszystko, co w mojej mocy, aby Ci pomóc. Nie mogę wnikać w szczegóły, nie wiem, w czyje ręce wpaść może ten list. Pragnę jednak, abyś wiedział, że nawet jeśli wszystko to, co ci zarzucają, jest prawdą, nie zmieni to w niczym mojej miłości do Ciebie. Próbowалаm załatwić widzenie, ale na tym etapie śledztwa jest to niestety niemożliwe. Zniszcz tę kartkę natychmiast po przeczytaniu. M.”

Liebman podarł świstek papieru i szybko go połknął. Potem usiadł na jednym z dwóch żelaznych łóżek i spokojnie wychlipał zupe. Drugie łóżko, bez materaca, wstawiono dopiero wczoraj. Zastanawiał się, czy aby znów nie zaszczyca go towarzystwem prowokatora. Było mu obojętne, kim będzie współwięzień, byle tylko skończyła się samotność. Dopiero teraz, po przeczytaniu grypsu, uświadomił sobie, że nie poświęcił Marii nawet jednej krótkiej myśli. Weszła w jego życie przypadkowo i przypadkowo z niego wypadła. Poza tym, lepiej niech się nie wtrąca. Przy swoich kościelnych powiązaniach może tylko zaszkodzić. Ani na chwilę nie zapomniał, że była wdową po weterynarzu, który dbał o niemieckie stadniny koni. Prokuratura nie omieszka odkurzyć tego faktu i zagrać na nucie wspólnoty ideowej kochanków. Przy wszystkich kłopotach, jakie miał, jeszcze tylko tego mu brakowało.

Puste godziny zostawiały czas na rozważania. Najprościej byłoby poprosić o rozmowę z szefem UB i powiedzieć całą prawdę: „Nazywam się Izaak Liebman, jestem synem żydowskiego drobnego kupca z Chełma Lubelskiego, prawnukiem rabinów i cadyków. Rudolf Nowak, który zostawił za sobą czarną kartę życia, to zły duch, który przybrał moją postać”. Ale Liebman wiedział, że nigdy się do tego nie przyzna. Słowa utknęłyby mu w gardle. Izaak Liebman umarł w brudnym pokoju hotelowym, który dzielił z brudną prostytutką, i nigdy już nie zmartwychwstał. Nowak żyje i musi udowodnić swoją niewinność.

A jednak, przy całym wysiłku, nie udało mu się całkowicie uśmiercić Izaaka Liebmana. Jego niechciana osobowość stanowiła integralną część przeszłości. Można się było jej wyprzeć, ale nie było takiej siły, która by ją całkowicie wymazała z szarych komórek mózgu. Wbrew woli właśnie kartka Marii Kot znów wyłowiła Liebmana z wymuszonego zapomnienia.

Kilka miesięcy po zajęciu Warszawy skontaktowała się z nim Natalia i zaproponowała pomoc. Wciąż jeszcze mieszkał w swoim małym mieszkanku i poruszał się po mieście bez białej opaski z gwiazdą Dawida, jak nakazywały rozporządzenia hitlerowskich władz okupacyjnych. Nie odpowiadał także na wezwania Judenratu, który codziennie musiał dostarczać dziesięć tysięcy ludzi do prac przymusowych. Z Natalią umówił się w jednej z wciąż jeszcze prosperujących kawiarni na Nowym Świecie, bo miejsca tłumnie odwiedzane były najbezpieczniejsze. Rodzice jej męża mieli majątek ziemski. „Świekrowie są skłonni przechować cię do końca wojny” – powiedziała. Zwrócił uwagę na dziwny archaizm, przypisał go szlacheckim ciągotkom jej rodziny. Propozycja była wielkoduszna, zwłaszcza że z własnej inicjatywy zerwał z Natalią, ale kolidowała z jego planami. Nikt nie przewidywał jeszcze, jak potoczą się sprawy. Wprawdzie szeptano już o getcie, ale nie o masowej zagładzie. Izaak ucałował Natalię w rękę i podziękował jej za wspaniałomyślną propozycję.

„Nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo – zapewniał – właśnie pertraktuję w sprawie nabycia aryjskich papierów, prześlizgnę się przez ucho igielne”. Natalia ostrzegła go przed rodzimymi oszustami i szmalcownikami, którzy bezkarnie grasują po Warszawie. Nikt nie zwracał uwagi na młodą parę przy stoliku, nikt nie zauważył, że wetknęła mu w dłoń zwitek papieru i szepnęła: „Masz tu mój numer telefonu, wciąż jeszcze działa. Gdyby zamilkł, połącz się z osobami na tej liście. Mam trochę przydatnych znajomości, nie wahaj się prosić o pomoc. Udzielę jej chętnie”. Potem wstała i bez dalszego słowa wyszła z kawiarni.

Gdy we wrześniu 1940 roku utworzono w Warszawie getto, Izaak Liebman posiadał już metrykę chrztu i fałszywą kennkartę. Przedtem wynajął pokój sublokatorski na Żoliborzu, ponieważ starzy sąsiedzi byli świadomi jego żydowskiego pochodzenia. Nowym opowiedział, że jako Polak został wysiedlony z Poznańskiego. Była to wersja łatwa do przyjęcia, gdyż hitlerowcy rzeczywiście przesiedlali ludność polską z terenów, które nazywali z niemiecka Warthegau.

O stałej pracy nie mógł nawet marzyć. Pracownicy firm inżynierskich musieli być weryfikowani przez policję. Na życie zarabiał pośredniczeniem między mieszkańcami spółdzielni mieszkaniowej na Żoliborzu, którzy zmuszeni okolicznościami pomału wyzbywali się droższej odzieży, antycznych sztucców, nawet mebli, a handlarzami na targach staroci. Pewnego dnia w drodze na spotkanie z potencjalnym kupcem zauważył, że jest śledzony. Dwóch mężczyzn, starszy i młodszy, szło za nim krok w krok. Instynktownie wyczuł niebezpieczeństwo. Na rogu Świętokrzyskiej, w budynku poczty głównej, była rozmównica publiczna. Dwaj nieznajomi zatrzymali się u wejścia, nie spuszczać go z oka. Liebman podniósł słuchawkę, przycisnął ją ramieniem do ucha, wsłuchiwał się w dźwięk monet spadających do żelaznej puszkii automatu. W lewej ręce trzymał kartkę papieru, którą dostał od Natalii, prawą wykręcał numery. Wszystkie były martwe.

– Hej, Żydku – zatrzymał go jeden ze szmalcowników. – Mam ci coś do sprzedania.

– Co takiego?

– Twoje życie – zarechotał drugi, trzymając Liebmana mocno za ramię. – Za jedne tysiąc dolarów puścimy cię wolno i więcej nas nie zobaczysz.

– Po pierwsze, nie jestem Żydem, a po drugie, spływajcie stąd, zanim wezwę policję.

Butne słowa nie zmyliły prześladowców. Lekkie drzenie w głosie Liebmana zdradziło niepokój.

– Chodź, spuścimy mu portki. Fagas może kłamać, ale żydowski kutas zawsze mówi prawdę – zaproponował młodszy.

– Pięćset dolarów – spuścił z ceny starszy.

– Nie mam nawet setki – powiedział cicho Liebman. W powiedzeniu tym było pośrednie potwierdzenie podejrzenia.

– Żydzi zawsze płaczą, że są bez grosza, i zawsze wygrzebią jakiś brylant. Znamy was, nie jesteś pierwszy i nie ostatni. Decyduj się szybko, dzień pracy dopiero się zaczął, nie mamy zamiaru tracić czasu.

Liebman wygrzebał z kieszeni kilkaset złotych. Dwójka szantażystów parsknęła śmiechem.

– Myślisz, że zbieramy datki na biednych?

Ulicą pomału toczyła się taksówka. Zatrzymali ją, wpełchnęli Liebmana na tylne siedzenie i podali adres przy alei Szucha. Liebman zrozumiał, że błaganie o litość nie ma sensu. W siedzibie gestapo na Szucha dostaną za niego pieniężną nagrodę.

Nikt go nie przesłuchiwał, nie sprawdzał dokumentów. Jeszcze tego samego dnia dołączono go do transportu wyłapanych Żydów. Pociąg towarowy do Mauthausen był sześć dni w drodze, ale czekały go jeszcze cztery lata obozu. Miał szczęście w nieszczęściu. Podczas gdy większość towarzyszy podróży nie wytrzymała niewolniczej pracy w

kamieniołomach, Liebmana zatrudniono w biurze konstrukcyjnym, w pobliskim Gusen. Przetrwiał tam aż do wyzwolenia, do 5 maja 1945 roku. Potem kurował się kilka miesięcy w amerykańskim szpitalu polowym w Linzu. Do Polski wrócił w pełni zdrowia.

Liebman usłyszał kroki dwóch mężczyzn na korytarzu, jeszcze zanim strażnik przekreślił klucz w zaniku. Przemknęło mu przez myśl, że tylko niewidomi i więźniowie spędzający długi czas w osamotnieniu mają tak wyczulony zmysł słuchu. Bez trudu rozróżnił funkcyjnego w podkutych butach od kroków obcego człowieka. Strażnicy więzienni, podobnie jak długoletni więźniowie, wyróżniali się specyficznym, ciężkim chodem. Kiedyś powiedział klucznikowi: „Siedzisz tu zamknięty tak jak ja”. Milczący zazwyczaj klucznik mruknął: „Tylko dwanaście godzin, potem mam dobę wolnego”. Potem, zniżając jeszcze bardziej głos, zapytał: „Będzie odpowiedź na gryps?”. Liebman zaprzeczył energicznym ruchem głowy.

Służba więzienna nie zaliczała się do mile widzianych zawodów. Większość funkcjonariuszy ukrywała przed sąsiadami miejsce pracy, niemal zawsze przebierała się w cywilne ubrania przed pójściem do domu. Także Liebman, jeszcze przed aresztowaniem, nie darzył ich zbyt dużym szacunkiem. Ku jego zdziwieniu, Maria Kot stanęła w ich obronie. Było to na premierze *Jegora Bułyczowa* w miejskim teatrze. Podczas antraktu, w bufecie, zamienili kilka miłych słów z naczelnikiem więzienia i jego małżonką. Oboje czynili wrażenie ludzi kulturalnych. „Mimo wszystko, niewielki to zaszczyt” – zauważył zgryźliwie. Maria była innego zdania: „Ten człowiek pracuje na posadzie jak każdy inny, za pieniądze. Może nie przynosi to wielkiego zaszczytu, ale nie widzę w tym nic zdrożnego. Gardzę tylko tymi, którzy sprzedają się za pozbawione treści slogany”.

Za strażnikiem stał pięćdziesięcioletni mężczyzna w szarym, szytym na miarę garniturze.

– Trochę tu ciasno, towarzyszu – rzekł klucznik. – To nie pokój w eleganckim hotelu. To bunkier.

– Dobrze, że nic mam brzucha – odparł nieznajomy, przeciskając się przez wąskie drzwi. – Zostawcie nas samych – dodał, a widząc pytanie w oczach klucznika, dodał: – Mam zezwolenie szefa. Gdy skończę, zawołam was. Liczę na to, że mi otworzycie – zażartował. Gdy strażnik zamknął za sobą okratowane drzwi, zwrócił się do Liebmana:

– Nazywacie się Nowak, zgadza się? – powiedział, wyciągając rękę na przywitanie. Liebman uścisnął ją z wahaniem. Wizyty obcych nie zapowiadały niczego dobrego.

– Ja nazywam się Emil Buter. Jestem waszym obrońcą.

– Nie przypominam sobie, abym prosił o adwokata – odparł Liebman. Buter wyczuł niechęć, może nawet wrogość klienta.

– Posłuchajcie mnie dobrze, Nowak. Wrogów macie w bród także beze mnie. Nie warto poszerzać tego kręgu. Postaram się wam pomóc, nawet jeśli odmówicie współpracy. Ale zrobię to znacznie skuteczniej, jeśli obdarzycie mnie zaufaniem.

– Niby dlaczego mam wam zaufać?

– Bo nie macie innego wyjścia, przyjacielu. I nie macie innego obrońcy. Czy nie jest to wystarczający powód?

Liebman usiadł na brzeжку łóżka. Buter stał oparty plecami o drzwi. W świetle słabej żarówki z trudem rozróżnił rysy twarzy niespodziewanego gościa. Wiedział, że nie ma prawa wyboru. W sprawach politycznych, gdy na szali leżał prestiż władzy, oskarżeni nie mieli możliwości swobodnego mianowania obrońców. Ponadto, nawet gdyby mógł to uczynić, nie znał nikogo, komu chciałby zawierzyć swój los. W procesach kryminalnych procedura była znacznie łagodniejsza. Rodzina oskarżonego mogła zwrócić się do jednego z licznych spółdzielczych zespołów adwokackich i za stosunkowo skromną opłatę nabyć potrzebne usługi. Za odpowiednią łapówkę sekretarz zespołu wyznaczał adwokata preferowanego przez klienta. Mecenasi, którzy cieszyli się opinią szczególnie uzdolnionych,

zarabiali krocie. Speculanci i paskarze zawsze mieli dosyć pieniędzy, aby ich odpowiednio opłacić.

Liebman nigdy nie słyszał nazwiska Buter. Nagle ogarnęła go nieopanowana chęć bliższego poznania człowieka, który miał go reprezentować przed sądem. Jeśli w ogóle będzie jakiś sąd. Liebman wciąż jeszcze łudził się, że przekona szefa, i że sprawa rozejdzie się po kościołach. Teraz dźwignął się z łóżka, z trudem, bo po zimnych kąpielach bolały go stawy, podszedł do adwokata tak blisko, iż niemal go dotykał, i ciekawym spojrzeniem mierzył go od stóp do głów. Buter miał okrągłą, wzbudzającą zaufanie twarz, wysokie świecące się czoło, jakby namaszczone kremem, i łysiejącą czaszkę. Głęboko osadzone oczy emitowały spokój i rozsądek.

– Każdy inny delikwent szalałby z radości, że skłonny jestem wystąpić w jego imieniu, a ty patrzysz na mnie, jakbyś był kreatorem mody, a ja kandydatem na modela – powiedział Buter. Liebman nie wiedział, czy adwokat czuł się urażony, czy wręcz przeciwnie, rozweselony. Na wszelki wypadek usprawiedliwił się:

– Przepraszam, nie chciałem pana urazić. To było silniejsze ode mnie.

– Najwyższy czas, abyś zaczął panować nad każdym słowem. Najważniejsze jest jednak, że zaczynamy się rozumieć. Możemy przystąpić do tematu?

– Chciał pan powiedzieć: do dalszego ciągu śledztwa?

– Nie jestem obrońcą z urzędu. Bóg mi świadkiem, że nie podjąłbym się tej sprawy, gdyby nie błaganie Gedalii Chajesa.

– Chajes prosił?

– Nie prosił, lecz błagał. Czy nie powiedziałem tego dosyć wyraźnie?

– Byłem przekonany, że skreślił mnie z listy przyjaciół. Jestem trędowaty, łatwo się zarazić.

– Po pierwsze, trąd nie jest chorobą zaraźliwą. Po drugie, dba o ciebie jak o siebie samego. Chce zrobić wszystko, aby cię ratować.

– A może przyczepić mi stróża, który nie pozwoli wciągnąć go w błoto.

– Albo jesteś niewdzięczny, albo po prostu głupi.

– Proszę mnie zrozumieć. W ciągu ostatnich miesięcy stałem się podejrzliwy. Przepraszam.

– Przepraszasz po raz drugi. Za trzecim razem przyślą ci innego obrońcę. Może bardziej ci się spodoba. Może nie będzie miał łysiny.

– Nie, nie. Proszę mnie nie porzucać.

Liebman uczeplił się rękawa mecenasa Butera. Sam nie potrafił wytłumaczyć tej nagłej zmiany. Przed chwilą widział w nim kogoś, kto przyszedł go dręczyć. Teraz, ni stąd ni zowąd, zrodziła się w nim nadzieja, że Emil dokona czegoś niewykonalnego, że przekona się, iż Liebman padł ofiarą tragicznej omyłki i przekona o tym wszystkich innych. Jeśli tylko zechce, wszystko przemienie jak nocna, niebieska mara martwej Reginy Nowak.

– Czytałeś szkic aktu oskarżenia?

Nagłe pytanie przywróciło go do rzeczywistości.

– Czytałem. Stek absurdów.

– Możesz to nazywać, jak tylko chcesz, ale za mniejsze przewinienia posyła się ludzi na szubienicę. Leżą przed nami dwie możliwości: przyznać się do wszystkiego, albo wszystkiemu zaprzeczyć i walczyć o uniewinnienie. Jeśli wybierzesz pierwszą ewentualność, mam nadzieję, że prokuratura pójdzie na kompromis. Dogadam się z Czerniakowskim, skończy się na piętnastu, dwudziestu latach więzienia. Jak dobrze pójdzie, wypuszczą cię wcześniej za dobre sprawowanie. Wyglądasz na krzepkiego faceta, sądzę, że to wytrzymasz. Co ty na to?

– Pan chyba zgadł już moją odpowiedź.

– Nie jestem tutaj na etacie wróżki.

– Nigdy w życiu nie przyznam się do grzechów, których nie popełniłem. A jakie jest pańskie zdanie, mecenasie? Przecież ma pan doświadczenie w takich sprawach. Poza tym...

– Z natury jestem człowiekiem, który lubi wyzwania. Ale to jest twoje życie, Nowak. Nie mam prawa grać nim w ruletę – przerwał mu Buter. – Decyzja musi być twoja. Jeśli staniemy w szranki z UB i z prokuraturą i przegramy, wyrok śmierci będzie nieunikniony. Jest to tak pewne, jak dzień jutrzejszy.

– Co warte jest życie za kratami? Tyle co dzień wczorajszy.

– Cieszę się, że nie straciłeś poczucia humoru.

– To humor szubieniczny, jeśli jest tak, jak pan mówi.

Buter uśmiechnął się.

– W najgorszym przypadku możemy prosić o ułaskawienie. Ale będzie to prośba bardzo teoretyczna. Nie znam przypadku, aby prezydent państwa ułaskawił oskarżonego o szpiegostwo i współpracę z okupantem.

– Dziękuję za szczerość.

– Skoro ktoś cierpi na raka, nie wolno mu wmawiać, że to tylko katar.

– Szpiegostwo i kolaboracja... – Liebman wciągnął powietrze w płuca i wyrzucił z siebie jednym tchem: – Szanowny panie mecenasie, czy nie przyszło panu na myśl, że padłem ofiarą podłego spisku, że próbują zarzucać mi czyny wyssane z palca, że nie widziałem na oczy obcego agenta i nigdy nie kolaborowałem z Niemcami? Że nie mam zielonego pojęcia, skąd się wzięły te potworne zarzuty?

– Owszem, przyszło mi to na myśl – odparł Buter z całą powagą.

Prostota odpowiedzi zdumiała Liebmana. Czy jest możliwe, że ten adwokat zechce go naprawdę wybronić?

– Mówi pan serio?

– Nigdy nie byłem bardziej szczerzy. Ale w naszym przypadku prawda absolutna nie ma żadnego znaczenia. W sprawach kryminalnych niemal zawsze można znaleźć jakąś lukę w akcie oskarżenia. W procesach pokazowych wygląda to całkiem inaczej. Świadcowie przechodzą próbę generalną, jakby byli aktorami w starannie przygotowanym dramacie, a reżyserowi przedstawienia nie wolno zmienić żadnej sceny. Gdy wygrywam w zwykłym procesie, powiada się: proszę bardzo, sądy są niezależne i sprawiedliwe. Ale w procesie politycznym płaci się wysoką cenę za każdą wpadkę. Nikt nie będzie ryzykował skóry za twoją prawdziwą lub wydumaną niewinność. Odpowiedzialni za sprawę uczynią wszystko, aby uniemożliwić mi udowodnienie prawdy. Czy rozumiesz ryzyko, które bierzemy na siebie?

– Niech mi pan powie, co mam zrobić.

– Przede wszystkim wymagam absolutnej szczerości.

– To jest zrozumiałe samo przez się. Nie mam niczego do ukrycia.

– Będę żądał odpowiedzi na każde pytanie, nawet jeśli będzie ci się wydawało niezwiązane ze sprawą.

– Niech pan pyta.

Buter wyjął z teczki notes i wieczne pióro.

– Pytanie numer jeden: czy miałeś kiedykolwiek powiązania z nazistami. Także takie, których nie można nazwać kolaboracją. Na przykład handel na czarnym rynku?

– Nigdy. Ale pośredniczyłem w sprzedaży mienia ludzi, którzy stali u progu nędzy.

– Powiedziałeś o tym śledczym?

– Nigdy nie zadali mi takiego pytania.

– Partacze – mruknął Buter i zapisał coś w notesie.

– Powiedział pan, że nic pomijają żadnego szczegółu.

– Tylko Pan Bóg nie myli się nigdy. Notabene, nie wierzę w Boga. Jestem komunistą.

– Nie miałem pojęcia...

- Od trzydziestu lat w partii. Nie zaliczam się do nowych oportunistów.
- Pije pan do mnie?
- Między innymi. Ale nie mam zamiaru grzebać w motywach twojego postępowania. Jakikolwiek by nie były, nie wpłyną na jakość obrony. To kwestia mojej zawodowej sumienności. Pragnę jednak raz jeszcze ostrzec cię przed trudnościami drogi, którą musisz przebyć. Będzie to prawdziwa droga krzyżowa. Wiesz, dokąd prowadziła. Tyle tylko, że nie jesteś Chrystusem. Zamiast wniebowstąpienia czeka cię piekło.
- Jestem gotów na wszystko.
- Jesteś albo bardzo odważny, albo bardzo naiwny. Powiem coś jeszcze: jeśli w trakcie procesu dojdę do przekonania, że wyprowadziłeś mnie w pole, bez chwili wahania oddam cię w ręce kata. Oddam cię jak paczkę owiniętą czerwoną wstążką, z wielką kokardą na wierzchu.
- Ma pan kwiecisty sposób przedstawiania sprawy.
- Tak mówią. Chyba dlatego Chajes wybrał mnie na twojego obrońcę. Możemy kontynuować?
- Przecież powiedziałem, że odpowiem na każde pytanie.
- Gdzie byłeś w roku czterdziestym pierwszym, drugim i czwartym?
- Stokrotnie wyjaśniałem to śledczym. Wszystko zostało zaprotokołowane.
- Jeśli zechcę czytać protokoły, wiem, gdzie je znaleźć. Szef UB udostępni mi je z wielkim zadowoleniem. Twoje głupie gadanie stanowi jego największe osiągnięcie.
- Szmalcownicy wydali mnie w ręce gestapo. To było późnym latem, w roku czterdziestym pierwszym. Wnet potem znalazłem się w obozach koncentracyjnych Mauthausen i Gusen. Jechaliśmy razem, kilkudziesięciu Żydów z warszawskiej łapanki. Potem dołączono nas do grupy Holendrów, ponoć stanowiących pierwszy żydowski transport do tego obozu. W maju czterdziestego piątego wyswobodzili nas Amerykanie. Oto cała prawda w dużym skrócie.
- Ale nie potrafiłeś jej udowodnić.
- Nie znam nazwisk ludzi, z którymi byłem więziony. Z nikim się nie przyjaźniłem. Po latach zastanawiałem się, dlaczego tak było. Wie pan, przyjaźń polega na tym, że coś się daje i coś dostaje się w zamian. Nie mam na myśli takich dóbr doczesnych, jak kromka chleba czy miska zupy. Chodzi o wartości duchowe. Ale moja dusza była całkowicie wyprana z miłości bliźniego, byłem zamknięty w sobie, nie miałem niczego do zaoferowania.
- To nie brzmi najlepiej – zauważył Buter.
- Wiem.
- Trochę późno doszedłeś do tego wniosku.
- Przyszedł mi pan prawić morały?
- Nie. Szukam dziury w całym. To znaczy, w akcie oskarżenia.
- Zastanawiałem się nad tym przez długie godziny. Czasu mi nie brakowało. Być może, że dowody oskarżenia wcale nie są chorym wymysłem szefa UB. Istnieje duże prawdopodobieństwo, iż istnieje ktoś o tym samym nazwisku, przecież jest dosyć powszechne, i że ten mój papierowy sobowtór rzeczywiście współpracował z gestapo. Tylko pan może go odnaleźć.
- Jak to zrobimy, przyjacielu? Damy ogłoszenie do gazety? Napiszemy: pan Rudolf Nowak, agent gestapo, dla własnego dobra proszony jest o zgłoszenie się do najbliższego posterunku milicji...
- Pan jest obrońcą, pan zna wszystkie możliwe sposoby.
- Jestem obrońcą, nie czarnoksiężnikiem.
- Chajes może pomóc. Sam pan mówił...
- To prawda. Rozmawialiśmy wczoraj wieczorem. Powiedział wyraźnie, że ma dowody, które obalą oskarżenie, ale nie chciał ich wyjawiać. Są sprawy, których nie wolno ujawnić

przedwcześnie, upierał się. Obiecał, że nie zostawi nas w sztychu, że w odpowiedniej chwili wyciągnie królika z cylindra. Ale wówczas może być za późno. Sąd może nie dopuścić świadków niezgłoszonych przed rozpoczęciem procesu. W tej kwestii ustawa jest po stronie oskarżycieli. Nie mam pojęcia, do czego zmierza. Może wciąż jeszcze liczy na swoje znajomości, na sznurki, które pociągnie za kulisami. W naszym regionie, jak zresztą wszędzie, ręka rękę myje, każdy ma jakieś zobowiązania wobec każdego, każdy boi się wrogów i przyjaciół. Jestem szczęśliwy, że stoję poza tymi brudnymi gierkami.

– Może jednak potrafi zapobiec przewodowi sądowemu.

– Przestań się łudzić. Sprawa posunęła się za daleko, kariery wielu ludzi zależne są od jej wyników. Nie jesteś już dzieckiem, Nowak. Zamiast marzyć o niemożliwym, trzymajmy się tego, co możliwe.

– Na przykład?

– Skoro nie ma nadziei na odnalezienie innego Rudolfa Nowaka, musimy udowodnić, że nie jesteś poszukiwaną osobą.

– Brzmi logicznie, ale jest chyba niewykonalne.

– Dopóki człowiek żyje, ma nadzieję. Dopiero gdy umiera, umiera także nadzieja. To cytat z Talmudu. Znasz?

Liebman spojrzał prosto w oczy Butera.

– Nie – szepnął. – Nigdy nie słyszałem o takiej księdze.

– Tak przypuszczałem. Skąd mógłbyś znać żydowskie mądrości. Wiedziałeś, że jestem Żydem?

– Skąd mogłem wiedzieć?

– Akt oskarżenia zarzuca ci współpracę z Niemcami na szkodę żydowskiej ludności. Jeśli obawiasz się, że żydowskie pochodzenie zaważy na mojej działalności, możesz zażądać innego obrońcy.

– Nonsens. Nigdy nie skrzywdziłem Żyda.

– Skłonny jestem uwierzyć. Ale nie mnie musisz o tym przekonać, lecz sędziego.

– To jakby własną głową przebić mur, prawda?

– Trafne stwierdzenie. Sądzisz, że masz dostatecznie twardy łeb?

– Jak skała.

– Pierwszą próbą ogniową będzie apel identyfikacyjny. Władze zgromadziły cały pułk świadków. Zebrano ich z całego kraju. Jeden przyjedzie z zagranicy. Nowak wydał go Niemcom, został wykastrowany. Zapewne słyszałeś o doświadczeniach lekarskich w obozach koncentracyjnych. Ofiary doświadczeń nigdy nie zapomną twarzy oprawców. Ostrzegam cię, to będzie trudny moment w twoim życiu. Staniesz w szeregu z dziesiątką nieznanymi, świadkowie przemaszczą przed wami, wzrok wbity w każdego z was. Wystarczy jedno zbędne drgnienie powieki, a jesteś zgubiony.

Nawet jeśli cię nie rozpozna z całą pewnością, chętnie wyciągnie palec wskazujący na człowieka, którego twarz wyraża przestach. Nigdy nie poznamy tajników ich znękanych dusz, szukających zemsty. Ponadto jest niemal pewne, że szef UB i prokurator zechcą pomóc sprawiedliwości, dołączą do czeredy świadków kilka osób, którym oskarżenie „odświeżyło” pamięć. Rozpoznają cię bez sekundy wahania. Ale nawet jeśli cudem wyjdiesz z tej operacji cało, czekają cię następne egzaminy, każdy trudniejszy od poprzedniego. Dopiero pod sam koniec procesu będziemy wiedzieli, czy kat zostanie bez pracy. Poruszamy się po wyboistej drodze. Wystarczy jedno potknięcie, a będziesz zgubiony. Będziesz przeklinał dzień, w którym się urodziłeś. Jesteś tego świadomy?

– Całkowicie.

– Jeśli Bóg istnieje, módl się, aby stanął w twojej obronie.

– Niepotrzebna mi łaska boża, mecenasie. Potrzebuję obrońcy, który mnie w tych trudnych chwilach nic porzuci.

Intermezzo III

WIKTOR

Niemal od dnia, w którym przyszedł na świat jako piąte dziecko w chłopskiej rodzinie, w Libuszy koło Gorlic, wiadomym było, że zostanie księdzem. Jak w wielu innych rodzinach, gdzie pierworodny dziedziczył gospodarstwo, a małe poletka nie mogły zapewnić solidnego wykształcenia pozostałym dzieciom, seminarium duchowne wydawało się najlepszym rozwiązaniem. Rodzice Wiktora chcieli mu w ten sposób zapewnić zarówno przyzwoity byt, jak i powszechnie szanowaną pozycję społeczną. W głębi serca hołubili nadzieję, że jeśli chłopcu powiedzie się w życiu i wyląduje w jakiejś tłustej parafii, także im kapnie coś na starość z księżowskiego stołu. Nie przewidzieli, że syn, który jako przystojny wyrostek podbijał serca miejscowych dziewczyn, wyrośnie na człowieka, dla którego służba Bogu stanie się posłannictwem życia.

W seminarium zaliczał się do najlepszych alumnów, był błyskotliwy, nie zadowalał się powierzchownym poznawaniem nauczanych prawd, ale zgłębiał je i interpretował po swojemu wraz z kształtowaniem się dojrzewającego światopoglądu. Działo się to często ku niezadowoleniu nauczycieli, którzy niechętnym okiem patrzyli na zbytnią samodzielność seminarzystów. Zdarzało się, że upatrywali w jego dociekliwych pytaniach próby podważania odwiecznych prawd i bardzo dobitnie dawali mu do zrozumienia, że dogmaty nie mogą być tematem dyskusji. Przyjmował te uwagi pokornie i bez oporu, bo w gruncie rzeczy, mimo iż nie był zwolennikiem ślepej, jezuickiej dyscypliny, bez protestu zaakceptował granice tego, co dozwolone, a co zakazane. Takie przynajmniej sprawiał wrażenie. Jego łacina zyskała mu pochwały wykładowców, ponieważ zaś niemal obsesyjnie czytał dzieła filozoficzne, również te, które nie ostały się kościelnej cenzurze i nie były zaopatrzone w pieczętkę *nihil obstat*, a gdy czas mu pozwalał, sięgał także po literaturę piękną, po zakończeniu studiów był człowiekiem wykształconym, myślącym i pod każdym względem gotowym do spełnienia życiowej misji.

Święcenia uzyskał w roku 1936 i wrócił na krótko do domu rodziców. Ich zagroda w Libuszy wydawała się oddalona od jego świata o kilka tysięcy lat świetlnych. Po miesięcznym urlopie został wezwany na rozmowę do biskupa. Biskup od dawna miał na oku uzdolnionego kleroika i zaproponował mu pracę w sekretariacie Kurii. Była to propozycja, której młody ambitny ksiądz nie mógł odrzucić. Nominacja niemal natychmiast przysporzyła mu wrogów, uważających, że nie dorósł do stanowiska, które powinno być przypaść komuś innemu, bardziej zbliżonemu do decydentów klerykalnej administracji. Lecz Wiktor, teraz już ojciec Wiktor, szybko rozpoznał pisane i niepisane prawa kościelnej hierarchii i równie szybko nauczył się poruszać w jej labiryncie.

Z biegiem czasu zyskał pełne zaufanie biskupa. Im bardziej jednak umacniał swoją pozycję, tym częściej myślał o zerwaniu ze środowiskiem, w którym, mimo młodego wieku, uważany był za wschodzącą gwiazdę. Coraz mocniej dochodził do przekonania, że

młodzieńcze marzenie o poświęceniu życia służbie Bożej nie zostanie urzeczywistnione w korytarzach klerykalnej władzy, że jego prawdziwym przeznaczeniem jest wyjście do prostych ludzi i objawianie im drogi, która może ich zbliżyć do jedynie słusznej wiary. Po dwóch latach, zimą roku trzydziestego ósmego, krótko po śmierci biskupa, prośba ojca Wiktora została uwzględniona. Został proboszczem małej podkrakowskiej parafii. Był szczęśliwy.

Podczas okupacji, gdy naziści postanowili pozbawić naród jego duchowej siły przewodniej i przekształcić Polaków w niewolników pracy dla Trzeciej Rzeszy, liczni profesorowie uniwersytetów oraz księża znaleźli się w więzieniach i obozach koncentracyjnych. Ojciec Wiktor, który szybko zdobył posłuch i szacunek swoich parafian, zaliczał się do szczególnie zagrożonych. Na polecenie przełożonych, z wielką niechęcią, ponieważ w porzuceniu funkcji duszpasterza dopatrywał się niemal zdrady, znalazł schronienie w podkarpackim klasztorze. Jedynym pocieszeniem był fakt, że spotkał tam ojca Seweryna, ulubionego wykładowcę seminarium duchownego, w którym się kształcił. Ksiądz Seweryn, mimo iż szybko odkrył ciągotki Wiktora do zakazanej literatury, nigdy go nie strofował. Przez niemal cztery lata obaj odcięci byli od swoich naturalnych środowisk. Niemcy nie nachodzili klasztoru i nie deptali zakonnikom po piętach. Seweryn i Wiktor poświęcili ten czas pracy wychowawczej w okolicznych wsiach, czerpiąc z niej mnóstwo satysfakcji. Większość miejscowej młodzieży nie była jeszcze ukształtowana duchowo, jej katolicyzm był mylącą okopułką, bez głębszej treści. Pan Bóg obdarzył go wielką łaską, mówił Wiktor, powierzając jego opiece formowanie młodych dusz. Gdy skończyła się wojna, z żalem opuszczał klasztor. Jedyną pociechą było to, że ojciec Seweryn został na miejscu, aby kontynuować rozpoczęte dzieło.

Wiktor nie wrócił do swojej małej parafii. Czasy się zmieniły i na porządku dziennym stała przede wszystkim sprawa pozycji Kościoła wobec nowej, ateistycznej władzy. Walka o dusze ludzkie nabrała całkiem odmiennego charakteru. Wieści napływające ze Związku Radzieckiego nie wróżyły niczego dobrego. Cerkwie i kościoły zamieniono tam na magazyny zboża lub świetlice komsomolców, a kilka marionetkowych postaci w szatach archimandrytów zostało całkowicie podporządkowanych instancjom partyjnym. W Polsce Ludowej władza szukała na razie porozumienia z Kościołem. Widocznie nic czuła się jeszcze dostatecznie silna, aby przystąpić do rozstrzygającego natarcia. Kościół ze swej strony również nie dążył do otwartego konfliktu. Stosunki były skomplikowane, po obu stronach panowały różnice zdań dotyczące zarówno taktyki, jak i strategii. W takich warunkach zarówno praca duszpasterska, jak i prowadzenie dialogu z komunistami powierzyć należało ludziom szczególnie zaufanym i doświadczonym.

Ojca Wiktora wysłano do Wrocławia, na placówkę od setek lat nieobsadzoną przez polski kler. Niektórzy uznali taką decyzję niemal za degradację, bo Ziemia Zachodnie wciąż jeszcze były obce i dalekie, często uważane w krakowskim biskupstwie prawie za teren zesłania. Ale na Dolny Śląsk wysyłano w tym czasie setki tysięcy przesiedleńców zza Buga, którzy przez pokolenia żyli w bliskim sąsiedztwie z prawosławiem, ponadto wciąż jeszcze mieszkała tam liczna ludność protestancka, więc misja krzewienia katolickiego ducha nad Odrą była w oczach ojca Wiktora zadaniem niezwyklej wagi. Oficjalnie został proboszczem kościoła pod wezwaniem świętego Augustyna, w rzeczywistości również cichym doradcą administratora apostolskiego, księdza prałata Milika. Współpraca układała się doskonale aż do roku pięćdziesiątego pierwszego, gdy tuż przed poświęceniem odbudowanej katedry ksiądz Milik został nagle odwołany, a na jego miejsce mianowano następcę bardziej powolnego władzom. Spięcia między ojcem Wiktorem a nowym administratorem były zjawiskiem codziennym i nieuniknionym.

Ojciec Wiktor wiedział, że gdyby wybrał karierę urzędnika w sutannie, czekałaby go wspaniała i szybka wspinaczka po szczeblach kościelnej hierarchii. Cieszył się

bezwzględny poparciem biskupa Teodora Kubiny i szczególnym zaufaniem arcybiskupa Antoniego Szlagowskiego. Nie tego jednak szukał w życiu. We Wrocławiu błogosławił każdy mijający dzień i starannie planował następny. Swoją dawną naiwność ukrył na samym dnie szafy w zakrystii. Szybko zrozumiał, że nie wystarczy służyć Bogu modlitwą. Jego owieczkom potrzebny był mocny człowiek, który umiejętnie przeciwstawi wartości katolickie kuszeniu komunistycznego szatana. Kościół i polityka przestały być odrębnymi bytami; teraz spotykały się we frontalnej konfrontacji.

Mimo stosunkowo podrzędnego stanowiska ojciec Wiktor coraz częściej wzywany był na obrady wysokiego szczebla i z satysfakcją stwierdzał, że jego zdanie znajduje posłuch także wśród biskupów i arcybiskupów, którzy rzadko przykładali wagę do opinii maluczkich. Sytuacja stawała się coraz trudniejsza, bo coraz częściej aresztowano księży wzdragających się pracować pod dyktando sekretarzy partyjnych. Na ogół skazywano ich za współpracę, prawdziwą lub wyimaginowaną, z organizacjami wyjętymi spod prawa. Gdy brakło dowodów przestępstwa, zmuszano ich do banicji w odległych klasztorach, przecinając w ten sposób więzy łączące ich ze społeczeństwem. W atmosferze niejawnego terroru ojciec Wiktor działał z niezwykłą ostrożnością, aby nie dać władzom pretekstu do interwencji. Szef Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa kilkakrotnie zapraszał go na rzekomo przyjacielskie pogawędki. Z rozmów wynikało, że nic nie uszło uwadze bezpieki, że każdy jego krok był dokładnie śledzony.

– Wiemy, że ksiądz nie łamie prawa – powiedział mu podczas jednego z takich spotkań – ale proszę się nie łudzić. Nawet jeśli wydaje się księdzu, że tu i ówdzie odniósł sukces, jako człowiek rozsądny wie na pewno, że nawet dziesięć wygranych bitew nie przesądza o zwycięstwie w wojnie totalnej. Koordynacja działalności księdza z moimi ludźmi zapewni mu nie tylko spokój ducha, ale także szersze pole działania.

Ojciec Wiktor podziękował za dobrą radę. Nie miał najmniejszego zamiaru wchodzić w szranki z przemożną władzą. Nie otwarte pole bitwy było obszarem jego działalności, lecz cicha wychowawcza praca u podstaw. Na tym polegała jego siła, jego zdolność oddziaływania na młode, często błędzące dusze. Założył towarzystwo katolickiej edukacji Juventus Christiana i zgodnie z wymogami prawa, zarejestrował je we właściwych urzędach. Regulamin organizacji był przejrzysty jak kryształ, nawet najgorliwszy ubek nie doszukałby się w nim nawoływania do działalności wywrotowej. Urzędnik, który powołując się na obowiązujące przepisy, wydał księdzu Wiktorowi formalne zezwolenie, stracił pracę. Ale Juventus Christiana istniała i jak kręgi na wodzie, zataczała coraz szersze koła. Tylko w gronie najbardziej oddanych sprawie zwykł mawiać, że „skoro nie możemy puścić z dymem komitetów partyjnych, stworzymy sobie nasze własne”.

Podczas wakacji organizował letnie obozy w pobliskich ośrodkach wczasowych. Świadom, że tajna policja znajdzie wśród uczestników chętnego donosiciela, ograniczał treść nauczania do tematów związanych z wartościami moralnymi religii; jak ognia wystrzegał się polityki. Jego ostrożność nie była bezpodstawna. Władze zbierały wszelką możliwą informację o tym, co dzieje się na „kościelnych koloniach”, jak nazywano rekolekcje w żargonie agentów.

Latem czterdziestego siódmego, gdy walka o przyszłe oblicze państwa osiągnęła swoje apogeum, a przywódca jedynej legalnie działającej opozycji ratował się ucieczką za granicę, aby uniknąć więzienia, centralnym tematem rekolekcji było kuszenie. Rzecz oczywista, uczestnicy „kolonii” odnieśli się do postaci szatana, opisanego w Ewangeliach Mateusza, Łukasza i Marka. Młodzież dyskutowała zawzięcie o pochodzeniu szatana i jego stosunkach z Bogiem: czy powstał z woli Bożej, czy bez Boskiego przyzwolenia. Niczym iskra rozniecająca płomień zabrzmiało pytanie: czy szatan może być zbawiony? Odpowiedź stanowiła już ogień: nie może doznać zbawienia, podobnie jak nigdy nie doznają go komuniści.

Znalazł się ktoś, kto zapisał nieodpowiedzialną opinię i przekazał ją komu trzeba. Ksiądz Wiktor został wezwany na przesłuchanie. Tym razem nie była to już „przyjacielska pogawędka”. Zarzucono mu działalność na szkodę przodującej siły w państwie i zatrzymano na kilka dni w areszcie śledczym. Oficerowie bezpieki chcieli wiedzieć, kto finansuje jego działalność. Specjalnie zaangażowani buchalterzy sprawdzali kolumny liczb w księgach Juventus Christiana. Nie znaleziono niczego podejrzanego. Większość dochodów pochodziła z tego, co położono na tacę, lub ze sprzedaży dewocjonaliów. Mimo to nie wiadomo, jak zakończyłby się ten incydent, gdyby nie protest parafian. Ponad dwa tysiące osób demonstrowało przed kościołem, domagając się natychmiastowego uwolnienia proboszcza. Niektórzy rozwinęli biało-czerwone chorągwie, pojawiły się sztandary z wizerunkiem Matki Boskiej. Władze obawiały się, że protest obejmie szerokie rzesze wrocławskich katolików. Za wszelką cenę pragnęły zapobiec masowym ekscesom. Ksiądz Wiktor podpisał zobowiązanie, iż w przyszłości nie dopuści do „wrogich wypowiedzi”, i wyszedł na wolność. Dopiero po kilku tygodniach dowiedział się, że spontaniczna manifestacja została zorganizowana przez nikomu nieznaną parafiankę, Marię Kot. Po mszy zaprosił ją do zakrystii i znalazł w niej przyjazną duszę, gotową pójść za nim w ogień i wodę. Wkrótce po tym dowiedział się od przyjaciół w Kurii, że Komitet Wojewódzki PPR poświęcił wydarzeniu specjalną sesję i że postanowiono „rozliczyć się we właściwym czasie z buntowniczym księdzem”.

Ojciec Wiktor nie obawiał się więzienia. Największe zagrożenie dostrzegał nie w licznych represjach, ale w nieustannych próbach rozbicia Kościoła od wewnątrz. Ścisła reglamentacja papieru gazetowego uniemożliwiała drukowanie dzienników, tygodników lub miesięczników, które stanowiłyby nośniki kościelnej prawdy. Przekazywanie jej z ust do ust stanowiło źródło częstego jej wypaczania. Co gorsza, na horyzoncie pojawiła się postać, która zdawała się godzić w jedność Kościoła bardziej niż wszyscy sekretarze partyjni razem wzięci. Jej przeszłość pokrywała gęsta mgła tajemnicy. W Kurii wiadomo było tylko, że Bolesław Piasecki, przywódca przedwojennej skrajnej prawicy, pojawił się jako pretendent do reprezentowania polskich katolików po odsiedzeniu siedmiu miesięcy w więzieniu. Aresztowali go Rosjanie. Nikt nie wiedział, dlaczego siedział i dlaczego zupełnie niespodziewanie został uwolniony. Wkrótce założył stowarzyszenie PAX. Państwo udzieliło mu wyłączności na sprzedaż dewocjonaliów, co przynosiło miliony i pozbawiło Kościół istotnego źródła dochodów. Wokół PAX-u, który uruchomił własne wydawnictwo, zaczęli się skupiać dziennikarze i pisarze bojkotowani przez oficjalny establishment. Starannie przemyślana akcja propagandowa przedstawiała PAX jako instytucję całkowicie niezależną od komunistycznych wpływów. Wielu katolickich intelektualistów, nieznajdujących dotychczas pola działania, nie rozpoznało jej prawdziwego oblicza i ślepo poszło na lep sprytnie skonstruowanych haseł. W ślad za PAX-em zaczęto organizować ruch „księży patriotów”, wykorzystując wciąż żywe antyniemieckie nastroje. List papieża do niemieckich biskupów, który nie popierał jednoznacznie polskich granic na Odrze i Nysie, został wykorzystany jako dowód nieangażowania się Stolicy Apostolskiej w akcję powrotu Kościoła polskiego na prastare Ziemię Piastowskie. Ludziom wierzącym niełatwo było rozpoznać prawdziwy charakter tych poczynań, nie rozumieli, że komuniści dążą do rozłamu w instytucji Kościoła.

To, czego nie pojmowali niektórzy intelektualiści, jasne było dla ojca Wiktora. Którejś niedzieli, po wieczornej mszy, wrócił do domu w szczególnie ponurym nastroju. Kilku dobrze zapowiadających się młodzieńców porzuciło szeregi Juventus Christiana na rzecz rekolekcji zapowiadanych przez księży patriotów. Zofia, sześćdziesięcioletnia gospodyni rodem ze Lwowa, która prowadziła mu dom od kiedy pojawił się we Wrocławiu, bez trudu odczytała z twarzy księdza jego strapienie. Bez słowa pobiegła do pokoiku za kuchnią, w którym mieszkała, i przyniosła mu kielich czerwonego wina, „na podniesienie ducha”. Mimo iż nigdy nie zalewał robaka i poza łykiem słodkiego mszalnego wina nie brał do ust alkoholu, jednym

haustem wychylił podany kielich. Wino uderzyło mu do głowy. Usiadł w wygodnym, skórzanym fotelu i założył okulary, aby jak zwykle pogрузić się w lekturze pism świętego Augustyna, ale zdania nie wiązały się w logiczną treść. Odłożył książkę na kolana. Dopiero teraz zauważył, że Zofia wciąż jeszcze stała przed nim, jakby czekając na okazję, aby coś powiedzieć.

– Niech się Zofia nie martwi. Damy sobie radę, bo Bóg jest z nami – powiedział, pocieszając bardziej siebie, aniżeli gospodynię.

– Wiem – odrzekła Zofia. – Ale ja nie w tej sprawie. Mam do ojca prośbę.

– Będzie spełniona – zapewnił.

– Siostrzenica wychodzi za mąż, zostałam zaproszona na ślub. Mieszkają w Bydgoszczy. Nigdy nie prosiłam o urlop. Chciałabym wyjechać na dwa dni.

– Myślę, że przetrwam dwa dni bez obiadów i kolacji. Przy mojej tuszy trochę diety nie może zaszkodzić – zażartował.

– Nie wchodzi w rachubę – zaprotestowała gorąco. – Podczas mojej nieobecności zadba o księdza Julia, córka dobrych znajomych. Znam ją od dziecka, można na niej polegać.

– Niech już będzie – przytaknął, nie przykładając wagi do propozycji.

– Jest także list do księdza – przypomniała sobie i podała mu leżącą na stole kopertę. – Przyszedł wczoraj, ale zapomniałam. Mam nadzieję, że to nic pilnego.

Gdy wyszła, odciął brzeg koperty. Znalazł w niej kilka krótkich artykułów oraz lakoniczny liścik od jednego ze starych parafian: „Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem załączony tekst pana Bolesława Piaseckiego. Wydaje mi się, że zawiera racje, nad którymi trudno przejść do porządku dziennego”. Wino wywietrzało, ojciec Wiktor znów sięgnął po okulary i zaczął czytać:

„Na pytanie, kto zwycięży w konflikcie systemu kapitalistycznego z socjalistycznym, odpowiadamy: zwycięży system socjalistyczny, bo jest w swych dążeniach bardziej słuszny.

Na pytanie, jakie wobec tego powinno być stanowisko katolików, odpowiadamy: katolicy, z całą świadomością swojej odrębności religijnej i filozoficznej, winni dążyć do pozytywnego zainteresowania się socjalizmem, winni być obecni przy budowie społeczno-gospodarczych osiągnięć socjalizmu.

Na pytanie, z jakim ośrodkiem międzynarodowym społeczeństwo polskie wiąże współczesną rację stanu, odpowiadamy: z tym ośrodkiem, którego cele i interesy gwarantują nam dążenie do pokoju, gwarantują nam granicę na Odrze i Nysie. Ośrodkiem tym jest ZSRR oraz państwa demokracji ludowej.

Drugi problem stanowi organizowanie twórczości artystycznej, intelektualnej i wychowawczej, opartej na światopoglądzie katolickim. Trudność i głębia twórczości katolickiej polega na tym, że musi ona być jednocześnie oparta na wiedzy i wierze. Bez twórczej pracy katolików świeckich, zarówno w skali dnia powszedniego, jak i w skali wielkiej problematyki, nie powstanie perspektywa życiowej działalności. Przypominamy jednak, że wszelka twórczość powstawać może jedynie na tle trafnej oceny rzeczywistości...”²⁴.

Ksiądz Wiktor zdjął okulary, przetarł je irchową ściereczką i odłożył na bok. Nie chciał, a właściwie nie mógł czytać dalszego ciągu. Tekst stanowił nie tylko herezję, której nie mógł zaakceptować. Przede wszystkim zdawał sobie sprawę, że zawierał destruktywny ładunek filozoficzny, mogący z łatwością wypaczyć nieodporne mózgi. Fakt, iż podzielał na jednego z jego parafian, miał swoją wymowę. Ksiądz Wiktor zmiął zadrukowane kartki papieru i cisnął je na podłogę. Spontaniczna reakcja kolidowała z jego charakterem i sam się zdziwił, że tak zareagował. Potem wstał, narzucił na siebie sutannę i wrócił do kościoła. Modlitwa zawsze przynosiła mu ukojenie. Tym razem jednak nie spłynął na niego oczekiwany spokój. W żaden

24 Bolesław Piasecki, „Dziś i jutro”, 27 listopada 1947.

sposób nie mógł oderwać myśli od rzeczywistości, którą tak plastycznie, przekonująco i destruktywnie sformułował autor artykułu. Był skonfundowany i rozeźlony, bo nic nie wytrącało go z równowagi bardziej niż utrata samokontroli. Pełna władza nad własnym postępowaniem, ba, nawet nad własnymi myślami, tak uważał, stanowiła podstawę siły duchowej księdza. Udawanie przed samym sobą, iż jest pochłonięty modlitwą, nie miało żadnego sensu. Rozejrzał się po pustych nawach kościoła, położył modlitewnik na skraju ołtarza i wyszedł na ulicę. Było już ciemno. Wydawało się, że wskazówki zegarów posuwały się szybciej niż zwykle.

Ulica była pusta i źle oświetlona, nikt nie wymieniał przepalonych żarówek w latarniach, nie było ani jednej jarzącej się światłem wystawy. Późna godzina wymiotła ostatnich przechodniów. Przedstawienia teatralne i seanse filmowe kończyły się przed dziesiątą, władze miejskie dbały, aby ludzie mogli wypocząć przed następnym dniem zajęć w biurze lub fabryce. Przodownicy pracy nie rodzili się z nocnych rozrywek. Podczas dziesięciminutowego spaceru z kościoła do domu spotkał tylko dwóch pijanych, ledwo trzymających się na nogach mężczyzn. Pijaństwo stało się powszechną plagą społeczną. Wielokrotnie potępiał je z ambony, wiedząc, że jest to syzyfowa praca, że jego słowa odbijają się jak piłka od ściany nieposłuchu, i że ludzie będą szukali w butelce ucieczki od szarości dnia codziennego, dopóki nie znajdą prawdziwej treści życia.

Ojciec Wiktor mieszkał na trzecim piętrze odremontowanej kamienicy. Było to trzypokojowe, kwaterekowe mieszkanie, przydzielone w zamian za zarekwirowaną przykościelną plebanię. Jak większość poniemieckich mieszkań, było obszerne i nieźle wyposażone. Niektóre dywany, obrazy, a nawet firanki stanowiły dar parafian. W pokoju gościnnym, pod kopią osiemnastowiecznego wizerunku Zbawiciela, stał kwadratowy dębowy stół, zawsze zarzucony pismami i książkami. Zofia uprzątała je tylko wówczas, gdy przyjmował gości, lub gdy członkowie zarządu Juventus Christiana gromadzili się na comiesięczne obrady. Drzwi z salonu prowadziły wprost do równie obszernej sypialni z szerokim łóżem pod oknem. Za wychodzącym na wschód oknem rosły dwa rozłożyste kasztany. Gdy tylko się budził, cieszył oczy widokiem jasnych, zielonych koron; w zimie, gdy pokryte były śniegiem, a poranek pogodny, iskrzyły się tysiącem błyszczących gwiazdek. Świat wydawał się lepszy i piękniejszy niż w rzeczywistości. Trzeci pokój służył mu do pracy. Dalej, za podłużnym przedpokojem, mieściła się łazienka, kuchnia i ciasny kąt, szumnie nazywany pomieszczeniem gosposi.

Teraz, lekko zdyszany wspinaczką po piętrach, a miał zwyczaj przeskakiwania po dwa stopnie naraz, na próżno szukał w kieszeni kluczy. Wytrącony z równowagi lekturą artykułu, zostawił je na stole. Nieco zakłopotany, położył palec na przycisku dzwonka. Był przekonany, że wyciągnie z łóżka starą panią Zofię. Ku jego zdziwieniu, po krótkiej chwili w progu pojawiła się młoda dziewczyna, bosa, w płaszczu naprędce narzuconym na nocną koszulę.

– Martwiłam się o księdza – przywitała go. – Nie wiedziałam, co robić, nie mogłam przecież dzwonić na milicję.

Ojciec Wiktor był zaskoczony. Wyleciało mu z głowy, że Zofia prosiła o urlop, że obiecała zastępstwo. Zawstydzony, chrząknął, jakby chciał coś powiedzieć, lecz nie wiedział co.

– Nazywam się Julia. Myślałam, że ksiądz wie.

– Ach tak, przypominam sobie... Przykro mi, że cię obudziłem, moje dziecko.

– Po pierwsze, nie jestem dzieckiem. Mam dwadzieścia jeden lat. A po drugie, wcale nie spałam. Czekałam na księdza. Dlaczego ksiądz stoi w drzwiach?

– Rzeczywiście – mruknął, przeszedł obok niej jakby nie istniała, zrzucił z siebie sutannę, wrócił do gabinetu, pozbierał papiery z podłogi i umieścił je w koszu na śmieci. Julia

podążyła za nim. Przygotowała kolację, nie wiedziała, czy zechce jeść teraz, czy może później. Dopiero teraz dostrzegł, że stoi na bosaka.

– Przeziębisz się, dziecko – powiedział.

– Nic mi nie będzie. Jestem przyzwyczajona – odparła i wskazując na pusty kielich, zapytała:

– Dolać księdzu? Wino stoi na półce w kuchni.

– Nie, dziękuję... A zresztą, może to wcale nie taki zły pomysł.

– Przynieść także coś na przekąskę?

– Nie, nie. Nie mogę jeść.

Julia naląła pełny kielich. Wiktor pił pomału, chyba po raz pierwszy w życiu delektował się winem. Długo milczał. Potem spojrzał na nią nieco uważniej. Była wyższa od niego o głowę, jej jasne długie włosy swobodnie spadały na kołnierz płaszcza. Nie dziewczyna, kobieta, przeszło mu przez myśl. Nie było w tym nic zdroźnego. Młode przystojne kobiety brały udział w rekolekcjach, ale nigdy nie przyciągały jego uwagi. Ślubował czystość, a utrzymanie jej nie sprawiało mu trudności. Normalne, męskie zainteresowanie sprawami płci umarło w dniu, w którym przyjął święcenia. Od czasu do czasu dochodziły go plotki o wiejskich proboszczach, niezdolnych oprzeć się okazji i sypiających ze swymi gospodyniami, ale Zofia na pewno nie była osobą, która mogłaby sprowadzić go na złą drogę. Patrząc teraz na Julię, dziękował Bogu, że nigdy nie wystawił go na pokuszenie.

– Ojciec wygląda na zmęczonego – rzekła dziewczyna i klękając u jego stóp, zaczęła rozsznurowywać mu buty.

– Co robisz – zaprotestował, ale nie cofnął nóg pod fotel. Gdyby nie wino, do którego nie był przyzwyczajony, na pewno kazałby jej przestać. Julia przyniosła z sypialni pantofle. Obuła je szybko, jakby wstydził się siedzieć w samych skarpetach.

– Także skarpety – powiedziała stanowczo i nim zdążył się sprzeciwić, ściągnęła je z jego zmęczonych nóg. Znów schował stopy w miękkich pantoflach. Był pewien, że teraz powie „dobranoc” i pójdzie do swojego kąta za kuchnią. Ale Julia stała bez ruchu, wyraźnie czekając na dalsze instrukcje. Nie miał jej nic do powiedzenia, więc uniósł się z fotela i szepnął:

– Lepiej będzie, jeśli pójdę już spać.

Później, gdy leżał już w łóżku, pytał samego siebie, dlaczego szeptał, lecz nie znalazł odpowiedzi. Pościel pachniała krochmalą i farbą do prania. Sen nie nadchodził. Myślami wędrował do rekolekcji, które spowodowały śledztwo i aresztowanie. Pamiętał dokładnie dyskusję o pochodzeniu szatana i dopiero teraz zdziwił się, że nikt nie powołał się na apokryfy, a szczególnie na Księgę Henocha. Ksiądz Wiktor przyswoił sobie jej treść, gdy studiując w seminarium duchownym, sięgał po literaturę nieuwzględnioną w księgach kanonicznych. Henoch twierdził, że to powab kobiet spowodował bunt aniołów przeciw Stwórcy, ponieważ pragnęli je posiadać i spłodzić potomstwo. Owocem tego związku były Olbrzymy, które wprawdzie pożarły się nawzajem, ale zostawiły po sobie na ziemi zepsucie i cudzołóstwo. Inna wersja głosiła, że bunt wybuchł po tym, gdy Anioł o dwunastu skrzydłach nie pogodził się z istnieniem Adama, zazdroszcząc mu związku z Ewą. W końcu spłodził z nią biblijnego zabójcę Kaina.

Pogrążony w rozmyślaniach, nie zwrócił uwagi na lekkie skrzypnięcie zawiasów. Dopiero gdy drzwi stanęły otworem, zobaczył Julię. Odziana w białą nocną koszulę, w półmroku sypialnego pokoju wydawała mu się duchem, albo aniołem, albo Ewą, albo wcieleniem trzech postaci razem. Dopiero niekontrolowana reakcja jego męskiego ciała uświadomiła mu, że stoi przed nim kobieta. Teraz powinien był zapytać, jakim prawem narusza jego spokój. Teraz powinien był głośno i stanowczo wyprosić ją z sypialni. Teraz, bo za chwilę, wiedział to z

całą pewnością, nie starczy mu siły woli, aby powiedzieć to, co powiedzieć powinien. Milczenie, które przedtem dzieliło ich jak gęsta zasłona, stało się znakiem przyzwolenia.

Gdy obudziły go pierwsze promienie słońca, pragnął uwierzyć, że wszystko było tylko senną marą. Ale ciepło ciała Julii nic pozwalało na ucieczkę od rzeczywistości. Leżała obok niego, rozbudzona, z uśmiechem zadowolenia, który czynił ją jeszcze piękniejszą niż była wczoraj.

– O czym dumasz? – spytała, ujmując go za rękę.

– O tym, co głosił święty Augustyn – odparł z całą powagą. – Augustyn pisał, że zło nie jest niczym innym, jak brakiem dobra. Twierdził, że szatan nie może zmienić czegoś, co już istnieje; że nie leży w jego mocy stworzenie czegoś *ex nihilo*. Oznacza to, że gdyby wszyscy ludzie na świecie porzucili grzeszne myśli, odebraliby szatanowi jego siłę działania. Zrozumiałaś?

– Ani słowa – parsknęła śmiechem. – W każdym razie nie mogę uwierzyć, aby miłość mężczyzny i kobiety była wymysłem szatana.

Ksiądz Wiktor przymknął oczy. Cokolwiek by nie powiedziała, miał świadomość, że jego życie nigdy już nie będzie takie, jakie było. Ale w najczarniejszych myślach nie mógł przewidzieć tego, co stanie się w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. Nazajutrz, gdy zastanawiał się, jakiemu spowiednikowi mógłby zwierzyć się z grzechu, zadzwonił telefon w zakrystii. Na linii był szef Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa.

– Stęskniłem się za księdzem – powiedział cicho i uprzejmie. – Wydaje mi się, że znów będziemy mieli przyjemność się spotkać. Mam nadzieję, że ksiądz wypoczął już po trudach ostatniej nocy. Znam Julię, wiem, że potrafi zmęczyć młodszych od waszej wielbności... Proszę się nic niepokoić. My, tutaj w Urzędzie, umiemy milczeć. Oczywiście pod warunkiem, że nie odmawia się nam drobnej przysługi. Wiem, że ksiądz interesował się aktem chrztu Rudolfa Nowaka i że znalazł w nim jakieś nieprawidłowości. Chciałbym otrzymać każdy świstek korespondencji w tej sprawie. O dziesiątej pojawi się u księdza jeden z moich najbardziej zaufanych ludzi. Jestem przekonany, że ksiądz pokieruje się rozsądkiem i nie zechce nas zawieść.

Ojciec Wiktor gorączkowo szukał odpowiedzi, ale było to całkiem zbyteczne. Szef UB rozłączył się. Ksiądz długo jeszcze stał nieruchomo, z głuchą słuchawką w ręce. Parzyła jak ogień.

Rozdział dziewiąty

TEMIDA NIE JEST ŚLEPA

Maria Kot przeglądała się w sypialnianym lustrze i nie była rada. W kącikach oczu pojawiły się nowe zmarszczki, a zawsze błyszczące oczy nieco przygasały. Myśl, że się starzeje, nie była jej miła. Kłopoty ostatnich tygodni zdawały się przyspieszać ten proces. Kremy, podłej zresztą jakości, nie mogły go już ukryć. W gruncie rzeczy usiadła, aby tylko przypudrować nos przed wyjściem do miasta, i sama nie wiedziała, skąd ta smętna konstatacja faktów. Odruchowo zbliżyła twarz do zwierciadła, czując, że straciła coś niezwykle cennego. Nie była to młodość. To była przyszłość.

Przed chwilą przejrzała poranną prasę. Tytuły były przerażające. Początek procesu zapowiedziano na koniec miesiąca, ale dziennikarze uznali go winnym, jej ukochanego Rudiego, nim jeszcze prokurator powiedział pierwsze słowo. Kilka dni temu, niby bez związku z procesem, radio zaczęło nadawać serię audycji o zdrajcach, których skazano za usługi świadczone na rzecz hitlerowskich okupantów. Większość procesów zakończyła się wyrokiem śmierci. Ojciec Wiktor nazwał to urabianiem opinii publicznej. Maria, słuchając podekscytowanego głosu spikera, oczami wyobraźni widziała głowę Rudiego w szubienicznej pętli, lekko przechyloną w bok, o twarzy naznaczonej grymasem śmierci. Im usilniej pragnęła uciec od tego widoku, tym stawał się wyrazistszy. Zaś słowa sprawozdawcy odbijały się echem od ścian pokoju długo po zgaszeniu odbiornika.

Nie dokończywszy makijażu, odłożyła na blat toaletki kredkę do ust i puderniczkę, sięgnęła po telefon i wykręciła numer Rity.

– Czerwony Sztandar, sekretariat – odezwał się w słuchawce dobrze znany głos. Był spokojny i rzeczowy. Najlepszy dowód, że świat kręci się nadal, jak gdyby nigdy nic.

– Wiem, że jesteś zajęta, ale nie mogłam się powstrzymać. Czytałaś dzisiejsze gazety?

– Nie miałam czasu. Dlaczego jesteś taka wzburzona?

– Dziennikarze znęcają się nad nim. Nie wiem, kto im dyktuje te kłamstwa. To takie niesprawiedliwe pisać, że jest zbrodniarzem. Nie znam nikogo, aby zaprotestować. Ty masz w kieszeni wszystkie ważne osobistości. Trzeba im powiedzieć, że nie wolno tak pisać.

Rita wysłuchała, nie przerywając. Oczywiście, ona także czytała gazetę, wiedziała o co chodzi, ale nie miała lekarstwa na roztrzęsione nerwy Marii.

– Nie bądź dziecinna – powiedziała, gdy Maria wyrzuciła z siebie swój ból. – Na czyje ręce mam składać protest? Napisać skargę do KC, albo może do Organizacji Narodów Zjednoczonych? Równie dobrze można się zwrócić do budki z wodą sodową. Nikt nas nie wysłucha. W takich sprawach nawet Buter jest bezradny.

– Kto to taki?

– Nie słyszałaś? – zdziwiła się Rita. – Emil Buter, obrońca Nowaka. Najlepszy adwokat w mieście. Jeśli ktokolwiek może pomóc twojemu przyjacielowi, to tylko on.

– Nie mogę siedzieć z założonymi rękami i czekać na waszą sprawiedliwość. Muszę coś zrobić, ale nie wiem co.

Ritę uraziła uwaga o „waszej sprawiedliwości”, ale pominęła ją milczeniem.

– Cokolwiek uczynisz, może tylko zaszkodzić. W najlepszym przypadku sama wpakujesz się w kłopoty.

– Nie zbywaj mnie byle czym – rzekła Maria błagalnie. Rita wyczuła, że jest bliska płaczu.

– Posłuchaj, jestem w biurze. Chajes siedzi w pokoju obok. Nie mogę swobodnie rozmawiać. Będę wolna w niedzielę wieczorem. Jeśli chcesz, chętnie wpadnę na filiżankę herbaty. Będziemy mogły przegadać całą noc.

– Nie trzeba, nie trudź się – odparła Maria, jakby obrażona. Szybko jednak się opamiętała. Poza Ritą nie miała przyjaznej duszy, nie chciała jej stracić. – Przejęczyłam się – dodała szybko. – Będę szczęśliwa, jeśli przyjdiesz. Możesz o siódmiej?

– Siódma bardzo mi odpowiada.

Czekała na tę wizytę z niecierpliwością, nie tyle z powodu szczerzej sympatii, którą zaczęła darzyć Ritę, ile dlatego, że Rita zawsze wiedziała, jak poruszają się zębate koła skomplikowanego aparatu władzy. Nic nie działo się tak, jak wyglądało z zewnątrz, a kto nie znał zasad gry, miał nikłe widoki na wydostanie się z pułapki. Ale nawet Maria wiedziała, że propaganda smaruje niczym olej całą tę maszynę, zaś prasa stanowi walec, ścielący drogę partii wobec opinii publicznej. Oprócz Pawła Klarmana z „Gazety Robotniczej” nie znała nikogo z tego środowiska, zaś ten parszywiec, jak nazywała go w myślach, albo „historyk cenzury”, jak sam się kiedyś określił, był ostatnią osobą, do której mogłaby się zwrócić z prośbą o pomoc.

W niedzielę rano obudziła się z uczuciem niepokoju. Machinalnie spojrzała na pustą połowę łóżka. Na kołdrze leżała jeszcze gazeta, wyjaśniająca czytelnikom, że „były dyrektor Czerwonego Sztandaru nigdy nie utożsamiał się z celami partii i nigdy nie służył jej z przekonania”. W rozmowach nie zdarzało im się omawiać jego przekonań. Teraz, nad ranem, zastanawiała się, czy w ogóle posiadał sprecyzowany światopogląd. Nie był komunistą, nie był katolikiem, niewiele mówił o swojej polskości. Nic nie było dla niego święte. Często siadywali w saloniku, każde pogrążone w swoich myślach. Łączyło ich wspólne milczenie. Z nielicznych słów, które padły, mogła wywnioskować, że w obozach koncentracyjnych zabijano nie tylko ludzi, ale także ludzkie uczucia. Ale jaki by nie był, był jej potrzebny. Czasami, nocą, wsłuchiwała się w jego oddech. Bardziej od starości przerażała ją samotność. Zmarły mąż opowiadał, w jaki sposób uspokoja się szczeniaka przedwcześnie odebranego od suki: kładzie mu się na wyrku duży kuchenny budzik. Piesek odbiera tykanie zegara jako bicie serca matki i śpi spokojnie. Słyszając regularny oddech Rudolfa, czuła się bezpieczna jak ów oszukany szczeniak.

Dzień był słoneczny. Zrzuciła się z siebie kołdrę, wepchnęła obrzydliwą gazetę pod łóżko i stanęła przed lustrem. Od czasu aresztowania Nowaka stało się to niemal rytuałem. Ściągnęła przez głowę nocną koszulę i badała swoje ciało, bez tej pruderii, której była pełna, gdy mieszkała jeszcze w domu. Dopiero teraz zaczynała pojmować, czym może być niemy dialog kobiety i mężczyzny w zaciszu sypialnego pokoju. W poprzednim związku nie zaznała tego uczucia. Rudolf także był tylko katalizatorem. Im głębiej analizowała swoją kobiecość, tym bardziej dochodziła do przekonania, że to coś, ciepłe i nieokreślone, drzemało w niej zawsze. Po prostu nie była tego świadoma. Katolickie wychowanie pokryło te odczucia zimną skorupą zakazów i wyrzutów sumienia. Długie lata pamiętała katechetkę z zakonu klarysek, która tak plastycznie przedstawiała postać świętego Mateusza, aż żydowski celnik z Kafarnaum, dostrzegający w pożądlwym spojrzeniu mężczyzny „cudzołóstwo w sercu”,

stawał przed nią jak żywy. Nie bardzo wiedziała, jak to się stało, że tak gwałtownie zawalił się mur moralnej ochrony i że tak szybko przeskoczyła przez jego ruiny.

Przed południem poszła do kościoła. Po tym, co się stało, ojciec Wiktor znów dopuszczał ją do niedzielnej mszy. Kazanie poświęcił Ewangelii Marka o kuszeniu Chrystusa na pustyni, wyraźnie nawiązując do wydarzeń obecnych czasów. Po mszy, jak zawsze, podeszła, aby się z nim przywitać, ale nie wydawał się ucieszony jej widokiem. Był blady, miał podkrążone oczy, mocno zaciskał wargi.

– Coś narusza spokój twojej duszy, ojcze? — spytała.

– Także księża są z krwi i ciała – odpowiedział niegrzecznie. Nie pojęła znaczenia jego słów, lecz nie miała odwagi stawiać dodatkowych pytań. Pożegnała się i wyszła z kościoła.

Całe popołudnie spędziła w domu, w napiętym oczekiwaniu Rity. Gdy punktualnie o siódmej rozległ się dźwięk dzwonka u drzwi, z przyzwyczajenia zerknęła przez wizjer. W powiększającym szkle zobaczyła trochę zniekształconą twarz uśmiechniętej sekretarki i odetchnęła z ulgą. Do ostatniej chwili obawiała się, że Rita nie dotrzyma obietnicy, że spłoszy ją kontakt z kochanką „zbrodniarza”.

– Można?

– Oczywiście. Proszę, wejdź.

Rita miała na sobie żółtą letnią sukienkę z krótkimi rękawami i głębokim dekoltem. Maria obdarzyła ją pełnym uznania spojrzeniem. Dziewczyna zdjęła kapelusz z szerokim rondem, także żółty, i zarzuciła go na kołek wieszaka. Na drugim kołku wisiał jeszcze kapelusz Rudolfa.

– Usiądź, czuj się jak w domu – zaprosiła Maria.

– Zawsze i wszędzie czuję się jak w domu – powiedziała Rita.

– Mam kawę i mam herbatę. Co wolisz?

– Po kawie źle sypiam.

– A więc herbata. Już zaparzona.

Gdy usiadły przy małym stoliku w pokoju gościnnym, Maria poprosiła bez wstępu:

– Opowiedz mi o nim.

– Ja?

– Tak, ty. Znasz go lepiej ode mnie.

Rita pokiwała głową z powątpiewaniem.

– Tak naprawdę, to nikt go nie zna – zaczęła. – Ani ty, ani ja. W pierwszej chwili wydaje nam się, że stoi przed nami człowiek inteligentny, sympatyczny i otwarty. Z perspektywy ostatnich wydarzeń wydaje mi się, że tylko inteligencji nie można kwestionować. Jego serdeczność, nie wylewna, ale robiąca wrażenie szczerą, nie była niczym więcej niż grą. Potrafił zyskiwać przychyłność otoczenia, ale czynił to z wyrachowaniem, jedynie wówczas, gdy służyło to sprawie pracy w zakładach... Mam nadzieję, że cię nie uraziłam?

– Skądże znowu. Mów, mów dalej.

– Nie oszukujmy się, Mario. Przecież wiemy, że nie był tylko sublokatorem.

– To jest teraz bez znaczenia. Wiesz, kiedy analizuję swoje życie, dochodzę do wniosku, że również mojego zmarłego męża nie znałam tak naprawdę. A zawsze wydawało mi się, iż mam wyczułone oko, albo jakiś dziesiąty zmysł, który pozwala mi oceniać ludzi od pierwszego spojrzenia. Ale to chyba jeszcze jedna iluzja.

– O czym mówiłam? Aa, o tym, że praca była jego jedyną prawdziwą kochanką. Jestem niemal pewna, że rysunek techniczny nowej walcowni albo skład chemiczny jakiegoś stopu interesował go bardziej od najciekawszej ludzkiej istoty.

– Także bardziej od ciebie?

– Wciąż jeszcze podejrzewasz? Wierz mi, że bezpodstawnie. Nie będę ukrywała, początkowo pociągła mnie jego osobowość. A może tylko to, że był naczelnym inżynierem. My, kobiety, mieszamy czasami pojęcia, wydaje nam się, iż pozycja i siła równoznaczne są z

męskością. Ale to niekoniecznie jest prawdą. Nie ukrywam, że spędziliśmy kilka wieczorów w restauracjach. Zawsze z mojej inicjatywy. Podejrzewam, iż widział we mnie przede wszystkim źródło informacji. Często zastanawiałam się, czy kiedykolwiek był zakochany, pożądał, szalał za kobietą.

– Był dobrym partnerem, takim, z którym chce się żyć – wtrąciła Maria.

– Nie chcę być złośliwa, ale wszystko zależy od oczekiwań. Partnerstwo jest świetne, gdy zakłada się interes, albo gra w brydża. Ja wymagam od mężczyzny czegoś więcej.

– Może dlatego zostałam sama – odpląciła jej Maria tą samą monetą.

Rita roześmiała się beztrąsko:

– Gdy chcę, jestem sama, gdy nie chcę, jestem z kimś. Nie szukam męża. Szukam dużej przygody.

– Znalazłaś?

– Krzysiak był przygodą.

– Nie wiedziałam, że...

– Nikt nie wiedział. Krzysiak robił wrażenie góry lodowej, ja umiałam roztopiać ten lód. To wielka satysfakcja dla kobiety. Twój Rudolf, nawet gdybym go wstawiła do pieca, nie pozbyłby się lodowej powłoki. Dlatego nie wiem, co ukrywał pod tą powłoką. Może nic? Może był pusty jak dzban, z którego wyciekła woda. Może wojna, obozy, czort wic co jeszcze, może to pochłonęło wszystko, co kiedyś w nim tkwiło. Przyznam, że chciałam tam zajrzeć. Do serca, do duszy, nazwij to jak chcesz. Bez powodzenia. Był czas, gdy podejrzewałam go o impotencję. Potem, gdy związał się z tobą, zrozumiałam, że tak nie jest.

– I pytałaś sama siebie: co takiego ma ta stara Maria Kot, czego ja nie mam?

– To chyba naturalne.

– Wciąż jeszcze chcesz znać odpowiedź?

– Jeśli jesteś gotowa.

– Odpowiedź jest prosta. Nie czekałam na rycerza na białym koniu. Szukałam bliskości człowieka, któremu potrzebne jest ciepło. Miałam go sporo, ale nie widziałam wokół siebie nikogo, komu byłoby potrzebne. Nie chciałam skończyć życia jako samotna stara dewotka, a wszystko szło w tym kierunku. Myślę, że równocześnie pragnęłam partnera i nie chciałam go. Rudolf wrócił do kraju po latach wojny, byłam pewna, że ciepło prawdziwego domu, nawet jeśli iluzoryczne, zwabi go niczym światło ćmę. Ale Rudolf nie zdawał się tęsknić do tego, co nazywam stworzeniem nowego domu rodzinnego. Nigdy nie wspominał tego, który stracił. Jest dla mnie człowiekiem bez przeszłości. Przyznam, że taki związek wydawał mi się dosyć wygodny. Nie wchodziliśmy sobie w drogę. Miałam własną przeszłość, nie było w niej miejsca dla intruza.

– To brzmi bardzo wyrachowanie.

– Już ci powiedziałam, że nie szukałam wielkich wzlotów.

– Aż cię dopadło.

– Nie. To nie było tak. Po prostu przyzwyczaiłam się do jego obecności. Było mi miło, że ktoś mieszka pod moim dachem. Nie potrafię dokładnie określić tego dnia, w którym przestał być dla mnie tylko sublokator. Na ogół każde z nas zamykało się w swoim pokoju, nie wiem, co on robił, ja zazwyczaj czytałam. Na pewno rozśmieszysz cię, gdy powiem, że były to przeważnie pisma świętego Augustyna. Aż pewnego dnia Rudi wyjechał za miasto, a ja nie mogłam skupić się na czytaniu. Czułam, że czegoś mi brakuje. Nagle poczułam, iż przeszkadza mi, że żyjemy tak blisko siebie, a jednak tak daleko.

– i zaprosiłaś go do łóżka.

– Brzmi to dosyć obcesowo, ale chyba tak było.

– A teraz drżysz o jego los, bo tak ci dyktuje twój kodeks postępowania.

– To jest stwierdzenie krzywdzące. Moja troska jest szczerą i prawdziwą.

– Kochasz go?

– Nie wiem. Ale stanowi część mojej osobowości. Dlatego, jak powiedziałaś, drzę o jego los. Nie sądzę, by sprawy potoczyły się tak, jak się potoczyły, gdybyśmy się poznali w biurze, w kawiarni lub w kościele. Nie należę do kobiet, które tracą przytomność umysłu na widok spodni.

– Pijesz do mnie?

– Broń Boże. Stwierdzam fakt. Nic się za tym nie kryje.

– A więc wszystko tylko dlatego, że mieliście wspólny przedpokój i wspólną łazienkę? Czy nie jest to trochę frustrujące? Może nawet obraźliwe?

– Byłoby frustrujące, gdyby nie udało nam się stworzyć prawdziwej więzi. Byłam w tym związku szczęśliwa.

– Nie okłamujesz samej siebie?

– Nie sądzę.

– Mówisz tak tylko dlatego, że nie zrobiłaś prawdziwego rachunku życia.

– Dlaczego musimy wciąż wszystko rachować?

– Powinniśmy umieć zbilansować wszystkie „za” i „przeciw” w naszym życiu – rzekła Rita i spojrzała jej prosto w oczy.

– Bilans życia? To przecież hasło pozbawione treści. Nie mam niczego, co chciałabym podsumować. Walczę z nocą, aby doczekać jutra, i walczę z dniem, aby doczekać nocy. Gdy byłam w twoim wieku, moja droga, snułam fantastyczne plany na przyszłość. Dzisiaj pozostawiam to tym, którzy wymyślili pięćdziesiąt lat. Kobietom w twoim wieku wydaje się, że są w stanie poruszyć góry. Ja już wyzbyłam się tych złudzeń. A szkoda. Byłoby mi lżej, gdybym pozostała głupia i naiwna.

Rita położyła rękę na ramieniu Marii:

– Przykro mi. Przyszłam, aby podtrzymać cię na duchu, i co z tego wyszło? Sama nie wiem, jak to się stało, że zboczyłyśmy na te kręte, niepotrzebne ścieżki.

– O, nie – zaprotestowała Maria. – Nasza rozmowa na pewno nie była zbędna. Uzmysłowiła mi raz jeszcze, jak bezsensowne jest analizowanie uczuć, jak trudne dzielenie miłości na ułamki tylko po to, aby dojść do przekonania, że tkwiła we mnie od dawna i że brakowało jedynie człowieka, dla którego mogłabym znów je złożyć w całość.

– To brzmi bardzo mądrze. Ale co z nią zrobimy?

– Z miłością?

– Nie – uśmiechnęła się Rita. – Z tą twoją mądrością życiową. Jak należy ją teraz zainwestować?

– Myślałam, że dowiem się od ciebie. To ty masz odpowiednie koneksje w prasie i w Wydziale Propagandy. Znasz wszystkich, potrafisz wszystko załatwić.

Rita pokiwała przecząco głową.

– Nie na tym etapie. Gdy Chajes i spółka postanowili wykończyć Krzysiaka, zaczęli od kampanii prasowej, konstruktywnie krytykującej zarządzanie Uniwersalem. W socjalizmie krytyka zawsze musi być konstruktywna – powiedziała ironicznie. – Wiadomości kapały na Krzysiaka jak brudna woda. Jakaś notatka o awarii spowodowanej niedopatrzaniem dyrektora, jakiś artykuł o braku socjalistycznej dyscypliny pracy, potem coś o szkodach ekologicznych powodowanych przez zakłady. Można było się uśmieć: „Gazeta Robotnicza” nagle zaczęła się troszczyć o ochronę środowiska. Ale Krzysiakowi nie było do śmiechu. Znał zasady gry. Kazał mi katalogować wycinki prasowe, bo przygotowywał się do kontraktacji. Nie udało mu się, ponieważ wszyscy stanęli przeciw niemu. Był za słaby, więc musiał odejść.

– A Rudolf? – spytała Maria.

– Od chwili gdy znikł, co rano starannie wertowałam wszystkie dzienniki. Nie znalazłam o nim najmniejszej wzmianki. Nikt nie przygotowywał opinii publicznej. Przyjęłam to za dobry omen. Byłam przekonana, że aresztowano go przez omyłkę, że wkrótce wróci. Nie przyszło mi do głowy, iż sprawca może być przedmiotem zakulisowych rozgrywek.

Dowiedziałam się o tym znacznie później i dopiero wówczas zrozumiałam, dlaczego prasa milczy. Teraz, po tym zmasowanym ataku, nie ma już odwrotu. Taka jest prawda, Mario, i musisz się z nią pogodzić. Skończył się czas złudzeń.

– Nie wiem, co robić.

– Sama powiedziałaś: walczyć z nocą, aby dotrzeć ranka, i zabić dzień, aby dotrzeć do wieczoru. A potem to samo z tygodniami, aż do rozpoczęcia procesu.

W zaistniałych warunkach była to niewątpliwie najrozsądniejsza rada. Być może posłuchałaby Rity i zamartwiała się z założonymi rękami, gdyby nie zaskakujący telefon od fryzjera Maurycego.

Gazety rozpisywały się teraz o przygotowaniach do procesu, ale żadna nie wspomniała o obrońcy. Gdyby nie Rita, nie wiedziałyby o jego istnieniu. Kilka dni później niespodziewanie odezwał się Maurycy i szepcząc do słuchawki, zawiadomił ją, że Emil Buter zgodził się reprezentować Nowaka w sądzie. Wyrzucał z siebie słowa cicho, bardzo szybko i bardzo składnie, jakby recytował z góry przygotowany tekst.

– Wiem, że pani mnie nie poważa – powiedział – ale w trudnych sytuacjach ludzie powinni się wzajemnie wspierać. Jeśli mogę w czymkolwiek pomóc, proszę się nie wahać, jestem do pani dyspozycji. Moja brzytwa wygładza twarz i rozwiązuje język niejednej osobistości. Czasami nawet pogardzany golibroda może się do czegoś przydać. Dla dobra sprawy powinniśmy wymieniać informacje.

Maria wzruszyła się. Nie przypuszczała, że odtrącony zalotnik wykaże taką wielkoduszność. Czyżby znów pomyliła się w ocenie bliźniego?

– Serdecznie dziękuję – odparła. – Odszukam pana Butera. Mam trochę oszczędności.

– Powinna pani spróbować, aczkolwiek nie będzie to łatwe zadanie – ostrzegł Maurycy. – Znam Emila Butera. To bardzo wyjątkowy egzemplarz w królestwie Marksa-Engelsa-Lenina-Stalina. Jest człowiekiem nieprzekupnym.

– Posłucham pańskiej rady – przyrzekła, wiedząc, że nie dotrzyma słowa. Miała własne, całkowicie odmienne zdanie o ludziach, którzy ocierali się o władzę. Doświadczenie nauczyło ją, że w powojennej rzeczywistości nawet ci rzekomo uczciwi padają ofiarą powszechnej korupcji i że łapówka jest paliwem napędzającym ludzkie działania. Była głęboko przekonana, iż różnica między skorumpowanymi a „uczciwymi” wyraża się jedynie wysokością sumy, którą należy smarować tryby. Udającym uczciwych trzeba płacić więcej.

Mecenas Buter niechętnie wyraził zgodę na spotkanie. Gdyby nie interwencja Rity, na pewno nie doszłoby do rozmowy. Od pierwszej chwili, gdy tylko weszła do zespołu adwokackiego, rzuciła jej się w oczy uprzywilejowana pozycja obrońcy Rudolfa. Sekretarz biura, traktujący lekceważąco, czasami nawet ordynarnie, stojących przed nim petentów, na jej widok wstał, szarmancko pocałował ją w rękę i osobiście odprowadził na koniec korytarza, gdzie, w odróżnieniu od wszystkich innych członków zespołu, mecenas Buter urzędował w osobnej, elegancko urządzonej kancelarii. Zaraz na wstępie usprawiedliwił się, że czas jego jest ograniczony, że może jej poświęcić nie więcej niż dziesięć minut. Gdy tylko usiadła na wskazanym krześle, powiedział, iż nie musi się przedstawiać, gdyż wie dokładnie, kim jest dla niej Rudolf. Nie miała odwagi zapytać, skąd ta informacja. W głębi duszy, bez żadnego uzasadnienia, podejrzewała, że nie od Rity, że Maurycy maczał w tym palce. Trochę nerwowo otworzyła torebkę, wydobyla grubą, zalepioną kopertę i położyła ją na blacie biurka.

– Nie jestem osobą zamożną – powiedziała – ale wiem, że sprawa Rudolfa nie będzie łatwa i że zasługuje pan na znacznie wyższe wynagrodzenie od tego, które wypłaci panu kasa zespołu.

Buter podniósł kopertę, chwilę jakby ważył ją w ręce, potem podał ją Marii, mówiąc:

– Przykro mi, że oceniła mnie pani niewłaściwie. Jeśli towarzysz pani życia jest niewinny, także bez pani udziału uczynię wszystko, co w mojej mocy, aby to udowodnić w sądzie. A

jeśli popełnił przypisywane mu przestępstwa, we wszystkich kopalniach złota na świecie nie ma dostatecznej ilości kruszcu, aby kupić moje sumienie.

Adwokat mówił rzeczowo, bez patosu, ale Maria wyczuła w jego głosie nutkę obrazy. Skonfundowana, nie wiedziała, jak zareagować. Machinalnie wcisnęła kopertę do torebki i głośno zatrzasnęła jej zamek. Buter uśmiechnął się pobłaźliwie:

– Proszę wrócić do domu i przestać się przejmować. Wiem, że łatwiej to powiedzieć niż zrobić, ale nie pozostaje pani nic innego, jak czekać, czekać i jeszcze raz czekać. Jako osoba wierząca może się pani modlić i mieć nadzieję, że Wszechmogący wysłucha jej prośb. Ja, stary ateista, muszę polegać tylko na moich umiejętnościach zawodowych... Miło było panią poznać, ale nasz czas się skończył.

Gdy wyszła z ciemnej klatki schodowej, oślepił ją blask letniego słońca. W nocy ciepły kapuśniaczek zmył ulice i odświeżył miejskie powietrze. Przyjemnie było oddychać. Lato trwało wyjątkowo ciepłe, przyjazne dla ludzi, ale nie dla Marii Kot. Ponura, zamglona i wietrzna pogoda bardziej korespondowała z jej nastrojem. Szła pomału Świdnicką w kierunku Rynku, mocno ściskając pod pachą torebkę. Ani na chwilę nie umykało jej uwadze, że było w niej niemal wszystko co posiadała. W jednej z bocznych ulic, niedaleko Teatru Żydowskiego Idy Kamińskiej, mieścił się zakład fryzjerski Maurycego. Nad wejściem brakowało szyldu, stali klienci znali adres, a przypadkowych nie oglądano mile. Maria nigdy nie postawiłaby tam nogi, gdyby nie nagły telefon Maurycego. Czuła potrzebę okazania mu, że co było a nie jest, nie pisze się w rejestr. Pierwszym spostrzeżeniem, gdy tylko stanęła przed oknem wystawowym, były dawno niemyte szyby. Zawsze, niemal obsesyjnie, dbała o czystość. Zastanowiła się przez chwilę, jaką minę zrobiłby Maurycy, gdyby poprosiła o szmatę i wiadro z wodą, aby umyć brudne okno. Myśl była tak absurdalna, że spowodowała parsknięcie niekontrolowanym śmiechem. Od wielu tygodni nie śmiała się tak swobodnie.

Maurycy otworzył drzwi na oścież. Za każdym razem, gdy je otwierano, dźwięczał dzwonek, podobny w dźwięku do tych noszonych na szyi przez owce i barany. Także to skojarzenie przywołało na jej usta uśmiech.

– Cieszy mnie, że mimo wszystko zachowała pani radość życia – powiedział na przywitanie. Był zaskoczony wizytą, ale udawał, że nie widzi w niej nic nadzwyczajnego.

– Najwyższy czas, aby kazał pan umyć okno wystawowe – rzuciła jakby mimochodem.

– Mnóstwo klientów zwracało mi na to uwagę. Gdybym wiedział, że zaszczyci mnie pani wizytą...

– Przechodziłam tędy zupełnie przypadkowo – odparła spiesznie, aby nie wyciągał fałszywych wniosków. – Byłam u adwokata Butera i po prostu chciałam raz jeszcze podziękować. To wszystko.

– O tej porze salon jest zawsze pusty. Możemy spokojnie porozmawiać.

Słowo „salon” znów ją rozweseliło. Tylko niepoprawny optymista mógł nazwać tę dziurę salonem. Ale rozmawiać nie chciała. Maurycy nie był osobą, której pragnęłaby się zwierzać.

– Jakie odniosła pani wrażenie?

– Odmówił przyjęcia pieniędzy. – Maria instynktownie dotknęła torebki. – Chyba miał pan rację. Albo jest głupcem, albo naprawdę uczciwym człowiekiem.

– Ostatni sprawiedliwy w Sodomie – skonstatował z całą powagą.

– Pan i pańskie porównania – zachnęła się.

– Dlaczego nie? Dla mnie prokurator Czerniakowski może być Poncjuszem Piłatem, a Gedalia Chajes Judaszem z Kariotu.

Maria poczuła, jak spada z niej całe napięcie. Maurycy wydawał się całkiem zabawną osobą. Czyżby jeszcze jedna pomyłka? Dla podtrzymania rozmowy rzuciła prowokująco:

– Nie zna pan żadnych przyzwoitych ludzi?

– Znałem, ale umarli – odparł i dopełniając swoją myśl, rzucił bez ogródek: – Wiem, wiem, ma pani na myśli swojego Nowaka. Nie chciałbym pani dotknąć, ale w moim pojęciu także Nowak nie jest świętym męczennikiem. Powiedziałbym nawet, że to dosyć podła kreatura. Znała pani jego udział w usunięciu Krzysiaka?

Maria zerknęła na zegarek.

– Boże, już tak późno – powiedziała i zaraz dodała: – Przepraszam, że zabrałam panu tyle cennego czasu. Muszę lecieć.

– Sprawiała mi pani prawdziwą przyjemność. I proszę pamiętać, że jestem także wcale nie najgorszym fryzjerem damskim.

Po wyjściu Marii odczekał kilka minut. Upewniwszy się, że nie wróci, podszedł do telefonu stojącego na marmurowej półce, między brzytwami, kremami i nożycami, z pamięci wykręcił miejscowy numer i wyrzucił z siebie kilka krótkich zdań:

– Mówi Maurycy. Była u Butera. Nie wziął łapówki.

Po odłożeniu słuchawki stanął przed lustrem i długo wpatrywał się we własne odbicie.

Nazajutrz połączył się z Marią Kot młody aplikant z kancelarii Emila Butera, zawiadamiając, że szef zadbał dla niej o miejsca w sali, w której odbędzie się proces.

– W Sądzie Okręgowym brak miejsca dla wszystkich zaproszonych. Przewód przeniesiono do Domu Ludowego – wyjaśnił.

Określenie „zaproszeni” raziło jej wyczulone ucho. Już chciała zareagować ostrą reprimendą, że to przecież nie premiera w operze, ale okazało się, iż aplikant miał w zanadrzu jeszcze jedną, istotną informację:

– Mecenas Buter uzyskał zezwolenie na przesłanie paczki do więzienia – oznajmił. – Może zawierać czystą odzież, nic więcej. Żywność, książki, prasa i lekarstwa są surowo zabronione. I pod żadnym pozorem proszę nie dołączać listu. Towarzysz Buter prosił, by wyjaśnić, że jakakolwiek próba wysłania zakazanych przedmiotów spowoduje konfiskatę całej przesyłki.

Tylko raz udało się Marii przemycić do Rudiego krótki list. Rita zgodziła się pomóc. Związek Marii z Ritą zacieśniał się coraz bardziej, mimo iż były tak odmiennych charakterów. Maria pogrążała się z dnia na dzień głębiej w swoim strapieniu, Rita nigdy nie traciła optymizmu. Kiedyś, w przystępie dobrego humoru, zażartowała: „W szkole nie cierpiałam matematyki. Dopiero teraz skłonna jestem uwierzyć, że minus razy minus daje plus”.

Maria często zastanawiała się nad motywami postępowania Rity. Po jakiego diabła potrzebne jej było towarzystwo zszarganej życiem, o dwadzieścia lat starszej kobiety? Rita miała zadziwiającą zdolność prześlizgiwania się po trudnościach. Maria zdawała sobie sprawę z dwuznacznej sytuacji, w jakiej znalazła się sekretarka dyrektora naczelnego, ale za każdym razem, gdy próbowała poruszyć ten temat, Rita zbywała ją powiedzonkami „będzie dobrze”, „masz dosyć kłopotów, nie martw się o mnie” lub „nie ma sprawy”. Jak dotychczas, nigdy nie poślizgnęła się w korytarzach dyrekcji Czerwonego Sztandaru.

Rita była jedyną na świecie osobą, którą Maria mogła poprosić o przekazanie grypsu do celi Rudolfa. „Nie mam nic ważnego do zakomunikowania. Po prostu chcę mu dać do zrozumienia, że stoję przy nim murem. Wiem, że to bardziej moja niż jego potrzeba duchowa” – zwierzyła się. Rita rozumiała ją doskonale. Przyrzekła pomoc. Nazajutrz wpadła na krótko do siostry w prokuraturze.

– Musisz coś dla mnie zrobić – oświadczyła już od drzwi.

– Nie muszę, ale zrobię – odpowiedziała pogodnie Lala.

Siostra Rity znała niemal wszystkich więziennych strażników, którzy eskortowali więźniów na przesłuchania lub na rozprawy w sądzie. Znała także Borysa. Podobało jej się to z bułgarska brzmiące imię i często żartobliwie pytała, czy nie miał krewnych na carskim

dworze w Sofii. Borys był trochę wystraszony, bo nawet prości i niewykształceni funkcjonariusze zdawali sobie sprawę, że jeśli coś trąci kontaktami z monarchią, to może spowodować jedynie kłopoty. Gdy poprosiła go o drobną przysługę, wiedział, że jakakolwiek by ta przysługa nie była, nie wolno mu odmówić pięknej dziewczynie, która uwikłała w swoje sidła nawet prokuratora wojewódzkiego. Niemal wszystkie ważne osobistości w mieście miały kochanki. Borys był świadom ich wpływów. Jedno słowo wyszeptane w łóżku często miało większą moc od długich przemówień na zebraniach partyjnych. Ale gdy powiedziała, że chodzi o przekazanie listu miłostnego do cii aresztanta na przesłuchaniu, zbladł. Jeśli zostanie przyłapany, może pożegnać się z dobrze płatną posadą i wszystkimi związanymi z nią przywilejami. Nikt się nad nim nie ulituje, zwłaszcza że służba strażnika więziennego nie przysparzała wielkiego honoru. Gdy kończył swoją zmianę, zwykł przebierać się w cywilne ubranie, aby, na prośbę żony, nie drażnić sąsiadów. Już chciał odmówić, tłumacząc, że nie ma dostępu do tego skrzydła budynku więziennego, w którym UB trzyma Nowaka, ale wówczas wiatr przerażenia powiał z odwrotu i strony: cholera wie jaką zemstę wymyślić może kochanka prokuratora, jeśli odmówi jej żądaniu. Borys przekazał gryps i natychmiast poprosił o przeniesienie. Był człowiekiem przesadnym i wierzył, że losu nie wolno dwukrotnie wystawiać na próbę.

Rudolf był przesadnie wyczulony na wszystko, co dotyczyło sfery prywatnej i osobistej. Maria wielokrotnie prosiła, aby rozerwał kopertę listu, który właśnie nadszedł i przeczytał jej jego treść, bo zapodziała gdzieś okulary. Nigdy się nie zgadzał, nawet jeśli był to tylko jakiś druk z Urzędu Miejskiego lub elektrowni. Rzecz zrozumiała, nie pozwalał jej otwierać skierowanej do niego poczty, a kiedyś, gdy sprzątała jego pokój, oznajmił stanowczo, iż nie życzy sobie, aby ktokolwiek grzebał w jego szafie. Upór Rudiego doprowadzał ją czasami do szału, bo w szafie panował bałagan, którego nie zniosłaby żadna szanująca się gospodyni. Z czasem, nie mając rady, przyzwyczaiła się do tego dziwactwa i potrafiła je uszanować. Do jego szafy nie zajrzała nawet po tym, gdy został aresztowany. Dopiero po telefonie aplikanta z kancelarii Emila Butera odważyła się naruszyć niepisane granice prywatnej domeny Rudolfa Nowaka. Musiała przecież wybrać bieliznę i odzież, którą mu wyśle. Jedne po drugich wyjmowała z szuflad koszule, kalesony i skarpety, układała osobno na krześle, bo należało je przeprać, i przez chwilę żałowała, że ludzie pozbawieni są tego specjalnego poczucia wężu, które pozwala psom rozpoznać rzeczy swego pana i w ten sposób czuć jego bliskość.

Deskę do prasowania ustawiła w kuchni. W ten sposób mogła równocześnie prasować bieliznę Rudiego i mieć oko na garnki, w których gotowała potrawę z makaronu, kapusty i grzybów. Była to jej kulinarna specjalność. Wiedziała, że Rita zaprosiła kilka osób na kolację i postanowiła sprawić jej niespodziankę. Wprawną ręką przesuwała ciężkie żelazko po kolorowych koszulach. Wykrochmaliła je mocno. Miła była jej myśl, że szelest sztywnej popeliny będzie jak pozdrowienie od wiernej towarzyszki życia.

Kilkanaście dni przed rozpoczęciem procesu przeniesiono Liebmana z ciasnej celi w suterrenach do obszernego pomieszczenia w odnowionym skrzydle budynku. „Dostaliście pokój w pięciogwiazdkowym hotelu” – zażartował prowadzący go strażnik. Liebman pomyślał, że zapewne po raz tysięczny powtarza ten dowcip. Nowa cela miała nawet półkę na książki. Regulamin zezwalał na korzystanie z więziennej biblioteki. W oszklonej szafie, w mieszkaniu Marii, stały dzieła wybrane Rilkego. W nielicznych wolnych od zajęć chwilach zaczął je czytać i po raz pierwszy w życiu poznał smak dobrej poezji. Ku jego zdziwieniu, kilka tomików Rainera Marii Rilkego znalazło się także w wypożyczalni dostępnej więźniom. Ale teraz, może pod wpływem Joachima Szapiro, przeszkadzał mu obsesyjny niemal stosunek poety do śmierci. Oddając zbiorek wierszy, zapytał dyżurnego bibliotekarza – mordercę,

któremu wyrok śmierci zamieniono na dożywocie – czy może mu polecić coś z literatury fantastyczno-naukowej.

– Oprócz *Rakietą na księżyc*. Juliusza Verne’a czytałem w piątej powszechnej – zastrzegł z powagą.

– Chyba żartujesz, przyjacielu – odparł równie poważnie bibliotekarz-morderca. – Cała literatura odzwierciedla znaną nam rzeczywistość. Świat fantazji znajduje się poza murami więzienia.

Pod koniec tej dziwnej dyskusji Liebman wrócił do celi z *Nowym wspaniałym światem* Huxleya pod pachą. Było to stare, przedwojenne wydanie, które nie wiadomo jak zawędrowało pod więzienną strzechę. Czytać mógł godzinami, nikt mu nie przeszkadzał. Stosunek dozorców więziennych zmienił się biegunowo. Wprawdzie nadal nie wolno mu było posiadać maszynki do golenia, ale co drugi dzień odwiedzał go więzienny fryzjer, który lubił, gdy nazywano go balwierzem, i pozbawiał go ciemnego zarostu. Po goleniu przesuwiał wierzchem dłoni po policzkach Liebmana i za każdym razem powtarzał z zadowoleniem: „gładkie jak tyłek niemowlęcia”.

Mimo wszystkich przywilejów wciąż jeszcze nie mógł się przyzwyczaić do nieustannej kontroli. Rozumiał, że poprawa warunków nie jest nagrodą za dobre sprawowanie, bo przecież nadal odmawiał wzięcia udziału w farsie, którą mu zgotowano. Nie podpisał końcowego protokołu przesłuchań. Rozumiał także, iż ubecy chcą zatrzeć ślady wielotygodniowego znęcania się. Jeśli coś mu teraz przeszkadzało, to nagle rewizje w celi, czasami także osobiste, połączone z koniecznością rozebrania się do naga. Denerwowało go oko strażnika w judaszu. Był obserwowany dniem i nocą, bo światła nigdy nie gaszono. Wyprowadzany do ubikacji, musiał zostawiać drzwi otwarte. To osobiste, indywidualne zainteresowanie jego osobą wydawało mu się chwilami gorsze od pobytu w obozie koncentracyjnym. Tam, w ogromnej masie współwięźniów, łatwiej było uniknąć spojrzeń Wielkiego Brata.

Od zakończenia wojny z dużym powodzeniem wymazywał z pamięci obozowe przeżycia. Nie gnębiły go nocne mary, pomалу zapominał twarze tych, którzy dzielili z nim barakowe prycze, a także tych, którzy odchodzili do komór gazowych. Przypisywał to zerwaniu z żydowską przeszłością. Tamten świat przestał dla niego istnieć. Dopiero tutaj, w więzieniu, zaczął systematycznie powracać. Im dłużej siedział we wciąż zmienianych celach, tym trudniej było przekreślić dzień wczorajszy. Duchy przeszłości atakowały go ze wzmoczoną mocą, nie znajdował w sobie dostatecznej siły woli, aby je przepędzić. Syn Schultza znów okładał go pięściami w ciemnej bramie, studenci lwowskiej Politechniki znowu przepędzali go na lewą stronę auli wykładowej, a Zosia, która chętnie dzieliła z nim łoże, ale nie chciała, lub nie mogła wyjść za mąż za Żyda, zakwaterowała się na stałe w więziennej celi. Jak zawsze w przeszłości, także obecnie ogarniała go złość, że nie może być panem własnych myśli.

Teraz znowu, instynktownie, poczuł czujne oko strażnika przyklejone do judasza. Po chwili zachrobotał klucz w zamku stalowych drzwi. W progu stanął nieznany mu klucznik.

– To dla was – oznajmił i położył przed nim wielką paczkę, opakowaną brunatnym papierem. Liebman podniósł ją z podłogi i spytał podejrzliwie:

– Co to takiego?

– Czysta bielizna. Od waszej żony.

– Nie mam żony – obruszył się Liebman.

Strażnik stał bez ruchu, patrząc, jak więzień rozpakowuje przesyłkę. W kartonowym pudle, starannie poukładane, leżały kalesony, koszule i skarpety.

– Może nie macie żony, ale prasować to ona potrafi – zaśmiał się.

Tydzień przed otwarciem przewodu sądowego prokurator Czerniakowski wybrał się do willi „Świt”, wzniesionej w stylu średniowiecznego zameczku w zielonej, zalesionej okolicy Jelcza. Oddalona kilkaset metrów od głównej szosy, była prawie niewidoczna dla przejezdnych. Kiedyś stanowiła własność dyrektora dolnośląskich filii banku drezdeńskiego. Do willi przylegały zabudowania gospodarcze i stajnia, obecnie puste. Dyrektor z rodziną uciekli przed nacierającą Armią Czerwoną, zostawiając za sobą meble, dywany, nawet serwisy Meissena i srebrne sztucce. Po okolicy grasowali szabrownicy, ale szef UB ubiegł rabusiów. Pluton KBW pilnował majątku i nie dopuszczał obcych. Po jakimś czasie posiadłość została formalnie upaństwowiona i przekształcona w dom wypoczynkowy dla wyższych funkcjonariuszy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Korzystali z niego także czołowi działacze partii.

Naróżny pokój na drugim piętrze był na stałe zarezerwowany dla Piotra Czerniakowskiego. W zasadzie był to apartament z salonikiem, wyłożoną marmurem łazienką i sypialnią z ogromnym małżeńskim łóżkiem i równie wielkim oknem, za którym rozpościerał się wspaniały widok na łąki i lasy.

– Towarzysz prokurator nie życzy sobie, aby mu przeszkadzano – instruował swoich pracowników dyrektor domu. Personel miał starannie dobierany, przesiewany przez gęste sito agentury i niepuszczający pary z ust. Posada była zbyt lukratywna, aby ryzykować jej utratę.

Czerniakowski chętnie spędzał tu weekendy, zwłaszcza poza sezonem, gdy willa „Świt” świeciła pustką. „Świt” stanowił dla niego miejsce ucieczki przed bezustannym narzekaniem żony i równie bezustannymi żądaniami dorosłych już dzieci. No i, rzecz zrozumiała, tutaj mógł spokojnie i beztrudnie korzystać z towarzystwa Lali. „Mamy pilną pracę do wykończenia”, zwykł mawiać, wskazując na grubo wypchaną teczkę, i prosił, by nie naruszano ich spokoju rozmowami telefonicznymi z miasta lub natręctwem ciekawskiej sprzątaczkii. Dyrektor usłużnie zapewniał, że „towarzysz prokurator może liczyć na pełną dyskrecję”. Późnym wieczorem udawał, że nie słyszy głosów przenikających przez ściany narożnego pokoju. Bez silnych podnieć Piotr Czerniakowski nie był w stanie osiągnąć wzwodu. Lala nie protestowała, gdy znaczył jej pośladki skórzanym pasem, musiała przyznać, że perwersja potęgowała smak namiętności, ale nie mogła powstrzymać się od okrzyków bólu, gdy brał ją brutalnie, w sposób przeciwny naturze. Nie chciał jej krzywdzić, ale nie potrafił się opanować, bo im głośniej krzyczała, tym szybciej osiągał szczyt.

Kiedyś, gdy zmęczona i obolała leżała wyciągnięta w wannie, w ciepłej wodzie zakropionej wonnymi olejkami, spytała:

– Nie obawiasz się, że ściany mają uszy?

Podejrzanie takie od dawna mąciło mu spokój ducha. Przerazająca myśl, że szef Urzędu Bezpieczeństwa przesłuchuje od czasu do czasu taśmy z nagraniem jego miłosnych igraszek, spędzała mu sen z powiek. Teraz przełknął ślinę i rzekł uspokajająco:

– Głupstwa.

– Polegam na twoim poczuciu odpowiedzialności. Na pewno wiesz, co robisz – odrzekła i zanurzyła się głębiej w pachnącej pianie.

Nie. Piotr Czerniakowski nie wiedział, co robi. Ścisłej mówiąc, nie chciał wiedzieć. Wielokrotnie zamierzał położyć kres tej niebezpiecznej aferze i posłać Lalę do pracy na drugim końcu Polski, ale nieokiełznany, niemal dziki popęd seksualny nie pozwalał mu przestać. Wystarczał jeden jej wieloznaczny uśmiech, jedno zakołysanie bioder, aby wszystkie przysięgi natychmiast poszły w zapomnienie. Lala, świadoma swojej magnetycznej siły przyciągania, nie omieszkała jej wykorzystywać.

W niedzielę prokurator Czerniakowski przyjechał do „Świtu” służbowym samochodem. Nie wieczorem, lecz w samo południe. Lubił prowadzić, ale przepisy wymagały zatrudnienia kierowcy. Czerniakowski wiedział, że szofer jest agentem UB. Nie było w tym nic

wyjątkowego, powszechnie wiadomo, iż wszyscy kierowcy partyjnych bonzów są także donosicielami. Gdy szofer odprowadzał wóz na parking na tyłach willi, wyjaśnił dyrektorowi domu:

– Przyjechałem tylko na obiad. Za chwilę pojawią się jeszcze dwaj towarzysze. Kaźcie nakryć stół w osobnym pokoju i wybierzcie, proszę, najbardziej zaufanego kelnera. Mamy coś ważnego do omówienia.

Dyrektor przytaknął ze zrozumieniem.

– Jak zawsze, towarzyszu prokuratorze, uczynimy wszystko, aby goście byli zadowoleni.

– Poczekam na świeżym powietrzu – powiedział Czerniakowski i wyszedł na werandę. Stało tam kilka ratanowych foteli i stół ze szklanym blatem. Na stole leżały wczorajsze wydania gazet. Machinalnie sięgnął po egzemplarz „Słowa Polskiego”. Dziennik ten, w przeciwieństwie do „Gazety Robotniczej”, udawał pismo bezpartyjne i z tego to względu często publikował artykuły stwarzające pozór bardziej obiektywnych.

Weranda mieściła się na pierwszym piętrze, otwarta na stok wzgórza kończący się ciemnym pasmem mieszanego lasu. Spojrzenie przez drewnianą balustradę dawało przyjemne uczucie lotu nad ziemią. Powietrze przesiąknięte było zapachem sosen i świerków. Czerniakowski przypomniał sobie beztroskie, dziecięce lata, gdy zbierał pod drzewami wyschnięte szyszki. Z głośnika ukrytego pod dachem werandy płynęła znana mu melodia z *Samsona i Dalili*. Orkiestra grała muzykę drugiego aktu. Piotr Czerniakowski pamiętał tę scenę: Dalila kusi Samsona, aby zdradził jej źródło swojej siły, śpiewając:

Mon coeur s'ouvre a 'ta voix.

Libretto, zbyt bliskie rzeczywistości, wyprowadziło go z równowagi. Zawołał kogoś ze służby i kazał zgasić radio. W nagłą ciszę wtargnął warkot silnika samochodowego. Z lasu wyłoniły się dwa auta i wspinały ku willi wąską asfaltową drogą dojazdową. Czerniakowski spojrzał na zegarek. Było dwadzieścia minut po dwunastej. Dokładnie umówiona godzina. Z czarnego citroena wysiadł szef UB, zauważył Czerniakowskiego i przyjaźnie pomachał mu ręką. Gdy otworzyły się drzwiczki mniejszego wozu, beżowej pobiedy, wytoczył się z niej korpulentny, pięćdziesięcioletni mężczyzna z elegancką, ozdobną laską w rękę: sędzia Ksawery Gont, prezes Sądu Wojewódzkiego. Czerniakowski znał go doskonale, ale nie darzył sympatią. Zresztą z wzajemnością. W oczach byłego profesora prawa prokurator nie był dostatecznie biegły w kanonach obowiązujących ustaw i już chociażby z tej racji nie zasługiwał na szacunek. Czerniakowski pogardzał Gontem, który przed wojną był prowincjonalnym sędzią grodzkim o rzekomo liberalnych poglądach. Komuniści wywindowali go na wysokie stanowisko, ponieważ w niektórych przypadkach wygodnie im było stroić się w piórka sanacyjnej sprawiedliwości. Partia przysposobiła sobie Ksawerego Gonta, nie zmuszając go do przyjęcia czerwonej legitymacji i posługiwała się nim według potrzeb, zarówno w sali sądowej, jak i podczas międzynarodowych konferencji prawników.

Obiad podano w niebieskim saloniku, zwanym tak od koloru tapet i ałasu, którym obite były krzesła. Był to jedyny pokój, mający za pośrednictwem wewnętrznej windy bezpośrednie połączenie z kuchnią, ulokowaną na parterze. Po drugiej stronie korytarza znajdowała się jadalnia przeznaczona dla pozostałych gości.

– Mamy wyjątkowo spokojną niedzielę – zagadnął dyrektor „Świt”. – Gościmy trzy rodziny oficerów Informacji, ale wszyscy wyszli na spacer i chyba nie wrócą przed zmrokiem. Czego się towarzysze napiją?

Pierwszy odezwał się Czerniakowski:

– Wódki. Jeśli zamrożona.

– Jak lód – zapewnił dyrektor. – Monopolową czy radziecką?

– Za przyjaźń ze Związkiem Radzieckim wypijemy chyba radziecką – zaproponował prokurator. Sędzia Gont nie dał się zbić z pantafelku.

– A ja, mimo wszystko, poproszę o kieliszek koniaku – powiedział, patrząc Czerniakowskiemu prosto w oczy.

– Ormiański czy francuski? – spytał dyrektor, wyraźnie rozbawiony sytuacją. – Czy Martel odpowiada wam, towarzyszu?

Sędzia pokiwał głową na znak uznania. Gdy przyszła kolej na szefa UB, padła sucha odpowiedź:

– Dla mnie butelka wody mineralnej.

Czerniakowski i Gont wymienili znaczące spojrzenia. Sędzia chrząknął, jakby niepodany jeszcze koniak utknął mu w gardle i zwrócił się do dyrektora domu wypoczynkowego:

– Zmieniłem zdanie. Za gorąco chyba na alkohol. Zadowolę się mineralną.

– Ja również zmieniłem zdanie – dorzucił Czerniakowski. – Poproszę o podwójną czystą.

– Jeszcze nie dotknęliście pierwszego dania, a już wykazujecie nadmiar samodzielności – zauważył szef UB z nieukrywaną ironią. Potem dorzucił mimochodem: – Mam nadzieję, że także we wszystkich innych sprawach zapanuje między nami pełna harmonia. Nie możemy sobie pozwolić na różnice zdań.

– Nie będzie różnicy zdań – zapewnił Czerniakowski.

Kelner przyniósł karafkę wody mineralnej, butelkę moskiewskiej i kieliszek koniaku. Czerniakowski nalał sobie sam, zanurzył język w kryształowej stopce, jakby chciał zbadać jakość trunku, potem przechylił głowę w tył i jednym haustem wypróżnił zawartość.

– Pijecie jak carski oficer na Kremlu – zauważył sarkastycznie sędzia. – Pozostało wam tylko cisnąć za siebie pustą stopkę.

– Widzę, że jesteście mylnie informowani – odciął się prokurator. – Tak piję wódkę za każdym razem, gdy spotykam się z przyjaciółmi w Związku Radzieckim.

Szef UB bez trudu odczytał podtekst dialogu. Wspominając carski dwór, sędzia pragnął dać do zrozumienia, że zachowanie prokuratora obce jest duchowi polskiego proletariatu. W odpowiedzi Czerniakowski przypomniał sędziemu, aby się miał na baczności, bo stoją za nim moi radzieccy przyjaciele. Szef UB przypuszczał, że ta uwaga skierowana była również pod jego adresem. Pragnąc rozładować napięcie, zwrócił się do dyrektora, stojącego w milczeniu w kącie pokoju:

– Co mamy dzisiaj w karcie potraw?

– Barszcz po litewsku z kołdunami, comber z zająca z brusznicą i kartofelkami, a na deser gruszka w sosie czekoladowym..

– Brzmi zachęcająco. Zaczynjcie podawać. A po obiedzie proszę nic wpuszczać do nas nikogo.

Cała trójka jadła milcząco, słyhać było tylko brzęk sztućców. Dopiero gdy kelner zebrał ze stołu talerzyki po deserze i starannie zamknął za sobą drzwi, szef UB zwrócił się do prokuratora:

– Z naszego punktu widzenia, wszystko jest zapięte na ostatni guzik. Mam nadzieję, że nie spieprzycie sprawy.

– Czytałem szkic aktu oskarżenia – wtrącił sędzia. – Przygotowaliście prawdziwy majstersztyk. Chyba macie w prokuraturze jakiegoś nowego geniusza.

Czerniakowski był wściekły. Ten nadęty, profesorski balon wiedział doskonale, że sam osobiście szlifował każde zdanie. Już chciał mu się odgryźć, gdy szef podniósł rękę, zmuszając do milczenia.

– Ogłaszam zawieszenie broni – powiedział żartobliwie, aczkolwiek wszyscy wiedzieli, że nie żartuje. – Jesteście jak rozjuszony koguty na arenie. Ale tu nie Meksyk. Prawdziwe starcie ma się odbyć między oskarżeniem a oskarżonym, a nie między wami, towarzysze. Ponadto nie wolno wam zapominać rzeczy najistotniejszej: jesteście ważnymi aktorami na scenie, ale ja będę reżyserował grę zza kulis. Kto tego nie rozumie, niech lepiej od razu zbiera manatki i wysiada.

– Przykro mi, ale nie akceptuję takiego stawiania sprawy.

Czerniakowski nalał sobie trzeci kieliszek. Szef obdarzył go niechętnym spojrzeniem. Sędzia patrzył w sufit. Prokurator ciągnął swoje:

– Nie mam zamiaru spierać się o prawa autorskie. W każdym razie, nie przed rozdawaniem medali. Ale muszę podkreślić, że nikt nie dyktuje warunków pozostałym, że wszyscy zaprzęgliśmy się do wozu i musimy ciągnąć go w pełnej zgodzie.

Teraz także sędzia nabrał odwagi, skinął na znak potwierdzenia i dodał:

– Byłoby nam łatwiej, mając na stole akt przyznania się do winy.

– Szukacie łatwizny, Gont – rzekł szef, nie kryjąc ironii. – Gdybyśmy mieli wszystko, co potrzebne, może wybralibyśmy innego sędziego. Jeśli nie wyraziłem się dostatecznie jasno, to dodam, że w takim przypadku ktoś inny zebrałby pochwały i nagrody... A teraz do rzeczy: możemy przewidzieć taktykę obronną Nowaka. Jego adwokat oprze się na wersji, że zaszła pomyłka w identyfikacji, że prawdziwym zbrodniarzem jest inna osoba, nosząca takie same nazwisko.

– Nie położyłbym wszystkich kart na tę opcję – zastrzegł się Czerniakowski. – To zbyt ryzykowne.

– Nie uznaję gier hazardowych, towarzyszu. Nie jesteśmy w kasynie, sprawa jest zbyt poważna, by pójść na ryzyko. Od czasu gdy wynaleziono aparaturę podsłuchową, nie obawiamy się przykrych niespodzianek. Wiem na pewno, że taka będzie strategia Emila Butera. Na szczęście, jesteśmy dobrze przygotowani. Mamy świadków, którzy bez wahania rozpoznają oskarżonego. Identyfikacja będzie niepodważalna. Prokuratura przygotowała ich odpowiednio.

– Możecie na nas polegać. Świadkowie widzieli zdjęcia Nowaka. Każdy wyuczył się swojej lekcji na pamięć.

Ksawery Gont zachnął się, jakby obudził się dopiero teraz.

– Nic podoba mi się ta rozmowa w mojej obecności. Nie zapominajcie, proszę, że jestem sędzią. Proszę uszanować sędziowską godność. Rozumiem, że istnieją jakieś porozumienia, ale nie chciałbym ich wysłuchiwać.

Czerniakowski stuknął się palcem w czoło.

– Spadliście z byka, czy co? Przecież...

– Towarzysz Gont ma rację – przerwał mu szef Urzędu. Potem, zwracając się bezpośrednio do sędziego, oznajmił lodowatym głosem: – Nikt nie wymaga, abyście działali w sprzeczności z prawem, towarzyszu. Jeśli zostałem niewłaściwie zrozumiany, to przepraszam. Po prostu sądziłem, że należy przygotować was na wszelkie możliwe niespodzianki. Bo tak naprawdę, nie chciałbym nazywać się Ksawery Gont, jeśli zgotujecie nam jakąś strawę, której nie będziemy mogli przełknąć.

– Nie ma z góry wiadomych niespodzianek. Czy nie widzicie sprzeczności w takim oświadczeniu?

– Cenię sobie waszą sędziowską logikę. Na wszelki wypadek przypominam, że proces ten, od początku do końca, będzie obiektem społecznego zainteresowania. To nie sprawa jakiegoś zdrajcy, po cichu skazanego i powieszzonego na podwórzu przy Kleczkowskiej. Nakłada to na nas szczególną odpowiedzialność, a cena każdego potknięcia będzie bardzo wysoka. Oczy świata będą skierowane na nas.

– Wiem – przytaknął sędzia. – Słyszałem, że obecna będzie także zagraniczna prasa.

– Zaprosiliśmy kilku wybranych reporterów, aby mogli pisać, że nie ma u nas procesów pokazowych, że socjalistyczny wymiar sprawiedliwości jest całkowicie niezależny. Że nie jesteśmy Ameryką, gdzie posyła się na krzesło elektryczne ludzi niewinnych, takich jak Juliusz i Ethel Rosenbergowie. Polegam na was. Wierzę, iż poprowadzicie ten proces żelazną ręką.

– Z całą pewnością. Oczywiście w ramach obowiązującego ustawodawstwa.

– Doskonale. Fakt, że Nowak będzie twierdził „jestem niewinny”, doda sprawie szczypty pieprzu. Zagraniczna prasa dostanie swój kąsek. Nie będzie mogła twierdzić, iż coś zostało z góry wyreżyserowane. Pod tym względem słabość stanowi siłę.

– Zwłaszcza że na ławie oskarżonych zasiądzie osobnik, który kolaborował z hitlerowcami w dziele zagłady Żydów. To musi się im spodobać.

Wszak wiadomo, że żydowski kapitał rządzi światową prasą, a czołowi zachodni publicyści są żydowskiego pochodzenia – zauważył Czerniakowski.

Szef Urzędu Bezpieczeństwa zareagował natychmiast:

– Nie widzę potrzeby podkreślania żydowskiego aspektu sprawy. Nie jest ona taka prosta, jak by się mogło wydawać. Na razie nie chcę wnikać w szczegóły. Z czasem sami zrozumiecie dlaczego... Aha, zapomniałem was poinformować, że wkrótce dołączy do nas generał Broza. Zaprosiłem go na godzinę drugą. Jest bardzo punktualny.

– Co ma piernik do wiatraka? – zdumiał się Czerniakowski. Także sędzia wyraził zaskoczenie:

– Poznałem go kiedyś w Warszawie. Uroczy człowiek. Ale prawdę mówiąc, ja także nie rozumiem, co Broza ma w naszej sprawie do powiedzenia.

– Ministerstwo Obrony Narodowej pragnie trzymać rękę na pulsie – wyjaśniał szef UB cierpliwie. – Towarzysz Broza będzie nam doradzał w sprawach związanych z przemysłem zbrojeniowym. Radzieccy doradcy wyrazili obawę, że mogą nastąpić niebezpieczne przecieki dotyczące produkcji w Czerwonym Sztandarze. Niewątpliwie mają rację. Broza jest doskonale zorientowany, wie, co dopuszczalne, a czego nie wolno. Posadzimy go w pierwszym rzędzie. Za każdym razem gdy świadek, oskarżony lub obrońca poruszą tematy stanowiące tajemnicę państwową, generał da odpowiedni, niemy sygnał. Waszym obowiązkiem, towarzyszu Gont, będzie zamknięcie ust tym osobom, które nie umieją trzymać językami za zębami. Mam nadzieję, że procedura taka nie godzi w niezawisłość sądu.

Sędzia Gont szukał właściwej odpowiedzi, gdy rozległo się delikatne pukanie do drzwi, zwalniające go z konieczności zabrania głosu. Tomasz Broza nie zawiódł oczekiwań szefa; pojawił się dokładnie o drugiej. Obecni w niebieskim saloniku wstali, wymienili z gościem uścisk ręki, a szef UB wskazał wolne krzesło. Broza nosił dobrze uszyty szary garnitur, pod kołnierzem białej koszuli miał modnie zawiązany krawat w kolorze bordo. Także w cywilnym ubraniu prezentował się doskonale. Usiadłszy, zlustrował pusty stół i zaśmiał się cicho:

– Bez kropli alkoholu? Jak Bractwo Muzułmańskie?

– Po skończonej rozmowie wzniesiemy toast – powiedział szef UB.

– Widzę, że wprowadziłeś tu dyktaturę. Nie słyszałeś nigdy, że prawdziwi żołnierze muszą przed szturmem przepłukać gardło?

– Ty jesteś generałem, ale my, śmierdzący cywile, atakujemy wroga bez gotzały i bez bagnetów – powiedział szef, pół żartem pół serio.

Czerniakowski nie opanował się i dodał, że chlapanęli sobie przed obiadem. Broza udawał, że nie dosłyszał tej uwagi, i rzekł pojednawczo:

– Dobrze już, dobrze. Gdy jesteś w Rzymie...

– Przed chwilą powiedziałem towarzyszom, na czym polega twoja misja – wyjaśnił szef UB.

– Przyjmujemy was z otwartymi ramionami, generale – zapewnił sędzia. Nie chciał mieć w tym towarzystwie jeszcze jednego przeciwnika.

– Zapomnijcie o epoletach. W sali sądowej będzie siedział obcy człowiek w szarym garniturze.

– Szara eminencja – powiedział domyślnie Czerniakowski.

– O, nie. Nie będę człowiekiem, który pociąga za sznurki zza kulis. Od tego mamy tutaj kogoś innego...

Szef Urzędu Bezpieczeństwa zaprzeczył energicznym ruchem ręki, ale nie mógł ukryć rozlewającego się po twarzy zadowolenia. Tomasz Broza dokończył myśl:

– ...Moim zadaniem jest ochrona tajemnicy wojskowej, nic ponadto. Jeśli zyskam współpracę sędziego, niczego więcej nie potrzeba mi do szczęścia.

– A więc sprawa jest zamknięta i możemy poprosić dyrektora o flaszkę czystej – skonstatował szef UB.

– Niezupełnie – odezwał się sędzia Gont w niespodziewanym przyпыływie odwagi. – Nie mam zamiaru być pajacem cyrkowym, który z zamkniętymi oczami chodzi po linie.

– To bardzo poetyckie określenie, towarzyszu. Ale niezupełnie jasne – warknął szef, wyraźnie niezadowolony.

– Rzuciliście aluzję o żydowskim aspekcie sprawy. To bardzo ciekawe określenie, towarzyszu. Ale niezupełnie jasne.

Teraz szef Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa nie ukrywał już złości.

– Wyrażajcie się po naszymu. O co wam chodzi?

– Wiem, że za plecami naśmiewacie się ze mnie. Potrzebny wam jestem jako współnik, ale nie jesteście skłonni traktować mnie jak równego z równymi. Myli się, kto sądzi, że jestem głupcem. Nie od rzeczy będzie przypomnieć, iż ze wszystkich obecnych tylko ja zrobiłem profesurę.

– Nikt wam jej nie odbiera.

– Mam pewne wątpliwości. Liczyłem na to, że generał Broza je rozwieje. Ale tak się nie stało. Mówiliście o Żydach, więc chciałbym wiedzieć, czy towarzyszu Gedalia Chajes został poinformowany o naszym spotkaniu?

– Macie niezwykły talent zadawania najbardziej zbędnych pytań w najbardziej niewłaściwym czasie – zawyrokował szef UB.

– Pytam, ponieważ wydaje mi się dziwne, że także sekretarz KW nie bierze udziału w naszej rozmowie.

– Sekretarz Komitetu Wojewódzkiego me jest Żydem. A poza tym informujemy go na bieżąco – zapewnił Czerniakowski.

– A sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej?

– Jesteście uparci jak kozioł – odparował szef UB.

– Powiedzieliście, że nie lubicie niespodzianek. Muszę przyznać, że nieobecność Chajesa stanowi dla mnie wielką niespodziankę.

– I także jej nie lubicie, co?

– To zbyt łagodne określenie.

– Pozwólcie mi wyjaśnić – wtrącił Broza pojednawczo. – Nigdy nie lekceważyłem naszych żydowskich towarzyszy. Niektórzy walczyli razem ze mną w Hiszpanii, a niemal wszyscy mają pozytywny wkład w społeczny i gospodarczy rozwój kraju. Niektórzy członkowie Biura Politycznego mieli żydowskich rodziców. Niestety, ostatnio wykryto skandaliczną aferę, zaplanowaną przez towarzyszy żydowskiego pochodzenia. Nie wolno mi wnikać w szczegóły, powiem tylko tyle, że wyrządziła nieodwracalną szkodę obronności państwa. To skojarzenie, być może przypadkowe, stworzyło w stolicy atmosferę przykrych podejrzeń. Sporo mówi się o syjonistycznym spisku, podobnie jak to miało miejsce w ZSRR. Tam na czele spisku stał ponoć minister bezpieczeństwa generał Wiktor Abakumow. Towarzysze przypomnieli sobie nagle, że żydowscy lekarze usiłowali uśmiercić towarzysza Stalina. Wrogiego nam charakteru syjonizmu nie muszę chyba podkreślać. Wszyscy wiemy, że pozostaje na usługach interesów amerykańskiego imperializmu. Dlatego, nie wnosząc żadnych podejrzeń, będzie lepiej dla sprawy i dla samego towarzysza Chajesa, jeśli pozwolimy mu patrzeć na rozwój sprawy z balkonu, nie wciągając go w wir wydarzeń. Czy moja odpowiedź zadowala was, towarzyszu Gont?

Sędzia Gont milczał. Natomiast Czerniakowski zareagował natychmiast:

– Nie jestem skłonny kwestionować partyjnej wierności Gedalii Chajesa. To zaufany i oddany sprawie towarzysz.

Prokurator mówił głośno i wyraźnie. Pragnął, aby jego oświadczenie wryło się mocno w uszy obecnych. Wewnętrzne intrygi dalekie były od ostatecznego zakończenia, Chajes wciąż jeszcze mógł zaskoczyć swoich przeciwników. Jedno potknięcie podczas procesu mogło pomieszać karty zarówno szefowi UB, jak i Tomaszowi Brozie. Sędzia się nie liczył. Czerniakowski nie na darmo uczył się historii WKP(b). *Déjà vu*. Wszystko już kiedyś było.

Szef UB bez trudu rozszyfrował ukryte intencje prokuratora. W gruncie rzeczy miał szacunek dla ludzi, którzy umieli zabezpieczać sobie flanki. Sam czynił to na każdym kroku. Do rozpoczęcia procesu Czerniakowski nie musiał się niczego obawiać, ale prokurator wiedział, że po dniu jutrzejszym będzie także pojutrze, że musi myśleć o przyszłości. Wybrał właściwą godzinę na zbudowanie ewentualnej linii odwrotu, bo przecież w tej chwili był nietykalny. Ruszenie Czerniakowskiego równoznaczne było z odwołaniem procesu. Gdyby nosił kapelusz, szef Urzędu Bezpieczeństwa uchyliłby go teraz z poważaniem. Ale generał Tomasz Broza nie był wprowadzony w szczegóły wrocławskiego światka wewnętrznych zmagania i nie odebrał właściwie oświadczenia prokuratora. Uważał więc, że należy postawić sprawę na ostrzu noża:

– Wydaje mi się, że musimy powiedzieć sobie kilka słów prawdy, przeanalizować sytuację szczerze i dogłębnie. Omawialiśmy ją w Warszawie, zaproszeni w tym celu do jednego z sekretarzy KC. Kilku towarzyszy, wszyscy ze starej gwardii, której nikt nie może pomówić o antysemityzm, rozgraniczało między patriotyzmem żydowskich i nie żydowskich członków partii. My mamy jedną ojczyznę i jednego prawdziwego sojusznika: Związek Radziecki. Oni, jeśli zechcą, mogą wybierać między lojalnością w stosunku do socjalistycznej Polski lub do syjonistycznego Izraela. Ich sojusznikiem, znów podkreślam, tylko jeśli zechcą tego, może być także międzynarodowe żydostwo. Innymi słowy: oni mają możliwość wyboru. My nie.

– Z całym szacunkiem dla waszego stopnia, generale, ale pozwolę sobie wyrazić odmienne zdanie. Rzadko kiedy zgadzam się z teoriami naszego kochanego sędziego, lecz tym razem muszę mu przyznać rację. Znajduję w waszej wypowiedzi, towarzyszu generale, założenia obce naszej ideologii – obruszył się Czerniakowski. – Ukryty jest w nich element nacjonalizmu...

Generał chciał zaprotestować, ale prokurator nie pozwolił sobie przerwać i ciągnął jednym tchem:

– To, co powiedzieliście przed chwilą, sprzeczne jest z podstawami elementarnej nauki marksizmu-leninizmu. Mam na myśli międzynarodową solidarność klasy pracującej. Wspomnieliście przedtem żydowskich towarzyszy broni w Hiszpanii. Czy nie śpiewaliście razem *Międzynarodówki*, nie głosiliście hasła „proletariusze wszystkich krajów łączcie się”?

Szefowi UB nie na rękę była ta dyskusja, ale uznał, że wysłuchanie wszystkich opinii może mu być kiedyś przydatne. Ludzie podenerwowani łatwiej odsłaniają swoje przyłbice. A w Brozę, który zawsze był spokojny, dwukrotnie ważący każde słowo na końcu języka, teraz jakby wstąpił duch walki.

– To demagogia! Tania demagogia! – zawołał. Potem dodał bardziej opanowanym głosem: – Zejdźmy na chwilę z wyżyn ideologii na twardy grunt rzeczywistości. Czy zgadzacie się, Czerniakowski, że obowiązkiem partii jest prowadzić człowieka, ukierunkowywać wszystkie jego czyny i myśli? Że tylko i wyłącznie partia komentuje historię i wymaga od nas podporządkowania się jej interpretacji?

– Zgadzam się.

– Doskonale. – Broza nareszcie poczuł się na koniu. – Więc co się stanie, jeśli zostawimy każdemu członkowi partii wolność wyboru? Dokąd zajdziemy? Wprawdzie nie zaliczam się do ścisłego grona decydentów politycznych, jak wam wiadomo jestem tylko wojskowym, ale

przyjechałem tutaj z polecenia najwyższych czynników partyjnych i reprezentuję ich oficjalne stanowisko. Każde zboczenie z tej linii traktowane będzie...

– Czy to ma być groźba? – oburzył się Czerniakowski.

– Broń Boże. Pragnę jedynie przypomnieć, że doświadczyliście zarówno Krzysiaka, jak i Nowaka.

– Co to ma wspólnego z waszą prelekcją, towarzyszu generale. Żaden z nich nie jest Żydem.

– Można by się doszukać pewnych charakterystycznych cech. Obaj wykazali przesadną samodzielność, nie zawsze podporządkowując się partyjnym kryteriom.

– O ile mnie pamięć nie myli, wielokrotnie twierdziliście, że gardzicie ludźmi prowadzonymi na pasku i nieprzejawiającymi własnej inicjatywy. Szybko zmieniliście zdanie – znów wtrącił Czerniakowski, nie ukrywając złośliwości. Tym razem jednak generał nie dał sobie przerwać.

– Towarzysze w Biurze Politycznym uważają, że rosyjska zasada „dowieraj no prowieraj” ma tutaj swoje zastosowanie. Że trudno w całej pełni zaufać ludziom, którzy kwestionują teorię wyższości społeczeństwa nad jednostką. A nie jest przecież tajemnicą, że judaizm traktuje społeczeństwo jako zbiór jednostek. Każda jednostka ma swoje własne sumienie i własną świadomość, a więc ma prawo wyboru własnej drogi do wiedzy. Poczytajcie trochę żydowskiej literatury, a przekonacie się, że nie wysłałem tego z palca. Oni dyskutują nawet z ich własnym Bogiem. Wiecie, co charakteryzuje talmudystę? Wieczne powątpiewanie, nieustanne komentowanie, ciągłe filozofowanie.

– Czy chcecie przez to powiedzieć, że Krzysiak przyjął judaizm? Albo że Gedalia Chajes jest talmudystą? Za chwilą mianujecie go rabinem – zakpił Czerniakowski.

– Dosyć tego! – Szef UB uderzył pięścią w stół. – Nie zebraliśmy się, aby omawiać cechy żydowskiego charakteru. Przed nami mnóstwo ważniejszych tematów. Zaczyna się robić późno. Zakładam, że każdy z was pragnie spędzić wieczór w rodzinnym gronie. Czyżbym się mylił, towarzyszu Czerniakowski?

– Oczywiście – pospieszył z odpowiedzią prokurator i zastanowił się, dlaczego szef UB skierował tę uwagę pod jego adresem. Przecież także Gont i Broza mieli rodziny. Broza zauważył, iż w żadnym przypadku nie zdąży dzisiaj wrócić do domu, po czym zastrzegł się raz jeszcze, że osobiście nie ma nic przeciw Chajesowi, że przekazał jedynie to, o co go proszono w Warszawie. Szef Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa zarządził półgodzinną przerwę na kawę lub herbatę. „Dalsza dyskusja poświęcona będzie wyłącznie procedurze przewodu sądowego” – zapowiedział.

Gont i Czerniakowski nie wiedzieli, że w poniedziałek, a więc dokładnie sześć dni przed spotkaniem w willi „Świt”, szef UB odwiedził Tomasza Brozę w jego warszawskim biurze. Mnóstwo problemów wymagało szybkiego i skutecznego rozwiązania. Najważniejszym było zabezpieczenie tajemnic produkcyjnych Czerwonego Sztandaru. Wszyscy zainteresowani stali pod nieustannym naciskiem radzieckich doradców wojskowych. Lecz istniała jeszcze jedna tajemnica, która ciążyła Brozie jak kamień młyński u szyi.

Jak to było w jego zwyczaju, generał przyjął gościa przy stoliku w kącie pokoju i zaraz na wstępie nalał z karafki trunek własnego wyrobu, „tatę z mamą”, czyli spirytus mieszany pół na pół z sokiem malinowym. Szef Urzędu Bezpieczeństwa, jak to było z kolei w jego zwyczaju, poprosił o herbatę. Mocną i bez cytryny. Odmowa wychylenia z nim kieliszka mierzła gospodarza. Wszyscy inni chętnie korzystali z jego gościnności, tylko szef zawsze odmawiał, jakby pragnął podkreślić swoją odmienność od zwykłych śmiertelników. Może nawet próbę wywyższania się. Całkowicie nieuzasadnioną, bo Tomasz Broza plasował się kilka pięter wyżej w hierarchii aparatu władzy. Ale nie był to właściwy czas na niemiłe uwagi. Działali w dwóch odmiennych pionach, połączył ich jedynie przypadek.

Broza był w pewnej mierze zależny od wrocławskiego szefa IJB; szef nie mógł zrobić kroku bez Brozy. Każdy z nich znał piętę Achillesową partnera.

Z Moskwy wiały ostatnio nieprzychylnie dąbrowszczakom wiatry. Mimo iż walczyli przy cichym poparciu Związku Radzieckiego i pod patronatem Międzynarodówki, zaraz po wojnie popadli w niełaskę Kremla. Niektórzy, udekorowani najwyższymi odznaczeniami Republiki, zakończyli swoją karierę w więzieniach i gułagach. Stalin, nieufny jak zawsze, podejrzewał, że podczas pobytu w Europie zarazili się bakcylem kapitalizmu. Potem ustała fala represji, liczni dąbrowszczacy, zwani także „Hiszpanami”, zajęli wysokie, odpowiedzialne stanowiska. W Polsce pierwszą jaskółką przemian był generał „Walter” Świerczewski. W tym samym mniej więcej czasie, gdy Świerczewski objął dowództwo jednostek walczących z UPA, Tomasz Broza został powołany na kierownicze stanowisko w Departamencie Uzbrojenia MON. Ale huśtawka nie przestała się kołysać. W prasie radzieckiej ukazały się ostatnio artykuły o trockistowskich odchyleniach byłych bojowników spod Madrytu i Barcelony. Polscy „Hiszpanie” na eksponowanych stanowiskach odebrali to jako zapowiedź burzy. Chyba tylko dlatego generał Broza powstrzymał się od kąśliwej uwagi i bez skrzywienia ust kazał podać gościowi szklanekę herbaty.

Myśli Tomasza Brozy wędrowały i tak w całkiem odmienne rejony. Od chwili, gdy Szef UB zapowiedział swój przyjazd, zastanawiał się, czy wyjawić władzom bezpieczeństwa publicznego prawdziwą tożsamość Rudolfa Nowaka. Interes państwa był niezwykle istotny, ale jeszcze istotniejsza była troska o własną skórę. Jeśli zachowa dla siebie wszystko to, czego dowiedział się od Gedalii Chajesa, zatrzyma przy piersi cennego asa. Niezwykłą przyjemnością sprawiała mu myśl, iż trzyma w ręku tajną broń, umożliwiającą mu zwycięską rozgrywkę z partyjną nomenklaturą. Mogła być przydatna nie tylko do obrony własnej, ale także do uzyskania koncesji na rzecz jednostki administracyjnej, którą dowodził. Pozycja ministra ucierpiała wskutek afery z bazą lotniczą na Podkarpaciu, konkurencyjne organy wywiadu wyciągały macki po tylko jemu znane źródła informacji. Nie było to jeszcze otwarte zmaganie, ale Broza potrafił patrzeć w przyszłość. Pierwszym sygnałem chłodu była odmowa Biura Politycznego, gdy prosił o środki finansowe na poszerzenie swojej sieci za granicą. Dawniej nigdy nie skąpiono funduszy na ten cel. Tajemnica tożsamości Rudolfa Nowaka mogła stanowić niezłą kartę przetargową. Ale Tomasz Broza był człowiekiem myślącym realnie. Wiedział, że nie posiada na tę tajemnicę wyłączności. Gedalia Chajes wyjawiał mu ją, gdy szukał deski ratunku. Wszystko, co szepnął w ucho Tomasza Brozy, może w razie potrzeby szepnąć także w każde inne. Jeśli tak się stanie, miecz przekształci się w obosieczny. Nigdy nie wypłacze się z podejrzeń o próbę zachowania informacji dla osobistych celów.

Tomasz Broza postanowił nie ryzykować.

W trakcie rozmowy z szefem UB wykręcił zero na tarczy aparatu telefonicznego i wetknął ołówek w jej otwór. Był to prymitywny, lecz skuteczny sposób na zneutralizowanie podsłuchu. Nie wiedział, na czym to polegało, wiedział tylko, że ruch taki przerywa połączenie z mikrofonami zainstalowanymi wewnątrz telefonu.

– Także u was? – spytał ze zrozumieniem gość z Wrocławia.

– Nigdy nie biorę na siebie zbędnego ryzyka – odparł Broza. Potem, zniżając głos niemal do szeptu, wyjawiał wszystko, co wiedział o Nowaku.

Szef Urzędu Bezpieczeństwa słuchał z kamiennym spokojem. Nie drgnął mu ani jeden mięsień twarzy. Albo był doskonałym aktorem, pomyślał Broza, albo od dawna znał wszystkie szczegóły dotyczące dyrektora Czerwonego Sztandaru.

– Drogi generale – odezwał się wreszcie. – Od pierwszej chwili nie miałem wątpliwości, że Aleksander Krzysiak kłamał, wskazując na Nowaka. Obecnie jednak nie pozostało nam nic innego, jak brnąć dalej, wysnuwając wnioski z popełnionych błędów.

Tomasz Broza nie zrozumiał intencji rozmówcy, ale szef UB nie był skłonny do dalszych wyjaśnień. Dopił herbatę i pożegnał się mocnym uściskiem dłoni.

– Odprowadzę was do samochodu – zaproponował generał.
– Dziękuję, znam drogę – odparł szef. – Tylko z mojego urzędu trudno wyjść bez eskorty – zaśmiał się. Gdy wyszedł na ulicę, szerokim haustem wciągnął powietrze w płuca i wypuścił je jak szybkobiegacz, który dobiegł do mety. Potem wolnym krokiem ruszył przed siebie.

Informacja Brozy zaskoczyła go całkowicie. Jeśli nie był to jeszcze jeden kruczek z niewyczerpanego zapasu intryg Gedalii Chajesa, jej wartość przekraczała wszystko, co uzyskał w tej sprawie do tej pory. Idąc w stronę Kruczej, próbował zrekonstruować rozwój wypadków. Jak to się stało, że jego agenci przeoczyli tak istotny fakt? Gdzie podziela się jego osobista czujność, z której zawsze był taki dumny? Dlaczego nie odczytał właściwie uporu Nowaka i nie wydobył z niego prawdy, gdy rozmawiali w cztery oczy? Pytań było bez liku, wszystkie bez odpowiedzi. Sprawa zaczynała się komplikować w najmniej odpowiednim momencie, tydzień przed rozpoczęciem procesu. Jeden nieuważny krok, a cała ta historia zamieni się w beczkę prochu. Nie miał nic przeciw użyciu materiałów wybuchowych, pod warunkiem, że trzymał w ręku koniec lontu. W tej chwili nie był całkowicie pewien, że tak się sprawy mają.

Późną popołudniową godziną dzielnica rządowa niemal całkowicie się wyludniła. Wzdłuż ulic nie było ani jednego sklepu, ani jednej oświetlonej wystawy. Brak ruchu ulicznego mu odpowiadał. Podczas chodzenia najlepiej mu się myślało. Tak było od dzieciństwa. Ustne lekcje domowe odrabiał podczas spacerów i zawsze dostawał piątki. W szkole kadetów, w Kambarce, podręcznik psychologii czytał, wędrując brzegiem rzeki. Także teraz, na swój szczególnie sposób, uczył się psychologii postępowania. Wiedział, że Gedalia Chajes nigdy niczego nie robił spontanicznie. Żydowska głowa, pomyślał bez złośliwości. Chajes zawsze kalkulował co najmniej trzy kroki wprzód, aż dziw, że nie grał w szachy. Na pewno zostałby mistrzem. Szef UB lubił szachy. Kilkakrotnie proponował mu partię, ale Gedalia zawsze odmawiał. Jednak od czasu rozmowy z generałem Brozą nie była to już gra. Jeśli jeszcze dziś rano miał przeświadczenie, że nie zostawił żadnej szczeliny w budowlu, którą wzniósł, przed wieczorem wszystko zdawało się walić w gruzy.

Nazajutrz, gdy wrócił do Wrocławia, sprawy toczyły się utartym trybem, nikt nie zauważył zmiany w nastroju szefa. Były to jednak pozory. Po raz pierwszy w życiu utracił pewność siebie, która pomagała mu przezwyciężać wszelkie przeszkody. I po raz pierwszy żałował, że nie ma w swoim otoczeniu człowieka, na którym mógłby polegać bez zastrzeżeń. Kogoś, kogo mógłby się poradzić. Sam stworzył sobie taki świat. Nigdy nie wprowadzał swoich podwładnych w skomplikowany tok myśli i decyzji. Zamknięcie się w samym sobie chroniło przed ciosem noża w plecy. Zbyt często sam to uczynił, aby nie znać mechanizmu zdrady.

Na dwa pytania nie potrafił znaleźć odpowiedzi: do czego zmierzał Gedalia Chajes i co powodowało Rudolfem Nowakiem, że z uporem trwał przy niemal samobójczej wersji. Trudno przecież o coś prostszego od powiedzenia prawdy. Nie byłoby wówczas aresztowania, ciężkich przesłuchań i widma szubienicy na horyzoncie. Co najwyżej nagana partyjna. Musiała istnieć jakaś niezwykle istotna przyczyna, która zmusiła Nowaka do milczenia. Szef UB czuł, że nie zazna spokoju, dopóki nie rozgryzie tej zagadki.

Zainteresowanie motywacją Nowaka znacznie przekraczało potrzeby śledztwa. Szef zawsze lubił grzebać w duszy przesłuchiwanym. Towarzysze w Urzędzie twierdzili, że umiejętność ta uczyniła go jednym z najlepszych fachowców w kraju. Aż do wczorajszego spotkania w Warszawie traktował ją jedynie jako skuteczne narzędzie pracy. Także do Rudolfa Nowaka nie miał osobistego stosunku. Nowak był jeszcze jedną teczką na półce; wprawdzie ważną, jak tyczka umożliwiająca skok wzwyż, ale w gruncie rzeczy niczym więcej jak zbiorem dokumentów. Teraz wszystko się odmieniło. Zawsze pouczał podwładnych, że powinni wkładać całą duszę w bieg śledztwa i za każdym razem

przypominał im, iż nie ma to nic wspólnego z osobistym, uczuciowym zaangażowaniem się w sprawę. „Siedzi przed wami obiekt do rozpracowania, nie człowiek – zwykły mawiać. – W chwili, gdy zaczniecie go traktować inaczej, stracie dystans, który jest alfą i omegą powodzenia”. Obecnie nie potrafił już dostosować się do wyznaczonych przez siebie reguł. Tajemnice duszy Rudolfa Nowaka stały się jak najbardziej osobistym wyzwaniem.

Wsparty łokciami o blat biurka, rozważał możliwość wezwania więźnia, aby go prosto z mostu zapytać: dlaczego nie przyznajesz się do żydowskiego pochodzenia? Rozwiązanie takie wydawało się najbardziej logiczne. Ale co robi, jeśli Nowak podchwyci rzuconą mu przynętę, zmieni wszystkie dotychczasowe wersje zeznań i powie: tak, towarzyszu, jestem Żydem, nazywam się Izaak Liebman i jestem niewinny. Czy nakazałby w takim przypadku odwołać proces? Nonsens. Anulowanie sprawy równało się politycznemu samobójstwu. A szef Urzędu pragnął żyć pełnym i ciekawym życiem, długo i z powodzeniem.

Oczywiście, mógł powierzyć tę misję Konstantemu. Konstanty był urodzonym psem gończym. Wystarczyło wskazać mu ślad, by nie popuścił, aż dopadnie tropioną zwierzynę. Ale Konstanty miał wielką wadę: był agentem zbyt inteligentnym, aby można było polegać na nim bez zastrzeżeń. Jego niezgrabna postać i koński wyraz twarzy już niejednego wprowadziły w błąd. Konstanty był świadomy sprzeczności między swoim wyglądem a możliwościami intelektualnymi i wykorzystywał je umiejętnie za każdym razem, gdy szczerą ofiara nie podejrzewała, w czyje wpada sidła.

Gdyby nie wybitna inteligencja Konstantego, szef UB chętnie spuściłby go ze smyczy, aby wytropił prawdziwą przeszłość Nowaka. Była to jednak róża z kolcami. Przekazanie takiego zadania oznaczało konieczność wprowadzenia agenta niskiej rangi w sedno sprawy, która nie została dostatecznie wyjaśniona i w której nie ma żadnych możliwości przewidzenia końcowych skutków. Szef nie wykluczał, że Konstanty, podobnie jak liczni inni funkcjonariusze, posiada własne przewody sprawozdawcze, okrążające jego stanowisko. Tajne służby bezpieczeństwa zbudowane były na zasadzie wielowarstwowej, a poszczególne poziomy nie zawsze stykały się ze sobą. Informacje, które zbierze Konstanty, mogły dotrzeć do Warszawy, jeszcze zanim wylądują na jego biurku. Takiego ryzyka szef nie mógł podjąć.

Czy nie należałoby uprzedzić biegu wypadków i zawiadomić dyrektora Departamentu Śledczego, Różańskiego, albo co najmniej Juliana Bendę, jednego z zastępców, o nagłej zmianie sytuacji? Gdy pojawił się Aleksander Krzysiak, oskarżając swojego następcę o kolaborację z nazistami, szef widział przed sobą otwarte wrota wielkiej kariery. Od pierwszej chwili postanowił, że rozgrywkę tę zagra solo, współpracownicy do sukcesu nie byli mu potrzebni. Czeniakowskiego i Gonta traktował jak giermków na polu bitwy. Mieli nosić za nim miecze i tarcze, nic ponadto. W sprawozdaniach wysyłanych do Warszawy był oszczędny w słowach, nawet swojego radzieckiego doradcę trzymał w częściowej nieświadomości. Im mniej będą wiedzieć, kalkulował, tym większa niespodzianka i większa nagroda za sukces. Dopiero po tym, co usłyszał z ust generała Brozy, doszedł do wniosku, że ciężar odpowiedzialności przekracza siłę jego barków. Jeśli nie chciał się pod nią ugiąć, a może nawet upaść, nic było innej rady, jak poprosić o osobistą rozmowę z decydentami w Warszawie. Jeszcze tego samego dnia wysłał szyfrowany teleks do MBR Odpowiedź nadeszła po godzinie: Julian Benda przyjmie go natychmiast.

Szefowie Wojewódzkich Urzędów Bezpieczeństwa bardzo rzadko spotykali się w cztery oczy z człowiekiem ze szczytu piramidy. Nazywali go dowódcą, mimo że nikt nigdy nie widział go w mundurze. Okólniki i teleksy sygnował Julian Benda, nie podając stopnia lub tytułu. Nikt nic nie wiedział, czy to jego prawdziwe nazwisko, czy może pseudonim z okresu podziemnej działalności. Bolesław Bierut także lubił, gdy nazywano go towarzyszem Tomaszem. Czołowi działacze odnosili się do swoich pseudonimów jak do arystokratycznych tytułów. Dawało im to poczucie przynależności do grona wybranych.

Benda pojawił się w Warszawie w roku 1943, zrzucony ze spadochronem na tyły frontu z radzieckiego bombowca. Przyłączył się do nieco wcześniej zrzuconych działaczy, których pierwszym zadaniem było wzmocnienie kierownictwa PPR na obszarach zajętych przez Niemców. W Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego pracował od chwili, gdy powstało.

– Mówcie szybko i do rzeczy. Towarzysz Benda nie cierpi czczego gadania – ostrzegła szefa sekretarka, otwierając przed nim skórą obite drzwi.

Gabinet urządzony był ze smakiem, pełen wygodnych foteli. Pod ścianą stała kanapa. Szef UB był tu już kiedyś, dawno temu, gdy jako młody oficer miał oprowadzać Bendę po terenach, na których prowadzono akcję „Wisła”. Gabinet nie zmienił się od tamtego czasu. Chodziły słuchy, że Benda spędza w nim całe dnie, czasami nawet nocuje. W teren wyjeżdża bardzo rzadko, a gdy decyduje się na wyjazd, kończy się to zazwyczaj ścinaniem głów. Benda nie miał litości dla funkcjonariuszy, którzy nie stanęli na wysokości zadania. Wrocławskiemu Szefowi UB nie zaproponował krzesła, mimo że wiedział o jego ułomności. Szef stał niemal na baczność. Nigdy przedtem nie czuł się tak bezsilny. Zakłopotany, nie wiedział, od czego zacząć.

– Gadajcie – przyspieszył go Benda. – Nie mam zbyt dużo czasu.

– Pragnę zameldować o niespodziewanym zwrocie w sprawie Nowaka.

– Nie mogliście raportować pisemnie?

Szef próbował rozładować ciężką atmosferę.

– Kobiety powiadają, że nic tak nie plami jak atrament.

– Nie jesteście kobietą. Jeśli zechcę słuchać babskiej paplaniny, wiem, kogo zaprosić.

– Przepraszam, towarzyszu – odparł szef. O mało nie połknął własnego języka. Nie oczekiwał przyjaznego przyjęcia, ale nie przewidział aż tak chłodnego powitania. Po chwili opanował się i lakonicznie przedstawił przebieg śledztwa, aż do informacji otrzymanej od Tomasza Brozy. Zręcznie ominął różnice zdań i wewnętrzne intrygi w województwie. Benda wysłuchał cierpliwie, nie przerywając, najmniejszym gestem nie dając do zrozumienia, jak odbierał szczegóły sprawozdania. Dopiero gdy szef UB zakończył, wskazał fotel.

– Możecie usiąść – powiedział.

W innych okolicznościach szef UB odetchnąłby z ulgą. Odniósł wrażenie, że nie rozsierdził Juliana Bendy. Benda przetarł dłonią nieogolone policzki. Wyglądał na zmęczonego, jedynie blask oczu zdradzał wigor życia. Nosił wymięty garnitur, o numer za duży, jak zdjęty ze starszego brata. Na pewno nie przykładął wagi do ubioru. Nie zaliczał się do ludzi, którzy powierzchownością musieli robić wrażenie. Małego wzrostu, tonący w ogromnym fotelu człowiek skupiał w swoich rękach ogromną siłę. Setki, może nawet tysiące agentów i donosicieli pracowały dla niego dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jego kompetencje nie były o wiele niższe od radzieckich dyrektorów służb bezpieczeństwa. Benda na pewno wiedział, jaki los zgotował im Ławrientij Beria. Wielu z nich zakończyło życie w łagrach. Potrzebne były żelazna wola i stalowe nerwy, aby wytrzymać nieustanne napięcie. Szef UB nie zapomniał ani na chwilę, że od tego człowieka zależna jest kariera lub degradacja takich oficerów jak on. Każdego mógł wynieść lub strącić z wyżyn, bez żadnej konkretnej przyczyny. Także jego przyszłość zależna była od decyzji, może od kaprysu, Juliana Bendy. Gdy powiedział mu, że może usiąść, szef poczuł się jak uczeń, który dobrze odrobił swoją lekcję.

Na spotkanie przeznaczono piętnaście minut. Przeciągnęło się do niemal godziny. Sekretarka łączyła się wewnętrznym telefonem, przypominając, że liczni umówieni na spotkanie siedzą w poczekalni. „Jestem zajęty” – ucinał stanowczo Benda i ciskał słuchawkę na widełki. Pod koniec rozmowy powiedział:

– Gdy planowałem zmiany personalne na Dolnym Śląsku, szukałem młodych, przedsiębiorczych ludzi. Aparat bezpieczeństwa był skostniały lub skorumpowany, trzeba go było odświeżyć. Ktoś podsunął mi waszą teczkę, nie pamiętam kto, i przyznam, że zrobiła na

mnie wrażenie. Należę jednak do ludzi, którzy najbardziej cenią osobiste wrażenie. Nie cierpię ślepej biurokracji. W waszej teczce zaznaczono, że mieliście zostać księdzem.

– To prawda. Ale...

– Nie prosiłem o wyjaśnienia. – Po raz pierwszy na wąskich ustach Bendy pojawił się błady uśmiech. – Reguła naszego zakonu również nie należy do zbyt liberalnych... Macie tam, we Wrocławiu, trochę buntowniczego księdza. Zapomniałem, jak się nazywa.

– Ojciec Wiktor.

– Wciąż jeszcze miesza w kaszy?

– Nic pozostajemy mu dłużni – zapewnił szef UB.

– Stosujcie żelazną rękę, ale w jedwabnych rękawiczkach. Nie zapominajcie, że istnieje porozumienie rządu z Episkopatem.

– Taka jest moja polityka.

– My ustalamy politykę. Wyją tylko wykonujecie.

– To właśnie miałem na myśli, towarzyszu.

– Nie chcemy otwartego sporu z klerem. Dopóki nie stawiamy go plecami do ściany, jest względnie posłuszny. Tylko z krnąbrnymi nie należy się cackać.

– W stosunku do ojca Wiktora uruchomiliśmy specjalną agentkę.

– Przecie wszystkim należy uruchomić prosty rozsądek. Dotyczy to również sprawy Nowaka. Zaszliście za daleko, za późno na odwrót, bez względu na okoliczności.

– Znaczy to, że informacja generała Brozy nie zmieni niczego?

– Byłoby wskazane – rzekł Benda ostrożnie, zapominając na chwilę o władczym tonie – byłoby wskazane, aby generał Broza pozostawał blisko areny wydarzeń, ale zawsze w zasięgu naszej kontroli. Porozmawiam o tym z ministrem obrony. Powinniśmy znać wszystkie szczegóły dotyczące kontaktów Brozy z Chajesem. Znać, ale nic ponadto. Ministerstwo Obrony nie ścierpi próby wtrącania nosa w ich sprawy. To samo dotyczy Gedalii Chajesa. Nie chcę żadnego konfliktu z partią. Nie Nowak i jego podwójna tożsamość zagrażają sprawie. Nowakowi zawsze możemy zamknąć gębę. Zrozumieliście?

– Ja szybko kapuję.

– Wiem. Dlatego was wybrałem.

Szef UB bez trudu rozszyfrował intencje Bendy. Nie aresztant zagrażał sprawie, lecz dwie osoby, które znały szczegóły niezwykle istotne dla powodzenia procesu: Tomasz Broza i Gedalia Chajes. Niestety, cokolwiek by nie uczynił, nie miał nad nimi władzy. I wciąż jeszcze nie rozumiał intencji ich postępowania. Jedno tylko nie ulegało wątpliwości: Julian Benda wrzucił kasztany do ognia, jego obowiązkiem jest je stamtąd wyjąć. A jeśli poparzy sobie rękę, na pierwszą pomoc nic ma co liczyć.

Przy stole w niebieskim saloniku willi „Świt” szef Urzędu Bezpieczeństwa przygotował swoją polisę ubezpieczeniową. Głównym sygnatariuszem miał być sędzia Ksawery Gont.

Wznowiono rozmowy punktualnie o czwartej trzydzieści.

– Mam nadzieję, że przewód sądowy zakończy się przed sierpniem – rozpoczął szef UB i rzucił baczne spojrzenie w stronę sędziego. Gont nie odpowiedział, natomiast Czerniakowski spytał, lekko zdziwiony:

– Po co ten pośpiech? Nikt nie wyznaczył nam takiego terminu. Jeśli o mnie chodzi, przedstawienie może trwać cały sezon.

– Wydaje mi się, że sędzia Gont zechce być wolny już pod koniec lipca. Potem damy mu dwa tygodnie na przygotowanie wyroku. Aczkolwiek tekst przygotujemy znacznie wcześniej.

Sędzia przełknął ślinę. Uwaga o wcześniejszym przygotowaniu wyroku była mu wyraźnie nie w smak.

– Nic mam żadnych szczególnych planów na sierpień – zauważył chłodno.

– Widzą, że dobre wiadomości jeszcze do was nie doszły – powiedział szef UB. – Kongres Praw Człowieka w Helsinkach zaczyna się w drugiej połowie sierpnia. Na pewno nie zechcecie zrezygnować z udziału w tak ważnym wydarzeniu.

– Kongres przeznaczony jest wyłącznie dla sędziów Sądów Najwyższych – westchnął Ksawery Gont.

– To dziwne, ale widziałem wasze nazwisko na liście polskiej delegacji – zauważył obojętnie szef UB. – Prosty z tego wniosek, że jeszcze przed otwarciem kongresu dostaniecie odpowiednią nominację.

– Nie sądzę, aby to było możliwe.

– Dlaczego? – rzucił kpiąco Czerniakowski. – Uważacie, że nie zasługujecie na fotel w Sądzie Najwyższym?

– Każdy żołnierz niesie w plecaku buławę marszałkowską – odezwał się szef UB. – Nie żartuję, towarzyszu Gont. Wasza nominacja została już podpisana. Tylko od was zależy, czy zostanie wysłana.

Generał Broza i Czerniakowski wymienili znaczące spojrzenia. Plan był szyty grubymi nićmi. Nikt z obecnych nie miał wątpliwości, że sędzia Gont poprowadzi sprawę bez jednego potknięcia. Broza zauważył, że sędzia zaczerwienił się jak burak. Z pewnym opóźnieniem także Gont zrozumiał zawstydzającą głębię pułapki. Szef UB pomyślał, jak smutno obserwować ludzi sprzedających się za miskę soczewicy. Czerniakowski przeraził się, że teraz jego kolej, że szef zmusi go do deklaracji posłuszeństwa, wspominając o jego stosunkach z Lalą. Pragnąc uprzedzić niemiły rozwój wypadków, wstał, podszedł do sędziego i ściskając mu dłoń, przesadnie głośno gratulował awansu.

– Uczynię, co trzeba, aby zapewnić powodzenie procesu – zapewnił sędzia Gont, trzymając w swojej dłoni dłoń prokuratora i zezując w bok, w stronę szefa UB.

Generał Tomasz Broza poczuł niesmak. Najchętniej splukałby go półlitrowką czystej. Gdy Czerniakowski wrócił na swoje miejsce przy stole, szef UB podniósł palec, jak uczeń w klasie proszący o prawo głosu:

– Wasze zdolności i wasze poświęcenie potrzebne nam będą także poza salą rozpraw. Nie chcę słyszeć złośliwych uwag pod adresem kolegów. Ruszamy na wojnę i jak to na wojnie, wiemy, jak się zaczyna, ale nie mamy stuprocentowej pewności, ile kosztować będzie zwycięstwo. W takim zmaganiu liczy się każdy żołnierz.

– Nigdy was nie zawiodłem – bąknął Czerniakowski. On także miał dosyć tej komedii.

Broza nie potrafił już ukryć obrzydzenia. Wstał i oznajmił, że „takie braterstwo towarzyszy wymaga specjalnego toastu”. Szef udawał, że niczego nie dostrzega, przytaknął z zadowoleniem i oznajmił głośno:

– Wydaje mi się, że w zaistniałych warunkach jest to propozycja, której nie można odrzucić.

Rozdział dziesiąty

SABAT CZAROWNIC

Światła fleszy oślepiły na chwilę Liebmana. Fotoreporterzy stali u wejścia do Domu Ludowego, od siódmej rano czekali na karetkę więzienną, która przywiezie oskarżonego. Liebman chronił oczy, zasłaniając je obu rękami. Uważni obserwatorzy zauważyli, że nie były skute kajdankami. Konstanty poklepał go po barku:

– Jesteś teraz osobistością. Musisz przywyknąć do blasku.

Liebman nie widział Konstantego od owego dnia, gdy podstępnie wywabił go z biura w zakładach Czerwonego Sztandaru. Niejednokrotnie zastanawiał się, dlaczego nie brał udziału w przesłuchaniach. Wczoraj szef UB polecił Konstantemu przygotować więźnia do pierwszego publicznego wystąpienia. „Życzę sobie, aby wygląda! jak pan młody w drodze do ślubu – zażartował. – Z goździkiem w klapie marynarki”. Konstanty wykonał rozkaz. Czysta koszula z paczki Marii Kot doskonale pasowała do ubrania, które nosił w ostatnim dniu pracy. Wyjęte z przechowalni i starannie odprasowane, wyglądało jak nowe. Wczesnym rankiem więzienny fryzjer przystrzygł spadające na kark włosy i starannie ogolił policzki. Gdy Konstanty zlustrował swoje dzieło, przypomniał sobie żartobliwą uwagę szefa i na chodniku przed Domem Ludowym, gdy szpaler milicjantów oddzielał ich od tłumu ciekawskich, powtórzył słowa szefa:

– Wyglądacie jak pan młody prowadzony do ołtarza. – Zadowolony z siebie, dodał: – Mam nadzieję, że narzeczona się wam spodoba.

Początek przewodu sądowego przewidziany był na dziewiątą, ale tłum otaczający Dom Ludowy spowodował opóźnienie. Czerniakowski i szef UB nie chcieli żadnych niespodzianek i mimo że ogromna większość ciekawskich przybyła w sposób zorganizowany, kazali wzmocnić ekipę zmieszanych z tłumem agentów bezpieczeństwa. W pierwszym rzędzie ustawiono dwa szeregi mężczyzn w oświęcimskich pasiakach. Wysoko nad głowami trzymali transparenty potępiające faszyzm i głośno skandowali hasła, domagające się kary śmierci dla kolaboranta.

Liebman był tak oszołomiony, że krzyki rzekomych byłych oświęcimiaków w ogóle do niego nie docierały. Wciąż jeszcze usiłował uniknąć ataku fotoreporterów, teraz jednak Konstanty wykręcił mu ramiona w tył, by nie mógł zasłaniać twarzy. Szef UB obserwował scenę wydarzeń z otwartego okna na czwartym piętrze budynku. Dotychczas wszystko szło jak z płatka. Ale szef nie miał złudzeń. To był dopiero początek początku.

Dom Ludowy otaczał zaniedbany ogród. Wczoraj wycięto dziko rosnące chaszczki, aby nie zasłaniały widoku i nie mogły stanowić kryjówek dla nadgorliwców, którzy chcieliby osobiście przyspieszyć wykonanie wyroku. Budynek stojący w odległości dziesięciu metrów od ulicy stosunkowo łatwo było zabezpieczyć. Ale jego największym walorem było dziesięć czynnych linii telefonicznych, zarezerwowanych dla zagranicznej prasy. Na zainstalowanie nowego telefonu przeciętny obywatel musiał czekać co najmniej trzy lata.

Liebman i Konstanty zbliżali się do bramy Domu Ludowego, otoczeni murem mundurowych i tajniaków. Sędzia Gont proponował, by przewieźć ich samochodem do tylnego wejścia i wprowadzić niezauważonych na klatkę schodową, ale szef UB pragnął spektaklu na wielką miarę.

– Co będzie, jeśli jakiś wariat wpakuje mu kulę w łeb? – martwił się Gont.

– To może nam oszczędzić wielu kłopotów – odparł szef. Jeśli to był żart, sędzia Gont uważał, że bardzo nie na miejscu. Zwłaszcza że przedwczesna śmierć Nowaka postawiłaby pod znakiem zapytania jego nominację do Sądu Najwyższego.

U wejścia stał Emil Buter, tym razem w czarnej adwokackiej toczce. Na widok Liebmana podniósł wysoko grubo wypchaną, skórzaną teczkę i zawołał: „Głowa do góry!”. Liebmanowi wydał się ten okrzyk wsparcia zbędny i patetyczny. Chciał coś powiedzieć swojemu obrońcy, ale Konstanty szybko pchnął go w kierunku schodów. Sala, w której miała się odbyć sprawa sądowa, znajdowała się na drugim piętrze. Szef surowo zabronił użycia windy. W nowym budownictwie windy miały przykry zwyczaj zatrzymywania się między piętrami.

Sala była dużym pomieszczeniem ze sceną, dostosowaną do występów zespołów ludowych. Jeszcze miesiąc temu gościła słynny chór Armii Czerwonej. Ponieważ stół sędziowski, stanowiska prokuratora i obrońcy, krzesło dla oskarżonego, za nią ławka obstawy oraz krzesła przeznaczone dla świadków stały na podwyższeniu, proces, siłą rzeczy, musiał przypominać przedstawienie teatralne. Obsługa usunęła cztery rzędy krzesel, aby zrobić miejsce dla protokolantów oraz asystentów prokuratora. Rozwiązanie takie przypadło do gustu organizatorom. Do dyspozycji publiczności stało trzydzieści dalszych rzędów składanych krzesel. Karty wstępu rozdzielane były przez rady zakładowe w mieście, według list zatwierdzanych przez bezpieczeństwo. Ale nawet najbardziej naiwni wiedzieli, że co trzecie lub co czwarte krzesło przeznaczone było dla funkcjonariusza Milicji Obywatelskiej lub Urzędu Bezpieczeństwa. Pierwsze dwa rzędy zarezerwowano dla dziennikarzy. Z zagranicy dopuszczeni zostali redaktorzy z krajów demokracji ludowych oraz takich dzienników, jak londyński „Daily Worker”, francuska „L’Humanite” oraz włoska „Unita”. W bocznej salce stała do ich dyspozycji bateria telefonów.

Gdy wprowadzono Rudolfa Nowaka, sala była już całkowicie wypełniona. Konstanty powiódł go na wyznaczone miejsce, skinął znacząco w stronę trzech siedzących za nim milicjantów w nowych mundurach, z paskami czapek podpiętymi pod brodę, i zniknął w tłumie. Liebman wodził wzrokiem po sali, szukając znajomych twarzy, ale spotkało go rozczarowanie. Nie dostrzegł nawet Gedalii Chajesa. Nie mógł wiedzieć, że Chajes znajduje się w obszernym pokoju na czwartym piętrze, z którego elektrycy kierowali zazwyczaj oświetleniem spektakli. Teraz, zamiast elektryków, siedzieli tam, oprócz Chajesa, szefa UB i Tomasza Brozy, także dwaj dyżurni cenzorzy oraz technicy uruchamiający magnetofony. Na znak dany przez generała Brozę mieli wyłączać mikrofony obsługujące osoby na scenie. Ustalono, że podczas przerw w procesie reporterzy Polskiego Radia będą mogli odbierać tam ocenzone nagrane taśmy, aby je przygotować do nadania w dzienniku wieczornym.

Emil Buter dotrzymał słowa. W przeddzień procesu urzędnik zespołu adwokackiego zadzwonił do drzwi Marii Kot i stojąc w progu, wręczył jej zamkniętą kopertę. Nim zdążyła o cokolwiek zapytać, ukłonił się grzecznie i szybko zbiegł po schodach. W kopercie znalazła kartę wstępu do Domu Ludowego i rezerwację miejsca w dwudziestym ósmym rzędzie. Ukośna, podłużna pieczętka ograniczała wstęp „do sali rozpraw wyłącznie”. Koperta nie zawierała żadnego listu, ani nawet wizytówki adwokata. Było jasne, że Emil Buter nie życzy sobie żadnych bliższych kontaktów.

Ze swojego miejsca w dwudziestym ósmym rzędzie Maria z trudem rozpoznawała wyraz twarzy Rudiego. Może i lepiej, że tak było. W niebieskawym świetle neonowych lamp Rudolf wyglądał zmęczony i blady jak trup. Po jej lewej i prawej stronie siedzieli obcy ludzie, aczkolwiek szybko się przekonała, że ci bezpośredni sąsiedzi doskonale wiedzieli, kim jest i

co ją łączy z oskarżonym. Jediną osobą, którą rozpoznała bez trudu, był prokurator Piotr Czerniakowski. Minął ją szybko, gdy czekała na dole na otwarcie bramy budynku. W przeszłości spotkała go tylko raz, gdy siedzieli z Rudim i jakimś impresario z warszawskiego Artosu na uroczystej kolacji, wydanej w Monopolu na cześć Yvesa Montanda. Francuski aktor brał wówczas udział w koncercie, którego dochody przeznaczone były na pomoc więźniom politycznym skazanym w krajach kapitalistycznych. Rozmawiali wówczas o francuskich „szansonach” nic tylko jako zjawisku kulturalnym, ale również jako narzędziu do mobilizowania opinii światowej. „My, komuniści, widzimy w muzyce medium uniwersalne w służbie dobrej sprawy” – powiedział prokurator. W obecności Rudolfa czuła się swobodnie, więc natychmiast dodała, że ludzie śpiewali hymny religijne setki lat przed napisaniem *Międzynarodówki*, i że kompozytorzy epoki baroku i renesansu tworzyli przede wszystkim muzykę kościelną. Ku jej miłemu zdziwieniu, prokurator nie zaprotestował, nie oburzył się i nie podkreślał wyższości utworów realizmu socjalistycznego nad dekadencją kultury zachodniej, jak to było w zwyczaju przy takich okazjach. Rozmowa toczyła się wartko, Czerniakowski zaskoczył ją swoją wiedzą, a także gotowością spokojnego wysłuchania odmiennego zdania. Tutaj jednak, przed Domem Ludowym, przeszedł tuż obok niej, udając, że jej nie dostrzega. Maria odprowadzała go wzrokiem, aż zniknął za bocznymi drzwiami, prowadzącymi, jak słusznie się domyślała, za kulisy sceny.

Przewód sądowy rozpoczął się odczytaniem aktu oskarżenia. Czerniakowski ciężko pracował nad szlifowaniem każdego zdania i po nocach ćwiczył wymowę i intonację każdego słowa. Rozkładał ramiona dramatycznym gestem, wyciągał oskarżycielski palec w stronę stojącej w kącie lampy i przewiercał wzrokiem szafę biblioteczną. Gdyby ktoś go zobaczył, jak w pasiastej pidżamie przemierza wzdłuż i wszerz pokój gościnnie swego mieszkania, mógłby sądzić, że uciekł z domu dla obłąkanych.

Odpis aktu oskarżenia przekazał w ubiegłym tygodniu do zatwierdzenia w Komitecie Wojewódzkim. Został mu zwrócony bez poprawek. „Z całym szacunkiem”, pochwalił go szef UB, dając do zrozumienia, że czytał dokument, mimo iż prokurator nie doręczył mu drugiej kopii. Rzecz oczywista, po zatwierdzeniu nie wolno mu było zmienić ani słowa. Lecz Czerniakowski wiedział, jaka jest różnica między partyturą a jej interpretacją. Także w tym przypadku ton decyduje o muzyce. Pragnął wygłosić akt oskarżenia według zasad oratorskiej klasyki, a nie czytać go z kartki, jak to zwykł czynić w mniej ważnych procesach. Jeśli słowa mogą ranić, niszczyć i zabijać, wiedział, że rozerwie nimi oskarżonego na strzępy. Już teraz, chodząc z kąta w kąt we własnym mieszkaniu, przemawiał do siedzących na sali, do słuchaczy radiowych, a także dla Lali. Zdania układały się w logiczną konstrukcję, udowadniającą, jak zepsuty moralnie przez współpracę z nazistami Rudolf Nowak najpierw wydawał na śmierć Polaków żydowskiego pochodzenia, aby potem związać się z obcymi wywiadami, wydając im najlepiej strzeżone tajemnice całego polskiego narodu. Gdyby nie czujność organów bezpieczeństwa, pod płaszczykiem zachodnich inżynierów i fachowców wprowadziłyby do zakładów zachodnich agentów... Przemawiał raz głośniej, raz ciszej, udawał szczere oburzenie, które wymagało krótkich przerw, umożliwiających tłumaczom solidne wykonanie ich pracy. Wszystko było przemyślane do ostatniego szczegółu, podparte paragrafami kodeksu karnego oraz ustaw o stanie wyjątkowym. Chciał, aby obecni na sali zobaczyli się przysięgłymi, skazującymi zbrodniarza jeszcze przed zakończeniem procesu, marzył, aby nagranie przemówienia weszło do programu nauczania na wszystkich uniwersyteckich wydziałach prawa.

– Oszalałeś?

Żona Czerniakowskiego stała w drzwiach, w koszuli nocnej, rozczochrana i oburzona.

– Oszalałeś? – powtórzyła. – Twoje wrzaski obudzą całą dzielnicę.

– Przepraszam. Zapędziłem się trochę.

– Ale dlaczego tak głośno?

Przy każdej ostrzejszej wymianie słów miała zwyczaj zamykania okiennic. Reakcja sąsiadów była dla niej ważniejsza od gniewu męża. Piotr zniknął na długie godziny, ona skazana bywała na języki plotkarek ze wspólnej klatki schodowej. Czerniakowski odłożył arkusze papieru na stół i obrzucił ją krytycznym spojrzeniem. Noc była gorąca, koszula przylepiła jej się do trochę obrzmiałego brzucha, miała za sobą dwa porody.

– Wróć do łóżka, nie będę już przeszkadzał – powiedział cicho. Znała go jak własne pięć palców, bez trudu odczytała utajony gniew.

– Jesteś jak struna. Dlaczego nie spróbujemy razem rozładować tego napięcia.

Intencja była przejrzysta. Od dłuższego czasu nie dzielił z nią łoża. Nie osiągał już zadowolenia bez użycia przemocy. Czerniakowska właściwie odebrała jego obojętne spojrzenie. „Dobranoc” – powiedziała i wróciła do sypialni.

Przemówienie oskarżyciela wypełniało przestrzeń sali sądowej do ostatniej szczeliny. Jako doświadczony prokurator, Czerniakowski wiedział, iż powinien zacząć od trochę monotonnego odczytywania paragrafów aktu oskarżenia, a dopiero potem przejść do frontalnego ataku. Lecz chęć zahipnotyzowania publiczności od pierwszej minuty procesu była silniejsza od wszystkich znanych mu zasad. Chciał przykuć uwagę obecnych, a także radiosłuchaczy, od pierwszej minuty swego wystąpienia. Maria Kot z uwagą wsłuchiwała się w treść mowy oskarżycielskiej i nie potrafiła zrozumieć, w jaki sposób człowiek, który tak inteligentnie i rzeczowo potrafił rozprawiać o muzyce, mógł się poniżyć do roli drugorzędneho aktora, wygłaszającego z patosem stek nieuzasadnionych kłamstw. Nikt nie ustosunkuje się do tego z powagą, skonstatowała z ulgą.

Mecenas Buter nie był tak optymistycznie nastawiony. Pochyliwszy się w stronę swojego klienta, szepnął mu prosto w ucho:

– Nie sądziłem, że będzie się bawił w psychologa analizującego wasz charakter.

– To nie mój charakter siedzi na ławie oskarżonych – odburknął Liebman.

– Na podstawie analizy charakteru Czerniakowski buduje most między waszą działalnością podczas okupacji a sabotażem w Czerwonym Sztandarze. To sprawia dobre wrażenie. Dlaczego nie powiedzieliście mi o zamiarze wprowadzenia do zakładów obcych specjalistów?

– Uważałem, że są potrzebni. Broza wiedział o wszystkim, nie zgodził się i na tym zakończyliśmy sprawę – odszepnął Liebman, przechylając głowę w tył.

– Czerniakowski dopiero ją zaczyna. Jestem przekonany, że jeśli wezwę generała Brozę na świadka, wyprze się wszystkiego, a wy wyjdziecie na kłamcę. Możemy udowodnić, że było tak jak mówicie?

– Nie spisaliśmy protokołu rozmowy. Nie było takiej potrzeby.

– Jak widać, była potrzeba. Ale nie będziemy rozpaczać nad rozlanym mlekiem. Przed nami długa droga.

W ciągu pierwszych pięciu dni procesu przewinęła się przez salę sądową w Domu Ludowym galeria świadków, relacjonujących szkodliwą działalność dyrektora naczelnego Czerwonego Sztandaru. Wszyscy przypisywali Nowakowi bezpośrednią odpowiedzialność za błędy, za wadliwą gospodarką surowcami i za niewłaściwą politykę kadrową. Mimo iż cała ta plejada pomocniczych oskarżycieli została starannie przygotowana do wystąpienia w sądzie, ani jeden nie ostał się krzyżowemu ogniowi pytań obrońcy. Buter domagał się wyraźnej odpowiedzi: skąd wiedzą, że ich dyrektor czynił to wszystko z premedytacją, że planował sabotaż, że wykonywał polecenia bliżej niesprecyzowanych obcych czynników. Tego, rzecz rozumiała, nie potrafili wyjaśnić. Czerniakowski zostawił lukę, przez którą Buter przeciskał się z wielkim powodzeniem. Gdyby nie obecność zagranicznych dziennikarzy, sędzieja Gont na pewno odebrałby mu prawo głosu, ale w zaistniałej sytuacji mógł tylko bezsilnie zgrzytać zębami. Obawiał się, że nie lepiej będzie, gdy na wokandzie staną sprawy kolaboracji z

nazistami. Czerniakowski nic wprowadził go w szczegóły taktyki, Gont nie miał pojęcia, skąd wygrzebał świadków oskarżenia na okoliczność wydawania Żydów w ręce gestapo, kim są i jak będą zeznawać. Z każdym dniem, tak oceniał to sędzia, malały widoki na wyjazd do Helsinek. I z każdą chwilą coraz bardziej obawiał się reakcji szefa UB. Wiedział, że w trudnych sytuacjach najsłabsi zbierają najdotkliwsze ciężki.

Szef był wściekły i postanowił położyć kres zawstydzającemu widowisku. Co warta była wspiania retoryka Piotra Czerniakowskiego wobec chłodnych, precyzyjnie zbudowanych pytań Emila Butera? Szef nie cierpiał chałtury. Jak dotychczas, mimo wszystkich przygotowań, sprawa nie toczyła się zgodnie z jego wyobrażeniem. Bardziej od tego, co działo się publicznie, wyprowadzał go z równowagi lekko ironiczny uśmiech Gedalii Chajesa. Czyżby ten chytry skurwysyn trzymał w zanadru jeszcze jakąś przykrą niespodziankę? Czy mógł wiedzieć coś o sposobie, który pozwoli szefowi UB przekształcić tę farsę w prawdziwy dramat?

Co dwie godziny sędzia Gont ogłaszał dwudziestominutową przerwę w obradach. Buter schodził wówczas do bufetu na parterze. W piątek, gdy stał oparty plecami o parapet okna, po raz pierwszy pojawił się w kantine także szef UB.

– Tankujemy się? – zapytał, wskazując na bułkę z szynką w ręku Butera.

– Nie widziałem was na sali – odparł Buter pełnymi ustami.

– Moja rola już zakończona. Wolę trzymać dystans.

– Z czwartego piętra? – spytał Buter, przełykając ostatni kęs kanapki.

Szef skłonił się lekko.

– Z całym szacunkiem, Buter. Nie ma dla was żadnych tajemnic.

– Tajemnice to moja pasja – zaśmiał się adwokat. Szef przyłączył się do śmiechu obrońcy. Robił wrażenie człowieka beztroskiego, gdy oznajmił:

– Muszę was rozczarować, Buter. Tym razem wszystko dzieje się na oczach wszystkich. Nic pod stołem. *A propos*: nie wydaje wam się, że nadużywacie trochę naszej otwartości? Obawiam się, że zapomnieliście, iż wszyscy służymy wspólnej sprawie.

– Nie zapomniałem. Także godna obrona oskarżonego służy wspólnej sprawie.

– Do pewnych granic, Buter. Do pewnych granic.

– Kto te granice wyznacza?

– Czasami trzeba zdecydować, komu służycie, Buter.

– Wymiarowi sprawiedliwości. To chyba jasne, nie?

– Nie strugajcie naiwnego. Wiecie równie dobrze jak ja, że nie ma sprawiedliwości absolutnej.

– Znam konstytucję niemal na pamięć. Nie przypominam sobie, aby zawierała takie sformułowanie.

– Nie przyszedłem dyskutować o konstytucji.

– Myślałem, że wpadliście do bufetu całkiem przypadkowo – zadrwił adwokat.

– W naszym zawodzie także przypadkowość musi być zaplanowana – powiedział szef UB, ujął Butera pod ramię i pociągnął w odległy kąt. – Posłuchajcie uważnie, co mam do powiedzenia. Jutro rano prokuratura udowodni, że Nowak zamierzał udostępnić obcej agenturze najbardziej strzeżone tajemnice produkcji.

– Macie na myśli zagranicznych inżynierów?

– Tak. Nowak twierdził, że bez nich zakłady nigdy nie wyjdą z impasu. To było mądrze zagrane, ale przegrane. Czerwony Sztandar daje sobie doskonale radę bez obcej pomocy. Czy potrzebny jest lepszy dowód na jego podłe intencje? Na pewno padnie teraz pytanie: po jaką cholere szef UB mi o tym mówi? Uprzedzę je. Zeznanie świadka przedłożone zostanie na piśmie. Jego nazwisko nie może być ujawnione. Mowa o projekcie obronnym wielkiej wagi, stanowiącym tajemnicę państwową. Sędzia umożliwi wam wgląd w treść dokumentu. Jest to wyraz ogromnego zaufania, jakim was darzymy. W zamian za to zrezygnujecie z prawa

stawiania osobistych pytań. Pytaliście przedtem, gdzie przebiega granica między prawami jednostki a interesem publicznym. Właśnie w tym miejscu, Buter. Właśnie tutaj.

– Nie takie stawiałem pytanie, ale niech wam będzie. O kim mowa?

– O generale Tomaszu Brozie z Ministerstwa Obrony Narodowej.

– Widziałem go. Nawet w cywilu nie wygląda na cywila. Co Broza ma z tą sprawą wspólnego?

– Tajne, Buter. Ściśle tajne.

– Dobrze. Zrezygnuję z wezwania Brozy. Ale coś za coś.

– Wiedziałem, że tak będzie. Jaka jest cena?

– Ja nie ruszam waszego świadka, wy nie ruszacie moich.

– Nie rozumiem, co macie na myśli.

Adwokat potarł brodę, przez chwilę zastanawiał się, jak sprecyzować żądanie, wreszcie powiedział otwarcie:

– Pragnę zapewnienia, że świadkowie obrony dostaną się bezpiecznie na salę sądową i że po złożeniu zeznań nie będą nękani przez władze bezpieczeństwa.

– Drogi towarzyszu – oburzył się szef UB. – Za kogo nas macie? Za bandę zbrojczyków? No dobrze, zostawmy nasze ansę na boku. Macie słowo harcerza, że nikomu włos z głowy nie spadnie.

– Dziękuję.

Mężczyźni podali sobie ręce. Szef pospieszył ku drzwiom, mecenas Buter długo jeszcze stał w kącie bufetu, ściskając w mocno zaciśniętej pięści papier po zjedzonej bułce. Potem cisnął go do kosza na śmieci, spojrzął na zegarek, wrócił na salę rozpraw i posłał Liebmanowi uśmiech pełen otuchy.

Aleksander Krzysiak nie przyjechał do Wrocławia na rozprawę. Wiedział, że nie uda mu się pozostać anonimową postacią, a nie miał zamiaru odpowiadać na pytania dziennikarzy. Sprawozdania z procesu słuchał przez radio. Nawet mocno ocenzone, świadczyły o marnej robocie prokuratury. Zawsze uważał, że nieumiejętność Czerniakowskiego wyjdzie na jaw, gdy przyjdzie mu się zmierzyć z przeciwnikiem z prawdziwego zdarzenia. Gdy był jeszcze członkiem egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego, przestrzegał pozostałych towarzyszy przed słabością prokuratora. Jak zwykle, twardo odrzucali jego opinię. Twierdzili, że kieruje się osobistym purytanizmem, że prywatne życie towarzysza Piotra nie ma żadnego wpływu na jego pracę. Rzeczywistość zdawała się potwierdzać to założenie, bo Czerniakowski kroczył od sukcesu do sukcesu. Krzysiak na próżno twierdził, że zawsze dostawał teczek starannie przygotowane przez młodszych prokuratorów, że zbierał oklaski za pracę wykonaną przez innych. „Zobaczymy, jak będzie wyglądał, gdy przyjdzie mu rozgryźć prawdziwie twardy orzech” – ostrzegał. Emil Buter był takim twardym orzechem i Krzysiak obawiał się, że prokurator nie stanie na wysokości zadania, gdy pojawią się pierwsi świadkowie z okresu okupacji. Mimo iż nie cierpiał Czerniakowskiego i całej skupionej wokół niego bandy nieuków, wiedział, że musi wesprzeć oskarżenie. W zanadrzu trzymał nazwisko, które przygwoździ Nowaka do ławy oskarżonych, nawet jeśli prokurator okaże się niemową.

Aleksander Krzysiak skrupulatnie przygotowywał następny krok. Gdy pomachał starą niemiecką gazetą przed oczyma szefa Urzędu Bezpieczeństwa, był przekonany, że także bez dodatkowych wyjaśnień agencji dotrą do najistotniejszego źródła informacji. Widocznie przecenił ich zdolności. Nazwisko kobiety, która mogła być złożyć decydujące zeznania, nie znalazło się na liście wezwanych świadków. Długo zastanawiał się, jak przekazać je do wiadomości szefa UB. Miał uzasadnione powody, aby zapobiec zbyt dogłębniemu szperaniu w szczegółach. Gdyby istniała jakakolwiek pewna droga przekazania posiadanej wiedzy bez konieczności zdemaskowania informatora, uczyniłby to natychmiast. Niestety, sprawa była

zbyt poważna, by polegać na anonimowym liście lub rozmowie telefonicznej przez chusteczkę z publicznej rozmównicy. Krzysiak wiedział, że władze bezpieczeństwa zavalone są anonimowymi donosami, w ogromnej większości kłamliwymi. Pisanie ich stało się niestety nagminną chorobą skłóconych sąsiadów i rozsierdzonych małżonków. Nie miał rady, musiał osobiście połączyć się z szefem.

Ryzyko było ogromne. Jeśli podstęp się uda i rybka połknie przynętę, będzie mógł zacierać ręce z zadowolenia. Ale jeśli szef UB zechce wracać po nitce do kłębka, zorientuje się natychmiast, że Krzysiak od pierwszej chwili wiedział, iż Rudolf Nowak kolaborant i Rudolf Nowak, dyrektor Czerwonego Sztandaru, to dwie całkiem różne osoby. Nie przyszło mu na myśl, że szef zna już tę prawdę z tak kompetentnego źródła, jak generał Broza. Obawy Krzysiaka, iż nagłe wykrycie dualizmu spowoduje przerwanie procesu, były więc bezpodstawne. Bezpodstawna była także obawa, że szef zechce zamknąć mu usta na zawsze. Nic łatwiejszego od zainscenizowania śmiertelnego wypadku samochodowego. Szef byłby zdolny do tego bez zmruczenia oka i bez wyrzutów sumienia. Krzysiak był przekonany, iż funkcjonariusze UB w ogóle nie wiedzą, co to takiego sumienie.

Wszystkie zastrzeżenia i obawy zniknęły jak pod dotknięciem czarodziejskiej różdżki, gdy myślał o słodczy zemsty. Wyciągnął się wygodnie w fotelu, nogi oparł o szklany blat stolika, jak przystało na człowieka, który osiągnął swoje. Żałował tylko, że Chajes, Czerniakowski i ich przyjaciele nie mogą go w tej pozycji zobaczyć. Chęć zemsty dyktowała teraz każde pociągnięcie. Wszystko, co należało uczynić, ograniczało się do skierowania ubeckich chartów na właściwy trop – i spokojnego czekania na wyniki. Zakładał, że teraz, późnym popołudniem, szef UB będzie podsumowywał w swojej norze wyniki dnia. Numer bezpośredniego telefonu miał zapisany w podręcznym notesie. Otworzył go pod literą „F” i wykręcił, po czym cierpliwie wsłuchiwał się w dźwięk brzęczyka na drugim końcu linii. Minęło co najmniej pół minuty, aż rozległ się w słuchawce suchy głos „straszego karła”:

– Słucham.

– Zapewne zdziwi was mój telefon. – Krzysiak mówił szybko, niemal wciskając słowa do słuchawki. – Ale radzę wam się nie rozłączać, dopóki nie skończę tego, co mam do powiedzenia. Tylko ja mogę wyciągnąć was wszystkich z tego błotka. Weźcie coś do pisania, warto wam zanotować kilka danych.

– Mów do rzeczy. Jestem bardzo zajęty.

Krzysiak był zadowolony. Przynęta chwyciła. Ponad dziesięć minut trwała pełna relacja, po wrocławskiej stronie przewodu nie rozległ się żaden wyraz zniecierpliwienia. Cisza była tak absolutna, aż w pewnej chwili przeląkł się, że szef dawno już odłożył słuchawkę. Ale nie. Dopiero gdy dobiegł do końca, szef UB bąknął „zbadamy” i rozłączył się bez słowa podziękowania.

– Pół królestwa za możliwość ujrzenia jego miny – powiedział Krzysiak na głos.

Rzeczywiście, była to mina, która przyniosłaby mu sporo satysfakcji. Szef UB był roztrzęsiony. Po raz wtóry od rozpoczęcia śledztwa czuł się, jakby go ktoś obuchem walnął w głowę. Otrzymana informacja była niezwykle istotna. Leżała jak na dłoni, a jego ludzie przeszli obok, głusi i ślepi. Szef UB nie miał złudzeń: Krzysiak nie oferował jej dla dobra sprawy. Sukinsyn dyszał chęcią zemsty. Ale jako dobrze wyszkolony funkcjonariusz wiedział doskonale, że czyste intencje dają na ogół marne wyniki.

Krzysiaka niewiele obchodziła opinia szefa. Niech sobie myśli o nim, co chce, byle działał według jego wskazań. W najbliższej przyszłości jedynie niespodziewane zachowanie się Moniki Wrzos mogło pokrzyżować plany. Ale Krzysiak polegał na umiejętnościach szefa, a jeszcze bardziej na chęci zachowania życia panny Wrzos.

Monika Wrzos mieszkała w jednej z tych nielicznych warszawskich kamienic, które nawet po Powstaniu pozostały nienaruszone, między innymi dzięki temu, że aż do wyzwolenia stała w niemieckiej urzędniczej dzielnicy. Od alei Szucha i ówczesnej siedziby gestapo dzieliło ją

nie więcej niż dwieście metrów. Po wojnie Monika miała dosyć pieniędzy, aby przekupić kogo trzeba w Urzędzie Kwaterunkowym i zapobiec dokwaterowaniu dodatkowych lokatorów. Trzy wielkie pokoje stały do jej wyłącznej dyspozycji.

Monika Wrzos dobiegała czterdziestki, ale twarz miała młodą, pozbawioną zmarszczek. Była kobietą wysokiego wzrostu, chyba przestrzegala diety nawet w czasach, gdy ludzie wystawiali w kolejkach po bochenek chleba, bo była szczupła, i cokolwiek by na siebie nie włożyła, wyglądała przystojnie i elegancko. Tylko niebieskie oczy nigdy nie szukały wzroku rozmówcy. Miała zwyczaj uciekania spojrzeniem w bok, jakby pragnęła uniknąć bezpośredniego kontaktu z bliźnim. Takie w każdym razie odniósł wrażenie szef UB.

Wszedł do jej mieszkania sam. Kierowca czekał na ulicy, dwa bloki dalej. Wyjechali z Wrocławia w niedzielę, wczesnym świtem, aby wrócić na noc. Szef nie życzył sobie, aby ktokolwiek zauważył jego nieobecność w mieście. Nauczony doświadczeniem, nie polegał na swoich oficerach. Tę ostatnią, może najważniejszą rozgrywkę, postanowił rozegrać osobiście.

Gdy zadzwonił, drzwi były zamknięte na kilka zamków. Trwało sporą chwilę, aż otworzyła wszystkie i wyjrzała przez szparę, wciąż jeszcze zabezpieczoną łańcuchem.

– Pan do kogo? – spytała podejrzliwie. Od dawna nie odwiedził jej nikt obcy.

– Do pani Moniki Wrzos – odparł szef i podsunął jej pod nos legitymację funkcjonariusza Urzędu Bezpieczeństwa.

Drzwi się zatrzasnęły, rozległ się chrobot spuszczanego łańcucha, potem otworzyły się na oścież.

– Płacą wam nadgodziny za pracę w święta? – zapytała cynicznie i obojętnym ruchem wskazała, że może wejść. Nie wyglądała na przestraszoną, służbowa legitymacja szefa, postrach każdego przeciętnego obywatela, nie zdawała się wywierać na niej wrażenia.

– Nieźle się pani urządziła – zauważył zgryźliwie, wchodząc do wyścielonego dywanami salonu. Dywany były stare, ręcznie tkane.

– Każdy orze jak może – odparła. Po czym, podążając za jego wzrokiem, dodała: – Ten brunatny to prawdziwy Kum. Mam nadzieję, że nie ma jeszcze zakazu posiadania perskich dywanów.

– Zależy od tego, w jaki sposób zostały nabyte.

Monika Wrzos zignorowała uwagę gościa.

– Może coś do picia? Kawę, herbatę?

Szef UB rozsiadł się w fotelu, nie czekając na zaproszenie, raz jeszcze zlustrował wzrokiem wytworne, antyczne umeblowanie i grzecznie odmówił:

– Dziękuję, proszę się nie trudzić.

– W takim razie, czym mogę służyć szanownej władzy?

– Proszę usiąść.

Panna Wrzos zajęła miejsce w drugim fotelu, nie zapominając zaprezentować przy okazji długich, prostych nóg. Szef nie poświęcił im najmniejszej uwagi.

– Zapewne czytała pani o procesie Rudolfa Nowaka – powiedział. Teraz uważnie badał wyraz jej twarzy. Mimo iż nie drgnęła, napięcie wisiąco w powietrzu. Gdy doszedł do wniosku, że pojęła wagę sytuacji, zapytał na pozór obojętnie:

– To się odbywało tutaj, w tym mieszkaniu?

– Nie pojmuję, o co panu chodzi?

– O odpowiedź na pytanie.

– Nadal nie rozumiem...

– Tu rozmawiamy spokojnie i elegancko, ponieważ jestem pani gościem i zachowuję się jak dżentelmen. Jeśli jednak nie ceni sobie pani dżentelmenów, możemy się spotkać w moim biurze. Była pani kiedyś w budynku Urzędu Bezpieczeństwa?

– Niczego tam nie zgubiłam.

– To dosyć traumatyczne przeżycie. Nikt nigdy pani nie opowiadał o tym? No tak – ironizował – niewiele osób miało ku temu okazję. Mamy zwyczaj wynajmowania pokoi na dłuższy okres, od dziesięciu lat wzwyż... Więc jak to było. On płacił pani czynsz, czy procenty od zysku? A może dzieliliście się pół na pół?

– Nie brałam w tym wszystkim udziału.

– Czyżby nie był pani kochankiem?

Monika Wrzos zaczerwieniła się. Szef UB widział, jak góra lodowa zaczyna się topić.

– Wiem, że był. Kochała go pani?

– Jakie to ma znaczenie?

– Jesteśmy nie tylko funkcjonariuszami władz bezpieczeństwa, ale także ludźmi. Zapytałem z czystej ciekawości. Chciałem wiedzieć, co panią motywowało: miłość czy chęć zysku.

– Był jedynym mężczyzną w moim życiu – odparła bez wahania.

– Znała pani jego żonę?

– Reginę? Nie, nie znałam. Gwoli ścisłości, widziałam ją raz jeden, ale to było kilka lat po wojnie. Ja także jestem człowiekiem. Byłam ciekawa.

– Ciekawa czego?

– Jak wygląda w roli wdowy.

– Skąd ta pewność, że Rudolf Nowak nie żyje?

– Nie wiem, co odpowiedzieć, bo przecież oskarżacie go o jakieś potworne zbrodnie. Czytałam sprawozdania prasowe i śmiałam się do rozpuku... Same nonsensy. Gdyby nie zginął, dałby znak życia.

– Może znalazł sobie inną i żyje z nią gdzieś w dalekim świecie.

– Nawet w takim przypadku nawiązałby kontakt.

– Ze względu na przedmioty wartościowe ukryte w tym domu?

– Nie znajdują się w domu. Nawet jeśli staniecie na głowie, nigdy ich nie znajdziecie.

– Nareszcie zaczynamy prowadzić rozsądną pogawędkę. – Szef UB był wyraźnie zadowolony. – Jakie odniosła pani wrażenie? Mam na myśli Reginę.

– Mocno stuknięta w głowę.

– Przepraszam?

– Chciałam powiedzieć: dziwaczka. Stroniła od ludzi. I przypuszczalnie alkoholiczka.

– Kiedy dokładnie to było?

– Co?

– No, kiedy ją pani widziała? – zniecierpliwił się.

– Nie prowadzę dziennika. Nie pamiętam daty. Chyba miesiąc przed jej zabójstwem.

Szef UB uniósł brew w lekkim zdziwieniu!

– Zabójstwem? O ile mi wiadomo, popełniła samobójstwo.

– Tylko milicja mogła w to uwierzyć, nikt inny.

– Dlaczego nie mogła, w nagłym odruchu desperacji, położyć kresu swojemu życiu?

– Ponieważ czekała na jego powrót. To było dosyć idiotyczne, ale prawdziwe.

– Nie ceni pani wierności, co?

– To nie była wierność. To była głupota.

– Gdzie mieszkał Rudolf? Tutaj czy u niej?

– U niej.

– Ale dbał o pani utrzymanie?

– Nie pozwalał rai wychodzić do pracy.

– Bo musiała pani troszczyć się o lokatorów.

– Tylko gotowałam dla nich i sprzątałam.

– I zbierała pani kosztowności, które po nich zostały. Biżuterię, złote monety. Gotówki nie brałście. Mogę to zrozumieć. Co tam już warte były te okupacyjne banknoty.

– To nie było tak, jak pan mówi. Chciałam tylko pomóc.

– Pomóc Rudolfowi, czy pomóc Żydom w pozbywaniu się ich majątku, a potem także życia? Obiecywaliście im schronienie przed nazistami, a gdy byli już na waszej łasce, odbieraliście ich z wszystkiego, co posiadali, aby w końcu wydać ich w ręce gestapo. Czy nie tak było?... Ile płaciło gestapo od łebka? Czy cena była równa za dziecko, za kobietę i za mężczyznę, czy była dopłata za młodych i rabat za starych?

– Mówi pan, jak gdybym była potworem – oburzyła się Monika.

– Bo jest pani potworem, Moniko Wrzos.

Monika podniosła się z fotela i machinalnie cofnęła krok do tyłu.

– Jeśli przyszedł pan, aby mnie aresztować, to po co ta gra w chowanego? Wiedziałam, że kiedyś nastąpi ten dzień.

– Przyszedłem wyłącznie na rozmowę. Ponieważ robi pani wrażenie osoby rozsądnej, spróbujmy rozsądnie porozmawiać. Wie pani, jaka kara grozi za czynną kolaborację z okupantem?

– Nigdy nie czytałam kodeksu karnego. Istnieje ciekawsza literatura... Przypuszczam, że kara śmierci.

– Więc jeśli życie pani miłe, znaleźliśmy płaszczyznę porozumienia.

– Zaczynam pojmować. – Twarz Moniki rozjaśniła się nagle. – Jest pan zainteresowany moim milczeniem. Jeśli tak, to wcale nie musiał się pan trudzić. Guzik mnie obchodzi ta komedia, którą pan reżyseruje... Biedny idiota na ławie oskarżonych. Widziałam zdjęcia. W ogóle niepodobny do mojego Rudolfa. Powiedziałabym, że wygląda na Żyda. Mieliśmy tu kilku z podobną fizjonomią. Rudolf był roslym, przystojnym mężczyzną... Niech się pan nie martwi. Zostawcie mnie w spokoju, a będę milczeć jak ryba.

– Milczenie nie wystarcza, droga pani Wrzos.

– Z tamtych rzeczy niewiele zostało. Ale jeśli potrzebuje pan jakąś błyskotkę dla żony, albo kochanki, to może uda się coś wygrzebać. Rozumiem, że w pańskim stanie – Monika znacząco spojrzała na zniekształconą stopę szefa UB – trzeba się czasami wesprzeć czymś wartościowym. A może woli pan „zielone”?

– Ja wam powiem dokładnie, co wolę. – Szef nie potrafił ukryć swojej złości i nawet nie zauważył, że przeszedł z „pani” na „wy”. – Wracajcie na fotel i słuchajcie bardzo uważnie. Wystąpicie w procesie Nowaka jako świadek oskarżenia. Opowiecie sądowi wszystko, co działo się w tym mieszkaniu, i bez drgnienia powieki zidentyfikujecie oskarżonego jako waszego byłego kochanka. Wiem, że potraficie zagrać tę rolę bez zajknięcia i bez wyrzutów sumienia. Za waszą przysługę udzielimy wam immunitetu świadka koronnego. Prawo nie będzie was ścigać. Innymi słowy, za godzinę dobrego aktorstwa zarobicie sobie lata wolności. Proponuję wam najlepszy interes waszego życia, obywatelko Wrzos.

Monika skinęła głową na znak zgody. Po chwili rzuciła wyzywająco:

– Zastanawiam się, kto z nas dwojga jest większym potworem: pan czy ja? I jeszcze jedno: jaką mam gwarancję, że po złożeniu zeznań nie znajdę się w tym pańskim hotelu z pokojami do wynajęcia na dłuższy okres?

– Żadnej. Chciałem przez to powiedzieć: żadnej poza moim słowem.

– Jestem w sytuacji bez wyjścia. Akceptuję warunki.

– Ani przez chwilę nie sądziłem, że będzie inaczej – powiedział szef i dźwignął się z fotela. – Ruszamy w drogę.

Czerniakowski dałby konia z rzędem, aby się dowiedzieć, skąd szef UB wytrzasnął Monikę Wrzos. Przywiózł ją do mieszkania prokuratora tuż przed północą i oświadczył krótko:

– Obywatelka Wrzos przenocuje u was. Nie chcę, żeby ją widzieli w hotelu, zwłaszcza że potrzebna jest obstawa. Powiedziałem „przenocuje”, ale słuszniej byłoby powiedzieć

„przesiedzi”. Macie kilka godzin, by ją przygotować na jutro. To wasz najlepszy świadek. Diament w koronie oskarżenia.

Były to jedne z bardziej fascynujących chwil w karierze prokuratora, gdy Monika, wsparta o oparcie stylowego, poniemieckiego szezlonga, spokojna i zrównoważona, relacjonowała wydarzenia sprzed kilku lat tonem towarzyskiej rozmowy przy kawiarnianym stoliku. Czerniakowski zastanawiał się, czy była to tylko poza, czy też naprawdę nie rozróżniała dobra od zła, miłości od zbrodni, elementarnych zasad moralności od totalnego zepsucia. Sam miał niejednego grzech na sumieniu, wiedział o tym lepiej od innych, ale przy Monice Wrzos wydawał się sobie czysty jak lza.

Ponad trzy godziny trwał ten zadziwiający monolog. Od czasu do czasu dopingował ją pytaniem lub prosił o wyjaśnienie czegoś, czego normalny człowiek, nawet taki, który z niejednego pieca chleb jadał, nie był w stanie pojąć. Monika odpowiadała chętnie, mogło się wydawać, że duchem wróciła do okresu, który, jak kilkakrotnie powtórzyła, był najpiękniejszym w jej życiu. Czerniakowski skrupulatnie notował każde zdanie. Przygotowywał się do możliwości, że na sali sądowej będzie musiał przypomnieć jej pewne szczegóły – zdarzało się, że wobec powagi sądu świadkowie zapominali nagle języka w gębie.

O trzeciej z minutami nad ranem zakończyli sesję. Czerniakowski wskazał na szezlong i powiedział:

– Przyniosę poduszkę i koc. Radzę się przespać, czeka nas trudny dzień.

– Nie mogę – odparła. – Nie zabrałam ze sobą szczoteczki do mycia zębów.

Przypuszczał, że to jakaś dziwna forma żartu, ale Monika mówiła serio. Zaprowadził ją do łazienki. Podczas gdy korzystała z przyborów toaletowych żony, podszedł do drzwi wejściowych, upewnić się, że są zamknięte na oba zamki. Klucze schował do kieszeni. Tego tylko brakowało, by w nocy wymknęła się z mieszkania. Nie wiedział, że na klatce schodowej dyżuruje tajniak. Czerniakowski nie ufał pannie Wrzos, szef UB nie ufał Czerniakowskiemu.

Gdy Monika ułożyła się do snu, nakryta kraciatym pledem, prokurator wrócił do sypialni i po cichu, nie budząc żony, wsunął się do łóżka. Podekscytowany, wiedział, że sen go nie zmorzy. Co pół godziny wstawał i na palcach zakradał się do salonu, aby sprawdzić, czy jego świadek koronny nie zniknął. Równomierny oddech Moniki Wrzos wskazywał, że, niczym nieporuszona, spała snem sprawiedliwych. Gdy obudził ją o siódmej rano, wyglądała na wypoczętą. Długo stała przed lustrem, z kredką do ust i puderniczką w ręku.

– Zgłaszam sprzeciw – wołał Buter. – Postępowanie prokuratury jest sprzeczne z procedurą!

Sędzia Gont odebrał obrońcy prawo głosu. Wybuch gniewu był do przewidzenia, Gont postanowił go stłumić w zarodku. Szef UB uprzedził go godzinę przed rozpoczęciem rozprawy o pojawieniu się nowego świadka. Na mocy ustawy o postępowaniu w trybie wyjątkowym, w przypadkach, gdy wymaga tego dobro publiczne, sąd mógł dopuścić zeznania świadków, których nazwiska nie zostały podane we właściwym terminie do wiadomości obrony. Buter protestował, wiedząc, że jest bezsilny. Czerniakowski poczekał, aż zakończy się burza w szklance wody, i zapytał z przesadną układnością:

– Czy Wysoki Sąd zezwala nam postawić przed pulpitem dla świadków obywatelkę Monikę Wrzos?

Sędzia Gont skinął głową przyzwalająco. Milicjant otworzył boczne drzwi, blisko sceny. Monika przemaszerowała przed pierwszym rzędem, zarezerwowanym dla prasy, z głową wysoko podniesioną, wyprostowana jak struna. Publiczność śledziła ją z wielkim zainteresowaniem, jakby przeczuwała zbliżanie się niezwykłych emocji. Monika miała na sobie szary kostium i białą bluzkę, zapiętą wysoko pod szyją. Lekki makijaż dodawał jej

urody. W butach na płaskim obcasie wyglądała solidnie, ktoś szepnął „jak nauczycielka na egzaminach maturalnych”. Protokolant spisał jej dane personalne, potem zapytał:

– Świadek będzie zeznawała pod przysięgą cywilną czy religijną?

Przysięgi religijne od dawna nie były stosowane, ale za radą sekretarza Komitetu Wojewódzkiego postanowiono ją wyjątkowo umożliwić, ze względu na obecność zagranicznych dziennikarzy. Monika odpowiedziała z wyrafinowaną skromnością:

– Religijną, jeśli można.

Woźny przyniósł Nowy Testament. Szef UB obserwował salę z małego wewnętrznego okienka inspicjenta na czwartym piętrze. Widząc, jak Monika kładzie rękę na czarnej okładce księgi, nie mógł się opanować, szturchnął łokciem generała Brozę i powiedział półgłosem:

– Popatrz tylko na tę świętą sukę. Prawdziwa Norma Desmond.

Niedawno po raz wtóry oglądał w sali projekcyjnej TPPR *Bulwar Zachodzącego Słońca* i wciąż jeszcze był pod wrażeniem gry Glorii Swanson.

Gdy tylko wymówiła ostatnie słowa przysięgi, prokurator rzucił pierwsze pytanie:

– Czy świadek rozpoznaje Rudolfa Nowaka?

– Oczywiście.

– Czy świadek może go wskazać Wysokiemu Sądowi?

Spojrzenie Moniki Wrzos przesunęło się wolno po twarzach osób siedzących na podwyższeniu i zatrzymało na Liebmanie.

– To on – oznajmiła, wskazując palcem oskarżonego. Zaraz po tym odwróciła się w stronę publiczności, jakby czekając na pochwałę.

– Proszę zwracać się tylko do sądu – pouczył ją prokurator. Natychmiast wykonała polecenie. Sędzia Gont uśmiechnął się lekko. Monika odebrała to jako znak, że należycie wywiązała się z zadania. Jeśli dotychczas była trochę spięta, od tej chwili poczuła się zupełnie swobodnie. Na polecenie prokuratora powtórzyła słowo w słowo tekst nocnego monologu:

– Rudolfa Nowaka poznałam w roku czterdziestym drugim. Pracował wówczas jako inżynier w dyrekcji niemieckich kolei. Ja byłam zatrudniona w charakterze pomocniczej siły biurowej w wydziale zaopatrzenia. Pamiętam nasze pierwsze spotkanie. Było to w maju, a dokładniej mówiąc, dwudziestego siódmego maja. Tego dnia Rommel rozpoczął ofensywę w północnej Afryce, ruszył na wschód od El-Alamein, Niemcy szaleli z radości, mówili o bliskim zwycięstwie, o tym, że Egipt przyjmie ich z otwartymi rękami i że wkrótce wkroczą do Palestyny, by skończyć z tamtejszymi Żydami. Wiem, że później sprawy potoczyły się inaczej, ale tego dnia, już powiedziałam, że było to dwudziestego siódmego maja, dyrekcja kolei urządziła małą bibkę dla kierowniczego personelu. Rudolf nie był Niemcem, ale był lubiany i szanowany za swoją pracę, często brał udział w posiedzeniach dyrekcji naczelnej Reichsbahnu. Właśnie szedł do biura naczelnego, ręce miał pełne papierów. Ja biegłam tym samym korytarzem, z przeciwnej strony, bo miałam coś pilnego do załatwienia, już nie pamiętam, co to było, i w pośpiechu, nie patrząc przed siebie, wpadłam na Rudolfa. Papiery rozsypały się po podłodze, speszona pomagałam je zbierać. Potem wyprostowaliśmy się, nasze spojrzenia się spotkały i zdawało mi się, że wyrażały obopólną sympatię...

– Proszę świadka o skupienie się na sednie rzeczy – przerwał jej Czerniakowski. Sędzia uciszył go podniesieniem ręki:

– Sąd pragnie wysłuchać wszystkich szczegółów – orzekł i dał znak Monice, aby kontynuowała.

– Gdzie to byłam? Aa, przy tym spotkaniu. Inżynier Nowak, ten, co tam siedzi – znów wskazała na Liebmana – zaproponował, abym mu towarzyszyła przy wzniesieniu toastu w dyrekcji. Poszłam z nim, wypiliśmy kieliszek sznapsa, a potem on poszedł ze mną. Tak się to wszystko zaczęło...

...Miałam duże mieszkanie, trzy obszerne pokoje, duża kuchnia, łazienka, wszystko, co trzeba. Zostało po rodzicach, bo zaraz na początku wojny przenieśli się na wieś. Mieli pasiekę

w Białostockiem. Dwieście pięćdziesiąt uli. Mieszkałam sama, noga obcego mężczyzny nie przestąpiła mojego progu. Żyłam skromnie, bo pobory urzędniczki nie pozwalały na luksusy, a zresztą wszystko było na kartki. Rudolf przyniósł butelkę szampana, podobno był francuski, trochę zakręciło mi się w głowie, ale nie tylko od szampana. Powiem prawdę, od pierwszego wejrzenia zakochałam się po uszy, gotowa byłam pójść za nim w ogień i wodę. Nie przypuszczałam wówczas, że poprowadzi mnie w ogień gehenny.

– Czy świadek może być bardziej precyzyjna? – zapytał sędzia.

– Oczywiście. Były trudności w utrzymaniu planowanego mchu pociągów. Niemcy prowadzili bezustanne spory. Chodziło o priorytety. Wehrmacht, to znaczy armia, potrzebowała wagonów towarowych do transportu żołnierzy, broni i żywności. SS i SD, to były formacje specjalne, porywały wojsku sprzed nosa całe pociągi, żeby przewozić jeńców na zachód, a Żydów na wschód.

– Dokąd wywożono tych Żydów? – chciał wiedzieć Czerniakowski.

– Już powiedziałam: na wschód.

– To jest bardzo ogólne stwierdzenie – obstawał przy swoim prokurator. – Nam chodzi o określenie bardziej szczegółowe. Czy wywożono ich do obozów zagłady?

– Wówczas nie miałam pojęcia.

– A dzisiaj?

– Dzisiaj wiem, że tak było. Dzisiaj wszyscy wiedzą... Mój kierownik wydziału posłał mnie kiedyś z listem do dowódcy takiego pociągu. Szłam wzdłuż wagonów, to było za dnia, może druga, może trzecia po południu, aż nagle usłyszałam ciche wołanie: „Łaskawa pani mi pomoże”. Jakiś Żyd ukrywał się pod wagonem, nie wiedziałam, skąd się tam wziął. Błagał, żeby go wyprowadzić poza teren dworca. Gdyby mnie przyłapano na rozmowie z kimś takim, to w najlepszym przypadku wyrzuciliby mnie z pracy. Żał mi go było, ale wystraszona uciekłam tak szybko, jak tylko nogi mnie niosły. Jeszcze tego samego dnia opowiedziałam wszystko Rudolfowi. Przychodził niemal co wieczór, przynosił alkohol, trochę smakołyków, takich, których w żadnym sklepie nie można było kupić, często zostawał na noc. Rudolf nie przejął się zbyt, powiedział tylko, że chyba popełniłam błąd, bo Żyd dużo by zapłacił za pomoc. Nie mogę na to przysiąc, ale wydaje mi się, że wówczas narodził się ten pomysł. To znaczy pomysł zajęcia się Żydami. Pomocy w ucieczce z transportów do komór gazowych.

– Czy nie powiedziała pani przed chwilą, że nie miała pojęcia, dokąd szły te transporty? – spytał Buter.

Sędzia Gont zawyrokował natychmiast, że uwaga obrońcy nie ma nic wspólnego ze zbrodniami przypisywanymi Nowakowi. „To nie świadek Wrzos siedzi na ławie oskarżonych” – przypomniał obecnym i zwolnił ją od obowiązku odpowiedzi. Monika skłoniła się lekko i podziękowała. Podczas nocnej rozmowy prokurator Czerniakowski przyrzekł jej, że sąd nie zezwoli obronie na zadawanie niewygodnych pytań. „W najgorszym razie, ze względu na wymagania procedury prawnej, umożliwimy mu jakieś marginesowe wystąpienie” – obiecał. Buter nie naciskał, zdawał sobie sprawę, że nie ma widoków na zdyskredytowanie świadka. Monika Wrzos wróciła do swojej relacji:

– Rudolf miał przyjaciół w policji kolejowej. Oficerami byli zawsze Niemcy, ale wśród szeregowych było sporo Ukraińców i Łotyszy. Kiedyś zapytał, czy może zaprosić do mojego mieszkania dowódcę tego Bahnschutzu. Zgodziłam się, no bo niby dlaczego miałam odmówić. Przygotowałam zakąskę jak trzeba, wówczas niczego mi już nie brakowało, Rudolf przyniósł butelkę koniaku, wieczór był dosyć miły, Rudolf i ten Niemiec popijali i gadali, ja dużo nie mówiłam, bo mój niemiecki nigdy nie był najlepszy. Niemiec zgodził się przystąpić do spółki, nie zrozumiałam dokładnych ustaleń, ale wiedziałam, o co chodzi.

– To może świadek wyjaśni także sądowi, o co chodziło – wtrącił Czerniakowski.

– Plan był bardzo prosty. Za każdym razem, gdy szły transporty do Treblinki albo do Majdanka, Rudolf wymyślał jakąś techniczną awarię i trzymał pociąg na bocznicy, czasami

kilka godzin, czasem nawet całą dobę. Wozili ich po osiemdziesiąt osób w bydłym wagonie, bez jedzenia i bez wody. Nieszczęśnicy tłoczyli się przy małych odratowanych okienkach, prosili o chleb i wodę. Rudolf oferował im znacznie więcej: oferował im wolność. Rzecz zrozumiała, tylko tym, którzy mogli za nią zapłacić. Nie wiem, jak ich wyciągał z zaplombowanych wagonów, chyba niemiecki komendant, ten nasz współnik, pomagał przekupywać kogo trzeba, interes szedł jak po maśle, bo nikt nigdy ich nie nakrył. Klientów, tak ich nazywali, przywozili więzienną karetką do mojego domu, zawsze po godzinie policyjnej, kiedy ulice były puste, a sąsiedzi zamykali się na cztery spusty w swoich mieszkaniach. Zdarzało się, że Rudolf i jego Niemcy przywozili całe rodziny, nawet z dziećmi. Powiedziałam wcześniej, że mam duże mieszkanie, jednak niedostatecznie duże dla dziesięciu, nieraz piętnastu osób. Ścisk był potworny, ale nikt z nich nigdy się nie skarżył. Nie dziwię się, bo w porównaniu z Treblinką mieli dom wypoczynkowy. Nie będę opowiadać, ile się nacierpiałam, ponieważ mieliśmy tylko jedną ubikację, a muszla wciąż się zatykała. Smród był potworny, sama musiałam ją przetykać i zmywać, za przeproszeniem, gównem ze ścian ubikacji. Rudolf przynosił mi za to najdroższe perfumy, a Niemiec wtykał w łapę kartki na masło i mięso, ale co to za rekompensata. Muszę też powiedzieć, że ci klienci wcale nie byli tacy nieszczęśliwi, jakby się mogło wydawać. Forsy mieli jak lodu. Wszystko w obcej walucie, nawet złote talary z Marią Teresą. I ciągle się kłócili: kto pierwszy do klozetu, kto pierwszy do kuchni pojeździe...

Emil Buter nie mógł się powstrzymać od zgryźliwej uwagi:

– Świadek chciałby, abyśmy się nad nią litowali?

Gont uciszył go uderzeniem drewnianego młotka w pulpity sędziowskiego blatu. Liebman siedział na swoim miejscu obojętny, jakby cała ta historia odnosiła się do kogoś całkiem innego. Również Maria Kot mniej zważała na treść, aniżeli na osobowość świadka. Afera miłosna jej Rudiego z tą przystojną blondynką stanowiła jeszcze jedną niewiadomą w jego tajemniczej przeszłości. Nigdy o niej nie wspominał. Maria mierzyła Monikę Wrzos spojrzeniem charakterystycznym dla zazdrosnej kobiety. Było to spojrzenie absolutnie krytyczne. Rysy twarzy świadka zdawały się świadczyć o osobie złego charakteru, pazernej i kapryśnej. Długa szyja, wyrastająca jak łodyga z wysoko zapiętej bluzki, opadające ramiona, płaski biust, wszystko to razem budziło w niej obrzydzenie. Maria przymknęła oczy i wyobraziła sobie tę osobę w intymnym zbliżeniu z Rudim. Wyimaginowana scena tak mocno ją wstrząsnęła, że nie słyszała już dalszego ciągu zeznań.

– Ile płacili wam wasi „klienci”? – chciał wiedzieć prokurator.

– Nie mieliśmy stałego cennika – odparła rzeczowo Monika Wrzos. – Zresztą, nie znam szczegółów. Sprawy finansowe załatwiał Rudolf. Często za plecami niemieckiego współnika. Myślę, że opłata była zależna od możliwości finansowych lokatorów. Na ogół płacili kosztownościami. Rudolf twierdził, że Żydzi zawsze oszukują, bał się, że wepchną mu jakieś szkiełko zamiast brylantu, więc zapewnił sobie fachową poradę zawodowego jubilera. Zdarzało się, bardzo rzadko, ale zdarzało się, że ktoś go oszukał. Miał być brylant karatowy, a miał tylko pół karata. Wtedy złość jego nie znała granic. Był bardzo ambitny, nie mógł znieść myśli, że jakiś Żydek, to znaczy, jakiś Żyd, go wykołował.

Prokurator Czerniakowski prowadził do kulminacyjnego punktu zeznań.

– Jak długo mieszkali u świadka jej lokatorzy?

– Bywało różnie. Czasami tygodni, czasami nawet miesiąc.

– To znaczy tak długo, dopóki mogli wysupłać zapłatę?

Monika milczała.

– Czy sąd może przyjąć milczącą odpowiedź za potwierdzenie?

– Już powiedziałam, że nie znam wszystkich szczegółów. Rudolf był moim kochankiem, nie pracownikiem i nie szefem... Owszem, jak nie mieli już pieniędzy, pojawiała się policja, niemal zawsze granatowa, panowie wiedzą, to była polska policja pomocnicza od spraw

kryminalnych, i legitymowała wszystkich obecnych. Lokatorzy nie mieli jeszcze aryjskich dowodów osobistych, Rudolf obiecywał, że je dostarczy, ale nigdy ich nie dostarczał. Kto nie miał kennkarty, zabierali go ze sobą.

– A za te kennkarty płacili z góry? – dociekał prawdy prokurator.

– Tak. Ale to nie było takie proste, załatwić aryjskie papiery. To była skomplikowana procedura, wymagająca czasu. Jak już powiedziałam, tak się składało, że policja nachodziła mieszkanie, zanim lokatorzy mieli coś konkretnego w rękę. Prawdę mówiąc, nie wierzę, by uniknęli swego losu, nawet gdyby dostali te papierki. Wystarczyło spojrzeć na ich wystraszone, semickie twarze, aby nawet początkujący policjant wiedział, z kim ma do czynienia. Niektórzy nie mówili nawet dobrze po polsku, rozmawiali w tej swojej gwarze, w jidysz. Za każdym razem gdy do mieszkania wpadała policja, powtarzały się te same lamenty. Kobiety darły się pod niebiosa, dzieci płakały, mężczyźni, tak mi się wydaje, wołali o pomoc do Boga. Ale pomoc mógł im tylko Rudolf, tyle tylko, że nie leżało to w jego interesie. Potrzebował mieszkania dla następnych lokatorów. Uspokajał ich, mówił, że nie wszystko stracone, bo po pierwsze, nie chciał budzić sąsiadów, a po drugie, w nadziei na ratunek każdy z tych Żydów wysupłał jeszcze jakiś brylant albo inną kosztowność, zaszytą w kołnierzu albo schowaną w obcasie. Nie wnikałam wówczas w motywy postępowania Rudolfa, kochałam go bardzo. Poza tym myślałam, że chyba zasłużyli na karę, bo przecież ukrzyżowali Syna Bożego... Policyjne karetki zawsze były zielone, Niemcy nazywali je „Berta”, nie wiem dlaczego. Tak, ten zielony kolor pamiętam bardzo dobrze.

– Dokąd wywożono tych nieszczęśników? – naciskał Czerniakowski.

– Nie wiem.

– Świadek nie wie, czy wiedzieć nie chce?

– Naprawdę nie wiem. – Monika zniżyła głos, jakby dzieliła się jakąś tajemnicą. – Sprawami tego rodzaju zajmował się oficer granatowej policji, na imię miał Józef, nazwiska nigdy nie znałam. Był wysoki i bardzo przystojny, ale nie lubiłam go, bo pił za dużo, a jak miał w czubie, to mi się dobierał, przepraszam Wysoki Sąd, do dekoltu. Poskarżyłam się Rudolfowi, ale Rudolf prosił, żebym nie robiła afery, bo facet jest mu potrzebny. Więc po prostu usuwałam mu się z drogi. To znaczy, temu Józefowi.

– Proszę świadka o skupienie się na sednie sprawy – wtrącił sucho sędzia Gont. – Swoje osobiste przeżycia niech sobie zachowa na czas, gdy będzie pisała autobiografię.

– To może być fascynująca lektura – zaśmiał się mecenas Buter. Także dziennikarze w pierwszym rządzie wybuchnęli gromkim śmiechem. Sędzia uciszył ich uderzeniem młotka w stół. Prokurator przywrócił bieg sprawie, podejmując zadawanie pytań.

– Czy widziała pani kiedykolwiek któregoś z lokatorów po tym, jak ich zabrano?

– Nie.

– Należy więc założyć, że zostali uśmierceni?

Mecenas Buter podniósł się z miejsca. Zamierzał sprzeciwić się pytaniom opartych na poszlakach, ale rozmyślił się i usiadł. Taktyka, którą planował, nie była oparta na obronie Rudolfa Nowaka, kolaboranta i niewątpliwego mordercy.

– Nie wiem, dokąd ich zabrano – odparła Monika Wrzos.

– A dokąd zabrano Rudolfa Nowaka?

– Tego także nie wiem. Gestapowcy aresztowali go u niej, u Reginy.

– A pani nie ruszono. Dlaczego? – naciskał Czerniakowski.

– Nie wiem. Gestapo nigdy nie pojawiło się u mnie w domu. – Po raz pierwszy wyczuć można było wahanie w jej zeznaniach. – Może dlatego, że Józef... Zostałam nagle sama, bezradna i przerażona. Józef zaczął się mną opiekować. Nadal pił. Był człowiekiem bardzo agresywnym, powiedziałabym, brutalnym. Czasami dostało mi się od niego, ale dbał o moje potrzeby aż do wyzwolenia Warszawy.

– A świadek dbała o potrzeby tego oficera?

– W pewnym sensie – odparła zawstydzona. – Ale tylko do stycznia czterdziestego piątego. Kilka dni przed wkroczeniem Armii Czerwonej uciekł z Warszawy i nigdy go już nie widziałam.

– Nie mam więcej pytań – oznajmił prokurator, wyraźnie zadowolony.

– Czy obrona pragnie przesłuchać świadka Wrzos? – spytał sędzia.

– Dziękuję. Obrona nie ma pytań – oznajmił adwokat.

Czerniakowski podszedł do Moniki, ujął ją za rękę, zwracając twarzą w stronę Rudolfa Nowaka i nakazał, by zidentyfikowała go raz jeszcze.

– Proszę zbliżyć się do ławy oskarżonego, spojrzeć mu w twarz, zbadać jej rysy i potwierdzić głośno, że siedzi przed panią jej były kochanek, Rudolf Nowak. Proszę uczynić to w sposób, który nie pozostawi sądowi żadnych wątpliwości co do osoby oskarżonego.

Monika zeszła z podestu dla świadków, minęła obrońcę i stanęła naprzeciw Liebmana. Czerniakowski kroczył za nią, trzymając w rękę poły prokuratorskiej togi. Liebman, który siedział dotychczas lekko przygarbiony, wyprostował się, by spotkać spojrzenie Moniki Wrzos. Nigdy przedtem nie widział jej na oczy. Nie mógł zrozumieć, dlaczego ta całkowicie obca kobieta przypisuje mu zbrodnie, o których nie miał pojęcia. I całkowicie niezrozumiałe było zachowanie jego obrońcy. Czyżby sprzedał go za miskę soczewicy?

Oczy wszystkich obecnych na sali skierowane były w stronę miejsca ostatecznej konfrontacji. Monika wpatrywała się w Liebmana. Cisza była tak absolutna, że nawet lot muchy grzmiałby jak przelatujący odrzutowiec. Czerniakowski przeciął ją krótkim pytaniem:

– A więc?

– Tak – powiedziała bez drżenia w głosie. – To jest znany mi z okresu okupacji Rudolf Nowak.

Emil Buter wciąż jeszcze nie reagował. Liebman nie zapanował nad nerwami. Podskoczył z miejsca i krzyknął na cały głos:

– Nie znam tej kobiety! To wszystko kłamstwo! Kłamstwo! Kłamstwo!

Przez salę sądową przetoczyła się fala pomruków. Zagraniczni dziennikarze wstali, aby lepiej obserwować przebieg wydarzeń. Milicjanci uchwycili oskarżonego pod ramiona. Sędzia Ksawery Gont znów huknął młotkiem i kazał wyprowadzić oskarżonego z sali. Wyprowadzany siłą, krzyczał, wyrywał się, w końcu ugryzł jednego z milicjantów w rękę. Pozostali wywlekli go z sali tylnymi drzwiami, do małego pomieszczenia za sceną. Teraz podniosła się również publiczność. Szepty zamieniły się w donośne rozmowy. Czerniakowski szepnął w ucho sędziego:

– Zarządźcie przerwę w obradach. I każcie natychmiast opróżnić salę.

Maria Kot nie czekała na polecenia sędziego. Widząc Rudolfa siłą wywlekanego gdzieś na zaplecze, poczuła, jak ściska jej się gardło. Musiała zaczerpnąć haust świeżego powietrza. Wstała i zaczęła przepychać się ku wyjściu. Nikt z obecnych nie wiedział, kim jest, ale coś musiało być w jej postawie, bo ludzie przepuszczali ją bez szemrania. Po chwili znalazła się na korytarzu, zbiegła w dół, przeskakując po dwa stopnie naraz, aby po minucie znaleźć się poza budynkiem. W duchu przysięgła, że nigdy już tutaj nie wróci. Powietrze na zewnątrz nie było tak świeże, jak tego pragnęła. Po przeciwnej stronie ulicy, w pewnej odległości od Domu Ludowego, parkowały autobusy i zatruwały okolicę gazami spalinowymi pracujących dieslowskich silników. Nie wiedziała, kto postanowił sprowadzić na miejsce kilkuset demonstrantów z prowincji. Na autobusach widniały napisy: Legnica, Świdnica, Jelcz. Ponieważ nie było dla nich miejsca na sali sądowej, demonstranci stali wzdłuż ulicy, wznosili transparenty ze sloganami potępiającymi kolaborantów i agentów międzynarodowego imperializmu. Maria oddalała się szybkim krokiem. Za rogiem ruchu kołowy i pieszy był już całkiem zwyczajny. Ludzie nie wydawali się zainteresowani tym, co działo się w odległości kilkuset metrów. Dopiero teraz mogła przystanąć, by zaczerpnąć tchu. Wstrząśnięta tym, co

widziała przed chwilą, z trudem mogła przyjąć do wiadomości, że kula ziemską nadal obraca się wokół swojej osi, jak gdyby nic się nie stało.

Gedalia Chajes doszedł do wniosku, że nadeszła właściwa chwila działania. Na zamieszanie w sali rozpraw patrzył z okienka w pokoiku kontrolnym. Dom Ludowy zbudowany był jak prostokąt, pośrodku którego mieściła się sala widowiskowa. Powąka była na wysokości piątego piętra. Na trzech piętrach znajdowały się galerie dla widzów, dzisiaj opróżnione. Szef UB i komendant MO nie chcieli ryzykować. Jakiś nadgorliwiec mógł cisnąć w dół zgniłe jabłko, lub co gorzej kamień, a nawet granat. Na czwartym piętrze znajdowały się pokoje elektryków i inspicjenta. Gdy oskarżony stracił panowanie nad sobą, Chajes mruknął pod nosem: „Oho, słomka złamała grzbiet wielbłąda”. Po jego prawicy szef UB ćmił niedopałek papierosa i lekko się uśmiechał. Wydawał się zadowolony. Z przesłuchań znał już te wybuchy aresztanta, wiedział, że po nich następuje chwila wygodnego dla śledztwa kryzysu. Gedalia odpowiedział uśmiechem na uśmiech. On także miał powód do zadowolenia. Szef UB, sprowadzając Monikę Wrzos, wbił Nowakowi ostatni gwóźdź do trumny. Ani na moment nie przypuszczał, że uderzenie, którym zamierzał uśmiercić Rudolfa Nowaka, wskrzesi do życia Liebmana; i że dopiero teraz zacznie się prawdziwy sabat czarownic.

– Ty? – zdumiał się Liebman, gdy drzwi celi otwarły się ze zgrzytem zawiasów i w progu pojawił się Gedalia Chajes. Przez dłuższą chwilę stali naprzeciw siebie milcząco. Chajes prześlizgnął się wzrokiem po ścianach i zauważył, jakby od rzeczy:

– A więc tak to wygląda od wewnątrz.

– Jeśli przyszedłeś naigrawać się... – zaczął Liebman.

– Nie. Przyszedłem wykaraskać cię z tego gówna.

– Teraz przypomniałeś sobie o moim istnieniu? Teraz, po zeznaniach tej baby? Teraz, gdy kłamka zapadła? Gdzie się podziewałeś, kiedy byłeś mi najbardziej potrzebny? Powiedz prawdę: przeszedłeś nasycić się widokiem ofiary tej waszej wspólnej, podłej rozgrywki. Przecież od samego początku wiedziałeś, że sabotaż, szpiegostwo, kolaboracja z hitlerowcami, że wszystko to jest wyssane z palca. Nie mogę tylko pojąć, czemu ta gra ma służyć. Komu była potrzebna.

– Nie tylko sabotaż, szpiegostwo i kolaboracja wyssane są z palca. Mimo to twoje oburzenie jest bezpodstawne. W rozgrywce, której na razie nie potrafisz zrozumieć, stoimy po tej samej stronie bariery. To prawda, że Monika Wrzos miała cię zaprowadzić na szubienicę. Ale jak dotychczas, trzymam kata za jaja.

– Nigdy w życiu nie widziałem tej kobiety.

– Wiem.

– Wiesz? – niemal krzyknął Liebman. – Więc dlaczego...

– Pomału, pomału. Wszystko ma swój czas.

– Nie przemawiaj do mnie jak Kohelet²⁵.

– Ciepło, gorąco. Zbliżamy się do korzeni.

– Ręce mi drżą, nie mogę tego opanować.

– Widzę.

– To się zaczęło podczas śledztwa. Z napięcia... Powiedziałeś, że możesz mi pomóc.

– Fotografowano cię w więzieniu?

– Tak. Ale co to ma za związek?

– Fotografowano cię w trzech pozach i kazano trzymać karton z numerem przy piersi?

– Tak. Dwukrotnie. Nazajutrz po aresztowaniu, a potem znów po kilku dniach.

– Czy numery na kartonie były zawsze te same?

25 Księga Koheleta 3,1.

- Nie mam pojęcia. Czy to istotne?
- Może być niezwykle istotne. Jak byłeś ubrany?
- Poczekaj, niech sobie przypomnę... Tak, już wiem. Po raz pierwszy nosiłem własny garnitur, białą koszulę w szare paski, ale bez krawata i bez sznurowadeł. Zabrali mi...
- Znam procedurę więzienną.
- Nie masz pojęcia, jakie znaczenie mają dla człowieka krawat i sznurowadła. W niektórych sytuacjach każdy szczegół staje się symbolem. Gdy ogolono mi głowę w obozie koncentracyjnym, czułem, że pozbawiają mnie człowieczeństwa.
- Opowiedz mi o tej drugiej sesji.
- Do fotografa zaprowadzili mnie wcześniej rano. Byłem nieogolony, miałem na sobie tylko bawełniany podkoszulek. Ale po cholerę te szczegóły?
- Zaraz się dowiesz. Dzisiaj fotografuje się więźniów aparatem, który numeruje automatycznie. Sposób z kartonem trzymanym przy piersi należy do dalekiej przeszłości. Nie ulega wątpliwości, że tak Niemcy robili zdjęcia prawdziwego Rudolfa Nowaka. Szef UB, a może Czerniakowski, podmienili przypuszczalnie oryginalną fotografię Nowaka w niemieckich dokumentach archiwalnych. Skroili na twoją miarę jego więzienne ubranko. Zaczynasz kapować?
- Od pierwszej chwili byłem pewny, że istniał jakiś inny Rudolf Nowak.
- Nic – Chajes podniósł głos. – Istniał tylko jeden Rudolf Nowak. Współpracował z hitlerowcami i miał na swoim sumieniu wszystkie zbrodnie, które tak dokładnie opisała Monika Wrzos. Zauważyłeś, że pominęła detale dotyczące jego aresztowania. Być może naprawdę ich nie zna. Nie wiedziała, że był długo na Szucha, w kazamatach gestapo. Chcieli położyć rękę na łupach zdartych z Żydów. Protokoły tamtego śledztwa zostały odnalezione w niemieckich archiwach. Nasze władze bezpieczeństwa niewątpliwie przedstawiają je do wglądu w dalszym ciągu rozprawy, może nawet sporządzą odpisy na użytek zagranicznych dziennikarzy. Stare teczki gestapo wzmocnią zeznania panny Wrzos. Wszystko zapięte na ostatni guzik... Nie przeszkadzaj, już słyszałem, że nie znasz tej kurwy. Ale nawet Buterowi, gdyby uznał to za stosowne, nie uda się podważyć jej świadectwa. Zresztą, radziłem mu, aby nawet nie próbował. Monika wie, z której strony posmarowana jest kromka chleba, nikt i nic jej nie złamie. Jeśli zajdzie potrzeba, przysięgnie na Nowy i na Stary Testament, a nawet na *Kapitał* Marksa, że był jej skorumpowanym kochankiem.
- Ale to nieprawda.
- Nie ma prawdy absolutnej. Istnieje tylko prawda, którą można udowodnić w sądzie. Każdy, kto przewertuje stare niemieckie protokoły śledztwa, znajdzie w nich wystarczającą ilość dowodów, aby założyć ci stryczek na szyję. Szpiegostwo i inne bzdury to tylko dodatek. Najistotniejsza jest identyfikacja oskarżonego, a ta jest bardzo prosta, bo w dokumentach nie zmieniono niczego, oprócz podmiany fotografii. Teraz zamiast fizjonomii Rudolfa Nowaka figuruje w nich fizjonomia Liebmana.
- Zapadła dłuższa chwila milczenia.
- Liebmana? Nic wiem. kto to taki.
- Radzę, abyś sobie szybko przypomniął.
- Nie mam pojęcia, o czym mówisz... Kiedy się dowiedziałeś?
- Wiedziałem zawsze. Ścisłej mówiąc, od momentu naszego spotkania w kawiarni. Było to krótko po twoim przyjeździe do Wrocławia. Pamiętasz? Powiedziałeś mi wówczas: „Przepraszam pana, ale to pomyłka” i poszedłeś sobie jakby nigdy nic.
- Nie. Powiedziałem wtedy: „Pan mnie myli z kimś innym”.
- Masz świetną pamięć.
- Chętnie wymazałbym z niej niektóre wspomnienia... A więc obaj wiedzieliśmy i obaj udawaliśmy, że nie wiemy. Moje motywy były jasne. Ale dlaczego ty?

– Wszystko w swoim czasie – zażartował Gedalia. – Przyjdzie dzień, a dowiesz się wszystkiego. Na razie przemyśl dokładnie własne położenie. Chcesz żyć, prawda? Gotów jesteś zapłacić za to życie każdą cenę, prawda? Nie wnikajmy w przyczyny, które skłoniły cię do zmiany tożsamości. Mogę się ich tylko domyślać. Jak by nie było, nadeszła chwila, aby powrócić do tej prawdziwej. To jedyna droga ucieczki przed katem.

Liebman pokręcił głową przecząco.

– Nie mogę tego zrobić. Zbyt długo walczyłem, aby zabić moją żydowską przeszłość... Sam nie wiem, co jest gorsze...

– W dniu odnowienia procesu poprosisz o głos i powiesz: nastąpiła tragiczna pomyłka. Nazywam się Liebman i jestem Żydem.

– Nie przemogę się.

– Oczywiście, że się przemożesz. Poproś Emila Butera o radę. On będzie już wiedział, jak poprowadzić dalej sprawę. I pamiętaj, że stoję przy tobie murem.

Liebman wyciągnął do Gedalii Chajesa obie drżące dłonie. Były zimne jak ręce trupa.

Rozdział jedenasty

REKA REKĘ MYJE

Sen był niezwykle męczący.

Liebman zawsze śnił. Będąc dzieckiem, skarżył się, że piękne sny ulatują, gdy mama budzi go rano, aby wyprawić do szkoły. Po przebudzeniu usiłował zatrzymać je jeszcze przez chwilę za szczelnie zaciśniętymi powiekami. Łudził się, że w ten sposób nie pozwoli im umknąć. Ale sny zawsze go przechytrzały i rozplywały się niczym poranna mgiełka. Wiele lat później, gdy mieszkał już w Warszawie, znajomy lekarz psychiatra powiedział mu, że jedynym sposobem na zachowanie snu jest zapisanie jego treści natychmiast po przebudzeniu, nim codzienne sprawy przepłoszą go z szarych komórek mózgu. Ale i ten sposób nie zawsze był skuteczny. Nawet podczas tych krótkich sekund dzielących obudzenie się od sięgnięcia po wieczne pióro, sny znów pierzchały w nicość.

Prawdę mówiąc, Liebmanowi wcale nie chodziło o treść utraconych nocnych marzeń. Złościła go utrata kontroli nad własną podświadomością. Uczucie dyskomfortu psychicznego wzmoгло się podczas lat spędzonych w hitlerowskich obozach koncentracyjnych, kiedy to samokontrola często decydowała o życiu lub śmierci. Jednym nieprzemyślanym gestem mógł ściągnąć na siebie uwagę esesmana lub kapo. Więzień, który chciał przeżyć, musiał mieć się na baczności dwadzieścia cztery godziny na dobę, nawet podczas snu. Od chwili gdy Konstany wywabił go podstępem z dyrektorskiego biura, pragnienie absolutnej samokontroli przekształciło się niemal w obsesję. Człowiek, który nie panował nad swoimi myślami, nawet we śnie, wydawał mu się człowiekiem mniej wartościowym.

W tajemnicy przed ojcem, matka trzymała, ukrytą w szafce z wiktuałami, wytartą od częstego używania książeczkę. Izaak pamiętał tytuł: *Sennik egipski*. Tata uważał ją za zbiór pogańskich przesądów, ale mama często do niej zaglądała, szukając rozwiązania tajemnicy snów. Rodzice już nie żyli, a *Sennik egipski* spłonął zapewne z całym dobytkiem, ale nawet gdyby go odziedziczył, wątpliwe, czy znalazłby w nim wytłumaczenie snu, który go nękał ostatniej nocy:

On, ubrany jak za czasów studiów na Politechnice, wraz z nim przyjaciel, bez twarzy i bez znaków szczególnych umożliwiających rozpoznanie, uciekają przed niesprecyzowanym niebezpieczeństwem. Obaj biegną, ciężko dysząc, wzdłuż bruzd przeoranego pola. Liebman potyka się, przewraca, wstaje, biegnie i znów się potyka. Przyjaciel wyprzedza go znacznie. Liebman woła, żeby zaczekał na niego, ale jest to nieme wołanie, słowa utkwiły w krtani, płucem brak powietrza, przyjaciel ucieka, nie odwraca się, nie zatrzymuje. Przed nimi pojawia się biały kłęb, ni to wata ni to chmura, przyjaciel nie jest już przyjacielem, nie wyciąga pomocnej dłoni, za sekundę, za dwie, zniknie w mglistym obłoku. Liebman przystaje, wyczerpany do cna, ale nieokreślone niebezpieczeństwo dyszy w kark, więc znów się zrywa do biegu, ostatnimi siłami chroni się za białą zasłoną, pada na ziemię i traci

przytomność. Gdy otwiera oczy, nie ma w pobliżu nikogo, chmura przekształca się w jasny, wysoki mur. To ściana jego celi.

Wczoraj, po rozmowie z Chajesem, długo rozmyślał nad swoim nowym położeniem. Czy rzeczywiście nadszedł czas, aby zdjęć z twarzy maskę i stanąć przed światem taki, jakim był kiedyś? Istnieje tysiąc dróg prowadzących do śmierci, ale tylko jedna, wąska ścieżka, która wiedzie ku życiu. Jaką jednak wartość ma życie, od którego uciekł, którego nie chciał, które uznał za mierne? Tyle wysiłku włożył, aby raz na zawsze odciąć korzenie, które, wierzył w to głęboko, były niczym gałęzie wierzby płaczącej, skazujące na egzystencję ze spuszczoną głową. Tyle wysiłku i wszystko na nic? Wszystko tylko po to, by przyznać się do porażki? Ojciec zwykł mawiać, że człowiek bez korzeni, podobnie jak drzewo, skazany jest na powolne umieranie. Zawsze buntował się przeciw takim stwierdzeniom. Uważał, że korzenie człowieka myślącego tkwią w jego mózgu. Siła ludzka wyrasta z umysłu, ze zdolności myślenia, a nie z miejsca, w którym wyrósł. Zamiast wbijać wzrok w ziemię, powinniśmy spoglądać daleko w przód. Słyszysz mnie, ojcze?

Z półmroku celi – żarówkę pod sufitem można było zapalać i gasić tylko z zewnątrz – wyłoniła się postać ojca. Osobą, z którą identyfikował się w dzieciństwie, była matka. Dlaczego więc teraz zwracał się do swojego rodzica? Chyba dlatego, że religijny ojciec zwykł przypominać, iż według ludowej żydowskiej tradycji, podczas snu Bóg zabiera do siebie duszę ludzką i zwraca ją do ciała w chwili przebudzenia. Co rano słyszał głos ojca modlącego się w przyległym pokoju: *Dziękuję ci, Panie, Królu wszelkiego stworzenia, że w łasce Twojej nieskończonej przywróciłeś mi duszę; głęboka jest moja wiara.* Słowa modlitwy odbijały się echem od czterech ścian więziennej celi, trochę przytłumione, jakby nadchodzące z daleka, z odrzuconej przeszłości, żywy symbol judaizmu, który pozostawił na zawsze za sobą jak zbędny balast, jakiego trzeba się było pozbyć, aby wspiąć się wyżej. Czy może znów nałożyć go na swoje zmęczone barki, przyznając, że wszystko, co mu się zdarzyło, jest karą za to, że wyrzekł się swoich rodziców, swojego pochodzenia, swojego narodu? Zrzucić z siebie obcą skórę, jak wąż?

W żaden sposób nie potrafił ustalić chwili, w której podjął decyzję. Wiedział tylko, że nie narodziła się spontanicznie. Żyła w nim jak larwa, czekająca na moment przeobrażenia. A może jak nieuleczalny nowotwór, niszczący tkankę oporu. O drugiej po północy zaczął walić pięściami w drzwi. Wystraszony strażnik pojawił się natychmiast. Przełożeni nałożyli na niego odpowiedzialność za życie więźnia. Liebman zażądał widzenia z mecenasem Buterem. Nie, nie rano, teraz. Strażnik przekazał dowódcy dziwne życzenie aresztanta. Szef UB wydał wyraźne polecenie, aby umożliwić oskarżonemu widzenia z obrońcą o każdej porze dnia i nocy. Polecenie figurowało w dzienniku dyżurnych oficerów. W ciągu kilku minut połączono się z mieszkaniem adwokata.

Buterowie obchodzili tego dnia rocznicę ślubu. Część gości wciąż jeszcze siedziała przy suto zastawionym stole. Buterowa знаła wszystkie możliwe źródła zaopatrzenia na czarnym rynku. Sekretarz Komitetu Wojewódzkiego kilkakrotnie proponował Buterom przywilej korzystania z partyjnego konsumu, lecz Emil Buter grzecznie odmówił. Nie chciał zbyt intymnych stosunków z miejscowymi kacykami. Pieniądzy miał w bród, nie potrzebował grzeczności, nie chciał się uzależniać. Wiedział doskonale, że niczego nie dostaje się za darmo.

– Przepraszam, ale muszę wyjść. Sprawa niecierpiąca zwłoki – usprawiedliwił się. Żona była oburzona.

– Zawsze wiedziałam, że nie ożeniłeś się ze mną, tylko z adwokacką profesją. Ale teraz, po nocy?

– Nie rozchodźcie się – prosił Buter zebranych. – Wrócę najpóźniej w ciągu godziny – zapewnił.

Nie wrócił do białego rana.

Było kilka minut przed trzecią, gdy wprowadzono go do celi. Liebman, blady i wyraźnie spięty, stał oparty plecami o ścianę.

– Co się stało? – zapytał Buter, stawiając grubo wypchaną teczkę na betonowej podłodze. Przed chwilą dowódca zmiany sprawdzał jej zawartość, ale nie znalazł nic podejrzanego. Same papiery i notesy.

– Proszę usiąść i wysłuchać, co mam do powiedzenia.

Buter usiadł na skraju zasłanej pryczy i przez trzy godziny słuchał najbardziej fascynującej historii życia, jaką kiedykolwiek ktokolwiek mu opowiedział. Nie przerywał Liebmanowi, nie wtrącał swoich uwag ani doznań i nie zadawał pytań aż do końca długiego monologu. Odezwał się dopiero wówczas, gdy za ostatnim słowem Liebmana była już tylko cisza:

– Jestem ateistą. W moim pojęciu niebo to tylko atmosfera otaczająca kulę ziemską. Marks powiedział, że religia to opium dla ludu, i nadal sądzę, iż miał stuprocentową rację. A jednak po tym, co usłyszałem, trudno mi nie pomyśleć, że czasami jakaś tajemnicza siła wskazuje człowiekowi właściwą chwilę właściwego kroku.

Buter zamilkł, ale Liebman wyczytał w jego oczach nieme pytanie.

– Chciałbym panu opowiedzieć coś jeszcze. Ma pan cierpliwość?

– Cierpliwość to kwintesencja mojego zawodu.

– Maria, mam na myśli Marię Kot, była u pana w kancelarii, może pan pamięta.

– Pamiętam.

– Otóż Maria była zaprzyjaźniona z zakonnikiem. Karmelita bosy. Ojciec Daniel. Zaraz po wojnie ukończył seminarium duchowne w Krakowie. Nie wiem, jak się spotkali i gdzie opowiedział jej historię swojego życia. Daniel urodził się w Zadziewie koło Żywca jako Oswald Rufeisen. Pochodził z pobożnej, żydowskiej rodziny. Do dzisiaj ma brata, pejsatego Żyda, który żyje gdzieś w Izraelu. Ten szczegół nie ma większego znaczenia, wspominałem go tylko tak sobie, na marginesie. Istotne jest, że Oswald Rufeisen uciekł przed Niemcami na Kresy i w roku czterdziestym drugim znalazł się w małym miasteczku, blisko dawnej granicy z Białorusią. Do szkoły chodził w Bielsku-Białej, na Pogórze śląskim, świetnie więc mówił po niemiecku. Hitlerowcy nie podejrzewali, że jest Żydem, i zatrudnili go jako tłumacza w miejscowym posterunku żandarmerii... Słucha pan?...

– Słucham. Ale nie rozumiem, jaki to ma związek...

– Zaraz pan pojmie, do czego zmierzam. Pewnego dnia Daniel dowiedział się, że Niemcy mają zamiar zlikwidować miasteczkowe getto. Sumienie nie pozwoliło mu siedzieć bezczynnie. Natychmiast zawiadomił przewodniczącego lokalnej gminy żydowskiej, radził, aby wszyscy uciekli do pobliskich lasów, pełnych partyzantów Armii Ludowej. Ale zarząd gminy nie chciał mu uwierzyć. Wiadomości o likwidacji dzielnic żydowskich w różnych miejscowościach przechodziły z ust do ust, jednak rozmówcy Rufeisena byli przekonani, że w ich miasteczku to się nigdy nie zdarzy. Nadzieja jest matką głupich. Podejrzewając prowokację, ktoś z zarządu gminy udał się do komendanta żandarmerii ze skargą, iż jego tłumacz usiłuje siać panikę w miasteczku. Nazistowski oficer wezwał do siebie Daniela i zażądał wyjaśnień. Kazał mu je spisać w ciągu pół godziny. Daniel wykorzystał ten czas na ucieczkę. Opowiadał o tym Marii, a Maria relacjonowała mi tę niesamowitą historię podczas jednej z naszych wieczornych pogawędek. Skracając długie opowiadanie, powiem tylko, że żandarmi puścili się za nim w pogoń i że znalazł schronienie w stogu siana. Z daleka słyszał nawoływania Niemców i szczeranie psów. Wówczas, mimo iż był człowiekiem całkowicie świeckim, zaczął się modlić, jak to czynili jego pobożni rodzice i poprzysiągł, że jeśli ujdzie z życiem, uwierzy w istnienie Boga. Psy go nie wywęszyły, o zmroku żandarmi zrezygnowali z dalszego pościgu. Rufeisen zapukał do bramy pobliskiego katolickiego klasztoru. Prosił o nocleg, siostry zmartwychwstanki przechowały go przez kilka miesięcy. Ujrzał w tym palec Boży.

– Prosto z nieba – zaśmiał się Buter ironicznie. Liebman nie odniósł się do złośliwej uwagi adwokata.

– Wkrótce potem przyjął chrzest i wstąpił do zakonu karmelitów bosych. Jego marzeniem była emigracja do Izraela. Chciał nawracać Żydów²⁶. Nigdy nie wypierał się żydowskiego pochodzenia, zawsze przypominał, że przecież Matka Boska także była Żydówką... Chciał pan wiedzieć, po co ta długa tyrada. Wie pan, często zadawałem sobie pytanie, dlaczego Maria uznała za stosowne, aby mi to wszystko opowiedzieć i czy nie kryła się za tym jakaś utajona intencja. Może w głębi serca wiedziała, lecz nie chciała się do tego otwarcie przyznać...

– Do czego? Powiedźcie to prosto z mostu: podejrzewała, że jesteście Żydem.

– Nigdy nie uczyniła na ten temat żadnej aluzji.

– Zaczyna być późno – rzekł adwokat, lekko zniecierpliwiony. – Czy możecie dojść do sedna sprawy?

– Chwilę cierpliwości, już kończę. Powiedziałem panu, jak w pociągu repatriantów otwarłem plecak Rudolfa Nowaka i jak stwierdziłem, że jego dokumenty wypisz-wymaluj pasują do mojej osoby. Ten sam wiek, ten sam zawód. Duchowo gotów byłem do zmiany tożsamości, jak dojrzałe jabłko do spadnięcia z drzewa. Zniknięcie Nowaka, ten jego plecak, te jego papiery, wszystko razem stanowiło wyraźny znak z nieba. Z tego nieba, które jak pan sądzi, jest tylko niebieską atmosferą.

– Zrozumiałem, że nie rozumiem niczego – zachnął się Buter. – Mimo to nie wątpię w prawdziwość relacji. Cała historia jest tak nieprawdopodobna, że nikt nie mógłby jej wyssać z palca. Nie wierzę w znaki boże, ani waszego Daniela, ani wasze własne, ale dlaczego nie opowiedzieliście mi tego wszystkiego zaraz na początku? Po co, do jasnej cholery, pocilem się nad przygotowaniem mowy obrończej opartej na kruchych, prawnych podstawach? Już podczas pierwszej rozmowy ostrzegłem was, że jeśli wyprowadzicie mnie w pole, będziecie musieli szukać innego obrońcy. Pamiętacie, Nowak?

– Nie nazywam się Nowak. Moje nazwisko brzmi Liebman. Izaak Liebman.

– Przepraszam, muszę się do tego przyzwyczaić.

– Ja także... To znaczy, że mimo wszystko nie rezygnuje pan z obrony?

– Rozliczymy się, jak już będziecie na wolności... Wyobrażam sobie minę Czerniakowskiego, gdy rzucę mu tę bombę pod nogi. A szef UB? Kulawy pająk dostanie zawału. Tygodniami snuł pajęczynę, a teraz pojawia się Buter i rozdzierają na strzępy. Tyle tylko, że...

– Że co?

– Że sąd to między bajki włoży, jeśli nie udowodnimy prawdy. Każde zdanie musi być oparte na dowodach. Na żelaznych, takich nie do obalenia.

– Dla mnie trudne było jedynie podjęcie decyzji. Dowodów mi nie brak.

Buter wy dobył z teczki notes i wieczne pióro.

– Dostałem je dzisiaj w prezencie od żony – powiedział, pokazując nowego pelikana. – Prosiła, aby pierwszą rzeczą zapisaną tym piórem była data ślubu, bo zawsze ją zapominam. Ale nie będzie nieszczęścia, jeśli zaczniemy od czegoś innego. A więc: kogo wzywamy na świadków?

– Trzeba odnaleźć portiera z hotelu Pod Pocztą w Bielsku. Spędziłem tam pierwszą noc w ojczyźnie i zarejestrowałem się pod prawdziwym nazwiskiem. Nawet zostawiłem u niego zaświadczenie zwolnienia z Mauthausen, wystawione przez Amerykanów. Jest niemal pewne, że mnie pamięta i łatwo rozpozna.

– Dalej.

²⁶ Ojciec Daniel wyjechał do Izraela w roku 1959 i zamieszkał w klasztorze „Stella Maris” na Górze Karmel. W 1965 roku założył przy karmelitańskiej parafii w Hajfie gminę chrześcijańską z językiem hebrajskim w liturgii – głównie dla chrześcijan z małżeństw mieszanych z Europy Wschodniej. Zmarł w 1998 roku.

– Karol Bielski. W Austrii, w drodze do domu, jechaliśmy tym samym pociągiem, w tym samym przedziale. Poznał mnie jako Izaaka Liebmana, ale przy rozstaniu byłem już Rudolfem Nowakiem. Był świadkiem mojej metamorfozy, obserwował, jak oszukałem urzędnika w Urzędzie Repatriacyjnym w Dziedzicach. Dał mi adres siostry, na wypadek gdybym chciał go kiedyś odnaleźć. Dziwny typ, ale robił wrażenie przyzwoitego człowieka. Świsstek z jej adresem znajdzie pan między kartkami tomiku wierszy Rilkego, na najwyższej półce szafy bibliotecznej w mieszkaniu Marii Kot. Ponadto jest jeszcze ktoś, kto może mnie bez trudu zidentyfikować: niejaki Ribeau. Niech pana nie myli francuskie brzmienie nazwiska. Naprawdę nazywa się Rabinowicz. To stary znajomy rodziców, z czasów, gdy mieszkaliśmy w Chełmie Lubelskim. Niedawno spotkaliśmy się na ulicy w Warszawie. A jeśli wszystko to nie wystarczy, mamy jeszcze Gedalię Chajesa.

– Przepraszam? – zdumiał się adwokat Buter.

– Proszę się nie dziwić. Studiowaliśmy razem na Politechnice Lwowskiej. Nie umiem wyjaśnić, dlaczego mnie nie zdemaskował, bo od pierwszego dnia mojej pracy w Czerwonym Sztandarze wiedział, kim jestem naprawdę.

– Chajes prosił, abym się podjął waszej obrony, ale nie wspomniał o waszym pochodzeniu. To najlepszy świadek, jakiego możemy mieć, skoro jednak przemilczał ten najistotniejszy fakt, obawiam się, że odmówi świadczenia w sądzie.

– Nie odmówi.

– Skąd ta pewność?

– Chajes był tu przed panem. To on mnie namawiał do tej rozmowy. Powiedział wyraźnie, że stoi przy mnie murem.

– Zwrócę się do niego natychmiast – zdecydował Buter, zerknął na zegarek i dodał: – Natychmiast, to znaczy o bardziej ludzkiej godzinie. Po ósmej... Jeśli potwierdzi wasze przypuszczenie, Nowak, przewiduję trzęsienie ziemi.

– Tylko nie Nowak – poprawił Liebman, ale Buter już nie dosłyszał uwagi. Myśli adwokata pracowały na najwyższych obrotach. Stał wobec wyzwania, które wymagać będzie użycia całego, wieloletniego doświadczenia. Znał przecież środowisko, z jakim przyjdzie mu się zmierzyć. Powolnym ruchem oczu badał ściany celi. Było bardziej niż prawdopodobne, że zainstalowano w nich mikrofony. Niewykluczone, że w tej właśnie chwili umyślny na motocyklu pędzi z nagranyimi taśmami do szefa UB. Wprawdzie szef obiecał, że nie tknie świadków obrony, ale na ile mógł polegać na przyrzeczeniach tego rodzaju? W obliczu przegranej wszystkie chwytły były dozwolone. Wolnoamerykanka. Przeciwnicy nie zawahają się sięgnąć po najbrudniejsze metody, aby ratować skórę. Każdy z nich wiedział, że uniewinnienie oskarżonego zakończy raz na zawsze ich wspaniałe kariery. Lecz Emil Buter czuł, iż trzyma w ręku karty nie do przebiccia. Przeszedł go mocny dreszcz emocji. Udowodni, że sprawiedliwość jest sprawiedliwością, nawet gdy jest to nie na rękę władzy. Osiągnie coś, czego nie udało się osiągnąć żadnemu obrońcy w krajach demokracji ludowej.

– Musimy zyskać trochę czasu – oznajmił na głos. – Jutro rano zgłosicie naczelnikowi więzienia, że doznaliście załamania nerwowego. Nikt z nich nie zaryzykuje prowadzenia sprawy, gdy na ławie oskarżonych siedzi wariat. Możecie tupać nogami, wybałuszać oczy, krzyczeć, płakać, śmiać się głupkowato. Po tym, co zdarzyło się w sali sądowej, wszystko będzie wyglądało wiarygodnie. A nawet jeśli zorientują się, że udajecie, nie zastosują siły. W razie czego zagrożę wezwaniem lekarza psychiatry. To jest proces przy drzwiach otwartych, Czerniakowski i spółka mogą zgrzytać zębami, ale muszą przestrzegać zasad gry, nawet jeśli staną im ością w gardle. A gdy wznowią postępowanie, pokażemy im, gdzie raki zimują.

Po wyjściu adwokata Izaak Liebman usiłował zebrać rozproszone myśli. Wciąż jeszcze trudno mu było pogodzić się z koniecznością powrotu do punktu wyjścia. Było to niemal tak, jak gdyby znów jechał pociągiem, w którym spotkał Rudolfa Nowaka, tyle że tym razem w przeciwnym kierunku. A jak zaliczyć w bilansie życia minione lata, te, które miały mu

zapewnić beztrudną egzystencję? Czy powinien je spisać na straty? A sen, który dręczył go wieczorem? Jak go zrozumieć? Kim jest przyjaciel, który go zdradził, znikając w białej mgle?...

Zatopiony w rozważaniach, tak odciął się od wszystkiego, co go otaczało, iż niewiele brakowało, a przeoczyłby zmianę warty. Dopiero hałaśliwa rozmowa w korytarzu, biegnącym wzdłuż wszystkich cel na piętrze, przywróciła go rzeczywistości. Zawsze starał się być opanowany, więc także teraz nie bardzo wiedział, jak udawać, że jest w szoku. Wałąc pięściami w żelazne drzwi, zaczął krzyczeć:

– Pomocy! Pomocy! Jestem sparaliżowany!

Było to wołanie dziecinnie naiwne, bo jak sparaliżowany człowiek mógł z całej siły łomotać w drzwi. Ale dyżurni strażnicy byli tak przerażeni, iż jawna sprzeczność uszła ich uwadze. „Tylko tego nam brakuje, żeby wykitował, zanim go powieszą” – powiedział młodszy rangą i puścił się biegiem do celi Nowaka. Dopiero niedawno przyjęto go do służby więziennej i wciąż jeszcze dźwięczały mu w uszach ostrzegawcze słowa dowódcy zmiany: „Pamiętaj, że życie więźnia stanowi własność państwa”. Zdarzało się, iż zrozpaczeni aresztanci usiłowali popełnić samobójstwo. Dowódca zmiany tłumaczył nowemu zaciągowi, że dopuszczenie do tego, aby więzień targnął się na własne życie, równoznaczne jest z udzieleniem mu pomocy w ucieczce, „bo przecież przedwczesna śmierć nie jest niczym innym, jak ucieczką przed zasłużoną karą”. Dlatego młody funkcjonariusz odetchnął z ulgą, gdy dziesięć minut później więzienny lekarz, wstrzyknąwszy Liebmanowi środek uspokajający, oznajmił:

– To nic groźnego. Po prostu puściły mu nerwy.

– Wszyscy potrzebujemy kilku dni odpoczynku – skonstatował szef UB, gdy doniesiono mu o załamaniu nerwowym Rudolfa Nowaka. W gruncie rzeczy przewidział taką ewentualność, gdy ze swojego punktu obserwacyjnego w Domu Ludowym widział milicjantów wyciągających oskarżonego z sali rozpraw, szalejącego i wykrzykującego coś o kłamstwach i oszustwach. Poranny telefon naczelnika więzienia nie wyrwał go z łóżka. Pół godziny wcześniej obudził go Konstanty z taśmami podsłuchu. Szef UB nie miał w domu magnetofonu, polecił mu więc zawieźć taśmy do biura i sporządzić transkrypcję treści. Sam szybko narzucił skózaną kurtkę, pokuśtykał po schodach do samochodu, który czekał przed domem, i rzucił krótko kierowcy:

– Do prokuratury.

Była siódma trzydzieści rano, Piotr Czerniakowski był o tak wczesnej porze w biurze, aby uporządkować dokumenty potrzebne w kolejnym dniu rozprawy. Gdy szef UB wpadł do jego gabinetu, nie pukając, podniósł głowę znad stosu teczek i powiedział:

– Już wiem.

– Jak się ma?

– Posłałem do niego doktora Lunza z lecznicy rządowej. Nie można przecież polegać na opinii tego konowała ze służby więziennej. Dzwonił przed chwilą, że Nowak cierpi przypuszczalnie na jakiś szok nerwowy, ale ostateczną diagnozę będzie mógł postawić dopiero wówczas, gdy przestanie działać zastrzyk valium. Telefonowałem także do Gonta, prosiłem, aby natychmiast przyjechał. Wiecie, co mi odpowiedział ten kretyń?

– Że petentów przyjmuje w swoim biurze.

– Coś w tym rodzaju. Wyjaśnił mi grzecznie, że istnieje hierarchia i że nie jest przyjęte, aby sędziowie meldowali się u prokuratorów. Nie jestem pewien, czy ten awans do Najwyższego był takim dobrym pomysłem.

– Trzasnęliście mu słuchawką?

– Jest nam potrzebny. Zgodziłem się na spotkanie u niego.

– W Domu Ludowym?

– Nie. Tam jest zbyt wiele oczu. Spotkamy się w budynku sądów.

– Kiedy?

Czerniakowski spojrzął na zegarek.

– Teraz.

– Rozsądne postanowienie. Pojadę z wami. Mój wóz czeka na dole.

Prokurator zdjął wieszaka kapelusz i płaszcz.

– Winda? – spytał. Wiedział, że szefowi UB dokuczają zniekształcona noga.

– Szkoda czasu. Po schodach – odparł szef i nie oglądając się, spiesznym krokiem ruszył w drogę.

Była ósma czterdzieści pięć, gdy trzech mężczyzn zasiedli w małym pokoju konferencyjnym Sądu Okręgowego. Sekretarka przyniosła kawę i wodę mineralną, po czym ulotniła się dyskretnie. Czerniakowski zrelacjonował wydarzenia ostatnich kilku godzin i zaproponował zarządzenie trzydniowej przerwy w procesie. Ksawery Gont nie wyraził sprzeciwu.

– To umożliwi mi wypolerowanie sentencji wyroku na wysoki połysk – ucieszył się.

– Byłem przekonany, że jest od dawna gotowa – zauważył Czerniakowski z nieukrywanym sarkazmem.

– Wam to łatwo gadać – obruszył się sędzia. – Wygłosicie swoją mowę pogrzebową, i po krzyku. Ale cała odpowiedzialność spada na moje barki. Muszę ustosunkować się do aktu oskarżenia, do wypowiedzi oskarżonego i świadków, podsumować wszystko jak dobry księgowy, bo w sądzie cztery plus cztery zawsze musi dać osiem. I wciąż jeszcze istnieje możliwość, że Buter wyskoczy z jakimś nieoczekiwanym świadkiem, tak jak wyście to zrobili z Moniką Wrzos. Stworzyliśmy precedens. Nie mogę stosować innej miarki dla oskarżenia, a innej dla obrony.

– Nie będzie dodatkowych świadków obrony – oznajmił szef UB stanowczo.

– Skąd ta pewność, jeśli wolno zapytać?

– Powiedziałem, że nie będzie. To znaczy, że nie będzie.

Gont nie wydawał się przekonany.

– Buter to szczwany lis. Fakt, że jest członkiem partii, nie powstrzyma go od zastosowania adwokackich sztuczek. Obawiam się, iż nie docenicie jego możliwości.

– Wydaje mi się, że to wy, towarzyszu Gont, nie docenicie moich możliwości – powiedział szef UB. W jego głosie wyczuwalna była obraza, a zarazem pogrożka.

– Przepraszam – wycofał się szybko Ksawery Gont. – W takim przypadku sentencja wyroku będzie gotowa w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Czerniakowski przytaknął na znak zgody. Wiedział, że sędzia zechce uzgodnić ostateczną jej wersję z ministrem sprawiedliwości. Musi zabezpieczyć sobie tyły. Wie doskonale, że w razie jakiegś wpadki ani prokurator, ani szef Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa, nie wyciągną do niego pomocnej ręki.

– Cieszę się, że jesteśmy zgodni – podsumował obojętnie szef UB. – Zawiadomię Butera i generała Brozę, że dajemy im trzy dni wypoczynku. Pozostaje tylko kwestia odpowiedniego komunikatu do prasy. Ten obowiązek spada na was, towarzyszu Gont. Z racji urzędu.

– Jak to przedstawimy zagranicznej prasie? – zakłopotał się sędzia.

– Co byście powiedzieli na opublikowanie prawdy: nerwy oskarżonego nie wytrzymały napięcia, sąd postanowił umożliwić mu powrót do zdrowia. A może wolicie inny tekst. Na przykład, że sędzia ma rozstrój żołądka? – zakpił Czerniakowski. Gont nie odczytał kpiny i powiedział z pełną powagą:

– Nie chorowałem od dziesięciu lat.

– Przestańcie zachowywać się jak dzieci – rzekł szef UB, podnosząc się z krzesła. Potem spytał prokuratora:

- Kiedy dostaniecie ostateczną diagnozę Lunza?
- Zastrzyk przestanie działać dopiero późnym wieczorem. Proponuję ponowne spotkanie o godzinie dziewiątej.
- Jeśli o mnie chodzi, to nie ma problemu – pospieszył zapewnić sędzia Gont. SzeF UB położył dłoń na klamce drzwi.
- Przykro mi, ale będę zajęty.
- To może o dziesiątej?
- Będę zajęty całą noc. Także jutro w ciągu dnia będę nieosiągalny. Polegam na was, towarzyszu Czerniakowski, że postawicie nam Nowaka na nogi tak szybko, jak tylko można. Do zobaczenia pojutrze, towarzysze.
- Nigdy nie odpoczywacie, co? – Prokurator usiłował nadać swojej uwadze odrobinę humoru, ale nie udało mu się ukryć szczypty zaniepokojenia. SzeF UB nie obraził się. W istocie rzeczy, lubił uwagi tego rodzaju. Lubił trzymać ludzi w niepewności.

Piotr Czerniakowski był coraz bardziej zaniepokojony. Siódmym zmysłem wyczuwał nowe kłopoty. Natychmiast po powrocie do prokuratury osobiście wykręcił numer zespołu adwokackiego i poprosił do telefonu towarzysza Butera. Ale mecenasa nie było w biurze, a jego aplikant nie potrafił wyjaśnić, kiedy się pojawi. „Przed chwilą dzwoniła jego żona, zawiadamiając, że wyjechał za miasto... Nie, nie powiedziała dokąd”.

Na pociąg pospieszny z Wrocławia przez Opole do Katowic można było wykupić miejscówkę. Emil Buter wykupił swoją w kasie na Dworcu Głównym w drodze z więzienia do domu. Gdy podenerwowany prokurator próbował nawiązać z nim kontakt, siedział już od dwóch godzin w przedziale pierwszej klasy. Był zmęczony po nieprzespanej nocy, więc usadowił się w kącie pluszowej ławki i zasłoniwszy twarz płachtą „Trybuny Robotniczej”, spokojnie drzemał.

Zespoły adwokackie nie umożliwiały swoim członkom tak wygodnych podróży, ale Buter nie był zależny od kasjera spółdzielni. Procesy kryminalne i sprawy rozwodowe zapewniały mu stały, pokaźny dochód. Spekulanci i paskarze, zdradzani mężowie i żadne zemsty kobiety, cała ta klientela nie szczędziła grosza na dobrego adwokata. Wprawdzie był uczciwym komunistą, ale nie aż tak uczciwym, aby deklarować te zarobki władzom podatkowym. Pieniądze przechodziły z ręki do ręki, bez pokwitowania i bez oficjalnego rachunku. On ze swej strony nigdy nie żałował grosza na dom i na własną wygodę. W wielkich procesach, a takim był proces Rudolfa Nowaka, prowadził obronę za darmo, dla osobistej zawodowej satysfakcji.

Przed wyjazdem połączył się telefonicznie z zaprzyjaźnionym adwokatem w stolicy i prosił o zebranie wszelkiej możliwej informacji o Bernardzie Ribeau. Podróż opracował szczegółowo, dbając o maksymalne wykorzystanie czasu. Z Katowic miał dobre połączenie do Bielska. Nie żywił wielkiej nadziei na odnalezienie portiera hotelu Pod Pocztą, ale nie skreślił tej możliwości z planu akcji. Zaraz po tym odszuka Karola Bielskiego. Według relacji Liebmana, Bielski był człowiekiem o sprecyzowanym spojrzeniu na świat, uczciwym i nieprzekupnym. Istniejący ustrój oceniał krytycznie. Nie miał żadnych zobowiązań. Jeśli nic się nie zmieniło od czasu wspólnej jazdy z Liebmanem, mógł stać się kluczowym świadkiem. Najważniejsze będzie, myślał sobie Buter, wzmocnić go duchowo i zapewnić mu bezpieczeństwo, nie dopuścić do tego, aby Czerniakowski rozerwał go w sądzie na strzępy. Jeśli wszystko ułoży się pomyślnie, wykupi przedział sypialny z Katowic do Warszawy, w niedzielę rano będzie w stolicy, a nocnym pospiesznym wróci do Wrocławia, z panem Ribeau-Rabinowiczem pod pachę. Gdy w poniedziałek lub wtorek wznowi się przewód sądowy, będzie gotowy do starcia. Buter uśmiechnął się z satysfakcją: wszystko zdaje się iść jak w szwajcarskim zegarku.

Piotr Czerniakowski odłożył słuchawkę telefonu na widełki i przymknął oczy w zamyśleniu. Nie wolno mu było lekceważyć tego, co działo się wokoło. Najpierw dziwne zachowanie szefa Urzędu Bezpieczeństwa, teraz niespodziewany wyjazd adwokata Butera. Buter na pewno nie porzuciłby swojego klienta w najbardziej krytycznym momencie rozprawy. Skoro wyjechał i nie wiadomo kiedy wróci, musiał wiedzieć, że nastąpi przerwa w procesie. Ale skąd wiedział? Kto mógł to przewidzieć kilka godzin z góry? Nie uległo wątpliwości, że ktoś to wszystko starannie zaplanował. Ale kto – i przeciw komu?

Najdziwniejsze w tym wszystko wydawało mu się równoczesne zniknięcie Butera i szefa UB. Czyżby pojechali gdzieś razem, z zamiarem pozostawienia go w niewiedzy? Najgorsze było poczucie niepewności. Zawsze wprowadzało go w stan krańcowego stresu. W takim stanie ducha potrzebna mu była obecność Lali. Tylko ona potrafiła wyzwolić go z napięcia. Instynktownie zbadał, czy drzwi dzielące gabinet od sekretariatu są zamknięte, i wykręcił wewnętrzny numer jej pokoju. Lala natychmiast wyczuła nakazujący ton zaproszenia. „Będę u ciebie za minutę” – zapewniła. Przyjął ją zimnym uśmiechem zaciśniętych ust, który tak dobrze znała z licznych poprzednich spotkań. Wydawało się, że patrzy na nią oczami dzikiego zwierza złapanego w potrzask; takiego, który wszystkimi siłami pragnie przenieść własny ból na kogoś innego. W takich chwilach stawało się jasne, że wszechmogący prokurator, postrach wielu ludzi w województwie, jest w gruncie rzeczy wystraszoną stworzeniem, szukającym ucieczki od własnych problemów. Wszystko inne było tylko maską. Od dnia, gdy uzmysłowiła sobie tę prawdę, fizyczne zbliżenia z Piotrem przestały sprawiać jej przyjemność. Potrzebna jej była przemoc mająca swoje źródło w sile, a nie słabości. Kontynuowała ich stosunki już tylko dla zabezpieczenia kariery, bo wbrew pozorom, to nie Piotr miał nad nią nieograniczoną władzę, lecz odwrotnie.

– Rozbierz się – rozkazał.

– Zwariowałeś. Tutaj? W każdej chwili może ktoś wejść – zaprotestowała, wskazując drzwi.

– Rozbierz się – powtórzył, podszedł do drzwi sekretariatu i przekręcił klucz w zamku.

– Nie możemy poczekać do wieczora?

– Nie będę powtarzał po raz trzeci – warknął.

Lala rozejrzała się wokół skonfundowana. Nigdy nie robili tego w biurze. Zawsze starał się o maksymalne zachowanie dyskrecji. Ale skoro się uparł... Lala zaczęła się pomału rozbierać. Bardzo pomału, wiedziała, że to lubi. Wiedziała też, na co czeka. Gdy ostatnia część garderoby leżała już na podłodze, odwróciła się do niego tyłem. Nie czekając ani sekundy, wtargnął w nią brutalnie. Zaciśnęła zęby, aby w sąsiednim pokoju nie dosłyszeli okrzyku bólu.

W czasie gdy Lala dbała o rozładowanie napięcia Piotra Czerniakowskiego, szef UB był w drodze do Warszawy. Tym razem zabrał ze sobą Konstantego. Konstanty był świetnym kierowcą i nie traktował zbyt poważnie przepisów o ograniczeniu prędkości. Szef Urzędu spieszył się. Ponadto szybkość czarnego citroena – wszystkie Urzędy Bezpieczeństwa dostały ostatnio samochody tej marki – sprawiała mu szczególną przyjemność. Lubił także miękkość siedzenia, wyściełonego włóchatym pluszem. Konstanty ze swej strony delectował się przednim napędem. Wóz trzymał się szosy jak przylepiony do asfaltu. Radzieckie limuzyny robiły większe wrażenie, ale francuski samochód był o niebo sprawniejszy od ciężkich zimów i ziłów partyjnych dygnitarzy. Prawdziwe cacko.

Szef UB wcisnął się mocniej w oparcie siedzenia. Wygoda nigdy nie przytępiła ostrości jego rozumowania. Wręcz przeciwnie. Życie we względny luksusie umożliwiało skupienie wszystkich sił na osiągnięciu wyznaczonych celów. Człowiek nie Iracil czasu i energii na troski o byt materialny. Za oknami samochodu rozciągały się pola mazowieckich równin, chłopcy i dziewczynki sadzili właśnie ziemniaki.

– Uparty jak chłop – mruknął do siebie.

– Mówiliście coś do mnie? – zapytał Konstanty, odwracając się do szefa.

– Nie. Patrzcie przed siebie.

W tajnych dokumentach Urzędu narastała ilość sprawozdań o oporze wieśniaków, sprzeciwiających się zakładaniu spółdzielni produkcyjnych. Byli przywiązani do swego skrawka ziemi, nie chcieli „kołchozów”. Jak tylko skończy z Nowakiem, zabierze się ostrzej do realizacji postanowień Biura Politycznego w tej kwestii. Chłopski upór musi zostać złamany.

Do wczoraj teczkę Rudolfa Nowaka uważał za gotową do definitywnego zamknięcia. Nic nie stało już na drodze do zebrania owoców zwycięstwa. Podśluch w celi pozwoli mu rozprawić się szybko i skutecznie z nowymi świadkami obrony. Ale w kartonowych okładkach, które leżały obok niego, leżała transkrypcja całkiem innego podśluchu. Ta, dla odmiany, zwiastowała możliwe kłopoty. Czytał ją dwukrotnie, a teraz, w pędzącym samochodzie, rozłożył kartki maszynopisu na kolanach i wykuwał na pamięć ich treść:

Ksiądz Wiktor: Maria?

Maria Kot (zaskoczona): Niech będzie pochwalony.

Ksiądz Wiktor: Na wieki wieków, amen. Jest pani sama w domu?

Maria Kot: Tak. Przykro mi, że opuściłam niedzielne nabożeństwo.

Ksiądz Wiktor: I ostatnią spowiedź.

Maria Kot: Wiem, że zbłądziłam.

Ksiądz Wiktor: Bóg jest litościwy. Ale nie w tej sprawie telefonuję. Tym razem chodzi o pana Nowaka.

Maria Kot: Ojciec słyszał na pewno, co się zdarzyło w sądzie. To chyba kara za jego grzechy.

Ksiądz Wiktor: Nowak nie żyje w grzechu, Mario. Grzech jest pani grzechem. Lecz nie mam zamiaru prawić morałów. Sam nie jestem bez grzechu, szatan potrafi opętać także księży. Pocieszam się myślą, że Pan Jezus wybaczył nawet Judaszowi. Nauczmy! nas znaczenia łaski Bożej i wybaczenia. Jeśli chowa pani w sercu ciepłe uczucia dla tego człowieka, może pani uratować jego życie i jego duszę.

Maria Kot: Ojciec przemawia do mnie językiem, którego nie rozumiem.

Ksiądz Wiktor: Zaraz pani zrozumie. Na pewno pamięta pani, że w swoim czasie grzebaliśmy trochę w jego przeszłości. Przyznam, że sprawa ta bardzo mnie absorbowała i po naszej rozmowie kontynuowałem badania. Kilku znajomych księży było bardzo pomocnych. Podejrzywałem, Mario, że zna pani całą prawdę, lecz ukrywają przede mną.

Maria Kot: Nadal nie pojmuję...

Ksiądz Wiktor: Po tym, gdy zwróciła pani uwagę Nowaka na nieściskości w życiorysie, pojechał osobiście do miejsca swego urodzenia. Wiedziała pani o tym?

Maria Kot: Nie wiedziałam.

Ksiądz Wiktor: Fakty są takie: pani towarzysz życia, jeśli wolno mi go tak nazwać, pojawił się w parafii, w której się rzekomo urodził, przedstawił się jako brat Rudolfa Nowaka i prosił o wszystkie możliwe rodzinne dokumenty. Ale Rudolf nigdy nie miał brata. Miejscowy proboszcz przestraszył się, że chcą go wciągnąć w jakiś spisek, albo pułapkę, obiecał odpowiedź w ciągu kilku dni i zwrócił się z prośbą o radę do księdza biskupa. Biskup poinformował mnie o wszystkim i w ten sposób zamknęło się koło. Rudolf Nowak, który mieszka u pani, i Rudolf Nowak z ksiąg parafialnych to dwie różne osoby. Nie mam pojęcia, kim jest naprawdę.

Maria Kot: Obawiam się, że od tej chwili również ja nie wiem.

Ksiądz Wiktor: Zapewne ma swoje powody, aby ukrywać prawdziwą tożsamość. Ale jakiegokolwiek by te przyczyny nie były, wydaje się, że jest niewinnie prześladowanym

człowiekiem. W pani mocy przynieść mu pomoc. Wieczorem położę na bocznym ołtarzu pod figurą świętego Augustyna brązową kopertę bez adresu. Znajdzie pani tam wszystkie dowody, niektóre potwierdzone notarialnie, stwierdzające, że prawdziwy Rudolf Nowak nie wrócił po wojnie do Polski. Obrońca oskarżonego na pewno będzie wiedział, jak zrobić z tych papierów dobry użytek. Jeśli uratują pani przyjaciela od stryczka, może mu pani zdradzić ich pochodzenie. Mam nadzieję, że go to zbliży do prawdziwej wiary i do Kościoła.

Maria Kot: Ksiądz trzymał się niepotrzebnie. Nie przyjdę po te dokumenty.

Ksiądz Wiktor: Czy dobrze zrozumiałem?

Maria Kot: Ojciec dobrze słyszał. Nic mogę tknąć tych papierów.

Ksiądz Wiktor: Mario, chodzi o życie ludzkiej istoty. Czy może mi pani wytłumaczyć dlaczego?

Maria Kot: Obawiam się, że ojciec nie pojmie. Rudolf oszukał cały świat. To jest rachunek między światem a Rudolfem. Ale oszukał także mnie. I tego mu nigdy nie wybaczę.

Ksiądz Wiktor: Czy nie pisał święty Paweł do Koryntian, abyśmy nie sądzili przedwcześnie, dopóki nie przyjdzie Pan, który ujawni zamiary serc?²⁷

Maria Kot: Nie jestem święta, ojczu. Jestem kobietą z krwi i kości.

Ksiądz Wiktor: W takim razie postaram się, aby dokumenty trafiły inną drogą w ręce adwokata. Mario, słyszy mnie pani? Mario! (trzask słuchawki)

Szef UB wrzucił maszynopis do kartonowej teczki. Bawiło go rozgoryczenie Marii. Gdyby знаła całą prawdę, gorycz przekształciłaby się przypuszczalnie w głębokie obrzydzenie. Szef Urzędu wiedział coś, do czego Maria Kot nigdy by się publicznie nie przyznała: nie lubiła Żydów.

Na jego ustach pojawił się uśmiech cienki jak brzytwa. Co wyglądało na pozór jak tani romans z obrażoną damą, stanowić mogło całkiem nowy, niepożądany element. Jeśli ciekawski księżulek nadal będzie grzebał w historii, może wykopać fakty, które absolutnie nie powinny się znaleźć w niepowołanych rękach. Po jednorazowej przygodzie z Julią mógł wyrzucić na niego bezpośrednią presję, ale wówczas trudno byłoby zataić istnienie podsłuchu. Ponadto, przyznawał się do tego niechętnie, lecz otwarcie, „akcja Wiktor” nie przyniosła spodziewanych rezultatów. Podczas narady w Urzędzie jeden z oficerów określił ją mianem pudła. Szef UB zadowolili się określeniem „wypadek przy pracy”. Po nocy spędzonej z księdzem Wiktorem Julia stanowczo odmówiła dalszej współpracy. Albo zakochała się, albo ogarnęły ją nagłe wyrzuty sumienia. Nie była etatową agentką, nie mógł jej zmusić. Zresztą z doświadczenia wiedział, że w tak delikatnych sprawach przymus nigdy nie odnosił skutku. Szef UB traktował ludzi zimno i utylitarnie, kobiecymi uczuciami nie potrafił kierować. Musiał więc znaleźć inną, mniej ryzykowną drogę. Julian Benda nie wybaczał tak łatwo jak Chrystus. Jeśli dojdzie do wniosku, że Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa nie stanął na wysokości zadania, szef długo będzie się spowiadał na czerwonym dywaniku. O odpuszczeniu grzechów nie było mowy. Benda był cholernie pamiętliwy.

W rozmowie w dyrekcji Departamentu, szef Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa przemilczał podsłuch rozmowy księdza z Marią. Natomiast szczegółowo relacjonował przebieg nocnego spotkania Rudolfa Nowaka z obrońcą. Równie szczegółowo przedstawił swój plan działania na najbliższe dwa dni. Proponowana operacja wykraczała poza obszar województwa wrocławskiego i byłaby niewykonalna bez akceptacji wyższej instancji.

Benda wysłuchał go uważnie. Był wyraźnie zadowolony z ostrości spojrzenia swojego podwładnego i z jego zdolności dokonania właściwej analizy sytuacji. Także strona organizacyjna wydawała się bez zarzutu. Z takimi ludźmi można pracować, pomyślał, lecz nie powiedział. Julian Benda był oszczędny w pochwałach, uważał, że mają destrukcyjny wpływ

27 Pierwszy List do Koryntian 4,5.

na ludzi. Nikt nie powinien osiadać na laurach. Ograniczył się więc do jednego krótkiego zdania:

– Życzę szerokiej drogi. – Potem zastrzegł się: – Powiadomię towarzyszy najwyższego szczebla. Jestem przekonany, że nie będzie sprzeciwu.

Naczelnik archiwum w Stołecznej Komendzie MO nie wiedział, czego funkcjonariusze bezpieczeństwa z prowincji będą szukać w piwnicach Pałacu Mostowskich. Rozkaz, jaki otrzymał bezpośrednio z Karowej, gdzie mieściły się biura komendanta głównego Milicji Obywatelskiej, nakazywał umożliwienie przybyłym z Wrocławia wglądu we wszystkie dokumenty dotyczące samobójstwa niejakiej Reginy Nowak. Instrukcja podkreślała wyraźnie, że ma odpowiadać na wszystkie pytania, ale nie patrzeć gościom na ręce. Mogą robić, co chcą. Po raz pierwszy w swojej trzyletniej karierze główny archiwista otrzymał rozkaz z pominięciem pośrednich instancji. Rozmówca, którego nazwisko znał jedynie ze słyszenia, polecił oddać do dyspozycji ludzi z Wrocławia osobny pokój oraz dostarczyć im każdy świstek papieru dotyczący interesującej ich sprawy. Nie trzeba było być filozofem, aby pojąć wagę zalecenia. Gdy szef i Konstany pojawili się w Pałacu Mostowskich, archiwista zaprowadził ich prosto do małej czytelnicy w podziemiach i wskazał zakurzone pudło pod ścianą.

– Znajdziecie tu wszystko, co mamy w tej sprawie – powiedział i wycofał się dyskretnie z pokoju. Szef UB nie uznał za stosowne podziękować. Gdy tylko zamknęły się drzwi, zdjął marynarkę i krawat, podwinął rękawy koszuli, aby ich nie zabrudzić, i rozsiadł się za stołem, jakby od zawsze był tutaj gospodarzem.

O wizycie w milicyjnym archiwum pomyślał zaraz po rozmowie z Moniką Wrzos. Oświadczenie, że nie wierzy w samobójstwo Reginy, wzbudziło w nim pierwsze podejrzenie, iż istnieje związek między nagłą śmiercią tej kobiety a Rudolfem Nowakiem. Nie potrafił skonkretyzować charakteru tego związku, było to bardziej przecucie niż uzasadnione podejrzenie; ale przecucia myliły go bardzo rzadko. Dopiero gdy okazało się, że Regina pożegnała się ze światem dokładnie tego samego dnia, gdy Rudolf przyjechał do Warszawy na spotkanie z Tomaszem Brozą, szef UB postanowił podnieść każdy kamień na drodze, aby znaleźć ukrytego pod nim robaka. Nie życzył sobie jednak, by jakikolwiek okrucieństwo informacji, jeśli w ogóle istniał, dostał się w obce ręce. Nie chciał współników do wiedzy, która mogła okazać się kluczową. Dlatego zamiast wysłać kogoś z wyższych oficerów śledczych, przyjechał sam. Konstany się nie liczył. Mimo że i na nim nie mógł całkowicie polegać, wiedział, iż w tym przypadku nie puści pary z ust.

Konstany wyłożył zawartość pudła na blat stołu. We dwójkę próbowali uporządkować papiery według dat i znaczenia. Znaleźli tam sprawozdanie tajniaków o sposobie bycia Reginy. Nie było datowane, nie można się było zorientować, czy spisano je przed czy po śmierci denatki. Był również protokół przesłuchania sąsiadów, wyniki sekcji zwłok, lekarz-patolog stwierdzał „przypuszczalne samobójstwo”, zdjęcie Reginy na podłodze łazienki, kilka listów znalezionych w kredensie oraz zapis w książce dyżurnego na posterunku. Trudnym do rozszyfrowania pismem dyżurny zanotował, iż doniesiono o znalezieniu martwej Reginy Nowak. Szef UB był wściekły. Dyżurny milicjant zapomniał wspomnieć, kto go o tym zawiadomił. Nie napisał nawet, czy był to anonimowy telefon, czy też informator stawił się w dyżurce osobiście.

– Dziadowska robota – mruknął szef UB pod nosem.

– W mieszkaniu nie brakowało niczego, nie było rabunku, potraktowali ją jak stukniętą w głowę dziwaczkę – zauważył Konstany.

– To nie usprawiedliwia zaniedbań. Wielkie sprawy tkwią w szczegółach. Naucz się tego w każdej milicyjnej szkole... O której godzinie umarła?

Konstany zajrzał do sprawozdania autopsji.

– Przypuszczalnie o szóstej po południu.

Szef UB uderzył pięścią w stół.

– Nowak był zaproszony do opery na siódmą. To znaczy, że miał czas... Wykitowała z zatrucia gazem, zgadza się?

– Tak. Kocioł w łazience przeciekał. Píše tu, że osoba nietrzeźwa mogła tego nie zauważyć. Woda zgasiła palnik, gaz zaczął się ulatniać.

– Posłali fachowca, żeby to sprawdzić?

– Nie ma żadnej wzmianki.

– Znowu dziadowska robota. A co piszą o jej zwyczajach? Zalewała robaka samotnie?

– Tak stoi w sprawozdaniu. Samotnie. Nie wiadomo, kto to stwierdził. Brak podpisu. Ale tutaj na przykład – Konstanty podniósł jakiś wymięty rękopis – tutaj jest wzmianka o tym, że w kuchni znaleziono pustą butelkę po czystej i dwie szklanki.

– Powiedziałeś: dwie?

– Píše, że dwie.

– Widziałeś kiedyś kobietę, która pije równocześnie z dwóch szklanek? – zadrwił szef UB.

– Chyba nie – odparł z powagą Konstanty. – Chyba miała wizytę.

– Z całym szacunkiem, Kostek.

Nigdy przedtem nie mówił do niego Kostek. Zawsze Konstanty. Zawsze formalnie. Teraz, gdy wziął od niego rękopis, był w wyjątkowo dobrym nastroju. Lecz po przeczytaniu protokołu znów się zachmurzył:

– Banda kretynów. Nikt nie sprawdził, z kim się zalewała przed śmiercią.

Konstanty wzruszył ramionami. Znał życie w terenie lepiej od szefa.

– Sprawa niewarta była zachodu. Nikt nie dostaje medali za wykrycie zabójcy starej pijaczki.

Szef zbliżył do oczu milicyjną fotografię.

– Nawet martwa na kaflach podłogi nie wydaje się stara. Kobieta całkiem do rzeczy. Mam nadzieję, że nie zapomnieli wziąć odcisków palców.

– Zbadano szklanki i butelkę, a także klamkę u drzwi wejściowych. Znaleziono odciski palców Reginy i jakiegoś, tak tu píše, niezidentyfikowanego osobnika bez kryminalnej przeszłości.

– Nareszcie coś pożytecznego. – Szef UB wyjął ze swej skórzanej teczki kartę odcisków palców Rudolfa Nowaka, oddał górną część, tę z nazwiskiem aresztanta, i wręczył ją Konstantemu.

– Wejdz na górę i każ im porównać. Powiedz tym leniom, że się spieszę.

Zostawszy sam w archiwum, zaczął z zainteresowaniem czytać życiorys Reginy Nowak. Autor nie zadał sobie szczególnego trudu. Opis był powierzchowny, ani słowa o jej małżeństwie z mężczyzną aresztowanym przez gestapo. Szef UB zastanawiał się, czy było to kardynalne zaniedbanie obowiązków, czy może chęć uduszenia sprawy we własnym sosie. Każde śledztwo zawierające podejrzenie przestępstw politycznych musiało być konsultowane z Urzędami Bezpieczeństwa Publicznego. Funkcjonariusze UB deptali wówczas milicjantom po piętach, zaganiali ich do ciężkiej pracy w terenie. Zdarzało się, że milicja wołała przemilczeć istniejące poszlaki, byle tylko wymigać się od współpracy z bezpieką. Sprawa Reginy Nowak mogła być takim przypadkiem.

Konstanty wrócił po kwadransie, uśmiechnięty od ucha do ucha.

– Jak dwie krople wody – powiedział, kładąc przed szefem wynik daktyloskopijnego badania i darząc go spojrzeniem pełnym nieukrywanego podziwu. Szef włożył dokument do teczki i wstał.

– Możemy wracać – oznajmił, wdzierając marynarkę. – Teraz wiemy na pewno, że Rudolf Nowak przebywał w towarzystwie Reginy w ostatnich chwilach jej życia, że ją upił i być może zamordował. Każdy sędzia w Polsce Ludowej skazałby go na śmierć.

– Co z tego wynika, szefie? – spytał Konstanty. – Powiesicie go na dwóch szubienicach?

Mecenas Buter nie był zachwycony wyglądem hotelu Pod Poczta. Wprawdzie wejście zostało odnowione, a szyld pociągnięto złotkiem, ale wewnątrz cuchnęło stęchlizną. Niewiele się tam zmieniło od końca wojny. Wypłowiwały dywan prowadzący do portierni nie odzyskał czerwieni, a na pomazanych białą farbą ścianach widoczne były ślady pociągnięć pędzla. Buter wzruszył ramionami. Cóż mogło go to obchodzić, nie przyjechał na inspekcję budynku, a także nie zamierzał tu nocować.

– Dzień dobry – powiedział, podchodząc do recepcji.

– Dzień dobry – odburknął recepcjonista. – Wszystko zajęte, mamy zjazd spółdzielców.

– Nie szukam pokoju.

Adwokat wydobył z kieszeni plik pomiętych banknotów i zaczął je wygładzać na ladzie. Recepcjonista przenosił spojrzenie z pieniędzy na gościa, potem z gościa na pieniądze, jego małe okrągłe oczy zaczęły wyrażać zainteresowanie:

– Czym mogę panu służyć?

Buter położył na blacie portierni jeden banknot. Urzędnik szybko wsunął go do szuflady. Dopiero potem zastrzegł się:

– Mam nadzieję, że nie chodzi o coś, co byłoby sprzeczne z prawem.

– Nic takiego – uspokoił go adwokat. – Chciałem tylko zadać panu kilka pytań. Nie jestem z milicji.

– To jasne.

Emil Buter uśmiechnął się:

– Skąd ta pewność?

– Milicjanci nie muszą płacić za informacje. Na pewno chodzi o dziewczynę.

– Nie. Chodzi o mężczyznę. Ale widzę, że pan szybko pojmuje sprawy. Miło rozmawiać z rozsądnym człowiekiem.

– Rozsądni kosztują więcej – rzekł portier półzartem, zerkając na pozostałe banknoty.

– Jeśli będę zadowolony, wszystkie trafią do pana.

– Serwis dla klienta to nasza specjalność.

– Od kiedy pan tu pracuje?

– Od dnia, w którym otwarto ten hotel. Przed wojną mój ojciec był tu portierem. Czasami wydaje mi się, że przyszedłem na świat w tej zakichanej dziurze.

– Więc był pan tutaj, gdy w pobliskich Dziedzicach działał Urząd Repatriacyjny.

– Oczywiście. Setki repatriantów spędziły u nas pierwszą noc na polskiej ziemi.

– Raj dla prostytutek, co?

– Prostytucja jest surowo zabroniona... Skąd pan wie?

– Wiem więcej niż pan sądzi. Pamięta pan gości z tamtych lat?

– Może tak, może nie – odparł recepcjonista filozoficznie. – Dlaczego pan pyta?

– Jeśli znajdzie pan w książce meldunkowej hotelu gościa o nazwisku Izaak Liebman, cała forsa należy do pana. Niech pan spojrzy na tę fotografię. Poznaje pan? – Buter położył na blacie zdjęcie Liebmana i zamachał portierowi przed nosem zwitkiem stuzłotówek.

– Gość o tym nazwisku nigdy tutaj nie nocował – odpowiedział portier z niezwykłą pewnością w głosie.

– Zdziwiał mnie pańska pamięć. Ale chętnie zajrzałbym do tej książki. Co pan na to?

Buter położył na blacie jeszcze dwa banknoty. Oba błyskawicznie znikły w szufladzie. Recepcjonista pochylił się do przodu i zaczął wyjaśniać półgłosem:

– Nic panu nie da książka meldunkowa. W tamtych latach, gdy przewalały się przez ten hotel krocie repatriantów, raj miały nie tylko kurwy. Także nam udało się liźnąć trochę tego miodu. Spytaj pan jak, a opowiem.

– Pytam.

– A pieniądze?

– Na końcu.

– Dobry z pana kupiec.

– Nie jestem kupcem, ale też nie dojnë krową. – Buter zacisnął pozostałe banknoty w garści.

– Niech i tak będzie. Wie pan, jak to w życiu. Człowiek musi zarobić coś z boku, inaczej zdechnie. Repatrianci nie znali przepisów, więc po prostu nie meldowaliśmy ich. Najlepiej szło nam na nocnej zmianie, bo byli zmęczeni, zostawiali na portierni jakiś dokument, żebyśmy go mogli później wpisać. Ale jak nie było kontroli, to nikt ich nie zapisywał. Braliśmy zapłatę do kieszeni i po krzyku. Z okresu masowej repatriacji znajdzie pan w rejestrze może dwadzieścia, może trzydzieści nazwisk. Poza tym książki meldunkowe są gdzieś w biurze, nie mam do nich dostępu. Komuś innemu nigdy bym tego powiedział, ale pan wygląda na solidnego faceta, mam zaufanie.

Buter dołożył recepcjoniście sto złotych i machnąwszy ręką, powiedział:

– Dziękuję. Nie takiej historii szukałem. Mimo to przenocuję tutaj. Niech mi pan znajdzie jakiś porządny pokój. I nie trzeba mnie meldować. Nie potrzebuję rachunku.

– Ale mnie jest potrzebny pański dowód osobisty – uśmiechnął się chytrze portier. – Na wypadek kontroli. Jak za dawnych czasów.

Gdy tylko Buter wspiał się po schodach na drugie piętro, do zaniechanego „najlepszego apartamentu w całym mieście”, recepcjonista wykręcił dobrze sobie znany numer. Pomału i skrupulatnie przekazał szczegóły dotyczące dziwnej prośby Emila Butera.

– Od pierwszego pytania wydawał mi się podejrzanym – oznajmił chełpliwie.

– Postąpiliście słusznie, po obywatelsku – odparł nieznany mu rozmówca i rozłączył się. Recepcjonista wyjął pieniądze z szuflady i wetknął je do kieszeni spodni. Był zadowolony z siebie. Wiedział, że postąpił słusznie. Przecież był tylko małym człowieczkiem, który nie szukał kłopotów u władzy.

Buter położył się ubrany na niepościelonym łóżku. Brzydził się brudnej kołdry i dawno nie pranej poszewki na poduszkę. Nim zasnął, zastanawiał się, czy nie warto odszukać prostytutki, z którą Liebman spędził pierwszą noc w ojczyźnie, ale zreflektował się szybko, że będzie to stracony wysiłek. Nawet jeśli znajdzie igłę w stogu siana, wątpliwe jest, by miejscowa kurewka pamiętała frajera, który zapłacił, nie korzystając z jej usług. A nawet jeśli go sobie przypomni, to nie może znać jego nazwiska. Liebman nie sprawiał wrażenia człowieka, który zwykł się przedstawiać osobom takiej proveniencji. Jest niemal pewne, że odmówi wyjazdu do Wrocławia, aby go rozpoznać. Po co jej dodatkowe kłopoty w życiu. A co będzie, jeśli wskaże na oskarżonego i stwierdzi, że to ktoś całkiem inny? Buter wiedział, iż niemal wszystkie dziewczyny jej autoramentu kupują sobie milicyjne przymknięcie oka za donosicielstwo. Mimo to zasnął w dobrym nastroju. Jutro odszuka Karola Bielskiego i sprawy potoczą się w pożądanym kierunku.

Obudził się dosyć wcześnie, aby zdążyć na pierwszy autobus do Pszczyny. Jazda trwała niespełna godzinę, autobus pełen był pasażerów, takich, jakich nigdy nie spotykał w dużym mieście. Obserwował ich z zaciekawieniem. Autobus zatrzymywał się kilkakrotnie, ludzie wsiadali i wysiadali, pozdrawiali się wzajemnie, niemal wszyscy znali wszystkich. Prowincja. Buter uświadomił sobie nagle, że nigdy nie miał bezpośredniego kontaktu z tak zwanym prostym człowiekiem, że żyje jak w bańce mydlanej innego świata.

Pszczyna była zasnany miasteczkiem, chlubiącym się barokowym pałacem, straganami, na których sprzedawano świeże warzywa, trudne do nabycia w dużych miastach. Przy stacji

PKS był postój dorożek. Buter rzucił woźnicy adres znaleziony na półce z książkami w mieszkaniu Marii Kot.

– To jest dom Teresy Bielskiej – pochwalił się woźnica znajomością terenu.

– Pan ją zna? – zapytał adwokat.

– Wszyscy ją znają – odparł, poganiając batem starą, zmęczoną klacz. – Nauczycielka w Goczałkowicach i siostra Karola. Bardzo fajny facet. Parę dni temu piłem z nim piwo u Krzywego Piotra. Potrafi pociągnąć – chełpił się woźnica swoimi znajomościami. – Jeśli szanowny pan zostaje na dłużej, wizyta u Krzywego Piotra to prawie mus. Najlepsza karczma w całym powiecie. Aż dziw, że jeszcze jej nie przerobili na spółdzielnię. Mówią, że także dorożki będą państwowe. Oni będą brać pieniądze za przejazd, a my będziemy karmić konie. Takie czasy, panie, takie czasy. – Woźnica pociągnął za lejce, wskazał na mały, jednopiętrowy domek i powiedział: – To tutaj. Zapłaci pan co łaska.

Teresy nie było w domu. Gadatliwy sąsiad chętnie wyjaśnił, że w niedzielę odwiedza rodziców swoich uczniów i wraca do domu trochę później, ale nie wiedział, gdzie przebywa jej brat. Wyjaśnił, że Karol mieszka pod strychem, pani Teresa na dole, zapalił fajkę i poszedł. Buter usiadł na kamiennym murku okalającym domek i czekał. Przyszła kilka minut po drugiej i jeszcze nim zapytała o cel wizyty, zaprosiła do wejścia, zachęcając, „aby czuł się jak w domu”. Adwokat zmierzył ją spojrzeniem. Była wysoka i szeroka w ramionach. Tak właśnie Liebman rysował postać Bielskiego. Musieli być podobni do siebie jak bliźnięta. Nie był to komplement dla kobiety, ale pani Teresa nie czytała w myślach, i zaproponowała szklankę herbaty.

– Niestety, nie znajdzie pan u mnie alkoholu na lekarstwo – zaśmiała się, rozkładając bezradnie ramiona. – Przed wyjazdem Karol wysłał ostatnią kroplę.

– Pani brat? – zapytał, jakby nie wiedział. Nagle ogarnęło go uczucie, że znów trafi w próżne.

– Tak. Pan go zna?

Nie, odparł, nie zna Karola Bielskiego, ale niczego nie pragnąłby bardziej jak najszybszego spotkania. Po czym wyjaśnił jej w krótkich słowach powód nagłej wizyty. Teresa wysłuchiwała z zaciekawieniem, nie przerywając, i dopiero gdy skończył, powiedziała:

– Obawiam się, że czeka pana rozczarowanie. Brata nie ma w kraju. Niech no pan tylko wejdzie na górę i zobaczy, jaki bałagan zostawił po sobie. Pół nocy pakowaliśmy jego manatki. Wyjechał o drugiej nad ranem.

– Dokąd pojechał? Gdzie mogę go znaleźć? Kiedy wróci?

– Za dużo pytań naraz. Proszę pić herbatę, bo wystygnie... Wyjechał do Szwajcarii. Mam jego adres, jeśli to pana urzęda.

Teresa Bielska zaczęła szperać w torebce, wyciągnęła kartkę wydartą z zeszytu i przeczytała: wieś Rolendorf w kantonie Schaffhausen, u pani Gertrudy Schmitze.

Buter zbladł.

– Niech mi pani coś o tym opowie.

– Długa historia. Nie wiem, od czego zacząć.

– Najlepiej od początku – rzucił krótko adwokat.

Pani domu rozsiadła się w krześle, zrzuciła buty, wyprostowała nogi, stopy miała pełne odcisków.

– Są trochę za ciasne – usprawiedliwiła się, wskazując na czarne czółenka. Potem zapytała rzeczowo: – Po co panu ta historia, skoro brata nie ma? Dziwne, ale nigdy nie wspominał tego człowieka. Jak pan powiedział, jego godność?

– Izaak Liebman.

– Chyba Żyd, prawda?

– Tak. Żyd.

– Nie przepadam za nimi. Wszystko u nich na opak. Karol jest inny. On lubi wszystkich i wszyscy lubią jego. Jesteśmy niby jednej krwi i nawet podobni, ale chyba niezupełnie. To znaczy, wszyscy go lubią, oprócz władzy. Od czasu jak wrócił do domu, zawsze miał z władzą na pieńku. Lubił zalewać robaka, a jak miał w czubie, głośno mówił to, o czym inni wolą nawet nie myśleć. Dlatego nigdy nie dostał dobrej roboty i dlatego zawsze odmawiali mu zezwolenia na wyjazd.

– Dokąd chciał wyjeżdżać?

– Do tej swojej Gertrudy. Bauerka. Pracował tam podczas okupacji. Nie chcę wnikać w szczegóły, bo to bardzo osobista historia, ale urodził mu się tam syn. Bauerka była mężatką. Pisał do niej bez przemy, ale nigdy nie dostał odpowiedzi. Dopiero w roku czterdziestym dziewiątym, a może to było już w pięćdziesiątym, dokładnie nie pamiętam, przyszedł list ze Szwajcarii. Mąż umarł, pisała, dziecko potrzebuje ojca, a gospodarstwo chłopca do roboty. Już powiedziałam, że Karola nic tu nie trzymało, może oprócz Krzywego Piotra, więc złożył podanie o paszport. Ale w milicji tylko go wyśmiano... Nigdy nie powiedział, czy kochał tę barierkę, a ja nie miałam odwagi zapytać. Po śmierci jej starego zaczęli korespondować, załatwiła mu wizę wjazdową, a to wcale nie było łatwe, bo Szwajcarzy nie lubią obcych. Chciała wyjść za niego za mąż, były jakieś pisma adwokatów. Dziesięć razy prosił o paszport, dziesięć razy odesłali go z kwitkiem. Może przez to zaczął się upijać. Kiedyś powiedzieli mu, że pozwolą mu jechać pod warunkiem, że za granicą będzie służył ojczyźnie. Powiedziałam mu: „Podpisz, co chcą, a jak już będziesz w Szwajcarii, to ci mogą naskoczyć”. Ale Karol był uparty jak kozioł. Powiedział im już tutaj, że mogą mu naskoczyć. Dlatego został. W głębi duszy byłam zadowolona, nie chciałam zostać sama. Miałam nadzieję, że bauerce się znudzi, że znajdzie kogoś innego. Ale nie. Chciała tylko mojego Karola. Widocznie jest w nim coś, czego nie ma w innych mężczyznach.

– To rodzinne – skomplementował ją Buter.

– Tak, ale jak pan widzi, zostałam starą panną. Karol nie ścierpiałby jeszcze jednej pary spodni w domu.

– Jak w końcu wyjechał? Przez zieloną granicę?

– Widział pan kiedyś, jak wygląda granica? Mysz się me przesmyknie. Stało się coś bardzo dziwnego. W nocy z piątku na sobotę wezwali go na UB do Katowic, nie miał pojęcia...

– I nagle dostał paszport – przerwał jej mecenas Buter.

– Zgadł pan. Powiedzieli, że może jechać do wszystkich diabłów, pod warunkiem, że do poniedziałku nie będzie go już w kraju. Było jakieś zarządzenie z Warszawy, nie wiem od kogo. W każdym razie paszport leżał gotowy, już z jego zdjęciem, Bóg jeden wie, skąd je wzięli. Kazali mu jechać przez Wiedeń, powiedzieli, że tam, na podstawie tych papierów od Gertrudy, dostanie wizę w szwajcarskim konsulacie. Wiza austriacka była już w paszporcie. Wczoraj w nocy zabrali go autem z domu, prosto na dworzec w Katowicach. Nie rozumiałam, po co ten pośpiech. Teraz rozumiem. Przykro mi.

– Mnie także – westchnął Buter, odstawiając niedopitą szklankę herbaty. – Będzie lepiej dla nas obojga, jeśli przemilczy pani moją wizytę.

Dopiero teraz uzmysłowił sobie ogrom własnej lekkomyślności. Szef UB uprzedził go o kilka godzin. Domyślał się, że rozmowa z Liebmanem mogła być na podsłuchu, ale łudził się, że ubek dotrzyma słowa, że nie ruszy świadków obrony. Co za naiwność! Teraz pozostał jedynie Rabinowicz. Rabinowicza nikt nie może wyekspediować za granicę. Być może spróbują go wystraszyć groźbą represji, albo zechcą w inny sposób zamknąć mu usta, ale przyjaciel Butera w Warszawie dostarczył mu informację, która go zmusi do współpracy. Rabinowicz będzie przekonującym świadkiem. Znał rodziców Izaaka Liebmana, ostatnio zaś spotkał Izaaka na ulicy i rozmawiał z nim osobiście. A w dodatku sam jest Żydem.

Niemal całą noc spędził mecenas Buter w pociągach z Pszczyny do Krakowa i z Krakowa do Warszawy. O szóstej rano wszedł do obdrapanej klatki schodowej w starej, zaniedbanej kamienicy. Na drzwiach windy wisiała kartka „Chwilowo nieczynna”, a z otwartego szybu zalatywało stęchlizną i moczem. Lekko zadyszany, z teczką pod pachą, wspinał się po piętrach. Na każdym zatrzymywał się na chwilę, by odczytać nazwiska lokatorów. Z doświadczenia wiedział, że w tych starych, przedwojennych domach mieszkają na ogół rodziny, którym nie przysługiwał kwaterunek w nowych blokach. Buter znał tę warstwę społeczną, żyjącą jakby poza marginesem. To byli jego najlepsi klienci. Domyślał się, że za drzwiami z nic nie mówiącymi nazwiskami zgromadzony był spory majątek. Mieszkali tam rzemieślnicy, paskarze, handlarze walutą i drobni, na wpół legalni kupcy, określane przez oficjalne tuby propagandy jako „pasożyty na ciele narodu”. W rzeczywistości zbijali krocie na nieudolności upaństwowionej gospodarki, która nie potrafiła zapewnić obywatelom podstawowych usług i niezbędnych do życia towarów. W taki to sposób postawiono na głowie piramidę priorytetów: masy pracujące uczciwie z trudem wiały koniec z końcem, natomiast „pasożytnicy” mieli wszystkiego pod dostatkiem.

Bernard Ribeau mieszkał na piątym, najwyższym piętrze. Buter czterokrotnie naciskał przycisk dzwonka, aż usłyszał człapanie domowych pantofli i przez szparkę na łańcuch zamkniętych drzwi dojrzał długi nos i part nieufnie patrzących oczu.

– Kogo pan szuka?

– Pan Ribeau?

– Nie. A w jakiej sprawie?

– Mam pozdrowienia od Izaaka Liebmana.

Nieufność znikła z oczu Rabinowicza, drzwi otwarły się na oścież.

– Proszę wejść. Szybko.

Adwokata nie zdziwił kontrast między brudną klatką schodową, a bogato umeblowanym mieszkaniem. Podłogi wysłane były drogimi dywanami, ściany zdobiły obrazy znanych malarzy. Gospodarz w pasiastej, jedwabnej pidżamie wyciągnął rękę na przywitanie. Była wilgotna, niemiła w dotyku.

– A więc Izaak nie zapomniał swojej obietnicy – ucieszył się Rabinowicz. – Ładnie z jego strony. Na szczęście, niepotrzebna mi już jego pomoc. Znalazłem swoją niszę. Zostałem prezesem spółdzielni produkującej medale i odznaki sportowe.

– Moje nazwisko Emil Buter. Jestem adwokatem.

– Adwokatem? Nie prosiłem go o porady prawne.

– Sytuacja jest teraz odwrotna. Liebmanowi potrzebna jest pańska pomoc.

– Nie rozumiem.

– Zaraz wyjaśnię. Pozwoli pan, że usiądę, jestem po całonocnej podróży.

– Oczywiście, przepraszam za...

Buter usiadł, rozpiął poły płaszcz i położył na kolanach skórzaną teczkę.

– To ja przepraszam za tę wczesną wizytę, ale sprawa nie ciepi zwłoki. Potrzebne jest mi zeznanie, że zna pan Izaaka od dzieciństwa, że przed wojną mieszkał w Chełmie Lubelskim, a co najważniejsze, że jest Żydem.

– Po jaką cholere Ickowi takie zeznanie?

– Nie słyszał pan o jego aresztowaniu?

– Nie. Gdzie mogłem słyszeć.

– Wszystkie gazety pisały o tym.

– Nie czytuję gazet, panie mecenasie. I tak drukują same kłamstwa... Za co go zamknęli?

Mecenas Buter był wyraźnie zadowolony. Nie uległo wątpliwości, że tym razem uprzedził szefa UB. Gdy zaczął wyjaśniać sytuację, Rabinowicz słuchał uważnie i z każdym zdaniem stawał się bledszy. A gdy adwokat skończył swoje wywody, oznajmił stanowczo:

– Przykro mi, ale nie pojedę na żaden sąd. Nic mu nie jestem winien. Miesiące minęły od czasu, gdy prosiłem go pracę. Gdzie był do tej chwili? Nie kiwnął dla mnie nawet palcem w bucie.

– Oczywiście, że pan pojedzie, drogi panie Ribeiro-Rabinowicz. Mogę z łatwością udowodnić, że pańska spółdzielnia stanowi przykrywkę do nielegalnego handlu miedzią i mosiądzem. Wie pan, co grozi za handel metalami szlachetnymi?

– To szantaż! – oburzył się Rabinowicz.

– Może szantaż, ale jestem przekonany, że skuteczny. Walczę o życie niewinnego człowieka.

Buter wstał, podszedł do okna, lekko odsunął firankę i ostrożnie zbadał teren. Chciał się upewnić, że nie jest śledzony. Ale okno wychodziło na podwórze-studnię, nie zobaczył niczego oprócz trzepaka do dywanów i kubłów na śmieci. Rabinowicz przemawiał teraz do pleców adwokata:

– Wcale nie jestem przekonany, że rozpoznam tego Liebmana. Jego twarz już mi się zatarła w pamięci. Nawet nie wiem, jak wygląda. A może to w ogóle nie chodzi o niego. Może próbuje pan bronić jakiegoś, nie daj boże, imperialistycznego szpiega? Po jakiego diabła mam się pchać w czyjeś brudne afery? Liebman czy nie Liebman, on ma swoje problemy tożsamości, a ja swoje. Niech mnie pan skreśli z listy swoich nadziei, panie... panie...

– Buter. Emil Buter.

– Widzi pan? Nawet po dziesięciu minutach pamięć mnie zawodzi.

Adwokat odwrócił się teraz od okna i spojrzał Rabinowiczowi prosto w oczy:

– Kupiłem panu bilet z miejscówką na pociąg do Wrocławia. Odchodzi jutro rano o ósmej trzydzieści. Radzę panu nie spóźnić się na ten pociąg. Mój aplikant będzie czekał na wrocławskim dworcu i zawiezie pana do hotelu. Przy okazji chciałbym przypomnieć: pięć lat to najniższy wyrok za to, co pan robi.

Buter położył bilet na stole, zapiął płaszcz, wziął teczkę pod pachę i wyszedł. Był przekonany, że Baruch-Bernard Ribeiro-Rabinowicz go nie zawiedzie.

Gedalia Chajes był w szczególnie dobrym nastroju. Kilka minut przed wyjściem do pracy sekretarka Czerniakowskiego zawiadomiła go, iż nastąpiła kilkudniowa przerwa w przewodzie sądowym.

– Wszystko toczy się według planu – powiedział do Sary.

– Trzymam za ciebie kciuki – odparła i pocałowała go w policzek.

W południe połączył się z nim sekretarz Komitetu Wojewódzkiego.

– Gedalia! – wołał do słuchawki, mocno podenerwowany. – Może wiecie, gdzie się podziewają szef UB i Emil Buter? Szukam ich od kilku godzin, nikt nie wie, gdzie przepadli.

– Siedzę w zakładzie, towarzyszu, i nie mam czasu na nic innego. W całym tym rozgardiaszu zapominacie, że Czerwony Sztandar potrzebuje dyrektora.

– Ale mieliście czas na wizytę w więzieniu.

– Wasze źródło informacji działa jak trzeba.

– Mogę wiedzieć, czego szukaliście u Nowaka?

– Chciałem zbadać mu puls – zachichotał Gedalia.

– Ostrzegam was, Chajes, balansujecie na cienkiej lince. Historyjkę z żydowskim pochodzeniem Nowaka możecie między bajki włożyć.

– Nie wiem, o czym mówicie, towarzyszu sekretarzu?

– Widzę, że uważacie mnie za głupca – szczechnął sekretarz i cisnął słuchawkę na widełki aparatu. Gedalia Chajes trzymał swoją, już martwą, przy uchu, aż Rita weszła do pokoju i delikatnym mchem wyjęła mu ją z zaciśniętej pięści.

– Wiem, że macie kłopoty. Jeśli mogę w czymś pomóc...

– Dziękuję. Przecież wiesz, że jestem samotnym wilkiem.

– Zbyt często odnoszę wrażenie, że człowiek człowiekowi wilkiem – stwierdziła z nieukrywanym smutkiem w głosie. – Wszyscy przeciw wszystkim. Co tylko się porusza, stanowi cel ataku. Wiecie, kiedy psy szczekają i gryzą? Tylko wtedy, gdy się czegoś boją. U nas wszyscy szczerzą zęby, bo w gruncie rzeczy wszyscy są tchórzami.

– Dostyc z tą apokalipsą. Lepiej zaparz mi szklankę herbaty.

Rita wyszła. Gedalia skupił się na sprawozdaniach przysłanych z Jelcza. Spadła wydajność pracy w działach, w których zatrudnieni byli więźniowie. Kolumny liczb nic mu nie mówiły. Nie dawał sobie rady z technicznymi aspektami produkcji. Zakłady musiały mieć zawodowego dyrektora.

Zdawał sobie sprawę, że Rudolf Nowak nigdy tu nie wróci. Nawet jeśli zostanie uniewinniony, jego kariera będzie zakończona na zawsze. Partia nie przywróci mu członkostwa. Będzie musiał zaczynać nowe życie: życie Izaaka Liebmana... A co będzie z nim, z Gedalią Chajesem? Nie miał litości dla Liebmana i nie litował się nad sobą. Wszystko toczy się według planu, oznajmił Sarze. Ale według czyjego planu? Także prokurator i szef UB mieli swoje plany. Który z nich zostanie w końcu zrealizowany? W powiedzonku Rity było więcej niż szczypta prawdy: wszyscy mają pietra i wszyscy gryzą.

Strach. Wrogość. Knucie spisków. Egzystencja w stanie wiecznej niepewności. Zasady i prawdy, które wczoraj stanowiły ideowy fundament życia, jutro mogą powędrować na śmietnik historii. Nie tak wyobrażał sobie świat, gdy wstąpił, przed wojną, do nielegalnej partii komunistycznej. A teraz sam stał się trybem tej szatańskiej maszyny zniszczenia. Czy nie było prawdą także to, co szeptał mu w ucho Maurycy, pociągając brzytwą po policzkach? Gdy radził mu, by pozbył się złudzeń, że stanowisko półdygnitarza – tak powiedział: półdygnitarza – zapewnia mu immunitet, bo rewolucja zawsze pożera najlepszych swoich synów.

To było nie tak dawno, kilka miesięcy temu, Gedalia Chajes był oburzony i na posiedzeniu egzekutywy KW nie omieszkał wspomnieć wrogich uwag fryzjera. Ku jego wielkiemu zdziwieniu, przy najbliższej okazji szef UB powiedział jakby mimochodem: „Towarzyszu Chajes, nie ruszajcie tego człowieka”. Była to bardzo dziwna uwaga, ale Gedalia od dawna nauczył się nie stawiać pytań, gdy nie miał pewności, iż otrzyma rzeczowe wyjaśnienie.

Z sąsiedniego pokoju dobiegał klekot maszyny do pisania. Już chciał przypomnieć Ricie, że miała mu zaparzyć herbatę, gdy usłyszał znajomy głos. Szef UB rzucił sekretarce sarkastyczne pytanie: „No, jak nasz towarzysz czuje się w fotelu dyrektora naczelnego?”. Nie czekając na odpowiedź, szybko przemierzył sekretariat i stojąc już u progu gabinetu, powiedział:

– Musimy porozmawiać.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł Chajes z przesadną uprzejmością.

– Nie bądźcie tacy pewni – odparował szef UB.

Rita pojawiła się niespodzianie, pytając, czy podać herbatę, o którą prosił. Szef machnął ręką, dając zrozumienia, że jej obecność jest niepożądana.

– Nie zawracaj teraz głowy herbatą i zamknij za sobą drzwi – rozkazał. Zaraz potem dodał: – I trzymaj swoje piękne uszka tak daleko, jak tylko można.

– Nigdy nie uda mi się konkurować z waszymi funkcjonariuszami – odparła obrażona, nim wyszła.

– Bezczelna – warknął, przesunął krzesło na sam środek pokoju i usiadł odwracając je, przyciskając ramiona i podbródek do oparcia.

– Gedalio Chajes, porozmawiajmy jak dwaj starzy towarzysze partyjni – zaczął przybyły.

– Pytanie numer jeden: dlaczego namawialiście Nowaka do złożenia deklaracji, że jest Żydem i że jego prawdziwe nazwisko brzmi Izaak Liebman?

– Nadejdzie dzień, w którym będą podsłuchiwać także wasze rozmowy, stary towarzyszu partyjny – odszczeknął Chajes.

– Pytanie numer dwa: dlaczego postanowiliście naruszyć normalny tok postępowania sądowego, wyrządzając szkodę partii i państwu? Pytanie numer trzy: czy naprawdę myśleliście, że trzymacie wszystkich za jaja, wybaczcie to dosadne określenie. Podziwiam waszą naiwność. Jak dotychczas, nikomu nie udało się mnie przechytrzyć. A teraz numer cztery: jeśli uczynicie jeszcze jeden, nieskonsultowany ze mną ruch, wpakujecie się w kłopoty, z których nie ma wyjścia. Nigdy w życiu nie mówiłem bardziej poważnie niż w tej chwili. A żeby nie przyszły wam na myśl jakieś głupie figle, przeczytajcie sobie te papierki.

Szef UB wstał, postąpił dwa kroki do przodu i położył na biurku Chajesa żółtą teczkę dokumentów. Gedalia wertował je pomału. Wystarczyło pobieżne spojrzenie, by pojąć, że leży przed nim milicyjne sprawozdanie dotyczące zamordowania Reginy Nowak.

– Znam wasz krzywy sposób myślenia. To sprawozdanie nie jest falsyfikatem – rzekł ostrzegawczo szef UB. – Wracam prosto ze Stołecznej Komendy MO. Konstancy był ze mną. Badaliśmy sprawę bardzo solidnie. Wasz pupilek wysłał Reginę Nowak na wieczny odpoczynek. Rudolf Nowak jest nie tylko szpiegiem i kolaborantem gestapo, ale także pospolitym mordercą.

– Mówicie do mnie, jakbym był co najmniej współnikiem mordu. Jeśli w ogóle był jakiś mord.

– Był. Obiecałem wam szczerą rozmowę i dotrzymuję słowa.

Chajes odsunął od siebie teczkę i powiedział niezbyt przekonująco:

– Nie miał żadnych motywów dokonania takiej zbrodni.

– Przypuszczalnie obawiał się, że stara pijaczka dojdzie prawdy.

Zresztą, fakty mówią same za siebie. Widzieliście analizę wydziału daktyloskopii.

– Widziałem. Teraz pojmuję, że domyślaliście się, iż nie jest tym, za kogo się podaje.

– Domyśły są luksusem, na które człowiek na moim stanowisku nie może sobie pozwolić.

Wiedziałem od dawna, kim jest naprawdę.

– I mimo to prowadziliście śledztwo? Skłonni byliście powiesić niewinnego człowieka?

– Nie róbcie się taki święty, Chajes. Wy także wiedzieliście i nabraliście wody w usta. Milczeliście, dopóki było to wam wygodne. Dopiero teraz bijecie w wielki dzwon. Przyznam szczerze, jeszcze nie rozgryzłem was do końca, nie znam paliwa, które was napędza. Ale jakiegokolwiek by nie było, możecie je sobie wepchać do dupy, i znowu przepraszam za dosadne określenie. Jedno tylko jest pewne: jeśli zamierzaliście podstawić mi nogę, nie chciałbym być w waszej skórze. Działam z upoważnienia najwyższych władz bezpieczeństwa. Wiecie, co to znaczy? To znaczy, że jestem nietykalny. Nie-ty-ka-l-ny.

Szef UB przerwał potok wymowy, jednym skokiem znalazł się przy drzwiach i otworzył je gwałtownym ruchem. Za drzwiami nie było nikogo.

– Ma szczęście, ta wasza Rita – powiedział.

– Nie jest ani moja, ani niczyja inna – oznajmił Chajes sucho. – Nie wszyscy ludzie muszą do kogoś należeć.

– Niech i tak będzie, co tu się spierać o jakąś babę. – Szef UB wrócił na swoje miejsce i ciągnął: – Mamy ważniejsze sprawy na wokandzie. A najważniejsza z ważnych to konieczność, abyście sobie raz na zawsze wybili z głowy, że uda wam się udowodnić żydowskie pochodzenie Nowaka. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin usunąłem z drogi wszystkich świadków, którzy mogliby coś na ten temat powiedzieć. Został tylko jeden.

– Macie na myśli Gedalię Chajesa?

– Zawsze podziwiałem waszą inteligencję... Prawdą jest, że nie mogę zabronić temu skurwysynowi, mam na myśli Butera, wezwać was jako świadka obrony. Możecie opowiedzieć w sądzie, że znacie oskarżonego od dziecka, że ssaliście mleko z jednej piersi, że zawsze wiedzieliście, iż jest Żydem. Ale sędzia, jego ekscelencja sędzia Ksawery Gont,

kandydat na awans do Sądu Najwyższego, może dać wiarę albo wam, albo Monice Wrzos. Jak widzicie, nie wspominam nawet o pozostałych świadkach oskarżenia, a jest ich bez liku. Wszyscy wiedzą, że jesteście osobiście zaangażowani w tę sprawę, że Rudolf Nowak jest dziełem waszych rąk, albo ściślej mówiąc, waszego mózgu; że broniąc Nowaka, bronicie siebie samego. A teraz z drugiej strony: załóżmy, że udowodnicie swoje. Co wam z tego przyjdzie? Uratujecie od szubienicy Rudolfa Nowaka, a my skazemy na śmierć mordercę Izaaka Liebmana. Jak wytłumaczycie towarzyszom, że wzięliście pod swoje skrzydła oszusta i zabójcę? Że od dawna znaliście jego prawdziwą tożsamość, ale zatailiście ją nawet przed egzekutywą KW? Sądzicie, że wam to ujdzie na sucho?... Już powiedziałem, że rozmawiamy jak starzy partyjni towarzysze. Teraz udowodnię, że tak jest naprawdę. Kto nam namieszał w kaszy?... Macie rację, Aleksander Krzysiak. Krzysiak, człowiek bez skazy, który wszystkim prawił morały, prawdziwy marksista, postać ukuta z najczystszej brązu. A skąd czerpał nasz piękny Krzysiak informację o Rudolfie Nowaku? Uwierziliście w tę bajeczkę o starej nazistowskiej gazecie? Nonsens. Ja wam powiem, skąd wiedział. Podczas okupacji Krzysiak był członkiem Gwardii Ludowej. Działał w podziemiu. Wiedzano tam wszystko o brudnych interesach Rudolfa i jego kochanki. Postanowiono ich zlikwidować. Ale Niemcy uprzedzili towarzyszy z GL. Sprzątnęli im Nowaka sprzed nosa. Fakt ten nie zmienia jednak zasadniczych faktów: Aleksander Krzysiak miał być wykonawcą wyroku. Godzinami wystawał pod domem Nowaka i pod domem panny Wrzos, badał warunki, robił notatki. Siłą rzeczy musiał go wielokrotnie widzieć z bliska. Przynosząc nam stary egzemplarz „Völkischer Beobachter”, wiedział doskonale, że oskarża kogoś całkiem innego. Chciał się zemścić. Na mnie, na was, na sekretarzu Komitetu Wojewódzkiego, na wszystkich. A przede wszystkim na waszym Liebmanie. Krzysiak zaplątał was w tę aferę, a ja, w zamian za uczciwą współpracę, na to wam daję harcercie słowo honoru, podam go wam upieczonego na różnie. Po zakończeniu procesu przekażę wam cały materiał archiwalny. Jest tego dosyć, aby raz na zawsze wyleciał z partii. W najlepszym przypadku znajdzie pracę w jakimś pegeerze albo w kopalni węgla. W zamian za to żądam drobnego wyrzeczenia: gdy adwokat Buter poprosi was o złożenie zeznań, odmówicie. Nigdy nie rozmawialiście z Liebmanem, nigdy nie znaliście człowieka o takim nazwisku. Osobiście zniszczę taśmę, na której nagraliśmy wasze spotkanie w jego celi. Izaak Liebman nigdy nie istniał i istnieć nie będzie. Co wy na to?

Gedalia Chajes skinął głową na znak zgody. Odmowa oznaczałaby polityczne samobójstwo.

– Nie przepadam za tym powiedzeniem, ale nie ma chyba lepszego określenia, niż ręka rękę myje – skonstatował szef UB, ściskając wyciągniętą dłoń Chajesa.

W ostatnim dniu procesu Maria Kot została w domu. Nie mogła znieść myśli, że siedząc w dwudziestym ósmym rzędzie, jak w teatrze, stanie się niemyym świadkiem tragicznego końca Rudiego. Wczoraj obserwowała mecenasa Butera, który pozbawiony świadków obrony rozpaczliwie rzucał się po scenie jak ryba w sieci i machał połami czarnej togi. Pod koniec rozprawy oznajmił, iż zrzeka się funkcji obrońcy. Maria nie wiedziała, że poprzedniego dnia stał na peronie Dworca Głównego, i że spotkał tam Konstantego, który nie ukrywając cynicznego uśmiechu, powiedział z udawanym żalem:

– Słyszeliście o strasznym wypadku? Dwaj pijani chuligani wyrzucili z pędzącego pociągu starszego pasażera. Nazywał się Ribeau czy jakoś podobnie. Wypadki takie są u nas, niestety, na porządku dziennym.

Maria nie miała pojęcia o wydarzeniach zza kulis procesu. Nie interesowały jej wewnętrzne zmagania partyjnych bonzów, relacjonowane od czasu do czasu przez Ritę. Rita ostrzegła ją, by nie liczyła na cud ocalenia Rudolfa. W głębi duszy wcale tego cudu nie pragnęła. Sercem i ciałem oddała się Nowakowi. Izaaka Liebmana nigdy nie przepuściłaby

przez próg swojego domu. Myśl, że plotki o żydowskim pochodzeniu oskarżonego nie są całkowicie wyssane z palca, napawała ją obrzydzeniem. Gdyby mogła, splukałaby się od stóp do głów lizolem. Gdy po odczytaniu wyroku zatelefonowała do niej Rita, pocieszając, że zawsze jest nadzieja na ułaskawienie, pomyślała, że byłoby to dla niej najgorsze chyba rozwiązanie.

Wyrok i jego sentencja ogłoszone zostały równocześnie, późnym popołudniem. Miejskowa „Gazeta Robotnicza” opublikowała, po raz pierwszy od kiedy powstała, specjalne wieczorne wydanie. Tytuł na pierwszej stronie głosił:

WYROK ŚMIERCI DLA SZPIEGA I WOJENNEGO ZBRODNIARZA

Treść wiadomości była zwięzła: „Rudolf Nowak, były dyrektor naczelny Czerwonego Sztandaru, został skazany dzisiaj na karę śmierci przez powieszenie. Sąd uznał go winnym współpracy z obcymi agenturami wywiadu oraz ludobójstwa w okresie okupacji hitlerowskiej. Wyrok śmierci za przestępstwa tego rodzaju jest wyrokiem obowiązującym w myśl przepisów Nowego Kodeksu Karnego. Podczas odczytywania wyroku salę sądową wypełniała publiczność, a także przedstawiciele prasy zagranicznej. Rudolfa Nowaka bronił obrońca z wyboru. Twierdzenie oskarżonego, że nigdy nie popełnił zarzucanych mu czynów i że sam był ofiarą nazistowskich prześladowań, nie znalazło potwierdzenia w zeznaniach świadków”.

Sąsiadka Marii Kot wsunęła jej gazetę w szparę pod drzwiami mieszkania. Maria zmusiła się do przeczytania artykułu. Gdy skończyła, gazeta wysunęła jej się z rąk. Nie była w sędzie, bo nie chciała go widzieć na ławie oskarżonych, a oto teraz wracał do niej z pierwszej strony dziennika, splamiony farbą drukarską i poniżony własnymi wypowiedziami. Nie taki portret Rudolfa chciała zachować w pamięci. Nie taką tożsamość człowieka, z którym pragnęła związać się na zawsze. Nowak czy Liebman? Liebman czy Nowak? Nie mogła iść w dalsze, samotne życie z zadrą wątpliwości w sercu. Sprawa musi zostać wyjaśniona do końca. Teraz, gdy śmierć zagląda mu w oczy, nie skłamię. Powie jej, że wszystko było intrygą uknutą przez obronę, że nigdy jej nie oszukał.

Ku swemu wielkiemu zdziwieniu, niezwykle łatwo uzyskała widzenie. Wieczorem poprosiła Ritę o pomoc, nazajutrz Rita zadzwoniła do Lali, Lala, jak wiadomo, miała wypróbowane sposoby na złamanie oporu Czerniakowskiego. Jeszcze tego samego dnia prokurator wojewódzki podpisał zezwolenie. Późnym popołudniem Maria znalazła się w rozmównicy więzienia. Dwóch strażników przyprowadziło Rudolfa do stalowej siatki dzielącej pomieszczenie. Po obu stronach przegrody stały żelazne krzesła, takie same dla więźniów i dla wizytujących. Stalowa przegroda nie wprawiła jej w ponury nastrój. Wręcz przeciwnie, poczuła ulgę, gdy zrozumiała, że nie będą się mogli dotykać. Nie potrafiła tylko pojąć, dlaczego był skuty, przecież także bez kajdanków na przegubach dłoni nie mógłby stamtąd uciec.

Dwaj strażnicy cofnęli się pod ścianę, obojętni i trochę znudzeni. Nie musieli podsłuchiwać. Ukryte mikrofony wykonywały za nich robotę. Maria pochyliła się do przodu, niemal dotykając czołem przegrody i zapytała:

– Dostałeś czyste koszule?

– Tak. Dziękuję.

– Rita powiedziała, że jest nadzieja na ułaskawienie...

– Mario, winien ci jestem wyjaśnienie.

– Niczego nie jesteś mi winien. Wiem, że musiałeś wymyślić tę obrzydliwą historię. Człowiek robi wszystko, aby ratować skórę.

– Nie wymyśliłem niczego.

– Posłałam ci kartę przez więziennego strażnika. Rita pomogła.

– Mario, czy to wszystko, co po tylu latach mamy sobie do powiedzenia?

– Trzy lata.

– Skąd ten chłód w twoim głosie? Nigdy mi nie wybaczysz? Wiem, że cię mocno dotknąłem, że masz do mnie żal. Wówczas, gdy po raz pierwszy zbliżyliśmy się do siebie, powinienem był powiedzieć ci całą prawdę. Ale bałem się, że nie zechcesz jej przyjąć, że cię stracę. Wówczas szepnęłaś mi, pamiętam to doskonale, że mamy przed sobą całą noc. Nie umiałem jej wykorzystać. Teraz dają nam trzydzieści minut. Nie traćmy ich. Powiedzmy sobie prawdę. Bez wykrętów. Bez kłamstw.

– Zostaw, Rudolfie. Każdy z nas ma swoją prawdę, nic więcej nie jest potrzebne.

– Jest potrzebne. Mnie jest potrzebne.

– Wiem, że jesteś niewinny.

– Patrząc wstecz, Mario, zaczynam pojmować, że zawsze znałaś nagą prawdę, ale odpychałaś ją, oszukiwałaś samą siebie, tak jak i ja. W dniu, w którym wynajęłaś mi pokój, gdy odpisałaś dane z dowodu osobistego, aby mnie zameldować, już wówczas wiedziałaś, że się podszywam pod czyjąś tożsamość. Powiedziałaś wówczas, także to doskonale pamiętam, że jesteś osobą spostrzegawczą i że nikomu nie uda się wyprowadzić cię w pole.

– W naszych czasach nikt nie jest samym sobą, nie oznacza to jednak, że jest kimś innym – odparła. – Ja również przeszłam metamorfozę. Być może w tym właśnie tkwi źródło wszelkiego zła. Odwróciłam się od Kościoła. Dla ciebie. Ścisłej mówiąc, przez ciebie. Czego pragnę teraz najbardziej, to spowiedzi. Ty także. Tobie także potrzebne jest ucho spowiednika. Poproszę ojca Wiktora, by tu przyszedł. Nawet oni nie odmówią ci tego prawa.

– Tyle zła nas otacza, Mario, że trudno wierzyć w cokolwiek. Jeśli Bóg istnieje, to musi być bardzo zły, lub bardzo bezradny. Albo równocześnie jedno i drugie. Kiedyś długo o tym dyskutowaliśmy. Twierdziłem, że jeśli chrześcijaństwo dopuszcza istnienie szatana, to tym samym godzi się z istnieniem absolutnego zła, niezależnego od ludzkiej woli. U nas, w judaizmie, postrzegamy to zupełnie inaczej.

– Dosić tej komedii, Rudi. Proces jest zakończony, wyrok wydany. Dlaczego wciąż powracasz do tej oszukańczej wersji? Chcesz uwierzyć we własne kłamstwo? Czym spostonował się w twoich oczach Rudolf Nowak? To wspaniały człowiek. Bliski mi i uczciwy. Cieszyłam się każdą chwilą, gdy był przy mnie. Dlaczego miałabym go zamienić na kogoś innego. Nawet jeśli zrobiłeś wszystko, o czym mówili świadkowie, nie mam prawa do słów nagany. Jest to sprawa twojego sumienia. Sprawa między tobą a Stwórcą. A jeśli mowa o sednie rzeczy, to naprawdę nie jesteś w stanie wyprowadzić mnie w pole.

– A jednak, gdy byliśmy razem, kłamałem.

– Trudno mi zrozumieć, dlaczego wciąż ukrywasz się za cudzą maską. Powiem prosto z mostu: jestem osobą światłą, nie mam żadnych uprzedzeń w stosunku do nacji lub religii, ale Żydzi nie budzą we mnie sympatii. Może dlatego, że tak zostałam wychowana, może dlatego, że ukrzyżowali Chrystusa. Uczucie wstrętu zakorzenione jest głęboko w moim charakterze. Niepotrzebna mi żadna metryka, niepotrzebne żadne dowody. Wyczuwam ich na kilometr. Byłeś zbyt bliski mego ciała i mojej duszy, abym się mogła pomylić. Gdybym choć przez sekundę uwierzyła w twoje sądowe wykręty, nie siedziałabym teraz naprzeciw ciebie.

– Musisz mi uwierzyć – powiedział niemal płaczliwie. – Ktoś musi mi przecież uwierzyć.

– Czas minął – oznajmił jeden z więziennych strażników. Maria przerzuciła torebkę przez ramię i wstała.

– Jeszcze chwilę – prosił Liebman. – Przecież nie możemy się tak rozstać.

– Słyszałeś, co powiedział ten pan. Nasz czas minął.

Głos Marii zrobił się daleki i obcy. Jak skamieniały odprowadzał ją wzrokiem, aż znikła za drzwiami.

– To twoja żona? – chciał wiedzieć strażnik.

– Nie wiem – odparł, podnosząc się z krzesła.

Strażnicy wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Ach, ci skazani na śmierć, nigdy ich nie zrozumiesz.

Izaak Liebman nauczył się liczyć dni. Butryn, jego nowy towarzysz w celi, wniósł prośbę o ułaskawienie. Jeśli zostanie przyjęta, zamienią mu wyrok śmierci na dożywocie. Ile to lat, takie dożywocie? W więzieniu nie dzieli się czasu na dni, miesiące i lata. Każda minuta ma swój ciężar. Czas w więzieniu pełza z okrutną powolnością, ściera człowieka w proch, aż nie zostaje w nim nic z człowieczeństwa. Od zakończenia sprawy minęło zaledwie dziesięć dni. Butryń powiedział, że prośby o ułaskawienie miesiącami leżą w kancelarii prezydenta. Dziesiątki urzędników badają każdy papierek, funkcjonariusze bezpieczeństwa muszą je zaopiniować. Od nich zależy wszystko. Prezydent tylko podpisuje. W Ameryce, mówił pocieszająco Butryn, skazańcy kilka lat czekają na taki podpis. Liebman wiedział, że ci, którym odmawia się prawa łaski, kończą na krześle elektrycznym. Polskie gazety nigdy nie pisały, jak wykonywano wyroki w kraju. Za skazanymi na śmierć opadała kurtyna milczenia, jakby ich w ogóle nie było.

Gdy był jeszcze dzieckiem, Cyganki często pukały do drzwi, za parę groszy gotowe powróżyć z dłoni lub przepowiedzieć przyszłość z kart. Matka przeganiała je jak zarazę. „Jeśli będę z góry znała wszystkie oczekujące mnie curesy, nie zaznam chwili spokoju” – zwykła mawiać. Dzieci były inne. Dzieci zawsze chciały wiedzieć, co będzie jutro, co się stanie pojutrze. Dopiero tutaj, w celi, dotarła do niego mądrość życiowa mamy.

W celi były cztery koje, ale tylko jeden współwięzień. Dwie koje, jedna nad drugą, stały bez materaców. Cella miała ponad trzy metry wysokości, stwarzała wrażenie pomieszczenia zięjącego zimnem pustki. Pośrodku ustawiono mały kwadratowy stolik i dwa zydle. Okno znajdowała się pod samym pułapem. Dopiero znacznie później dowiedział się, że wspinając się na barki współwięźnia, kątem oka można dojrzeć więzienny dziedziniec.

Wspólnik do celi był dużym, barczystym, łysym mężczyzną o rozbieganym spojrzeniu i nerwowym drganiu lewej ręki. Miał lat pięćdziesiąt, lub niewiele więcej. Trudno powiedzieć, żeby był gadatliwym osobnikiem. Trwało dwa dni, zanim nawiązali kontakt. Ale gdy w końcu zaczął mówić, nie można mu było ust zamknąć. Łomot na podwórzu obudził Liebmana nad ranem. Usiadł i nasłuchiwał. Także sąsiad z górnej pryczy nie spał.

– To nie to, co myślisz – odezwał się ironicznie. – Szubienica stoi tam od dawna. Czasami, gdy pada głucho uderzenie, jak strzał z pistoletu z tłumikiem, to znak, że znów się pod kimś otworzyła kłapa zapadni. Poza tym, egzekucje odbywają się w ciągu dnia. Na przedstawienie przychodzi cała galeria typów. Sędzia, prokurator, ubecy. Nikomu z nich nie chciałoby się tak wcześnie wyłazić z ciepłego łóżka – zachichotał.

– Cicho. Słyszysz, że ktoś kogoś woła?

– Skazańcy nigdy nie krzyczą. Tylko jeden głośno przeklinał kata. Biedak, dostał ataku szału. Bo niby dlaczego przezywać kata od chujów i oprawców? Robi swoją robotę i tyle. Bóg mi świadkiem, że mu nie zazdrozczę. Zastrana robota, i chyba źle płatna... Przepraszam za brak dobrego wychowania. Nie przedstawiłem się. Mam różne nazwiska, w każdym dowodzie osobistym inne. Zawód: przemytnik. Koledzy nazywają mnie Sprężyna, bo mam szybką reakcję, no i szybko wychodzę z nerwów. Co robić, taka moja natura. A ty?

– Nazywam się Izaak Liebman.

– Wiem, wiem. Strażnicy to straszne gaduły. To ty jesteś tym pajacem, co chciał wystawić na dudka cały aparat bezpieczeństwa.

– Mówiłem prawdę.

– Mnie nie wykiwasz, Icku, czy jak ci tam.

– Nie miałem powodu kłamać.

– Każdy ma jakiś powód do kłamania. Tak nas Bozia stworzył. Przestań biadolić i używaj życia, póki żyjesz. Potem będzie za późno. Od dwóch dni nie tknąłeś jedzenia. Bez żarcia szybko się załamiesz.

– Najgorzej, gdy załamuje się dusza i dochodzisz do wniosku, że wszystko zawsze obróci się przeciw tobie. Nawet trzy miski tej wstrętnej zupy nie przywrócą mi chęci walki.

– Inteligent. Nic dziwnego, że walnęli ci czapę. Władza nie lubi przemądrzałych typów. Ale na sądzie ostatecznym pójdzie ci jak po maśle. Za tych zabitych Żydów święty Piotr otworzy ci bramę do raju.

– Sam jestem Żydem.

– No, no, ładna historia. Żyd kabluje na Żydów. Przynajmniej zapłacono ci jak trzeba? Forsa, brylanty, złoto?

– Wszystko sfabrykowane łgarstwa! – krzyknął Liebman.

– Nie denerwuj się, przyjacielu. Przede mną nie musisz się zgrywać. Obaj jesteśmy jedną nogą po drugiej stronie. Poza tym kto jak kto, ale ja cię potrafię zrozumieć.

– Za co cię skazali?

– Za przemyt. Zrobili z tego politykę. Konszachty z obcą agenturą. Może bym się wykręcił dychą, ale co robić, zła krew mnie poniosła i jeszcze przed aresztowaniem podciąłem mojej starej gardło. Ja chodziłem przez zieloną granicę, a ona do sąsiada. Kurzyło jej się między nogami. A twoja?

– Nie jestem żonaty.

– A ta, co była na widzeniu?

Wspomnienie Marii podziało jak katalizator. Liebmanowi rzeczywiście potrzebny był spowiednik. A sprężyna wydawał się lepszym słuchaczem od księdza Wiktora.

– To była kobieta, u której mieszkałem. Z którą mieszkałem – poprawił się. – Nazywa się Maria. Może lepiej by było, gdyby nie przyszła. To była trudna rozmowa dla nas obojga... Sędzia nie dał wiary moim wyjaśnieniom, prokurator nie dał im wiary, podejrzewam, że w końcu nawet obrońca był przekonany, że zmyślam. Ale Maria, głęboko w podświadomości, wiedziała, że mówię prawdę. Tyle tylko, że ta prawda jest dla niej niewygodna. I właśnie tego nie może mi wybaczyć. Kłamstwo wydawało jej się wygodniejsze. Pragnie nosić żałobę po Rudolfie, nie po Izaaku. W dzieciństwie mama wołała mnie Icyk. Co wówczas było niemal pieśczętą, brzmi teraz jak przekleństwo. Przekleństwo, które ścigało mnie od zarania mego dorosłego życia. W walkę z tym przekleństwem zainwestowałem wszystkie siły, i wszystko na nic. Chcąc nie chcąc, wróciłem do domu. Gdy krzyczałem w sali sądowej, że nazywam się Izaak Liebman i że wszystko inne jest fałszerstwem, prokurator pokłonił się sędziemu, pamiętam każdy moment tej komedii, i powiedział: „Jak można dać wiarę wersji oskarżonego, który sam przyznaje, że całe jego życie było jednym wielkim kłamstwem”... Słyszysz, co mówię?

– Nie mam rady. Przecież nie mogę wyjść z celi.

– Najgorsze w tym wszystkim, że wysiłek był bezcelowy. Na próżno zrzuciłem z siebie maskę, która miała mi przynieść pogodę życia. Długo zmagalem się sam z sobą, czy mam się przyznać. Nie, nie do sfalszowanego oskarżenia. Mam na myśli coś znacznie głębszego. Trudno mi było stanąć przed światem nago, bez ochronnej powłoki, którą przywdziałem. Miałem pięć lat, gdy po raz pierwszy zawołano na mnie „parszywy Żydek”; jeszcze nie skończyłem siedmiu, gdy dzieci w naszej dzielnicy obrzuciły mnie kamieniami. Przez wszystkie lata kamień pochodzenia wisiał mi u szyi. Nawet dziewczyna, która rozkładała nogi na mój widok, wstydziła się pokazać ze mną w towarzystwie. A potem holokaust, obozy... ach, nie ma sensu opowiadać, nigdy nie byłeś Żydem, nie jesteś w stanie odczuć i zrozumieć. Teraz, gdy ubywa piasku w klepsydrze, muszę wykorzystać czas na rachunek sumienia.

– Ja zostawiam rachunki urzędnikom Urzędu Skarbowego – zarechotał Sprężyna.

– Gdy wymazałem z życia dwa tysiące lat historii mojego narodu, przyszło mi to tak łatwo, jak cisnąć zmięty papierek do kosza na śmieci. Dzisiaj zastanawiam się: dlaczego odrzuciłem przeszłość, skoro nie zapewniło mi to przyszłości?

– Zbyt skomplikowana dla mnie ta twoja filozofia.

– Szczęściarz. Przynajmniej wiesz, kim jesteś. Ja walczyłem o prawo do bycia tym, kim byłem, ale przegrałem. Tyle że w celi skazanych na śmierć nie ma to żadnego znaczenia. Sąd może mi odebrać życie, nie może jednak pozbawić tożsamości.

– Mylisz się. Żywy czy martwy, zawsze będziesz tym, za kogo cię mają. W więziennym dzienniku będzie zapisane, że dnia takiego a takiego powieszono Rudolfa Nowaka. A jeśli doczekasz się nagrobka, także na nim znajdzie się to, a nie inne nazwisko.

– Ty jesteś dla mnie w tej chwili ważniejszy od każdego dziennika i każdego nagrobka. Ty znasz prawdę.

– Co ci z tego przyjdzie? Gównno.

– Nie masz racji. Mój świat skurczył się do czterech ścian tej celi, a ty, czy chcesz czy nie chcesz, jesteś moim ostatecznym sędzią, jesteś Marią Kot i prokuratorem Czerniakowskim, adwokatem Buterem i nawet nagłówkami w gazetach. Jesteś wszystkimi ludźmi na kuli ziemskiej. Wiesz, kim jestem, i to mi wystarcza... Dlaczego kręcisz głową?

– Nie chcę ci sypać soli na rany.

– Mów, mów. To godzina prawdy.

– Skoro się upierasz... Tak naprawdę to wcale nie wiem, czy jesteś Rudolf czy Izaak. Zdradzę ci tajemnicę: miesiąc temu obiecano mi zamienić karę śmierci na dożywocie, jeśli zeznam, że znam cię z lat czterdziestych, że pomagałem ci w sprzedaży kosztowności, które zabrałeś Żydom, że pamiętam, jak cię aresztowało gestapo.

– Nie widziałem cię w sali sądowej.

– Bo odmówiłem. Nie, żebym bał się jakichś wyrzutów sumienia. Robiłem w życiu gorsze rzeczy od składania fałszywych zeznań. Ale nasi ubecy nie byli najlepsi w psychologii. Wolę przenieść się na drugi świat niż gnić tutaj do końca życia.

– Chyba żartujesz.

– Każde słowo czysta prawda. To ty próbujesz uciec od prawdy.

– Cicho. – Liebman przyłożył palec do ust. – Słyszę kroki na korytarzu.

– Zawsze bledniesz na dźwięk podkutych butów? – zakpił Sprężyna.

– Zawsze myślałem, że wyroki wykonuje się o świcie.

– Tylko na filmach.

W drzwiach celi pojawił się strażnik.

– Który z was jest Nowak?

– Ja – odparł z wahaniem Liebman.

– Chodźcie ze mną.

– Dokąd?

– Nie wasza sprawa.

Liebman wstał, ogarnął celę spojrzeniem i nagle wydało mu się to ponure pomieszczenie najmiłym miejscem na świecie, a morderca własnej żony najsympatyczniejszym człowiekiem pod słońcem.

– Do zobaczenia – powiedział. – Aczkolwiek wątpię, czy się jeszcze zobaczymy.

Szef UB zatarł ręce z zadowoleniem. Sprawa została niemal całkowicie odfajkowana. Gedalia Chajes nie pisał słowa. Nie omieszkał też wyjaśnić, dlaczego nie zdemaskował Liebmana w dniu, w którym spotkał go po raz pierwszy.

– Mam swoją teorię – powiedział. – Po doświadczeniu z Krzysiakiem szukałem kandydata na dyrektora, który nigdy nie stanie sztorcem. Liebman był takim człowiekiem. Ludzie,

którzy mają coś do ukrycia, żyją w wiecznej niepewności, a niepewność czyni ich wygodnym narzędziem w rękach partii.

Szef UB musiał przyznać, że teoria Chajesa nie była pozbawiona logiki. Nie oznaczało to jednak, że w przyszłości nie rozliczy się z Chajesem jak trzeba. Szef UB nie lubił zostawiać otwartych rachunków. Poczekaj cierpliwie na sprzyjającą okazję. Nie ma ludzi, którzy nigdy się nie poślizgną. Na razie pragnął dopiąć ostatnie guziki w sprawie, którą uszył według swego upodobania: przede wszystkim należało zdecydować, co zrobić z Moniką Wrzos. Gdy tylko zakończyła składanie zeznań, pojawił się Konstany i uprzejmie zaproponował jej podwiezienie na dworzec. Teraz siedzi zamknięta w podziemiach Urzędu Bezpieczeństwa. Od pierwszej chwili wiedział, że nie puści jej wolno. Kobiety mają nieprzepartą skłonność do niepotrzebnej gadaniny, pomyślał. Nie może podjąć takiego ryzyka. Najlepszym rozwiązaniem byłoby postawienie jej pod sąd za współpracę z Nowakiem. Czerniakowski aż podskoczył z uciechy. Proces panny Wrzos będzie naturalnym drugim rozdziałem w sprawie Nowaka. W takiej sytuacji Gedalia Chajes będzie musiał poczekać trochę na swój kasek. Krzysiak jest potrzebny prokuraturze jako główny świadek oskarżenia. Najpierw niech opowie wszystko, co wie o swojej działalności w podziemiu, a dopiero potem będzie można go rzucić na pastwę Chajesa.

Inny problem również musiał znaleźć szybkie rozwiązanie: trzeba jak najszybciej ukrócić plotkę o żydowskim pochodzeniu Nowaka. Agenci i donosiciele raportowali, że wersja oskarżonego nie pozostała bez echa, że wciąż jeszcze byli ludzie, którzy ją z uporem powtarzali. Szef UB nigdy nie zostawiał furtki otwartej dla niewiadomych kłopotów. Niezbędny jest jeszcze jeden, delikatny lecz skuteczny nacisk na księdza Wiktora. Potem Paweł Klarman opublikuje odpowiednią notatkę w gazecie i raz na zawsze zamknie usta niedowiarkom.

Strażnik prowadził Liebmana długim korytarzem do biura naczelnika więzienia. Gdy tylko znalazł się wewnątrz pokoju, drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem. Zobaczył przed sobą ojca Wiktora. Twarz miał zadumaną, koloratka opasywała szyję i zacerwieniony kark, czarna sutanna spływała do stóp.

– Ksiądz? – zdumiał się podenerwowany Liebman. – Nie prosiłem o księdza.

– Uspokój się, synu. Przyszedłem ci pomóc.

– Gdzie jest adwokat Buter? To on miał mi pomóc. Co z moją prośbą o ułaskawienie?

– Nie wiem, synu. Wszystko w ręku Wszchemogącego.

– To jakaś pomyłka. Ja...

– Wiem, synu. Wiem wszystko. Modlitwa i spowiedź przyniosą ci spokój ducha. W oczach Wszchemogącego wszyscy jesteśmy błądzącymi duszami. Spowiedź oczyści cię z ciężaru winy.

– Ale ja jestem niewinny.

– Nikt z nas nie jest bez winy. Klęknij, synu.

Izaak Liebman, jak zahipnotyzowany, klęknął na oba kolana. Sutanna rozpostarta była teraz przed nim jak czarny całun, który zasłaniał wszystko.

– Otwórz serce przed Bogiem. Powtarzaj za mną: w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego...

Liebman pochylił głowę. Z gardła wydarły mu się słowa najstarszej żydowskiej modlitwy, modlitwy zamykającej krąg jego życia:

– Słuchaj Izraelu, szema Israel, Adonai elohejnu, Adonai echad...

Posłowie

KLUCZ DO PUSZKI PANDORY

Izaak Liebman był moim dalekim kuzynem. Poznaliśmy się w Chełmie Lubelskim przed wojną, gdy byłem jeszcze dzieckiem, a Izaak absolwentem Politechniki Lwowskiej. Po raz wtóry zobaczyłem go w Jelczu, w roku 1949. Był wówczas inżynierem naczelnym zakładów, które w książce nazwałem Czerwony Sztandar. Ja rozpoczynałem karierę dziennikarską we wrocławskim „Słowie Polskim”. Do Jelcza wysłano mnie, abym przeprowadził wywiad z ówczesnym dyrektorem personalnym tamtejszych zakładów, Gedalią Chajesem. Wywiad nie ukazał się w druku. Został skonfiskowany przez cenzurę, ponieważ produkcja części zamiennych do czołgów uznana została za ściśle tajną. Moja praca w prasie zakończyła się niespodziewanym aresztowaniem za rzekomy sabotaż w maju 1952 roku. Siedziałem początkowo w areszcie UB, potem w więzieniu przy Kleczkowskiej. Tak więc w latach najgorszego stalinizmu poznałem z bliska, „od zewnątrz” i „od wewnątrz”, świat, który stanowi temat mojej książki. Rzecz oczywista, poznałem osobiście niemal wszystkich jej bohaterów, od szefa Urzędu Bezpieczeństwa, na wzór którego (oraz jego następcy) ukształtowałem postać bezimiennego szefa UB, do ojca Wiktora, proboszcza kościoła, który, na prośbę księdza, dla niepoznaki nazwałem kościołem pod wezwaniem świętego Augustyna.

Skradziona tożsamość nie jest literaturą faktu w ścisłym tego słowa znaczeniu, ale wiernie odzwierciedla rzeczywistość tamtych czasów i przedstawia osoby, które ją kształtowały. Niektóre występują pod prawdziwymi nazwiskami, jak np. Gedalia Chajes i jego żona Sara, Krzysiak, Bielski, Monika Wrzos, Piotr Czerniakowski, były funkcjonariusz UB Konstanty Paszewski, Regina Nowak i Baruch Rabinowicz. Inne – pod nazwiskami przybranymi. Uczyniłem to na ich prośbę. Niektórzy, jak np. generał Broza, adwokat Buter czy sędzia Gont, uwarunkowali zgodę na współpracę zatajeniem ich prawdziwej tożsamości. W chwili pisania książki jako starsi ludzie nadal żyli w Polsce i nie chcieli komplikować sobie ostatnich lat życia.

Izaak Liebman, schorowany i rozgoryczony, zmarł w roku 1969 w Toronto, w Kanadzie. Po raz ostatni rozmawiałem z nim kilka miesięcy przed śmiercią. Opis jego procesu we Wrocławiu jest fikcją autorską. Wszystkie pozostałe jego przeżycia są autentyczne. Autentyczny jest również opis przygotowań do procesu i sposób usunięcia świadków obrony. Dramatyczne ujawnienie jego prawdziwego pochodzenia skłoniło władze do anulowania przewodu sądowego, w ostatniej niemal chwili.

Gedalia i Sara Chajesowie zmuszeni zostali do emigracji po marcu 1968. Gedalia zmarł, Sara mieszka w Szwecji. Ma obecnie 86 lat. Ksiądz Wiktor, który nie odmówił mi szczerzej rozmowy, zmarł niedawno we Wrocławiu. Sędzia Ksawery Gont jest od wielu lat na emeryturze. Siostrą Ricie i Helenie (Lali) zawdzięczam wgląd za kulisy wojewódzkiej

partyjnej hierarchii. Obie mieszkają obecnie we własnym domku na Mazurach. Losu Marii Kot nie udało mi się ustalić.

Nie jest przypadkiem, że w *Skradzionej tożsamości* czytelnik nie znajdzie bohaterów pozytywnych. Dwa totalitarne ustroje, nazistowski i komunistyczny, skorumpowały tysiące ludzi, którzy być może w innych warunkach nie stoczyliby się na moralne dno i nie pomagaliby tworzyć rzeczywistości w której każdy, jak to trafnie ujął Leszek Kołakowski, donosi na siebie samego.